



**FLORIAN CZARNYSZEWICZ**

# **NADBEREZYŃCY**

**FLORIAN CZARNYSZEWICZ**

# **NADBEREZYŃCY**

**POWIEŚĆ**

**WYDAWNICTWO FIS  
LUBLIN**

Książka ta ukazała się dzięki dotacji  
Wydziału Spraw Społecznych Urzędu Wojewódzkiego  
w Lublinie.

Copyright © Florian Czarnyszewicz

Opracowanie graficzne: Krzysztof Kłępka

WYDAWNICTWO FIS  
adres na koresp. Lublin, al. PKWN 8/200, tel. 44-965

---

Druk offsetowy na papierze kl. III, 80 g

# **TOM PIERWSZY**

## ROGI

W głuszy bezkresnych zabereżyńskich lasów, w otoku dwóch rzeczulek chutor włók trzy. Połowę stanowią łąki, które biegną brzegami ich dziesięciną szerokością, przez całą długość klinowatej polany. Od lasu łęgowe, bydłące, od pola murożne, owcze i końskie. Na zachodzie w rogu, gdzie rzeczulki łączą się w jedno koryto, szerokość łąki prawie potrójna. Na murożnej tam części, stoją rzędem w dziesięcizagonowym odstepie, trzy potężne dęby. Pień każdego z nich, na wysokości dwóch, -trzech sążni, opasany kwadratowym pomostem nabijanym z dołu gęsto dużymi gwoździami. Patrząc z dołu, owe pomosty miały podobieństwo staroświeckich drewnianych bron, jeno że były szczelne i cztery razy szersze. Miejscowi ludzie nazywają je podkurami. Powyżej pomostów stały parami jedne nad drugimi na sękach ule.

Pod środkowym podkurem stał brodaty, siwy starzec. Ubrany był po zaściankowemu powszednio: w obcisłą szlachecką czapkę, w kramną, czarną marynarkę, w samodziałkowe kraciaste spodnie i w duże z szerokimi, pomarszczonymi cholewami buty. W jednej ręce miał wiosło, w drugiej torbę z rybą. Obok stał chuderlawy chłopak lat dziewięć. Ten był w wynoszonej maciejówce, w zgrzebnej bieliźnie i boso. Jedną ręką wspierał się po ułańsku w bok, drugą trzymał pionowo równy, leszczykowy, trzy razy dłuższy od siebie, kij z zaostrzonym i okutym błyszcząca blaszką końcem.

Było ciche, słoneczne, piękne, czerwcowe popołudnie. Cień od lasu już wydłużył się na stajanie z hakiem.

— Dziaduńko — mówił chłopak, spoglądając ciekawie w górę na podkur. — Mikita powiadał, że te zęby u podkuru żelazne. Prawda to?

— Drzewiane są — odrzekł starzec krótko, wpatrując się uważnie w stronę lasu przeciw słońca.

— Drzewiane? Toż je niedźwiedz pokruszyć może.

— Nie pokruszy, dębowe są, mocne.

— Dębowe? — Dziaduńko. Mikita powiadał, że niedźwiedz tak duży, jak koń siwy, a łapy takie, jak sito. Prawda to?

— Nieprawda. Nie ma większych niedźwiedzi od zeszłorocznych cieląt, jeno, że grubsze i kudłate jak owieczki.

— Kudłate? Dziaduńko. A ja z tym — wskazał na trzymany przez się kij — wcale nie boję się niedźwiedziów.

— Taki duży chłopiec, ażeby się bał — odrzekł wpatrując się w stronę lasu coraz uważniej.

— Co dziaduńko tam patrzy i patrzy? Może już idą muzyki?

— Nie, leśnik Wasilewski ku nam idzie? — Obrócił się ku chłopcu i obrzuciwszy oczyma na strój, rzucił surowo: — Jak u ciebie spodnie służą?! Wstydnik! Żywo mi oprav się!

Chłopak zarumienił się wstydem i śmignął za pień. Po chwili wrócił uporządkowany; stanął obok dziadka ze swym kijem jak przedtem i obserwował ciekawie zbliżającego się gościa.

Był to człowiek pod czterdziestkę, rosły, tęgı, zwięzły, o rumianej jak burak twarzy i rudawej, krótkiej brodzie. Na głowie miał wypłowiałą maciejówkę, na sobie krótką, burą świtkę, szare wełniane, samodziałowe spodnie, na nogach łapcie. Na piersiach krzyżowały mu się dwa szerokie rzemienie: jeden od strzelby, lufa której wystawała zza pleców, drugi od przylegającej do lewego biodra, myśliwej z koziej skóry torby. Do rzemienia od torby przypięta była naprzeciw serca żółta, szerokości dłoni blacha, z wrytym w języku ruskim napisem: "Lesnoj storozh".

— Gdy tylko z lasu wyszedłeś, już cię poznałem — ozwał się pierwszy starzec, gdy leśnik zbliżył się o kilka kroków.

— Znaczy się nigdy bogatym nie będę, — odrzekł napoły żartem, na poły z wiarą w taki przesąd.

Niechżeż będzie pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił, zdejmując czapkę. Pochylił się do ręki starca i cmoknął w nią głośno.

— Na wieki wieków! — odrzekł starzec i pocałował leśnika w potylicę.

Z kolei leśnik podał swą dłoń do ucałowania chłopcu. Pogłaskał go po głowie, potem zapytał: — Jakżeż, ty chłopcze hodujesz się? Ot akraz i gościńca ci żadnego nie mam.

A cóż to za kij trzymasz? Pewnie takie oście sobie na ryby wystrugał?

— To nie oście — zaprzeczył tonem urazy. — To sztych!

— Sztych?! Co za sztych?

— Sztych z muzykami wojować.

— Z muzykami wojować?!... Co panie Bałaszewicz — zwrócił się do starca — może znowu nicianie z napaścią?

— Tak. Wsią całą zbierają się jutro przybyć, niby to za zniewagę gromadzkiego pastucha, którego onegdaj synowa zganiając z łąki z bydłem, poturbowała porządnie.

— Wsią całą mają napaść?!... A toż kryminalstwo!... Bandycstwo! Bunt!

A może to tylko dla postrachu słuch taki puszczają?

— Tacy ludzie z Nitów nam donieśli, co nie kłamią.

— Ot jak? No, ale chwała Bogu, że chociaż znaleźli się dobrzy ludzie co wam donieśli i macie czas przygotować się, by pouczyć gadów, jak nieproszonym za cudzy płot łązić. Powołaliście uradnika zapewno?

— Nie, swoją familią bronić się będziemy, jak i zawsze.

— Toż was całą wsią zniszczyć mogą całkiem, albo co nie dopuść Boże, zabić jeszcze którego. Cóż wy sobie myślicie?

— Zniszczą to zniszczą, zabiją którego to zabiją, ale uradnika prosić, ni ja, ni moje syny nie chcemy. Sami będziemy bronić.

— Hm, nie chcecie prosić... No to czemu wtedy chociaż nas nie wołali? Możemy my wszystkie leśniki z obieszczykiem zebrać się, można też z zaścianku z dziesięć sprytniejszych chłopców wziąć i gromadą jak już znacie naprzód, że mają przychodzić, zasiąść za mostkiem w lesie i lupnąć, ażeby dziesiątemu gady zakazali.

— Onoż zechciawszy, to można ludzi zebrać i odłupić, ale co z tego? Dziś ich gromadą nałupimy, a oni jutro obrócą się i znowu napadną. Zawszeż ludzi na obronę trzymać nie będziem. Jeszcze wtedy wściekle spalić mogą. No, nie tak?

— Wy ich tylko rozzuchwalicie. Ja wam mówię, że nałupiwszy dobrze, nie pójdą więcej. A jakżeż dzieci swawolnych uczą?

Bałaszewicz potrząsał głową przecząco i westchnął ciężko.

— Wiesz panie Wasilewski, tak nam już ta gryzanina z tymi ludźmi nadojadła, że strach! My już mówili z synami: daj tylko Boże kontraktu dożyć, a więcej już nie chcemy. Swojego, własności będziemy szukać i w ludniejszym gdzieś miejscu.

— E, to wszystko jeszcze się przekreśli, przeminie i dalej tu żyć będziecie. Tyle lat już... Takiego chutoru nie warto rzucać. No, a cóż tu u was więcej słyhać? Jakżeż zdrowie wasze?

— Dziękuję za pamięć. Ruszam się ot, póki co po trochu.

— No to i dobrze. Wam, panie Bałaszewicz, teraz tylko żyć i pieśni śpiewać. Takiej gospodarki doharowali się, takich mądrych pohodowali synów! O — obrócił się ku chłopcu — już taki wnuk. Taki już wojaka. A jakże uczy się? Czyta już bojko?

Na własne uszy słyssał swego czasu, jak chłopiec czyta, ale zagadnął o naukę po to, aby mieć sposobność pochwalić się własnym synem.

— Dobrze się uczy — odrzekł Bałaszewicz. — Toż słyssałeś jak czyta.

— I mój już czyta, chwalić Bogu.

— Mówisz, że czyta? A toż pamiętam, gdy był u nas zimą na młócce, nie umiał ni b, ni c.

— Tak, zimą ani litery nie umiał, a teraz czyta ot, co rzepę gryzie.

— Skądże tak nagle? Któż go wyuczył?

— Ot, od czasu Kazik Karolowy wnuk ze Smolarni pokazuje, a resztę sam przez siebie. Znajdzie jakiś papierek drukowany, ta i rozbiera, czyta, uczy się. Tak mu zechciało wyuczyć się, że nawet przez sen o to mówi.

— Jeżeli tak bardzo chce, to go uczcie. Jeszcze czas, chłopiec nie stary.

— Łatwo powiedzieć uczcie, ale gdzie, jak, za co?

— Niech zimą do Kazika chodzi. Toż niedaleko. A może ten już więcej nie będzie uczyć?

— Uczyć to on będzie, ale niezaściankowych boi się przyjmować, aby uradnik nie rozpedził.

— Pomówcie o tym ze swym obieszczykiem, może co...

— Co tam obieszczyk... — przerwał. — Ja myślę samego dziedzica prosić. Kiedy przyjedzie zimą na polowanie, a z niedźwiedziem pójdzie dobrze, to mu pokłonię się nisko, pocałuję w rękę i będę prosić o radę i pomoc. Będę prosić.

— Prosić można, język od tego nie odwali się — zaakceptował Bałaszewicz.

No, ale my tu z tobą dudu, dudu, — spojrzął na słońce, które już poczynalo włazić w szcerbę wierzchu lasu — a czas biegnie. Muszę jeszcze dziś z synami się naradzić i przygotować do jutrzejszej roz-

prawki. Pójdziemy Staszku — kiwnął głową na wnuka. — Proszę do nas Wasilewski na goście. Chodź z nami na chutor.

— A toż i czas na gościowanie się... Dziękuję. Pobiegnę. Wcześniej czy późno, dziś muszę w Jamach i w Chrapaczowie być. Może zbiorę trochę ludzi wam na pomoc na jutro.

Rozwitali się, jak zwykle całowaniem starszym rąk i rozeszli: Wasilewski w przeciwną stronę lasu, a ci ku polu i drożyną, pomiędzy kruszące żyto na chutor.

Starzec zapadł w głęboką zadumę. Pochlebne uwagi leśnika o gospodarce i synach obudziły wspomnienie o wszystkich trudach, jakie poniósł nim tej gospodarki się doharował i pohodował dzieci. Jak nic rozwijana z kłębka przesuwawały mu się przez myśl kolejno obrazy własnego życia aż od roku 1875, odkąd tu w puszczy, na miejsce teraźniejszych Rogów z naddnieprzańskich okolic przybył.

Liczył wtedy lat 37. Dzieci miał drobnych — jak bobu. Najstarsze bliźniaki liczyły dopiero po 11 lat. Jan, syn starszy był oto taki, jak teraz Staszek potomek już jego. Marcin poczynał być zęby gubić. Władek z Bronikiem chodzili jeszcze bez portek. Hańka, co już pięć lat zamężna, leżała w pieluchach. Dwóch ostatnich dziewcząt, które teraz przejrzywającymi pannami, wtedy jeszcze ani na świecie nie było.

Pół w tych stronach wtedy jeszcze było bardzo mało. Lasy głucho, dziewicze, jakie nieraz pokrywały kilkadziesiąt — wiorstowe obszary, nie przyniosły, oprócz łowów, żadnych prawie korzyści i właściciele ich starali się wszelkimi siłami zamieniać na uprawne, dochodowe pole. Namawiali i prosili nawet ludzi, aby zakładali sobie w ich lasach osiedla, pozwalając wybierać, oprócz mateczników, gdzie tylko się podoba i obiecując nie pobierać w przeciągu pięciu lat, żadnej od nowych osiedleńców arendy.

Bałaszewicz wczesną jesienią, jako zaraz po żniwach, przewędrował kilkadziesiąt wiorst lasem i upodobał sobie tu pomiędzy rzeczułkami, że to będzie gdzie, mówił, rybkę na postny dzień ułowić, a babie łatwo bieliznę i pieluchy w płynącej wodzie wyplukać. Pola nie było ani tyle, by chatę postawić, ani płachty rozesać; puszcza wszędzie stała głucho i dziewicza, jaka teraz, dokoła. Najbliższym polem i osiedlem ludzkim, była ta sama wieś Nity, odległa o pięć wiorst. Mieszkańcy jej, obrane przez Bałaszewicza międzyrzecze, w które czasem zapuszczali się po orzech lub łyka, nazywali Rogami.

Obrał miejsce, zwałił pokotem pagórek lasu dziesięciny dwie, pobudował szałas dla siebie i chudoby, przetrzebił trel do odległej o trzy wiorsty drogi i na przedwiośniu przewiózł się z całą rodziną i dobytkiem.

Zaczęły się czasy trudów ciężkich i biedy. Póki spożywali przywiezione ze sobą ziarno było pół biedy. Potem głód nastał. Zrazu nie umiał na nowinie gospodarzyć i nie wiodło się strasznie. Posadził na sadzy kartofle z nawozem, wybujały, poszły w nać. Hreczka tak samo: słomą porosła wyżej pępa człowiekowi, ziarna żeby nasiona wróciły. Jęczmień posiał nieszczęśliwie, pod długi deszcz, wymókł, nie obszedł. Miał łąkę, jak na cztery chaty, pięknego owsa, to przyszła nocą ciemną rodzina niedźwiedzi pożarła, powichrzyła, połamała. Na proso była jeszcze cała nadzieja, które udało się na dziwo: wysokie, łodygi, jak kije od grabi,

księcia człowieka by zabił, gdyby tak uderzył po głowie. Cieszyli się czekali, aby dojrzało nalezycie. Tymczasem po trzechdniowym wietrznym deszczu zobaczyli, że próżna słoma stała. Osypało się na ziemię, co do ziarenka.

Krowa jedna wiosną zalała się w bagnie, drugiej ryś wymie wyżał i też zdechła. Zimą podkopały się w chlew wilki i udusiły maciorę.

Przyszła wiosna, więc jak to mówią: ani cebuli, ani ją wrzucić w co. A kobieta tymczasem, jak to zwykle w biedę, rodziła dalej dzieci jedno po drugim.

Bałaszewicz z rozpaczcy włosy sobie na głowie targał.

Nicianie zaglądając niekiedy przez ciekawość do Rogów, wyśmiewali i straszyli:

— Lachu, Lachu! — mówili. — Gdzie twój rozum, gdzie twoja głowa była w taką głusz, w takie czarnolesie leżać? Czyż ty lepszego miejsca na świecie nie mógł znaleźć? Uciekaj zawczasu, bo zginiesz ze wszystkimi swymi bachorami.

Sam już mocno żałował swego nierozważnego przedsięwzięcia, ale już uciekać za późno było. Bo z czym by brał się teraz nowej gdzieś arendy? Jakby pokazał się wśród ludzi z czeredą pół nagich wymizowanych dzieci?

Zacisnął zęby i ostał. Postanowił walczyć do upadłego. Pojechał do szwagra, wyprosił nasion, zasiał co miał pola i dalej ciąć z dziećmi puszcę. Drugi plon był lepszy i dał im na cały rok prawie chleba. Jesienią dziewczęta uzbierały w lesie 12 pudów orzechów na sprzedaż. Zimą, sam zabrał się do wyrabiania cebrów i wiader, a chłopcy wprawili się brać w sidła tchórze i lisy i polować z siekierą gronostaje. Wiosną spienieżyli wszystko i oddali na chów bydła.

Zabierali się do puszczy coraz śmielej i praktyczniej. Aż do trzyletniego dziecka pracowali wszyscy, jak mrówki zawzięcie i druźnie, tnąc, karczując, zbierając gałęzie, paląc, kopiąc się w dymie, paprając w sadzy.

Polana rozszerzała się, rosła, chleba i dobytku wszelakiego Bałaszewiczom z każdym rokiem przybywało.

Po pięciu latach zajrzał w Rogi dziedzic, pochwalił za pracowitość i wyznaczył arendę. Zrazu mało — dziesięć rubli tylko; potem jednak z każdym rokiem po trzy, po pięć i po dziesięć rubli podwyższał.

Po 19 latach, obawiając się, by nie zaprocesowali o przedawnienie, chciał już wysiedlić. Jednak Bałaszewicz uprosił. Pokłął się na honor, na przodków i podpisał też, że ani on, ani synowie jego nigdy Rogów na własność nie będą żądali. Więc ostawił. Z nim tylko tak wyjątkowo łagodnie postąpili, że to poręczył ten dziedzic, u którego przedtem ziemię dzierżawił; od innych dzierżawców nie przyjął ani słowa, ani podpisu; wysiedlił przemocą z policją, a na ich miejsce nowych przyjął.

Teraz Rogi były najzamożniejszym chutorem w okolicy.

— Wam teraz tylko żyć i pieśni śpiewać — przypominały się Bałaszewiczowi słowa leśnika sprzed chwili.

A czemużby nie śpiewać, gdyby nie te swawolne Nity. Oto krasuje łąn dziesięcin 12, bujnego jak oczerety i gęstego jak szczyotka żyta. Tam dalej, drugie takie pole szumi zbożem jarowym. Wkoło jak stepy bujne,

wartościowe łąki. W lesie pasie się 45 sztuk ich bydła. Na poparze tyleż świń i dwa razy tyle owiec. Mają trzy pary koni do pług i jedną stajeną do przejazdu. W pszczelniku 25 starych rojów. Budynki drewniane, ale wygodne, opatrzone.

Jakoż znaleźli się na pagórku, więc aż przystawał, rozglądając się dokoła z lubością. Serce dumą wezbrało, że to on gospodarzy tą mlekiem i miodem płynącą polaną, i że on z rodzonymi synami ją wyharował.

## II.

### NAJAZD

W chutorze cały wieczór czynili do obrony przed zapowiedzianym napadem, przygotowania. Nakosili i przywieźli wóz trawy dla trzody, aby pastuchy mogli wrócić z paszy wcześniej i być w walce użyteczni, dalej zdjeli z mostu na rzece, od strony Nitów posłanie, zwożąc je na dziedziniec, potem ostrzyli oście, nasadzali na długie koły widły od gnoju, strugali odpowiadające swym siłom drażni, moczyli nowe łąpcie, zawlekali nowe obory, wszywali mocno sprzączki do pasów. Nie ma gorzej, gdy podczas bitki urwie się i rozwinie obora, albo pas pęknie i popuści spodnie.

Gotowali się starannie, należycie, z całą świadomością grożącego niebezpieczeństwa, jednak bez trwogi i zbytnej gorączki. Ot, jakby na obławę jakowaś, albo sianokos przed piękną pogodą. Przywykli już. Każdego lata odganiali po kilka napadów. Zapowiadali już nicianie i całą wsią napaść, jak oto teraz, grożąc zniszczeniem, jednak zawsze z wielkiej chmury bywał mały deszcz; zwykle przychodziła tylko część swawolniejszą, przeważnie niedoświadczonych młokosów, których zaprawieni do bitki i zawsze uprzedzeni o napaści Bałaszewicze, sromotnie przeganiali.

Po wieczery usiedli na przyzbie pod chatą i długo radzili.

Nazajutrz wszyscy oprócz parobków i dzieci, wstali wraz ze świtem, jak i w dzień powszedni. Niewiasty wydoiwszy krowy, zapaliły w piecu i zakrzętnęły się koło śniadania, pastuchy wygnali swe stada na popas na parę godzin, a stary Bałaszewicz z synami zabrał się do śpiewania Różańca. Każdego świątecznego ranku odprawiano w Rogach jak nie Różaniec, to Godzinki, albo inne jakieś nabożne, odpowiadające porze roku, pieśni, gdyż mieszkając na tak głuchym odludziu, do kościoła nie każdy i nie zawsze mógł jechać.

Odprawiwszy Różaniec, zbudzili parobków i dzieci, zawołali z pola pastuchów, Stacha wysłali ku mostkowi na stróżowanie i zasiedli do stołu. Śniadanie przyrządziły niewiasty nadzwyczaj sute: bliny były jęczmienne, szatrowane, moczanka z jajkami z większą ilością skwarek i słonych żeberek, na zakąskę kluski kartoflane gotowane na samym mleku i mleko kwaśne na pół ze śmietaną i twarogiem. A wszystkiego było w bród.

Jedli, opowiadali wydarzenia z poprzednich bitek i przechwalali się, jak będą prali intruzów teraz. Aż izba grzmiała od gwaru i wybuchów śmiechu. Poddawali sobie animuszu.

Jakkolwiek Stach o zbliżaniu się napastników nie alarmował, mężczyźni zaraz po śniadaniu wdziali się — starzy po świątecznemu, reszta wszystko w stroje zgrzebne i łapcie jak na sianokos — wzięli swe drągi i poszli wygradzoną drożyną między jarowe zboże ku odległemu o trzy stajania w prostej linii mostowi.

Dzień zaczynał się pogodny, piękny. Po niebie błąkały się samotnie małe, jasne, zgrabne obłoczki. Z zachodu pociągał od czasu do czasu łagodny, suchy wietrzyk. Rosa już obeschła była zupełnie. Cień człowieka skurczył się do czterech kroków.

Stach z nieodłącznym "sztychem" w rękach, wartował przy mostku. Widział już, że nadchodzą, słyszał nawet głosy prowadzonej rozmowy, jednak nie obracał się; nadstawiał w las za rzeczkę ucho, wyciągał szyję, wsłuchiwał się... wpatrywał, chcąc wykazać pilne wykonywanie wyznaczonej służby, której niezmiernie rad był.

— No i cóż — zagadnął go stryj Władek, który przyszedł na miejsce pierwszy — nie było jeszcze muzyków? A może, zobaczywszy ciebie z tym sztychem, pouciekali? — żartował.

— Muzyków to nie było, ale przychodził niedźwiedź — odrzekł, nie przestając wsłuchiwać się i wpatrywać w las.

— Niedźwiedź powiadasz przychodził?!

— Tak. Oto tam — pokazał w gąszcz — trzeszczało mocno i ryczało akurat jak byk, gdy buszuje przed bitką.

— A jeżeli tak, to niedźwiedź — przytwierdził stryj mrugając oczyma do obecnych. — No, i tyś się nie bał?

— Ani troszka. Ani nawet ot, z tego miejsca się nie ruszył.

— Po co łiesz smarkaczu! — skarcił go ojciec.

— Jej Bohu, tatko, trzeszczało w lesie — przysiągł się.

— Ile już ci razy przykazywał nie bożyć się w taki sposób?!

— Zapomniałem, tatko.

— To ci dam na pamięć! Marsz do domu na śniadanie!

— Ja nie chcę jeść; ostanę tu z wami.

— Marsz powiadam do domu i być przy matce.

— Jakżeż to — wydał usta. — Wczoraj obiecali przyjąć, a dziś przeganiacie. Jaż i swój sztych mam. Jaż tak wartowałem...

— Widzę, iż chcesz w skórę dostać! — krzyknął ojciec, sięgając za ramię.

Odszedł szybko mrużąc. Jan nie żartował z dziećmi.

Usiedli na nasypce grobli w cieniu brzozy i czekali. Ale niedługo.

W kilka minut trzasnęło za rzeczka po lewej stronie podejrzenie i ukazała się z kępy łoży głowa młodzieńca, w szerokiej furazce. Wysunął się do połowy ostrożnie, spojrzął na groblę za mostek i zauważywszy rogowców, czmychnął w gąszcz z powrotem. Na zwiady był wysłany. Za chwilę ten sam łeb ukazał się po prawej stronie z krzów paproci.

Władek zaproponował by trójką: z młodszym bratem Bronikiem i Sawkiem, mocnym parobkiem, przejść za rzeczka, ukryć się w gąszczu przy zwężeniu się za groblą drożyny i grupie zawadiaków, którzy zwykle przychodzili na przedzie, sprawić, nim reszta nadciągnie, porządną łaźnię. Ale stary nie pozwolił. — Nie zadzierać się, powiedział, my przyszli, ale bronić. Będziemy próbować łagodnością.

Z lasu zaczynały dochodzić nawoływania ludzkie, rzenie koni i źrebiąt; głosy owe z każdą chwilą wzmagaly się.

Przeszli na podkłady mostu i nadstuchując, czekali coraz niecierpliwiej.

Hałas przechodził zygzakiem jak drożyna w lesie, to w lewo, to w prawo i zbliżał się szybko. Gdy wietrzyk nie mącił ciszy, dochodziły uszu osobne wyrazy przekleństwa. Już byli na ostatniej krzywiznie drogi, już mieli ukazać się na grobli. I ucichli. Naradzali się widocznie. Minut pięć tak trwało. Potem gwałtownie zahuczało, zawrzało dziko — i zaczęły się wysypywać na groble tłumy.

Na przedzie szli luzem po dwóch, po trzech, krzycząc i wywijając drągami, zawadiaki w czarnych z szerokimi kołami furazkach, wdzianych na bakier, z kozaczymi na łbach czubami, w białych zgrzebnych koszulach, upięszonych na kołnierzu i piersiach zielono-czerwonym wyszywaniem, wdzianych po białorusku na wypusk, opasanych podwójnie w biodrach pstrą, plecioną, szerokością na pół werszka tasiemką ze zwisającymi na lewe udo kutasami, w białych spodniach i łapciach czterdziestouszkach z rzemieniami na łydkach. Za nimi posuwała się, kotłując po grobli gromada zwarta; ubrani byli prawie wszyscy na tę samą modłę, na ramionach trzymali równo jednakie drągi i na odległość byli podobni do rotty wojska. Wielu z pomiędzy nich byli chłopcy dojrzały, z wąsikami już, ale większość to młokosi przedpoborowi chociaż już w sile. Dalej wypływał podwójny i długi w nieskończoność sznur dziewcząt i wyrostków na koniach. W borze, o jakie pół wiorsty wygrywała pastusza trąba skoczna "Lewonichę", zwiastując, że za tym wszystkim płynie stado bydła.

Rogowcy spoglądali po sobie niespokojnie. Zrozumieli, iż rozprawa będzie ciężka. Szło co najmniej chłopców 80, nie licząc koniuchów; — a ich wszystkich razem ze starym, tylko dziewiątka. Nigdy dotąd nie przychodzili tak tłumnie.

Zeszli z podkładów i stanęli na swoim brzegu kupa.

— Hej, Lachy przekłete! — zakrzyczeli zawadiacy, zbliżywszy się na odległość kilkunastu kroków. — Po co most rozebrali, taka wasza mać? Składać nam most, lackie mordy!

Bałaszewicze nie odzywali się.

Wnet nadciągnęła siła główna i włączywszy w siebie zawadiaków, przysunęła się ku samemu mostkowi. Ale przechodzić podkładami na razie żaden nie ośmielał się. Matuszki tylko, obelgi różne i groźby miotali pod adresem Bałaszewiczów. — Miatieżniki, wy, taka wasza mać! Po co most rozebrali?! Niedowiarki wy! Kundlowe syny! Most nam podawać, taka wasza mać, bo my wam zaraz pokazemy!

Niektórzy dla lepszej okraszy swych matuszek, zaczęli je od "razpra". Aż słuchać brzydko było.

Stary dał znak, iż chce mówić. Tłum przycichł częściowo.

— Czego, wy chłopcy, krzyczycie? — zaczął łagodnie, drżącym od starości i wzruszenia głosem. — Po co wy te koły na ramiona pobrali, jak na wilków, albo psów wściekłych? Czego wy od nas chcecie, powiedźcie tak po dobroci?

— Po co most rozebrali, pytamy? — wystąpił jeden z zawadiaków, chłop z odbytą służbą w wojsku, znajdujący się na prawie.

— Po całym ruskim hosudarstwie nikt nie ma prawa drogi zagrażać. Most żądamy złożyć, staryk, i drogę puszczać!

— Droga ta i most nie są publiczne: na nasz chutor tylko prowadzą, myśmy sami je zbudowali i rządzić mamy prawo. Ludziom, którzy idą ku nam bez złych zamiarów drogi nie zagrażamy. Czego chcecie po naszej stronie? Po co wam most?

— Na pastbiszczce nasze, na serwituty chcemy przejść z bydłem i końmi. Podawać poślanie i koniec!

— Po tej stronie łąki nasze i zboże, a nie żadne wasze serwituty. Ni wy nam trzebili, ni wy siali, toż i paść nie macie prawa.

— Mamy prawo! Nasi baćki pańszczyznu służyli! Nam car wszędzie pozwolił paść. Mamy prawo, mamy! — sypały się głosy z tłumu.

— Ni mnie, ni mojemu ojcu wy pańszczyzny nie służyli — mówił Bałaszewicz. — Jam biedny, roboczy człowiek, jak i wy wszyscy.

Dzietki moje! Czyż wam paszy oprócz naszego chutoru nie ma? Pięćset włók lasu, jaki przed sobą macie, na dwadzieścia takich stad, jak wasze starczyć może. Wyż więcej szkody swej chudobie, goniąc ją za pięć wiorst, czynicie, niż korzyści. Czyż wasz koń posycieje, czyż krowa mleka więcej da, jeżeli pogryzie na łące, albo uskubnie owsa? Po cóż chcecie ludziom szkodę czynić, którzy tak samo, jak i wy na kawałek chleba harują i w tego samego Pana Jezusa wierzą, ha?

Na twarzach napastników pojawiły się jakoby wstyd i zakłopotanie. Ale nie na wszystkich.

— A bo i posycieją — wyrwało się któremuś. — My rzepy chcemy! — ośmielił się drugi. — Tak, rzepę nam podawajcie!... Grochu zielonego dawajcie!... I marchwy! — podawali żądania jedno po drugim.

— Dobrze. Rzepy wam damy — godził się stary. — Ale grochu nie można, bo teraz samo kwitnie, lub najwyżej łopatki są. U marchwy też zawiązki, nie większe od pijawek. A nacziny przecież jeść nie będziecie.

— No to dawajcie rzepę! Podawajcie natychmiast! I sała też. Sała dawajcie!... I miodu!... I sacharu! — stawali się coraz wybredniejsi, widząc ustępliwość Lachów.

— Miodu, chłopcy, teraz nie można; u pszczołek sama robota teraz. — Oddamy wam wszystko, co teraz w ogrodzie jest, rzepę, damy wam sała, damy też sacharu, ale rzucajcie swe koły. Rzucajcie je, dietki, w rzekę, niech płyną na chorobę złym ludziom.

Większość chłopców opuściła swe drągi w dół i zaczynała spoglądać po sobie pytająco. Zdali się zgadzać na warunki.

— Biegnij, chłopcze, żywo do domu — zwrócił się Bałaszewicz do młodszego syna — weź na strychu poćć stoniny, zabierz ze szafy cukier i powiedz babom niech wyrwą w ogrodzie wszystką rzepę i tu natychmiast przynoszą.

— To ty sobaka myślisz, że nas kawałkiem sacharu kupisz? — zakrzyczał Matałach, największy w Nitach swawolnik, wysuwając się naprzód. — Ot tobie stary ty szerszeń! — cisnął w starca kamieniem, trafiając go — podczas gdy jeszcze stał obrócony do syna — w głowę powyżej ucha.

Starzec jęknął i osunął się na ziemię, brocząc krwią.

Jan, Marcin i Bronik rzucili się ojcu na ratunek.

— Patrzajcie wy Lacha! — ryczał Matałach. — On nam będzie po skrawce, jak swinopasom wydzielał! My sami weźmiemy co jest. Nasze Rogi, nasze wszystko! Na Lachów, rebiata! Na miatieźników!... My rusz-kije!... Za zniewęgę pastucha!... Za mną, rebiata!...

Podszechuwszy tak, nastawił drąg przed siebie i puścił się środkowym podkładem, myśląc iż skorzysta z zamieszania rogowców i przeprawi się. Boczny podkładami ruszyło innych dwóch śmiałków.

Wladek, Sawka i Ludwik drugi parobek, stanęli im na spotkanie. Wladek stanął naprzeciwko Matałacha.

— Jaz ci za mego tatkę dam! — szeptał przysiadając do skoku, jak kot. — Dopuszczył na odległość drąga i żarnał go w ramię, zwalając w rzeczkę. Celował był w głowę, lecz ten podczas rozmachu pochylił się w bok, nadstawiając ramię. Sawka ze swoim to samo uczynił. Ludwik jednak, wysunął się na podkład za daleko i rozmachnął przez to słabo, przeciwnik więc potrafił cios unieszkodliwić i wycofać się cało.

Jan z Bronikiem podnosili tymczasem rannego ojca. Broczył krwią i ciążył bezwładnie, ale był przytomny.

— Bronik, zaprowadź mnie, synku, do domu — mówił ledwo dosłyszalnym głosem. — A, wy dzieci, póki możecie brońcie się. Tylko uważajcie, nie bijcie na śmierć i sami też strzeżcie się.

Nicianie wciąż pchali się uporczywie podkładami, nie zważając na nic. Jedni walili się w rzeczkę, lub wycofywali się z jękiem, a na ich miejsce wyskakowali inni śmiałkowie. Tłum wyciem dzikim zagrzewał. Jakby tysiące ich tam było, jakby horda tatarska cała — tak potwornie i dziko ryczeli. Próbowali przeprować się w ten sposób: jedni posuwali się belkami konno na siadacze, drudzy postępowali z tyłu i wystawieniem naprzód drągów, osłaniali ich. I wszystko na próżno. Rogowcy, stojąc na twardym gruncie brzegu, odpierali wszelkie zakusy bez większego wysiłku.

— Dawajcie poszybnem w nich, rebiata! Dawajcie pałkami w nich! — wybijał się głos z wrzasku. — Poszybnem!... Pałkami!... Dawajcie pałek! — rozchodziło się po tłumie, szło groblą aż ku koniuchom.

Wyrostki oddali swe konie dziewczętom i rozbiegli się po pałki.

Wnet tłum znalazł się w posiadaniu żądanych pocisków i rozpoczął gwałtowny atak. Aż w powietrzu zahuczało od sprężystego lotu stada pałek.

Rogowcy raz po raz chwyтали się z sykiem za ręce, nogi, głowy i plecy, którymi się obracali przeciwko nawałnicy pocisków, ale nie ustępowali. Uderzenia na odległość drzewek, przeważnie spróchniałych, nie były w stanie ogłuszyć, ani skaleczyć. Wybierali co smaglejsze pałki i ciskali je z powrotem w tłum.

Nicianie wściekali się ze złości. Grono przywódców z Matałachem, który wydobył się z kąpieli, na czele, wzięli się na tyłach coś radzić. Poradzili, potem odwołali z gromady kilkunastu mocniejszych chłopców i rozbiegli się z nimi w las.

Za chwilę rozległy się ciosy siekier. Rogowcom dreszcz przeszedł po skórze; niedzielka to przecież była młodzikowa. Zgadywali zamiary

nieprzyjaciół, jednak nie przerażali się. Nawet dobra nadzieja w ich serca wstępowała; pewni byli, że Pan Bóg grzechu, jakiego napastnicy się dopuszczali, płazem nie puści.

Za kilka minut po lewej stronie zaskrzypiało, zatrzeszczało i gruchnęła w poprzek rzeczki olcha. Echo jeszcze nie przebrzmiało — sypnął powaloną kładką klucz chłopców. Skoczyli im na spotkanie Władek, Sawka i Ludwik i po zażartej walce na draży, wyparli ich z powrotem za rzeczkę.

Echa siekier wciąż grzmiały po lesie. Niebawem o kilkadziesiąt kroków dalej, gruchnęła w poprzek rzeczki druga olcha. Puścił się ku niej Władek, lecz po drodze wpadł w bagienną jamę, przykrytą z wierzchu zdradzieckim kożuchem darni i nim z niej się wydobył, już przeprowił się powaloną kładką sześciu chłopców. Opadli go zaraz ze wszech stron drażami śmiało. Nie do tamowania przeprawy już mu było; — musiał bronić się. Zatoczył swym drażem młyńca i oganiając się jak przed zgrają psów, jał się powoli cofać od rzeczki ku twardszemu gruntowi. A nicianie tymczasem przebiegali kładką nieprzerwanym kluczem, otaczali go coraz gęstszym pierścieniem, napastowali coraz śmieiej. Nie mogąc przystąpić, wobec ciągłego wywijania wkoło siebie młyńców, ciskali weń drażami, podkradali się z tyłu i bodli go rzutem. Jeden wyrwał z odonku kawałek spróchniałego polana, cisnął mu pod nogi i o mało nie zwałił.

Ale przybyli mu na pomoc Bronik, który po odprowadzeniu ojca już był wrócił i Sawka z Ludwikiem. Rozcięli otaczający Władka pierścien i złączyli się z nim i wzięli się czwórka drużnie do opryszków. Zagruchotały draży, jakby młócka w pięć, sześć cepów. Sawka swym dłuższym od gołobli drażiem smalił, jak mu przykazali po nogach i każdym uderzeniem zwałił z nóg, jakby badyle kosił. Ludwik wybijał znany mu sposobem przeciwników z rąk draży i bódł ich pomiędzy nogi w kliny, aby jak mówił, czynić ich niezdolnymi do dziewczek i kalectwem wstydliwego miejsca nie śmieli się skarżyć. Władek z Bronikiem nacierali razem: wrzynali się młyńcami w tłum, skakali susem w przód, w bok, w tył, bodli, łupili po grzbietach, bokach, ramionach, nogach. W którąkolwiek stronę się obrócili rozsypywali się kutasy, niby ten piach przed obsypaczem kartofli. Używali wszystkich znanych im sposobów, sztuczek, wyteżali wszystkie siły, aby zadziwić wroga swą wprawą do bitki i odwagą, załamać czołowych i odstraszyć resztę od przeprawy za rzeczkę.

Jakoż nicianie oczywiście oszołomieni niespodzianą nigdy fachowością rogowców i furia, z jaką zabrali się z nim do bitki, zaczęli na początku cofać się ku rzecce; ale zauważywszy, że rogowcy śmiertelnych ciosów rozmyślnie unikają, że każdy prawie z powalonych kamratów podnosi się o własnych siłach i że niektórzy z nich nawet znowu stają do walki, ośmielili się, przeszli do natarcia. Przewaliło ich już przez rzeczkę więcej pół sta. Starsi zagrzewali młodszych: — Wstyd nam będzie, chłopcy, jeżeli takim hurtem nie damy czterem lachom rady! — wołali. Bierzmy się śmiało! — Bijmy czym popadło! Nie będziemy odpowiadać! Oni miatieźniki!... My ludzie ruskie!... Bierzmy się rebiała!

Znowu otoczyli rogowców pierścieniem. Mocniejsi próbowali na drągi, reszta ciskała kawałkami drzewa. W parę minut rozchwycili, rozłamali na drobne kawałki cały odonek. Rzucali się na rogowców i ryczeli jak wściekli. Zadawali im ciosy raz po razie. Matałach zaszedł Władkowi z tyłu i cisnął weń siekierą, raniąc go mocno w biodro. Władek aż podskoczył z bólu, ale nie padł; pochwycił siekiere, odskoczył ku bratu i pod jego osłoną wsuwał ją sobie za pas, potem jedną ręką przycisnął ranę, a drugą wywijał drągiem nadal. Mocny był i zwinny jak żaden z Bałaszewiczów. Zaraz drugi herszt cisnął siekierą w Bronika. — Chybiła, — uderzyła obuszkiem w pierś i odwalila się na ziemię. Bronik pochylił się by ją, jak brat pochwycić w swe ręce — i w tym czasie dostał w głowę z wierzchu cios drągiem. — Zarył nosem w ziemię. Rozjuszeni nicianie opadli go wkoło jak kruki ścierwo i dawaj młócić powalonego bez litości.

Władek pochwycił drąg w obie ręce i skoczył bratu na ratunek. Przyskoczyli też i Sawka z Ludwikiem. Sawka na widok siekier i krwi rozjuszył się jak zwierz dziki.

— Pabju, jej Bogu pabju! — ryczał. — Jak wy toporami ja bju na śmierć!...

Zawinał parokrotnie swym polanem i rozegnał całe tałatajstwo. Władek podniósł przybitego brata, ujął go jedną ręką przez plecy pod pachę, drugą przycisnął swą ranę i oganiając się przed rozwścieczonym tłumem, ruszył w stronę grobli ku reszcie rogowców.

Tamci już podążali ku nim, gdyż dalsza obrona mostu nie miała celu. Dobiegli, rozcięli gwałtownym natarciem pierścień napastników i połączywszy się ze swoimi, zaczęli poprzez plac koniczyny, położony między łąką, odgrodeniem drogi i ogrodem warzywnym, cofać się ku zagrodzie.

Niepodobieństwem było mierzyć się z takim tłumem, więc tylko bronili się ciągłym wywijaniem młynców. Trzymali się zwartym kołem, aby nie dać się zaatakować z tyłu. Tylko Sawko, którego jęk rannych gospodarzy do szatu porywał, rzucał się od czasu do czasu wściekle w tłum i prażąc swym polanem złoczyńców, mścił za zbrodnię.

Nicianie nacierali ze wszystkich stron coraz natarczywiej. Nie mogąc do rogowców wywijających bez ustanku drągami się przybliżyć, rzucali w nich z dala pałkami nie czyniąc początkowo poważnej szkody. Ale niebawem nadbiegli koniuchy, dostarczając towarzyszom kamieni. — Te okazały się pociskami groźniejszymi. Zaraz to ten, to ów z rogowców chwycił się z sykiem za ręce, za nogi, za bok, zaprzestając obrony. Niektóre ciosy były tak fatalne, że ugodzeni padali na ziemię; do tych natychmiast podbiegała zgraja z drągami. W tych chwilach zdawało się, że już rogowcy zgubieni, — już werwie się w środek tłum napastników i zaatakowawszy rogowców z tyłu, rozbije ich, zmiażdży, zmasakruje kołami; lecz zawsze w pore przypadał do nieszcześliwego ktoś z jego towarzyszków, osłaniał go sobą, dając mu możność powstania, wycofania się w tył i po przetrzymaniu pierwszej nawałnicy bólu, ponownego wzięcia udziału w walce. Jan zagrzewał towarzyszy bez ustanku:

— Trzymajmy się, bratki, trzymajmy! Żeby tylko do ogrodu, do

plotu się dobrać, a tam już gady nas nie ugryzą. Trzymajmy się, bratki, -- już niedaleko!...

W ogrodzie warzywnym położonym między placem koniczyny a dziedzińcem czekała reszta rodziny uzbrojona w oście i broń palną.

Coraz częściej rogowcy padali, coraz więcej broczyli krwią, coraz woźniej posuwali się — ale dotarli do upragnionego ogrodu nierozbici.

### III.

#### ŚMIERĆ Z KOSĄ

Stach wracał do domu zły na ojca jak nigdy. A i czemuż nie być złym? Tyle razy obiecał na tę bitkę przyjąć, a teraz przegania, smar-kaczem nazywa i jeszcze rzemieniem straszy. — Tego mu nie zapomnę nigdy -- powtarzał w duchu. Niechaj tylko urosnę... porachujemy się. Toż i sztych własny kuty mam. Ażeby tak wleźć na wierzch? — spojrzął na dąb, który stał na placu koniczyny. Na gwałt chciało mu się widzieć bitkę.

Przesunął się przez szczelinę plotu, przeszedł pomiędzy łąką i zago-nami koniczyny, aż do brzoźdy, która szła obok dębu i zawrócił nią ku niemu. Znalazłszy się przy nim, obejrzał się w stronę mostku. Nie poznał, by patrzyli w jego stronę. Przywiązał swą broń sznurkiem do pasa i ruszył żywo w górę.

Łaził sprawnie, jak kot. Niejedną parę bielizny łażeniem po drzewach przeszarował, nie raz od matki w skórę za taką robotę dostał, więc wyuczył się.

Wspiał się na sam rosochaty wierzchołek. Całe Rogi od lasu, do lasu widzi, jak na dłoni. Patrzy ku mostkowi. Jedni siedzą pod brzoza, a Władek i świński pastuch stoją i przyglądają się pilnie w las. Słucha. W lesie trąba gra i hałas, jak od oblawy idzie. Poznać było, że szli już.

Patrzy, słucha i czeka niecierpliwie. Hałas stopniowo się zbliża i w końcu wysypują się z drągami na groble. Bez liku i wszystko duże, jak ojciec i stryjowie.

Mężczyźni rogowcy powstali i czekają jakby nic. Stach też nie boi się, ani na małeńki pazurek. Wierzy niezłomnie, że zmogą muzyków. Nic by nie świecie nie chciał, aby z nimi tam teraz być. Wracałby potem razem do domu ze swym sztychem na ramieniu, a Felek z Antosiem, młodszy jego bracia i baby patrzyliby się nań tylko. Ot nasi mężczyźni wojaki chwaliłyby. W dziesięciu całą wieś zwojowali! Słowo "mężczyźni" i do niego by się też odnosiło.

Stoją naprzeciwko siebie przez rzekę i swarzą się długo. Potem dziaduńko pada... Podkładami puszczają się muzyki i lecą w rzekę. Stacha wesołość porywa i żal też za dziaduńkę. Podnoszą go i Bronik prowadzi do domu. Chce złazić, biec ku niemu i pożałować biednego, ale chęć widzenia bitki przemaga w nim.

Pozostaje i śledzi z zapartym oddechem. Pchają się podkładami. Daremnie. Sypią pałkami. Też bez skutku. Wałą drzewa i przeprawiają

się kładkami, a dwaj stryjowie i parobki wyganiają ich. Czwórka sama niezliczony hurt gonia. Lubo patrzeć.

Ale oto przy rzeczce muzyki upierają się i usiłują przemoc. Niby przemagają... Czyżby? Tak, zaczynają być górą. Okrażają rogowców i zacieśniają się wkoło nich coraz więcej. Władek jedną ręką trzyma się biodra... Bronik pada... Wszystko się zlewa, wrze, kotłuje... Stachowi z trwogi i żalu za stryjami aż serduszek boli.

I znów tłum się rozstępuje, jakby woda w rzeczce po wrzuceniu kamienia. Władek prowadzi pod pachę brata, a Sawka z Ludwikiem piorą. Spieszą ku nim ojciec, Marcin i pastuchy. Teraz dopiero im dadzą, odradza się w Stachu wiara w zwycięstwo. Niestety, łączą się i odступują szybko ku zagrodzie.

Stachowi włosy dęba stają i serce zamiera. Rozumie, że powinien uciekać rychło do domu i odwagi na to nie ma, obawia się, że już nie zdąży. Obraca się i spoziera ku zagrodzie.

W ogrodzie warzywnym, czekają przy płocie z ościami w rękach: matka, trzy ciotki i dziadunio. Dziadunio ma bandaż na głowie. Przy nich ujadają wszystkie cztery ogromne, groźne psy. Aż ziemię drą ze złości na widok zbliżającego się hałaśliwego tłumu. Teraz już Stach wszystko by na świecie oddał, aby znaleźć się tam wśród bab.

Pole zmagania się rogowskich mężczyzn z napastnikami wciąż przesuwa się w powziętym kierunku. Już mijają dęba. Stach spostrzega to i woła rozpaczliwie o ratunek:

— Tatko, ratujcie! Ratujcie mię, tatko, rodzony, złoty!... A coż mię samego zostawiacie!... Ja tu na dębie... Ratujcie mię!...

Nie słyszą go; hałas rozkrzyczanej tłuszczy zagłusza. Nawet muzyki, biegające luzem po koniczynie w pobliżu dębu, nie słyszą go.

Z pomiędzy rogowców już i Marcin kuleje i pastuch świński trzyma się rękami za okrwawiony nos. Oganiają się tylko we czterech.

Ale już dochodzą. Koło napastujących przed strzelającymi z płotu żądłami ości, rozstępuje się i czyni półkiszyc. Niewiasty rozsuwają żerdzie i czynią otwór w płocie. Wprzód wchodzi ranni, potem wskakuje obsypywana gradem pałek i kamieni reszta. Rozwścieczony tłum grozi, ryczy, wyje.

Stacha jeszcze większa rozpacz i żal ogarnia. Oto oni wszyscy doszli bezpieczni za płotem przy dziedzińcu i chacie, a on mały samiuszeńki w polu, na pastwie tyłu muzyków.

Płacze i woła ciągle o ratunek.

Nicianie stoją, radzą i poczynają przenosić z nad drogi ku warzywnemu ogrodowi stopy kamieni. Widać postanowili zdobyć zagrodę.

Nad rzeczką dziewczęta i wyrostki wyrrywają z grobli ptaszki i ścielają most, aby przeprowadzić bydło i konie.

Stach aż ochrypnął już od krzyku i nikt nie dosłyszał.

Jednak w końcu usłyszeli go.

Obok dęba przebiega dwóch dużych, po lat piętnaście, koniuchów. Jeden z nich nadstawia ucha, patrzy w górę, potem zatrzymuje za rękaw towarzysza i mówi doń:

— Archip! Paziraj, na dubie chtoś siadzić. Wuń na samym wiar-szczuku. Laszek pewnie.

Stach zamilkł i znieruchomiał.

— Nu da, chtoś siadzić — przytwierdził towarzysz, spojrzawszy na dąb.

— Hej, chłopcy, bywajcie! Szerszeń na dubie! — zwoływali.

Wnet zbiegło się kilku innych, mniej więcej w tym samym wieku, chłopców; zadzierali głowy, przykładali dłonie do furazek, patrzyli i stwierdzali z radością, iż rzeczywiście na dębnie mały "szerszenik" siedzi.

— Hej, tam, szerszeń! — wołali — Złaz, pohulamy z tobój. Złaz taka twoja mać!... Złaz lacka morda!

Stach ani się poruszył.

— Złaz, bo i tak ciebie dostaniemy! Złaz lepiej po dobroci!...

Widząc, że nie zwraca uwagi na ich wezwania, wybrali spośród siebie dwóch najlepszych drzewożazów i ci puścili się na drzewo.

— A ja was sztychem! — ożył Stach, ukazując swój kij kuty połyskliwą blaszką. — W głowę, będę walił, kto do mnie podlezie!

— Sztych?!... Nu da, chłopcy, on coś takiego jakby sztych miał, — spostrzegli przypatrujący się z dołu koniuchy. — Sztych ma! Chłopcy, nie leżcie, on sztych ma. Kamieniami go zbijemy. Kamieniami!... Złazcie!

Wzięli się zbijać kamieniami. — Coś z kwadrans czasu ciskali węł z ręki i procy — a on jak siedział, tak siedzi sobie; drzewo tak było wysokie, że większość pocisków ani dolatywała nawet do wierzchołka.

Wiecie, chłopcy? Dawajcie zwalim duba — doradził któryś.

— Dawajcie, zwalim. Jej Bohu, dobrze wymyślił — przytwierdziła reszta. — Siekierami!

Przynieśli siekiery i poczęli ciąć dęba: — Czach czach! Czach czach! Czach czach!

Śmierć niechybna — zrozumiał Stach. — Dawaj znowu wołać o ratunek. — Tatko drogi!... Dziaduńko!... Stryjowie! Ratujcie mię! A czemuż mię zostawili na śmierć?! Ratujcie!

Przy ogrodzie wciąż gotowano się gorączkowo do ostatecznej rozprawy: nicianie gromadzili coraz większe stosy kamieni, rogowcy toczyli z dziedzińca i ustawiali w ogrodzie wzdłuż płotu próżne ule. Ile osób do obrony miało stawać, tyle ustawiali ulów.

Dziewczęta i wyrostki tymczasem, wprowadzali po ustany przez się moście konie, łamali płoty, rozjeżdżali się po koniczynie, owsie i innym zbożu. Sądny dzień przyszedł na Rogi.

A siekiery cięży zawzięcie: Czach, czach! Czach, czach! Czach, czach!

— Matuleńko Najświętsza! — woła Stach, wznosząc oczy ku niebu. — Jezusie słodki! Ratujcie od tych gadów! Ratujcie mię!

Powiódł oczami wkoło po Rogach i sam sobie nie wierzy. — Na wschodniej stronie wytacza się z lasu w drożynę kałamaszka. Jedna, druga, trzecia, czwarta...

Nicianie rozpoczęli gwałtowny atak. Stanęli rzędem, każdy przy swej kupie kamieni, zakrzyczeli hura i dawaj sypać. Kamienie furczały, wyły i gruchotały po ulach i warzywie. Rogowcy kryli się z ościami w rękach za ule. Niektórzy chwyтали spadłe kamienie i tak, jak przy moście, walili z powrotem. Psy jęczały, wyły, ze skóry wprost w wściekłym ujadaniu

się wyrwały. Gdyby któryś z napastników ważył się za płot, rozszarpałyby go.

A siekiery cięły bez ustanku: Czach, czach! Czach, czach! Czach, czach!...

Stach trzymał wzrok utkwiony w rząd kałamaszek, liczył je, wołał oczyma, błagał i poganiał. Dygotały w nim wszystkie członki, wszystkie drżały żyłki z niecierpliwości. Wiedział, że ktokolwiek w nich jedzie, ratunek dlań wiezie.

— Żeby chociaż zdążył!... — szeptał. — Matuleńko! podgoń ich, a tym gadom zatrzymaj siekiery!

Niestety, za późno już. Dąb trzeszczał, chylił się, walił na ziemię. Stachowi mignęła przed oczami śmierć akurat taka, jaką na obrazie widział: z kosą. Zamknął oczy, zatkał uszy, przestał oddychać i leci. Gorąco mu... Piecze go po całym ciele... Najwięcej ciepła czuje w portkach. Rozumie od czego, jednak nie przejmuje się. Wszystko jedno, umiera.

Ale mu wydaje się, że ten lot w zaświaty trwa za długo. Zdobył się na odwagę i odemknął oczy i odetkał uszy. — Dąb stał na miejscu. Siekiery już nie cięły. Kałamaszki już były na zakręcie drogi do zagrody, najdalej o dwa stajania. Każda wiozła po dwóch i trzech mężczyzn. Niektórym błyszcząły na piersiach blachy leśnikowskie i sterczały zza pleców lufy strzelb. Za nimi mknęło kilkunastu mężczyzn konno. Po polu niosło się przeraźliwe wołanie napastników:

— Leśniki jada! Leśniki jada! Mieczyk jedzie! Smolarzanie! Mieczyk wowczabiletnik jedzie! Uciekajmy, bratcy! Uciekajcie komu życie miłe...

Kamienie w ogrodzie rzedną, ustają. Wszyscy rzucają się w panicznym popłochu do ucieczki. Po całym polu popłoch. Niektórzy z koniuchów usiłują uprowadzać swe konie, większość jednak zapomina o całym świecie.

Konni mijają kałamaszki, mkną drożyną ku rzece, okrążają złoczyńców z prawa i zamykają im ucieczkę przez most. Bałaszewicze ze zgrają psów zapuszczają skrzydło z lewej strony. Leśniki przesadzają płot na plac koniczyny i rozsypują się tyralierką z tyłu. Okrążyli dokoła i gonia, a kogo z mężczyzn dopadną, łupią kijami, smagają po łydkach puha, skubią psami i tratują końmi. Chcieli ująć kogoś z zawadiaków, ale ci jak pierwsi przybyli, tak też pierwsi potrafili uciec.

Stach zlął z dębu i też puścił się za innymi w pogoń. Wnet napotkał dziadka, który razem z olbrzymim brodaczem zwanym Mieczykiem szedł powoli z tyłu za leśnikami. Chłopiec rzucił się doń z płaczem:

— Dziaduńko! Ja śmierć z kosą widział...

— Kogo widział?! — zawołali obaj zatrzymując się.

— Śmierć! Ja na wierzchu dębu był, a muzyckie chłopcy rąbali go. Patrzcie!

Mężczyźni stanęli jak wryci spoglądając to na dąb, to na chłopca.

— To ty na dębie był?! — wykrzyczał Bałaszewicz. — Matko Chrystusowa! Toż on ledwo stoi! Aj-ja-ja!... Patrzaj, panie Piotrowski!

— To wielkie dziwo, że on jeszcze stoi — dodał Piotrowski, przyrzawszy się głębi podrażnienia pnia. — Aj-ja-ja! Toż z takiej wysokości na miazgę by się smarkacz rozłukił.

— Na miazgę, nie ma co. Aż mnie dreszcz po ciele idzie. Biedny chłopcze — przytulił wnuka do boku. — Tyle strachu miałeś! No ale szczęście masz.

Wielkie szczęście! Po mojemu to jest znak Boży. Znak, że smarkacz wyjdzie na ważnego człowieka. Ot zobaczycie.

— Być może — zgodził się starzec po chwili namysłu. — Może da Bóg uda się nasz zamiar. Myślmy go uczyć na księdza. Gdyby nie to dzisiejsze nieszczęście, to już byśmy tej jesieni oddali go do Wończy.

#### IV.

### DO SZKOŁY

Wończa. Stara ludzka siedziba. Nad samą rzeczką. Teren wysoki, pola spadziste, urodzajne, prawie jak słuckie. Za rzeczką lasy nieskończone. Dawniej wieś i dwór. Własność jednego z najmożniejszych magnatów w Rzeczpospolitej. Wończa to była tylko drobnym ułamkiem spośród niezliczonych wsi zawrotnej fortuny magnata. Ale wyróżniała się od reszty tym, że ją prawie co zimy sam dziedzic odwiedzał. Na polowanie do niej z wojskiem przyjeżdżał. Większych lasów na całych Kresach nie było. I nie dziwo. Teraz gdy już owe lasy za rzeczką mocno poszczerbione, prawie co zimy zabijają niedźwiedzia (Puszcza Smolarska), każdy może widzieć łosia i rysia — a cóż dopiero w dawnych czasach, kiedy w promieniu 40 wiorst ani polanki nie było. Ej, jest czego posłuchać — gadek starych wończańskich ludzi, o podaniach z tych hucznych w Wończy zjazdów i łowów, ale teraz nie czas na to, gdyż mamy mówić o czasach współczesnych.

Teraz Wończa to miasteczko. Zwykle kresowe: budynki drewniane, ulice bez bruku i bez trotuarów; moc Żydów, sklepy, rzemieślnicy, młyn, cerkiew, monopolka, poczta, synagoga i szkoła. Powszechna szkoła 4-oddziałowa i jedyna na przestrzeni 350 wiorst kwadratowych. Budynek szkoły szczupły, staroświecki, prawie nie różniący się od porządnej gospodarskiej chaty: po jednej stronie klasa wykładowa, o niskiej powale, po drugiej, pomieszczenie nauczyciela z dużym gospodarskim piecem w środku, sień i spiżarka. W szkole sto kilkadziesiąt dzieci, a jeden wychowawca. Narodowościowo dzieci dzieliły się w sposób następujący: Żydów 16%, Polaków 12%, Tatarów 4%, a reszta wszystko Białorusini albo starowiercy. Żydzi mieli w miasteczku swoją szkołę żydowską, ale niektórzy chłopcy uczęszczali, aby oglądzić język, też i do ruskiej. W rejonie Wończy Polaków mieszkało sporo, a znikomy procent w szkole uczni polskich tłumaczył się tym, że rozproszeni byli małymi zaściankami i chutorami po całej rozległej okolicy, często w głuchych, niedostępnych zakątkach, więc do szkoły oddawali dzieci tylko ci, którzy nie żalowali i których stać było na opłacenie im w miasteczku kwatery i na osobne stołowanie, a nie ci, którzy do gminy nie należeli i nie mieli na zapłacenie pięciu rubli za naukę. Były jeszcze i inne powody, które odstraszały innowierców od ruskiej państwowej szkoły.

Jesienią roku 1911, kiedy wychowawcą w wończańskiej szkole był Michaił Iwanowicz Grywień, Bałaszewicze oddali do niej Stacha. Zrazu, po owej zbójcekiej napaści na Rogi, nie myśleli byli tego czynić, gdyż zamierzali po zebraniu z pola wynosić się z Rogów, ale gdy poturbowani w walce tak z jednej, jak i z drugiej strony prawie wszyscy zaczęli przychodzić do zdrowia, a nicianie otrzymawwszy porządne cięgi z napaściami przycichli, tedy zdecydowali się jeszcze na rok pozostać, a Stacha, by nie tracił czasu szkolnego, postanowili oddać do Wończy. Dziewięć wiorst do niej było. Matka sprzeciwiała się temu stanowczo, twierdząc, że prości ludzie z nauki chleba jeść nie będą, a Stach, dowiedziawszy się, że w szkole same muzyki, próbował nawet płakać, jednak na nic się to wszystko zdało i kandydat ubrany pięknie w nowy kramny garniturek, buty, paltko, i nową czapkę, poniedziałkowego przedpołudnia w ostatnich dniach września, wjechał z ojcem kałamaszką, zaprzężoną w stajennego Siwka, do Wończy. Zajechali do kołodzieja, pana Sadowskiego, który mieszkał w wąskiej uliczce nad rzeczką. Był to kum Bałaszewicza.

Sadowscy, będąc małżeństwem bezdzietnym, chłopcem szczerze się ucieszyli.

— No, taki się ośmielili? — mówił Sadowski — Gdyby nie przywieźli, głupstwo by wielkie zrobili; wszyscy mówią, że tak dobrego nauczyciela, jaki teraz we Wończy, w całym okręgu nie ma. Nie bójcie się, zle u nas chłopcu nie będzie. Zobaczycie, że do Święta ot, taki mordaty się zrobi — rozciągnął policzki. — No i cóż tam u was? Władek chodzi już, nie kuleje?

— A, chodzi już. Bronik też chwalić Boga przestał krwią spluwać.

Z zapisem musieli czekać aż do wieczora, gdyż w szkole już od paru tygodni odbywała się nauka, a Sadowskiemu wiadome było, że pan nauczyciel w czasie lekcji nowych zapisów nie skuteczniał.

Po piątej poszli wraz z Sadowskim we trójkę.

Michaił Iwanowicz Grywień przyjął ich w swym pokoju, przeglądając za biurkiem kajety. Był to szatyn średniego wzrostu lat 25. Odziany był w szewrowe z połyskującymi cholewami buty, granatowe spodnie, ciemną bluzę i niebieski, ruski pas z kutasami. Włosy miał strzyżone krótko na jeża, twarz starannie goloną, ręce pulchne.

— Zdrawstwujcie, hospodin uczytiel! — pozdrowili, jak pouczył Sadowski, człowiek miasteczkowy i znawca tytułów ruskich i obyczajów.

— Zdrawstwujcie — odrzekł nauczyciel, podpisując przejrząy kajet i potem przeniósł wzrok na przybyszów. — Co, uczeń? Czemu tak późno? Już od dwóch tygodni ucze.

— Nie chcieliśmy chłopca gołego między ludzi puszczać, a nim mu jedno to drugie sprawiliśmy, czas zeszedł. Zresztą nie wiedzieliśmy, że nauka tak wcześnie ma się rozpoczynać — wytłumaczył się Bałaszewicz, siłąc się na jak najlepsze wyrażanie po rusku.

— A wy co, nie miasteczkowi! — przyjrzał się odzieży.

— Nie, z chutoru, daleko stąd.

— Aha. No, a ileż on lat ma? — utkwiał badawczy wzrok w Stachu.

— Wnet będzie miał dziesięć.

Stach nie wytrzymał i cofnął się za ojca.

— Nu wot, taki duży chłopiec i chowa się za ojca. Chodź tu!

Bałaszewicz podprowadził syna za rękę ku stołowi.

— Czegoż się bać? — jął pouczać nauczyciel Stacha, głaszcząc go po głowie. — Trzeba być śmiałym. U mnie w szkole są jeszcze od ciebie mniejsi chłopcy i nie boją się. No i cóż, może ty już umiesz czytać?

Stach kiwnął głową twierdząco.

— Czyta już i nawet bojko — oznajmił ojciec.

— Tak?! Weźże i przeczytaj mi oto tu — wskazał czytanki w książce z drugiego oddziału.

Stach wskazany ustęp przeczytał chociaż cicho, bojaźliwie i nie wszędzie prawidłowo akcentując, ale biegle.

— Bardzo dobrze! Małdziec — pochwalił. Pójdiesz od razu w drugi oddział. No, jakże ty się nazywasz? — zapytał sięgając ręką po leżącą na rogu biurka dużą księgę.

— Staś Bałaszewicz.

Na pogodnej i uprzejmej dotąd twarzy nauczyciela, osiadł grymas.

— Staś... Dobrze... Da, da... Staś... — mruzczał do siebie wertując stronicę i pilnie niektórym przyglądając się.

— Wiecie co, panowie, — zaczął wreszcie — już nie mogę waszego chłopca przyjąć. Już zapisało się za dużo. Nie będzie miejsca. Czemu wcześniej nie zgłosiliście się!

Stachowi z radości chciało się cmoknąć nauczyciela w rękę. Sadowski z Bałaszewiczem spojrzeli po sobie chmurnie.

— Więc my gorsi od ruskich?! — rzekł Bałaszewicz, z natury zapalczywy, głosem podniesionym. W wojsku służyliśmy tak samo, podatki płacimy tak samo, a jak do szkoły to miejsca nie ma. Taką sprawiedliwość?

— Nie mogę przyjąć dlatego, że już późno i nie mam miejsca. Ja w narodowościach różnicy nie czynię. Są w szkole Polacy i Żydzi. Ale zapisało się już więcej, jak sto uczniów, więc mam już prawo i nie powinienem przyjmować.

Sadowski zrazu chciał był zwrócić uwagę, że nieprzychylna decyzja nastąpiła dopiero, gdy dowiedział się o nazwisku chłopca, ale pomyślawszy, mrugnął na kuma znacząco i zaczął łagodnie.

— Da my, hospodin uczytiel, znamy, że wy człowiek prawilny, ale my pokorniejsze was prosim. Bądźcie dobrzy, przyjmijcie i tego bękarta. Jak jest sto, to i ten między nimi się zmieści.

— Tak, my pokorniejsze was prosim — zmienił też ton i Bałaszewicz. — Bądźcie dobrzy, przyjmijcie mego chłopca, a ręczę, że tego nie pożałujecie.

— Tak, nie pożałujecie — przyświadczył Sadowski. — Oni chutorzanie bogaci. Przywiozą wóz młodej koniczyny dla waszego konia, parę worków owsa, worek hreczanej mąki pierwszy sort wam na bliny, przywiozą parę szynek wędzonych, z jakiś pudek masła, co przy posiadaniu dwudziestu dojnych krówek nie robi im w gospodarstwie wielkiego uszczerbku, z pudek miodu, bo w pasiece samych starych rojów ze 25 mają, od czasu do czasu mogą i rybki świeżej dostarczyć, mogą też i wilczurę jedną sprezentować na posłanie pod nogi przy łóżku, aby

wstawszy, nie stąpać na gołą podłogę — sypał cudzymi darami hojnie, aż wreszcie, kum zaprotestował krzywym spojrzeniem.

Twarz Michała Iwanowicza rozpodziła się.

— No, jeżeli już tak nalegacie, to przyjmę — powiedział. — Pamiętajcie jednak, by na przyszły rok zgłaszali się do zapisu trochę wcześniej.

Podali potrzebne do zapisu dane o chłopcu, wręczyli dziesięć rubli zadatku i odeszli.

## V.

### GORLIWY WYCHOWAWCA

Nazajutrz rankiem Stach wyruszył do szkoły sam. Szedł smętny, przygnębiony, bojaźliwy. Pierwszy raz w życiu znalazł się poza rodzinnym środowiskiem sam. Serduszko ścisnęła tęsknota za domem i trwoga przed muzykami.

Wprawdzie Sadowscy zapewnili, że nauczyciel nie pozwoli go krzywdzić, lecz to jakoś nie przekonało go.

Znalazszy się w sieniach, jeszcze bardziej ogarnęła nim trwoga. Spoza drzwi klasy wydobywały się pisk, stuk, śmiech, krzyk przeraźliwy. Wyczuł w tym nutę podcbną do hałasu pamiętnego napadu Nitów na Rogi. Zdawało mu się, że gdy wejdzie, wszystko rzuci się na niego i zacznie łupić. Stał pode drzwiami aż weszło z podwórka dwóch innych uczniów i wtedy dopiero za nimi wszedł.

W klasie aż dymiło się nad mrowiem rozswawolonej dziatwy: brzała się, wywijiała koziołki, uganiała wzajemnie po wierzchu ławek, hałasowała.

Stach stanął pod ścianą podłe drzwi skulony i patrzył bojaźliwie. Zrazu nikt na niego jakoś nie zwracał uwagi, ale potem spostrzegli świeżego przybysza i obstąpili go.

— Hej, a tyś co za jeden: Żyd czy Polak? — zapytał chłopak lat 14, o kierpatym nosie i zawadiackiej minie.

— Da to Żyd — zauważył drugi. — Nie widzisz, że blada morda.

— Morda to blada, ale widzisz, że buty ma szlacheckie — spostrzegła trzeci.

— Mów coś za jeden? — domagał się kierpaty.

Stach przytulił się jeszcze bardziej ku ścianie i wodził wylęknionym wzrokiem po natrętach, nie odpowiadając.

— Jestem zastępca nauczycielski, musisz mi odpowiadać — powiedział natręt.

— Tak, tak, on zastępca nauczycielski — przyświadczyli obecni.

— Chodź od ściany — pociągnął za rękę na izbę. — Jak na imię?

— Staś — wykrztusił.

Posypały się śmiechy i odpowiednie do imienia przezwiska:

— Staś! Plaś! Chłaś! Maź! Kautac!...

— Cicho mi być! — ofuknął "zastępca". — Co tu masz? — wskazał na drugi z góry guzik pałta.

Stach spojrział w dół, a kierpaty go w tym momencie ścisnął za nos, aż mu skry z oczu się posypały. Nie zdążył wykrzyknąć, gdy ktoś go z tyłu pchnął i jego czołem uderzył w nos kierpatego.

— Ach, ty lacka morda! Toś przyszedł w ruską szkołę i jeszcze będziesz się rozbijał!! — wrzasnął kierpaty i cisnął Stacha na przeciwną stronę, uderzając nim innego. Tamten znowu cisnął od siebie gdzieś indziej i tak przierzucali chłopca wśród śmiechu i złorzeczeń, aż ten rozplakał się na głos.

Za chwilę wszedł nauczyciel, niosąc pod pachą stos kajetów i kilka książek. Wszystko na jego widok zamilkło naraz, stanęło na baczność i znieruchomiało.

— Dobre utro, dzieti, — pozdrowił.

— Dobre utro, hopodin uczytiel — zahuczało.

— Jewrei mogą wyjść. Do modlitwy! — zakomenderował, składając przyniesione kajety na stół.

Kilkunastu żydowskich chłopaków wyszło do sieni, a pozostali wraz z nauczycielem obrócili się w ką, w stronę świętego obrazu i poczęli odmawiać modlitwy. Jeden przed samym obrazem na głos, reszta po cichu.

Stach z chwilą wejścia nauczyciela cofnął się na poprzednie miejsce ku ścianie i rozglądał się ciekawie po klasie.

Po lewej stronie długiej izby stało cztery rzędy pięcio-osobowych ławek. Po prawej w kącie, od strony drzwi stała hruba, dalej tablica, za nią duży stół i krzesło, potem druga tablica i na końcu szafa. Na gzymsie pierwszej tablicy były poustawiane duże, kartonowe litery, drugą tablicę pokrywały półkule ziemskie. Ściany były tynkowane, bielone, obwieszone wkoło carami w pięknych ramach. Nad obrazem świętym, w kącie wisiało wąskie jak ręcznik, ozdobione kolorowym wyszywaniem płótno.

Po modlitwie weszły Żydki, wszystko się rozsiało w ławkach na swych miejscach i poczęło się sprawdzanie obecnych. Każdy z wyczytanych przez nauczyciela wstawał i zgłaszał swą obecność słowem: jest. Na samym końcu nauczyciel wyczytał Stacha.

— Stanisław Bałaszewicz.

— Ja — odezwał się prawie szeptem.

— Stanisław Bałaszewicz! — powtórzył.

— Ja tutaj jestem — wyrwało mu się po polsku.

Klasa zagrzmiała huraganowym śmiechem. Nauczyciel również. — Ja tutaj, panie jestem — przedrzeźnił. — Czyż ty nie słyszał jak odpowiadają inni?

Stacha jakby warem zlewano, tak weń gwałtownie i boleśnie fale wstydu uderzały. Pod ziemię by się schował, by nie słyszeć tego śmiechu, na cały wiek wszystkich uciech świata by się wyrzekł aby mógł cofnąć ośmieszające go słowa i zdjęć straszliwą "hańbę".

— No chodźże tu, słyszysz? — krzyknął.

Podszedł, prowadzony przez setkę uragilnych oczu, przez niemilkący śmiech i różne, pod jego adresem przytyki ku stołowi, otrzymał z rąk nauczyciela książki, zajął wyznaczone przez niego w drugiej ławce trzeciego rzędu miejsce i wbił oczy w posadzkę.

Wesołość w klasie z jego racji trwała dotąd, aż nauczyciel mając rozpoczynać lekcję, wezwał do porządku.

— No, dosyć już tego! Cicho być! Uwaga!

Rozrzucił pomiędzy dwa starsze oddziały kajety i jął wyczytywać z notatki:

— Nikołaj Baran! Łapa ku tablicy. Dawid Draka! Dwie łapy, do tablicy. Michaił Dyra! Łapa, ku tablicy. Bronisław Niedźwiedzki! Łapa, ku tablicy. Ilosza Sołowiejczyk! Dwie łapy, ku tablicy. Sidor Bikłaha! Trzy łapy, ku tablicy.

Postawił wszystkich w rząd, zdjął ze ściany grubą dębową, specjalnie przeznaczoną na łapy linię, potem ujmował każdego za palce, wypinał dłoń i smalił zza ucha. Pięciu odmierzył wyznaczone łapy, a Bikłahę największego wzrostem i największego smac przestępcę, pozostawił na późniejszą rozprawkę.

— Na miejsce osły! — krzyknął do ukaranych i zaraz się obrócił do Bikłahy.

— Powiedz mi, Sidor, jak się pisze bielka?

— Przez jat', hospodin uczytel, — wybeikotał przerażony chłopiec.

— Zgadywasz. A czemuś napisał przez je? — Dobrze, a teraz powiedz mi jak się pisze jelka?

— Przez jat', hospodin uczytel.

— Przez jat'?! Toś ty, taka twoją mać, czwarty rok do szkoły chodzisz i nie wiesz korennych słów?! Wot tobie! — wyciął dłonią w policzek. Potem z lewej strony, a potem znów z prawej. Sypał całą gębą matuszki i walił chłopca w mordę, aż temu jucha przez nos się puściła.

## VI.

### ZATARG Z POPEM

Stach wróciwszy w południe na kwaterę, padł opiekunowi do nóg z rozpaczliwym błaganem:

— Dziadeńko drogi! złoty! rodzony! Odwieź mię do domu. Ja nie pójdę do szkoły. Nie wytrzymam. Mnie tam zabiją.

Sadowski ani się zdziwił skargą, ani dowiadywał co mu tam w szkole się przydarzyło. Nasrożył się, ujął Stacha za ucho, podprowadził ku wiszącej na ścianie pletni skórzanej i rzekł:

— Co to jest?

Stach milczał.

— Co to jest pytam?! — powtórzył kręcąc za ucho.

— Plotka — odrzekł.

— Pamiętaj: jeżeli mi tylko piśniesz o domie raz jeszcze, to ci nią całą skórę splecę i zaprowadzę do nauczyciela, by poprawił. Wszystko ode mnie możesz żądać, wszystko możesz mówić, ale o domie ani mru-mru!

— Dziadeńko złoty, mnie w szkole zabiją.

— Gdy zabiją to pochowamy, nie bój się.

Nie było rady. Pozostał i odtąd ani się skarżył opiekunowi, ani chwalił.

Pierwsze parę tygodni, pobyt w szkole był dlań prawdziwą katuszą. Nie znał wielu wyrażen ruskich i odezwaniam się swym, wywoływał śmiech, nie miał sił i odwagi na przeciwstawienie się napaściom. Był przedmiotem popychań i naśmieszek całej klasy. Nawet niektórzy współrodacy, idąc za opinią ogółu, patrzyli i odzywali się doń z pogardą, jakby rzeczywiście był ostatnim niedołęgą.

Ale potem zmieniło się na lepsze. Poznał umiejętność kolegów z oddziału i nad wieloma stwierdził swą wyższość. To mu dodało otuchy i ośmiało go. — Wszak nie gorszy od innych jestem — pomyślał sobie. Gdy uczeń, który nie potrafił być odpowiedzieć nauczycielowi na proste: *pietu piat'*, przezwiał go szerszeniem, — nazwał go osłem. Drugiego równego siłą smarkacza za podstawienie nogi, ośmielił się smałać w nos. Począł odpłacać pięknym za nadobne. Paru chłopaków o słabszej głowie z sąsiednich ławek, pragnąc, by im w ciężkich chwilach podszeptował, albo nie bronił przepisywać z kajetu, ofiarowało mu swą przyjaźń i w potrzebie oddawało do dyspozycji swe pięści. Na wyładowanie humoru wesołych temperamentów, znalazł, się niebawem pocieszny Żydek i do Stacha zupełnie przestali się czepiać.

Dzieci w klasie z każdym tygodniem przybywało. Michaił Iwanowicz jakoś wciąż znajdował wolne miejsca. Dopiero z nastaniem zimy naprawdę zapełniły się wszystkie ławki. Klasa liczyła wtedy ponad 130 dzieci. W pierwszym oddziale siedziało coś, koło 80, w drugim Stachowym 33, w trzecim 17 i w czwartym tylko 5. Ta dysproporcja w oddziałach wynikała stąd, że większość rodziców, gdy już dziecko zaczynało czytać, więcej go do szkoły nie posyłała, albo posyłała krótko w samym środku zimy, dzięki czemu uczeń wymaganych przedmiotów nie mógł należycie się nauczyć i często przesiadywał po dwie i trzy zimy w jednym i tym samym oddziale.

Polaków, którzy się za takich uważali było wszystkiego 15. Czterech chłopaków siedziało w pierwszym, Niedźwiedzki i dwóch Pawłowiczów braci stryjecznych w trzecim, jedna dziewczyna, Halina Anichowskich w czwartym i dwie dziewczęta i pięciu chłopców w drugim.

Podle Stacha siedział Edward Maczuga. Uważał się za Polaka, jednak oprócz imienia i wyznania, niczym od kolegów ruskich się nie różnił; po polsku nie tylko nie mówił i nie umiał, ale nawet innych, gdy mówili przedrzeźniał. Prawie większość takich była. Z racji sąsiedztwa, między Stachem i Maczugą zawiązała się przyjaźń. Maczuga często zaglądał do Sadowskich na wspólne ze Stachem odrabianie lekcji. Sadowski przysłuchiwał się im uważnie i stwierdził, że Stach rozumie więcej, że — czyni w nauce wielkie postępy. Gdy Bałaszewicz, przywoząc część obiecanych nauczycielowi darów, wstąpił do kuma i zapytał o syna, ten skwapliwie podzielił się swymi spostrzeżeniami. Bałaszewicz pochwalił syna.

Ani sniło się Stachowi w pierwszych dniach, że tak wszystko na jego korzyść się przemieni; uczniowie przestali napastować, zadawane lekcje odrabiał wzorowo i bez wielkich wysiłków, łap i mordobicia unikał, miał przyjaciół, opiekun i rodzice chwalili. Za Rogami tylko mu bardzo było

teskno. Czekał z niecierpliwością świątecznych wakacji licząc tygodnie i dni.

Tymczasem w półtora tygodnia przed Świętami, wpadł w groźny konflikt z wychowawcami.

Pop Maksym Klimowicz, proboszcz wończańskiej parafii, wykładając, w wyznaczonym na religię popołudniu, historię "o kreszczeniu Rusi", zauważył iż Stach rozmawia z Maczugą.

— Ty tam czemu nie słuchasz?! — zwrócił uwagę.

— Ociec zakona uczytel, ja słucham uważnie — rzekł powstawszy.

— Słuchasz?... A no powtórz co mówiłem.

— Kiedy książę kijowski Włodzimierz Wielki poznał płochość ruskiej pogańskiej wiary, wysłał posłów w świat, by szukali lepszej wiary. Posłowie obeszlili świat i wróciwszy w Kijów, pokłonili się księciu i tak powiedzieli: — Obeszli my świat, widzieli my wiele wiar pogańskich, widzieli mahometańską, żydowską, ale jak grecka, nigdzie nie ma. Gdyśmy byli w ich świątyni, tośmy nie wiedzieli czy na niebie, czy na ziemi, jesteśmy...

— Żle — przerwał pop. — Czyją jeszcze wiarę widzieli posłowie? Powtórz!

— Kiedy książę kijowski Włodzimierz Wielki poznał płochość ruskiej pogańskiej wiary — mówił Stach w te same słowa — wysłał posłów w świat by szukali lepszej wiary. Posłowie obeszlili świat i wróciwszy pokłonili się księciu i tak powiedzieli: Obeszli my świat, widzieli my dużo wiar pogańskich, widzieli mahometańską i żydowską, ale jak grecka...

— Wróc! — krzyknął pop. — Żle. I u kogo jeszcze posłowie byli, czyją wiarę widzieli? Nie mówiłem, że byli u katolików!

— Ociec zakona uczytel, posłowie nie mogli być u katolików.

— Nie mogli być?! A to czemuż?

— Gdyby posłowie byli u katolików, wtedy by Ruś katolicką wiarę, a nie grecką przyjęła. Nasza polska, katolicka wiara jest lepszą od wszystkich.

— Widzę, iż więcej ode mnie rozumiesz, i nie ja ciebie, ale ty mnie 'powinieneś uczyć — oburzył się pop. — Siadaj durniu! — wyciął w czoło siarczystego pstrzyka.

Przeszedł się parę razy wzdłuż izby namyślając się, potem obrócił do ogółu i rzekł:

— Prawdaż to, dzieci, że katolicka wiara lepsza?

— Nie, nie, nasza prawosławna wiara lepsza! — odrzekły chórem dzieci.

— Tak, tak, nasza prawosławna wiara lepsza. No, a może wiecie czemu? Kto wie, niech podniesie rękę.

Wielu uczniów zamruczało sobie pod nos, ale ręki żaden nie podnosił.

— Nu wot, mówicie, że lepsza, a czemu — to żaden i nie wie. A może i prawda katolicka lepsza? Trzeba wiedzieć dlaczego. A wot dlatego: — My zegnamy się trzema palcami, w imię Trójcy Świętej a oni całą łapą. Toż wcale nieprawidłno.

— Tak, otec zakona uczytel, to nieprawilno! — przytwierdziło kilkadziesiąt głosów.

— Dalej. My po zakończeniu modlitwy mówimy amień (przycisk na drugie sylabie) oni — aamen.

Klasa wybuchnęła śmiechem powtarzając: aamen, aamen...

— To nie wszystko. My po spowiedzi przyjmujemy kawałek chleba i łyżkę wina, albowiem Chrystus w Ostatnią Wieczerzę, dzieląc się z apostołami chlebem i winem mówił, że to jest ciało Jego i krew; u katolików do komunii wcale wina nie podają, gdyż go ksiądz sam wypija, a wmiast chleba, podają plasterki wielkością guzika od marynarki, zupełnie podobne do żydowskiej macy i które najczęściej katolicy księza wspólnie z rabinami, mieszając ruską krew, razem z macą wypiekają.

— Ach, Hospodi!... Z krwią ruską!... Z macą żydowską! Taka ich wiara! — jęli ruscy uczniowie wykrzykiwać ze zgrozą i oburzeniem.

Polacy wiercili się na swych miejscach, jak na gorącym żelazie, nie wiedząc, w którą stronę się obrócić, gdzie oczy podziać. Stach rozplakał się.

— Otec zakona uczytel — mówił chlipiąc — to co wy mówicie, nieprawda jest! To wymyślono! Jej Bohu, wymyślono! Wszystko wymyślono!...

— Wymyślono?! — krzyknął pop. — Wychodzi tedy, że ja świąszczennik łżę?! Że ja kłamca?!

Ujął Stacha za reke i wyprowadził do sieni.

— Możesz więcej nie przychodzić do szkoły — oznajmił.

## VII.

### Z M A R T W I E N I E

Szedł ulicą więcej przygnębiony niż gdyby matkę rodzoną pogrzebał. Wiedział z góry co go za wydalenie czeka od opiekuna i ojca. Ledwo nogami ruszał, rozmyślając nad swym położeniem.

— Może wcale nie warto wracać na kwaterę? — zastanawiał się. — Ot pójszby tak w świat. Czyżbym już sobie rady nie dał? Mógłbym gdzieś w bezdzietnym domu zimą kartofle obierać, smolaki rąbać, ognia na kominku pilnować, latem trzodę paść i na chleb zarabiać. Wprawdzie pastusza robota niehonorowa, ale co robić?

Ech, gdyby tak poradzić się kogo. No, a gdyby tak do wuja na chutor trafić? Dobry wuj. Dawaj pójdę, cztery wiorsty, przed zmrokiem jeszcze można dojść. Pójdę do wuja.

A jak wuj zabierze mnie i odwiezie do Rogów? — rozdziły się wątpliwości. — Nie ma im co wierzyć; wszyscy oni jednacy.

Sam nie wiedział co począć: jednych się bał i drugim nie dowierzał. Przyszedł aż do zaułka prowadzącego na kwaterę i żadnego postanowienia nie przedsięwziął.

Zawrócił w zaułek, oparł się o ścianę rogowego domu i bił z myślami coraz rozpaczliwiej.

Pięć minut nie upłynęło, gdy z tyłu huknął głos opiekuna:

— Stachu, toś ty? A co tu robisz?

— Głowa mnie boli i brzuch strasznie — mimo przerażenia szybko wpadł na pomysł i zaraz pochwycił się rękoma za bolące miejsca.

— Ot jak! To czemuż, ty chłopcze, nie idziesz do chaty?

— Kiedy osłabł strasznie, nie mogę — zapłakał.

— Biedny! Siadaj, zaniosę cię — przysiadł nadstawiając plecy.

Zajechał na grzbiecie opiekuna aż na piec w miękką pościel.

Sadowscy oboje zaniepokoiłi się mocno chorobą chłopca.

— Jak przez noc nie oczunie — mówiła gospodyni — to jutro będziemy zwać felczera. Gdy broń Boże coś się zdarzy, wtedy na nas bieda. A jakże.

Wieczerzy nie przyjął. Rozmyślając nad swym nieszczęściem w pościeli do późna w nocy, przyszedł do wniosku, iż niepotrzebnie zawczasu bieduje

— I cóż z tego, że pop wygnał — myślał. Pop to jeszcze nie nauczyciel. Żydków przecież już był wyganiał, jednak wrócili i uczą się.

Nazajutrz ku ucieście opiekunów, wstał o zwykłej porze i poszedł do szkoły.

Drzwi w klasie nie zdążył zamknąć — wszyscy nań jak na wilka się zwalili. Wszyscy, nie wyłączając nawet rodaków.

— Po cóż przychodzisz? Raz cię batuszka wygnał? Won pójdziesz, won! Sorok łap dostaniesz i won pójdziesz! Uciekaj lepiej cało zawczasu — straszli rusey koledzy.

— Przez ciebie takiego mądrała, to teraz i nas nauczyciel będzie więcej przyciskać, a chłopcy napastować — mówili rodacy z oddziału.

Mimo tych strachów zajął swe miejsce.

— Czy i ty też na mnie? — zwrócił się do Maczugi.

— A boś winien. Po co ci było przeczyć? Gada niech gada.

— Jeżeli nauczyciel ciebie nie wygoni, to my zebrawszy się wszystkie w szkole Polaki, sami go o to poprosimy — przyszli mu oświadczyć Pawłowicze.

— Tylko beze mnie, podlizniki muzyckie — zaprotestowała Halina.

Stach uczył do niej wdzięczność bezgraniczną. Jedyłą była co rzuciła na jego obronę słówko.

Każdego dręczyła ciekawość co uczyni ze Stachem nauczyciel, więc czekano go z niecierpliwością.

Jakoż wszedł. Przeszedł ku stołowi — w stronę Stacha ani spojrzął. Zarządził modlitwę, a po niej, jak zwykle, jął sprawdzać obecność uczniów. Stacha w rzędzie drugiego oddziału nie wyczytał.

— Wykasowany już! Wykasowany! — poniosły się szepty.

Na samym końcu jednak wywołał:

— Stanisław Bałaszewicz! Do tablicy!

W ławkach cisza zapadła grobowa. Stach stanął przed nauczycielem ani żywy, jak to mówią, ani martwy.

— No i cóż ty — rzekł Grywień — świaszczennika nazwałeś durniem i kłamcą?!

— Nie, hospodin uczytel, tak nie nazwałem. Ja tylko powiedziałem, że to co mówi o naszej wierze, nieprawda.

— Jak go nie kijem to pałką. Jeżeli rozumiesz więcej od nas, po co tedy przychodzisz do szkoły?

— Hospodin uczytel, ja sam nie wiem jak u mnie to z ust wyskoczyło. Ja nie chciałem świąszczennika obrazić. Darujcie mnie ten raz! Już zawsze będę milczał. Darujcie mi, hospodin uczytel! Nie bijcie mię, nie wyganiajcie!

— Nie będę cię bił, nie będę wyganiał, — powiedział Grywień — ale dopóki rodzice twoi nie przepraszają za ciebie świąszczennika, nie będę uczył.

Możesz odejść na swe miejsce i siedzieć sobie jak pień. Marsz!

Jakkolwiek to sprawy nie rozwiązywało, Stach ucieszył się.

— Dobrze, że nie wygnał, a z tym przeproszeniem to jakoś tam będzie — myślał. — We wakacje znajdę chwilę, że ojciec będzie łagodny i przyznam się mu. Wielka rzecz... A może przez ten tydzień jeszcze i bez tego odpuszczają mi?

Przed Sadowskim postanowił na razie zataić i zaraz wtajemniczył Maczugę.

Wszyscy uczniowie dziwili się łagodnemu wymiarowi kary. Uzasadniali ową łagodność różnie: że doskonale się uczył, że to była pierwsza jego wina, że miał zamożnych rodziców. Halina mówiła, że powodem wspaniałomyślności nauczyciela była obawa przed śledztwem wyższego "naczalstwa", któreby niezawodnie oskarżyło w tej sprawie popa i mogło wykryć w szkole coś więcej jeszcze. Ale najprawdopodobniej Grywień nie wygnał Stacha dlatego, iż z obiecanych mu darów nie otrzymał mąki hreczanej na bliny, puda masła i wilczury.

Kajet otrzymał nieprzejrzany. W czasie pytań arytmetycznych podnosił rękę — nauczyciel jakby nie widział tego. W lekturze również go pomiął. To samo jutro, pojutrze i cały tydzień.

— Nic z tego nie będzie — pojął — przyjdzie się wszystko wyznaczyć i prosić niech idzie do tego popa.

Z takim postanowieniem odjechał do Rogów na wakacje.

W domu starzy i młodzi chwalili go, cieszyli się nim, zasypywali pytaniami o szkole, opowiadaniem o dziejach w Rogach, a on jakby związany, odpowiadał niechętnie, krótko i ciągle zapadał w zadumę. Cała jego uwaga skierowana była na usposobienie ojca, wypatrywanie odpowiedniej chwili i dobieranie słów, jakimi miał zacząć wyznanie.

— Co temu chłopcu jest, że taki smętny? — czynili domownicy pomiędzy sobą uwagi. — Zapewne za dużo naukę sobie do głowy bierze.

Jednak w przedświątecznej gorączce trudno było o odpowiednią chwilę i Stach w bezskutecznym jej wypatrywaniu doczekał się Wigilii.

— Lepszej sposobności nie będzie jak przy dzieleniu się opłatkiem — pomyślał — W takiej chwili nikt nie będzie bił.

Tymczasem, gdy zaczęli łamać opłatek, dziadunsko wszczął opowiadanie o ucieczce Świętej Rodziny do Egiptu i ciągnął je prawie przez całą wieczność: taką historię niebezpiecznie było przerywać.

Odłożył do jutra, do czasu gdy rozdziela orzechy i zaczną grać w cotkę. Ale jutro z rana ojciec przy doglądaniu była akurat posprzezał

się z bratem i był strasznie zły, a po południu moc gości najechało i znów nie było jak.

Przeszkoda trafiała się za przeszkodą, dzień upływał za dniem i nadeszła druga kucia, noworoczna.

— W dzisiejszą wieczерę to już powiem, choćby tam nie wiem co, — powiedział sobie.

Zarówno ojciec jak i cała rodzina byli w doskonałym humorze. Na dworze wichura szalała i zamieć śnieżna, ale w chacie było ciepło i błogo. Cała rodzina zebrała się w lepszej izbie. Paliło się w piecu, na kominku i lampa też się paliła duza nad stołem. Baby hurtem przyrządzały na wieczерę różne smaki, mężczyźni dymili tytoń i opowiadali sobie różne baśnie i prawdy.

Wieczera odwlekała się prawie do godziny 9, gdyż baby, przestawiając garnki widłami w piecu, wywróciły kwaśny krupnik z borowinami i musiały gotować go powtórnie.

Gdy zasiedli do stołu, psy na dworze wszczęły gwałtowny alarm. Szczękały już z kwadrans i przedtem, ale pomału.

— Wyjdź Bronik, zobacz i posłuchaj — rzekł stary do młodszego syna, gdyż przez zamrożone w oknach szyby nie sposób było przejrzieć na podwórze.

— Pewnie znów diabli przygnali gości! — zaklął Stach w duchu. — Będę zaczynał prędzej. Miał już gotowy w myśli cały raport jak modlitwę.

— Tatko — zaczął i przełknął ślinę. — Ja mam coś powiedzieć o szkole.

— O szkole? Mów.

W tej samej chwili wpadł do izby Bronik i zakrzyczał:

— Wstawajcie żywo!! Gumno się pali!!

— Gumno?!... Podpalili!... Dzietki!... Ach Boże!... Lećmy!...

Ot jak!... Puszczaj!... Matko Najświętsza! — posypały się krzyki.

Zerwali się od stołu, wrzucali na siebie świtki, a niektórzy, tak jak byli w marynarkach, chwytali płachty, siekiery, wiadra, cebry i mknęli co tchu na pożar. W pare minut z całej rodziny pozostały w izbie tylko rozplakane dzieci i babuńka stara.

— Nie płaczcie, nic się nam nie stanie, mężczyźni pogaszą, — uspakajala dzieci stara — Nie bójcie się, do chaty nie dojdzie. Lepiej chodźcie bedziemy modlić się do Bozi na uspokojenie wiatru. Cicho, dziatki, chodźcie!

Ustawiła wszystkich na kolana przed obrazami, nie wyłączając Stacha, który już zebrał się był w ślad za innymi, uklękła przy nich sama i kazała za sobą powtarzać.

Modliła się swoimi słowami gorąco, z utkwionym w obraz Jezusa wzrokiem, z płaczem, jak dzieci rzewnym, błagając rozpaczliwie o uspokojenie wiatru i pomoc w ugaszeniu ognia.

Stach, korzystając z żarliwego oddania się babuńki modlitwie, wykradł się na palcach z chaty i pomknął na pożar.

Gumno stało w płomieniu. Wicher rozdmuchiwał go i tarnosił nim jak pies wściekły szmata: raz rozrywał długim, ostrym językiem w górę, skręcał go w wir, potem walił raptem w dół, rzucał błyskawicznie w

jedną, w drugą stronę, trząś konwulsyjnie. Skry sypały się milionami, jakby z potwornych rozmiarów miecha kowalskiego, lub paszczy wulkanicznej, wrywały całe ochłapy płonącej słomy, przenosząc ogień na stojące w pobliżu stogi i punię. Gumnisko zalewało się oślepiającym blaskiem, to znowu zachodziło czarnymi obłokami dymu na przemian. Od ognia huk szedł jak w powodzi z młyńskiego spustu, w koło wichry żałośnie zawodziły.

Po gumnisku biegało z opętańczą furją siedmiu mężczyzn i cztery kobiety. O gaszeniu gumna przy takiej pogodzie nie mogło być mowy, ale starali się cokolwiek z niego uratować i zapobiec rozszerzaniu się ognia. Na toku leżała hurba namłóconego ziarna. Jedni wyciąwszy łód w jamie od gliny, moczyli w niej płachty i okładali nimi stogi od strony ognia i dach puni, drudzy ochyleni mokrymi płachtami, wskakiwali na tok, czerpali przyniesionym naczyniem ziarno i wynosili na gumnisko. Z wiatru i huku pożarnego wybijały się co chwila krzyki:

...Żywiej!... Gady przeklęte!... Władek!... Syp!... Nie leż!...

Matko!... Puszczaj!... Podsmale i ja ich!... Dosyc dzieťki!... Dawajze!... Ewelina!... Pali!... Wyzej!...

## VIII.

### INSPEKCJA

Spaliło się gumno z przeszło połową niemłóconego jeszcze zboża, pieć stogów słomy, trzy siana i punia napakowana pod szczyt koniczyną i wyką. Ale do reszty budynków nie dopuścili ognia. Całą nocę przetrzęśli się na wietrze, przemęczyli bieganiną. Wielu poparzyło się mocno, kilka osób zaziębiło się i zległo w łózka. Błogi, w pierwszym tygodniu wakacji Stachowych — nastrój w domu, zamienił się w istne piekło: płacz, jęki, narzekania, przekleństwa i śpiewy pijane, dzikie, nie ucichały przez cały następny tydzień, ani na chwilę. Władek z parobkami z żalu po gumnie, całe wiadro wódki wyłechtali. Pili dzień i noc, buszowali w chacie, nie zważając na upomnienia ojca, ani starszych braci. Jan wściekły był.

Przy takich warunkach Stach ani myślał o przyznawaniu się do swych win. Łudził się, iż przez wakacje nauczyciel odpuścił mu, albo zupełnie o jego sprawie zapomniał.

Odwiózł go do Wońcy po Trzech Królach stryj Marcin, który najmniej był poparzony. W drodze pouczał, aby w szkole był pilny, posłuszny, pokorny, aby nie marnował łozonych na niego kosztów tym cięższych teraz, że pożar strawił połowę rocznego zbioru.

Stach słucał apatycznie stryjowych upomnień i modlił się do Boga o krótką pamięć nauczyciela, całą drogę, cały wieczór i nazajutrz rano, aż zajął w klasie swe miejsce.

Uczniów wobec olbrzymich zasp śnieżnych zjawilo się mało. Ci co przyszli byli weseli i gadatliwi: chwalili się kto ile sadła zjadł, blinów,

orzechów, kto jaką rubaszkę na sobie miał, kto chodził z gwiazdką, kto z kozą, z niedźwiedziem.

Nauczyciel również zjawił się w nadzwyczaj wesołym humorze, zagadując dzieci o wakacje, uśmiechając się do nich.

Stachowi błyskał promyk nadziei.

Przy sprawdzaniu obecnych wyczytał go.

— Stanisław Bałaszewicz!

— Jest! — podskoczył z radości.

— No i cóż, byli ojcowie u świąszczennika?

— Nie, hospodin uczytel, — powiedział prawdę.

— Nie byli?! Czemu?

— Wcale nie mówiłem ojcu; bałem się by mię nie karał.

— Wcale nie mówiłeś? — powtórzył tonem ujawnienia kłamstwa.

— Znam waszą chytróść, szlachtycze honorowi: nie chcecie ukorzyć się przed prawosławnym świąszczennikiem. Dobrze, możesz nadal sobie bałwanem siedzieć.

Osunął się bezwładnie. Poczł się najniezszczęśliwszym chłopcem.

W pierwszą pauzę podeszła do niego Halina.

— Prawda, że nie mówiłeś ojcu? — spytała.

— Nie mówiłem, Halinko, prawda, bałem się.

— Cóż to twój ojciec kat jaki?

— I... ojciec srogi, a do tego jeszcze niezszczęście nam się zdarzyło: spalili nas w drugą kucię nicianie gady.

— Spalili?! Całkiem?

— Spaliło się gumno ze snopami, punia z paszą i stogi. Halinko, złotka, siostrzyczka, poradź co mam robić?

— Jak cię nie wygonią to siedz i ucz się. Będiesz widział co innym zadaje i ty to samo rób.

Zastosował się do rady. Uczyl się z całych sił. Cały czas poza godzinami w szkole spędzał na przypominaniu objaśnień nauczyciela i wykonywaniu zadawanych lekcji. Nigdy nie wychodził na rzekę, nigdy nie walał się jak inni po ulicy. Lekcje, które wielu kolegów ledwo potrafiło przesylibizować, on umiał na pamięć. Mógł odpowiedzieć na każde pytanie nauczyciela.

Mijały dni, tygodnie, a nauczyciel ciągle trwał w swym postanowieniu: nazwiska rano nie wyczytywał, kajety zwracał nieprzejrzane, lekcji nie odbierał i nigdy o nic nie pytał. Pop, w swych godzinach religii, starał się wcale nie patrzeć w jego stronę.

— I po co ty Lachu przychodzisz, raz nauczyciel nie chce ciebie uczyć! — mówili często ruscy koledzy. — Po co ty bačku na próżno czobaty drzesz, po co spodnie kramne wycierasz?

Stach już i sam zastanawiał się nad tym. Zaczął w końcu wątpić w celowość swego postępowania, wskutek swych wysiłków. Zdawało mu się, że pisanie bez czerwonego nauczycielskiego znaku, nie przynosi uczniowi żadnej korzyści, że wszystko czyni błędnie i bezpotrzebnie. Odkąd przestał go nauczyciel uczyć, nikt z uczniów nie zaglądał do jego kajetu, nikt o nic nie pytał, nikt mu już nie wierzył i to nim jeszcze więcej chwiała. Chwilami uważał siebie za istotę zupełnie niedołączną, za najgorszego durnia w klasie. Zazdrościł nawet tym uczniom, których

kajety aż czerwieniły się od podkreśleń błędów, ale były przejrzone, tym którzy swą odpowiedzią wprost wesołość w klasie wywoływali, ale byli pytani i tym nawet, którzy codziennie łapy i w mordę brali.

Z każdym tygodniem zapadał w coraz cięższą depresję. Ciągłe był smętny i zamyślony. Często na kwaterze, zniechęcony ślęceniem nad książką, wbijał wzrok w jakiś przedmiot na ścianie i trwał bezmyślnie kwadransami całymi.

Na pytania opiekunów o powód smętku, zawsze tłumaczył się tęsknotą za Rogami.

— Ależ smyku, wnet, “maslennicy” doczekamy, znów tydzień wakacji będziesz miał, to i w Rogach pobędziesz, — pocieszał Sadowski.

— Niech tylko da Bóg doczekam tych zapustów — mówił Stach do siebie — to już nie będę takim bojaźliwym i głupim. Wolę godzinę pocierpieć, niż pół zimy całej. Gdyby tak przyjechał ojciec, albo któryś ze stryjów, gotów był od razu na kwaterze przyznać się, aby tylko czym prędzej zlikwidowano jego ciężkie położenie. Dziwił się, że tyle czasu nikt go nie odwiedza.

Jakoż nadeszła oczekiwana “maslennica”. Wakacje miały się rozpocząć w sobotę od południa i trwać osiem dni.

W sobotę rano po drugiej pauzie nauczyciel jął wyznaczać na okres wakacji lekcję. Chłopcy tupali z niecierpliwości nogami niczym jak konie stajenne.

Tymczasem rozwarły się drzwi i wszedł niespodziewanie jakiś bardzo ważny “baryn”. W długiej, aż po kostki szubie, z drogim kunim kołnierzem i w drogiej karakułowej czapce. Bródkę miał na szpic, wąs pięknie podkreślony. Zdjął czapkę — był łysy.

Nauczyciel zerwał się żywo.

— Wstać! — krzyknął do dzieci, a po cichu dodał: — Inspektor.

— Zdrawstwuście, dzieci! — powiedział inspektor.

— Zdrawstwuście hospodin!... Zdrawstwuście hospodin inspektor! — zabeczały nieprzygotowane dzieci w rozsypce.

Witając się z nauczycielem, inspektor wyraził zdziwienie z nadmiaru dzieci w szkole. Zdjął, przy skwapliwej pomocy nauczyciela szubę, złożył ją na krześle, zatarł ręce, przeszedł się parę razy wzdłuż klasy, pogładził tego owego po głowie, dowiedział się gdzie jaki mieści się oddział i zaczął egzaminowanie. Po dwóch, a najwięcej po trzech z oddziału. Wprzód z lektury, potem z pisania, przeglądając kajety. Na ostatku przeszedł do ustnych pytań z każdego przedmiotu po trochu. Zaczął od pierwszego oddziału. Młodszego niż lat 10 nie było w nim żadnego ucznia, a wielu chłopców siedziało już dużych, po lat 13 i więcej, nawet, co już za pługiem i kosą chodzili.

— Słuchajcie dzieci — mówił inspektor. — Ojciec miał czterech synów i trzy córki, ile wszystkich dzieci u ojca było?

— Siedm! — zagrzemiał chór głosów.

— Wot mołojcy! — pochwalił. — Siadajcie.

— Ile pud ma funtów? — zwrócił się zaraz do drugiego oddziału.

— Sorok! — odpowiedział oddział jednym głosem.

— Dobrze. A co jest cięższe: drzewo czy puch?

— Drzewo! — znowu odrzekli razem.  
— Dobrze. A co jest cięższe: pud puchu, pud drzewa, czy pud żelaza?

— Żelaza!

— Osły wszyscy! A może kto inaczej rozumie?

Szereg uczniów, a między nimi też i Stach podnieśli ręce.

— Co jest cięższe? — wskazał na bliższego mu.

— Drzewo — padła odpowiedź.

— Ty jeszcze większy osioł.

Reszta rąk opadła płochliwie. Pozostała tylko Stachowa.

— A po twojemu co cięższe?

— Pud puchu, pud drzewa i pud żelaza jednakowo ciężki.

— Jakże to może być? Przecież żelazo cięższe?

— Cięższe, ale na pud, mały tylko kawałek trzeba.

— Wot, ty jeden młodzieniec! Jak się nazywasz?

— Stanisław Bałaszewicz.

Bardzo dobrze. Siadaj.

Stachowi dech zatykało ze wzruszenia. Spojrzał w stronę Haliny, zawsze życzliwej mu uczennicy. Dawała znaki, by przy okazji pozalili się inspektorowi. Zrozumiał ją, ale że inspektor zanotowawszy jego nazwisko ruszył już ku trzeciemu oddziałowi, odłożył skargę na potem.

— Kto z was był w mieście, takim dużym, gubernialnym mieście, niech podniesie rękę — powiedział inspektor do trzeciaków.

Podniosło rękę dwóch.

— W jakim mieście byłeś? — zapytał jednego z nich.

— W Mohilewie byłem.

— Tak, Mohilew jest miasto duże, gubernialne. A wiesz które miasto jest stolicą Rosji?

— Sankt-Petersburg.

— A czemu tak się nazywa?

— Bo ją założył car Piotr Wielki.

— Dobrze. A może wiesz, w którym roku założył?

Pytany nie wiedział.

— Kto wie? Nikt? A wy wiecie? — widząc, że z trzeciego nikt się nie rusza zwrócił się zaraz do czwartego oddziału.

W czwartym wszyscy do odpowiedzi się zgłosili. Inspektor wybrał Halinę.

— W 1703 — powiedziała.

— Dobrze. A przed carem Piotrem Wielkim istniała Rosja?

— Długo już istniała.

— A kto był pierwszym władcą Rusi i w którym roku objął panowanie?

— Ruryk. Zdaje mi się w r. 862.

— Prawda. Ot już ile Rosja istnieje — więcej jak 1000 lat!

— No, przed Rurykiem długo świat istniał?

— Bardzo długo istniał.

— A w którym roku zaczął się świat?

Tego nie mogła odpowiedzieć.

— Kto wie? Pomyślcie, dziatki. Nikt? Kto wie, w którym roku zaczął się świat — zwrócił się do całej klasy — ten dostanie nagrodę.

— W pierwszym, hospodin inspektor — odrzekł Stach.

— Dlaczego w pierwszym? W jakiej książce to widział, kto ci o tym mówił?

— Nie wiem w jakiej książce to piszą, ale po mojemu, kiedy świat się zaczął, wtedy i roki musiały się zaczynać.

— Wot, Stanisław, ty u mnie jeszcze raz młodziec! — pochwalił.

Podszedł ku niemu, przesłuchał go z lektury i kazał pokazać kajet.

— A czemu nie przejrany? — od razu spostrzegł. — Michał Iwanowicz? — zwrócił się do nauczyciela.

— Nie przeglądałem mu od paru tygodni za karę. Pojętny z niego uczeń, ale krnąbrny i swawolnik wielki — zaopiniował.

— Nu wot, — mówił inspektor do Stacha — ja ciebie chwale, a tu okazuje się, że ty krnąbrny i swawolnik. Trzeba być posłusznym, pokornym, cichym. Może poprawisz się?

— Będę, hospodin inspektor, zawsze pokornym, ale chcę...

— Wy jemu, Michał Iwanowicz, darujcie teraz, — przerwał inspektor — on już poprawi się.

— Darowuję mu, panie inspektorze.

— I uważam, że on tu już siedzi bezpotrzebnie; przesadzcie go do oddziału trzeciego.

— Tak, przesadzę go, panie inspektorze.

— Dalej. Z tych książek, które mam dla waszej biblioteki w powo-  
zie, proszę mu "Tarasa Bulbę" wręczyć na własność.

## IX.

### DRUH

Wakacje zapustne Stach spędził nadzwyczaj wesoło. Domownicy dowiedziawszy się o wyróżnieniu go w klasie przez inspektora, wprost na rękach smarkacza nosili.

Trzeci etap roku szkolnego przebył w oddziale trzecim, ucząc się pilnie, zachowując wzorowo, pokornie, jak przyrzekł inspektorowi i wio-  
sną dostał promocję do oddziału czwartego. Wrócił do Rogów zado-  
wolony.

Ale jesienią odjeżdżał znowu niechętnie. Zniechęcało go, nasiąkłe nienawiścią względem innowierców, towarzystwo uczniów i szydercze odzywanie się samych wychowawców.

Przybył w drugim tygodniu września, w chwili rozpoczęcia się nauki. Większość ławek świeciła pustkami. Czwarty jednak oddział zjawił się w komplecie w pierwszym dniu. Należeli do niego: Stach, jeden z braci Pawłowskich, Borach, Sołowiejczyk rzeźnikowy z miasteczka syn i pięciu Białorusinów. Nauczyciel był ten sam.

Blisko miesiąc uczęszczała do szkoły znikoma ilość uczniów, potem zaczęli się zbierać. Dużo zjawiało się osobistości zupełnie nowych. Stach

świeżych Polaków wypytywał żywo o nazwiska, miejscowość, pochodzenie i koligacje rodzinne, pragnąc znaleźć krewnego, których Bałaszewicze w okolicach zawończańskich mieli moc.

Pewnego ranka, w połowie października, obok grona nowicjuszków białoruskich w parciankach i łapciach, zjawił się chłopiec pochodzenia niewyraźnego i osobliwy. Czapkę miał zajęczą, switkę siwą, jakie noszą po wsiach białoruskich, spodnie z domowego sukna, czarne buty piękne i aż powyżej kolan. Ni to Polak ze wsi ruskiej, ni to zamożny gdzieś z chutoru z kupczy Rusin. Najwięcej zaciekawiały buty, jakich nie tylko nikt w szkole nie miał, ale nawet nie widział. Wieku, osobliwy przybysz, mógł mieć lat 15, albo i więcej, był duży i krępy, twarz miał miłą i ujmującą. Stach od pierwszego wejrzenia, poczuł ku niemu wielką sympatię. Zdało mu się nawet, iż gdzieś go już widział.

Wnet otoczyli go starzy uczniowie, przypatrując się mu uważnie, a nawet dotykając niektórzy palcami.

— Jak ci na imię? — zagadnął Kierpaty, największy w szkole przydzieracz i kpiarz.

— A jaki ci interes? — odparł właściciel długich butów, mierząc natręta wzrokiem.

— Jak to nie mój interes?! — zakrzyczał Kierpaty. — Ja teraz zastępuję nauczyciela. Mów jak ci na imię?!

— Tak, on teraz zastępuje nauczyciela — przyświadczyli inni.

— Na imię mi Kościk — odrzekł nowicjusz, widząc wkoło same poważne miny.

Gruchnęły śmiechy i przewiska:

— Kościk! Chrościk! Mościk!

Kościk poczerwieniał jak burak.

— A po rodzinie jak? — badał Kierpaty dalej.

— Nie odpowiadaj mu; to jest zwykły dureń, który dwa lata w jednym oddziale siedzi! — krzyknął z tyłu Stach.

Kościk pchnął Kierpatego w pierś.

— A toś taki?! Chcesz powojować ze mną?! — zawrzeszczał Kierpaty.

— Nie ulękne się — odrzekł. — Jak chcesz, dawaj, powojuję.

— Dawaj. Dowiesz się po ile funt pieprzu. Bierz mię, jak chcesz.

— Ja ci również pozwalam. Możesz mię brać nawet pod pachy.

Schwycili się na krzyż i z miejsca runęli na ziemię. Kościk był na wierzchu.

— Ot jak! Patrzajcie wy go! Ot wam i chrościk! — dziwili się uczniowie. Niektórzy cieszyli się. — Dobrze takiemu zadawaku. Myślał, że on osiłek, że nad niego nie ma. Dobrze mu.

— Powalił mię — mówił Kierpaty wstając — bo już pewnie nazarił się, a ja dziś jeszcze nawet w ustach nic nie miał.

— To prawda, on jeszcze dziś na czczo — przyświadczyli koledzy.

— No to chodźcie kto podjadłszy! — wzywał Kościk. — Ja z każdym wezmę się!

Dalszym jednak zapasom przeszkodziło wejście nauczyciela.

Przy czytaniu spisu nowicjuszków uczniowie dowiedzieli się, że Kościk

nazywa się Wasilewski. Umiał już trochę i został wcielony do oddziału drugiego.

W pauzę zbiegli się ku Wasilewskiemu wszyscy Polacy.

— Ty polski? Ty nasz? — dopytywali się.

— A jakżeż, polski, polski — odrzekł.

— Ty pewnie leśnikowy syn? — zapytał Stach.

— Tak, leśnikowy. A ty skąd?

— Mnie gdym tylko spojrział na ciebie, wydało się, żeś znajomy.

Ja z Rogów, Staś Bałaszewiczów.

— Ty Staś Bałaszewiczów?! Patrzajcie jak to człowiek w innej odzieży odmienia się! Wcale nie poznałem ciebie. Tyleż razy u was w Rogach byłem i ciebie widziałem.

— Jak ci się udało powalić tego kierpacza?

— Dwóch takich naraz mogę powalić. On dla mnie co mucha.

— Taki z ciebie osiłek?! Dawaj, będziem drużyć z tobą. Ja już w czwartym oddziale siedzę.

— Taki mały i aż w czwartym oddziale już siedzisz?! Ja zgodny, mozem drużyć jak chcesz.

— Powiedz ty mi Stachu, co to za dwa koła takie na tej czarnej zasłonie?

— Toż taki świat?

— To taki śmieszny świat?!

— Tak. Chodźmy, wytłumaczę ci wszystko.

Wskazał mu części świata, Rosję, a potem jął oprowadzać i objaśniać wiszące na ścianie portrety carów.

— A to co za jeden, że jak koniokrad patrzy się? — zwrócił Kościć szczególną uwagę na portret cara Mikołaja I.

— Cicho! — uszczypnął go Stach za ramię — to też car.

— Też ruski?

— Tu polskich nie ma. A teraz patrz tam w kąć pod ręcznik.

— Któż to taki?

— Toż ichny taki Pan Jezus.

— To taki Jezus ichny?! Aj-ja-jaj!... Jakież On nieudały! Jakże do takiego i modlić się?

— A ty myślisz, że ja Mu modłę się? Ot, ruszam ustami dla oka, ale żebyś ty wiedział co Mu myślę!...

— Prawie wszystkie ichne takie obrazy. Gdy będziem w cerkwi, to sam zobaczysz.

— A to trzeba i do cerkwi chodzić?

— Tak, w carskie święta goniać do cerkwi wszystkich razem. Tylko Żydów nie ruszają, że to wcale niechrzczone.

— — — — —  
Wieczorem Kościć złożył Stachowi wizytę na kwaterze.

— Po co ci takie dziwne długie buty? — zagadnął Stach.

— Toż mi pan takie dał za to, że mój tato zeszłej zimy odnalazł niedźwiedzi barłóg.

— Za to, że niedźwiedzi barłóg znalazł?

— Tak. Ty pewnie nie wiesz jaka to ważna rzecz u leśników znalezienie niedźwiedziego barłogu? Zeszłej zimy mój tato go odnalazł i gdy

zabili obławą, poprosił własnego dziedzica, by pomógł mnie w nauce. Dziedzic dał 10 rublów i te oto buty. Trochę już przez pana noszone, jednak podkładając zelówki i szanując jak należy, mogą mi na trzy roki starczyć.

— Po mojemu ten wasz dziedzic skupierda wielki, za znalezienie niedźwiedziego barłogu mógł więcej dać.

— Po mojemu też skupierda, ale tato powiedział, że darowanemu koniowi w zęby nie patrzają, że co daje, trzeba brać.

— Więc ty jeszcze taki mały, a już w 4 oddziale mówisz siedzisz?  
— Nawrócił na szkołę. — Znaczą się wiosną zdasz egzament?

— Spodziewam się, iż zdam.

— W Smolarni aż dwóch jest takich co zdali egzament: Kazik Zdanowicz i Jaś Ładan. Ja trzymam drużbę z Kazikiem. Ty był kiedyś w Smolarni?

— Od nas prawie już wszyscy byli, ale ja to jeszcze nigdy.

— Ach, żeby ty zobaczył jaki to wesół zaścianek?! — Stoi razem dwadzieścia dwie chaty polskie. Jest polskie mogiłki, jest taki człowiek, co chrzci dzieci z wody i grzebie umarłych, są swoje muzykanty, jest dużo dziewcząt i chłopców wszelakich.

— Ty wiesz? — zniżył głos — ja mam sobie w Smolarni dziewczynę.

— Ja też mam już sobie dziewczynę.

— I ty masz? A ładna chociaż?

— Jak anioleczek!

— A duża już?

— Mała jeszcze, ale już śmieje się, a rączyny jak ściśnie to nawet niełatwo rozczepić.

— Co?!... Toś niby o dziecku mówisz?

— Dziecko jeszcze, dziecko, mama dopiero w żniwo rodziła.

— Toż wtędy siostrą ci przychodzi się.

— Nawet rodzoną siostrą. Ach, żeby ty zobaczył!

— A idźże ty z taką swoją dziewczyną. Ja mam, z którą będę mógł zenić się, gdy porośniemy.

— A taką, co zenić się?!... Ja nie mogę się zenić; za księdza będę się uczył.

— Gdyby nie miałem Karuśki, ja też uczyłby się z tobą za księdza.

— Aż za księdza?! — zdziwił się i zamyślił. Po chwili rzekł:

— Twoja dziewczyna Karusia się nazywa?

— Takie jej prawdziwe imię, a przezywają Byliną.

## X.

### “URA! WARSZAWA NASZA!”

Koćcik stał się więzią grona polskich uczniów, obrońcą i natchnieniem. Należał do oddziału niższego, ale był chłopak duży, mocny, bywały, uprzejmy i koleżeński. Każdy czuł do niego sympatię i ufność, każdy ofiarowywał mu przyjaźń, zwierzał się ze swych radości i udręk, prosił

o radę, przy napaściach pobratymców wzywał go na pomoc, przy dysputach o walory narodowościowe stawiał go za wzór.

Prawdziwą drużbę Kościk zawiązał ze Stachem, że to bliżej siebie mieszkali i znali się trochę przedtem. Z razu odwiedzali się kolejno wieczorami, później Kościk przeniósł się do Sadowskich na stałe na kwatere. Przychodzili do nich często Pawłowicze, Maczuga, Zakrzewski, Tarka, Harasimowicze i inni polscy uczniowie. Wieczora nie było, aby któryś do nich nie wstąpił. Sadowscy temu nie protestowali. W półświątki to prawie wszyscy tam schodzili się. Pomagali sobie rozwiązywać trudne rzeczy z lekcji, czytali wspólnie Tarasa Bulbę, komentowali, jak kto umiał, owe dawne czasy wojen kozackich z Polską, chwalili się, opowiadali o swych zaściankach i chutorach. Najczęściej Kościk chwalił się Smolarnią. Stała ona o niecałe dwie wiorsty od ich leśniczówki, a o siedem wiorst od Wończy. Kościk na niedzielę zawsze chodził do domu, za każdym razem bywał w Smolarni i za każdym razem przynosił z niej świeże nowości. Nieraz rewelacyjne.

— Wiecie, chłopcy, co? — mówił wróciwszy pewnego razu z domu — Kazik mówił, że Rosja wcale nie jest tak sławną i świętą, jak ją ruskie książki opisują. Mówił, że mało który z carów umarł swoją śmiercią naturalną. Mówił, że Katarzyna Wielka męczennica święta żyła tak rozpustnie, że niegodna nawet jest, by ją na święconych mogiłkach chowali. Aleksander Oswobodziciel wyzwolił chłopów nie z dobrego serca, ale z musu, bo już wszystkie "dzierżawy" swych ludzi były wyzwoliły. Sławny Suworow był taki gad okrutny, że nawet nie grzech i po "matuszki" na niego powiedzieć. Mówił, że nawet połowy prawdy nie ma z tego, co o sobie piszą.

— Więc może i ten Taras Bulba wcale nie był sławny? — pytali.

— Taras Bulba był sławny, ale Polska miała rycerzów nie taką Bulbą bywszy.

Innym razem przyniósł ze Smolarni radę i wezwanie, by nie chodzili do cerkwi.

— Wiecie, chłopcy, co wam powiem? — powiedział. — Kazik mówił, że nauczyciel nie ma prawa nas pędzić do cerkwi i nie powinniśmy chodzić, bo to jest grzech. Dawajcie, chłopcy, nie pójdziem!

— Dawajcie nie pójdziem! Dawajcie! — podchwycili koledzy.

— Uważajmy, aby nauczyciel do nas za to potem nie czepił się, aby nie powyrzucał czasami ze szkoły? — zauważył starszy Pawłowicz.

— Gdy część się zbuntuje, a druga część będzie chciała podlizać się, wtedy ma się rozumieć, że tych zbuntowanych może wyrzucić; ale gdy nie pójdziemy wszyscy, wtedy nic nie zrobi — powiedział Kościk. — Kazik mówił, że za jego czasów zbuntowali się Polaki, nie poszli jak jeden do cerkwi i nauczyciel nikogo nie wyrzucił. No to jak, idziemy, czy nie idziemy?

— Nie idziemy! Nie idziemy! — zgodzili się wszyscy.

— Kto jest niezgodny niech mówi śmiało teraz, ażeby potem, gdy przyjdzie do rzeczy nie było, że jeden tak, a drugi siak.

Gdy w rocznicę Romanowych nauczyciel kazał uczniom wychodzić z klasy i ustawiać się w kolumnę do cerkwi, Kościk w imieniu rodaków wystąpił:

— Hospodin uczytel, nasza polska wiara nie pozwala chodzić do cerkwi; prosimy nas zwolnić.

— Wasza polska wiara nie pozwala chodzić do cerkwi?! — powtórzył ze zdziwieniem. — A, jeżeli tak, to ja nie zmuszam. Dobrze, kto z katolików nie chce iść do cerkwi, może sobie pójść do domu i przyjść po południu do szkoły na biesiadę. Ale kto chce, może iść z nami. — Mówił na pozór łagodnie, jednak na twarzy można było dojrzeć cień niezadowolenia, a w głosie wyczuć nutę pogroźki.

Nie stanęli do szeregu jak jeden. Rozeszli się na kwatery i w południe zebrali się wszyscy u Sadowskich. Większość niepokoiła się.

— Jednak my chłopcy źle zrobili, że zbuntowali się, — powiedział Tarka.

Powyrzuca ze szkoły, to i mówić nie ma co — truchlał Pawłowicz.

— Jeżeli będzie kogo wyrzucał, to niech ten zwała winę na mnie, że to ja go zbuntowałem — rzekł Kościk.

— I na mnie, bo ja też namawiałem — dodał Stach.

— I na mnie, — przyłączył się do winowajców też Zakrzewski.

Pobawili się z pół godziny i poszli do szkoły razem.

Na dworze była odwilż. Niebo stało w ciemnych deszczowych chmurach, z przerwami chlapał lepki śnieg i prószył drobniutki deszczyk. Śnieg stary kleił się, jak rozmieszona glina. Zewsząd dochodziły głosy bawiącej się w śnieżki dziatwy. Na placu szkolnym aż huczało od rozigranych uczniów.

Innym razem polskie grono też przyłączyłoby się do gry, ale teraz krępowała obawa przed odpowiedzialnością za nieposłuszeństwo nauczycielowi. Poszli nie zatrzymując się do klasy.

W klasie w jednym rzędzie ławek siedziały kupą ruskie dziewczęta, w drugim uczniowie żydowscy. Ruskich chłopaków w klasie można było na palcach policzyć.

Usiedli w próżnych ławkach również kupą i czekali.

Za chwilę wszedł nauczyciel, oznajmił, że biesiada rozpocznie się za godzinę, gdy nadejdzie pop i felczer i kazał wszystkim znajdującym się w klasie chłopakom iść bawić się wraz z innymi na plac w śnieżki.

Żydki obawiające się napaści ze strony ruskich kolegów, chciały zostać.

— Hospodin uczytel — wystąpił Borach Sołowiejczyk, najstarszy wiekiem i oddziałem Żydek — my nigdy nie bawimy się w śnieg. Po co nam takie zimne paskudztwo? My lepiej poczekamy felczera tu w ławce cicho.

— Gnuśnieć chcecie taką ciepłotą i powietrze w klasie zasmradzać? — zakrzyczał nauczyciel. — Zabawa na świeżym powietrzu jest pożyteczna dla zdrowia. Wszystko, oprócz dziewcząt, wynosić się mi na podwórz natychmiast! Jazda!

Ruszyli na plac jedni i drudzy.

— Jednak nauczyciel na nas zły — szepnął Stach Kościkowi wychodząc. — Nie zauważyłeś jak łupał w naszą stronę białkami?

— Tak, zauważyłem. Nic, — Kazik mówił, że gdyby tak coś... to on będzie wiedział gdzie sprawki naprowadzić.

Na widok wychodzących Żydków, bawiąca się na placu ruska dziewczyna podniosła wrzask radosny:

— Żydy, idą, Żydy! Smalić w nich! Smalić, ażeby im parchy powysypały się! — krzyczeli.

— Tylko nie samym Żydom taką gromadą — ujął się nauczyciel, który wyгнаwszy wszystkich z klasy, narzucił palto na paszki i również na plac podażał. — Cicho!

Uśmierzył hałas, przeszedł na środek placu i zakomenderował:

— Stawajcie tak: po tej stronie — wskazał lewą ręką — prawosławni, a po tej, na odległość czterdziestu kroków, katoliki, Żydzi i Tatarzy. Ustawiać się w równe rzędy, jazda!

Podział taki był wielce niesprawiedliwy, gdyż ruskich chłopców znajdowało się ponad 70, a trzy wymienione mniejszości stanowiły niecałe 40.

— Zbiją nas, zwojują, nie ma co — mówili bojaźliwi w polskim gronie.

— Zwojują to zwojują, ale trzymać się chłopcy twardo i smalić mocno, ażeby popamiętali nasze kule — rzekł Kościk. — Jeżeli Żydki utrzymają z nami, to nawet może zbijemy kacapów. Stawajmy chłopcy!

Rozeszli się w rząd, jak i ruscy, naprzeciwno. Obok stało czterech chłopców tatarskich. Ale Żydki stali wciąż kupą i radzili coś żywo.

— No, czemu nie rozchodzicie się?! Czemu nie stajecie w rząd, jak inni?! — wołał nauczyciel.

Borach znowu wystąpił z raportem:

— Hospodin uczytel, my nie możemy bić się przeciw ruskie ludzie. My będziemy pomagać ruskim przeciw Polakom. My już przechodzimy na tamtą stronę. — Kom aher, bryder — zwrócił się do kolegów.

— Nie chcemy parchów, nie chcemy! — zaprotestowano z przeciwka. — Patrzajcie jacy pomocnicy się znaleźli! My chcemy się bić z wami! Stawajcie, parchy niechrzczone!

Żydki znów poszwargotali chwilę, potem podnieśli ręce w górę i ruszając naprzód zawołali razem:

— My w "plen" zdajemy się! Bez boju zdajemy się! Zabierajcie nas w "plen"!

Ruscy uczniowie wstrzymali się chwilę, aż jeńcy się zbliżą, a wtedy syknęli w nich hurmem śnieżkami, aż się zakurzyło.

Żydki w gwałt, pisk i w nogi kto w jaką stronę.

— Brawo, chłopcy, brawo! Tak i trzeba tchórzom — pochwalił nauczyciel. — A teraz tym szlachtyczom honorowym wsypcie. Śmiało — śniegiem kalectwa nie zrobicie.

Kilkunastu chłopaków puściło się w pogoń za Żydkami, a reszta się rzuciła na 19 uczniów pozostałych dwóch mniejszości.

— Chłopcy, nie uciekać mi żaden! — zawołał Kościk. — Raz mama rodziła! Trzymać będziemy, póki ducha w gardle! Smalić mocno i w samą mordę, aby poczuli.

Ściągnęli się w gęstsza linię i jęli odbijać się smagle. Niektórzy podczas żydowskiego targowania ugnietli sobie po kilkadziesiąt kul i teraz miotali gotowymi szybko.

Ruskie kule jak śma sypały się na nich, spadały na każdego po kilka naraz, smagały boleśnie, zabijały oddech, zaślepiaty oczy.

Stachowi i innym mniejszym chłopakom po paru minutach takiej nawałnicy, już na płacz zaczęło się zbierać. Ale zaciskali zęby i trzymali się. Kule ugniatali odwrócenii do przeciwników tyłem, potem osłaniali łokciem twarz i ciskali jak towarzysze.

— Dawać chłopcy, dawać! Trzymać się dziarsko, aby potem nie wyśmiewali się kacapi, że my tchórze! A widzicie jak za mordy się chwytają?! A widzicie, że trzymamy?! Dawać chłopcy, dawać! — pokrzykiwał Kościak bezustannie.

Zagrzewał słowem i czynem. Kule ugniatał twarde i wilgotne, po dobrej bruczce, ciskał celnie, a kogo trafił ten wycofywał się z placu z płaczem. Inni patrząc na niego, też smalili zajadle. Dla lepszej sprawności pozrzucali świtki.

Jednak nie mogli cztery razy liczniejszym przeciwnikom podołać. Ruska czereda sypała z coraz większą furją i wrzaskiem, posuwała się powoli naprzód i oskrzydlała Polaków z obu stron. Zagrzewał ją nauczyciel i tłum ludzi dorosłych, którzy na niezwykły wrzask na placu jęli ściągać ze wszystkich stron miasteczka.

Ugodzone przez Kościaka chłopaki, otrzepywały się na tyłach, odpoczywały chwilę, nabierały ducha i znowu wracały do walki. Ścigacze Żydków, powrócili i stanęli Polakom z tyłu. Otoczyli ich pierścieniem, aby żaden się nie wymknął i podsuwali się stopniowo bliżej. Zbliżywszy się na dziesięć kroków, zakrzyczeli historycznymi słowami Suworowa do Katarzyny: "Ura! Warszawa nasza!..." — i rzucali do walki na bezpośrednią odległość. Przy każdym się znalazło po 3, po 4, po 5 napastników. Jedni trzymali za ręce, drudzy smagali śnieżkami dowolnie. W końcu zaczęli walić na ziemię.

— Brawo, chłopcy, brawo! — chwalił nauczyciel. — Brawo ruskie! Brawo nasi rebiata! — wołano z przyglądającego się walce tłumy.

Gra w śnieżki zamieniała się w prawdziwą bójkę. Niektórzy broniąc się przed waleniem na ziemię, brali się z napastnikami za czuby, tłukli pięściami, kopali nogami.

Najdłużej Kościak się nie poddawał. Nie mogli przystąpić do niego. Którykolwiek śmiałek się zbliżył — odlatywał jak z procy na kilka kroków, wywracając koziołka.

Ale w końcu kilku najsilniejszych chłopców rzuciło się nań ze wszech stron razem, oczepiło wkoło: jeden za nogi, drugi za szyję, trzeci pod pachy i rozłożyli na łopatki.

Wtedy jęli się mścić. Każdy kto dostał odeń w walce bolesny cios, albo kto czuł doń dawniejszą urazę, podchodził, ciskał mu w twarz śnieżki, kopał pod bok łapciem, szczypał, zakręcał na udach gęsiory.

— Ot tobie, osiiku!... Ot tobie szlachtyczu wściekły! To za moje, szerszeniu! To za moje, kundlu! — wylewali zemstę.

— Dawajcie soroczkę mu rozepniemy i napchamy śniegu za pazuchę — dodał któryś, nie mogąc nasycić się gęsiorami.

— Nie, chłopcy, lepiej spodnie mu ściągnąć i gołą pociągać po śniegu — poprawił drugi.

— Tak, tak, gołą jak sankami pociągać — spodobał się taki pomysł wszystkim. — Dawajcie! Rozpinajcie mu spodnie!

— Ośmieszą mnie szkaradnie na całą okolice i Bylinka moja spojrzeć na mnie nie będzie mogła — nasunęła się Kościkowi okropna myśl, chwytając boleśnie za serce.

Postanowił bronić się przed tym do ostatniego tchu.

Wyprężył się z całych sił, wyswobodził swą prawą rękę, palnął pięścią między oczy jednego, co go przygniatał z wierzchu, przewrócił się błyskawicznie grzbietem do góry, uniósł zrazu na czworaki, potem na nogi, szarpnął w jedną stronę, w drugą, otrząsnął napastników i daj Boże w nogi. Mknął ku płotowi z myślą, że wyłamie w nim drogę do obrony.

Dopadł. Chwycił za jeden koniec żerdzi — posypało się próchno. Chwycił za drugi — nie daje się wyłamać. Widząc, że już go dopadają, przesadził płot i pomknął ku budynkowi.

Wpadł do najbliższej szopy. Rozgląda się, biega, szuka, aby coś odpowiedniego do rąk pochwycić. Nic nie znajduje. Po jednej stronie próżny wóz na kołach stoi, — po drugiej leży w kącie wysoka kupa słomy. Żadnego kawałka drzewa. We wrotach brak jednak wieizei i zamknąć się też nie można.

A tu już nie ma czasu, ani do namysłu, ani na ucieczkę z szopy. Już słyhać głosy za ścianą, już ukazują się napastnicy we wrotach.

Kościk rzuca się na słomę i pnie się żywo w górę. Kutasy wpadają i również gramolą się żywo za nim.

Kościk wspiął się pierwszy — w sam kąt na najostrzejszy wierzch, zerwał but, ujął za koniec cholewy i dawał ciężkim kutym obcasem grzmocić natrętów w ciemię.

— Ot tobie kacapie! Ot tobie pastuchu! Teraz ja z wami powojuję! Teraz ja was pouczę! A masz, kutasie! A masz świński tato! — przygadywał.

Chłopcy staczali się po spadzistym brzegu w dół jak kloce i chwyтали za głowy z płaczem.

W parę minut cała szopa zapełniła się uczniami, zalała przeraźliwym wrzaskiem przekleństw, wezwań, rad, rozkazów i płaczu. Nie dawali za wygraną, wciąż gramolili się śmiałkowie w górę, pomagali jeden drugiemu nadstawianiem ramion, próbowali dostać zawziętego szerszenia — i wciąż walili się z jękiem w dół.

— Teraz dopiero ja z wami powojuję! Teraz ja was pouczę! A masz, koniokradzie! A masz, pastuchu! Leźcież, leźcie, ludorezy! — wołał rozszuszony Kościk, młóćąc butem.

Wbiegł do szopy nauczyciel i zobaczywszy, co się dzieje, jął nawoływać do opamiętania się i zaprzestania "gry".

— Wasilewskij, opamiętaj się! Toż pozabijać możesz malców takim butem. Opamiętaj się! Dostyc już, dzieci, do klasy! Do klasy!

— Aha, teraz, jak wasze ruskie nie bierze, to do klasy! — ryczał Kościk. — Nie, ja jeszcze wojować z wami, kacapi, chcę! Ja wojować z wami chcę! Ludorezy wy! Pastuchy! Skórotupy! Wodonosy żydowskie! Tchórze!... Chodźcież, wojować będziemy!

— Do klasy dzieci! — powtórzył nauczyciel. — Ostawcie go, on oszalał. Do klasy!

## XI.

### NA WŁASNOŚĆ

Bitwa z innowiercami narobiła dużo hałasu we Wończy i też kłopotu Grywniowi. Kahał żydowski zaniósł za pośrednictwem adwokata zażalenie do Inspektoratu. Dwóch rodziców polskich stanu szlacheckiego, poskarżyło się za pobicie swych synów w Dworańskiej Uprawie. Za tydzień przyjechało naczalstwo, zaczęły się "doprosy", śledztwo. Grywień czując się winnym, niepokoił się, truchlał; innowiercy cieszyli się. Polacy przepowiadali, że nie tylko go usuną z Wończy, ale zupełnie służby pozbawią. Żydzi mówili, że go w kajdany zakują i na Sachalin, na katorżne roboty zesłają.

Tymczasem jedni i drudzy prorokowali źle. Śledztwo się odbyło, "naczalstwo" odjechało, a Grywień jak był, tak i pozostał. Mieli go podobno przenieść, ale zatrzymała namówiona przez popa ruska gromada. Większość ruskich rodziców stawiała się gromadą przed "naczalstwem" i oświadczyła, że Polacy z Żydami sami chcieli bitki, że Grywień jest doskonałym nauczycielem i wychowawcą i prosili koniecznie, aby pozostawić go im we Wończy nadal. To, że bił ich synów, uważali za rzecz zwykłą, a nawet pożądaną, na każdym kroku chłop od "naczalstwa" brał w mordę, a nie bite dzieci, podług ich sądu, na porządnych ludzi wyjść nie mogą.

Z całego trzydniowego śledztwa skutek tylko był ten, że Grywienio- wi zakazano bić dzieci do krwi, tudzież prowadzić innowierców do cerkwi, a popowi wyklądać im religię.

Żydzi rozczarowani takim obrotem rzeczy, dzieci swych do szkoły więcej nie posłali. Paru Polaków również przestało uczęszczać. Inni pragnąc za wszelką cenę swe dzieci uczyć, pośpieszyli udobruchać rozjątrzonego skargami Grywnia sutą podmazką.

Kościk ze Stachem pozostali, jednak rodzice ich nie przychodzili ani popierać zanesioną na Grywnia skargę, ani też ubiegać się potem o jego łaskę.

Najmniej interesowali się swym chłopcem Bałaszewicze. Wypadło im akurat na ten czas realizowanie sprawy tak dla nich ważnej, że dla jej prowadzenia i gotowi byli wyrzec się Stachowego kapłaństwa. Kupowali ziemię. Zdarzyła się w Smolarni sprzedaż dwóch włokowych, graniczących ze sobą gospodarstw, właściciele których, przenosili się do miasta. Bałaszewicze już od paru lat zbierali się na wyjazd z Rogów i poszukiwali sprzedażnej ziemi, lecz nigdy nie mogli zdecydować się na

wybór. W Smolarni kupili bez namysłu. Gleba tam była nie najlepsza, ale wkoło lasy, wygoda i ludna czysto polska wieś, za którą, mieszkając na odludziu i walcząc z napastnikami, zawsze tęsknili.

Sprzedawali nadmiar bydła, koni, zboża, sprzętu gospodarskiego; płacili, przeprowadzali formalności kupna, cieszyli się, pragnęli jak najprędzej przeprowadzki.

Nie mniej też Stach we Wończy się ucieszył, gdy się o tym dowiedział. Najwięcej dlatego, że będzie mieszkał w pobliżu Kościka, z którym się żył jak z rodzonym. Słuchał teraz jego opowiadań o Smolarni skwapliwie i na ich tle wyrabiał sobie o niej wyobrażenie. Jednej soboty chciał pójść z Kościkiem i zobaczyć ją naocznie, ale Sadowski zabronił zapowiadając, że najdalej za tydzień rodzice jego tam się przeprowadzą i wtedy przyjadą po niego specjalnie.

Mijał tydzień za tygodniem, a nikt z Bałaszewiczów do Wończy się nie pokazywał.

W sobotę przed Palmową zakończył się dla młodszych trzech oddziałów rok szkolny i Kościk odszedł do domu. Stach pozostał jeszcze do czwartku. Oprócz tego, miał blisko miesiąc ciężkiej, przedegzaminowej nauki po Świętach.

Gdy w środę wrócił na kwaterę, furmanki nie znalazł, natomiast była wiadomość, że już do Smolarni się przewożą i zlecenie, by czekał, aż po niego przyjadą.

Czekał i obawiał się, że przyjdzie mu zaświątkować we Wończy, gdyż od środy roztopy gwałtownie uderzyły. Pola zaczęły się ziemia, doliny zamieniły się w szumne potoki, a lody na rzece posiniały wierzchowdziem. Droga taka zrobiła się, że ani saniami, ani kołami. Wieśniacy po sprawunki do miasteczka przychodzili pieszo, albo przyjeżdżali konno.

Jednak w sobotę nad wieczorem przyjechał ojciec sankami. Zebrali się żywo i odjechali na zimnik. Wybiegał on z miasteczka wąskim, międzygumnicowym zaułkiem, blisko dwie wiorsty szedł polem podle rzeczki, potem przecinał ją na ukos i wąską trelą, poprzez lasy mocno poszczerbione, prowadził aż ku samemu smolarskiemu polu.

W polu więcej szli obok sań niż jechali, gdyż płozy po mokrym żwirze piszczwały niczym głodne prosiaki i koń robił bokami. Miejscami tylko na resztkach hurb śnieżnych, nawianych zimową porą przy płotach, przysiadali.

Rozlałe szeroko po rzece i łące wierzchowdziej, czyniło wrażenie, że co najmniej mają przed sobą Berezynę. Było tak głębokie, że aby się nie zamoczyć, przy przejeździe musieli zdejmować postanie i ślać go w poprzek na bity. Ale łód jeszcze wytrzymał.

W lesie śnieg, chociaż grzązki, leżał na drodze prawie ciągiem. Prześcięszy postanie jak się należy, puścili rysią.

— No, synku, mamyż my już własną ziemię, własną chatę — mówił Bałaszewicz. — Dosyć już nagryźli się z muzykami za cudze, dosyć nakłaniali panom. Bydła w Smolarni nie będziem mogli tyle co w Rogach trzymać, będziem żyli trochę biedniej, no — ale za to w spokojności świętej.

— Dużo pozostało jeszcze bydła?

— 20 sztuk tylko i więcej zdaje się nie przyjdzie trzymać.

— A toż i tak jeszcze dużo! U Wasilewskich tylko 5 sztuk.

— Dosyć dla nas, synku, dosyć. Odpoczniemy przynajmniej. Niechaj ona z prochem i pyłem pójdzie ta arenda.

— A w Rogach nikt nie będzie żył?

— Trzy rodziny za nie bierze się, a w każdej po trzy dorosłe syny. Dadzą radę muzykom, obronią się.

Zaczeło się długie opowiadanie o przebiegu kupna, później o znaczeniu własności.

— Pojęcia, dietki, nie masz — mówił — jaka to ważność mieć kawałek własnej ziemi, jaka to różnica między życiem na swoim, a na arendzie, albo w służbie pańskiej. Inna robota, inna korzyść z niej. Na arendzie żyjąc, człowiek nie chce budynków trwałych stawić, sadu sadzić, łągów suszyć, ni lasu hodować, bo wie, że za rok, za dwa, musi się wynosić. Każdy tylko patrzy, aby z gospodarki jak najwięcej wyciągnąć, nie dbając jaką ją drugi znajdzie. Jest takie arendarzy, co pod koniec swojego kontraktu, już i dziur w dachach nie chcą prawić, a nawet i nawóz na strony wywożą.

W dworach to jeszcze większe marnotrawstwo pracy i daru Bożego jest. W dworach parobcy tylko starają się, aby czas przebyć, aby podliżać się ekonomu, albo skraść co u pana, albo znowu szkodę mu jakąś zrobić z żalu, że pan w maśle pływa, a on niedostatek cierpi.

A na własnym wszystko jest inaczej. Na swoim człowiek robi wszystko, jak się należy, bo jest pewny, że jego nikt nie wygoni i że co robi — robi dla siebie, albo dla dzieci swoich. Na swoim, człowiek nie wywozi gnoju na stronę, nie zapuszcza trawą pola, nie gnoi ściany dziurą w dachu jak to czynią arendarzy ale stara się, aby jego gospodarka z każdym rokiem lepszą była; pracując, nie wodzi oczami za ekonomem, nie biega co chwila w krzaki, nie wygląda zachodu słońca, lub chmury — jak to czynią parobcy ale stara się ze wszystkich sił rękami i rozumem, aby jak najprędzej i najkorzystniej zrobić robotę; nie rzuca zapalki we wrzos, aby spalić panu bór, — ale zauważywszy ogień, gasi go z samego początku. I robota też ci jest nie męczarstwem, ale przyjemnością miłą. Inna robota, inna korzyść z niej.

Minęli czwarty z rzędu bród, zalany jak Wończanka wierzchowozdkiem i wyjechali na smolarskie pole.

— To pole nazywa się Klinem — rzekł Stach.

— Ty już wiesz, jak zmiany pola się nazywają? — zdziwił się ojciec.

— Kościk mi o wszystkim opowiadał. A oto ten las — wskazał na stojące o parę stajañ w prawo ciemne czarnolesie — jest puszcza pańską, którą ojciec Kościkowy strózuje. Wiem też jak zaścianek stoi i jaki on jest. Po lewej stronie stoją budynki, po prawej sady. Domy kryte gontą, wielkie, po trzy i po cztery pokoje mające. Dziedzińce i ulica grodzone ostrymi kołami, obsadzone kudłatym drzewem. Za sadami znajdują się ogrody kapuściane, a do ogrodów ta sama puszcza się dotyka; za chlewami są gumna, za gumnami, wygon, za wygonem pole, za polem łąka, za łąką drugi las, ale nie puszcza. Wszystko wiem. W Smolarni jest 22 gospodarki.

Ciemniło się już. Nad spleśniałą runią żyta rozścielały się obłoki tumanu. Na lewo w paśmie błota, które było dalszym ciągiem zagumien-

nego wygonu, rechotały zawzięcie żaby. Tu i ówdzie w powietrzu prze-  
mykało stadami i pojedynczo wodne i nocne ptactwo.

W kwadrans byli w Smolarni. Zaścianek tętnił radością wiosny  
i wielkiego święta. Chaty jarzyły się wszystkimi oknami światłem i hu-  
czały wesołą gwarą. Z podwórek zanosilo pszenicznym pieczywem  
i wieprzowina. Ulicą przebiegała z zagrody do zagrody, młodzież i dzia-  
twa. Głosy ich i ruchy zdradzały niepohamowaną radość. Nawet skrzy-  
żorawi studziennych, szczekanie psów i odzywanie się w chlewach trzody,  
były jakieś inne, niepowседневne.

## XII.

### TROSKI I MARZENIA SMOLARZAN

Zagroda Bałaszewiczów znajdowała się na drugim końcu. Mieli dwa  
domy do dyspozycji, ale czasowo zajęli jeden, skrajny. Od ulicy była  
świetlica z grubą i ruską leżanką, w środku naprzeciwko ganku, nie-  
wielka sień, z tyłu kuchnia z dużym piecem i stołowy, który częściowo  
służył też i za sypialnię.

Dom ich teraz był najludniejszym w Smolarni i wobec świeżej  
przeprowadzki, największą pulsował radością. Jak w gorączce wszyscy  
poruszali się i odzywali. Rozentuzjasmowanych młodszych braci Stacha  
ojciec musiał parokrotnie osadzać paskiem, gdyż ciesząc się z wielu  
drzwi w domu, taki czynili hałas biegając ustawicznie przez nie, że nie  
można było znieść.

Po kolacji dziaduńko, stryjowie i ciotki odeszli do sąsiada Ambro-  
zego Ładana na "całonocną". W godzinę później Stach nagadawszy się  
z matką, braćmi, nalubowawszy małą siostrzyczką, również tam odszedł  
z ojcem.

Dom Ładana zapełniony był ludźmi. Śpiewano pieśni żałobne po  
Chrystusie. Na ganku stała gromada wyrostków.

Gdy Bałaszewicz ze synem przechodzili, jeden z wyrostków zatrzy-  
mał Stacha za rękaw i przeczekawszy aż ojciec skryje się za drzwiami,  
zapytał:

— To twój baćko?

— Tak, to mój ojciec.

— Jak się nazywasz?

— Staś Bałaszewicz. I mam już 12 lat, aby nie myśleli, że mają  
smarkacza przed sobą.

— 12 lat masz? — zawołał. — A... toś mój rówieśnik! Patrzajcie.  
— Oddajesz się dobrowolnie pod moje starszeństwo? — dodał po chwili.  
— jestem Adaś Ściepuro.

— Jak to pod twoje starszeństwo?

— A to ty jeszcze nie wiesz? U nas w Smolarni jest taki "zakon":  
młodszy musi słuchać starszego. A jeżeli zdarzają się rówieśniki, wtedy  
starszeństwo ma silniejszy. Więc jeżeli nie chcesz się poddawać dobro-  
wolnie, musisz się bruć ze mną.

— Nie przyznaję niczyjego starszeństwa i waszego "zakonu". Puszczaj, śpiewać pójdę.

— Nie, bratku, wprzód z nami zaśpiewasz. Musisz ze mną się bruć, bo jak nie zechcesz, tchórzem ciebie ogłosimy i żaden chłopiec druzby z tobą nie zechce. Chodźmy!

— Myślisz, że się boję? Jak tak chcesz, to i chodźmy.

Odeszli na środek dziedzińca na gładkie miejsce, podciągnęli paski, napluli w dłonie i pochwycili się na krzyż. Z miejsca pochylił się w pas ku sobie, aby nie dać przelamać w grzbiecie. Gromada obstąpiwszy ich, zagrzewała. Prawie jednakiej siły obaj byli, gdyż wodzili się ze sobą cały kwadrans; łamali jeden drugiego w grzbiecie, parli w tył, unosili za pas w górę, obracali w jedną i drugą stronę, wyczerpali wszystkie siły, chytowali na różne sposoby i — nic. Ale w końcu Adaś parł jakoś długo Stacha w tył, potem nagle targnął ku sobie, podstawił nogę i zwałił go na bok. Poprawił dobrze na łopatki i rzekł:

— Poddajesz się, czy chcesz jeszcze?

— Nie poddawaj się! Bierz się jeszcze raz! Do trzech razy! Bóg tróję lubi! — zachęcano z gromady.

— Nie chcę więcej; będę pod tobą — oświadczył Stach.

— Dawaj pędź! — ucieszył się Adaś. Ujął za rękę, pomógł wstać i otrząpał go ze śmiecia.

— Jednak i ty mocny. Nie, niesłaby, niesłaby — chwalił, aby podnieść w oczach towarzyszków znaczenie odbytej walki. — Kości masz twarde i sprytu też dużo masz.

Po chwili dodał. — Gdybyś tak jeszcze wiedział przybawić sobie krwi i wzmocnić żyły, to nie wiadomo czy dałby wtedy tobie rady.

— Jak to, żeby wiedział przybawić krwi? — zdziwił się Stach.

— A ty myślisz, że siła do ciebie sama przyjdzie? Siłę trzeba umieć zebrać.

• — A jak ją się zbiera?

— Jak zbiera? To już bracie sekret. W Smolarni jest nas tylko dwóch takich, co wiemy o tym.

— Powiedz i mnie. Powiedz, Adasiu! — błagał.

— Ażeby mię potem powalił? Mogę ci tylko jak dla rówieśnika swego, część z tego, co wiem powiedzieć. Chodź!

Ujął pod ramię i odprowadził od gromady w stronę ulicy.

— Pamiętaj tylko abyś nikomu nie powtórzył tego, co ci powiem. Słuchaj. Rano trzeba zjeść na czczo dwie garście suchego bobu; po śniadaniu, mniej więcej, już jak słonko wzejdzie nad puszcę, trzy surowe marchwy i dwie kapuściane chrapki; po południu 12 orzechów samych łuzunów i kawałek skórki od słoniny nie mniejszy od pudełka zapalek; wieczorem, idąc spać, główkę cebuli ze solą, ale bez chleba, dwie główki czosnku i — zapić to brzożowym kwasem. Trzy miesiące tak dzień w dzień trzeba robić.

— No i to pomoże?

— Czy pomoże? — To już spraktykowano. Wiesz, ja przód słabszy nawet od ciebie byłem, a jak zaczął wszystko to jeść to widzisz jaki silny się zrobiłem.

— Jakżeż to nie ma pomóc kiedy patrz: od bobu człowiek szybciej sycieje; od marchwy przybywa krew, od chrapek kapuścianych mięso twardnieje i przechodzi na mięsny; od orzechów grubiej kości; od świńskich skórek umacniają się żyły, a od cebuli, czosnku i brzozowego kwasu człowiek robi się sprytny i zły jak tygra.

— Prawda, że to wszystko podchodzące — przyznał Stach.

— Teraz dalej. Gdy idziesz za stół jeść, pierwszy zaczynaj, a ostatni kończ. Mleka, masła, sera, mioda, jagód i makaronu do ust wcale nie brać, bo to jedzenie babskie i od niego człowiek słabnie i robi się cichy, że prosto do niczego...

Dalszym instrukcjom o zbieraniu siły przeszkodziło pojawienie się we wrotach Wasilewskiego z synem niosących kosz żywności do święcenia.

— Hej, Kościk, bracie! — poznał go Stach pomimo mroku.

— A to ty tu Staszku? — poznał go tamten również po głosie.

Pozostawił kosz ojcu samemu i podszedł.

— Jak się masz? Dawno wróciłeś?

— Dzisiaj dopiero zmrokiem już.

— Aż dziś dopiero?! No i czemu nie idziesz do chaty śpiewać?

— Szedłem śpiewać, ale Adaś na ganku mię zatrzymał, aby z nim się bruł, a teraz oto opowiada...

— Ze smarkaczami się zajmujesz? Chodźmy do chaty.

Poszli.

W świetlicy było ponad sto ludzi obu płci i różnego wieku. Miejsca zajmowali po porządku: za rzędem trzech stołów wzdłuż poprzecznej ściany siedzieli starcy, pomniejsi gospodarze i najlepsi śpiewacy; na ośmiu szerokich zydlach, ustawionych w rząd frontem ku stołom, mieściły się stare matrony, ojcowie, matki, tudzież dojrzały kawalerowie i panny; młodszy chłopaki stały tabunem w tyle przy drzwiach, a dziewczęta obsiadywały na lewo łóżka i ławy.

Świeciły dwie duże lampy, aby każdy mógł dojrzeć w książce. Śpiewano "Ogrodzie Oliwny".

Kościk ze Stachem stanęli pomiędzy innymi chłopcami przy progu.

— Objasnię ci ważniejszych ludzi w Smolarni, — powiedział Kościk, pochylony do ucha Stachowi. — Patrz na stół.

— Ten pod obrazami starzec z białą, długą brodą, to dziadek Kazika — Karol Zdanowicz, najstarszy w Smolarni człowiek. Dwóch tylko ludzi w Smolarni jest, którzy go w rękę nie całują.

Pomiędzy Zdanowiczem a twoim dziadkiem, ten z podgoloną brodą i w okularach to gospodarz Ambroży Ładan przezywany Kantyczką. On nie bardzo wiele roków ma, ale poważają go na równi z Karolem dlatego, że bardzo pobożny i zajmuje się w zaścianku duchownymi rzeczami.

Po drugim boku twego dziadka, ten łysy z gulą na łbie — Roman Huszcza, również bardzo stary człowiek. On 20 lat, mówią, służył w ruskim wojsku i na tureckiej wojnie był. Ich dom Dudarami przezywają, bo grają wszyscy na klarnetach. Stary Dudar często kota z Kantyczką drze, kpiąc z niego za wielką pobożność.

Dalej za Dudarem siedzą: Ściepuro, bardzo poważany gospodarz i muzykant na skrzypkach, ze wszystkimi swoimi synami; Sokołowski, ojciec mojej Bylinki, dwa braty Tryzny i Winiarski.

A ten co na końcu w poprzek stołu siedzi z ogromniami węsami to Mieczyk Piotrowski przezywany Maniutką i też Wilczobiletnikiem.

— Tego poznaję, przyjeżdżał on z ludźmi do nas do Rogów bronić przed muzykami. A czemu go Wilczobiletnikiem przezywają?

— Osądzili go i taki bilet wydali.

— On, znaczy się, sądzony?!

— Podobno wcale za głupstwo: mówią, że pijany był i na "kazionych" ludzi po matuszki mówił. Tato mój lepiej zna.

— Widać bardzo sierdzyty jest.

Wydaje ci się tylko, że ogromniste wąsy i brodę czarną ma.

— No, a gdzie twój ten Kazik wychwalony?

— Kazik? — Patrz na prawy koniec stołu. — Trzeci od swego dziadka, to on.

— Ten? Widać słaby musi być.

— Bardzo mocny nie jest, ale dobry i rozumny. Przy nim tu, pod naszą stroną siedzi Polka Winiarskich, najlepsza ze wszystkich dziewcząt śpiewaczka, a za nią ten, co plecami do nas Jaś Ładan, brataniec Kantyczki, drugi w Smolarni chłopiec egzament we Wończy zdawszy.

— No, a Karuszkę moją widziałeś już?

— Kiedyż ją mogłem widzieć?

— Na łóżku siedzi, ta w ciemnej sukience i białym koronkowym kołnierzyku. Widzisz?

— Aha... widzę... Ładny kołnierzyk.

— I ona sama ładna, żeby ty ją tylko bliżej zobaczył.

Zakończyła się pieśń i Kantyczka zarządził przerwę. Napychali fajki, kręcili papierosy, palili i gwarzyli. Młodzież mówiła półgłosem, aby nie zagłuszać starszych.

— Więc mówisz swacie, że pozwolenstwo pop zatarmoził? — zaczął Kantyczka do Piotrowskiego.

— Mówię to, com słyszał. Mówili mi takie ludzie, którzy na własne uszy słyszeli, jak pop powiedział: — Póki ja żyw i popem będę, Polaki kościoła we Wończy nie postawią.

— A cóż jemu kudłatemu cholerniku nasz kościół będzie szkodzić! — oburzył się Sokołowski.

— Gdyby nie szkodził, nie tarmoziłby. Wie on dobrze, że gdy kościół postawim, dużo jego ciepłych parafianów powróci się na polską wiarę.

— Słyszałem, że wszystkie Karczewskich domy zbierają się powrócić, — wtrącił Zdanowicz.

— Nie tylko same Karczewskie, ale też Sieradziński, Prokopowicze i wszystkie prawie Talerki nad tym myślą.

— Po wielu wsiach — zabrał głos Ściepuro — jest prawosławne Polaki, które do swoich jeszcze przyciąg czują i gdyby w pobliżu kościół mieli, na wiarę polską by wrócili. Weźcie na przykład nasze sąsiedzkie Uberezie: Rusieckie, Szpakowskie, Harasimowicze, nie Polakiz to dawniejsze jest? Nie tulą się oni do nas? Nie bywają na naszych festach? Prawosławstwa czasowo z musu trzymają się. Bo czy chory zapotrzebuje

spowiedzi, albo namaszczenia, czy dziecko niechrzczone zasłabnie, czy człowiek umrze, czy choćby oto i jajko na Wielkanoc poświęcić ile czasu, trudów i mitręgi trzeba aby księdza sprowadzić, albo chociaż do niego dowieźć? A popa mają tu przy boku.

— Co prawda, to prawda — przytwierdził Huszcza. — Dobrze, że poszczęściło się dla nas swojego, oto bohomoła mieć — zadrwił z Kantyczki, — a gdyby tak nie on, dawno by cała Smolarnia na muzyków się przewróciła.

Kantyczka obejrzał się nienawistnie.

— Nie błaznuj, Romanie, jak dziecko i nie podejmuj swarki, — skarcił Zdanowicz Huszcze, — ale pomyśl oto lepiej jak publiczną potrzebę do skutku doprowadzić. Ja myślę, sąsiedzi, że chociaż ten raz dadzą odmowę, trzeba drugi raz kołatać. Trzeba ze wszystkich sił starać się, aby pozwolenstwo dostać i kościół postawić.

— Będziemy starać się, będziemy.

— Azaliż my ludzi ważnych nie mamy, którzy dostąpią się za nas gdzie potrzeba! — zawołał Kantyczka. — Zaprawdę powiadam wam, że chociażby pop ze skóry wylazł, my kościół we Wończy postawim — dodał tonem kaznodziei.

— I ciebie w nim proboszczem postawią — nie wytrzymał Huszcza.

— Gdy śnieg całkiem zgoni i drogi podeschną — mówił dalej Kantyczka — zbierzmy się z zawończańskimi ludźmi, omówimy tą sprawę hurtem i drugą prośbę podamy. Będziemy dziekana mohilewskiego Światopelk Mirskiego o poparcie tym razem prosić. Jakby nie było, kniazem on jest, potrafi dostąpić do ministra i do cara.

— Pan Nieśmiertelny carski sowietnik ważniejszy od dziekana jest; jego trzeba prosić — poprawił Piotrowski. — Mogę pochwalić się, że znajomstwo z nim dobre mam.

— I jednego i drugiego będziemy prosić, — rozsądził Zdanowicz. — Dziekan będzie za nas żądał pozwolenstwo, a Nieśmiertelny doradzi temu, u kogo sprawa będzie, aby wydał.

Pogasili fajki, przerwali rozmowę i powrócili do śpiewu.

Kościkowi ze Stachem, dzięki wstawiennictwu Kazika, który przez całą pauzę rozmawiał z nimi przy drzwiach o stosunkach w wonczańskiej szkole, pozwolono przejść pomiędzy rzędem zydlów a ścianą i stanąć u Kazika i Polki za plecami.

Prześpiewano trzy pieśni i Kantyczka znowu zarządził przerwę.

— Trochę mi dziwno jest — zaczął stary Bałaszewicz, nawiązując do przerwanej rozmowy, — że Nieśmiertelny takie z carem znajomstwo zaprowadził, tak blisko koło niego chodzi, no i nie może dla polskich ludzi trochę swobodności wystarać się.

Prawdę mówisz, swacie, — przytwierdził Zdanowicz. — Niechajby tam u niego wykołatał cokolwiek swobodności na nautwo w polskim języku. A to patrzajcie: Żydzi po swojemu mogą uczyć, Litwiny mogą, Łotyszy mogą i Niemcy mogą, a my — mamy swoich kniazów, grafów carskich sowietników i nam nie można. Czemu Nieśmiertelnemu nie przyjdzie do głowy taka sprawa?

— Trochę ważniejsze sprawy niż nautwo ma on na swojej głowie — odrzekł Piotrowski.

— A nic on tam na swojej głowie nie ma — zaprzeczył Winiarski: — pije sobie z kniaziami, hula i tyle. Co ma kołatać o jakąś swobodność, jak jej ma, ile tylko dusza potrzebuje.

— Czemu nie, jak trzeba to i wypije, ale głowy nie traci i co mu powierzono robi.

— A co on robi?

— Ja wiem co.

— No to mówże jak wiesz!

— Przy tylu ludziach nie mogę, bo to sprawa sekretna.

— Tu przecież same swoje, mów.

— Mów, Mieczyk, mów! — zaczęli nalegać inni.

Piotrowski obejrzał się trwożnie w tył.

— Nie wiecie, że Polska do buntu się zbiera? — rzekł półgłosem.

— Do buntu się zbiera?!... — wyszeptano gorączkowo kilka głosów.

— Rok już cały zbiera się. Sama sobą chce być. Nieśmiertelny, bawiać ciągle przy caru i ministrach mydli im oczy o wierności Polaków do Rosji, aby nie zwracali dużo bacności na polskie miasta. Ot co.

Gospodarze jęli spoglądać po sobie niespokojnie, powtarzac przyciszonym głosem słowa Piotrowskiego i czynić różne uwagi. Niektórzy odnosili się z niedowierzaniem do tej nowiny, gdyż Mieczyk umiał czasami łąć.

— Ja w to, co swat powiedział, nie bardzo wierzę, — zauważył Sciepuro. — Gdyby to była prawda, wtedy i prostym ludziom by po zaściankach rozpowiedzieli, aby każdy sobie zawczasu mógł jakąś dryndę nabyć, prochu przysposobić, czy też jakąś szaszkę, albo sztych wykuć. Chybaż nie zbierają się robić buntu bez nas ludzi prostych?

— Tak, chcesz by zawczasu rozpowiedzieli po zaściankach. No, a policja to nie ma uszu? W wielkiej tajemnicy i akuratności panowie robią przygotowania do tego buntu. Prostym ludziom rozpowiedzą dopiero wtedy, gdy trzeba będzie zaczynać. Broń też wtedy ludziom rozdadzą i to nie tam jakieś pistony, albo widły żelazne, ale formalną, jak się należy.

— Tak mówisz, jakbyś wespół z panami te przygotowania robił — rzekł starszy Tryzno. — Skąd wiesz o tym, gdzieś ty to wywąchał?

— Nieśmiertelny będąc w zaprzęsłej zimie na obławie w tutejszej puszczy, wymknął się o tym nieopatrznie przed Łopatą. Spozrzegliśmy, że ja u niego z tyłu stoję, aż podskoczył.

— Mieczyk, mówi, słyszałeś o czym my mówiliśmy?

— Póki co jeszcze nie ogłuchł, chwalić Boga — odpowiadam.

— No to trzymaj język za zębami, mówi, bo pogubisz dużo ludzi. Więc i trzymałem jak mi przykazał. Wam pierwszym dopiero mówię, ale proszę tylko nikomu nie powtarzać. Proszę milczeć!

— Milczeć, swacie!... Milczeć sąsiedzie! Milczeć chłopcy! — szedł nakaz dookoła stołu.

— Ażeby ani pary o tym z ust! — obrócił się Kościk w tył do chłopców.

W następną pauzę, Wiktor, najstarszy syn Kantyczki, Kazik Zdanicz i Jaś Ładan udali się na cmentarz. Czekali tam we trzech aż zauważyli świt, a wtedy uderzyli w dzwon.

W świetlicy wszyscy powstali, skupili się bliżej stołu i zaśpiewali pieśń radosną:

“Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas każdy żądał. Tego dnia Chrystus zmartwychwstał. Alleluja!... Alleluja! Alleluja!...

Popłynęła ludziom ze serc radość, dzięki Bogu i chwała. Głos ze wzruszenia drżał, łzy w oczach stawały. Nieśli dusze w ślad za zmartwychwstałym Jezusem hen, na Niebo, gdzie Staruszek Najświętszy, siwieński, ujrawszy wracającego ku Niemu Jedynaka, rozpromienił twarz swą, rozwarł ramiona, a hufce aniołków słodkich grały na fujarkach, lirach, harfach, rzucały Mu pod nogi kwiecie cudne, słały gałązki palmowe, kadziły wonności i śpiewały chórem Alleluja!... Alleluja! Tam ku samemu tronowi bożemu dusze teraz smolarzanów mknęły i do bliskich swych, kto kogo miał na tamtym świecie, a potem żywo wracały do uciech wielkanocnych w Smolarni, do jaj święconych, pierogów, szynek wędzonych, prosiat nadziewanych, serów słodkich i makaronów na mleku; do gry w bitki, do muzyki, tańców i do gawędy sąsiedzkiej.

W świetlicy ludzi coraz przybywało. Do ostatniej duszy w chacie wychodzili smolarzanie, spiesząc na wspólny pierwszy Wesoły. Wraz ze świtem pojawiali się też i chutorzanie z okolicy. Przeważnie przyjeżdżali konno, gdyż inaczej w takie rozwodzie trudno się było do Smolarni przedostać.

Dalej niż do wschodu słońca śpiewano wielkanocne pieśni, potem nastąpiło święcenie. Zniesiono żywo kosze do świetlicy, ustawiono rzędami na zydlach i pootwierano je. Kantyczka wdział komżę, pomodlił się z książki po łacinie, potem rozpuścił flaszeczkę święconej wody w misie i pokropił dary Boże obficie. Zakończywszy ten ceremoniał, obrócił się do tłumu i rzekł gromko:

— Chrystus zmartwychwstał!

— Prawdziwie wstał! — odpowiedzieli ludzie chórem.

Zaczęli ze sobą się witać. Niektórzy całowali się zwyczajem ruskim. Chłopcy sypnęli do dziewcząt, domagając się wielkanocnego całusa. Ale te w większości broniły się przed tym zwyczajem, nazywając go mużyckim.

Kościk ze Stachem podeszli do Karusi Sokołowszczanki.

— Chrystus zmartwychwstał! — powiedzieli.

— Prawdziwie wstał. Ale tylko bez całowania się — odpowiedział dwunastoletni, smukły, o bladej twarzyczce i ciemnych brwiach podłotek słodkim głosikiem.

— Bez twojego pozwolenstwa nie będę — przyrzekł Kościk.

Podala Kościkowi dłoń i spytała wskazując na Stacha.

— To czyj chłopiec?

— A toż Staś Bałaszewiczów, o którym ci opowiadałem, że to uczy się ze mną we Wończy.

— A, to tamten!... Może już tańczy?

— Nie tańczy i uczyć się tego nie będzie, — mówił za Stacha Kościk — gdyż ma wychodzić na księdza.

— Na księdza?! Na prawdziwego?

— Tak, na takiego, co spowiada.

— A... jeżeli tak... — przyjrzała się pilnie. — Więc może też i w bitki nie wolno?

— W bitki wolno — odrzekł Stach.

— Wolno?!... Więc stukniemy się Stachu z tobą po południu.

— Ja nie od tego; stukniemy się.

W koło wśród dziewcząt rozlegały się powitania, domagania się pocałunków, wrzaski, cmokania. Jurliwsi chłopacy chwyтали dziewczęta za szyję i brali pocałunki gwałtem. Józik Oleńskich brał kolejno wszystkie podlotki gwałtem.

— Obrońcie mię chłopcy przed nim, — zwróciła się Karusia do Kościka ze Stachem, spostrzegłszy, że Józik już zbliża się do niej.

— Bądź śmiała, obronię cię — zapewnił Kościk. Ujął ją za rękę i zasłonił ramieniem przed natrętem.

— Na próżno ją zaścianiasz; ja jej nie będę całować — rzekł Józik. — Nie chcę. Żeby ona mnie nawet sto rublów płaciła, nie chcę.

— Breszesz! — uczuła się dotkniętą. — Mówisz, że nie chciałbyś za sto rublów, a zawsze do mnie jak smoła leziesz.

— Kto lezie? Ja lażę? Chyba tobie ześniło się. Jest że na co kwapić się. Nie widziałem gnatów? Żebra do samej pachwiny policzyć można. Drabina!

— Kto drabina?! — zawołał Kościk. — Moja Karusia drabina?!

— Przecież nie moja Zośka.

— Ot tobie za takie słowo! — wyrznął go w ucho.

Pochwycił się za piersi i po ćwierćminutowym szamotaniu, Kościk znalazł się na Józiku konno na podłodze. Oszczepił go kolanami w biodrach, lewą ręką trzymał za pierś, a prawą jął miesić pod boki.

— Ot tobie za moją Karuske!... Ot tobie nazywać ją drabiną! Ot tobie liczyć jej żebra! — mścił się.

Dziewczęta podjęły wrzask.

— Matko Najświętsza! — wołały. — Biją się!... Na Wielkanoc!... Na pierwszy dzień!... Grzeszniki śmiertelne!...

Koledzy Józika nie wazyli się podnosić ręki w tak święty czas i stali przyglądając bezczynnie. Ale Wicik Huszczonek ośmielił się; wyciągnął wystający końcem spod kufra wałek od bielizny i podążył koledze na odsiecz. Uprzedził go jednak stary Wasilewski.

— Ach ty roskole! — ryknął. — To dla ciebie święta nie ma!?! Cudzej chaty nie umiesz poszanować! Ty chcesz swojemu baćku wstyd robić!...

Ujął syna za kark i wyprowadził za drzwi.

### XIII.

## NA BIAŁĄ PROCESJĘ

Nazajutrz Bożego Ciała po południu, smolarzanie zaczęli zbierać się do Bobrujska na Białą Procesję. Ruch powstał gorączkowy po całym zaścianku. Nosili płachtami trawę, pakowali kałamaszki, drabinki, sma-

rowali uprząż, buty, koła, palili w łaźniach, strzygli się, kąpali, wdzielali świeżą bieliznę. Prawie, że z każdego gospodarstwa wybierała się na fest jedna furmanka, a oprócz tego miała iść gromada młodzieży pieszo.

Ze starszej młodzieży zbierali się nie piechotę: Norba Ściepuro, Oleś Piotrowski brataniec Mieczyka, Wiktor Kantyczka, Hańka starsza córka Mieczyka, Helka Oleńszczanka, Mańka Huszczanka i Klara Tryznianka; z młodszych: Wicik Huszcza, Bolek i Polka Winiarscy, Józik Oleński, Walka i Klara Tryzniacy, Adaś Łapanosy znany zbieracz siły, Bylina, Kasia Ściepurzanka i inni. Ofiarowało się też na piechotę dla odpustu i parę męzatek.

Bałaszewicze zbierali się na dwóch furmankach: na jednej staruszkowie z Władkiem, na drugiej rodzice Stacha z niezamężnymi ciotkami. Stach uprosił ojca, aby iść pieszo.

Nazajutrz wstał jak tylko weszła zorza, umył się żywo, wdział kramny garniturek, czarną nową maciejówkę, włożył do torby buty, tłomok z żywnością na parorazowy posiłek, zawiązał ją, wdział na kij, zarzucił na plecy i nie czekając na smolarską kompanie, podążył do Wasilewskich na leśniczówkę. Obiecał mu Kościk, że pójdą obaj przez puszcę, skracając o parę wiorst drogę i u jej kresu połączą się ze smolarzanami.

Najdalej w pół godziny stanął w Potoce. Była to polanka morgów sześć, otoczona dookoła puszcą. Jak skrzynia olbrzymia pomiędzy wysokimi i ciemnymi ścianami lasu wyglądała. Zboże na polu ze względu na niski teren rosło same jarowe, ale bujnie. Budynki były stare, kryte słomą i dranią sosnową. Chata jednoizbowa z dużą sienią. Dziedziniec grodzony parkanem, a ogródek na kwiaty pod oknami chaty, plecionym jedlanymi sękami częstokołem.

Kościk czekał go już gotów.

Podkasali się prawie do kolan, aby nie orosić spodni i poszli wąską ścieżką utartą przez bydło.

Las był potężny i dziewiczy. Pniów jodeł, osin i debów w dwie pary ramion by nie objął, a szczyty ich zdało się nieba dotykały. Klony, graby i jesiony poobrasały od starości siwym mchem. Kora brzoź staruszek poczerniała i porała się głębokimi brózdami. Co chwila kłody pomarłych śmiercią naturalną starców, grube po pas, wykrocie strachliwe wyrwane z ziemi przez burzę i złomy. Pniów ściętych ręką ludzką, oprócz jesionów, żadnych.

Teren i rodzaj zalesienia ciągle zmieniali się; po czarnolesiu drzew liściastych mieszanych nastawały gaje brzozowe, potem jedliny mroczone, za nimi łęgi olchowe, a potem znów czarnolesie, albo dąbrowa, kotlina brzozowego błota, jel.

Po wiorście, lub więcej, ścieżka zaginęła, więc weszli na przełaj. Kościk prowadził ze zdumiewającą znajomością lasu; moczary i złomy nie przebyte omijał bez żadnego krażenia i nakładu drogi, w jedlanych gęstwinach znajdował jasne przesmyki, w łęgach olchowych kładki, jakby umyślnie na jego przejście położone, a nigdzie przy tym nie przystawał, nie rozglądał się, nie namyślał. Widać, że wiedział gdzie jaka nizina się zaczyna i gdzie kończy, gdzie pagórek, gdzie jaka kłoda leży.

W przestrzennych miejscach rozmawiali na temat egzaminu Stacha, który złożył przed tygodniem.

— Jeżeli ci świadectwa jeszcze nie wydali, więc skąd wiesz, żeś zdał? — mówił Kościk.

— Nie chwale się, ale mogę powiedzieć śmiało: jeżeli ja nie zdał — zaden nie zdał. Dyktando napisałem bez błędów, rachunki porobiłem prawidłowo, a co tylko pytali, wszystko odpowiedziałem bez zająknięcia, jak po nitce.

— A wiele było wszystkich uczniów?

— Ze wszystkich czterech szkół razem 19.

— Niewiele. A co to jeszcze chciałem się pytać... Aha! Prawda, że egzaminator ma pogony?

— Nie, ubrany był zwykle jak i nauczycielowie. Był egzaminator z miasta, czterech nauczycieli i pop.

Wończański pop?

— Nie, tamtejszy z Birek.

— Wończańskie chłopcy wszyscy pozdawali?

— Wszyscy. Pawłowicz był tylko mocno zaplątał się z religią, ale mi się udało pomóc mu wybrnąć.

— Religii pytali?! Przecież od śledztwa już jej nie uczyli?

— Nie uczyli, a tam pytali. Było z Pawłowiczem tak: Wyzwał go pop ku stołowi i pyta: — Co wiesz o potopie? — Pawłowicz odpowiada: — Ja jestem polski. — Tak, on rymśkaħo wieroispowiedywania — podchwytuje Grywień. — Ja to wiem, odpowiada pop. — Dlatego nie pytam go modlitwy, ani katechizmu, ale historii Starego Testamentu, co powinien wiedzieć. — Więc nic nie wiesz o potopie? — powtórzył.

Pawłowicz pyk myk i nic.

— Nie słyszałeś nigdy, kto się uratował od potopu? — znowu pyta.

— Noj — jakoś przypomniał.

— Dobrze — pochwalił. — Ale nie sam on; miał on przecież rodzinę — mówi. — Nie wiesz ile on miał ze sobą synów?

— Siem — wyrwało się Pawłowiczu.

Egzaminatory w śmiech.

— W naszej polskiej historii pisze tak, — kręci Pawłowicz.

Egzaminatory znowu w śmiech. Pop wstaje i woła do klasy:

— Kto z Polaków zna dobrze swoją katolicką historię?

Ja podnoszę rękę.

— Prawda, że w niej tak pisze? — pyta mię.

— Tak, otiec zakona uczytel, mówię, w naszej polskiej historii pisze, że synowie Noego byli: Siem, Cham i Jaffet.

— A więc wszystkich było tylko trzech?! — woła.

— Tak, trzech, ale starszy nazywał się Siem, tak jak i Pawłowicz wam powiedział.

Wtedy już i Pawłowicz nie kiep podchwytuje: — Tak, otiec zakona uczytel, ja nie mówiłem, że Noj miał synów siem sztuk, ale, że starszy miał na imię Siem. — Dodał zaraz szczęśliwie, że te syny mieli żony i dzieci i że do karabu wzięli ze sobą wszelakiego stworzenia po parze i — wykręcił się z tego potopu.

— Ale ty chytry, rzekł Kościk. — Tak sprytnie wykreśliłeś liczbę na imię.

— Swój chłopiec, jakby tam nie było, więc chciałem mu pomóc; przez takich głupich synów Noego chłopiec mógł dostać nol i gryźć się z tymi muzykami jeszcze całą zimą.

— A, to prawda. Więc znaczy się, pozdawaliście wszyscy... Ile ci jeszcze, aby wyjść na księdza, pozostało egzaminów?

— Dziaduńko mówił, że jeszcze dziewięć.

— Dziewięć?! Toż ty i zesiwiejesz w tej nauce!

Po paru godzinach drogi, puszcza urwała się. Wyszli na róg łąki samotnej obszarem dobrej włóki, usadzonej kilku podkurowymi dębami. Po przeciwnej stronie łąki przepływała z południa na północ rzeczka, a za nią stał bór sosnowy o lesie wysokopiennym, gładkim, jak to mówią: jak dzwon.

— Ta polana nazywa się Łapieki — objaśnił Kościk. — Oto w tym rogu — wskazał ręką w prawo — wychodzi zimnik do miasta, którym wasi smolarzanie mają nadejść.

Nie poszli jednak od razu ku owej drodze, ale zawrócili w lewo, okrążyli polane brzegiem lasu, przy rzece rozebrali się po pas, przeszli ją w znanym Kościkowi płytkim miejscu, w bród i wdziawszy się potem znowu poszli brzegiem boru w prawo, zbliżając ku brodowi, którym przechodził zimnik. Znalazłszy się przed nim o jedno krótkie stajanie, usiedli na suchym brzegu rzeczki i czekali.

Ranek był jak szkło. Słońko wytoczyło się już nad las, oświecając większą część polany i ścianę boru. Puszcza, z której przyszli, drzemała jeszcze w cieniu. Nad łąką mieniącą się kwieciami, snuły się pszczołki, zawodząc melodyjnie i fruwały barwne motyle. Kępy jaworu i sitowia nad rzeką, perliły się bujną rosą. Rzeka przeświecała się z brzegu na wylot, ukazując rybki maleńkie igrające ze sobą w wodzie, żwirek i kamuszek na dnie. Toczyła się gładką, jak szkło lawiną, cicho, ledwo szmerząc. Czasami tylko rybka większa plusnęła — wtedy powstawał krządek fali rozszerzając się i słabnąc jak bańka mydlana, albo korzeń olchowego krzu wysunął swą łapę — wtedy marszczyła się tafla. Bór wrzał ptaszą pieśnią.

— A może oni już przeszli? — niepokoił się Stach.

— A choćby nawet rysią biegli, to jeszcze nie mogli zdążyć.

Nie upłynęło dziesięć minut, jak u wylotu zimnika na Łapieki ukazały się sylwetki smolarskich chłopców.

— A nie mówiłem ci — rzekł Kościk.

Patrzyli i poznawali którzy szli na przedzie.

— Co i Walka Tryznionek na piechotę idzie?

— Idzie Walka, Wicik, Adaś, Bolek i Józik też — oznajmił Stach, wiedząc iż tacy się wybierali.

— A, Józik nigdy od bab się nie ostanie.

— No, ale i zadawakaż z niego, zadawaka. Wiesz? chwali się, że jak on zechce, to może zrobić, że najładniejsza dziewczyna będzie za nim sama się ganiała.

— Tak?! — Może każanowe widelki zdobył?

— Jak to każanowe widelki?

— A to ty jeszcze nic nie wiesz? — W sercu starej każanicy tkwią kościane widełki, które moc miłości mają. Trzeba ją złapać, zabić i wrzucić w mrowisko; po trzech dniach z całej każanicy tylko owe widełki pozostaną. Wtedy te widełki wziąć, przysiąc koło dziewczyny, którą chcesz za ciebie pokochać, — ale żeby ona o tym nie wiedziała — ucześcić lekko za spódnicę i pociągnąć ku sobie. Mówią, że choćby dziobaty, jak czart był, a ona dziewczyna jak anioł urodziwa — sama potem po tobie będzie się wieszać.

— A kiedy ci się już naprzykrzy i zechcesz by odzepiła się od ciebie — wtedy znowu tak samo przy niej przysiąc i widełkami tymi odepchnąć.

— No, i to prawda?

— Mówią, że prawda, pomaga, ale trzeba tylko natrafić na starą każanicę; taką trzeba, która już 9 dzieci spłodziła.

Gromada chłopców zbliżyła się do brodu i zabierała do przejścia, a dziewczęta, które ze względu na przeprawę pozostały w tyle, dopiero wychodziły z lasu.

A co myślisz, może on i ma takie widełki? — powiedział Stach.

— Może i ma. Nie słyszałeś, latają za nim jakie dziewczęta?

— Mówią, że Zośka Ładzianka przepada za nim.

— Zośka to jego. A o innych nie słyszałeś?

— Coś mi też mówił Łapanosy, że i Kasia Ściepurzanka chętnie z nim przebywa.

Chłopcy przeprawiali się w bród, ubrali żywo i odeszli o pół stajanie w bór, by nie krępować dziewcząt. Józik z Wicikiem jednak wrócili chyłkiem znowu ku rzeczce i zaczęli się pod krzem olchowym u samego przejścia.

— Niewstydnikiż oni? — oburzył się Kościk patrząc wraz ze Stachem na ich szelmstwo.

— Wstydniki i to paskudne. Dawaj pójdziem, przegonim.

— Dawaj.

Wstali i podeszli ku nim.

— I nie wstyd wam, chłopcy, zaglądać babom pod spódnicę? — powiedział Kościk.

— A tobie, jak widać, to szkoda — odparł Józik. — Ja u swojej Zośki tylko chcę zobaczyć.

— A cóż to twoja Zośka idzie osobno, że do innych nie będziesz zaglądał!

— Słuchaj, Kościk! Jak Boga kocham, u twojej Byliny nie będziemy podglądać — przysięgł się.

— Babczury! Paskudniki!... Psy bezwstydnie! — Nałajali, napluli na ich postępek i odeszli w bór do gromady.

Dziewczęta zbliżyły się ku brodom. Było wśród nich parę mężatek ze Smolarni i kilka niewiast z sąsiedzkich Jam, które przyłączyły się w drodze.

Widać spodziewały się od chłopców podstępu, gdyż nim weszły do wody, stały i przypatrywały się długo olchowym krzom naprzeciwno. Nie spostrzegłszy nic podejrzanego, podjęły spódnicę i ruszyły powoli. Szły ostrożnie, obnażając ciała tyle, ile sięgała woda. W połowie zauwa-

żyły intruzów; uczyniły wrzask i zaczęły się panicznie kryć jedna za drugą.

— Paskudy!... Wszystkie parszywe!... Wynosić się stamtąd! — wołały w stronę krzów.

Józik z Wicikiem odpowiedzieli stamtąd śmiechem.

— Psy wy bezwstydnne!... Bydlaki! Kobylatniki!... Wynosić się, bo my was zaraz!... lajały różnie i gromiły, jednak bezskutecznie.

— Cicho dziewczki, ja z Michaliną was przeprowadzę — powiedziała Zabela Pokłacka z Jam, kobieta pod 40-tkę, tłusta i szeroka w biodrach jak piec. — Chodźmy, co nam babom? — zwróciła się do wdowy, Michaliny Winiarskiej.

Zaszyły naprzód dziewczętom, obróciły się tyłem w stronę krzów i podjęły spódnice jak najwyżej.

— Teraz chodźcie, dziewczki, za nami, niech patrzą, — powiadały.

Dziewczeta i przypatrująca się z dala z boru gromada chłopców, wybuchnęły śmiechem.

Trzymajcie się, chłopcy, równo, to was sfotografują!

— Karteczki bezpłatne będziecie mieć!... Ale oczy zakryjcie, bo od wielkiego blasku oślepnąć można! — niosły się z jednej i drugiej strony pod adresem intruzów docinki.

Józik z Wicikiem czwyrnęli w bór, jak mydło zjadłszy.

W parę minut ruszyli wspólnie w dalszą drogę, rozciągając się parami w długą karawanę.

Ubrani byli wszyscy świątecznie i po polsku: chłopcy w kramowych garniturach, szytych po miasteczkowemu, w maciejówkach lub angielskich kiepkach; dziewczeta w gładkich ciemnych spódnicach, muślinowych bluzkach i w dwiecistych chusteczkach, uwiązanych w tył pod warkocz, względnie w jedwabnych szalach. Oprócz chłopców dojrzałych, wszystko szło boso, obuwie swe niosąc w rękę.

Sokołowszczanka znalazła się w połowie karawany. Szła obok Kasi Ściepurzanki, rok od niej starszej.

Kościk ze Stachem mineli kilka par i znaleźli się przy nich.

— Za dużo tych tłomoków, jak na żeńskie ręce, u siebie macie — zagadnął Kościk z tyłu.

— Jeżeli nad nami taki załosny, to wzięłyby cokolwiek i podniósł — odrzekła Kasia.

— No to dawajcie, poniosę.

— Zgodny? — Weź lepiej coś od Karusi; ona ma więcej tego.

— Jedna i druga dawajcie mi, co tylko w rękach macie, — żądał od obu obawiając się, że Karusia sama powstydzi się korzystać z jego usług.

— Dobrze, dziękuje, weź jak łaska, oto moje trzewiki, — podała mu je. Karusia wręczyła mu swe trzewiki i tłomok z chlebem. Kościk uwiesił wszystko na kij za plecy i szedł ze Stachem nadal z tyłu dziewcząt nawiązując z nimi rozmowę.

— Ależ i narodu w tym roku ze Smolarni na fest idzie!

— To tylko piechotą, a co wozami jedzie, to i nie policzysz nawet, — powiedziała Karusia.

— Mówią, że w tym roku taki fest będzie jaki nigdy nie był.

— Tak. Dużo narodu, powiadają, maszyną ma przyjechać z dalekich parafii. A wiecie ile księży będzie?

— Musi być co najmniej dwadzieścia.

— Dziadzio Ambroży mówił, że 25 bez kleryków.

— A tyle się zjedzie?

Z tyłu znaleźli się Józik z Wicikiem.

— Patrzajcie, i leśnikowi na Białą Procesję się zechciało — powiedział Wicik, niby do towarzysza, ale tak głośno, ażeby dosłyszał Kościk i dziewczęta.

— A któż by babom buty niósł? — zakpił Józik.

— Podnieść babom to jeszcze nic, ale gorzej im pod spódnicę zaglądać, — odciął się Kościk. — Wstydniki! Pokażcie nam swoje karteczki...

— Niechaj sobie, ale ot zobaczyliśmy nie jednej.

— Zobaczyli, ale co — wtrącił Stach. — Czarne oko u Zabeli.

Kościk i dziewczęta parsknęli śmiechem.

— Ajej, jak wy skonfuzili się dziś, chłopcy, — powiedziała Karusia.

— A jest że tu przed kim konfuzić? — Ajej także tu panienki. Za mną się ganiają nie smolarzankami bywszy.

— Jak pies za pałką się ganiają. Patrzajcie go, jaki to krasotka się znalazł, jaki kawaler ważny!

— Gdyby nie był ważny, to nie nosiłby w Białą Procesję chorągwi, — ujął się za przyjaciół Wicik. — Byle komu chorągwi nie dadzą.

— Chodźmy druho od nich, — rzekł Józik — bo pomyślą, że my podlizujemy się pod nich. Chodźmy, podrażnim się z Jadźką.

Przybawili kroku i minęli ich.

— Prawda, że on nosił chorągiew? — zwróciła się Karusia do Kasi, gdy tamci się oddalili. — Wiem, że tylko Kazik z Jasiem je noszą.

— Ci co lata noszą, a w zeszłym lecie i Józik też ją dostał.

— Udało się mu...

— Dużo starszych kawalerów starało się o chorągiew i nie mogli dostać, a on dostał. Po mojemu on chłopiec sprytny, nie ma co — pochwaliła.

— A nic sobie, ja też go nie bardzo ganię — przytwardziła Karusia. — Chwała go, że i do roboty zwawiejszy od bratów.

Kościk gorszego uczucia doznał, niż gdyby go Karsusia w twarz wycięła.

— Gdyby ja tak bardzo chciał, to bym też mógł dostać chorągiew — powiedział.

Szli ciągle lasem nieskończonym. Czasami spotykali samotne polany, albo wychodzili na brzeg jakiegoś pola i potem znów zagłębiali się w las.

O południu wyszli na szeroki gościniec. Popaśli się w cieniu drzew, niektórzy z chłopców dalej ruszyli.

Gościniec klekotał kołami, roił się ludźmi. Ciągnęły na wielki fest wszystkie stany i klasy. Biała Procesja w Bobrujsku była manifestacją siły narodu polskiego nad Berezyną, doroczną łącznością jego, pokrzepieniem ducha i wyrazem patriotyzmu. Ciągnęły jedna za drugą, czeredy pieśze, sznury kałamaszek zaściankowego ludu prostego i szlachty typowej, olbrzymie parokonne drabiny dworskie, zapakowane tuzinami parobków, przemykały eleganckie bryczki zamożnych chutorzanów i luk-

susowe powozy magnatów. Czym bliżej do miasta, tym ludniej na gościńcu było.

Na pół godziny przed zachodem słońca, smolarska pielgrzymka młodzieży stanęła w Zielonce. Wzuli się wszyscy w zaroślach przy szosie, otrzepali z pyłu, opatrzyli siebie jak należy i szli żywo dalej, aby zająć w mieście zawczasu kwatery.

Furmanki i piesze karawany płynęły szosą jednym nieprzerwanym ciągiem.

W kwadrans Bobrujsk ukazał przed smolarzanami swe oblicze. Po szerokiej a łagodnej toni Berezyny, przesuwały się parostatki pasażerskie, berlińskie towarowe i wycieczkowe łodzie. W lewo o jakie pół wiorsty widać most żelazny, wyraz ostatniej techniki. Za rzeką, tuż przy wyjściu mostu pontonowego, którym przechodzili, stała wysoka ceglana basznia. Po jednej i drugiej stronie owej baszni zieleni się piękny sad klonów, topoli i brzoź, kryjąc w sobie twierdzę. Za sadem w lewo strzelały wysoko ku niebu potężne stacje radiowe.

Niemalym miastem był Bobrujsk i nieszpętnie się prezentował zwłaszcza od strony rzeki.

W historii Polski przedrozbiorowej prawie niczym się nie zapisał, gdyż do rozbiorów był mało znaczącym miasteczkiem. Starowiercy ze Starego-Kruku powiadają, że dawno, dawno, gdy jeszcze "prygonu" na świecie nie było, na miejscu teraźniejszej twierdzy, stała ruska wioszczyna, mieszkańcy której, oprócz rolnictwa, znali się na wyrabianiu bobrowych futerek i od tego rzemiosła nazwę Bobrujsk swemu osiedlu wyrobili. Dalej jeszcze mówią, że za kniazia Wasyla przy tej wiosce znalazł się dwór, a za "karala Batoraha" nasypała się na słucko-mohylewskim gościńcu w Zielonce grobla, pobudowała karczma i promy dwa. I tyle.

Formy miasteczka, Bobrujsk przybrał dopiero w wieku XVIII.

W czasie "bezhołowia" w Rzeczypospolitej, caryca Katarzyna zapuszczając swe zaborcze szpony w jej ciało, miasteczko to na ważnym trakcie obwarowała i uczyniła zeń dla swych wojsk zbrojownię.

Odtąd Bobrujsk szybko rósł. Zniszczyły go parokrotnie pożary, gdyż ze względów strategicznych, murów wznosić długo nie zezwalano, jednak po każdej klęsce domów przybывało w dwójnasób. Teraz już był miastem dużym, powiatowym, ale nie ustępował wielu gubernialnym. Przechodziła przezeń szosa bita warszawsko-moskiewska, ważna dwutorowa kolej żelazna i uruchomiona była komunikacja wodna z wielkimi miastami. — Większą część miasta — jak zwykle na kresach — stanowiły budynki drewniane, jednak nie brakło już i pięknych wielopiętrowych kamienic. Były ulice eleganckie o mozaikowych chodnikach, dużych, wystawowych oknach, obok których wieśniak z głuszy leśnej przechodząc, wprost lęku dostawał. Podobno jeszcze w roku 1908 Bobrujsk, oprócz wojska, którego ciągle moc kwaterowała i rozległych przedmieść, 50,000 dusz liczył. Lwią część, jak zwykle stanowili Żydzi, potem mieszkali Moskale najezdni, starowiercy i Białorusini tubylcy, Polacy, Tatarzy, Niemcy i po trochu wszelakiej innej narodowości. Były różne fabryki, urzędy, kilka szkół średnich ruskich, gimnazjum żeńskie i szkoła

rzemieślnicza; były cerkwie, garnizonowa i parafialna, synagoga, chrám starowerski, kirka i domy modlitwy innych wyznań.

I kościół też był pod wezwaniem Świętej Trójcy. Nowy, pobudowany dopiero po japońskiej wojnie, gdy przywrócono częściowo wolność wyznaniową. Wzniósł go ksiądz dziekan, a późniejszy kanonik Krasieński, gorliwy kapłan i patriota, cześć i sława jego pamięci po wszystkie czasy! Przedtem kilkunastutysięczna parafia obywatela się maleńką kaplicą. Dawniejsze kościoły, jeden zamieniono na cerkiew, drugi spłonął nieszczęśliwie. Moskale na gwałt i doszczętnie chcieli zruszczyć nadberezynską stolicę.

Terazniejszy kościół był murowany i okazalszy, niż wszystkie gmachy, niż wszystkie świątynie w mieście. Wieża wysoka — ze strach z niej spojrzeć w dół. Wnętrze na pięknych filarach, obszerne, przepelnione pamiątkami świętymi, upiękzone sztuką. Ołtarz potrójny, ze spiczastymi wieżyczkami, rzeźbiony. Przepiękne drogocenne żyrandole. Las chorągwi i bogatych sztandarów. Wkoło olbrzymie obrazy i posągi święte. Okna w witrażach. Ławki, fotele, trony, konfesjonały kunsztowne. Organ tak potężny, że ludzie mówili, iż gdyby go organista puścił na cały duch, serce by się człowiekowi oderwało. Dzwony, gdy biły, zagłuszały całe miasto. Katedra nie powstydziałaby się takiego budynku i bogactwa, jakie miał bobrujski dekanacki kościół.

#### XIV.

### MANIFESTACJA

W mieście rozeszli się po domach znajomych mieszczan. Stach z Kościkiem, tudzież rodzeństwo Tryznów, Ściepurów, Piotrowskich i Sokołowszczanka udali się do pana Chmary, który mieszkał na północnej stronie miasta, gdzie też miały furmanki z ich domów zajeżdżać.

Już ich tam znaleźli. Cały dziedziniec był zastawiony wozami, a dom zapakowany znajomymi Chmarze ludźmi z obu stron Berezyny. Huczało jak na kiermaszu.

Młodym, z braku postania i miejsca, posłano słomę na podłozę. Ale oddzielnie, aby chłopaki nie mieli do dziewcząt jakiegoś pokuszenia, gdyż wielu do spowiedzi się zbierało. Dla Kościka, Stacha, Łapanosego i innych młodszych chłopaków, wyznaczono nocleg na strychu.

Stach przekąsił trochę i pogramolił się na wyznaczone miejsce, gdyż przemęczony kilkunastogodzinnym marszem, kłonił do snu. Polazł zaraz i Kościk za nim.

— Wiesz Stachu co? — mówił mu leżąc do ucha — tak mi chce się chorągiew nieść, że nie lezie do ust ni chleb, ni ser, ni słonina, ni też miejsca sobie mogę znaleźć. Jak po twojemu, dadzą mi ją czy nie?

— Przecież ci już Władek powiedział: jak dadzą karteczki, to dadzą chorągiew — burknął drzemiąc.

— Otóż to... Ale jak nie dadzą karteczki?

— Jak poprosisz pięknie, to i dadzą.

— A jak to trzeba, może ty wymyślisz?

Odpowiedziało chrapanie.

Marzył o chorągwi do późna w nocy i z marzeniem o niej zasnął.

Gdy się obudził, w domu już huczało. Przez szpary szczytowania wdzierały się smugi słońca. Obejrzał się dokoła i przekonawszy się, że wszyscy śpią, stwierdził, że późno jeszcze nie było. Leżał chwilę rozmyślając, potem jął budzić Stacha, który spał snem kamiennym. Dotarł do niego, ale się go nie mógł. Gdy wreszcie nieco się rozruszał, rzekł doń:

— Wiesz, ofiarowałem na kościół swoje skórki, aby tylko dostać chorągiew.

— Jakie skórki?

— Gronostajowe dwie skórki z czarnymi chwościkami, które upolowałem zeszłej zimy podczas świątecznych wakacji. Żydy mi dawały po półtora rubla za sztukę, ale nie sprzedał. Oddam je obie na kościół. Niczego na świecie nie żałuję, aby tylko dokazać, że nie gorszy od Józika. Jeżeli on znowu będzie nieść, a mnie nie dadzą, wtedy cholernik będzie się wyśmiewał i zadzierał nosa, że mu i hakiem nie dostaniesz.

— Dobrze, ale jak ofiarowałeś, myślą tu w pościeli?

— Tak. A co?

— Może pomocniej byłoby, gdybyś przysiągł przed ołtarzem.

— Może i pomocniej. Złażmy już i pójdziemy.

W godzinę zebrali się i poszli. Pogoda trwała prześlizczna, jak dnia poprzedniego. Trotuary były wypełnione samym polskim ludem. Ściekał ze wszystkich stron potokiem w stronę kościoła.

Na trotuarze po obu stronach bramy kościelnej, stały długie rzędy szkaplerzników, przybyłych z Mińska i Wilna. Przy nich na ulicy i wewnątrz na obszernym placu kościelnym, ludzi jak mrowia. Spotykali się krewni i znajomi po rocznym niewidzeniu, witali, gwarzyli, cieszyli się wzajemnie zdrowiem, pogodą, procesją. Pod murami kościoła księża spowiadali. 12 konfesjonałów po obu stronach stało, a przy każdym był tłum grzeszników.

Poszli prosto do kościoła. Jeden z przyjezdnych księży odprawiał mszę. Mimo wczesnej pory, ledwo się przedostali ku kratkom.

Pomodlili się, Kościć przysiągł oddać na kościół swe skórki i wyszli pośpiesznie.

Dowiedziawszy się od ludzi, że karteczki na procesję będą wydawane na ganku plebanii, poszli tam obaj.

Już jej kleryk wydawał. Stała przed gankiem kolejka mężczyzn długa na chat trzy. Przebiegli po niej oczyma i znaleźli kilku chłopców ze Smolarni i jej okolic. Ale Józika nie było.

Kościć stanął w ogonie, a Stach towarzyszył mu z opodal.

Kolejka żywo wydłużała się. Po ustawieniu się za Kościćkiem kilkunastu kandydatów, zjawił się i Józik. Spoztrzęglszy Kościćka, skrzywił się niemile.

Spoglądali jeden na drugiego nienawistnie i zbliżali się ku gankowi.

Doczekawszy kolei Kościć przykląkł na jedno kolano, ucałował klerykowi rękę i rzekł:

— Proszę łaskawie Wielmożnego Kleryka o chorągiew dla mnie.

— Chorągiew dla ciebie? — obrzucił badawczo oczyma, dziwiąc się jego pokorze, albo żądaniu.

— Tak, bardzo o to proszę Wielmożnego Kleryka! — powtórzył błagalnie, niemal ze łzami w oczach.

— Tak ci jej zechciało się smyku? Dobrze. Stań tu u mnie z tyłu na ganku i zaczekaj chwilę; jeżeli nie zgłoszą się starzy chorągowie — dostaniesz. Trzy już tylko pozostało.

Staął i czekał prosząc w duchu Boga, aby tacy się nie znaleźli poza Józikiem.

Tymczasem po czterech amatorach do kordonu, naraz zgłosiło się dwóch chorągich. — Dostali natychmiast, gdyż byli to chłopcy dorośli, dobrze prezentujący się i wylegitymowani zeszlórocznymi kartkami.

Kościk zrozumiał, że już nie będzie chorągim. Żal go ogarnął. Ale czekał, wierząc, że za ofiarowane na kościół skórki, powinien coś więcej dostać, niż szeregowca do kordonu.

Jakoż doczekał się kolei i Józik.

— Jestem, proszę Wielmożnego Kleryka, chorągim z zeszłego roku i teraz o to łaskawie proszę — powiedział, pocałowałszy klerykowi rękę. Oto karteczka stara.

Kleryk obrócił się w tył ku zrozpaczonemu Kościkowi.

-- Widzisz chłopcze, że do chorągwi są starzy.

— A co, proszę Kleryka, on też o chorągiew prosi? — zawołał Józik zuchwale.

— Tak. A co, on ci znajomy?

— Jeszcze jak! — Jeżeli kleryk chce, aby procesję pobuntował, to niechaj sobie mu daje. Założyć się, proszę kleryka, mogę, że jak wielki wiatr dmuchnie, on powali się, zniesławi chorągiew i wstydu dla wszystkich narobi. On-żeż tylko jeszcze 15 lat ma.

-- Młodszy jestem o dwa lata od ciebie, ale silniejszy, o tym każdy wie — zaprotestował Kościk.

— Silniejszy... Co z tego, że ty silny, jak sprytu żadnego, ni chytrności w sobie nie masz. Ani ty umiesz chorągiew trzymać, ani ty znasz jak trzeba iść, jak równości pilnować.

Proszę Wielmożnego Kleryka, z niego taki ciołek niezdarney, że nawet do spowiedzi nie potrafi sam dostąpić, ale musi go ojciec za rękę wodzić.

— Łiesz beczelnie! — zawołał Kościk. — Jeżeli ty taki, to ja też nie będę milczeć.

Proszę Wielmożnego Kleryka, czy chorągiew powinien nosić chłopiec czysty, czy też może i taki, który paskudnie grzeszy?

— Musi być czysty. A co takiego?

— Gdy wczoraj przechodziły baby przez rzekę, on zakradł się w drzewnik i patrzył im pod spódnicę. Tak był od nagosci dziewcząt, jako oto od nas, do tego okna.

— Breszesz! — zaprzeczył Józik. — Było tak, jak do węgła.

— A toś ty taki bezwstydnik! — zawołał kleryk.

— Proszę go nie słuchać, ja nie patrzył pod spódnicę, ale tylko chciałem podrażnić się z dziewczętami.

— To jest jedno, proszę kleryka, — oskarżał Kościk nadal. — A drugie, to udarł ręką dziewczynę, która nazywa się Zośka, tam, gdzie nie potrzeba.

— A tyś to święty?! Ty to nie masz swojej, nie lubisz się z nią?! Proszę kleryka, on też lubi się z dziewczyną. Do samego Bobrujska niósł jej torbę i trzewiki.

— Tak, mam swą dziewczynę, alem nigdy ją gdzie nie potrzeba nie skubał, nigdy nie podglądał, ani nawet ją nigdy nie pocałował. Nie tak jak ty ze swoją Zośką.

— Jak widzę, przyjdzie się wypisać wam karteczki na skórce waszej! — zakrzyczał kleryk. — Bezwstydnicy! W takim wieku romanse prowadzić!... Uczyliby się lepiej czytać w wolnych chwilach, aby przez życie bałwanami nie być... Widzieli takie rzeczy!... — Oni już swoich dziewcząt mają i miłość z nimi prowadzą! A no, umiecie czytać?

— Ja bardzo dobrze czytam i piszę — pochwalił się Józik.

— Ja też uczę się, proszę Wielmożnego Kleryka — rzekł Kościk.

— Uczysz się, ale po jakiemu? gdzie? — znowu zaczął oskarżać Jozik. — Proszę Kleryka, on nie chce uczyć się w naszej smolarskiej, polskiej szkole, ale chodzi do ruskiej, do Wończy.

— Czemuż ty taki fałszywy, Józik, ha?! — zawołał Kościk. — Toż ja też chciałem, toż prosiłem się u Kazika. Czemu ty taki?

Proszę Wielmożnego Kleryka, do Smolarni mię nie przyjęli, aby ciągłego chodzenia do niej postronnego chłopca nie zauważyli ruscy, nie dowiedzieli się, że jest polska szkoła i nie donieśli uradnikowi. Prosiłem się z tatą, ale nie przyjęli.

Chodzę, proszę Kleryka, do ruskiej, ale do ruskich obrazów się nie modłę i do cerkwi nie chodzę. Szczerze mówię, jak na spowiedzi! Nawet innych polskich chłopców do trzymania się swej wiary i języka namawiam i przed muzycką napaścią bronie. Może Kleryk Wielmożny myśli, że ja kłamie, to ja przyprowadzę na świadka Staszka Bałaszewiczowego, który też w szkole we Wończy ze mną się uczył i egzament już zdawał. On po sprawiedliwości wszystko powie: ile ja razy z muzykami za swoich chłopców się bił, jak ja w carskie święto podmówił, aby nie iść do cerkwi, jak my zbuntowali się i nie poszli i jak nauczyciel potem, chcąc zemścić się za to, postawił nas z ruskimi wojować.

— Postawił wojować?!

— Tak, niby to w śnieżki zrazu, ale że ruskich było wiele, a my przed kacapami nie chcieli uciekać, ani też poddawać im, tedy dużo komu z naszych i krew z mordy puścili.

— Do krwi was pobili?!

— Tak, proszę Kleryka. Ja zawołam Staszka; on opowie wszystko. Ten oto chłopiec, co stoi pod klonem.

— Nie trzeba; wierzę ci. — Siegnął po zegarek, zobaczył czas, spojrzął na długość ogonka czekających nań ludzi i rzekł:

— Opowiedz mi, chłopcze, jak to było?

Kościk w kwadrans opowiedział pobieżnie swój bunt przeciwko prowadzeniu do cerkwi i następstwa jego dotąd, aż wzebrawszy się na stos słomy w stodole, osadził rozwścieczoną hałastrę butem.

— Zuch z ciebie prawdziwy! — pochwalił i pocałował Kościka

w czoło. — Dostaniesz najzaszczytniejszą służbę w Procesji. Będziesz niósł baldachim nad kanonikiem.

— Ja?!... Baldachim?!... — nie wierzył swym uszom.

— Tak, chłopcze. Masz oto — wręczył karteczkę, — o 11 zgłosisz się przez boczne drzwi do zakrystii i dostaniesz białe rękawiczki i komżę z czerwoną peleryną.

— A mnie proszę Wielmożnego Kleryka, będzie chorągiew? — odezwał się Józik.

— Tobie? — Nie. Pójdiesz miech pompować do organów.

— Ja?!... Miech?!... Kleryczek Wielmożny!... Czemuż to... Za cóż to? — zalamentował Józik.

— Milcz, oszczerco, bo ci wstydu wielkiego przy ludziach narobie! Jazda gdzie mówię!

Kościk skoczył susem ku Stachowi.

— Staszku!... Baldachim nad kanonikiem będę nieść!

— Ty?!... Baldachim?!...

— Jak Boga kocham, baldachim. A Józik wiesz? Miech w organach będzie pompować, a nie chorągiew nieść.

Stach parsknął śmiechem.

— Nie śmiej się, bo może dojrzeć kleryk i pomyśleć, że z niego.

— Jakże ty wyprosił u niego? O czym wy tyle rozmawiali?

— Józik nie chciał, by ja dostał chorągiew i oskarżył mnie, że ja strasznie nieudały, że tato mię za rękę do spowiedzi wodzi i że ja nie chcę po polsku się uczyć, ale po rusku.

— Taki fałszywy!...

— Chodźmy na kwaterę, opowiem ci po drobności w drodze.

Poszli na kwaterę, spożyli śniadanie i za godzinę wrócili.

Odprawiała się już Msza główna, celebrowana. W kościele i przed nim na placu aż do ulicy, ścisk był okropny. Dwa rzędy żołnierzy Polaków z bobrujskich pułków i cywilnych kawalerów, splótłszy się ramionami, trzymali przejście od bramy na placu aż do presbiterium w kościele. Korzystało zeń duchowieństwo, członkowie Komitetu, kandydaci do parady procesyjnej, oraz służyło ono do wynoszenia z kościoła omdlałych niewiast. Członkowie zorganizowanego przez kanonika pogotowia, pracowali bez wytchnienia.

Kościk udał się do zakrystii, Stach zaś pozostał na placu.

Wpół do dwunastej rozległy się dzwony. Tłum zakołysał się, trzymane przez kordony przejście do kościoła rozszerzyło i zaczęła wychodzić procesja.

Rozpoczął ją staruszek siwieńki w komży, niosąc drewniany krzyż z Męką Pańską.

Za nim o kilkanaście kroków, wyszła kolumna dwanaście takich samych starców, w komżach z płonącymi świecami w rękę. Jednym z nich był Kantyczka smolarski.

Za starcami, w takiej samej odległości, Kazik Zdanowicz i Jaś Ładan wynieśli dwie chorągwie z wizerunkami archaniołów: Michała i Gabriela.

Potem wyszedł sztandar Trójcy Przenajświętszej, patronującej kościołowi z pajęczyną białych i amarantowych wstęg; sztandar niósł kle-

ryk, wychowanek kanonika, a wstęgi trzymały najurodziwsze mieszczyki bobrujskie.

Dalej wypłynęły szpalery dziatwy do pierwszej komunii: wprzódy dziewczynki w białych sukienkach ze złożonymi nabożnie rączynami, później chłopaki z książkami w ręku.

Za dziećmi grono szlachcianek dworskich wyniosło obraz Matki Boskiej Majowej spowity w żywe kwiecie i zieleni, a potem nastąpiły hufce młodzieży starszej — bujnej, urodziwej, dobieranej. Zrazu przeszło sto dwadzieścia dziewcząt zaściankowych, caluśkich w bieli z welonikami na głowach, z kwiatem lili w rękach, potem, po parze chorągwie, czterdziestu uczniów gimnazjalnych w mundurkach ze złożonymi guzikami, a na końcu sto smagłych chłopców w opaskach. Serce rosło, pierś rozpierało dumą, patrząc na te hufce, że to kraj kresowy tyle zdrowia i urody w sobie ma, tyle obrońców wiary i zwolenników idei Królowej Jadwigi świętej hołduje.

W dalszej kolei szły przeplatając się ze sobą: sztandary z pajęczynami wstęg, niezliczone chorągwie, obrazy i posągi pomniejszych dostojników niebieskich. Wszystko było przybrane w kwiecie, w zieleni, przy wszystkim była młodzież w bieli.

Gdy to wszystko przeminęło, wtedy kroczyło samo duchowieństwo: w pierwszych dwóch czwórkach klerycy i wikariusze z dekanatów i większych parafii; w następnych proboszcze; hłuski, starodroński, osi-powicki, szacki, błoński, berezyński, świstocki, szkłowski, bychowski, złobinowski, szaciński i parycki; w ostatniej dziekani: słucki, ihumeński, rohaczewski i rzeczycki.

Potem ks. kanonik Krasieński prowadzony z jednej strony przez dziekana mohilowskiego, ks. Światopełk-Mirskiego, a z drugiej przez radcę Nieśmiertelnego najważniejszego pana w kraju, — niósł monstrancję świętą. Kościak Wasilewski i trzech innych, równych mu wzrostem, smagłych chłopców, odzianych w koronkowe komże z czerwonymi pelerynami, trzymali nad nimi baldachim; ks. proboszcz Bujnowski kadył przed nimi, a cztery małe dziewczynki sypały pod nogi kwiatuszki, dygając za każdym razem. Z tyłu postępowały orkiestra i chór potężny dyrygowane przez miejscowego kapelana, grając i śpiewając chwałę Przenajświętszego Sakramentu.

A wtedy już, za spletem poczwórnego kordonu osłaniającego chór, toczył się nawałniczą lawiną tłum niezliczony. Póki procesja przechodziła, stał zwartą masą w kościele morzem szerokim, jak okiem dojrzeć, na placu dokoła kościoła, ulicy, płotach, nawet dachach okolicznych domów, patrzył na płynące szpalery młodzieży, chorągwie i wszelkie inne świętości, liczył je, podziwiał wspaniałość manifestacji, słuchał tryumfalnego bicia dzwonów i radował się duszą całą. Dojrzawszy baldachim, zafalował, zakotłował się gwałtownie i natarł ze wszystkich stron ku niemu.

Lecz ujście znalazła tylko wąska struga, jaka przez bramę przesunąć się mogła, reszta kołysała się dokoła burzliwie, niczym łan żyta zielonego w dzień wietrzny. Nikt w nim nie był pewien swej woli; najmocniejszych mężczyzn nosiły rozhuśtane fale w przód i w tył, jak wzburzona woda szczapę jakąś.

Tysiączne tłumy przewalały się co parę minut przez bramę, a pozostające na placu morze było jednako szerokie i burzliwe. Czasami zacinały przejście tłumy z zewnątrz i wtedy ścisk przy bramie jeszcze się powiększał.

Tymczasem dzwony umilkły zwiastując, że kanonik zatrzymał się przed jednym z przyrządzonych w mieście ołtarzy. Tłum uspokoił się i pochylił głowy, szepcząc modlitwę.

Za chwilę dzwony znów uderzyły i tłum znów zafalował, zaczął wytryskiwać fontanną na ulicę i przedłużać za procesją pochód. Końca zdało się tej migotliwej barwami chust i łysinami rzece głów ludzkich — która się toczyła ulicą, nie będzie. Wciąż rosła — wydłużała się w bezkres. Wreszcie wypróżnił się kościół, opustoszał plac, obnażyły płoty i dachy — a jednak wciąż jeszcze ściekały luźne grupy z zaułków, wychodziły z bram, furtek, łączyły ze sobą i wciąż przedłużały pochód.

Lecz skończyło się. Stutysięczne rzesze płynęły miastem, zwiastując swoim i ciemieżcom, że oto po stu dwudziestu latach rusyfikacji, zakazaniu nauki w języku ojczystym, zamykaniu kościołów, chrzczeniu dzieci  $\&$  małżeństw mieszanych w cerkwi, zachęcaniu do przejścia na prawosławie nagrodą służby rządowej, nadziale ziemi i innych sposobach jeszcze i w kraju dalekich kresów b. Rzplitej wielka siła narodu polskiego pozostaje, narodu, w którym jakkolwiek już zatraciła się częściowo mowa przodków, jednak trzyma się świadomość swej odrębności, płonie wiara żarliwa, wiąże go zdumiewająca solidarność i miłość braterska i mieszka w nim duch.

## XV.

### ODJAZD DO AMERYKI

Liczna rodzina Bałaszewiczów w Smolarni zaczęła się kruszyć i łać. Na św. Piotra jedna z paniem wyszła zamąż. Po siewie żyta, Władek z Bronisławem wyjechali do Ameryki. W początkach zimy, druga siostra wyszła zamąż. W wielkim poście umarła matka. Na Palmową umarł ojciec. W tydzień po pogrzebie ojca, Jan z Marcinem podzielili się gospodarką i ziemią. Marcin pozostał od wewnątrz zaścianka. Jan skraju.

Losy Stacha nie potoczyły się torami, jakimi marzył w okresie nauki w szkole wończańskiej. Ani ojcu, ani synowi nie przyszło do głowy informowanie się zawczasu o metodzie i warunkach przyjmowania kandydatów do szkół średnich. Myśleli, że tak samo się wstępuje, jak i do wończańskiej szkoły: przyjechał, zapisał się, zapłacił, dostał książki i uczył się. Do gimnazjum w Bobrujsku stawił się bez żadnych przygotowań, już w okresie składania wstępnych egzaminów i oczywista — nie mógł być przyjęty. Aby nie tracić roku, wstąpił do dwuklasowej szkoły w Birkach, kierownik której, zapewnił, że po zimie nauki u niego, wejdzie do gimnazjum od razu do klasy drugiej. Podejmował się nawet, za specjalnym wynagrodzeniem, osobiście przeprowadzić wszystkie związane z wstępem formalności. Ale wiosną rodzice zaczęli się chwiać w zamiarze dalszego kształcenia syna. Odstraszało ich kosztowne utrzy-

manie w wielkim mieście, co przy gospodarce nadwyreżonej wyposażeniem dwóch sióstr naraz i do tego podzielonej, był dla nich ciężarem nielada. Po drugie chłopiec potrzebny był do roboty; na najemnika nie mogli sobie pozwolić.

Pomówili, poradzili i napisali o radę do Władka z Bronikiem. Prosilili pozornie o radę, ale zarazem domawiali się o pomoc, gdyż o nią właśnie im chodziło.

W odpowiedzi otrzymali propozycję wysłania Stacha do nich do Ameryki. — Przyślijcie tu do nas smarkacza, — pisał Władek, — to go wyuczymy na co tylko zechce. Jest tu wszelakich szkół, gimnazjów, wszelakiej swobodności w nauce, w jakim chcesz języku, że tylko miło. Dawajcie tu smyka, to z niego prawdziwych ludzi zrobimy, a nam weselej z nim będzie. — W tydzień 150 rubli na drogę przysłali.

Stach przyjął propozycję z zapalem. Zgodził się też i ojciec. Matka z razu sprzeciwiała się, ale potem i ona przystała. Należało tylko poszukać starszego i znajomego towarzysza do podróży, gdyż Stach zaledwo liczył niecałych 13 lat. Akurat posłyszeli, że na przyszłą wiosnę wybiera się do Ameryki wujek Stacha, zamieszkały w okolicach miasteczka Berezyny, postanowił tedy nań zaczekać.

O wstęp do gimnazjum, ma się rozumieć, już się nie starali. Pozostał w domu przy gospodarstwie. W wolnym czasie zimą pomagał Kaziłkowi w prowadzeniu szkółki, albo zaczytywał się w powieściach i marzył o kraju swej przyszłości. Wiosną wędrował co parę tygodni do wujka i naglił go do wyjazdu, gdyż ten marudził, odkładał z miesiąca na miesiąc, wahał się. Obawiał się, iż się rozmyśli i wcale zaniecha zapowiedzianego wyjazdu.

Ale w końcu się zdecydował. Zapłacili Żydłkowi agentowi przewoźowemu kosztą podróży i w porozumieniu z nim ustalili termin wyjazdu. Ze względu na ogromną odległość ich domów, ułożyli się, że wujek nie będzie zajeżdżał do Smolarni, ale pojedzie bezpośrednio do Bobrujska, gdzie Bałaszewicz przywiezie syna.

Lato już było, sam kośbowy czas. Pogoda, aż migało się w oczach.

Wybrali się w dwie godziny po południu, tak aby następnego ranka być w Bobrujsku. Ze względu na czas, na pożegnanie przyszli tylko krewni i najbliżsi Stacha przyjaciele: Kościk Wasilewski, Kazik Zdano-wicz, Adaś Łapanosy i Karapuzy, sierota wzięty przez stryja Marcina za syna. Matka i bracia płakali, przyjaciele zapewniali o swym przywiązaniu, żalu i prosili o pamięć. Kościk przysiadł się na wóz, ofiarując swe towarzystwo parę wiorst za wieś.

— Staszku — rzekł wyjechawszy z ulicy — zrobił ja ci kiedy coś złego?

— Nie, nigdy. Droższy ty mi od rodzonych był i będziesz.

— Tedy gdy wybijesz się, to może i mnie zabierzesz do Ameryki?

— Pojechałbyś do mnie?

— Bez Karuśki to nie, ale gdyby i ona zechciała, to czemu nie.

— Póki żyw będę, ciebie nie zapomnę, ostatnim kawałkiem chleba, ostatnią koszulą się podzielę z tobą.

— No, to ja odpłacę się! — pochwyił Stacha w ramiona.

Wiózł ojciec syna, pouczał jak należy prowadzić się w drodze, na-

kazywał odmawiać rano i wieczór pacierze, w drodze słuchać we wszystkim wuja, w Ameryce stryjów i nie zapominać o rodzicach.

— Pamiętaj, synku, — mówił, — choćbyś tam i wysoko się wybił, nie zostań świnią. My ciebie karmili, hodowali, uczyli, tedy i ty o nas musisz pamiętać mieć.

Zachodem popaśli się z godzinę i jechali nocnym chłodkiem dalej.

Jadąc szosą, świtanie spotkali czwórkę strażników konnych mknących wichrem.

— Gdzieś pokradli konie, albo Żyda zarznęli — zauważył Bałaszewicz.

Nie przejechali więcej jak pół wiorsty, znowu tym samym pędem przemknęło dwóch strażników, a po chwili dwóch stanowych i pluton kozaków.

— Ale to co się stało?! Pożar jaki, albo bunt może?... — dziwili się.

Niedługo spotkali rząd wiejskich furmanek i te jakby przed kimś uciekały; pędziły, że aż koła do góry podskakiwały. Bałaszewicz próbował tego owego zatrzymać, by wypytać o powód pośpiechu, ale na jego machanie ręki, najmniejszej uwagi nie zwracano.

Lecz wracał akurat z miasta Pokłacki z Jam, który poznawszy ich, sam się zatrzymał i zagadnął pierwszy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, powie Bałaszewicz.

— Na wieki wieków, amen, powie Pokłacki.

— A to akraz do miasta wybrali się?

— Tak, oto chłopcaż do Ameryki.

— Chłopca... do Ameryki?!... A, to wracaj waszmość do domu.

— Do domu?!... Co się stało?!

— Wojna się zaczęła. Mówili o niej ludzie, mówili i namówili.

— Wojna?! Prawdaz to?! Waszmość może bresze?

— Jej Bohu, wojna się zaczęła. Z Giermańcami i Austriakami. Zapas do 40 lat wzywają. Jak mnie nie wierzycie, to pojedźcie i zobaczycie sami, jaka kołatanina w mieście.

— Ot tobie i masz!... Ot wybrali się!... Ot dociągnęli... Przez wujkaż to wszystko. Tak, przez niego, synku. Niechajże teraz poświszczcie, jak taki był mądry — desperowali Bałaszewicze, narzekając na wuja za opieszalszość.

Pojechali, aby go obłąać porządnie.

W mieście wrzało. Gońce wojskowi policyjni biegali w różne strony jak opętani. Co chwila przeciągały ulicami silne patrole. Cywile snuli się tłumnie, śpiesznie, odzywali się krótko, gorączkowo, oblicza mieli poważne. W miejscach naklejonych afiszów, przystawali krótko i dalej śpieszyli. Gazeciarze darli się wniebogłoso: — Wojna!... Kurjer!... Telegrama!... Birzewyje Wiedomości!... Wojna!... Mobilizacja!... Rekwizycja!... — Stacje kolejowe jęczały sygnałami bez ustanku.

Monopole i restauracje szynkujące, stały zamknięte. Przy monopolach były nawet stráže. Wiele sklepów i manufaktur w obawie przed rozruchami stało zaporem. W otwartych wszystko kosztowało w dwójnasób.

Wujek wcale nie przybył; widocznie spotkała go wiadomość o wojnie w drodze.

Ajent oświadczył, że o wyjeździe już nawet mowy być nie może. Ale ze zwrotem pieniędzy kazał poczekać dobie, aż je podejmie w kasie swego Towarzystwa.

Ponieważ łatwo było w takim czasie w mieście o niemiłą przygodę, tedy zaiatwili żywo jakie mieli zakupy i wycofali się co rychlej do Zielonki, do znajomej, stojącej na uboczu zagrody.

Niemal dwie doby upłynęło nim się doczekali zwrotu pieniędzy od Żyda. Potem ruszyli do Smolarni.

Rezerwiści, wbrew przepowiedniom miejskich polityków o nieposuszeństwie w wypadku mobilizacji, ciągnęli tłumnie i ochotczo. Szosą obóz nieskończony płynął. Część jechała na furmankach stojkowych, gromadzkich, część na własnych w towarzystwie braci, synów, żonek. Rozlegały się skoczne polki na harmoniach, regionalne podcinki, przyśpiewki, krzyki i pomstowania na Giermańca. — “Czapkami zarzucamy Giermańców!” — wołano — “Damyż my jemu maszeniku, damy za naszego cara! Z nasieniem go wyniczożym, albo na koniec świata na Sachalin zagonim!” Naogół jednak, w porównaniu ze zwykłymi poborami rekrutów, jakie się odbywały jesienią, rezerwiści zachowywali się dość ludzko. Przyczyniło się do tego przezorne zamknięcie monopolek; w domu nie każdy miał kwaterkę w zapasie. Czasami tylko niektórzy konia spotkanego nie rezerwisty puha smagnał, albo bydle pasące się na drodze, albo też jakiegoś wyrostka, czy babę i tyle.

Jeden obóz się kończył, drugi zaczynał i tak ciągle. Od czasu do czasu patrole kozackie przebiegały.

Żniwo i kośba wstrzymały się prawie kompletnie. W polu pojedyncze tylko żniwki, gdzie nigdzie błąkały się bez śpiewu, bez rozhoworu. Natomiast we wsiach, tłumy zalegały ulice. Żegnano odjeżdżających. Lament był, że nie daj Boże. Kobiety zawodziły śpiewem, jak po umarłych. Płakali też i mężczyźni, którzy byli słabi na serce i oczy, gdyż sceny odbywały się wstrząsające. — “Tatko rodny, nie idź na wojnę, nie zostawiaj nas!” — jęczały czeready drobnych dzieci, czepiając się ojcowych spodni. — “Synku drogi, sokole mój, nie ujrzę ja ciebie już, nie ujrzę!” — rozpaczaly stare matki, trzymając w ramionach kurczowo swe skarby.

Wojna zaczynała się dopiero.

## XVI

### MANIFEST

W Smolarni Bałaszewicze więcej nowości znaleźli, niż ich ze sobą z miasta i drogi przywieźli.

Przybył już manifest wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, naczelnego wodza armii, który schlebiał orężowi polskiemu, obiecywał Polakom wolność i wzywał do walki z odwiecznym wrogiem Słowian. — “Jeszcze nie zardzewiał miecz Wasz z bitwy pod Grunwaldem” — pisało w manifestcie. Zrazu nie wiedzieli, co za miecz, co za Grunwald, aż dopiero Kazik z Jasiem dokopali się w książkach, że pod Grunwaldem Jagiełło z Witoldem pobili Niemców. Jakaś błogością słodką i natchnie-

niem było od owych tłustych liter manifestu. Patrzyli, czytali niezliczone razy, czyli się nawet na pamięć.

— Teraz dopiero zaczniemy żyć jak należy — cieszyli się. — Teraz to już pobudujęm kościół we Wończy. I nie będziemy już z polskim elementarzem się kryć. Dosyć korzenia się przed uradnikiem, albo przed takim sockim! Ha, kacapy! Ty go pój, ty go maź, ty go gładź, a on ci jeszcze ryje. Powinni nam “kazionną”, polską szkołę we Wończy pobudować. A jakżeż. Ruscy mają, Żydzi mają, a my to co, nie ludzie?

Stary Piotrowski twierdził, że manifest wydano skutkiem zabiegów pana Nieśmiertelnego. — Głowę dają odciąć, mówi, że gdyby nie pan Nieśmiertelny, manifestu by ludziom nie dali. Jego to kłopotanie. Wspominał mi on już był o tym Mikołajewiczu, gdyżśmy to ostatni raz byli u niego w sprawie budowy kościoła z Anichowskim. Odwołałem go na bok i pytam: — Jak tam, panie, z owym buntem? A on mówi: — Bunt wciąż gotuje się, ale zdaje się będzie można coś dostać po dobroci. Wiesz — mówi — bardzo wielkie znajomstwo zaprowadziłem z dziadzką carowym. Grałem raz z nim i dwoma germańskimi kniaziami we woza i pomogłem mu tamtych na gładko oberznąć. To, mówi, karty tak podtasuje, aby dostał same asy, to mu w potrzebie kozyra pod stół podam, albo kłodę Giermańcowi odwalę, a Mikołajewicza z ciężkiej sytuacji wybawię. Do drugiego po północy grali, a on choćby jeden wóz dostał. Gdy wreszcie wstali od stołu, rzekł śmiejąc się. — U nas mówią, że Giermańcy to chytry naród, ale jak widać, to niewiele oleju w głowie mają, jeżeli w głupiego woza grać nie potrafią. Wtedy Germańcom nie ma co mówić. — Mnie zaś Mikołajewicz mówi nazajutrz: — Pomogłeś mi obegrać szwabów, toż i ja ci odwdzięczę się; uczynię co tylko zechcesz, dla siebie, albo dla narodu twojego. — A Nieśmiertelny mówi: — Abyś tylko, wielki kniazium, dotrzymał słowa.

Ale chwalić Boga dotrzymał.

Wyprawili synów na wojnę i śledzili z zapartym oddechem jej przebieg, pragnąc dla Rosji zwycięstwa. Nie wszędzie mieszczanie tyle gazet czytali, ile odtąd zaczęli czytać w Smolarni. Najmniejszy szczegół o wojnie nie uszedł ich uwagi. Powodzeniem Ententy radowali się, klęską smucili. Dziwili się tylko, że gazety przestały pisać o zapowiedzianym w manifestie wskrzeszeniu Polski. Żadnej wzmianki, ani w ruskiej, ani w polskiej gazecie o tym już nie było. Czyżby ta sprawa tak szczegółowo i ostatecznie już była załatwiona, że ludzi przestała interesować? Oni nie wiedzieli jeszcze, czy ta Polska będzie pod carem ruskim, czy będzie miała własnego króla i dokąd będzie sięgała swymi granicami. Ten i ów proponował, by po zebraniu z pola wysłać specjalną delegację do proboszcza i dowiedzieć się jak to faktycznie z tą sprawą jest.

Tymczasem Kazik ze Stachem w porozumieniu z czołowymi gospodarzami czynili przygotowania do otwarcia szkoły polskiej w Smolarni na większą skalę. Taką prawdziwą szkołę postanowili założyć — z ustalonym programem nauki, z podziałem uczniów na klasy. Posłali do Mińska po elementarze, czytanki, obstalowali ławki pomalowane i tablice, studiowali z wypożyczonych przez Kazika wiosną jeszcze od mogilnickiego organisty podręczników, gramatykę polską i pisownię i ustalili zawczasu program. Ściepuro ofiarował na szkołę swą nową obszerną świetlicę.

W ostatnią niedzielę września, zwołali z całej okolicy rodziców, spisalili dzieci mające uczęszczać do szkoły. Kantyczka poświęcił świetlicę, ławki, odprawił nabożeństwo dziękczynne za zesłanie dla Polaków wolności i nazajutrz rozpoczęła się nauka.

W tydzień zjawił się uradnik. Zatrzymał bryczkę przed domem Ściepury i prosto do szkoły smalił.

— Ohoho! — zawołał przestąpiwszy próg. — I skamiejki... i tablica! Nastojaszczeje uczyliczce! Nu i któż to wam rebiata pozwolił?

— Co to znaczy, kto pozwolił? — rzekł Kazik. — Przecież mamy teraz swobodę.

— Swobodę?... Jaką swobodę?

— Mamy manifest naczelnego wodza.

— Gdzie? Jaki manifest?!

Kazik dostał z szuflady zachowany numer Birżewych Wiedomości i podając go uradnikowi, wskazał na tłusty druk zamieszczonego manifestu.

— Aha... Nu da... manifest... głównokomandujuszczyj... — mrucał biegnąc oczyma po wskazanym tekście, jakby naprawdę nigdy tego nie widział. — Choroszo. No, a gdzie tu pisze, że macie prawo po polsku uczyć?

— Raz mówi się równość, więc te same prawa mamy, co i ruscy. Niebawem będziemy pisali by nam kazionną polską szkołę tu w Smolarni, albo we Wończy pobudowali.

Tymczasem nadeszli stary Zdanowicz, Kantyczka, Piotrowski i Ściepuro.

— Ta równość zapewno tyczy się Prywiśleńskiego kraju, a nie Białorusi.

— Nieprawda, hospodin uradnik — wmieszał się Piotrowski. — W manifeste nie pisze się o Prywiśleńskim kraju, ale o Polakach. A czyż my nie Polaki?

— Da, Polaki. Musicie jednak, hospoda, wiedzieć, że na naukę trzeba pozwolenstwa od gubernatora dostać.

— Znaczy się gubernator skasował manifest?

— Ależ nie. Gdzież tam gubernator może skasować...

— Słuchajcie, hospoda. Ja nie przyjechał tu z wami polityki prowadzić. Stanowy mię przysłał waszą szkołę zakryć, więc ją zakrywam i basta.

— Ha, stanowy cię przysłał?! — zawołał Piotrowski. — Więc twój stanowy myśli, że dziadźko carowy pisze, a sobaka bresze, to jest jedno i to samo!

— Małczat! — tupnął nogą.

— No ty milcz, a nie ja! Myślisz, że my ci pozwolimy rozwiązać szkołę! Do Nieśmiertelnego pojedziem, a nie, to i do samego cara potrafim! Poczmy my ciebie, twójego stanowego i gubernatora też razem!

— Won stąd! — Won dzieci! Wynosić się! — zwrócił się do dzieci.

— No, ty idź won! — przybrał groźną postawę Piotrowski.

Uradnik sięgnął po rękojeść szabli.

Ale skoczyli między nich Zdanowicz, Ściepuro i Kantyczka.

— Szaleniec! — krzyknął Zdanowicz do Piotrowskiego. — Chcesz nieszczęście na zaścianek sprowadzić?! Precz!

Ściepuro w międzyczasie zwrócił się do uradnika.

— Uspokójcie się baryń. To jest dureń, który sam nie wie, co gada. Wy lepiej od nas znacie prawo i my wcale nie myślimy z wami, władzą zadzierać. To możemy tak zrobić, że wilk będzie syty i koza cała. Wy nam zostawcie szkołę, a my wam nasypimy cztery worki owsa pierwszy sort.

— Nie mogę, hospoda, stanowy przykazał zakryć.

— Możemy też wóz jabłem antonówek nasypać, — dodał Kantyczka.

— I beczkę miodu — dołożył Zdanowicz. — Ostawcie, baryń nam szkołę. Przecież trzeba gdzieś dzieci nauczyć.

— Górę złota nasypcie, jednak szkołę waszą muszę zakryć. Mogę tylko nauczycielów waszych pozostawić do czasu na wolności. Won dzieci!

## XVII.

### OKROPNOŚCI WOJNY

Wojna szalała. Mobilizowano coraz nowe roczniki rezerwistów i rekrutów, rekwirowano konie, bydło, zboże, furaz. Szły niezliczone zastępy młodych ludzi na rzeź potworną, szedł ludzki dobytek na zniszczenie marne. Niebo płonęło niegasnącą łuną, ziemia grzmiała niemilkącym hukiem, jęczała błaganiem, płaczem, przekleństwem. Krew płynęła rzeką, ludzie ginęli, jak muchy. Przemysłny i sprawny w boju wróg, pułki całe i dywizje podstawiane przez nieudolne i sprzedajne ruskie dowództwo, ścinał jednym zamachem, zamieniając je w hurby trupów, pułki i dywizje całe zagarniał w niewolę i uśmiercał je potem głodem. Dziesiątkował wielomilionową armię i posuwał się ustawicznie naprzód. Od najazdu Tatarów. Polska nie przechodziła podobnej klęski zniszczenia. Wsie zamieniały się w zgłiszcza, miasta w gruzy, a ludzie gnani przez kozacką nahaję szli w świat na tułaczkę. Niby to przed bitwą przed "Giermańcem" lutym ratowali ludzi "troskliwi opiekunowie", ale swym ratunkiem przysparzali im nieszczęścia. Pośpiech, z jakim zwykle odbywały się wysiedlenia, chaos w administracji, brak dróg, więcej powodowały śmierci niż pięciokrotne przejście linii bojowych. Ludzie dusili się w natłoku, padali z wycieńczenia, głodu i zarazy.

Jesienią roku 1915 Bobrujsk stał się widownią wstrząsających tragedii. Szosa, ulice, obie stacje kolejowe, wały twierdzy, poligon, zamieniły się na jarmark lamentu i rozpacy. Wszędzie wozy, budy, tłumy wycieńczone, głodne, konie i bydło zdychające, zewsząd błagania o pokarm, o miłosierdzie. — Człowiecze! — czepiano się miejscowych przechodniów — dajcie chleba, jeść chce! — Człowiecze, kupcie konia, wóz kupcie, maszynę do szycia, poduszki, kozuch! — Za dwadzieścia rubli klacz rasową sprzedam! Za pięć rubli maszynę! za rubla poduszki! Zmiłujcie się człowieku, kupcie! dzieci z głodu umierają. — Co mogli sprzedawali, zebrali, gdzie dało się kraść, rabowali. Głód nie ma nic wstydu, ni trwogi. Zwierzęta gryzły drzewa, chwytaly piasek. Płacz dzieci i kobiet, krzyki mężczyzn i żołnierzy zlewały się z rzeniem koni, rykiem bydła czyniąc wrzawę, że włosy na głowie stawały dęba.

I po co to wszystko — żeby kto spytał władz — zgromadzili w jednym miejscu jeżeli nie przygotowali zawczasu żywności i przytułku? Czemu przynajmniej nie skierowali ludzi małymi wiejskimi drogami, gdzieby łatwiej mogli znaleźć żywność dla siebie i dla chudoby.

Komu udało się chociaż za znikomą cenę spieniężyć wóz z koniem, ten siadał na pociąg i jechał w głąb Rosji koleją; reszta po kilkudniowym bezcelowym postoju ruszała wozami na Rohaczew i Mohilew. Na ich miejsce, inne tabory spod Słucka przybywały.

Szosa, jak długa, ubieliała się po bokach krzyżami, zaśmierdziała ścierwem. Grzebano tam, gdzie śmierć nastąpiła, bez trumien, bez obrządku; krzyż tylko ciosany z gruba siekierą, albo sklecony prymitywnie z brzoźowych surowych drążków, stawiali dla oznaki, że to nie ścierwo bydłace, ale chrześcijanin zakopany.

Mniejszymi szlakami ciągnęły tysiączne hurty bydła. Dzień i noc rozbrzmiewały przy gościńcach ryki i nawoływania wojskowych pastuchów. Dziw człowiekowi było skąd tyle chudoby brali, kto jej tyle nadołował. Padało po drodze, jak trute gdyż kilka setek wiorst już przewędrowało takim tabunem, bodząc się wzajemnie, tratując paszę pod nogami, prawie ciągle głodne i spragnione.

W lasach pojawiła się nienotowana nigdy ilość wilków. Stadami chodziły, w dzień biały przy drodze żarły ścierwo, najmniejszej na człowieka nie zwracając uwagi.

Front przesuwał się ustawicznie na wschód. Wprawdzie gazety podawały, że już niemiecką ofensywę powstrzymano i że niebawem rozpocznie się kontrofensywa, jednak przez Żydów dochodziły słuchy zupełnie przeciwne. Mówiono, że jeżeli uda się zahamować pęd Niemców, to tylko na Berezynie, albo aż na Dnieprze. Ludziom ręce nie podejmowały się do pracy. — Po co mamy robić — powiadano po wsiach — jeżeli nie wiemy, czy przyjdzie się żyć.

Nie opatrzyli się — zaczęto wyganiać ludzi do kopania nad Berezyną okopów. Pieszko i z furmankami. Jeździli po wsiach pisarze gminni z policją zapisywali zdolnych do pracy mężczyzn i dziewczęta i kazali w terminie dwóch dni, stawić się nad Berezyną w wyznaczonym miejscu. Z mniejszych rodzin wyznaczali po jednej osobie, z większych po dwie i po trzy nawet.

Popłoch powstał większy, niż ów po wybuchu wojny. Obiegały po wsiach słuchy, o nadludzkich wymaganiach władz względem robotników w okopach i okrucieństwach: że trzeba będzie kopać po 16 godzin dziennie bez wytchnienia, że kto nie wykona wyznaczonej roboty, kozacy będą siekli nahajami.

Ze Smolarni zapisali Kazia Zdanowicza i Jasia Ładona, którzy będąc u rodziców jedynakami, pozostawali jeszcze w domu, dalej Tryznę starego, Winiarskiego, Stacha Bałaszewicza, Karapuzego, Olesia Piotrowskiego, Łapanosego, Wicika Huszczę, Bolka Winiarskiego, Kasię Ściepużankę, dwie starsze Piotroszcanki, Polkę Winiarskich, Karusię Sokółskich, Zośkę Ładziankę i wiele innych jednej i drugiej płci. Wszystkich razem 32 osoby ze Smolarni samej wyznaczono.

Gdy odchodząc zaczęli się z rodzicami żegnać, kobiety zawodziły, jak po odchodzących na wojnę rezerwistach, a ojcowie błogosławili.

Chcieli koniecznie wyjść wszyscy razem i czekając jedno na drugie przekroczyli wyznaczony termin, niemal o cały dzień.

Gdy przybyli do Łoszy, wyznaczonej na punkt zborny dla całych dwóch gmin, ludzie już było jak maku. Łąka po jednej i drugiej stronie drogi na szerokość wiorsty, tudzież przylegająca do niej ze wschodu dąbrowa, pstrzyły się barwami chustek kolorowych, furażerek, bluz wyszywanych, świtek i pasów, niczym odpust białynicki. Ale roboty nikt jeszcze i palcem był nie tknął. Przeprowadzały się dopiero wzdłuż rzeki pomiary. Pogłoski, o rzekomo czekających naród katuszach, nie potwierdzały się, Kozaków wcale nie było, a saperzy, którzy mieli kierować robotami, odnosili się do ludzi łaskawie. Na pytania, czy prawda, że będą bili robotników nahajami, śmieli się z chłopskiej naiwności. — Cóż to my Giermańcy, aby swoich was katowali? Jeżeli front zatrzyma się na terażniejszej linii, to wy przy nas wypoczynek będziecie mieli i zarobek doskonały. Czyż nie wiecie ruskich kazonnych robót?

Całych pięć dni odbywały się pomiary, wytykanie linii, instalowanie rzeźni, piekarni, dostarczanie rydlów i kilofów. Pogoda dopisywała piękna, więc ludzie tymczasem zażywali wywczasów. Starzy wylegiwali się w cieniu dębów, młodzież ruska włożyła się tabunami po łące, śpiwając przybyłą z frontu strofkę nowej pieśni:

Bielgija, Bielgija, żal mi ciebia —  
Pjanyja Giermańcy rozbili ciebia!...

Wsie bliżej położone, sprowadziły harmcańię, skrzypce, cymbały, bębny i urządziły zabawy taneczne.

Smolarzanie, jak również inne polskie gromady, trzymali się rozłożyszy w dąbrowie, osobno, nie biorąc udziału w hałaśliwych śpiewach, ni zabawach ruskich.

Szóstego dnia zaczęło się tworzenie ze zgromadzonego tłumu arteli, przydzielanie im po parze saperów i rozmieszczanie wzdłuż Berezyny.

Kazik udał się do sierżanta, formującego artele i poprosił w imieniu smolarskiej gromady, by ich pozostawili we własnej arteli polskiej.

— A wielu was jest? — zapytał sierżant.

— Z naszej wsi jest 32 dusze, ale z innymi grupami polskimi, sąsiadującymi z nami w domu, będzie ponad 60.

— Dobrze, zbierzcie się wszyscy do kupy, ja tam do was zaraz przyjdę. Jak wasza wieś nazywa się?

— Smolarnia.

Kazik wrócił, zwołał ucieszoną wiadomością o tworzeniu się polskiej arteli, grupy z Jam, Polanek i chutorów i spisał nazwiska wszystkich.

W półtora godziny przyszedł w zastępstwie sierżanta plutonowy. Kazik wręczył mu przygotowany spis obecnych.

— Cóż, rebiata, chcecie pracować razem? — zagadał plutonowy.

— Chcemy! chcemy, hospodin zwodnyj! — odpowiedzieli chórem.

— Dobrze. Więc wybierajcie starostę. Kto z was najlepiej gramotny? Zapewno wy? — zwrócił się do Kazika.

— Ja najlepiej gramotny po rusku — wyskoczył Jaś Ładan.

— Nie, Kazik najlepiej! Kazika chcemy na starostę! — zahuczały z gromady glosy.

— Wybierajcie sobie kogo chcecie, ale po rusku to ja najlepiej gramotny.

— Prawda, prawda, Jaś lepiej ode mnie gramotny; on powinien u nas być starostą — przytwierdził Kazik, aby nie wywoływać w gromadzie sporu.

— Wy jesteście starosta i macie odpowiadać za porządek w arteli — wskazał plutonowy na Jasia. — Jak was zwać?

— Iwan Iwanowicz Ładan.

— A wy — zanotowawszy nazwisko Jasia, zwrócił się do Kazika — możecie być zastępcą jego. Zgadzaście się?

— Czemu nie, zgadzam się.

— Potem wybierzcie jeszcze spośród siebie kucharza. — Tu jął pouczać Jasia co należy czynić, gdy znajdzie się w arteli nieposłuszny, co gdy któryś zachoruje, jak należy fasować chleb, mięso, cukier, a w międzyczasie biegał oczyma skwapliwie po urodziwych smolarzankach. Dziewczeta również nie bez zachwytu nań spoglądały, bo żołnierz był nadzwyczaj zgrabny. — Wysoki, smukły, o pociągłej foremnej twarzy, o gęstej ciemnej czuprynie, ognistych oczach i o czarnych pięknie podkreślonych wąsikach. Nowe, elegancko doń przylegające ochronnego koloru ubranie nadawało mu jeszcze większej zgrabności. Pouczył krótko, sprawdził podług listy obecność ludzi i odszedł.

Przy rozmieszczaniu utworzonych arteli, smolarzanie zostali przesunięci blisko trzy wiorsty od Łoszy na południe. Była tam polanka murzonej łąki, wtłoczona przez rzekę w piękną wysokopienną dąbrowę, w formie litery u. Obszaru mogła mieć morgów trzy. U jej dna t.j. po stronie wschodniej, stał stóg siana.

Zrazu wzięli się zgodnie do budowania szałasów. Starsi mężczyźni cięli sochy, wbijali je w ziemię wiazali u góry poziomymi żerdziami, przystawiali do wiązania krokwie, snuli, młodsze zaś chłopaki z dziewczętami, cięły w odległym o parę stajañ borze, jedlane gałęzie, nosiły i kryły.

Wieczorem stało półkole jednospadzistego dachu długie na jedenaście sążni. Teren pod dachem wyrównano i wysłano miętko liśćmi. Część zajęły dziewczęta, część mężczyźni. W pośrodku, na linii rogów dachu, ułożono kilka kamieni na palenisko.

— Nie taki czort straszny, jak go malują — mówił stary Tryzna, wybrany w międzyczasie za kucharza, zabierając się do gotowania herbaty. — Jeżeli z robotą mocno nie będą przyciskać, to można będzie żyć w tych okopach. Nu, bo czego więcej chcieć trzeba? Wszyscy swoi razem jesteśmy, chatę oto zbudowali, że tylko popatrzeć się, w Łoszy żydy woły dla nas rzną, piekarze chleb pieką. Czego trzeba więcej? Najważniejsze to, że jesteśmy sami sobą; czy odezwać się po swojemu, czy paclierz odmówić, to już cię taki muzyk koniołup nie będzie przedrzeźniał. Daj Boże zdrowie temu zwodnemu!

— Nie zwodnemu należy się podziękowanie, ale feldfeblowi, bo jego prosiłem — poprawił Kazik. — Zwodnego feldfelbel przysłał.

— Ale z tego zwodnego zgrabny chłopak, — zauważyła Kasia Ściepurzanka w gronie koleżanek.

— I mnie się spodobał cholernik, — przyznała się też Polka Wiñarska.

— Urodziwy, jak malinka i do tego jeszcze undzier — dodała Zośka Ładzianka.

— Cóż z tego, że ładny, że undzier, kiedy ruski — wtrąciła Hańka.

— Na małżeństwo z ruskim nie zgodziłabym się nigdy, ale gdyby też do mnie zaczął się umizgać, to bym go pobałamuciła chętnie — oświadczyła Kasia. — Ot — na zazdrość mężczyznom.

— A po mojemu, to nie chciej raka i nie mocz fraka — zaproponowała Hańka.

— A co wy wiecie, może on i polski? On na ruskiego wcale nie podobny — zauważyła Karusia.

## XVIII.

### ŁASKAWY ZWIERZCHNIK

Nazajutrz rano, zjawili się dwaj saperzy z wozem narzędzi i rozdzielili je pomiędzy członków arteli, wyprowadzili ją na robotę. Zaczęło się kopanie rowów po wytkniętych liniach. Zakłócała robotę po całym, jak długi, brzegu Berezyny. Wmiast onegdajskich krzyków, śpiewu, dźwięków muzyki, zastękały po dąbrowie echa toporów, zatętniły kilofy, zabrzmiały rozkazy.

Po dwóch fachowych saperów stało przy każdej arteli, oprócz tego przechodzili, co chwila wojskowi inspektorzy, geometrzy, inżynierowie. Każdy wymagał akuratności w rozpoczynającej się robocie, ale robotników nie przynaglał.

Niebawem zjawił się znajomy smolarzanom zwodny. Porozmawiał chwilę z saperami, obszedł naokoło napoczęty rów, przyglądając się pilnie robocie, a najwięcej robotnikom i w końcu stanął przy Polce. Polka przyspieszyła pracę.

— Nie śpieszcie się, barysznia, nie śpieszcie, bo pomozolicie rączki — zagadnął.

— Nie pomozole; dla mnie kopanie ziemi nie nowość.

— To widać, że nie nowość, jednak dla baryszni trzeba wystrzegać się zbytniego przemęczenia, aby na krasie nie ubyło.

— Mój narzeczony nie porzuci mnie, choćbym i zmizerniała.

— Narzeczony!... A któryż to? Pokażcie mi go, to wam powiem, czy godzien waszej krasy.

— Tu go nie ma; na wojnie nieboraczek już blisko rok haruje. — Tu westchnęła.

— Nieboraczek, prawda... — Mruknął jeszcze coś pod nosem i postępował wzdłuż okopu, zagadując laskawie do dziewcząt.

— Nie brać barysznia, tak prosto, ale trochę na ukos — bo potem może ściana się obalić — zwrócił się do Karusi.

— A no, dajcie mi łopatę ja wam pokażę.

— Ja sama, ja sama, już rozumiem — nie chciała oddać rydlówki.

— Nic, dawajcie, a wy odpoczniście chwilkę. Ile wam lat? — zapytał kopiąc.

- Szesnasty poszedł od Trójcy.  
 — Taka młodziutka?! Tóż nie mieli prawa was zabierać.  
 — Tate zapisali, ale ja go zastąpiłam, bo nie ma komu żyta siać.  
 — No, a braci u was nie ma?  
 — Nie ma. Tylko tata, mama, ja i młodsza siostra.  
 — Tylko?! Toż wy sierota można powiedzieć. Trzeba wam tedy męża poszukać, to i człowiek do roboty będzie.  
 — Dawajcie już ja sama będę kopać — zawstydyła się.  
 — Nic, odpocznijcie sobie, Sofijka, odpocznijcie.  
 — Ja nie Sofia.  
 — A wy nie siostra starosty?  
 — Nie. Siostra Jasia, oto tamta — wskazała.  
 — A was jak nazywają?  
 — Mnie? — Chrzczono Karolina, a nazywają Karusia. A was jak?  
 — Chrzczono Piotr, a nazywają Pietia.  
 — Piękne imię. Przepraszam, a wy ruski, czy polski?  
 — Ja? — namyślał się. — Ja ni ruski, ni polski.  
 — Jakżeż to? Więc może Żyd?  
 — Nie. Ojciec ruski, a matka polska.  
 — Jeżeli wasz ojciec ruski, to was musieli chrzczyć w cerkwi i wy też ruski.  
 — Tak, mnie chrzczono w cerkwi.  
 Na twarzy Karusi osiadło niezadowolenie. Podoficer to zauważył i zaraz dodał:  
 — Jednak ja nie chcę w prawosławiu być dłużej; zamierzam przejść na katolicyzm.  
 — Naprawdę będziecie przechodzić?  
 — Jej Bohu przejdę! Przejdę na katolicyzm i ożenię się z Polaczką.  
 — Tak? — spojrzała mu dobrotliwie w oczy. — No, a jak was broń Boże zabiją na wojnie?...

— Hm..., jak zabiją, to nie ożenię się.

— To nic, że nie ożenicie się, ale jak nieprzechrzonym umrzecie, w piekle będziecie wiecznie.

Zwodny spostrzegł nadchodzącego oficera i oddalił się.

Po południu znowu przyszedł i tym razem przykleił się do Zośki Ściepurzanki. Prawie godzinę z nią przegawędził wyrażając zachwyt dla jej urody, sympatię dla narodu polskiego, gotowość przejścia na katolicyzm i ożenku z "Polaczką".

## XIX.

### "CZEMUŻ TY TAKA?"

Kościk był jak struty. Nie chciał jeść, nie mógł spać nie chciał z nikim mówić. Jak ona ta niebożatka? Może upada ze zmęczenia, może ją krzywdzi kacap jakiś, może naprawdę kozaki nahajami bija? stało mu ciągiem w głowie. Inni narzekali na ten pobór, starali się z całych

sił od niego wykupić, wykręcić, on narzekał, że gajowych od tego obowiązku wyłączyli i pragnął z całej duszy, by go wzięli. Wymaganą robotę by za nią zrobił i własne plecy by pod nahajki podstawił, żeby mógł.

Szedł wieczorami do Smolarni, albo na chutory, słuchać, dopytywał się. Dowiedziawszy się pewnego dnia, że zgromadzony nad Berezyną naród bawi beczynnie, uspokoił się o jej los. Lecz wtedy zrodziła się obawa o rywała. — Znajdzie się jakiś chlust i będzie ją w mojej nieobecności korwodził — myślał. Małoż to się narodu tam zebrało, mało chłopców wszelakich? — Im więcej nad tym przypuszczeniem rozmyślał, tym większy go niepokój ogarniał.

— Nasz chłopiec pewnie jakieś nieszczęście dla siebie przeczuwa, że taki ciągle zamyślony — powiedziała Wasilewska mężowi.

— Żadnego nieszczęścia nie przeczuwa, ale za młodzieżą tęskni i za dziewczyną — trafnie domyślał się przezorniejszy mąż. Dla pewności postanowił rozmówić się z synem sam na sam. Ale syn go wyprzedził propozycją.

— Wiecie, tato, co? — zaczął przy kolacji. — Robota w domu, teraz niewielka, więc pójdę w okopy i zarobię rubla jakiegoś. Słyszałem, że nieźle płacą dorosłym mężczyznom.

— Ochotnikiem w okopy?! Na śmiech ludzki! — zakrzyczał ojciec. — Ludzie uciekają stamtąd, a on będzie się prosić, by go przyjęli. Ludzie w terażniejsze bezholowie pola nie chcą siać, kartofli własnych kopać, a on o zarobkach myśli! Chata ci nasza niemila, albo pasza niesmaczna, że chcesz od nas uciekać?! — skarcił. I matka też jęła narzekać — Tobież synku wiosną, już do wojska przyjdzie się iść, a ty nie chcesz z nami być, by tobą nalubowali się przez ten czas.

— Nie puszczacie to nie pójdę — odrzekł — Będę siedział w chacie, zrać, spać, a wy lubujcie się mną. Nie pójdę.

Rozgniewał się i przez cały tydzień z zagrody nie ruszył. W końcu ojciec zaniepokoił się i zaczął nań krzyżeć.

— Zdurniejesz chłopcze ciąglým siedzeniem w chacie i myśleniem! Weź strzelbę i przejdź w las. Marsz!

Usłuchał. Podążył na klin smolarski w nadziei, iż przy siewie żyta czegoś się dowie. W samym rogu stary Piotrowski bronował. Podszedł i pozdrowiwszy go, zagadnął o córki. — Dziewczęta w okopach harują, a dziadzio z broną. — Ja starymi kościami trochę przy bronie haruję, ale oni suczki tam w okopach to bawią się sobie i wieczorynki urządzają. — odrzekł.

— Wieczorynki w okopach urządzają?!

— Wcale się nie dziwię temu. Karmią dobrze, robotą nie przyciskają, na dworze ciepło, młodzieży wszelakiej zebrało się moc, no, to co wtedy mają robić wieczorami? Bawią się.

— A któż to mówił? Może kto przychodził?

— Tak. Onegdaj przychodzili Franek Tryznów i Adaś Łapanosy i zabrali do okopów cymbały i skrzypce.

Pękła Kościkowa cierpliwość. Zawrócił z miejsca do domu i oświadczył kategorycznie ojcu.

— Puście do okopów, a jak nie, to i bez waszego pozwolenstwa pójdę!

— Idź sobie jak tak koniecznie chcesz — zgodził się wiedząc, że nic nie wskóra. — Idź powąchaj dziewczę pod spódnicę to może się uspokoisz. Idź sobie.

Zamierzał wyruszyć następnego ranka, ale nie mógł zasnąć, więc wstał z pierwszym pianiem kogutów, zebrał się i poszedł. Noca, lasem głuchym przepętnionym wilkami, z małym tylko toporkiem za pasem. Trawiony niepokojem o zagrożone szczęście, zapominał o własnym niebezpieczeństwie, o potrzebach ciała. Szedł bez wytchnienia, bez popaski. Przy rzeczulkach tylko się zatrzymywał, aby napić się wody, bo go pragnienie piekło.

Na półtóry godziny przed zachodem słońca, stanął w Łoszy. Dopytawszy w popasającym się przy promie taborze, że kancelaria mieści się w domu przewoźnika, udał się tam niezwłocznie.

Urzedowali pisarze cywilni i wojskowi. Interessantów przyjmował tęgi w skórzanej kurtce jegomość.

— No i ty niezdrów?! — ryknął do Kościka gdy przestąpił próg, że go aż w piętach zakłuło.

— Nie, baryń, ja przychodzę zapisać się na roboty — odrzekł nieśmiało, mnąc w rękach czapkę.

— Zapisać się?! Więc ty dotąd się ukrywał?!

— Nie, baryń, ja leśnikowy syn, mnie nie zapisywali.

— A więc przychodzisz na ochotnika? Mołodziec!

— Tylko proszę do naszej smolarskiej gromady, — dodał.

— Dobrze, czemu nie.

Zaciągnął go do książki, wypisał i wręczył mu karteczkę, aby mógł wylegitymować się przed starostą artelowym i saperami, wyprowadził na ganek i objaśnił drogę.

Poszedł. Po wyjściu z obrębu budynków, rozpostarła się przed nim szeroka łąka. Środkiem pstrzyły się rzędy robotników i robotnic. Większość stała wsparta na rydlach beczynnie, widocznie oczekując zachodu.

Słońko zachodziło czerwono, jak w skwar letni, lub, wielki zimowy mróz. Na niebie ani chmureczki. Z zachodu pociągał łagodnie ciepły suchowiej, donosząc z odległego o sto parędziesiąt wiorst frontu, słabe rytmiczne grzmoty ciężkich baterii.

Drożyna szła między Berezyną a placem robót.

Wiorsty nie uszedł, gdy robotnicy zaczęli się gromadzić w kupy i rozchodzić w różne strony. Jednocześnie zagrzmiaty po całej linii pieśni. Tym samym tonem, tej samej treści:

Bielgija, Bielgija, żal mnie ciebia —

Pjanya giermańcy rozbili ciebia.

Niektóre tylko gromady Belgije zamieniały na Serbije.

Po łące zaczęła się dąbrowa, potem znów polana łąki, a za nią druga dąbrowa. Prześliczny krajobraz ciągnął się. Dąbrowy wysokopienne, podbrane z gałęzi, — umurawione jakby parki miejskie pielęgnowane ręką ludzką, miejscami pofałowdowane foremnyimi wałami, przypominającymi ni to mogiły bratnie wojowników z dawnych lat, ni to nasypy obronne; co chwilę polanki uroczę; na prawo szeroka, cicha, przezroczysta rzeka, a za nią na wyżynnym brzegu bór sosnowy.

Zachodził do szafasów, pytał o swoją gromadę i szedł dalej. Blisko

godzinę szedł mrokiem, aże wreszcie napotkał znajomych ludzi z sąsiadującego ze Smolarnią Uberezia, którzy mu oznajmili, że smolarska artel mieści się tuż za pasmem dąbrowy.

— Ihryszczeż tam u waszych dzisiaj — mówił chłopiec Rusieckich, podprowadzając Kościka na drożynę, — że tylko dym idzie. Nabierało się moc saperów różnego kalibru i przyszło szlachciuków zawończańskich z tuzin.

Kościkowi sucho w ustach się zrobiło.

Minął owe pasmo dąbrowy i ujrzał na lewo od drożyny smolarski szałas. Z dala i w mroku, do czuba gęstej zarośli był podobny. Huczał rozhowerem, śmiechem, muzyką, wierzchem skry się sypały.

Chciał był podkraść się niepostrzeżenie, ale akurat wyszło kilku chłopców nazewanątrż, więc zaniechał i poszedł prosto ku nim. Byli to Romek Oleński, Wicik Huszcza i Karapuzy.

— Dobry wieczór, chłopcy! Jak pozywacie? — zagadnął.

— Patrzajcie, Kościk!... Kościk Wasilewski! Kościk! — zawołał.

— No i cóż tu u was słyszać? Bawicie się z kacapami?

— Tak bawimy się, ale bez żadnych kacapów, proszę ciebie — zaprzeczył Wicik Huszczonek. Ot, przyszli zawończańskie chłopcy i naczałstwo się zeszło z pomiędzy których, są także Polaki.

— A ty, patrzaj oto, jak my ogrodzili się przed muzyckim nieproszonym okiem nadokoła — pochwalił się Karapuzy wskazując na ścianę posadzonych jodełek, osłaniającą plac tańców.

— Cóż to i ciebie już do nas wygnali? — zapytał Wicik.

— Nie, nie wygnali. W domu robota niewielka, więc myślę pójdę i zarobię jakiegoś rubla. Podobno takim, jak ja, po rublu w dzień płacą?

— Zarobię rubla — przedrzeźnił. — Mów lepiej prosto, że przybiegłeś Bylinę pilnować!

— No, a jeżeli, pilnować, to co mi zrobisz?

— E, ja ci nic nie zrobię, ależ i ty rywalowi nic nie zrobisz: ze zwodnym bracie nie poradzisz.

— To ci nie w Smolarni buszować! — zawołał Romek, który już raz oberwał za Bylinę.

— Co?!... Zwodny?!... Jaki zwodny?! — przeraził się.

— W zwodnego twoja Bylinka wklepała się po same piętki.. — objaśnił Wicik. — Cóż ty, bracie, wobec untra-oficera? — Nol.

— Jak wklepała, to niech się klepią — udał obojętność i przeszedł za zasłonę.

Sześć par tańczyło ojre, a reszta stała naokoło przy jodełkach, lub siedziała na prymitywnych stołkach i kłodach. Cymbalista ze skrzypaczem siedzieli podług ogniska, które paliło się między placem tańców, a łukiem szałas, świecąc na obie strony.

Powiódł oczyma dokoła i znalazł ją naprzeciwko siedzącą w towarzystwie Kasi Ściepurzanki i urodziwego podoficera. — To mój wróg — poznał — przesywając go nienawistnym spojrzeniem.

— Kościk przyszedł!... Kościk! Wasilewczyk! — zaczęto wołać.

Nie oglądał się; trzymał wzrok na Bylinie, chcąc się przekonać, jakie wrażenie na niej wywrze swym przybyciem. Szczebiotała coś do "undra", uśmiechając się doń mile. Ale wnet dosłyszała wołanie, obróciła się

nerwowo, pobiegła wzrokiem po młodzieży i spotkawszy się z jego spojrzeniem, spuściła oczy w dół i nachmurzyła się.

— Kościk!... Bratko rodny! I ty tu do nas? Jak to dobrze! — witał Stach, tarmosząc druha za ramię.

Kościk obejrzał się nań smętnie bez słowa i westchnął.

— Co ci jest? Czemu ty taki? Może cię ubodło, że ten under przy Bylinie siedzi?

— Ona wklepała się w niego, — odrzekł głosem złamanym.

— Nieprawda. Chcesz pewnie, żeby ona, gdy do niej zamówi, albo przysiadzie się, w mordę mu biła? Nie wiesz, że ten zwodny jest u nas, jak to mówią: car i wojenny minister. On może z robotą przycisnąć, może sztraf zapisać, może jak zechce naszą artel rozformować i w muzyckie tabuny włączyć.

— Idź wywołaj ją do mnie na podwórz; chcę z nią rozmówić się.

— Chcesz awanturę wszczynać! Nie czep się bez powodu, nie rób awantury, bo ściągniesz biedę dla siebie i dla gromady.

— O żadnej awanturze nie myślę: chcę ją tylko coś zapytać. Schodź bratku, schodź! Będę czekał za szalasem.

— Dobrze, tyłkoż pamiętaj!...

Wiele oczu na nich spoczywało gdy rozmawiali, tedy odszedłszy od Kościka, nie udał się prosto do Karusi, ale postać chwilę z jednej strony ogniska, potem z drugiej i w końcu podszedł do Kasi.

— Kasia, dziadzio Winiarski ciebie coś woła — zełgał, aby mu dała miejsce.

Kasia wstała, a on przysiadł się podle Karusi i pochyliwszy do jej ucha, szepnął:

— Kościk przyszedł, widziałaś?

— Czemuż nie, widziałam — rzekła oschle.

— Chce z tobą porozmawiać, więc prosił, abys wyszła do niego za szalas.

— Za szalas? Jak ma co mówić, niechaj tu przyjdzie.

— Ależ on chce coś na osobność ci pomówić. Wyjdz Karuska, posłuchaj go. On bardzo cię prosi.

— Czego on chce ode mnie? Co on ciągle do mnie czepi się?! — powiedziała na głos wydymając grymasem usta.

— Co takiego, co? Kto czepi się? — podchwycił zwodny.

— Nic. Chłopiec jeden żąda, bym wyszła do niego na podwórz, ale ja nie chcę.

— Jaki chłopiec? Gdzie on jest?

— Z naszych stron przyszedł na roboty tu do nas jeden.

— Braciszek stryjeczny przychodzi się dla niej — poprawił Stach, by nie wzbudzać w undrze podejrzenia.

— Po cóż łiesz? Nie jest on mi żadnym braciszkiem.

— Suczka! — szepnęła jej na ucho i wyszedł za szalas do Kościka.

— A co, idzie? — zawołał niecierpliwie nim się doń zbliżył.

— Nie, nie chce — odrzekł obojętnie.

— Nie chce?! A co powiedziała?

— Powiedziała, że jutro przy robocie pomówi z tobą o co chcesz.

— Ot jaka się zrobiła! Nawet wyjść do mnie nie chce.

— Poniekąd, ma racje. Gdyby wyszła, to by i on za nią powlókł, podpatrzył was i wziął podejrzenie.

— Przepadła ona już dla mnie, przepadła! — zajęczał.

— Cicho, nie jęcz głośno. Chłopcy podsłuchają i wyśmiewać cieszyć się będą. Wiem, że Wicik z Romkiem, to by cię w łyżce wody utopili. Chodźmy stąd hen, to ci opowiem.

Ujął go pod ramię i prowadząc północnym brzegiem polanki w stronę rzeki jął pocieszać.

— Nie bój się, twoją będzie, a nie jego. Roboty wiecznie trwać nie będą. Skończą się, ona wróci do Smolarni, a on pojedzie sobie do diabła. Jak mówią saperzy, to więcej nad miesiąc nie potrważą.

— Wielką pociechę będę miał ze żołdackiej wycieraczki.

— Nie masz prawa ją wycieraczką nazywać za to jedynie, że z nim pomówi czy potańczy. Nic jeszcze pomiędzy nimi nie zaszło takiego, co by ujmowało jej czci. Ręce ci za to, bom ciągle na nich uważał.

— Nie łzesz?

— Przysiądź mogę przed obrazem.

Jakoż z tyłu dosłyszeli szybkie tętno kroków. Obejrżeli się. Kazik gnał za nimi. Kościk poczekał aż zbliży się, i potem rzucił się doń z płaczem, jak dziecko zrozpaczone do rodzica.

— Braciszku rodny! Pomóż mi ją ratować! Nie dajmy jej zginąć.

— Nie zginie, nie bój się. Bezpotrzebnie durniejesz — pocieszył.

— To szelma jakiś widać. Przeczuję, że ją zgubi.

— Nie zgubi. Wyprawimy ją do domu, to i po całej ich miłości będzie.

— Tak, braciszku, wypraw ją do domu, wypraw! Ona ciebie posłucha.

— Mnie to może nie posłucha, ale posłucha ojca swojego. Wezmę jutro przepustkę, pójdę do Smolarni i namówię ojca by tu na robotę sam przyszedł, a córkę wyprawił do domu.

— Zrób tak, Kaziku, zrób, to ja do śmierci, twojej dobroci nie zapomnę! Odwdzięczę się ja ci, odpłacę za to.

— Nie potrzebuję żadnego odpłacania się. Zrobię ci jak dla swojego druha, ale pod warunkiem, że będziesz mi posłuszny.

Musisz udawać do czasu, że umizgi undra wcale cię rnie obchodzą. Ot, mówi do niej, niech mówi; tańczy z nią, niech tańczy; siedzi przy niej, niech siedzi, a ty jakby nic.

— Jak serce nie pęknie...

— Nie pęknie, ręczę za to. A teraz chodźmy do szałasu, podjesz, napijesz się herbaty, porozmawiasz z ludźmi.

— Nie, teraz nie mogę. Jeść mi się wcale nie chce a rozmawiać spokojnie też nie potrafię. Taki mi żal!... — zachłysnął się żalem.

— To ci tu jadła i napoju przyniesiemy.

— Nie, bracia, pozostawcie mię samego. Ja tu sobie nad rzeką poleżę, odpocznę, uspokoję się. Przyjdę tam do was, gdy wieczorynka się rozejdzie. Idźcie sobie.

— Dobrze, chodźmy, Stachu, pozostawmy go samego.

Począł, aż się oddał, potem zeszedł z polanki między dęby, rzucił się na ziemię i zawył.

— Czemuż ty taka Karuśka moja?!... Jaż ciebie bronił, jaż tobie

służył! Czemuż ty taka niewdzięczna? Jaż za tobą jak pies wierny ciągle się włóczył, czuwał by cię nikt nie obił, nikt ci słowem paskudnym nie ubliżył, żeby jakies zło, jakaś krzywda ci się nie stała. Jaż ciebie w puszczy zabłąkaną w nocy znalazł i wyprowadził, wyniósł cię do domu. Jaż ciebie szanował, jaż tobie jak małemu dziecku godził. Czemuż ty taka?

W kogoś ty wлюбиła się? W tego undra ruskiego, w kacapa. A czyż ja gorszy od ludzi? Toż w Smolarni nie ma chłopca, któryby mię powalił, choćby mu pozwoliłem wiaść pod pachy. Już egzamin w wończańskiej szkole zdał! Już trzy lata baldachim w Białą Procesję nad kanonikiem nosił! Jaż z wikarym bobrujskim znajomstwo mam. Jaż swój, polski chłopiec... Na mnież w Smolarni nikt złego słowa, oprócz tych kogom zbił, nie powie. Za czymże ty pognąła się? Za czarnym wąsikiem, za naszywkami? A czyż u mnie wąsów nie będzie? A czyż ja, gdy do wojska pójde, naszywków takich nie będę mógł zaszuzyc?

Zalewał się łzami, lamentował, wył, tarzał po ziemi, darł palcami murawę. Dochodzące uszu odgłosy wieczorynki, dodawały mu więcej żalu i boleści. Porywające dźwięki cymbałów kłuły go szpilkami w ciemność, słodkie tony skrzypiec krajały mu ostrym szkiem po sercu.

Nastawił ucha. Grano skoczną polkę. — Zapewne kręcą się i przymlają teraz do siebie — domyślał się. — Hej gdyby nie to, że potem mogą być pokarani nasi ludzie, ja bym ci gadzino, jak zakręcił, to byś już więcej nie odkręcił! Jabym nie patrzył na twoje naszywki, na twój czyn!

Zeszedł w koryto rzeki, aby przytłumić męczące go odgłosy. Napił się wody i leżał tuż przy niej na piachu, patrząc na bieg rzeki. Szła smętnie, przykro i złowrogo jakoś. Ze szumu jej, jakoby wyłaniały się ludzkie głosy: — Leśniczonku goły! Parobku pański! Gdzie ty się pniesz? Nie dla ciebie ona. Dla pana z folwarku, dla oficera, dla grafa hoduje się ta kraska! Żeby chociaż nie zwariować — pomyślał z trwogą.

Podniósł oczy na bór za rzeką — i ten jakby swym cieniem mu urągał. Z głębi dochodziło kwilenie nocnego ptaka, albo hukanie zajęcia, a może skrzyp drzewa, a jemu przewrażliwionemu zdawało się, że ktoś nań woła: — Tyś nol wobec undra, nol... nol... nol!... Spojrzał na niebo, stamtąd księżyc wykrzywił pucołowatą mordę szyderstwem.

Obrócił się twarzą w dół, aby wcale nie patrzeć na świat.

Jakoż przypomniał sobie obietnice Kazika i doznał chwilowej ulgi. Lecz potem pomyślał, że under może pochodzić z polskiej ważnej jakiejś rodziny i że Sokołowscy mogą mu być radzi, tedy znów go rozpacz porwała.

Leżał tak gryząc się swym nieszczęściem, aż w końcu dosłyszał w stronie szalasu wzmożony hałas. Wstał i wyjrzał na powierzchnię, nie wychodząc z koryta. Rozchodzili się już. Smolarska młodzież przyjętym zwyczajem uprzejmości, towarzyszyła gościom na podwórz. Niektórzy zegnali się przed szalaszem, gwarząc coś zawzięcie na rozchodne, inni towarzyszyli aż ku drodze i dalej w jedną i w drugą stronę. W szeregu osób zdążających na południe, ukazały się też i dziewczęce sylwetki. Zadrżał na myśl, że między nimi i Karusia się znajduje, odprowadzając swego "undra". Wysadził dalej głowę, wyteżył wzrok, lecz mimo księżycowej poświaty nie mógł rozpoznać.

Wtem spostrzegł, że droga biegnie ukośnie i zbliża się ku rzece. Ruszył żywo korytem, aby zająć im z przodu i móc przyjrzeć się odchodzącej karawanie z bliska. Posuwał się szybko, bez przeszkód, gdyż deszcze nie padały od szeregu tygodni, więc między poziomem wody, a urwiskiem brzegu stałego, suche przejście było ciągłe.

Przy wejściu drogi w dąbrowę, dystans między nią a rzeką nie przekraczał pięciu sążni. Dobrawszy się w to miejsce, Kościk wysadził głowę w cieniu krzu i patrzył.

Z razu przeszło kilkunastu saperów wygwizdując Stieńka, potem spore grono chłopców cywilnych, za nimi Kaśka, prowadząca saperską pod ramię i Zośka z Anichowskim zawończańskim. — Jednakże i ichne dziewczęta fałszywe, pomyślał z pełnym zadowoleniem o Walku i Józiku. — Im piszą, że po nich usychają z tęsknoty, a tu włóczą się nocą z innymi chłopcami. Suki fałszywe!...

O kilkanaście kroków za Zośką, szła Karusia z undrem.

Kościkowi tchu zabrakło i w oczach pociemniało.

Kaśka ze saperem zatrzymali się przed dąbrową, a Zośka ze swym towarzyszem szli dalej. Karusia z undrem, zamieniwszy parę słów z Kaśką też postępowali za Zośką.

Kościkowi krew uderzyła w potylicę, na czoło pot wystąpił kroplisty.

— O Boże!... Ze sołdatem w las!... Hańba!... Hańba!... — szeptał, szcękając zębami.

Ruszył za nimi. Gdzie korytem, jak przedtem, gdzie powierzchnią czołgiem wilczym pod osłoną krzów, które ciągnęły się brzegiem w dąbrowie pasmem nieprzerwanym. Serce mu biło jak młotem, członki drżały jak w febrze. Miejscami wstrzymywał oddech i wsłuchiwał się w ich rozmowę, ale nie mógł dostyszeć słów.

Po pół stajania stanęli.

— Dalej nie pójde, wracajmy — powiedziała Karusia głośno.

— Czemu nie chcesz? Patrz, taki gaj piękny, taka nocka śliczna księżycowa!

— Nocka to śliczna, ale ja nie muzyczka włóczyć się nią po lesie z cudzym chłopcem.

— Nu, wot тебе... nie muzyczka. A Sofiaz ot i poszła. Chodźmy!

— Niechaj sobie, a ja nie chcę. Wracajmy a nie, puszczaj, sama pójde.

— No to chodźmy nad rzekę, jak nie chcesz w las. Usiądziemy na brzegu, będziemy gwiazdy na niebie liczyć, szumu wody słuchać i gwarzyć o naszym przyszłym szczęściu. Chodźmy! Patrz oto Kasia jeszcze hen stoi, na drodze tak widno.

Zeszli z drogi, kierując się ku rzece na ukos, ale po kilkunastu krokach, przed krzakami, Karusia znowu zatrzymała się.

— Nie, w krzaki nie pójde — oświadczyła stanowczo. — Zaraz będzie wracała Zośka, więc jak nie znajdzie nas na drodze, brzydko pomyśli.

— To my jej zza krzów: a ku-ku! Chodźmy! Mam ci coś bardzo ciekawego powiedzieć.

— Nie, nie pójde — odrzekła po chwili wahania się. — Boję się ciebie. Mówią, że to nieprawda, iż twoja matka polaczka, i że czysty ruski oszukaniec z ciebie.

— Ja oszukaniec?! Ktoż ci to powiedział?

— Kazik mi mówił.

— Kazik?! Jaż mu pokaże czarne na białym. Pokażę mu metrykę, paszport, książkę wojskową. Ja mu dowiodę kto jestem. Ach, Hospodi! Ja oszukaniec... Ja starszy under-oficer odznaczony krzyżem i medalami. Ja, któremu powierzyła karna tyle narodu, tyle robót. Ach, Karuśka! Żeby widziałaś, co w sercu moim dzieje się, wtedy byś nie powiedziała tak! I to kogo mam oszukiwać? Ciebie sierotkę prawie, pączka młodego. Krasawice nienahladną! Karuśka! Tyś krasze carewny! Tyś archangiel niebiesnyj. Tyś rusałka wodna! Tyś cwiетok aromatny! Konfiektka naj-sładsza! — łechtał ją wprawnie pochlebstwami, a tymczasem przytulał coraz mocniej do siebie i popychał w powziętym kierunku.

— Nie wlecz mię przemocą, bo będę krzyczeć! — zawołała przerażona jego niesamowitym tonem i natarczywością. Puszczaj, Pietia! Boję się ciebie.

— Czego, Karuśka! Tyś władczyni moja! Ja rab twój...

— Puszczaj! — powtórzyła surowiej i szarpnęła się usiłując wyrwać. Kościk znalazł się susem przy nich.

— Ty jakim prawem dziewczkę gwałtem w krzaki ciągniesz — ryknął chwytając undra za pierś.

Zwodny sięgnął po rewolwer, ale w chwili, gdy go z pochwy wy dobył, Kościk wyrwał mu błyskawicznie i smałał bębenkiem w ciemie. Zwodny jęknął i osunął się nieżywy na ziemię. Karusia puściła się co mocy w strony polany, krzycząc przeraźliwie.

— Aaaaj!... Biją się!... Ratuście!... Biją się!...

Pierwszy dobiegł saper asystując Kasi.

— Gdzie biją się?! zawołał do Kościka, który przeraziwszy się popełnioną zbrodnią, stał osłupiały przy swej ofierze.

— Gdzie zwodny?

— Kościk wskazał ręką w stronę krzu.

— Co?!... Zabity?! Kto go?! Hospodi? Piotr Nikołajewicz! — Przypadł doń i jął cucić tarמושieniem. — Piotr Nikołajewicz! Co wam? Wstawajcie! Kto was?

Ale w tej chwili dobiegli Kazik, Stach i Anichowski.

— Coś ty uczynił?! — krzyknął Kazik do Kościka, który wciąż trwał w posągowej nieruchomości. — Po cichu zaś dodał:

— Uciekaj póki czas. —

Kościk zniknął susem w krzach.

## XX.

### KWALIFIKACJA CZYNU

— Wody dawać! — zakomenderował Kazik. — Stachu! Wody czapką! Żywo!...

Rozpięli odzież, skropili pierś, wleli, rozczepiwszy pałką zęby, wody w usta, skropili twarz — ani ducha.

Tymczasem zbierał się tłum. Biegli ze wszech stron saperzy, cywile, mężczyźni, niewiasty, smolarzanie i ruscy z pobliskich szałasów. Krzyżowały się pytania, odpowiedzi, współczucia, rozkazy, groźby:

— Czym go uderzył?... Co to za Kościk? Szwornem!... Jeszcze wody!... Pod połowy sąd pójdzie... Kołem uderzył... Ujeli już ujeli!... Podwodę dawać podwodę!... Na kawałki go rozerwać bez sądu! Nie uciekł lach przeklęty! Hospodi!... taki sołdacik, taki krasawiec!...

Stosowali wszystkie sposoby ratunku: poili, moczyli, tarmosili, wołali, kołysali na płaszczu — wszystko na nic. Wreszcie podegnali podwodę, włożyli go na drabinę i powieźli do Łoszy. Dwóch saperów usiadło na wóz, a reszta z młodszym "undrem" na czele, tudzież gromada ochotników cywilnych płci męskiej puściła się w pogoń za zbrodniarzem. Przeszukiwali krze wzdłuż rzeki, przechodzili łańcuchem dąbrowy, szukali śladów, świecąc latarkami i zapalkami na piachu okopów i nad wodą. Ponad godzinę włóczyli się po okolicy, aż w końcu jeden chłopiec z Ubezrezia doniósł, iż słyszał na Berezynie wyraźny plusk płynięcia człowieka, tedy "under" stwierdził, że to przeprawiał się Kościk i rozpuścił ludzi na spoczynek.

Smolarzanów ogarnął niepokój o następstwa zbrodni popełnionej przez ich rodaka i ziomka. Przepowiadano masowe aresztowania "sztrafy", rozformowanie arteli pomiędzy niskie gromady i wszelakie inne represje. Zaczęło się szukanie winowajców, wzajem oskarżanie, powstała swarka zażarta. Jedni winili dziewczęta, że się włokły z żołdatami w gaj, drudzy w obronie dziewcząt oskarżali inicjatorów sprowadzenia muzyki i urządzenia zabawy, inni znowu czepili się Jasia i Kazika, że nie uprzedzili "undra" o przybyciu Kościka. Oburzeniu na Kościka granic nie było. — Warcho! Zabijaka! Szaleniec! — wołano pod jego adresem. — Co on narobił? Chłopca takiego udałego i dobroczyńcę, bez powodu na tamten świat wyprawił, siebie na wieczność zgubił i dla nas nieszczęście ściągnął!

Wicik z Romkiem gotowi byli szczerze współdziałać z policją w ujęciu Kościka. — On hańbę dla nas zrobił — mówili. — Za dobro złem człowiekowi zapłacił.

Karusia spazmów dostawała. Strasznie jej było żałośnie i wstyd. — Czego ona tam zaszła z żołdatem? Co ona tam robiła? — pytano patrząc na nią podejrzliwie. — Ot świat nastał!

Rankiem przyjechał uradnik ze strażnikiem, stanowy i wojskowy śledczy. Przesłuchano wszechstronnie Karusię, dalej szereg osób, które pierwsze dobiegły na ratunek "undrowi" i które miały sposobność z wieczora rozmawiać z Kościkiem. Przy oglądaniu placu zajścia, znaleziono w krzu łożowym nagan zwodnego cały załodowany.

Pomimo jasnego stwierdzenia, że zabójstwa dokonał Kościk Wasilewski na tle zazdrości o wybrankę serca, bez niczyjej namowy i współudziału, stanowy zamierzał Karusię aresztować. Podejrzanym mu się wydawało, że ona stojąc przy undrze, nie widziała czym go napastnik uderzył. Ale smolarzanie zaczęli błagać i ręczyć swymi głowami, że dziewczkę dostarczą każdej chwili i gdzie tylko potrzeba, tedy zaniechał.

Sledztwo odjechało, a saperzy, ci sami swoi, wyprowadzili po południu artel na robotę, nic nie wspominając o rozwiązaniu, słowa złego

nikomu nie mówiąc. Smolarzanie zaczęli powoli uspakajać się. Myśleli, że może coś wyższa starszyzna będzie się czepiała, ale przechodzący inspekcyni oficerowie, tylko osobą, za którą "zwodny" głową zapłacili się interesowali, przyglądając się ciekawie ze wszech stron Karusi. Zwodny, przysłany z Łoszy w charakterze instruktora obchodowego na miejsce Piotra Nikolajewicza, nawet surowo potępił swego poprzednika. Rozmówiwszy się z Olesiem Piotrowskim o zeszlorocznym wydarzeniu rzekł:

— Dobrze duraku. W domu swoją żonkę krasawicę ma, a w każdym miejscu nowej narzeczonej szuka.

— To on ma żonkę?! — podchwycił Oleś.

— A jaką krasawicę, jaką umną! Na pięć języków mówi. Pomieszczyca wielka.

— Znacie go z domu?

— Tak z Homla, sąsiad mój.

— Zapewne i on nie z prostych?

— Syn monopolszczyka i diakówny. Za ryłem jego urodziwym poгнаła się, wychodząc wbrew woli swych rodziców.

Wobec takich informacji, opinia smolarzanów raptownie zmieniła się na korzyść Kościka.

— Jeżeli prawda, że on taki oszukaniec — mówił kucharz, najstarszy wiekiem w gromadzie człowiek, gdy mu Oleś podczas wieczerzy powtórzył słowa nowego undra, — tedy Kościk dobrze zrobił, że go szelmę przygwoździł.

— Dobrze zrobił, dobrze — przytwardził chór głosów.

— Patrzejcie wy go, już mu Polaczki się zachciało! Ale się udławił sobaka. To będzie przestrogą dla innych kacapów.

— Chcecie wierzyć, chcecie nie, ale przyznam się wam, że gdyby nie Kościk, to by ja go pouczył — rzekł Pokłacki z Jam.

— Teraz wszystko można mówić, ale kto wie czyby zdobył się na taką, jak on odwagę. Zuch Kościk! Daj mu Boże rozgrzeszenie i lekkie wyprawowanie się sądowe. A ty dziewczko, jak ujrzyś kiedyś leśniczka, musisz go rozcałować za to, że wybawił ciebie od zguby — zawołał do Karusi, która ze wstydu odmówiła wieczerzy i zaszyła się głową w pościel.

— Ja też go gdy kiedyś zobaczę, pocałuję za to, chociaż nie wiem, za co ciągle na mnie krzyw był — rzekł Romek rad, że jednego rywala mniej stało.

— I Judasz gdy Jezusa sprzedawał, wprzódy go pocałował — zauważył Stach.

— Stachu! Czemu tak mówisz?! — oburzył się Romek.

— Temu, że wczoraj gotów byłeś go wydać, dziś całujesz.

— Ja wydać?! Daj Boże braciom moim i siostram to, co ja dla Kościka teraz myślę. Na żarty wczoraj mówiłem.

— Przestańcie, chłopcy — wmieszał się Kazik. — Mało mu korzyści przyniosą wasze pocałunki i zycliwe myśli. Trzeba mu pomóc czynem. W lesie przecież nie będzie wiek siedział. Na przyjście Niemców też nie trzeba liczyć. Musimy pomóc uniewinnić mu się przed prawem i to jest wcale możliwym, gdyż on nie zamordował człowieka dla rabunku i nie zastrzelił go, nie zarznął, ale zabił niechcąc przedmiotem, jaki mu pod rękę się nawinał, podczas obopólnej bójki o dziewczynę, co też poniekąd

i świadki pokazali. Musimy zebrać parę setek rubli, posmarować stonowego i wynająć adwokata, by pouczył Kościka jak powinien się tłumaczyć i sprawą pokierował.

— Ja daję dwutygodniowy zarobek — rzekł Oleś.

— Ja daję trzeczygodniowy — prześcignął Kartawy.

— I ja daję!... I ja daję! — zgłaszali się ofiarodawcy na wyścigi.

— Czekajcie, chłopcy, czekajcie — przerwał Stach. — Niewiadomo jeszcze gdzie on jest teraz, trzeba go wprzód odnaleźć.

— Odnaleźć go nie trudno; jeżeli prawda, że przeprawił się przez Berezynę, to będzie u swych krewnych w gminie gródczańskiej, a jeżeli nie, to w puszczy koło domu — oznajmił Kazik.

— Zróbcie mi przepustkę, to pójdę jutro i odnajdę go.

— Puście mnie, braciszki! — zawołał Romek. — Chcę dowieść, że nie Judasz dla niego. Pójdę, odnajdę, powiem co każecie i przeproszę od siebie. Puście mnie, braciszki! — błagał.

— Dobrze, pójdziesz sobie, jeżeli tak chcesz koniecznie — zgodzili się Jaś z Kazikiem.

Naradzili się wieczorem hurtem, i nazajutrz wyrobiwszy mu przepustkę, wysłali go do Potoki, polecając powiedzieć starymu Wasilewskiemu, że gdy wie o synie, to niechaj przyjdzie w jego sprawie do nich do okopów; a jeżeli nie wie, to niechaj szuka w puszczy i po wszystkich krewnych i przyjdzie gdy go znajdzie.

## XXI.

### UCIECZKA

Kościk szedł korytem rzeki w kierunku południowym, aż natknął się na łachę. Brzegami rosły rohoże, trzcina, sitowie, środkiem błyszczała na szerokość dwóch chat woda. Wsadził w nią kija — bezdenne bagno. Co robić? — myślał.

— Gdyby noc była ciemniejsza, świtkę i buty zatopiłby w bagnie i puściłby się wpław przez Berezynę, ale przy takiej poświacie kaczka nie mogła przepłynąć niepostrzeżenie. Czekanie w rohożach, aż przewali się księżyc w bór, wobec wzmagających się krzyków z tyłu, również było ryzykowne. Pomyślał, posłuchał i ruszył na szczęście szuwarami wzdłuż lachy.

Gdy się urwały, był już poza strefą robót, przy lesie. Zagłębił się weń, legł i rozmyślał.

— Gdzie iść teraz i co czynić? — zadał sobie pytanie. — W puszcze iść i siedzieć w niej. A ile, dokąd? Może Niemcy przyjdą, a nie, może wojna prędko się skończy, tedy ajenci do Ameryki wywiozą. No, a ona? Zecheż ona do mnie pojechać? Pomyśliż chociaż o mnie bez twrogi, bez potępienia! Jaż zabijaka!... Katorżnik!... Potępieniec wieczny! Palcami mię ludzie będą teraz wytykać i jak od cholery uciekać, gdziekolwiek sie obróce, póki żyć będę! Jaż zabijaka!...

Taka go rozpacz porwała, takie owładnęło nim przygnębienie, iż przez chwilę gotów był wrócić i oddać się w ręce sprawiedliwości.

Ale później przypłynęła fala otuchy. — Nie może być, ażeby tak od jednego stuku kipnął. Zapewne go tylko zamroczyło. No, a choćby tak i wypuścił ducha to czyż ja mogę być równany do zwykłego bandyty ludo-reza? Jak Bogaż kocham nie myślałem go na śmierć... Ot Garczyk zaka-trupił malca drzewem — przyszło mu na myśl jedno nieumyślne zabój-stwo w okolicy — a jednak nikt go palcem nie wytyka, ksiądz daje roz-grzeszenie i dziewczki idą tańczyć, jak z każdym innym.

Przypomniał z jaką chytrą zwozdy Bylinę podchodził, jak ją włókł gwałtem i zupełnie przestał żałować czynu.

— Dobrzem i zrobił, warto gadzinie, warto! — aprobował. — Szkoda jeszcze, żem go dla pewności nie powtórzył. Ha bestia!...

— Jednak popełniłem zabójstwo i przyjdzie się za nie odpowiadać — wracał po chwili do rzeczywistości.

Myślał, rozpaczał, truchlał, to znowu krzepił się otuchą, unosił gniewem. Męczył się tak w rozterce, aż nastąpiła ciemność, zwiastując zbliżanie się dnia.

Wstał i poszedł lasem w kierunku Smolarni. Niebawem senność go ogarnęła nieprzewyciężona. Przez dwie noce przecież, ani na włoskę nie zasnął. Zaszył się w gęstą wierzchoinę i zasnął jak kamień.

Gdy się obudził na dworze mrok był. Nie wiedział czy to ranek, czy wieczór, nie mógł poznać z której strony przyszedł, a w którą trzeba iść. Postanowił czekać, aż zaświecą na niebie gwiazdy, albo rozwidnieje, by móc się zorientować i wziąć właściwy kierunek. Brzuch z głodu tak się wciągnął, że ciężko mu było oddychać.

Jakoż poznał, że noc szła. Rozejrzał się po niebie i ruszył.

Niebawem napotkał chutor. Zakradł się do ogrodu, narwał brzemię brukwi, wyniósł w las, zaspokoił głód i sypał dalej.

Nazajutrz był w swojej puszczy. Ale nie poszedł na leśniczówkę. Lękał się powiadamiać rodzinę o popełnionym czynie ściągającym na nią: kłopoty, wstyd i hańbę. Pozostał w lesie, aby oswoić się z położeniem i obmyślić motywy na swą obronę.

## XXII.

### WILKI "ZJEDLI"

Romek wrócił aż dopiero na czwarty dzień późno po wieczery. Wszyscy od pierwszego wejrzenia poznali, że przyniósł nowinę bardzo złą. Głowa mu zwisała, twarz miała wyraz bolejący i zrozpaczony. Pod pachą miał spore zawiniątko. Przeszedł zmęczonym krokiem nie pozdra-wiając nikogo ku zwykłemu swemu w szałasie miejscu, ułożył zawiniątko pieczołowicie na ziemi i padł koło niego, ukrywając twarz w dłoniach jak do płaczu.

— Romku?! Co się stało?! Romku?! — posypały się pytania. Leżał chwilę nieruchomo jakby to nie do niego wołano, potem podniósł głowę i rzekł: — Co, wy jeszcze nic nie wiecie?

— Nic! Co się stało?! Mów na miłość boską. Prędeż mów! — wołano niecierpliwie.

— Nie ma już naszego braciszki ni żywego, ni martwego. Wilki zjedli całkiem.

Gromada buchnęła krzykiem przerażenia.

— Ot co tylko po naszym braciszku pozostało — dodał rozwijając zawiniątko. — Patrzcie.

Było w nim żebro i cholewa.

Dziewczęta na widok ludzkiej kości odskoczyły z wrzaskiem, zaś chłopcy jęli przyglądać się jej, dotykać patykami i dopytywać Romka o szczegóły.

— Gdzieś to znaleźli? Jak to się stało? — rzekł Kazik.

— Czekajcie, niechaj mi trochę żal odejdzie, co ciśnie za gardło. — Przełknął parę razy ślinę, marszcząc się boleśnie i wyciągając szyję, westchnął ciężko i zaczął:

— Gdym przybył do Potoki ichnej, już tam był uradnik i strażniki. Czekałem do wieczora aż odjadą, potem upewniwszy się, że Kościk na leśniczówkę jeszcze nie wrócił powiedziałem staremu Wasilewskiemu wszystko, co mi kazali, przenocowałem w Smolarni i ruszyłem z powrotem. Poszedłem na lasy, aby nadrobić czas stracony czekaniem w leśniczówce.

Ide, mijam Łapienki, kazonny las i wchodzę w kuncewicką puszcę. Tu zaraz spotykam bryczkę z objeszczykiem i dwoma leśnikami uzbrojonymi w dubeltówki. Widząc, że to ja sam tak i bez niczego w rękach, spoglądają po sobie, kiwają głowami, zatrzymują bryczkę i objeszczyk mówi.

— Cóż to i tobie zechciało się do Abrahama na piwo? Nie wiesz, że zaprzeszłej nocy wilki w naszym lesie chłopca zjedli?

Od razu mi do głowy stuknęło, że to pewnie Kościka, więc dawaj wypytywać.

— Akraz — mówię — nasz chłopiec ze Smolarni już dwa dni nie wrócił z drogi, więc może to jego zjedli? Jak on wyglądał?

— Jak wyglądał tego nie wiemy, powiadają, bo pozostały po nim tylko nogi w butach i szmaty od odzieży.

— A jakie buty, jaką odzież miał? — pytam.

— Buty starowate, przyszwy, mówią, spodnie samodziałkowe w szachy, a świtka czarna, kosmata z wierzchu.

— To on, on! To Kościk! — zawołał smolarzanie.

— Jeżeli się nie boisz, mówi objeszczyk — ciągnął Romek opowiadanie — to syp do Jurki leśnika; on ci pokaże co ma.

Wypytałem o drogę i pobiegłem do owego leśnika. Leśnik mówi, tak: buty były starowate, spodnie w szachy, a świtka czarna i kosmata, alem łachy spalił, a jednym butem podszył sobie łapcie.

— A gdzie nogi, pytam.

— Nogi, mówi, pogrzebałem na cmentarzu w Kuncewiczach. Mam tylko jedną cholewę i żebro, które znalazłem potem i to ci mogę oddać.

Zapanowało ogólne przygnębienie. Każdego na myśl śmierci z wilczych kłów, wstrząsnął dreszcz, wszystkim żal się ogromnie zrobiło chłopca. Zaczęli wdychać, wspominać, ubolewać i płakać nawet.

— Biedny Kościk! — mówili. — Tyle strachu, tyle boleści przecierpiał!... W takiej młodości zakończył życie. Takie przeznaczenie, taki los już chłopca! Nawet pochówku ludzkiego Bóg mu nie dał, ni spoczynku kościom. Tu żebro, tam nogi, a resztę bestie dzikie, przetrawiwszy razem ze śmierdzącą ścierwą, po lesie rozproszą w paskundny sposób. A jakiz chłopiec zdały był, ileż on dobrości ludziom narobił! Na świecie, jak on nie było.

Stach, Hańka Piotroszczanka i Bylina rozplakali się na głos.

## XXIII.

### SPOTKANIE

Kościk długi szereg dni mieszkał jak pustelnik w puszczy, ciągle nie mogąc zdobyć się na odwagę. Żywił się dzikimi jabłkami, kartoflami, kradzionymi na polu nocą, sypiał w dziuplach drzew, w złomach. Coraz to większy lęk przed odpowiedzialnością ogarniał, w coraz większą zapadał depresję. Schudł szczytniał, obszarpał się, zdziczał.

Aż pewnego ranka budzi się, wysuwa głowę z wierzchowy, patrzy — siedzi przy nim ojciec. Siedzi, dymi fajkę i patrzy nań. W oczach ły mu świeca. Kościk wylażł i też usiadł na przeciwko ojca w milczeniu czekając aż go zagadnie. Minut pięć patrzyli jeden na drugiego bez słowa, ale ojciec zaczął pierwszy.

— Dziwno mi — mówił — że ty już taki duży chłopiec, a palić jeszcze nie umiesz, jakby wcale nie Wasilewskim był. Masz ot — rzucił mu kilka tytoniowych liści — zwiń cygare i zapal, a zobaczysz, że ci od razu poweseleje.

Kościk zabrał się do zwijania cygara, a stary poczekawszy chwilę, mówił dalej.

— Czemu ty chłopcze taki?! Czemu ty mię za ojczyrna masz?

— Może już wiecie o mnie?... — odezwał się.

— Wszystko wiem. Ja włóczę się, szukam ciebie, ja po tobie bieduję, głowę suszę a ty ot jak! Czemu to?

Kościk przypadł ojcu do ręki.

— Tatko! Ja go nieumyślnie. Ja go wcale pomaleńku stuknął, a on i powalił się.

— Nie o to idzie. Trzeba ci było stuknąć, stuknął, to każdemu w życiu łatwo może się przydarzyć — ale czemu wróciwszy nie pokazałeś się mi?

— Lękałem się, tatko, że wy za to będziecie...

— Znaczy się ty rodnoego baćku za sukinsyna uważasz?!

Jak ty wyglądasz! Na kogo ty podobny! — Okopcony, obszarpany, bosy!...

— Podeszwy w butach poodstawały, to ja je schował.

— Ta diabli z butami! Chwała Bogu, że sam żyw.

— Jeszcze nie szukają mię?

— Uradnik już dwa razy przyjeżdżał, ale co z tego?

— Przyjeżdżał?!... Znaczy się, że on umarł?

— Tego ci nie mogę powiedzieć. Romek, gdy w zeszłym tygodniu był u nas, mówił, że jeżeli wyżyje, to zdurnieje, bo ma czerep na głowie ułamany.

— Romek Oleńskich przychodził?

— Tak. Umyślnie od gromady do mnie przychodził powiedzieć, abys gdy znajde ciebie przyszedł do nich do okopów. Mówił, że chcą adwokata dla ciebie ważnego nająć.

— Nie wierzcie mu, tatko. On z podstępem. My z nim w złości wielkiej. Ha szelma!...

— Tak uważasz? I jeżeli nie chcesz nie pójdę. Sami będziemy szukać rady. Nie bój się.

— Może przez ten czas co ważnego na froncie zaszło? Co piszą gazety, co Żydzi mówią?

— Nic. Mówią iż front w Baranowiczach wciąż stoi.

— Więc jakiej rady tatko myśli szukać, co zamierza czynić?

— Zobaczymy. Póki co przedzienesz się jak człowiek, wzujesz, zrobisz budę, weźmiesz strzelbę, będziemy ci podnosić jeść i będziesz żył jak pan. Potem zobaczymy.

— Nie usiedzę tatko w lesie długo.

— Co, smętno ci?

— Smętno i sny paskudne śnią się o czerciach. Śni się, iż włóczą za mną, gwizdzą, mlaskają mordą, jak te psy za zdychającym koniem, czując prędkie pożywienie. Tatko wie, że ja nie jestem z bojących, ale często mię nocą taki strach ogarnia, że i miejsca nie ma.

— Tedy wypowiedać się chłopcze trzeba.

— Ja już tydzień cały nad tym myślę. Ot gdy bym mógł do Bobrujska się przebrać i zobaczyć ze znajomym mi wikarym, nic bym w świecie nie chciał.

— Może ci sprowadzę którego. Nie bój się. Rodnego baćku mawszy, nie zginiessz. No, a teraz wstawaj i chodźmy bliżej Potoki. Trzebaż i matkę powiadomić, oby się nie martwiła. Ach, synku, jak ja rad, zem ciebie odnalazł! Myśleliśmy, żeś się utopił może, albo wilki cię zjedli. Takie paskudne czasy.

## XXIV.

### CHCIAŁA PANI PIWO PIĆ

Długo nie mieszkał w lesie pod opiekuńczymi skrzydłami ojca. Po trzech dniach zełgawszy mu, że idzie dla zabicia czasu do ojca chrzestnego, który również był leśnikiem w odległych o kilkanaście wiorst lasach mogilnickich, przydział się trochę czyściej: w nowszą czapkę, świtkę, kramne spodnie i stare buty, wziął na jeden dobry popas pożywienia, tą samą siekierę za pas i ruszył świtem na zachód, z zamiarem próbowania przeprawy przez Berezynę. Kierunek wziął na lasy domańskie, leżące o dwie mile na północ od Łoszy.

O zmroku stanął u ich granic. Zatrzymał się na nocleg, gdyż miejscowości nie znał, a noce z wieczora były nadzwyczaj ciemne. Postanowił ognia nie rozpalać, natomiast poszukać schronu bezpiecznego. — Rozej-

rzał się — dębina stoi z podkurem. Wlazł, przystawiwszy sękatą żerdź, przenocował i ze wschodem słońka ruszył dalej.

Teren ciągnął się wysoki, równy, las sosnowy, rzadki.

Po paru godzinach spotkał artel czernihowców, rąbiących belki na ziemianki. Po długich kozuchach smarowanych olejem i ściągniętych z tyłu we fałdy na wzór spódnicy, poznał ich gdyż takie same mieli czernihowscy kołodzieje, którzy prawie każdego lata przychodzili w smolarską puszcze giąć jesionowe obody.

Nie sposób było przekraść się między nimi przez przejrzysty sosnowy las, tedy cofnął się trochę i zatoczył wiorstowy łuk na północ. — Znow takie same fałdziaste kozuchy. Szedł dalej na północ w przekonaniu, że jednak musi się zmienić teraz i zalesienie.

Jakoż, po dobrej wiorście rzeczywiście teren pochylił się w dół, las sosnowy przeszedł w jelnik, a potem w łęg olchowy porosły krzaczastą wysoką paprocią. Środkiem ruczaj płynął. Nieduży — miejscami przeskoczyć można było, miejscami szerszy, ale czysty i nigdzie płytszy niż do kolana. Aczkolwiek nie szedł prosto na zachód, domyślał się, że to bezpośredni dopływ Berezyny i zawrócił z jego chodem, skradając się paprociami.

Z obu stron łęgu dochodziły odgłosy odbywających się robót: zrazu stęk toporów, grzmoty padających drzew, klekotanie kół, dalej rytmiczne sapanie pił podłużnych, dzwon belek jak przy zacinaniu węglów, potem tętno kilofów, gwar ludzi, szcęk rydlów, ponowne klekotanie kół i stuk wbijania gwoździ. Te ostatnie odgłosy dochodziły też i z przodu.

Przeszedł jeszcze parę stajań i ujrzał budującą się w poprzek łęgu groblę i mostek przez ruczaj.

Począł ukryty w paprociach, aż robotnicy rozeszli się na obiad, potem podsunął się ku samemu mostkowi i wyrzał na przeciwną stronę spodem. — O jakich sto kroków stały po jednej i drugiej stronie rzeczulki zasieki kolczaste, ale sama rzeczulka była wolna. O parę, stajań za drutami świeciło pole.

Kościkowi serce zabiło żywiej. Wiedział już co czynić. Cofnął się aż poza strefę robót w bór, wynalazł cienką suchą jodłę, zwałił ją, odciął pięć sążniowych kawałków, przeniósł je ku ruczajowi, związał tykiem w tratwę i czekał wieczora, odmawiając Różaniec na intencję szczęśliwej przeprawy.

Gdy dobrze ściemniało, ściągnął tratwę na wodę i popłynął popychając ją kijem. Szło bardzo powoli, gdyż ciemność była nieprzejrzana i co chwilę zawadzał o brzegi. Opierał się o ład, aby nie czynić plusku. Co pewien czas przystawał i wsłuchiwał się w głuszę nocy. — Z przodu łopotał statek rzeczny, niekiedy odzywało się hukanie ludzkie, z tyłu dochodziło dalekie — jak spod ziemi wycie wilków.

W miarę zbliżania się ku grobli, płynął coraz wolniej, starał się o większą ciszę. Dojrzawszy nareszcie biel mostku, legł na tratwę krzyżem, i jął posuwać się siłą samego prądu. Gdy tratwa zaczęła się o brzeg, odpychał ją lekko ręką i pociągając za trawę, podganiał nieco. Niczym kępa darni oderwanej od brzegu płynął.

Nie więcej niż dwadzieścia kroków dzieliło go już od mostku gdy z prawej jego strony dosłyszał przytłumione odgłosy rozmowy. I to wcale blisko.

— Pewnie straż stoi! — pomyślał z trwogą.

Pochwycił lewą ręką za kępe, przyciągnął tratwę szczelnie ku brzegowi wstrzymał oddech i wsłuchał się. — Chwilę ciszy, potem znów odgłosy rozmowy i kroki. A potem naraz krzyk:

— Stój!... Nie ujdiesz mi. Pojmaju! Stój mówię!...

Kościka w pięty zakłuło, krew uderzyła w potylicę. Wskoczył błyskawicznie na czworaki, stając w gotowości do susa.

Bezpośrednio po krzyku wezwania, potoczyło się mostkiem w lewą stronę dudnienie gonitwy i w kilka sekund wybuchnął wesoły wrzask niewieści.

— A widzisz!... Nie pojmał?! — mówił głos męski.

— Ależ ni ciśni hetak! Czujesz! Ni dziary! Miakałaj, kab ty prawaliwsia! Ni dziary każu, hdzie ni treba, bo w zuby dam! — groziła niewiasta, jednak w głosie czuć było zadowolenie.

— Tfu, żeby was cholera! — splunął Kościk, aż woda prysnęła. — Miejsca wam inszego na marcowanie się oprócz grobli nie ma! Tyle'ni strachu nadali. Ha suka jakaś! Ha potaskucha.

Począł aż oddalać się, legł znowu na tratwę, odepchnął ją i popłynął dalej.

Po półgodzinnym posuwaniu się z tą samą żółcią powolnością, zasumiała Berezyna. Kościk uczuł jakby zeń kamień stupudowy się zwałił uważnie, wziął kij, skierował tratwę na ukos prądu i zanucił cichuśko Serdeczna Matko. Nucił i wznosił raz po raz oczy ku niebu, usianemu jak makiem gwiazdami, aby Matka bacniejszą uwagę na jego modlitwę zwróciła. Przenuciwszy strofki, które umiał na pamięć, jał wołać do Matki swoimi słowami i swoją nutą:

— Matko Najświętsza! Doprowadź mię w całości do wikarego do Bobrujska i natchnij go, aby mię rozgrzeszył, radę dał, bym do spokojności poprzedniej mógł wrócić. Albo lepiej uprosz Syna, aby undra — jeżeli jeszcze nie bardzo dawno umarł, ożywił, jak ożywił ludzi mieszkając na ziemi i zdjął ze mnie odpowiedzialność morderstwa. Uzdrów go wcale, Matko Najświętsza, jeno mu trochę mordę skrzyw, albo łysym zrób, ażeby dziewczki doń mniejszą zachwytność mieli. I dopuść też, aby wiosną wzięto mię wraz z innymi chłopcami z mojego roku do wojska i abym mógł w nim dosłużyć się większego od undra czynu i wróciwszy do domu odzyskać miłość.

Płynąc ruczajem myślał był, iż po przepłynięciu się przez Berezynę tratwę rozwiąże i ukryje kłoce i łyko w lesie, aby przydały się na przeprawę powrotną. Ale w miejscu w którym wylądował leżało szerokie siewne żyte pole. Nie chcąc tracić czasu na szukanie kryjówki, zagnał tratwę w głębszą szczyrbę brzegu i zakotwiczył ją kijem.

Nikt nie ruszy — dobrze, a nie znaję — postaram się wtedy o drugą w najbliższym lesie, — powiedział sobie. — A może wcale nie przyjdzie się wracać? Może machnę do stryja w gródczynę?

Poszedł trzymając się z dala od rzeki.

Rankiem był w mieście. Szedł, jak to mówią, bez duszy w ciele. Prawie w każdym przechodniu podejrzewał zakonspirowanego policjanta, każdy zdało mu się go obserwował.

Obawiając się, że w domu Chmary może spotkać kogoś ze znajomych, nie wstąpił doń, lecz prosto podązał na plebanię.

Jakoż wychodząc na róg Puszkina, dosłyszał niedaleko z boku śpiew żołnierski. Kościk tak lubował się w marszu i śpiewie wojska, iż mimo niepokoju jaki trapił, zatrzymał się i słuchał patrząc w stronę z której dochodził.

Melodia była nadzwyczaj miła. porywająca i jakby — nie żołnierska.

Niebawem ustała i w pół minuty zaczęło się wyłaniać czoło oddziału piechoty. Zawracało ku niemu. Z karabinami.

Liczył czwórki. — Trzydzieści pięć wszystkich było. — Za ostatnią ujrzał ku pewnemu zdziwieniu — tłum cywilów.

Oddział wyrównał się w cztery struny i gruchnęła pieśń:

— Chciała pani piwo pić. Oj-jo-jo-jo-jo!

— Nie miał jej kto natoczyć Oj-jo-jo-jo-jo!

— Chciała pani piwo pić. Oj-jo-jo-jo-jo!

Kościk osłupiał ze zdumienia; nie wierzył swym uszom i oczom.

— Po polsku?!... Jezusie!... Śnię-że to ja, czy na jawie słyszę?! Polskie wojsko!... — szeptał utkwivszy wzrok w szeregi.

Buty, spodnie, bluzy i karabiny, jak u zwykłej ruskiej piechoty, ale na głowach maciejówki, a na nich orzelki polskie. I słowa płyną z ust polskie. Twarze młode, dziarskie, dumne.

— Równaj!... Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! — podaje oficer komendę. Sto czterdzieści butów grzmi jak jeden, jak jeden kołysze się sto czterdzieści bagnetów. Rzekłbyś szczotka.

— Idzie żołnierz ubogi. Oj-jo-jo-jo-jo!

Nie ma ręki i nogi. Oj-jo-jo-jo-jo!...

Z tyłu postępował tłum miejscowych Polaków dusz sto. Niektórzy aby okazać legionistom szacunek, zdjęli czapki, wielu wrażliwych płakało ze wzruszenia.

— Ot czego doczekali my? — mówiono — Swoich polskich żołdaków. Po polsku śpiewają! Nie trzy, ale trzy mówią. Słuchajcie, ludcy rodzone, słuchajcie!...

Kościk też zdjął czapkę i przyłączył się do tłumy.

## XXV

### BARDZO WAŻNY SEKRET

Jaś obracał długo patykiem kość, badał własne żebro wsunawszy rękę, pod koszulę, myślał, porównywał i w końcu rzekł:

— Wiecie, że po mojemu, to żebro nie ludzkie.

— Jakie mnie dali, takie wam przyniósł, co mnie powiedzieli — to wam mówię, a wy sobie rozbierajcie jak chcecie — rzucił Romek z gniewem.

— I mnie się zdaje, że to bydłce — dodał Kazik.

— Znaczy się ja wymyślam?! Znaczy się ja pies?! — oburzył się.

— To się sprawdzi jutro. Pokażę żebro felczerowi; on pozna.

Powiedział, zabrał zebro z cholewą i schował je sobie pod wezłowie.

Lecz gdy nazajutrz wybierając się do felczera podniósł się zebra już przy cholewie nie znalazł. Przeszukali liście i siano do ździebka — nie ma. Nikt nie wątpił, że usunął je Romek i że wiadomość o pożarciu Kościka przez wilki wymyślił ze swojej głowy, chociaż wypierał się, zaklinając na wszystkie świętości.

Ale po trzech dniach przyjechał w odwiedzin do córek stary Piotrowski i potwierdził wiadomość o pożarciu przez wilki w kunczewickich lasach człowieka, i o nieobecności Kościka w okolicach Smolarni.

— Biega ojciec co dnia po lesie, chodzili już i my ze Smolarni, ale ani słuchu, ani ducha — powiedział.

W pięć dni przyjechał Kantyczka i to samo co Piotrowski powiedział. Gdy i po następnym całym tygodniu nikt z leśniczówki się nie zgłaszał, Kazik postanowił pójść osobiście.

Tymczasem wieczorem, w przeddzień zamierzonego odejścia przyjechał stary Zdanowicz. Z miejsca go pytaniami o Kościka.

— Że wilki zjedli, to nieprawda — odrzekł ale gdzie się obraca, to ani ojciec, ani my, nikt w Smolarni nie wie.

Opowiedziawszy stęsknionym po zaścianku smolarzanom szereg drobnych wiadomości, odszedł ku drabinie do Kazika, który w międzyczasie uporządkowywał konia i szepnął mu:

— Chodźmy stąd trochę na bok; mam do ciebie sekret ważny.

— Dobrze, pójdziemy nad rzekę — zaproponował wnuk.

Poszli, usiedli przy wodzie, poczem dziadek obejrząwszy się dokoła bacznie, rzekł.

— Wczoraj przyjechał Nochim szmaciarz bobrujski i podał mi list. Rozpięczętowałem go — w środku drugi list do ciebie adresowany, a do mnie karteczka, bym ci go osobiście jak najprędzej i jak najsekretniej doręczył.

— Pewnie od Kościka?!

— Tak mi się zdaje — odrzekł, uśmiechając się znacząco. — Masz oto — dobył zza pazuchy kopertę zaklejoną hermetycznie pszenicznym rozczynem.

Kazik rozerwał ją błyskawicznie i jął czytać po cichu.

“Drogi Braciszku Kaziku!

Donoszę ci o bardzo radosnej nowinie. W Bobrujsku zjawilo się wojsko polskie. Polską mają komendę i polskie orzełki na czapkach. Okazuje się, że gazety nie kłamały, pisząc o legionach. Mówią oni, że Polska z wojny musi wyjść sama sobą, żeby tam nie wiadomo co było. Braciszku! żebyś zobaczył jakie to sprytne wojsko, jak oni pięknie idą i po polsku śpiewają, to byś nie wytrzymał. Chłopcy zdrowe, odważne, uczone i delikatne. Przeważnie z Królestwa Polskiego. Ale jest też pośród nich wiele i z litewskich i białoruskich guberniów, a także i z naszych nadberezynskich okolic jest już kilka, bo kto ma 18 lat skończonych, a pozorny i nie kaleka żaden, to go przyjmują. Gdyby nie trzymano naród w okopach, wstępywałoby od nas więcej. Staśka Szałabod ten wasz krewniak, to z okopów z Domanowa uciekł i wstąpił. Ja, można

powiedzieć, też już legionista jestem, jeno nie będę w Bobrujsku, bo mogłaby mnie policja wysledzić i zabrać za tego undra.

Przez Ciebie, Braciszku, ta szczęśliwość mnie spotkała, bo gdybyś nie kazał mi wtedy uciekać, to bym w turmie gnił, jak ludorez jaki. Dziękuję Ci za to i proszę byś tam oko miał na Karusię. Jeżeli drugi żołdat czyhający na nią znalazł się, albo może ten sam under odżyje i znowu zacznie do niej leżć, tedy proszę Cię odeślij ją do domu, jakieś to mówił, a Ci za to, jak wrócę, odwzięczę się. Ale, broń Boże, nie mów nikomu, że to czynisz z mojej namowy, ani żeś nawet ode mnie list otrzymał; w waszej gromadzie są tacy chłopcy, co chcieliby mnie w łyżce wody utopić, więc dowiedziawszy się gdzie jestem, gotowi policji donieść. Możesz powiedzieć, że od Staški Szalaboda list z wiadomością o legionach dostałeś, boć on wasz przecież krewny. Stachu Bałaszewiczowemu tylko pokłoń się ode mnie i powiedz gdzie jestem, zakazawszy jednak, by milczał i tatku mojemu, bo oprócz Ciebie i Twojego dziadka, im dwum tylko ufam. I bywaj zdrów.

Twój wieczny družaka i sługa Kościć.

— No i co? Gdzież on jest? co pisze — zapytał niecierpliwie.

Zdanowicz, domyślał się po drzeniu rąk, wnuka i promieniejącym obliczu wiadomości niezwykłych.

— W legiony wstąpił. W Bobrujsku pojawiło się wojsko polskie — odrzekł.

— Wojsko?!... Polskie?!... — zdumiał się. — Co ty pleciesz?

Kazik przeczytał cały list na głos, opuszczając jedynie zdania o Sołowskiżczance.

Starcowi oczy zaszyły łzami, wargi zaczęły drżeć i kurczyć się jak rozalonomu dziecku.

— Po polsku śpiewają... — szeptał. — Sama sobą będzie... To nie może być! Zapewne tak samo wyjdzie, jak z tym manifestem. Nie, nie wierzę. Boże! — wznosił oczy ku niebu — daj mi pożyć jeszcze...

— Wiecie dziaduńko? — przerwał Kazik. — Ja też idę w legiony.

— Ty w legiony?! — krzyknął. — Chcesz pozostawić mię starego?!... I matkę swoją?! — W głosie było zdumienie i niepokój, ale z oczu biła radość bezgraniczna. — Jak chcesz, to idź sobie, zezwalam — zezwolił nim Kazik zdążył słowo wymówić. Widocznie obawiał się, by wnuk zamiaru nie cofnął.

— Idź, dietki, jak chcesz — mówił — my z matką damy radę gospodarce. Nie bój się; lat mam wiele, alem duży jeszcze. Idź, niech cię Bóg strzeże i zdrowym do domu przyprowadzi.

Kazik ucałował dziadkowi rękę.

— Dziękuję wam dziaduńko — powiedział. — No, a teraz chodźmy cieszyć ich. Uwazam, że jeśli oznajmimy o legionach w sposób jak Kościć w swym liście doradza, nie zaszkodzimy mu?

— Nie, nie zaszkodzimy.

— A jakże ten żołdat — zapytał wstając — nie umarł jeszcze?

— Podobno jeszcze żyje.

Smolarzanie czekali Zdanowicza z niecierpliwością, pragnąc dowiedzieć się odeń więcej wiadomości o swych domach. Kucharze przyrzadzili już gościowi herbatę i sprowadzili bułek pszenicznych.

— Widać sekrety bardzo ważne macie, dziadzio, że schowawszy się od nas, tyle czasu gwarzycie? — zagadnął Tryzno.

— Tak, dzieki, sekrety. Ważne sekrety mamy. Ot, jak powiemy wam zaraz, to niejeden podskoczy. Wnuku, powiedzże im.

— Bywajcie! — zawołał Kazik, stanąwszy po środku szałas.

W ówciér minuty cała artel stanęła przy nim.

— Otrzymałem list od Staśki Szałaboda, krewnego i przyjaciela mojego — mówił Kazik drąc Kościkowy list i rzucając go w ogień — który mi donosi, że w Bobrujsku pojawiło się wojsko polskie, prawdziwe takie, z polską komendą z osobnymi oznakami, i że już jest pewność, iż Polska będzie niepodległa.

Gdyby im powiedział, że już wojna się skończyła i że już do domów mogą wracać, nie ucieszyliby się tak, jak tą wiadomością. Na parę sekund taka cisza zapanowała, że trzepot liści pojedynczych na dębach słychać było, a potem wybuchnął wrzask okrzyków radości, zdumienia i pytań.

Kazik uśmierzył hałas i mówił dalej.

— I pisze mi też Staśko Szałabod, że potrzebują do siebie więcej ochotników i że Polacy tutejsi wykradają się z okopów i wstępują jeden po drugim. On właśnie, między nami mówiąc, już tak zrobił. — Oznajmiam wam, że ja jutro też idę.

— Ja też pójdę z tobą — oznajmił Jaś Ładan.

— Ja też z wami pójdę — zgłosił się Bolek Winiarski.

— Ja też! Ja też! Ja także! — zgłaszali gotowość do wojska polskiego, prawie wszyscy obecni w szałasie, chłopcy.

— Tylko nie wszyscy i nie razem — przerwał Kazik. — Przede wszystkim, przyjmują tylko takich, którzy mają skończonych 18 lat i na wygląd są pozorni. My, co mamy te lata też nie możemy razem iść, raz dlatego, że w arteli zrobi się rażący wyłom i mogą za nami zarządzić pościg, a po drugie dużą gromadą nie potrafimy przebrać się do Bobrujska. Radzę iść partiami, po 3, a najwyżej po 4.

Poradziwszy się ze sobą, postanowili, że w pierwszej partii pójdą: Kazik, Jaś i Kartawy. Na nowych starostów wybrali Ściepurę i Olesia.

Entuzjazmowi i porywom radości nie było granic. Prawie do północy huczał szałas wesołym gwarem i okrzykami.

Kazik w międzyczasie wywołał Stacha na podwórze i powiadomił go o treści Kościkowego listu. — Stach aż podskoczył z radości.

— Ot zuch! Ot śmiałość! Od dzielność! Ot szczęście! — zawołał.

— Toż trzeba! Nad rywalem się zemścił, kary uszedł i na ludzi się wybił. Takem rad, że wytrzymać nie mogę! A ten szelma prosił Pana Boga, żeby go wilki zjedli. Ha łotr!

— Przez Bylinę tak zmyślił — zauważył Kazik.

— Ma się rozumieć, że według niej. Myślał, gdy ją przekona o śmierci Kościka, to dla niego łaskawszą będzie. Nie zauważyłeś, jak tymi dniami umizgał się do niej? Choć ty mu było w mordę daj.

— Chwat, Kościk, chwat, jak Boga kocham. Zazdroszczę, że możesz iść. A my tu cholera mamy dłużyć się w ziemi razem z babami...

— Jeżeli chcesz i masz odwagę, to ci mogę nastreczyć na kilka dni trochę godniejszej roboty?

— Co? Jakiej roboty?

— Chcę się mi, ażeby moc chłopców z naszej nadberezynskiej strony do wojska polskiego wstąpiło. W górę od nas, jest wiele gromad szlacheckich i prostych też Polaków, między którymi znalazłoby się ochotników do legionów, gdyby wiedzieli, że oni w Bobrujsku są i że można do nich wstąpić. Więc gdybyś tak potrafił zawiadomić chociaż na przestrzeni dziesięciu wiorst?

— Ja nie potrafię?! A któż wtedy potrafi? Pójdę!

## XXVI.

### KONIOKRAD

Następnego dnia rano, Jaś Ładan oznajmił, iż pozostanie do następnych partii, aby zaznajomić Ściepurę z obowiązkami starosty i przekupić pisarza w Łoszy, by nie wysyłał za nimi listów gończych.

— Jeżeli dlatego, to możesz sobie iść; my tu z Olesiem damy radę wszystkiemu — oświadczył Ściepuro.

— Jeszcze nie wiadomo czy was, dziadzio, przyznają za starostę, ot co — zauważył Jaś.

— A to czemu nie mają przyznać? — rzekł Kazik. — Raz człowieka chcą wszyscy, umie pisać, to i przyznają. Chodź braciszku ze mną; weselej nam przy sobie będzie. Przecież od maleństwa do każdej rzeczy parą chodzimy.

— Nie, braciszku, w pierwszej partii nie pójdę — odmówił stanowczo po krótkim namyśle.

— Nie chcesz, to gwałtem cię nie pociągnę.

Na miejsce Jasia przyjęli Bolka Winiarskiego. Odprawili Zdanowicza do domu, przesyłając przezeń pożegnania swym rodzicom i po południu zaczęli się zbierać w drogę. Wzięli trzydniowe urlopy, rzekomo aby odwiedzić swe rodziny, uporządkowali odzież, zaopatrzyli się w żywność i z zachodem słońca, przeprawiwszy się łódką przewoźnika przez Berezynę, odeszli.

Nazajutrz o tej samej porze Stach wybrał się w górę Berezyny zwiastować o wojsku polskim innym polskim gromadom. Jako pierwszy etap obrał artel żerdziańskiej szlachty, mieszczącą się o cztery wiorsty po drugiej stronie Łoszy.

Rad był z powierzonej misji. Szedł i myślał jakimi by to słowami szlachcie do serca trafić, radość jak największą sprawić, zapał do dzwигającej się Polski wzniecić, do jak najliczniejszego wstępowania w szeregi legionów zachęcić.

Droga bezpieczna była od zwierza i od straży, gdyż szalasy robotnicze stały gęsto, a posterunki wojskowe, do ochrony robót przed szpiegostwem i zapobieżenia wymykaniu się robotników przeznaczone, trzymano na prawym brzegu Berezyny i daleko w tyle o dobrych parę wiorst poza strefą wszystkich robót, lecz i to z rzadka, przeważnie po drogach i wzgórzach.

Sciemniało się nim przybył do Łoszy. Wraz z mrokiem niebo zaczęło zaciągać się chmurami i zrobiło się zimno.

Upewnił się w Łoszy o drogę i szedł dalej. W niebywalej miejscowości lęk go zaczął ogarniać. Powietrze niesło obcy, dziki zapach, las mruczał złowrogo. Po paru wiorstach jął żałować, że nie namówił Karapuzego, by mu towarzyszył. — Już co dwóch, to nie jeden — myślał. Byłby poszedł, gdyby mu powiedział. — Gdyby nie wstydził, zgodziłby się wrócić po niego.

Podążył krzepiąc ducha widokiem szałasów, które to tu, to tam, ciągle świeciły ogniami po prawej stronie.

Przeszedł dalej z dobrą wiorstę i zboczył z drogi do jednego szałasu po informacje, gdyż krzywiznę rzeki, podaną mu w Łoszy, aby określić miejsce zamieszkania zerdziańskiej arteli, mógł łatwo w ciemności przeoczyć.

Sami Żydzi byli. Akurat spór zawzięty toczyli między sobą o coś zalewając szałas wrzaskiem przeraźliwym. Ledwo się dopytał Żydziaka, że poszukiwana artel już niedaleko.

Minął parę szałasów i znowu wstąpił do jednego.

Był u mety. Poznał po odzieży i mowie polskiej, co jednak nie zawsze spotykało się nawet w zaściankach szlacheckich.

Artel była niewielka — dusz pięćdziesiąt. W większości mężczyźni.

— To jest polska gromada? — zagadnął.

— Polska, polska, — odpowiedziało kilka osób.

— A może jeszcze szlachta?

— Oho, jeszcze jaka! — zawołał tęgi jegomość przyprószony siwizną, który, jak później okazało się, był starostą w gromadzie.

— No to niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odrzekli chórem, po czym starosta zapytał: — Z kim mamy przyjemność.

— Czy tu wszyscy swoi?

— Tak wszyscy — odrzekł.

— Jestem tajny goniec od wojska polskiego, które pojawiło się w Bobrujsku — oznajmił znizywszy nieco głos.

Szlachta zerwała się na nogi i zarzuciła Stacha chaotycznie dziesiątkami pytań.

— Cicho! Żydy! — ofuknął starosta. — Mów waść wszystko podrobno i dla wszystkich razem — zwrócił się do Stacha.

— Posłańcem tajnym od wojska polskiego w Bobrujsku do narodu pracującego w okopach jestem, zwiastując, ażeby kto przyznaje się do swoich, a ma 18 lat skończonych i nie daleka, wykradał się do nich i wstępował jako ochotnik.

— Przepraszam waści. Czy to wojsko formalne, dozwolone, czy jakieś może?...

— Formalne, dozwolone przez stryja carowego Mikołaja Mikołajewicza. A jakie wojsko, żebyście zobaczyli! Gwardia carska nie dostawi się. Ubranie nowiusieńkie, dopiero spod igły, na czapkach orły polskie i kutasy białe, na piersiach guziki pozłacane i łańcuch srebrny, spodnie w czerwonych lampasach, buty u wszystkich chromowe, bijące lustrem na cały kwartał. Ażeby zobaczyli!...

— Jeżeli waść mówisz, że wojsko dozwolone, to czemu trzeba wykra-  
dać się do niego? — badał przebiegły szlachcic.

— Dlatego widzi pan, że stryj z bratankiem koty drań. Mikołajewicz  
wydał pozwolenstwo na wojsko polskie, a car, aby mu dokuczyć, powie-  
dział, że nie zrobi mobilizacji dla niego. A stryj mu na to: ochotników  
znajde, obejdę się bez twojej mobilizacji. No i idziez ochotników! Jak  
mrówki przed deszczem płyną ze wszystkich stron do Bobrujska. Z oko-  
pów, to z hrynieckich ludzi wykradł się Staś Szałabod, ze smolarskich  
Kazik Zdanowicz, Kartawy, Bolek Winiarski i wiele, wiele innych, któ-  
rych i spamiętać nie mogę. To tylko w drodze do miasta trzeba uważać,  
aby nie zatrzymano jako uciekającego z roboty, ale kto już do wojska  
polskiego zapisze się, nikt nie ma prawa ruszyć.

— Po mojemu z tego bunt wielki wyjść może.

— Bunt? A, panie, jak Polski po dobrości nie oddziela to i bunt  
będzie. — A cóż to nam szlachcic bunt nowość! Chyba może państwo  
szlachta nieprawdziwa, że się go boi?

Szlachta zahuczała jak gniazdo szerszeniów, gdy się w nie zniecka-  
kijem sunie.

— Jak waść możesz mówić takie rzeczy?! My szlachta honorowa!  
Miecze jeszcze dawniejsze w domu mamy! My pierwsze do wszelakiego  
buntu!...

— Tak, tak, panowie — ciągnął Stach — jeżeli nas do wiosny, a  
najdalej do drugiej jesieni nie oddziela, to bunt będzie. Dosyć już naby-  
liśmy pod Moskalami! Dosyć nazdejmowali czapki przed kudłatymi i róż-  
nymi kacapami! Dosyć nacierpieli się wszystkiego!...

— Tak, dosyć już, dosyć! — wtórowano w gromadzie. — Wszyscy  
idziemy do Bobrujska! Jak nie oddziela Polski, do buntu pierwsi przy-  
stajemy!

Entuzjazm i zapał do służby w wojsku polskim, był prawie większy  
niż w arteli smolarskiej.

Prawie dobę przegościł w ich szataście, rysując im według swej wy-  
obraźni Polskę przyszłą, wychwalając legiony, których sam jeszcze nie  
widział, informując jak należy się ku nim przeprowiać, jak tłumaczyć  
w wypadku zatrzymania w drodze i gdzie się zgłaszać po przybyciu.

O zmroku, partia czterech chłopców zaczęła wybierać się do Bo-  
brujska, a on wyprawił się do arteli wsi Wieżgajłowo, większej i patrio-  
tyczniejszej, według opowiadań szlachty, od wszystkich gromad polskich  
mieszczących się na przestrzeni sześciu następnych wiorst w górę Bere-  
zyny. Starosta ofiarował się mu towarzyszyć do połowy drogi jako prze-  
wodnik.

Pogoda od wczoraj chmurna i chłodna, popsuka się jeszcze bardziej.  
Rwał z północy gwałtowny i lodowaty wiatr, z przerwami siekł drobny  
deszcz i zalatywał śnieg. Berezyną fale szły wysokości dobrego pokosa.  
Lasy huczały jękiem żalonym i strachem. W czasie przesuwania się  
po niebie chmur deszczowych, ciemność na dworze robiła się piekielna.

Krajobraz długi czas ciągnął się podobny, jak i przed Łoszą: dąbro-  
wy i polanki. Lecz potem nastąpił las nieprzerwany. Droga w nim biegła  
zygzakiem równolegle do rzeki i tuż przy niej. Gdy las wreszcie się  
skończył, przewodnik zatrzymał się i jął objaśniać drogę.

— Łąka ta będzie ciągnęła się dwie wiorsty z hakiem. Przy jej końcu spotka waść rzeczkę wpadającą do Berezy, szerokości chaty, albo i więcej. Droga ta prowadzi w bród, a dla pieszego przechodu jest o parę dziesiąt kroków w górę kładka ciosana. Jest też i mostek, ale daleko w górę, aż dopiero po tamtej stronie okopów i zasieków kolczastych. Przeprawiwszy się rzeczką, łąka wnet się urwie i znacznie poręba dębowa; po tej stronie poręby będzie szałas starowierski, a po tamtej, najdalej pół wiorsty od starowierców, wieżgajłowski. Byłbym waszeci zaprowadził aż na miejsce, ale chcę powrócić, nim nasze chłopcy odejdą.

— A przed rzeką tu nie spotkam szałasów? — zapytał.

— Nie; tu przed rzeką robotniki mieszkają na tyle okopów, daleko od tej drogi. Ta nie zbłądzisz waść, choćbyś chciał nawet.

Pozegnali się i rozeszli każdy w swoją stronę.

— Nie wiedziałem wcale, żeś taki sprytny — myślał — i że to tak gładko z tym pójdzie. Uwierzyli... A nim ja widział te wojsko, ani co. Okazuje się, że gdy zechcę, to i mądrych ludzi do butelek nabić mogę. A gdyby im tak przyznał się, żeś ze Smołarni i nie nawymyślał nie podchwalił, to nie wiadomo czy poszliby od razu. A Kazik wątpił... Ciekawy jestem co by on mi powiedział, gdyby tak słyszał mój dyskurs ze szlachtą? Może by dał w mordę za łągarstwo?... Dobrze idzie, dobrze. Za godzinę, oto tych wieżgajłowców podejmę na nogi. A jutro znowu dalej pójdę. Powędruję tak aż hen, za Borysów, cały polski nadberezyński naród poruszę, tysiąc ochotników do Bobrujska wyprawię. Niechaj się dziwią.

Niepogoda w szerokim polu była o wiele dokuczliwsza. Fale deszczu przechodziły tak ostre, że chwilami musiał obracać się ku wiatrowi bokiem. Przejmowało do kości.

Teren łąki był równy, jak step, grunt pod nogami twardy.

Zapowiedziane dwie wiorsty dłużyły się przykrą słońcą. Lecz wreszcie pochyliło się w dół i zmiękło pod nogami. Po bokach pojawiły się krze łożcwe. Zeszedł z jezdni na trawę, gdyż zaczynał grząść w bagnie. Trawa prawie do kolan sięgała.

Za chwilę znalazł się przy rzeczce. Zawrócił, nie zatrzymując się, w prawo, aby odszukać kładkę. Lecz jakoś nie widać jej było. Miejscowość niska przy szumie rzek, wyciu wichrów i ciemności, wydawała się wielce niebezpieczną. Najwięcej, czerniejące gęsto po łące, krze łożowe straszły.

Szedł dalej w górę i strzygł bojaźliwie oczami na obie strony. Jakoż zauważył, iż jeden krzew poruszył się. Przystanął i przyjrzał się lepiej. Ruszał się. — Co to u licha może być? — zdziwił się. — Może koń? — Mimo bojaźni zboczył od rzeczki ku ruszającemu się krzewowi, aby przekonać się co to właściwie może być. — Koń się paś rzeczywiście. Dalej drugi i trzeci. Odetchnął był z ulgą, ale obracając się ku rzeczce, spostrzegł coś przesuwającego się od jednego krza ku drugiemu nisko. Ni to owieczka, ni to pies, ni to wilk. Na wspomnienie o wilku, dreszcz mu przeszedł od stóp do głowy.

— Sprytny jestem, ale nie bardzo odważny — przyznał się w duchu.

Przyspieszył nie oglądając się kroku. pragnąc jak najprędzej przeprawić się na przeciwną stronę rzeczki. Tymczasem kładki wciąż nie było. Zaszedł aż do zasieków — nie ma.

— A to co u licha? — zaniepokoił się. — Czyżby ja przeoczył? A może ta kładka po lewej stronie brodu, a on mi mówić zapomniał, albo może znowu ja nie dosłyszałem?

Byłby dalej poszedł w górę aż na most, ale zasieki wrzynały się głęboko we wodę, a na łące nie widać było w nich przerwy.

— Nie ma innej rady; trzeba jeszcze raz przejść, — zdecydował, chociaż do powrotu niechęć straszną czuł.

Wracał, przypatrując się rzeczce uważnie. Myślni krążył koło zagadkowego cienia. I co by to mogło być? Gdyby to był wilk, konie nie pasły by się tak spokojnie. One słyszą niebezpieczeństwo z daleka. Gdyby pies ten by zaszczekał. Na zająca za duże. W duchu nie wierzę. A więc co?

— Owieczka? Skąd by się wzięła. Żrebie?... Tak, to może być naj-  
przedziej. Tak, to żrebie małe było — ustalił z zadowoleniem.

— I jak to mi od razu do głowy nie przyszło?

Przeszedł aż ku samej Berezynie, a kładki jak nie było, tak nie ma.

— A to co za cholera?! — rozsierdził się. Czyżby ją woda zerwała? — No i co teraz mam czynić? — mierzył oczyma rzeczkę. — Gdyby nie te zimno poszedłbym w bród. A tak co? Nic nie pozostaje, jak szukać przerwy w zasiekach i na most iść. — A gdyby tak koniakę pojmać i przejechać w bród? — nasunęła się myśl. — Jak Boga kocham, dobry sposób. Przejadę i przegonię z powrotem, niech idzie sobie znowu się paść.

Nie namyślając się długo, ruszył na przelaj w stronę gdzie widział pasące się konie. Trzy naraz ujrzał. Skierował się ku bliższemu. Gdy się zbliżył na dziesięć kroków, koń uniósł głowę i zarżał cicho, jak do owsa. Rumak był, że tylko trzymaj się bracie.

— Kosiu, kosiu! — odezwał się łaskawie. Poklepał go po szyi, pogładził po mordzie i przysiadł mu do kolan, zabierając się do rozwiązania wirówczanego pęta.

— Ot koń! — podziwiał. — Jak go nie zabrano do kawalerii dotąd? Taki koń, to nawet i do ułanów pasowałby. Ułanowi do widetu, jak to jest w pieśni: "Stoi ułan na widecie, a dziewczyna..." A kto wie, może wypadnie mu jeszcze na takim polskim widecie stać. I to może pode mną dobrym czasem powiedziawszy — dodał.

Z tyłu zaszemrało szybko stąpanie. Ruszył głową, aby się obejrzieć i w tej samej chwili uczuł jakby go piorun w potylicę trzasnął. W uszach szum powstał, trzask, dzwony; w oczach zaświeciły skry, błyskawice, potem wir cmy gestej się zerwał, wiercił z coraz większą szybkością, rósł, olbrzymiał i w końcu porwał go całego i poniósł w przepaść bezdenną...

Gdy oprzytomniał leżał rozciągnięty na wznak, otoczony pochylonych nad nim kołem obcych ludzi. Włosy wszyscy mieli strzyżone długo i po staroświecku, jak grzywy końskie, wszyscy oprócz młodzieńców mieli długie rudawe brody. Chłopiec lat 15, stojąc u jego nóg, świecił garścią płonącej słomy.

Nie mógł pojąć co się z nim dzieje, jak on między tymi starowierami się znalazł. Ciało, ziąb mokry wstretny przenikał, w uszach spust młyński szumiał. Spojrzał na bok, za ludźmi ogień się pali, spojrzął na drugi, ściana szalasu.

— Żyw jeretik, żyw! Żyw poganyj — zawołali starowiery, ujrawszy poruszanie się głowy.

— Gryszka! — krzyknął jeden starszy brodacz o pooranej ospą twarzy, chrapliwym głosem. — Daj-no mu jeszcze wiaderko.

Z tyłu wysunął się młodzieniec z wiadrem wody i lunął całe, jak trzymał Stachowi na pierś i głowę.

Stach przerażony zimną kąpielą, pochylił się rękami za twarz i zgarnąwszy warstwę wody tamującą oddech, ryknął z całej mocy dziko.

— Ha, ryczysz diawo! — zaryczał ospowaty. — Ryczysz bies kosmanogaj! Myż ot zaraz ciebie poucym, ty wor koniaczyj My ciebie...

Wyraz o koniu naraz przypomniał Stachowi kłopot z przeprawą przez rzeczkę i tragedię z koniem.

— Boże! Za koniokrada mię wzięli! — zajęczał myślą, uświadomiwszy sobie powód swej obecności w tym szalasie i całą zgrozę położenia. — Syn Bałaszewicza koniokradem! Pochłoń mię ziemio!...

— No, mów, jeretik, kto ty taki?! — zaczął badanie ten sam brodacz.

— Ludzie drodzy! Ja nie chciałem waszego konia kraść — jął tłumaczyć błagalnie. — Chciałem tylko nim przejechać rzekę i potem puścić z powrotem. Nie mogłem kładki odnaleźć.

— Chciałeś tylko przejechać rzekę? A czemuż tedy, bies kosmanogaj, nie wzięłeś Jefima starej kobyłaszkki, ale wybrałeś mojego najlepszego żrebca?! Mów kto ty taki i kto twoi współniki, bo nie uwierzimy, że tylko sam do tej roboty należysz!

— Klnę się dziadźko, na rany Chrystusa że tylko przejechać chciałem waszym koniem! Ni mój baćok, ni dziad taką robotą nigdy się nie zajmowali.

— Jak ci wsypiem 25, to wszystko wyśpiewasz.

A no chłopcy ściągnijcie mu świtkę i przewróćcie go tyłem do góry.

Cztery pary silnych rąk w parę minut wykonało zlecenie i trzymało rozkrzyżowanego za ręce i nogi.

— Ty masz, Jefimuszka, bij — rzekł ospowaty do drugiego brodacza, wręczając gibki kij łożowy grubości dużego palca — a ja będę liczył.

— No, jeretik, — jeszcze raz — zwrócił się do Stacha — ostatni raz ci mówię po dobroci: mów skąd jesteś i jak się nazywasz?!

— Mówię wam, że chciałem tylko waszym koniem przejechać rzeczkę, ale kto ja taki i gdzie szedłem, to zabijcie mię, zakopajcie — nie powiem. — A po cichu dodał: — Daj mi Boże wytrzymać i spraw, abym w przyszłości mógł tym heretykom odliczyć z powrotem.

— Rozstąpcie się — zakomenderował. — Smal Jefimuszka!

Brodacz nazwany Jefimem zaszedł Stachowi od nóg, napluł w dłoń i zaczął walić. A ten liczył: — Raz... Dwa... Trzy... Cztery...

Jakby rozpalonym żelazem mu przykładał, tak okropny ból odczuwał. Paliło aż do kości, aż do szpiku, kłuło w mózg, chwyciło za serce. Pochwylił zębami za trawę, aby w impiecie bólu nie wypuścić przyznania się.

Dwanaście... Trzynaście... Czternaście...

Nigdy nie przypuszczał, że liczba 25 jest tak długa. Jednak wreszcie się skończyło.

— No, poganyj, mów skąd jesteś i jak się nazywasz? — powtórzył ospowaty pytanie.

— Chciałem tylko waszym koniem przejechać rzeczkę mówię, ale kto ja taki, to zabijcie mię, zakopajcie, — nie powiem.

— Dobrze, damy ci jeszcze 25.

Polali wodą plecy i jeszcze odmierzyli taką samą ilość.

Ale gdy potem zapytali, już się nie odezwał.

## XXVII.

### NADZIEJA

Północ się zbliżała. Na dworze śnieg łagodnie szemrał, jak szum potoku, lub chojary. Za sadami, pod puszczą, przewoływały się sowy z zającami. W dali lasów północnych, wilki od czasu do czasu zawodziły. Widocznie śmielsze bestie i po wygonie się włóczyły, gdyż kilka psów czekało zaciągając wyciem. Ktoś wyszedł za chlewy i strzelił na postrach, by nie ważyły się podkopywać do trzody.

Światło paliło się już tylko u Winiarskich na wieczorkach i u Jana Bałaszewicza przy chorym. Ale już wieczorki rozchodziły się. Na ulicy zagrzmiały wrzaski i śmiechy. Chłopcy zaatakowali dziewczęta śnieżkami. Wiały na wszystkie strony, że aż kudły się trzęsły. Przeworniejsze przekradały się opłotkami w poprzek dziedzińców. Niektóre znowu kryły się pod skrzydła kozucha mocniejszych chłopców, zapewniając podstępnie młokosów o swych względach dla nich i tolerując ich poufałe uściski.

Adaś Ściepurzonek z Karapuzym poszli z wieczorem do Bałaszewicza. Na ganku spotkali odchodzącego Marcina.

— No i jak tam, stryju, dysze on jeszcze? — zagadnął Karapuz.

— Nie obudził się jeszcze od wczoraj. Chcecie pobyc przy nim?

— Tak, posiedzimy trochę.

— Zuchy. Ale posiedzicie przynajmniej do drugich kogutów, niechaj baba pośpi trochę. Oni za ten czas pomęczyli się.

Leżał w świetlicy na łóżku przysuniętym na odległość półtora arszyna do hurby. Po bokach stały zydle, a u wezgiłowia taborecik. Na taboreciku były: krucyfiks, świeczka, karafka z napojem, lekarstwo i inne rzeczy potrzebne choremu. Lampa oświetlała ósmy numer, ustawiona na gzymisie hruby. Czuwała matka sama kiwając się znużona na zydlu; reszta rodziny spała w bokówce za desczany m przepierzeniem, lub w izbie tylnej za ścianą.

Gdy weszli, spojrzala na nich z wdzięcznością.

— Idźcie ciotka spać, my będziemy pilnować — powiedział Karapuz, zbliżywszy się na palcach do Bałaszewiczowej.

— Prawda?! No to dziękuję wam. Uważajcie tylko dietki, by nie zasnęli, bo broń Boże czego...

Odeszła do bokówki, a oni zajęli jej miejsce przy chorym.

Wysechł niczym szczepka. Cera zbielała jak płótno. Oczy wpadły. Policzki wciągnęły się, jakby cukierek ssał. Nos spłaszczyl się i zgarbiał. Twarz wydłużyla się i zmieniała do niepoznania. Leżał bez ruchu, jak trup.

Kołdra tylko ledwo, ledwo dostrzegalnie unosiła się na piersiach, świadcząc, że jeszcze zipie.

— Nie, on już nie wstanie — zauważył Karapuzы półgłosem po chwili przypatrywania się choremu.

— Da co, braciszku, mówisz?! — zawołał szeptem zaniepokojony Adaś. — Żeby chociaż nie zaczął konać przy nas.

— Co hoisz się?

— Bać się to ja nie boję, ale nie będzie wiadomo co robić.

— Jak to nie wiadomo? Zapalimy świece i pobudzimy ich.

— Trzeba zobaczyć, czy chociaż juszka w kominie dobrze zamknięta.

— A to dlaczego?

— Jak to dlaczego. Żeby diabeł dziurki do wejścia nie miał wtedy.

— Dureń. Jak Boga kocham nie wiedziałem, że taki dureń z ciebie. Da czort, że przez taką dziurkę może przecisnąć się jak ucho w igle. A małoż większych jest w chacie? — Ej, braciszku, jak dusza zarobi na piekło, to nie wykręci się od niego.

W kwadrans po pierwszych kogutach, chory pociągnął się, otworzył powieki i jał wodzić wzrokiem po suficie. Spojrzenie było przytomne.

— Zdaje się kona już?! — szepnął Adaś do towarzysza.

— Da nie bój się, nie kona — odszepnął tamten.

Stach dosłyszał szept i obrócił głowę ku nim.

— Stachu, braciszku, poznajesz ty nas czy nie? — zapytał Karapuzы, pochylając się doń.

— Tak, poznaję, — odezwał się wycieńczonym głosem. — Ty Pietrzyk a to Adaś. Cóż to ja chory?

— Czyś chory? Braciszku! już więcej miesiąca, jak tylko ciebie ze szpitala z Birek zabrali.

— Ze szpitala z Birek?!

— Tak. Wieżgajłowscy okopniki znaleźli ciebie nieprzytomnego w korycie Berezyny, ale nie mogli dowiedzieć się czyj jesteś, więc zajawiwszy saperom, odwieźli do szpitala.

Stach wybałuszył oczy z przerażeniem, lecz nie odezwał się i zaraz zamknął. Dłużej niż kwadrans tak pozostawał, drzemiąc lub myśląc, a potem spojrzął w oczy Karapuzemu przenikliwie i rzekł:

— A kto mię tam położył w korycie rzeki?

— Tego to nikt nie wie. Rozpytywali się wieżgajłowcy w sąsiednich szałasach, chodzili i od nas później na zwiały w tamte strony, ale żaden nic nie dowiedział się. A ty nic nie pamiętasz?

— Nie pamiętam. Coś... jakby... tego... Dajcie mi czegoś napić się, chlōpcy.

Karapuzы podał mu w szklance sok jabłeczny.

— A to co, jakby mi pościel do pleców przylepiła się? — rzekł usiłując unieść się nieco na łokcie.

— Da czemuż, braciszku nie przyklei się, jeżeli skóra na plecach złazła. Nie unosi się, pij leżąc.

Napił się i znowu zamknął oczy, zapadając w zadumę. Myśleli, że tym razem zasnął, ale po pauzie znowu się odezwał.

— Wiecie, coś niecoś przypominam sobie.

Pietrzyk z Adasiem pochylił się nad łóżkiem wstrzymując oddech.

— Bandyty, albo szpiegi niemieckie na mnie napadli byli — zaczął, odpoczywając co parę słów — prędzej szpiegi. Przebierałem się nocą od żerdziańców do wieźgajłowców. Kawalek drogi lasem doprowadził mnie żerdziański starosta, potem sam poszedłem. Idę ja łąką, idę, zbliżam się ku rzeczulce — tam naraz wypada od Berezyny trzech kudłatych drabów z nożami w rękach i krzyczy: — Stój! — Stanąłem. — Gdzie idziesz? — pytają. Konia straciłem i go szukam, zełgałem. — Łiesz — mówią — ty już drugą noc wzdłuż Berezyny ciągniesz się. Oddawaj pieniądze! — Oddałem im portmonetkę z drobnicą. — Oddawaj i bujne — krzyczą, jakby wiedząc, że ja mam w czapce trzy papierki po dziesięć. — Oddałem i te. A teraz prowadź nas rychło do majaka — wołają. — Do jakiego majaka, pytam. — Do wojennego! — krzyczą.

— Jeżeli dopytywali się majaka, to szpiegi — wtracił Pietryk.

— Da kto wie czy szpiegi — zauważył Adaś. — Jak oni byli odziani?

— Od stóp do głowy jakby w owczyńce włosami do góry.

— Wtedy to byli diabły.

— Diabły? — Może być. Może też zdawało się było trochę, że to nie ludzie, bo gdy wożąc ich dotykałem nóg, to szersść była tak twarda, jakby ogon koński, albo szczecina świńska, a stopy więcej były podobne do kopytów niż do stóp.

— Jak to powiedziałeś wożąc ich? —

— No woziłem ich na sobie. Przyczepili się: prowadź ich do majaka, a nie duszę wyjmą. A skąd mogłem wiedzieć gdzie ten majak? — Z razu bili mnie kijami, rozłożywszy na ziemi, potem siadali na grzbiet baranem i jeździli po łące. Najeździwszy się dosyć, jeszcze przepawili się mną rzeczulkę na drugą stronę i już więcej nie pamiętam co się stało ze mną. Coś jakby zaświstało, zawyło, jakby wicher się zerwał i więcej nic.

— A jeżeli tak, to nic innego jak diabły — zgodzili się obaj. Adaś obejrzał się niespokojnie na drzwi do bokówki i przysunął szczelniej do kolegi.

— No, a śladów, przy mnie żadnych nie było?

— Śladów mówili nie mogło być, bo całą noc deszcz szedł.

— A prawda, wtedy deszcz padał. Co to ja jeszcze chciałem pytać...

Aha! Starosta żerdziański mówił mi, że nie daleko przed szalasem wieźgajłowskim miał być starowierski, warto by tedy było u tych starowierców zapytać, może co słyhać. — Powiedział i trzymał wzrok na Karazym, oczekując odpowiedzi z niepokojem.

— Da pytali i tych starowierców. Wieźgajłowcy nawet ich o napad podejrzewali, bo to od nich najbliższy było, a wiadomo, że starowiercom człowieka zabić innej wiary, to samo co muchę, ale założyli się, zakleli, że nie widzieli, nie słyszeli. O, braciszku pytali się.

Stach odetchnął z ulgą. Odpoczął chwilę, poprosił jeszcze o napój i jął wypytywać o dzieje z okresu swej choroby.

— Okopy już się skończyły?

— O, już dawno. Przed zimą jeszcze.

— A to już zimę mamy?!

— Boże Narodzenie już na dworze.

— Tak? Tyle przechorowałem!

No, a wszystkim że chłopom udało się wtedy szczęśliwie przeprawić do Bobrujska?

— Do jakiego Bobrujska? Jakim chłopcom?

— Tym, co w legiony zbierali się.

— W jakie legiony?

— Jak to! Znaczy się to nieprawda, co pisał... Więc legionów nie ma w Bobrujsku?

— Da być, to jest. My ot z Adasiem chodzili i na własne oczy nawet widzieli. Część ich, mówią, odeszła na front, a część pozostaje, ale naszych chłopaków między nimi prawie, że nie ma.

— Co, może nie przyjmują tutejszych?

— Kto się poprosił, tego przyjęli. Wstąpił Kazik i Kartawy, a więcej z naszej okolicy nikt. Jaś wszystkich zbuntował, żeby mu za to dobroci, gdzie on jest nie było. Powiedział, po co tak robić, aby policja potem szukała, albo musztrowała za to rodziców. Ot, skończą się, mówił, roboty, to wrócimy do domu, pożegnamy się z rodziną, jak ludzie i pójdziemy. W dwa dni właśnie po twoim odejściu sapersy oficjalnie pojawili byli ludziom, że wnet rozpuszczą do domu. — Nie spieszymy się — mówił — ale dowiedzmy dobrze wprzód co to za wojsko takie i zobaczymy, co inne zaścianki będą robiły. Może to moskale, mówił, pułapkę taką urządzili, aby wszystkich sprawiedliwych Polaków, co o wyzwoleniu się myślą, do jednego miejsca zabrać i wyniszczyć. Nie wierzy się mi, aby bez interesu dla siebie na taką rzecz zezwolili. Jak zaczął wmawiać, jak zaczął, to chłopcy i posłuchali. Bolek, który był poszedł z Kazikiem i Kartawym, wrócił z Bobrujska na pożegnanie z rodzicami i żegnając się doczekał, aż my poprzychodzili z okopów.

— I wszyscy siedzą dotychczas w domu?

— Nie, żadnemu nie udało się posiedzieć; zabrali do ruskiego wojska. Przez ten czas dwie wielkie mobilizacje się odbyło. Wzięli kilka lat czerwonoiletników i wielu innych, jedynaków. Z chłopców zabrali Jasia, Bolka, Ludwika, Edka, Pawła i Stasia.

— A Kazik w Bobrujsku służy?

— Nie, wyjechał już. Gdzie to on wyjechał... Nie pamiętasz Adasiu, jak te miasto się nazywa, gdzie Kazik odjechał?

— Zdaje mi się Port-Artur.

— Nie, — inaczej jakoś.

## XXVIII.

### PRZEZORNOŚĆ PATRIOTY

Śnieg zegnało nim przyszedł trochę do zdrowia. Rany pogoili się dość prędko, ale długo kaszlał i pluł krwią. Sądono, iż zapadł w suchoty. Nie pomagały ni leki, ni pasza wyborna, jaką go raczyli, ni wypoczynek. Ale wiosna uzdrowiła go. Widok obnażających się pól, wesoły blask słońca, świergot lasów, zapach powietrza wiosnianego, podziały nań jak lek czarodziejski. Patrzył, słuchał, wdychał, cieszył się i z każdym dniem

przybierał na ciele, i krzepł na sile. Na Wielkanoc już towarzyszył rówieśnikom w zabawach.

Niewesoła była Wielkanoc tego roku w porównaniu do lat poprzednich. Nadeszły dwie niepomysłne wiadomości: jedna od księdza dziekana mohilewskiego, druga od Kazika. Pierwszy donosił o ponownej odmowie władz względem budowy kościoła w Wończy, drugi o zamiarze rozbrojenia legionów. Załamywanie się nadziei uzyskania wolności, rozgoryczenie i absolutny brak chłopców dojrzałych, odbierały starszym ludziom ochotę do gawędy, a dziewczętom do zabawy. Prawie u nikogo nie było gości, nie było zgromadzenia gospodarskiego, namiętnej gry w bitki jajek, nie było prawdziwej wieczorynki. Chłopcy, pozostający w domu, urządzili wieczorynkę, ale dziewczęta pogardziły nimi, wołąc w swojej panińskiej gromadzie śpiewać pieśni, wróżyć, lub listy do narzeczonych do wojska gryzmolić, niż z młokosami tańczyć. Podlotki, rosłe i te szły do tańca jakby wielką łaskę tym chłopcom czynili, powtarzając za starszymi koleżankami, iż w domu z płci męskiej pozostało tylko same kalectwo, lub smarkacze, niegodni porządną dziewczynę nawet do tańca objąć.

Jedna Hańka Piotrowszczanka nie podzielała zapatrywań swych koleżanek, chociaż nie tylko była starszą od wszystkich młodzieńców wiekiem, ale też niejednego przewyższała wzrostem i siłą. Chętnie przysłała na ową wieczorynkę, z każdym chłopcem tańczyła, każdego respektowała na równi z dojrzałymi. Wstydliwych sama do tańca brała, często wbrew woli danego kawalera. Przywodziła całej wieczorynce. Od małości wesolego usposobienia była, a żadnej fanaberii nie miała. Ujrawszy Stacha, podbiegła doń.

— Dawaj zakręcimy Stachu, aby twoi w domu się nie żuryli — zaproponowała.

— Żartujesz chyba? — odparł. Toż ja ledwo na nogach się trzymam. Powalić się do licha mogę jeszcze.

— W moich rękach nie powalisz się, choćbyś chciał nawet.

Poszli, okrążyli wirem polki dwa razy izbę i usiedli na łóżku obok siebie.

— Dawno szukałam sposobności pomówić z tobą sam na sam — powiedziała.

— Zapewne chcesz mi oświadczyć się sama tak, jakęś sama mię wzięła do tańca?

— Do tego za słabyś w łydkach jeszcze. Słyszałam, iż ty jeden wiesz gdzie teraz Kościk się znajduje.

— Kościk?! Czyż nie wiesz jeszcze, że go wilki jesienią zjedli?

— Bez żartów. Podobno w wojsku służy?

— Po co ci on? Możeś zakochała się w nim?

Hańka westchnęła głęboko.

— Czyż nie wiesz, że on wklepany w Karusię?

— W Karusię?! Niechaj tylko dowie się o niej wszystko, to i patrzeć na nią nie zechce. Nieobmowną jestem, ale po mojemu jeżeli dziewczyna chłopca ma, to z innymi nie powinna się zajmować.

— Co, może z Romkiem się związała?

— Romek żaba jeszcze. Ona już za dojrzałymi strzela.

Zygmunt Anichowski cały swój urlop w zapusty przesiedział u niej.

Od Hilarego Huszczy też listy otrzymuje i sama mu pisze, co na własne oczy widziałam. A to, co w okopach zaszło nie hańbi ją? Napiszę Kościukowi o wszystkim, daj mi tylko adres jego.

— Tyś nie para dla niego, onże od ciebie młodszy.

— Na trzy lata tylko. Albo to nie zdarza się?

— Wiesz, powiem ci szczerze, że ja sam nie wiem Kościukowego adresu. Ale jak chcesz tak koniecznie, to napiszę do Kazika na front i on mi przyśle. On tylko wie.

Napisz Staszku, postaraj się, a ja ci za to...

Od paru tygodni zbierał się wszczać korespondencję z Kazikiem, tedy bez odkładania nazajutrz po wieczorynce poszedł do Zdanowiczów, poprosił o jego adres i napisał mu obszernie, wyznając szczerze o zajściu z koniem starowierców, przebieg choroby, prosząc jednocześnie o adres Kościka i wiadomości o legionach.

Odpowiedź przyszła dopiero za miesiąc, która brzmiała:

“Drogi Braciszku i Przyjacielu.

Jakby mi kamień z piersi się zwałił, dowiadując się, iż wreszcie do zdrowia przychodzisz. Dawno zbierałem się pierwszy Ci napisać i zapytać o przygodę, która Cię o mało na tamten świat nie zagnała, ale przyznam się szczerze, że nie znalazłem odwagi, bo to przecież ja Ciebie w tę drogę wyprawilem. Co prawda w potrzebie publicznej polskiej, jednak gdyby tak broń Boże coś rodzina Twoja aż do śmierci narzekałaby na mnie i kłęła. Dowiadywałem się tedy o Tobie przez innych i prosiłem Boga, byś wylizał się z tego cało. No i chwalić Go za to.

Doprawdy nadzwyczaj ciekawe zdarzenie miałeś. Uważam jednak, że nie zaskodziłoby Twoj opinii choćby smolarzanie dowiedzieli się prawdy o zajściu. Ale raz zataiłeś, to niechaj już pozostaje w tajemnicy.

Czytałem Twój list Jaśkowi Łapickiemu, mojemu koledze, jednemu z siedmiu ochotników żerdziańskich, którzy zaciągnęli się z Twojej namowy i teraz dobrym Cię słowem za to wspominają; czytałem Karolowi Witkowskiemu zza Wończy, Kartawemu i naszemu plutonowemu, człowiekowi bardzo uczonemu i patriotycznemu. Wszyscy oni żalowali Ciebie bardzo i podziwiali Twoją przebiegłość i twardość. Plutonowy, gdy mu do tego opowiedziałem, jakieś to odważnie obstawał w szkole za polską wiarą, powiedział, że z Ciebie może wyjść ważny patriota.

Co do zamiaru rozbrojenia nas, to już obawa o to minęła. Na pomnożenie jednak polskiego wojska — można być więcej jak pewnym, że nie pozwolą. Mówisz ażeby powstanie zaczynać, gdyby chcieli rozbrajać. Z kim? Co można zrobić milionom tysiącami, bez poparcia narodu, bez przygotowania? Przecież sama siła narodu znajduje się po tamtej stronie frontu. Przygotowań do powstania, o których ciągle Piotrowski gadał nikt przynajmniej w naszych kresowych guberniach nie czynił. Również nieprawdą jest, że chcą niepodległości Polski Mikołaj Mikołajewicz i inni wysocy dostojnicy ruscy. Plótl człowiek, bo widocznie pragnął, by tak było, albo też może mu Nieśmiertelny nałgał na pocieszenie.

Owszem, gdyby wszyscy Polacy co służą w ruskim wojsku zebrali się w legiony, to wtedyby można było powstanie zacząć. Ale do tego przecież Moskale nie dopuszczą. To mogłoby stać się tylko wtedy, gdyby cara zrzucili, o czym nawet już ruscy żołnierze w okopach pomawiają i o co ja

Pana Boga proszę kładnąc się i wstając. Boję się tylko, czy naród nasz kresowy cywilny, gdyby tak naprawdę przyszło do powstania, należycie pomoże. Zwłaszcza o naszych ziomków, zabereżyńskich ludzi się boję. Nie wszędzie tacy, jak koło naszej Smolarni, albo w Żerdzience, albo też w zawończańskich okolicach. Są tacy, co potrafiliby nawet szkodzić. Na przykład w zeszłym tygodniu spotkałem w sąsiadującym przy nas ruskim pułku dwóch takich durniów rodem z nad Druci. Obaj o ładnych polskich nazwiskach; jeden katolik, drugi syn przechrty. Gdy rozmówiłem się z nimi o możebności powstania, to oni powiedzieli mi, że gdyby Polaki nowy "miatież" podjęli, to oni by na ochotnika poszli go uśmierzać. Powiedzieli, że Powstanie Styczniowe prowadzili panowie przeciwko zniesieniu przyhonu. Ot jacy! A tymczasem trzeba, ażeby na taką rzecz drużni wszyscy byli, jak jeden. Ażeby, gdy wybuchnie powstanie, nie pytali ludzie jeden drugiego za co to i kto to go zaczął, nie czekali, aby zobaczyć, co inne zaścianki będą robić, jak mówi nasz Jaś, ale żeby młody i stary chwycił co ma i szedł pomagać. Trzeba żeby szli wszyscy, stali mocno, jak za wiarę i wierzyli w wiktoryę, jak w tamten świat. Trzeba przygotowania. Teraz czas, ażeby ktoś poszedł na zaścianki i objaśnił ludziom, kto oni tacy, co się im należy, za co Polska idzie i co należy czynić, gdy walka o nią wybuchnie.

My tu często zebrawszy się z Kartawym, Jaśkiem Łapickim i Karolem Witkowskim, rozmawiamy o tym i biedujemy bardzo, bo wiemy, że nic się w tej sprawie nie robi. Rozmyślamy czy by tak nie warto było przynajmniej dwom z nas zwolnić się, albo wyprosić paromiesięczny urlop i pójść na zaścianki namawiać ludzi. Całych gubernii nauczyć nie zdołamy, ale moglibyśmy przynajmniej kilku najwięcej zruszczonym zaściankom, położonym od nas na północny i południowy wschód, wmówić, aby naprawdę nie zechcieli powstaniu szkodzić, gdyż wtedy wstyd byłby dla nas wielki, a Polska, zobaczywszy, że kraj nasz dla niej jest zdradliwy mogłaby go całkiem się wyrzec nawet.

A teraz co do braciszka naszego Kościka. Nikomu nie mogę dać jego adresu, gdyż grozi mu odpowiedzialność za owego undra, który kaleką został. Kto chce Kościkowi pisać, niechaj adresuje na mnie, a ja mu prześlę. Służy on daleko stąd pod przybranym nazwiskiem. Dziś właśnie otrzymałem od niego odpowiedź na mój list, który mu posłałem byłem po otrzymaniu od Ciebie. Dlatego Ci tak długo nie odpisywałem. Kłania się Tobie i upoważnia, byś poszedł do Karusi i powiedział sam na sam, że go "wilki nie zjedli", że żyje i pomimo wszystkiego co było, tęskni za nią strasznie i zapytuje, czy chociaż mu trochę odwzajemnia się. Prosi, by mu chociaż parę słówek napisała i przesała przeze mnie.

Bywaj zdrów i pisz częściej.

Kazimierz.

Raz przejrzał pobieżnie, a drugi raz zastanawiając się nad każdym zdaniem. Współczucie dla legionistów i pochwała, oraz rokowanie mu przez plutonowego wielkości, wzruszyły go, że aż tchu brakło.

Analizując troskę o zruszczone wsie i zamiar uświadamiania ich, przyszedł do wniosku, iż do tej akcji on może się przyłączyć.

— Wiem, że nie gorzej od nich potrafię ludzi namówić — powiedział sobie. — Choćby nawet do portretu carskiego się modlili, zdołam na

naszą polską stronę nawrócić. Jak chcą, to mogą sobie wszyscy służyć spokojnie jak służą; za zaściankami bez nich się załatwią. Niechaj mi tylko pokażą, które to takie chamskie, a ja ich już wyuczę. I nie poboje się nikogo. Zaraz gdy tylko pokosimy siano — idę. Jak Boga Kocham idę!

Natchniony listem, czuł się wszechmogącym.

Tegoż dnia wieczorem poszedł do Hańki, zawiadomił ją o sposobie korespondowania z Kościkiem i następnie udał się do Karusi. Bawiły u niej Maryla, najmłodsza siostra Hańki i Kasia Ściepurzanka. Nie chcąc wywoływaniem Karusi z izby wzbudzać ciekawości jej koleżanek, odłożył zlecenie Kościka na odpowiedniejszą chwilę.

Jakoż następnego dnia po południu, orząc na jęczmień, ujrzał ją samą zdążającą z płachtą po kopytnik do lasu. Zatrzymał konia w końcu stajania i podszedł, ku drożynie na jej spotkanie.

— Powiedz mi, co śniłaś tej nocy, a zgadnę co z tego snu będzie — zagadnął gdy się zbliżyła.

— Co śniłam? Śniłam, że jakoby geśi dzikie łowiłam — odrzekła.

— No to znaczy się wiadomość wesołą ułowisz. Ja ci właśnie taką zwiastuję.

— Co takiego? — zamrugowała żywo oczkami.

— Kościk się znalazł.

— Znalazł się?! — wykrzyknęła. — W głosie było więcej trwogi niż radości. — Gdzie on, u chrzesnego był? — dodała.

— Gdzie był, gdzie jest i co tam robi, to tylko jeden Kazik wie, przez którego list wczoraj otrzymałem.

— List od Kościka otrzymałeś? No i cóż on pisze?

— Da nic osobliwego. Zdrów, kłania się nisko tobie i mówi, że chociaż się w okopach z undrem kręciłaś i cały tydzień zapustny z Anichowskim Zygmuntem przesiedziałaś, kocha ciebie i tęskni.

Karusia oblała się rumieńcem.

— Anichowski przecież nam krewny przychodzi się — odparła po chwili zakłopotania. — I znowu nie cały tydzień, a tylko dwa razy był wstąpił przez cały swój urlop. A cóż go miałam wyganiać z chaty może?

— Ma się rozumieć. A Hilary Huszcza też krewny, że do niego listy ciągle śrabujesz?

Nie odpowiedziała. Na twarzy znowu odmalowało się zakłopotanie.

— Jeżeli on ci list przesłał przez Kazika to musi gdzieś w wojsku koło niego być — zmieniła temat.

— Może i we wojsku, ale bardzo daleko od niego, więcej jak tysiąc wiorst. Prosi byś mu napisała. Napiszesz?

— Da czemuż nie, napiszę.

— Posyłać trzeba na adres Kazika, gdyż Kościk narazie nie chce, aby wiadzano gdzie on się znajduje.

— I nigdy nie będzie mógł wrócić?

— Da czemuż nie będzie mógł? To tylko do czasu ukrywa się. Kazik pisze, że under wyżył, a tylko mu jedno oko bielmem zaciągnęło, ale i to powoli schodzi.

## SZLACHTA OKOLICY

Potrzeba przygotowania ziemków na ewentualność powstania była przedmiotem częstej i długiej korespondencji między Stachem a Kazikiem. Radzili listownie i układali do przyszłej akcji plany. Postanowili, że gdy zbiorą ludzic z pola, pójda na wieś w trzech: oni obaj i Witkowski, chłopiec też dobrze piśmienny, czytany i obrotny w mowie. Podzielili z wczasu tereny między sobą, kto i gdzie pójdzie.

Ale w końcu września dostał Stach wiadomość o pokrzyżowaniu się tych planów. Donieśli mu, że gdy zgłaszając prośbę o urlop pochwalili się w jakim celu go zamierzają użyć, dowódca skarcił ich surowo i urlopu odmówił. — Wojskiem jesteśmy, a nie żadną organizacją konspiracyjną! — powiedział im. — Czy wy zastanawialiście się nad tym, co moskale nam zaśpiewają gdy policja was złapie na takiej robocie i stwierdzi, iż legionistami polskimi jesteście!

Donosząc Stachowi o niepowodzeniu, radzili, aby jednak z powziętego zamiaru nie zrezygnował i do czasu wystarczył za wszystkich trzech.

— Da choćby nawet mię prosiliście, by nie szedł pójdę, postanowił w duchu po otrzymaniu wzmiankowanej wieści.

Długo jednak musiał ojca prosić i perswadować nim zgodził się z domu go wypuścić. Użył podstępu, że idzie do Mohilewa, aby przy tamtejszym dziekaństwie nauczyć się po łacinie i do Mszy księdzu służyć.

Jesień już była późna. Wybierali ludzic ostatnie kartofle i orali na zimę żytne rżysko. Nowa ozimina zieleniła się szczecina runi. Lasy sypały resztkami liści. Nie ryczały już bydłem, nie trąbiły rożkami, nie szumiały. Konie nocowały w stajniach. Pszczoły wychodziły z ula tylko w same ciepłe południe. Płynące dniem i nocą niezliczone klucze dzikich gęsi i zórawi zwiastowały rychłą zimę.

A tymczasem pogoda trwała cicha i jasna. Jedynie na północnej stronie nieba wisiało poziomo kształtne pasemko drobnych, jak grudki obłoczków. Wyglądało, jak sznur pola świeżo zaoranego, albo strumyk bystry na mieliźnie. Na lewym końcu, grudki owe jaśniały w blasku słońca niczym węgle rozżarzone, ale w prawo coraz blade, potem szarzały i rozszerzając jednocześnie pasmo, aż kończyły się na wschodzie kilku mętnymi smugami, podobnymi do wątek rozcieńczonej kądzieli. Wisiało nieruchomo, jakby do nieba było przylepione.

Podązał do Okolicy, leżącej o kilkadziesiąt wiorst na północny-wschód od Smolarni. Miał to być, według informacji Kazika, zaścianek szlachecki, założony przed wiekami, duży i zamożny, ale już w większości ze szlachectwa wygasły i bardzo zruszczony. Dokoła miało być sporo osiedli polskich mniejszych, które miały z Okolicą stały kontakt i na niej we wszystkim się wzorowały.

Ubrał się w daleką drogę ciepło i czysto, jak przystało na smolarzina: buty miał nowe, dopiero spod dratwy i kute, garnitur sukieny, kramny, czapkę baraszkową. Na ramieniu niósł futerko, którego nie włożył ze względu na ciepło i tłomok z paszą i paczką książek i elementarzy.

Teren ciągnął się lesisty i więcej głuchy, niż w drodze do Bobrujska. Ale puszcza dziewiczych jak smolarska nie było. Od czasu do czasu, błota spotykał dzikie, szerokie jak step; brzegi ich, płodne w żórawiny, roily się kobietami, niczym pole w żniwo.

Wsie siedziały rzadko i korzystając z dobrodziejstw niekończących się lasów, nie były ubogie.

W połowie drogi przenocował i nazajutrz niedługo przed zachodem słońca znalazł się przy Okolicy. Stała nad niedużą rzeczką, zwaną Niłką. Za Niłką, nieco na ukos, widniała ogromna wieś ruska o tej samej, co rzeczka nazwie.

Nie ukończone jeszcze były kartofle. Wszędzie po polu dymiły się ogniska i stały wozy z łubami. Szereg wozów ciągnęło pełną drożyną ku siedzibom, od których niesło się liczne nawoływanie i gruchot zładowania kartofli.

Wygląd Okolicy nie miał ni piękna, ni porządku. Budynki przeważały stare i niskie, a stały bez żadnego ładu. Gdzie jednego gospodarza stała chata, tam drugiego przylegał chlew, lub stodoła i odwrotnie. Ogrodzenie dziedzińców i zaułków, którymi splełany był cały zaścianek, było żerdziane. Sady, kto jaki miał, chowały się między budynkami. Jedyną ozdobę wsi, stanowiły dęby stare i jodły z bocianimi gniazdami u góry, których aż kilkanaście w zaścianku stało. Ogromne stodoły i liczne przy nich stogi siana i zboża świadczyły jednak o zamożności mieszkańców.

Przy wejściu w zaścianek, droga rozeszła się na kilka krzywych zaułków. Poszedł jednym z nich i niebawem znalazł się przed wrotami, wtłoczonego w trójkąt zwartych budynków, dziedzińca. Stado głodnych świń dobijało się natarczywie do sieni; gryzły próg, odrzwała, stawały dęba na drzwiach, usiłując dosięgnąć zębami kłamki, potraçały się i kwiczały piekielnie. Wściekłe ujadanie, na widok obcego człowieka, dwóch psów na uwięzi, hałas powiększało.

Z ludzi nigdzie nikogo.

— Gospodarzu! O, gospodarzu! — zawołał. — Nikt się nie odezwał. Począł chwilę i jeszcze raz zawołał, wnioskując po gwałtownym dobijaniu się świń, iż za drzwiami ktoś z domowników przygotowywał im paszę. — To samo. Począł jeszcze chwilę, potem minął wrota i podążył ku chacie.

— Ajuś, żeby was! Ajuś! — krzyknął, następnie kopnął jedno i drugie w ryj i rozeznawszy stado, uchylił drzwi. Ale nie zdążył nogą w sień stąpić, gdy ogromny wieprz dał mu z tyłu susa pod nogi. Nie runął, oparł się na kłamec, jednak pozwolił otworzyć się szeroko drzwiom i dał ujście stadu. Najdłużej w trzy sekundy przewaliła się w sień lawina sztuk trzydzieści. Część rzuciła się do koryta, część w izbę przez otwarte drzwi na ościerz, ku ogromnej hurbie kartofli surowych. Ludzi nigdzie.

Nie wiedział co począć: wyganiać świnię, czy uciekać. Ale w tej samej chwili wynurzył się zza hurby stary człowiek i zaryczał przeźrażliwie:

— Aj!! Ajej!! Chtoż heta? Chtoż heta upuściw?

Skoczył w ką, chwycił kij i jał wyganiać, złorzecząc.

— Won! Sztob was wow! Sztob was miadzwiedz! Sztob was chaleraja! A jakżeż heta? Won!...

Ujrzawszy Stacha zamierzył się nań kijem.

— A to heta ty upuściw?! — Wyhaniaj! Pamahaj bo dam!

Wygнали we dwóch i zawalili drzwi.

— Na szto ty upuściw, hawary? — zwrócił się do Stacha.

— Nie chcąc; zrazu wskoczyło jedno, a za nim całe stado.

— Hawary na wucha, bo ja hluchawaty. Chto ty taki?

— Ja bieženiec — krzyknął na ucho.

— Bieženiec? I хочysz chleba?

— Nie, chcę przenocować.

— Przenocować? A ty ni złodziej?

— Niechaj mi ręce i nogi połamie, jeżeli ja cokolwiek ruszę u was.

Zaklął się, uderzając pięścią w pierś.

— To noczy sobie. — Weszli do izby.

Jeśli ni nadta zmachawsia, to pamahaj mnie kartoflu sartawać — zaproponował. — Jutro niedzielnka,\* treba skończyć. Dostasz za heta wieczere i śniadanie jutro.

— Nawet z ochotą — zgodził się. — Złożył futerko z tłomokiem na ławie i przysiadł na małym, wskazanym przez starego, stołku koło hurby, zabierając się gorliwie do roboty.

— Jakojż ty gubernii? — zaczął badanie.

— Rodem lubelski. Może panu zdarzało się być tam?

— Być to nie był, ale czuł o tej gubernii. No, a baćkaż i matka hdzie twoje? A może ni masz?

— Owszem, mam. Tato w wojsku służy, a mama z siostrą założyły sklep obrazów świętych w Mińsku.

— Obrazów świętych? No a tyż hdzie idziesz?

— Ja sobie służby szukam.

— A jakojże służby?

— Mogę być zakrystianem, organistą, mogę być pisarzem i też nauczycielem polskim mogę być.

— To ty hetki?! A ni breszysz czasami? — spojrział nieufnie.

— Niechaj mi język odwali się, jeżeli kłamie! Nocując w Krosnach dowiedziałem się, że tu jest duży polski zaścianek, więc przyszedłem zapytać, może tu wam polskiego nauczyciela potrzeba.

— Po polsku ni można uczyć.

— Nie wolno, a jednak od samego Mińska, gdzie tylko spotykałem polskie zaścianki — wszędzie uczą. Wsunąć uradnikowi trochę w łapę, to będzie milczał. Cóż to bandyctwo jakie?

— Jak stanisz suwać na wsie boki, to i całą gospodarke rozsunesz. Szkoda twoich nóg, że do nas zachodził.

— Nie chcecie swych dzieci uczyć?!

— Da na szto nam hety kłopat; my ludzi proste.

— Pan nie chce, ale może inni gospodarze zgodzą się swe dzieci uczyć.

Przenocuję i jutro poproszę naszego starostę, aby zebrał schod.

— Jak chcesz sobie.

O zmierzchu zjawili się syn starego, trzy synowe, dwie córki już panny dorosłe, dwa młode parobczaki najemne i czereda dzieci. Jedna synowa, panny i kilkoro starszych dzieci przyłączyło się do sortowania.

Stach nawiązał z dziewczętami rozmowę i w jej trakcie dowiedział się, że wszystkich zagród w okolicy jest trzydzieści, że osiem z nich wyznania prawosławnego i że na całym zaścianku pisać umieją tylko ojciec dziewcząt Stefan Niłkowski i Michaś Prymaka, drugi gospodarz, sprawujący od szeregu lat obowiązki gromadzkiego starosty.

Dziewiąta godzina nadeszła nim skończyli sortowanie. Po wieczerzy, parobczaki zabrali Stacha ze sobą na nocleg do stodoły. Gospodarze brakiem miejsca w izbie i pościeli tłumaczyli się, ale jeden z parobczaków wyznał Stachowi, że wyprawili go z chaty, aby im nocą czegoś nie skradł.

Nazajutrz po śniadaniu udał się do starosty i uprosił go, aby zwołał zebranie.

Po południu zeszło się w domu Niłkowskiego kilkunastu gospodarzy i duża gromada chłopców młodych.

— Nu to znaczytca tu uczyciel polski i szukaisz sabie miejsca? — zagadnął starosta nim Stach zdążył przedstawić się gromadzie.

— Tak, proszę panów, szukam. Będąc zaprzeszłej nocy w Krosnach, dowiedziałem się, że w okolicy dużo mieszka bogatej i honorowej szlachty, więc zaszedłem zapytać, czy już panowie znaleźli sobie, jak inne zaścianki, polskiego nauczyciela. Okazuje się, że dobrzem zrobił.

— Nadtaż dobrze — przedrażnił starosta. — A ty ni znaisz, że po polsku uczyć “wospreszczajetsia”?!

— Tym nie wolno, kto o swoje dzieci nie dba, ale kto chce ich na ludzi wykierować — uczy. Za to na Sybir nie zsyłają. Ja już wczoraj mówiłem panu Stefanowi: od samego Mińska gdzie tylko spotykałem polskie zaścianki — uczą. Żyją dobrze z policją, więc patrzy na to przez palce.

— Od samego Mińska idziesz a miejsca sabie znajści ni możysz — zauważył któryś gospodarz.

— Z jaho pewnie taki uczyciel, jak z mianie muzykant — dodał drugi.

Starosta usłyszawszy te uwagi uznał za stosowne wyegzaminować Stacha.

— Nu, a możysz ty choć być uczycielem? — zwrócił się doń.

Dobraż ty hramotny?

— Ręcę, że dla waszych dzieci nauki mojej starczy.

— A wot my zobaczym zaraz. — Sięgnął ręką na półkę pod obrazy, zdjął kantyczkę i rozłożywszy ją w Psalmach, podał Stachowi. — Na ot poczytaj nam, ale hromko, kab wsie paczuli.

Chciał był odrzucić ubliżającą propozycję, lecz pohamował się i jął czytać. Dwóch strofek nie skończył — posypały się uznania.

— Dobra czytaj! Nadta dobra! Jak repu hryzie! Jak bobam sypić! I ni można lepiej.

— Nu, dosyć już, dosyć — zawołał starosta. — Bojka czytaisz ni ma szto. Czy i pisać tak sama dobra możysz?

— Jakim bym nauczycielem był, gdybym pisać nie umiał?

— A piśmo możysz iz swajej hałowy zestawić?

— Moge list, podanie i co tylko potrzeba. Ot jak chcecie, zaraz wam któremuś list napiszę.

— Dobra. Napiszy majmu bratu, tak jakby heta ja.

Dobył papier, atrament i pióro, wybadał starostę o rzeczy, które chciał bratu donieść i napisał list. Gdy przeczytał, w gromadzie większy zachwyty był niż z lektury.

— Wot piśmo! Wot pisar! Wot haława — wot rozum! Jak z książki spisał. Trebaż hetak! Hdzie jon tak wyuczył się? — chwalili.

— Hdzie ty uczył się? — zapytał starosta.

— Gdzieby się nie uczył, ale umiem. Jak pouczę wasze dzieci zimę, a najdłużej dwie, to i one tak samo będą umiały pisać. Nie traćmy więc panowie czasu, a układajmy się. Drogo nie żądam: kwatere, stołowanie i 2 ruble od dziecka. Zgoda?

— Nu to jak, susiedzi, najmaim uczyciela czy ni najmaim? — zwrócił się starosta do gromady.

Minut parę trwało spoglądanie jeden na drugiego, chrząkanie i skrobienie głów. Wreszcie odezwał się jeden.

— Nowaja pjawka na nasz krywawy grosz znaszłasia. Każdamu rublow... Kaznie daj, ksiandzu daj, papu daj, szawcu daj, kawalu daj, a tut jeszcze i uczyciela czort pryhnow. A nam kto da?! Pfu! — splunął.

— Dzieci poduczyć trocha to warta byłoby, ale strasznowato — zauważył drugi.

— Prawda strasznowato — przytwierdził trzeci.

— Jeśli po rusku, to ja tak, ale po polsku bezpłatnie — oświadczył inny.

— A po rusku ty ni możysz? — zapytał starosta.

— Po rusku nie biorę się, słabo znam.

— Wot jeśliby ty po rusku znał tak, jak po polsku, to by miejsce sobie raz dwa znalazł. Jaka szkoda!

— Więc znaczy się panowie nie chcą swe dzieci uczyć?

— Nie chcemy. Strasznowato. Bepłatnie — odpowiedzieli.

— Strasznowato — przedrzeźnił. — Dziady wasze z najgroźniejszych wojsk drwili, a was przed uradnikiem trzęsie. Dwa ruble wam na naukę dziecka szkoda, a rublami zapewne sienniki napychacie. Mało wasze dzieci chwalić was za te ruble będą, jeżeli im rozumu nie dacie, jeżeli ich inni durniami będą nazywać. Rozmyślcie się. Jeżeli uważacie, że dwa ruble za drogo, to popuszczcie.

— Ni treba, tobie zajawili i basta! — krzyknął starosta. Jak będziesz nas łajac, to raz dwa po karku zarobisz!

Zebrał się, podziękował Niłkowskiemu za gościnę i odszedł z myślą, że uda mu się w którymś sąsiednim mniejszym zaścianku zatrzymać i stamtąd na okolicę wpłynąć.

Ledwo wszedł w zaułek, spotkał jeszcze jednego gospodarza zdążającego na zebranie. Spóźnił się, gdyż dopiero z miasteczka wrócił.

— Więc pan nauczyciel u nas nie zostaje? — przemówił po polsku.

Stach powtórzył przebieg rozmowy, jaką miał przed chwilą z gromadą, wyrażając przy tym swe zdziwienie, że szlachta tak zdziczała i tchórzostwem przesiąkła.

— No, a ile pan chce ogółem za zimę całą? Jeżeli nie drogo, to ja bym sam jeden pana wziął; dzieci z jednej chaty można jak chcesz uczyć, bo to nie liczy, że szkoła.

— Myślę, że dwadzieścia rubli drogo nie będzie?

— Zgoda. Ale pan razem i brata mojego dzieci, będziesz uczyć, jeżeli on zechce.

— Mogę i szwagra, jeżeli macie. No, a jakże pana godność?

— Paweł Podgruszny. A pana?

— Piotr Jabłoński.

### XXX.

## BAJKI

Kilka dni pomagał rodzinie Podgrusznego przy kopaniu kartofli, a gdy je ukończyli, wziął się za naukę. Siedmioro dzieci znalazło się: czworo Pawła a troje brata jego Adama. Troje starszych umiało nieco sylabizować, pozostałe nie wiedziały ni b., ni c. Zabrał się do nich gorliwie, ucząc lektury, pisma i rachunków wzorem szkół ludowych ruskich. Wieczorami i w święto opowiadał ciekawsze wyjątki z dziejów Polski, których słuchał z wielkim zainteresowaniem i sam gospodarz. Mówił zarówno do dzieci, jak i rodziców po polsku, ale dobierał słów jak najprostszych i najbardziej po polsku zbliżonych do mowy, jaką posługiwali się okoliczanie.

Spadł śnieg. Ludzie po ciężkich i długich trudach przeszli do wyczasów. Robota mężczyzn ograniczała się do młócki i doglądania bydła, kobiet do gotowania strawy i przędzy. Młodzież rozpoczęła wieczorki.

Jakoś w tydzień po ustaleniu się zimy, wybrał się i Stach na wieczorki, spodziewając się, iż do młodych łatwiej będzie przystąpić. U starosty wieczorki były, który miał dwie izby.

Wszedł, powiedział bliższym progu osobom dobrywieczór i usiadł skromnie na ławie, obserwując przebieg wieczorku. Dziewczęta, siedząc na zydlach łukiem ustawionym do kominka przędzy, a chłopcy, jedni stojąc kupą przy stole o czymś hałaśliwie rozprawiali, drudzy tulili się do dziewcząt, szepcząc im sekrety i kradnąc pocałunki, albo zartowali strącając pasy w kołowrotkach i strasząc podpalaniem kądzieli. Ujrawszy obcego przybysza, niektórzy wskazując nań gestem, zaczęli coś o nim szeptać, ale większość kontynuowała swe żarty bez żadnej żenady.

Najswawolniej brunet rosły zachowywał się, brataniec starosty, nazywany Adasiem. Brał po kolei urodziwsze dziewczęta, odwalał na zydel, całował gwałtem, albo szczypał gdzie mu się tylko podobało.

— Adaś, kab ciebie chalera, chodzi wże! — broniło się błękitnookie urodziwe dziewczę. — Hodzi wże, praści treba. Lepiej wot bajku nam raskazy.

— Tabie bajki zachacielasia? — zawołał Adaś. — Lepiej ja kurdu table zahnu, ale ni bajku. Powiedział i nim dziewczyna zorientowała się, pochwycił ją jedną ręką pod kolana, drugą pod łopatki, uniósł jak małe dziecko i skierował się ku ławie, by ją tam złożywszy, przygiąć palce nog do czoła, co się miało nazywać kurda.

Ale dziewczyna nie życzyła sobie tak grubiańskiego żartu, w którym łatwo mogła zaświecić towarzystwu wstydliwą częścią ciała — więc za-

częła krzyzcć w niebogłosy, przęyc się z całęch sił, wierzgać nogami i w końcu uwolniła się od grubianina.

— Świnia ty z twoimi żartami! — kręyknęła gniewnie. Ale gdy usadowiła się przy kołowrotku znowu zaczęła go błagać o bajkę.

— Raskaży, Adaśka, raskaży! Pra lisicu, jak niedźwiedzia oszukała raskaży nam.

— Da jakaż heta bajka? Jaż moża sto razy wam heta raskazwaw — powiedział Adaś. — Bieżeńca wot lepiej paprasi, jon pewnie znaję wiele.

— Ty paprasi, ja stydajusia.

— Bieżeńca stydaizsia?! Badziniu hetaha? Hej, tam, kałysz! — kręyknał w stronę Stacha. — Raskaży no dziewczatam bajku; ty badziajuczysz po świeci, pawinien znać wiele.

— Tak, znam wiele — odrzekł. — Mógłbym wam opowiedzieć bardzo ciekawą historię o królewiczu, o dwóch dziewczynach bogatęch i o jednę biednę, ale nie wiem czy mnie dobrze zrozumiecie.

— Zrozumiem, zrozumiem! Powiadaj! — zawołano chórem. Dali mu miejsce przy kominku, wstrzymali kołowrotki i wszelki hałas w izbie.

Opowiedział dzieje Sobkowa, które wysłuchano w skupieniu. Nawet s...ruszka wygrzewająca się na piecu zsunęła się na przypiecek, aby nie uronić. Podobało się wszystkim ogromnie.

— Wot heta to bajka ważna! — zaczęli chwalić gdy skończył opowiadanie. — Heta ni Adasiowaj lisicy z miedźwiadziom bywszy! No, ale dobra, że hetęch bahatęch suczak wyhnaw królewicz. Tak i treba. To pa sprawiedliwości.

— A może to i naprawdę takie zdarzenie kiedyś było? — zauważyła jedna z dziewcząt.

— Właśnie, że to nie bajka, ale historia prawdziwa — odrzekł.

— Ja nawet na własne oczy widziałem ową górę i ruiny zamku królewicza.

— Widział zamek ten?! — podchwycili. — A gdzie to jest?

— To jest za Krakowem, niedaleko tej puszczy, gdzie król polski Bolesław Chrobry, doprowadzony przez kmiecia Piotra Cholewę, wyszatkował Niemców.

— Jaki Bolesław? Jaka Cholewa? — pytali.

— Jak to, nie wiecie nic o Cholewie! Dobrze, innym razem opowiem wam o nim.

— No, dzisiaj raskazwaj! Teraz powiadaj! — domagali się.

— Nie, jutro opowiem, teraz niech dziewczęta już przęda, bo ich matki nie puszczą więcej na wieczorki.

Nazajutrz, oprócz młodzieży miejscowej, zjawilo się kilku chłopców z Łady i Żużłów pobliskich zaścianeczków, których okoliczanie zwabili zapowiedzianą bajką. Czekali wszyscy niecierpliwie na Stacha. Gdy otworzył drzwi, Adaś zawołał nań.

— Da pawziż ty skarej! Ciachniszsia tak, jakby try dni ni jewszy byw! Raskazwajże pra tuju Chalawu!

— Dobrywieczór państwu — powiedział Stach do ogółu, następnie zwrócił się do Adasia. — Słuchaj Adasiu! Mnie korona z głowy nie spadnie, że na mnie tak ryczysz, ale to jest bardzo brzydtko. Jaż nie jestem twój parobek ani ze mną poznałeś się tyle, byś miał prawo takimi

słowami się odzywać? Do czego to wygląda: Hej, hałysz! Pawzi! Razkazwaj nam! — Toż ostatni prostak w łapciach z Niłki, smarkacz dwunastoletni, więcej delikatności w obejściu z nieznanym człowiekiem ma, niż pan kawaler dorosły w butach, za Polaka i szlachcica do tego jeszcze uważany.

Adaś oniemiał i jakby warem się oblał.

— Prawda, prawda! Adaś świnnia! Adaś wielka świnnia! — wpadli też nań i koledzy.

Historia o Piotrze Cholewie podobała się wszystkim nie mniej niż Sobkowa. Chłopcom bitność rycerstwa Chrobrego bardzo zaimponowała.

— Wot żeby naszemu caru teraz takie rycerstwo to on by nie wodził się z Niemcem trzy lata — powiedział jeden z okoliczan w trakcie dyskusji, jaka nad opowiadaniem o Cholewie się wywiązała.

— Kto wie, może w tę kucię już wstaną — rzekł Stach.

Chłopcy spojrzeli nań pytająco nie rozumiejąc uwagi.

— Książki łacińskie piszą i biskupi mówią, że król Bolesław Chrobry wraz z całym swym rycerstwem zapadli w sen letargiczny i że mają jeszcze wszyscy wstać na rozprawę z wrogami Polski. Mówią, że każdego roku w noc, gdy Pan Jezus się rodzi, zjawia się owe rycerstwo żywe w podziemiach pałacu królewskiego w Krakowie przed królem Bolesławem i pyta: czas, czy nie?

Przerwał gdyż wbiegł posłaniec od Podgrusznego dwunastoletni syn jego, a Stacha uczeń.

— Proszę pana, tata prosił, aby szli do domu, bo tam przyszło dwóch takich dziadziów, co chcą aby ich dzieci razem z nami uczyli się — raportował.

— Taak? Dobrze. Wracaj do domu i powiedz niech poczekają trochę, ja zaraz przyjdę.

Dokończył legendę o uśpionym rycerstwie Chrobrego i zapowiedziawszy na następny wieczór opowiadanie powieści o nieuchwytnym Nieborze, pożegnał się i odszedł.

W jednym z zaułków już blisko domu Podgrusznego dopędził go chłopiec z Zużłów.

— Poczekajcie trochę, ja chcę coś zapytać — rzekł. — Wy pewnie ni bieżeniec. Zdaje się, że wy Stach Bałaszewicz ze Smolarni.

Stach miał przez chwilę ochotę w nos chłopca smałać.

— Teraz wszystko już na nic — pomyślał. — A gdzie ciebie cholera brała, ty grubonosy draniu?! — zaklął w duchu. Postanowił jednak wyprzeć się, nim się dowie, kogo ma przed sobą.

— Mało to ludzi podobnych do siebie jest na świecie? — odrzekł. — Jestem uciekinier z Lubelszczyzny.

— A mnie się zdaje, że my na jednej ławce w szkole siedzieli.

— W szkole?! Jakże pańska godność?

— Po familli Pietrykiewicz.

— Pietrykiewicz?! — wykrzyknął radośnie, wierząc, że mu uda się zmusić go do milczenia. — A cóż ty robisz w tych okolicach?!

— A myż ziemię w Zużlach już cztery lata temu kupili. To znaczy się ja poznałem?

— Tak poznałeś. Jestem Stach Bałaszewicz.

— A braciszkuż kochany! — pochwycił Stacha w ramiona. — Tyle lat!... Jakżeż żyjesz?

— Dobrze. Ważna potrzeba narodowa zmusiła mnie przerwać na tę zimę naukę i przybrawszy sobie drugie nazwisko, przyjść w te głuche strony i nauczać ludzi.

— To ty aż dotąd uczysz się?

— Pytasz jakby nie wiedziałeś na kogo ja miałem się kierować.

— Co, na księdza się uczysz?

— Wnet nim będę. Już mi plech na potylicy wystrzygli. Mógłbym ci nawet pokazać, — ba za te dwa miesiące jeszcze nie zarósł zupełnie, — ale przy tej ciemności nie dojrzysz.

Już klerykiem, braciszku jestem.

Pietrykiewicz zdjął czapkę.

— Nie trzeba braciszku, nałoż. Ja jeszcze nie święcony. Bedziemy ze sobą, jak równy z równym, jak i w Wończy byli. Proszę cię tylko, abyś nie wyjawiał co wiesz o mnie, ani tu w okolicy nikomu, ani u siebie w Żuźlach.

— Jak trzeba, to nie wyjawię.

— Musisz mi przysiąc, bo tu idzie o ważną sprawę.

— Przysięgam.

— Nie braciszku, musisz mi przysiąc formalnie. Chodźmy stąd gdzieś pod budynek.

Przeleźli płot i podeszli pod strzechę stodoły.

— Przeżegnaj się i powtarzaj za mną — powiedział Stach.

“Pater noster, juramentum” Tobie, że ani prawdziwego nazwiska kleryka Stanisławusa, ani jego pochodzenia ze Smolarni, ani też jego stanu duchownego nie wyjawię przed nikim odtąd, aż on mi Stanisławus nie da na to swojego inductum. A jeżeli ja tego juramentu nie dotrzymam, to za taką “culpe”, niechaj mię Pan Bóg piorunem, albo połamaniem rąk i pedałów moich, albo też zaraźliwym bacillus lepraum ukarze, co będzie bardzo sprawiedliwie, “secula seculorum amen...”

— Pamiętajcie, braciszku, jeżeli tę przysięgę złamiesz, to nie tylko mnie i moich towarzyszków zgubisz, ale też i samego siebie.

XXXI.

## WIKTORIA

Dobijał celu. Prawie wszystkie dzieci w Okolicy wyznania rz. katolickiego uczęszczały do szkoły. Rodzice odnosili się do Stacha z należnym nauczycielowi szacunkiem i słuchali jego rad i zleceń. Gdy ilość doszła do liczby dwudziestu, szkoła, na wniosek Stacha, została przeniesiona do domu Andrzeja Rakickiego, dlatego, że dostęp do jego zagrody prowadził przez największą ilość i najbardziej zawitych zaułków pozamykanych w wielu miejscach niełatwo otwierającymi się wrotami. Dzieci przychodziły opłotkami. Organista, który rozwożąc przed Świętem opłatki, odwiedził szkołę i zbadał dostęp do niej, powiedział, że policja nigdy tam nie trafi, chyba by tylko przez jakiegoś szelmę miejscowego została dopro-

wadzona. Ale chociażby i chciał ktoś doprowadzić — mówił — to przez czas potrzebny do przejścia całego labiryntu zaułków albo opłotków, którymi przychodziły dzieci, wojując na każdym dziedzińcu ze zgrają psów — nie tylko dzieci zdążą rozbiec się do domów, ale też i sprzęty szkolne można powynosić. — Oprócz ulokowania szkoły w miejscu nieprzystępnym, sprowadzono jeszcze do okazania możliwej wizycie nieproszonych gości, ruskie "azbuki" i przygotowano czterdzieści rubli w złocie łapówki.

Najwięcej czasu i wysiłku poświęcał młodzieży. Nie odbył się bez jego udziału żaden wieczorek, żadna wieczorynka, żadna świąteczna schadzka. Opowiadał bajki, czytał gazety, powieści historyczne, uczył przyzwoitych zabaw i tańców używanych w Smolarni, obejścia, grzeczności, mowy polskiej, a niektórych nawet i czytać; rozwijał jej umysł, rozjaśniał przed nią świat, budził jej świadomość narodową, dumę szlachecką, rozpałał zamiłowanie do zawodu rycerskiego i żądę bohaterstwa. Omawiając w pogawędkach z chłopakami, dawne chwalebne bitwy rycerstwa polskiego, wycytane przedtem w powieści, wmawiał, że w tych bitwach brali bezpośredni udział ich przodkowie. — W moich książkach tego nie ma, ale ja raz — mówił — w bibliotece w Wilnie czytałem rejestr wszystkich sławnych dawniejszych polskich ludzi, to były między nimi nazwiska Niłkowskich, Rakickich, Podgrusznych i Prymaków. Jak dziś to pamiętam. Plemię, z którego pochodzicie, nie dla samego dłubania się w ziemi Pan Bóg stworzył. Sławni ludzie z was mogliby powychodzić, gdybyście się o to starali.

Chłopcy palili się do wojska. Kilku, nie mogąc doczekać poboru, wybierało się pójść na ochotnika po zapustach. — Jej Bohu dobiję się oficera gdy pójde! — mówił Adaś.

Ale o dążeniu Narodu Polskiego do odzyskania niepodległości, o możliwościach detronizacji cara i wybuchu nowego powstania polskiego, o potrzebie przygotowania się do niego, nie wspominał. Było pomiędzy chłopcami parę jednostek, którym nie ufał. Aby ujawnić rzeczywisty cel swego pobytu w Okolicy, aby wskazać drogi obudzonej szlachcie zamierzał zwołać więc tajny, dopuszczając doń tylko osoby godne zaufania. Wyczekiwał tylko na to odpowiedniej chwili.

Dowiedziawszy się, iż w niedzielę zapustową ma się zjechać do Okolicy sporo gości z dalszych stron i że chłopcy projektują na ten dzień huczną wieczorynkę, uznał, że to czas będzie najodpowiedniejszy. Na dwa dni przed nim wtajemniczył w swój zamiar Pietrykiewicza, obu braci Podgrusznych, Adasia Prymakę i Antka Rakickiego, którzy mu byli najwięcej oddani i z ich radą i pomocą poczynił potrzebne przygotowania.

Uradzili, że najodpowiedniejszym miejscem na takie zebranie, będzie samotna puńka Adama Podgrusznego na łące, osłonięta od wsi Nitki pasmem olszyny, a od Okolicy pagórkciem. Umościli dookoła ściany wewnątrz, ławy z żerdzi, obetknęli w ścianach szczeliny, zanieśli lampę i powiadomili zaufane osoby w Okolicy, Żuźlach, Ładach i Chutorach. Okoliczanie powiadomieni mieli zabrać na wiec i gości swoich.

O północy zaczęli się schodzić. Młodzi z wieczorynki wykradając się pojedynczo, starzy bezpośrednio z domów. Każdy podążał inną drogą, gdyż mieli nakaz zachowania jak najdalej idącej ostrożności.

— Na co on nas tu zbiera? — pytali jeden drugiego z niepokojem, gromadząc się w puni. — Co on ma takiego sekretnego mówić? Po co taka ostrożność? Może jakie dzimokractwo? — Ale żaden nic nie wiedział.

Stach odprowadził Pietrykiewicza na bok i rzekł mu:

— Gdy cię wezwą, powiedz ludziom, że mię znasz od maleńkości, zem tutejszy i na kogo ja się uczę. Zamilczysz tylko, zem Bałaszewicz ze Smolarni. Pamiętaj braciszku!

Zebrało się wszystkich ponad 50 dusz. Sprawdziwszy, że już nikogo nie brakuje, Stach wlaź na ławę i zaczął:

Kochani Panowie i Bracia! Zebrałem tu was w odległej puni, aby pomówić z wami otwarcie, czego w zaścianku przy dzieciach i babach i prawosławnych sąsiadach uczynić nie mogłem. Naprzód chcę wam powiedzieć, iż nie jestem “biezieniec” za jakiego się podałem. A kto ja taki — powie wam zaraz pan Pietrykiewicz.

— Tak, ja znam pana nauczyciela odkąd miał dziesięć lat — oświadczył Pietrykiewicz. — Jest on tutejszy i jest już — duchowny.

Ludzie zerwali czapki.

— Nie trzeba, nie trzeba, — zaprotestował Stach. — Jestem za ledwie kierykiem, a po drugie, nie zamierzam mówić kazania nabożnego. Na kładajcie, bo zimno.

Otóż kochani panowie i bracia. Przyszedłem do was jako “biezieniec”, jako osoba świecka, by łatwiej móc do was przystąpić i rozpoznać, którzy jeszcze naprawdę Polacy, którzy nie mają przed niczym strachu — godni sławnych swych dziadów. Przysłano mię rozpoznać takich, zebrać na osobności, co dziś właśnie uczyniłem, i powiedzieć, że cały Naród Polski: pod Niemcem, pod Austriakiem, pod Rosją i nawet w Ameryce gotuje się do nowego powstania.

Słuchacze poruszyli się na swych miejscach niespokojnie i spojrzeli po sobie.

— Powstanie się gotuje — ciągnął — tylko nie za przywrócenie “pryhonu”, jak to niektórzy szelmy mówią, ale za króla polskiego. Car ruski niechaj rządzi w Rosji za Dnieprem, a my tutaj chcemy króla polskiej wiary jak to i dawniej przez długie wieki było, aż od początku świata. Za króla swojego, za swobodę i za prawo. Chcemy mieć prawo budowania kościołów, kiedy i gdzie tylko nam się podoba, chcemy mieć swoje polskie szkoły trzymane “kazionnym” kosztem, chcemy żeby dla nas pisali w kancelariach po polsku i w swoich polskich pułkach chcemy służbę służyć. W swoich pułkach i to nie w piechocie, nosząc na plecach dwupudową chatomkę, niczym baby z ofiarami do Białynicz, ale na koniu z ostrogami na nogach, z szablą przy boku i kutasem, albo piórem u czapki, jak nasi pradziady służyli i jak na nasze rycerskie plemię przystało. za to chcemy powstanie podejmować.

Podejmiemy i jeżeli pójdziemy wszyscy drużnie, jeżeli też i my tutejsi przyłączywszy się — w co nie wątpię, bo gdybyśmy nie pomogli nazwano by nas szaludziwymi to, co chcemy odbijemy, co chcemy ustanowimy. Tylko musimy dobrze przygotować się do tego. Trzeba, żeby w każdym gospodarstwie były konie gładkie, zdatne pod wierzch, i trzeba przygotować siodła. Jeżeli nie znajdzie się w mieście kupić, to je można samym z owczynek uszyć i strzemiona przyprawić.

Dalej. Trzeba strzelby poczyścić, dużo ładunków, prochu, pistonów zakupić i piki stalowe wykuć. Jeżeli kto ma dawniejszy miecz szlachecki, to go dostać i wyostrzyć. A wszystko robić w tajemnicy, aby nie wydało się zawczasu.

Na to was dzisiaj zebrałem, to chciałem powiedzieć.

A teraz wracajcie tak, jak tu przyszli po jednym do domów, czyńcie co wam mówiłem, powiadajcie o tym swych krewnych i znajomych, którzy nie wiedzą i czekajcie cierpliwie, aż się zacznie. Idźcie sobie z Bogiem.

## XXXII.

### SZKODLIWE WYWCZASY

Po zebraniu w puni okoliczanie otoczyli Stacha książęcymi wygodami. Dali mu na mieszkanie pokój osobny i najlepszy w całym zaścianku: wysoki, tynkowany, z podwójnymi oknami, z widokiem na sadek stykający się z domem, na olszynkę na łące odległą o niecałe stajanie i na bór sosnowy w dali. Ścieżki w nim powyscielali płótnem, aby nie stukało chodząc. Łóżko było z poduszkami pod głowę i pod bok. Na każdy dzień miał świeże parcianki do butów. Wodę do umywania się podawano w miedzianej misie, podgrzewaną na letnio, do której było barskie mydło i zawsze świeży, dopiero spod wałka ręcznik. Z paszą to miał istne gody wielkanocne. Na śniadanie była herbata, bułka pszeniczna, ser świeży słodzony, a czasami też i naleśniki; na obiad prosię nadziewane, albo kura, pierożki pszeniczne pływające w tłuszczu, kasza prosiana gotowana w samym mleku i okraszona masłem i śmietaną zmieszana z twarogiem; na kolację bliny hreczane szatrowane, wereszczaka ze świńskimi żeberkami i makaron na mleku. W środy i piątki, w które obowiązywał post, mięso i nabiał zastępowały: ryba świeża pierwszej jakości, smażona w oleju, śledzie, kisiel owsiany i zórawinowy zapijany rozcieńczonym miodem, mak, ciastka i konfitury. Kobiety usługujące chodziły na palcach, mówiły szeptem. Kto spotykał, kłaniał się unieźnionie. Osoby, które przedtem kiedykolwiek wyraziły się grubiańsko, przychodziły przeproszać, prosząc o wyznaczenie im kary.

Dopiął celu w stu procentach i powinien był szukać sobie już nowego terenu, ale chciało mu się użyć trochę tych wygod. Wmawiał w siebie, że jest bardzo przemęczony i należy mu się dwutygodniowy wypoczynek. Napisał jeden list do ojca, drugi do Kazika, donosząc mu o sukcesach w Okolicy i dopytując o inne najbardziej zruszczone zaścianki — i odpoczywał. Lekcje dla dzieci skrócił do minimum, młodzieży udzielał się tylko dwa razy w tygodniu, a resztę czasu jadł i spał, spał i jadł. Niekiedy brał od gospodarza strzelbę i siedł do lasu.

Pewnego razu zbłądził i gdyby nie napotkał dwóch chłopców z Niłki, którzy korzystając z rozpoczynającej się śnieżycy wybrali się po upatrzo-

ne tylko, byłby zanocował w lesie. Gdy wrócił, było już po godzinie ósmej. Nie zdążył futerka zdjąć, przyszli Paweł Podgruszny i Adaś Prymaka. Byli bardzo zaniepokojeni.

— Panie, źle się robi — rzek Podgruszny. — Kola Wasilowy był schowany w sianie w puni i wszystko słyszał co pan mówił.

— Który to Kola Wasilowy?

— Da ten co mu raz na wieczorynce w mordę dali za to, że na Jadżkę Niłkowszczańkę po matuszki powiedział — objaśnił Adaś.

— Słyszeliśmy, że już nawet uradniku o tym doniósł — dodał Podgruszny.

Stachowi łydki zadrzały.

— Już doniósł?! Chwalić Boga, że chociaż wam udało się wywachać o tym; będziecie mogli broń pochować zawczasu — rzekł siląc się na spokój.

— Broń, to już my co kto miał podejrzanego pochowali. Pozostaje nam tylko jeszcze Kolę sprzątnąć. Jak jego nie będzie, to panu nic nie zrobią, bo my choćby nas na kawałki porzneli nie przyznamy się.

— Co, wy myślicie go zabić?!

— Jak nie zabić, to zadusić szczeniaka.

-- Nie pozwalam! Nie mogę na taką rzecz na swoją rękę pozwolić. Trzeba starszyny naszej zapytać, co z tym ptaszkiem należy uczynić. Natychmiast jadę do Bobrujska — nasunął się mu doskonały pretekst do ucieczki. — Idźcie panowie, przygotujcie mi sanie i zwołajcie tu cokolwiek naszych ludzi; muszę pouczyć co macie czynić nim do was wrócę i jak tłumaczyć się przed policją w wypadku gdyby w tych dniach się zjawiała. Żywo panowie!

Podgruszny z Adasiem wyszli i — we wrotach dziedzińca spotkali sanie z policją. Adaś wrócił co sił powiadomić Stacha.

— Panie!... Uradnik przyjechał!... Uciekajcie!... Prędej!...

— Uciekać?! Gdzie?!... Kędy? — pytał wierząc się roztargniony.

— Da choć kędy. Przez okno można. Prędej!

Pochwyił czapkę i skoczył przez sień do komory, gdyż przypomniał sobie, że są tam drzwiczki małe prowadzące do sadu. Namacał zawałę, odwalił ją i kopnął nogą z całych sił. Rozwarły się na oścież. Ruszył na podwórze — ale nie zdążył kroku stąpić, dwóch "sockich" pochwyliło go za kark i ramiona.

Stoj moszennik! Nie ujdziesz! — ryknęli.

Na ich krzyk nadbiegło innych dwóch draniów od strony jedlanego żywopłotu.

Dobłą godzinę już sześciu "sockich" czekało nań, zacząwszy się w sadzie, podczas gdy uradnik ze strażnikami stali z trzema saniami w olszynie.

## ZEMSTA

Przeprowadzili pośpiesznie rewizję w pokoju prywatnym i w szkole, zabrali wszystkie książki polskie aż do elementarzy dziecinnych włącznie i aresztanta, wiążąc mu ręce powrozem, i odjechali do Krośna. Nie pomogły, ani prośby okoliczan, ani ich propozycja dwustu rubli w złocie łapówki.

Snieżyca, z wieczora dość łagodna, przeistoczyła się w zamieć. Gonili po polu dymne wiry niczym psy spuszczone z uwięzi, skowycząc i prześcigując się wzajemnie. W jednym miejscu zmiatało do pyłka, w drugim hurby tworzyło. Chłód ciągnął syberyjski. Ale w lesie ściepłało trochę.

— Powiedz mi, paniczu, po dobremu — zwrócił się uradnik do Stacha po rusku, gdy w las wjechali — jak twoje nazwisko?

— Co wy mnie za sobakę macie? Powiedziałem już wam, że nazywam się Piotr Jabłoński i pochodzę z Lublina.

— Te nazwisko zmyślane; ja chcę wiedzieć prawdziwe.

— Innego nie mam.

— Jak ci porządnie wsypię w gminie, to mi wyśpiewasz.

— Nie będę się wam odbijał, ale muszę uprzedzić, iż jestem syn szlachecki, a stryj mój rodzony jest sędzią śledczym w Witebsku, który o moją krzywdę upomni się.

— Stryj sędzią, a bratanek miatieżnikiem.

— To jest wymysł. Kola Wasylowy po złości na mnie takie oszczerstwo rzucił za to, że mu raz w mordę za grubiaństwo dałem.

— Znaczy się, że ty wcale nie winien?

— Winnym tylko, że dzieci abecadła po polsku uczył, za co nie tylko nie ma powodu do bicia, ale nawet do aresztowania.

— A czegoż ty uciekałeś, jeżeli niewinny?

— Kto uciekał? Ja uciekałem? Ja za swoją potrzebą zawsze tamtymi drzwiami do sadu chodzę.

— Nu wtedy ja winowat. Prosti bratiec! Wot ty przenocujesz u mnie w miękkiej pierzynie, zjesz śniadanie i wrócisz moim koniem do Okolicy. Prosti.

Pojał, iż drwi z niego.

— Jak nie uwolnicie wy, to uwolni mnie stanowy, jak nie stanowy, to sprawnik. Za to przecież mię nie powieszają. Jednak mówiąc szczerze, wolałbym od was być wypuszczonym, co gdybyście uczynili, dużo by na tym zyskali. Po pierwsze, uniknięcie możliwej wymówki od sprawnika za to, że mię człowieka uczonogo i w dodatku wysokorożdziennaho aresztowaliście jedynie na podstawie gołosłownego donosu smarkacza. Po drugie — wejdzie wam do kieszeni. Dwieście rubli w złocie na śmietniku się nie wala. Nawet mogli by wam okoliczanie ze stówkę dobawić jeszcze. Strażnikom dacie po trojaczce papierowej, sockim po rublu, a Koli w mordę porządnie, ażeby więcej w nie swoje sprawy się nie mieszał, to wszystko cicho i w porządku będzie. A jeżeli wam kiedykolwiek...

— Chytry ptaszek z ciebie, nie ma co — przerwał uradnik. No, ależ jak to mówią: Zmicier chitier no i Sawkaż nie durak. Nie podejdiesz

mię i nie wykręcisz się z moich rąk. Ja z tobą w gminę pogadam, mo-  
szennik ty!

Jedne sanie z czterema "sockimi" zawróciły na Podrzecze, kierując się do swego domu. Wjeżdżając do Krosna, uradnik odpuścił i drugie sanie z resztą swych pomocników. Sam podjechał pod ganek urzędu gminnego, krzyknął na stróża, polecając mu odprząc i ustawić konia z saniami pod "powietkę" i wprowadził Stacha do zborni. Była to przegromna sień z dwoma dużymi oknami i aż dwunastu drzwiami; dwoje z nich wychodziło na zewnątrz, dwoje do cel areztanckich, jedno do kancelarii głównej, a reszta do gabinetów wójta, pisarza, starszego pomocnika i innych pomieszczeń.

Pomimo dość już późnej pory, w zborni było ludno i gwarno. Ławę od dziedzińca tylnego obsiadali chłopci interesanci, środkiem przechadza się felczer z naczelnikiem poczty, a dwóch chłopaków pisarzowych, biegając naokoło, bawiło się w gonitwę. Ujrawszy wprowadzonego arez-  
tanta w więzach, wszystkich oczy skierowały się ku niemu. Naczelnik z felczerem podeszli do uradnika.

— Cóż to, ten malczugan na rozstrzał ma pójść, że go powrozami skrepowaliście, Danił Iwanowicz? — zagadnął ironicznie felczer.

— Ten malczugan więcej porządnego bandyty wart — odrzekł uradnik.

— Politczeskij — szepnął naczelnik felczerowi, widocznie uświadomiony już o tej sprawie.

Uradnik wprowadził Stacha w jedną cel, zdjął mu z rąk powróż i kazał zdziewać futerko.

— Ależ, hospodin uradnik, ja bez niego na śmierć zamarzną w tej lodowni — zaprotestował, ujrawszy wdzierający się przez wytłuczoną szybę w oknie śnieg grubą strugą.

— Oddawaj howoru, ty polskaja wysokorożdiennaja morda! — zaryczał, tupiąc nogą i bijąc dłonią Stacha w twarz.

Zdjął pośpiesznie i oddał mu. Uradnik zerwał mu jeszcze z głowy czapkę, zawarł drzwi i zamknął je na kłódkę.

Stach rzucił się na prycę oddając rozpacz.

— Wpadłem znaczy się — mówił. — Tak nagle i niespodziewanie. Bez pomyslenia nawet. Czemuż zaraz na drugi, albo trzeci dzień nie odszedłem z Okolicy? Chytryś, braciszku, ale nie zupełnie. Bułek pszenicznych i blinów hreczanych chciało ci się nażreć, no to masz teraz, durniu. No i co robić teraz, co będzie ze mną? — Uczuł szaloną tęsknotę do Smolarni i do własnej chaty. — Ech, żeby to tak zasnąć i obudzić się w naszej chacie na piecu! — westchnął.

Coraz większa rozpacz i żal go ogarniały, coraz większa tęsknota za domem porywała, aż w końcu rozplakał się jak małe dziecko.

Nie wytrzymał na pryczy długo. Przez wytłuczoną szybę wiało, jak z miecha kowalskiego. Zimno przenikało do kości.

— Jak będę leżał, to zgine nie doczekawszy rana — pomyślał. Wstał i jał przechadzać się, nie przestając rozpaczać nad swą niedolą. — Co robić teraz, co ze mną będzie? — pytał siebie. — No, da coś innego miało

by być, jak nie lanie. Lanie, protokoły, odsyłka. Cholera, chytry kacap bestia, — nie daje się ni podejść, ni przekupić...

I, nic braciszku, nie poradzisz, przyjdzie się pocierpieć — godził się z losem. — Tylko nie przyznam się choćby tam nie wiem co. Choćby tak rznał, jak ongiś starowiercy.

Gwar chłopców w zborni powoli uciszył się. Dochodziły jeszcze co pewien czas odgłosy zawierania drzwi i kroków w butach, ale wkrótce i to ucichło.

Kwadrans spory trwała w całym domu cisza prawie absolutna. Sądził, że już wszyscy udali się na spoczynek, gdy nagle gdzieś z najodleglejszego pokoju zagrział gromki gwar mężczyzn. Gwar, śmiechy, a potem dźwięki bałałajek i w końcu śpiew.

— A to co u diabła? — zdziwił się. — W poście biesiadują z muzyką! Chyba pijani. Zapewne skądśi samogonki wytrzasnęli.

Wsluchał się w głosy śpiewu — i poznał między nimi wstrętny ryk Daniila Iwanowicza.

— Za powodzenie obławy koniołup popija — szepnął nienawistnie. — A jakże — cieszy się drań. Ot gdybym tak mógł stąd wyłamać się — zobaczyłbyś ty mnie jak swoje ucho. Nie wiadomo czy straż postawił.

Uderzył pięścią w drzwi. Cisza. Uderzył jeszcze raz, to samo. — Nie ma! — ucieszył się. — Warto spróbować. Pod leżący kamień sama woda nie podplynie.

Zaczął szukać sposobu. Odstąpił parę kroków i rozpędziwszy, uderzył ramieniem w drzwi. Ani się ruszyły. Wspiał się ku oknu i spróbował krat — jakby przynitowane były. Zbadał ścianę od zewnątrz, od zborni, zbadał posadzkę. Wszędzie jak mur.

— Oho, gdyby łotr nie był pewien celi, nie pozostawiłby mnie bez straży — westchnął ciężko. — Nie ma rady, braciszku.

W tym dosłyszał zbliżające się kroki.

— Już zapewne idzie badać mnie kacap — pomyślał z trwogą. Lecz skrzypnęły drzwi celi sasiedniej. Wsluchał się. — Jakby stuknęło wiekiem od kubła. Parę razy. Potem znowu skrzypnęły drzwi i kroki się oddaliły. Przekręcania klucza jednak nie słyszał.

— Znaczy się ta druga cela próżnuje i za spizarnię im służy — domyślał się. — Warto zobaczyć, może ta ściana słaba.

Zbadał i stwierdził, iż stanowi ją przepierzenie deskowe poziome, przybijane w trzech miejscach: przy węglach i pośrodku. Badając dalej, znalazł u spodu pod pryczą deski przegniłe. Widocznie pijacy, którzy za czasów funkcjonowania w Krośnach monopolki nie wychodzili z aresztu, wysypiając się na pryczy moczyli na ścianę.

Wstąpiła weń nadzieja.

Ale pod naporem dłoni, ani pod uderzeniem obcasa, miejsce aczkolwiek przegniłe, nie chciało ustąpić. Trzeba było je czymś podciąć.

— Czym żeby go tak? — szukał sposobu. — Żeby kawałeczek jakiegoś żelaza, żeby chociaż gwóźdź bodaj jaki. — Sprawdzał kieszenie — nic oprócz kawałka kredy. — No, a gdyby tak oderwać podkowę od buta? — pomyślał.

Wylazł spod pryczy, ściągnął but uderzył parokrotnie obcasem o kuty róg pryczy i rozluźniwszy w ten sposób przybicie podkowy, ujął

się za jej koniec zębami, zerwał z miejsca, następnie nacisnął dłoń, owijając ją najpierw połą marynarki i wreszcie odłupał. Okazała się doskonałym narzędziem: jeden koniec był ostry, drugi gruby, zręczny do ujmowania.

Wyrwał kawałek podszewki, owinał nią grubszy koniec podkowy, włożył pod pryczę i zaczął w najbardziej przegniłej desce żłobić pionową szparę. Nadzieja prędkiego wyzwolenia się dodawała mu sił i energii. Trociny sypały się jak spod zębów piły.

Śpiew i krzyki biesiadników nie ustawały i były coraz namiętniejsze.

— Ryczeź, rycze, kacapi — mówił żłobiąc zawzięcie. — Zobaczycie, wy mię, jak swoje ucho. Jak nie będzie nikogo w zborni, to jeszcze i figla jakiegoś zbójowi, za apleuchę co mi wyrznął, sprawię. Żle tylko, ze odzienie na mnie za cieńkie na tę wichurę. Ale głupstwo, nie zginę. A jakżeż mój dziaduńko wieczny pokój opowiadał, że uciekając w młodości od kozaków, całą noc zimową w samej bieliźnie i boso w lesie przebył i nie zginął. Ja przecież mam buty i marynarkę.

Zasiał się na głos z radości, gdyż uczuł, że już podkowa przeszła na wylot. Oparł się plecyma o środkową nogę pryczy, a nogami o podciętą deskę i wyprężył się. — Deska przy nogach trasnęła w węglowym przybiciu, zaskrzybiała i uchyliwszy się na przeciwną stronę, uczyniła otwór. Zmierzył głową — wchodzi.

— Jak wchodzi głowa, to wejda i plecy.

Nie stracił czasu. Posłuchał chwilę, potem wdział but, zebrał do kieszeni trociny i narzędzie, aby nie pozostawić żadnego śladu ucieczki, przelał na przeciwną stronę i znowu zacisnął na swe miejsce deskę.

Był pod pryczą drugiej celi. Wylał spod niej i stwierdził, iż domysły jego o spizarni były trafne: dookoła stały beczki, kubły, dzieże.

Uchylił leciuchno drzwi i wsunął głowę w zbornię.

Tonęła w półmroku przykręconej na mdło, wiszącej na łańcuchach pod powałą, lampy. Na ścianie przy drzwiach, za którymi rozlegały się krzyki biesiadników, wisiały płaszcz uradnika, baszłyk i czapka. Na ławie, chrapało owinawszy się burkami, dwóch wieśniaków podróżnych i jeden ze stróżów gminnych w kącie. Przebiegł oczyma po ścianach, lecz swego futerka nie znalazł.

— A wziąć by tak jego szynel — odezwało się w nim zuchwalstwo. — No, a jeżeli akurat w tej minucie, gdy będę brał, ktoś wyjdzie stamtąd, albo któryś z tych dziadów się obudzi, wtedy co? — ostrzegał głos rozsądku. — Skórę ci żywemu wówczas zedrze. Chociaż to warto by było kacapowi taką hecę za ową apleuchę sprawić.

Stał bezradnie. Mknęły przez myśl kolejno zuchwałe projekty, kombinacje, rady, ostrzeżenia. Wiedział, że nie powinien tracić ani chwili, że należy działać szybko, lecz nie mógł zdobyć się na konkretną decyzję i odwagę. Jakby coś go trzymało. Serce turkotało jak kulomiot, ugiwały się nogi, włosy stawały dęba i trząsał się jak w febrze.

— Da raz mama rodziła! — odważył się wreszcie. Przeżegnał się, wyszedł zamykając za sobą drzwi, podszedł ku drzwiom celi, w której był osadzony, dobył z kieszeni kredę i napisał:

— Znicier chacier, no Daniło durak. —

Uszoł Polak.

Następnie podszedł na palcach ku wiszącemu na ścianie ubraniu, zdjął je, a znalazłszy pod spodem szablę i ją też zabrał i wyszedł do przed-sionka, prowadzącego ku wyjściu frontowemu. Stwierdziwszy, iż nikogo nie zbudził w zborni, wdział się pospiesznie, dobył znowu kredę i napisał na ścianie jeszcze sześć cierpkich wierszy pod adresem Daniły.

— Już mię nie ujrzysz, bałwanie.

Wziąłem twoją szablę i odziewanie,

Bo jak wiesz — noc i mróz gniecie.

Potem wyrzucę te paskustwo na śmiecie.

Bo coś brzydko od niego śmierdzi. —

Tylko proszę, niech baryń, za to nie sierdzi.

Wyszedł na podwórze. Zamięć szalała potworniejsza niż przedtem. W dwóch domach, po przeciwnej stronie placu gminnego, błyszczało światło. Nie wiedział, czy to już ludzie powstawali, czy jeszcze nie kładli się.

— Nie, braciszku, przez miasteczko niebezpiecznie — powiedział sobie.

Zawrócił w lewo wzdłuż gminnych budynków; pamiętając ze swego poprzedniego tu pobytu, iż u ich końca znajduje się wąski zaułek, łączący plac z głuchą ulicą nadrzeczną.

Przechodząc obok ściany "powietki", dosłyszał chrupanie koni.

— Po co mam się męczyć pieszo, kiedy mogę wziąć konia — pomyślał. — Jednaka odpowiedzialność będzie.

Wszedł przez bramę, rozpoznał konia uradnika, odwiązał go, ściągnął zeń derkę, wyprowadził na plac, dosiadł i pomknął wichrem.

Powstrzymał się dopiero w borze, na drodze, jak przypuszczał do Okolicy. Serce waliło jak młotem, mózg zdało się czaszkę rozsądzi, na ciele nitki suchej nie było, w ustach miał silne pragnienie. Z konia szła piana i dym kłębami.

Przechylił się w dół, pochwycił garść śniegu i gasząc nim gorączkę, rozmyślał o dokonanej ucieczce i dalszych planach.

— Znaczy się uciekłem i zemściłem się na kacapie. I to jak lepiej być nie może! Chciałbym widzieć, jaki on będzie, gdy przeczyta na drzwiach napis i zobaczy, że mnie nie ma. A potem gdy się dowie jeszcze, że go obebrałem i znajdzie to, co w sionkach dopisałem. Żeby tylko chociaż nikt tego nie stał, aż on zobaczy. Oszałeje bestia. — Ot gdybym tak znowu w jego ręce popadł wyjąłby mi duszę bez sądu. Trzeba tak zaszyć się, żeby ani ducha ani słuchu o mnie nie mógł powziąć. A gdzieżby tak?

Gdybym wiedział dobrze te miejscowości, to bym się przebrał tą zawieją niepostrzeżenie, omijając wsi do Smolarni i byłbym jak u Pana Boga za plecyma. Nie ma co, że jak za plecyma; oprócz Pietrykiewicza, nikt przecież nie wie kto ja i skąd. Ale pytać po wsiach drogę jest niebezpiecznie. Mogę nie tylko sam wpaść, ale i naszym niebezpieczeństwo sprawić.

Po dłuższym rozważaniu, postanowił jechać do Okolicy, przedziać się i uciekać za Druć, bowiem nie ulegało wątpliwości, że przez czas potrzebny do przebycia drogi do zaścianka i wyjazdu z niego, uradnik już ucieczkę ujawni i puści za nim w pogoń; więc ucieczka w kierunku Smolarni nawet z dobrym przewodnikiem byłaby ryzykowną.

Dźgnął brzoźowym prętem konia pod brzuch i poniósł znowu wichrem. Zawrotna jazda, burza, jęk lasu i fortunna ucieczka upajały go i niosły wyobraźnią w Kmicicowe podjazdy. Miał złudzenie, że i on jest takim jeźdźcem i szermierzem, jak Kmicic, albo przynajmniej Soroką być potrafi. Dobył szabli i dawaj ciąć gałęzie w prawo i lewo. Uczuł szaloną tęsknotę do ułańów.

Wyjechawszy w pole, zwolnił w rysia i jął rozglądać się uważnie po okolicy, gdyż mu się wydawała trochę obca. Zamieć buszowała. W koło dymy, ćma szara, zaspę. W dali na linii drogi dojrzał punkt ciemniejszy. Posuwał się ku niemu. Jakby sanie, jakby kupa ludzi. W miarę zbliżania się, więcej podobieństwa do ludzi niż do sań było. Tak, ludzie — poznał wyraźnie. I jakby z kijami, lub strzelbami. Gromada była dusz dwadzieścia co najmniej.

Stachowi w piętę zakłuło. W pościg nie wierzył, ale samo włóczęgostwo w taką porę i pogodę uzbrojonej gromady wydawało się mu wielce niebezpieczne.

Wstyd mu było nawracać przed ludźmi, którzy choć uzbrojeni, mogli względem niego żadnych złych zamiarów nie mieć, więc jechał.

— Na bok, rebiata! Wojenny goniec jediet! — krzyknął.

Gromada rozstała się na dwie strony, lecz gdy wjechał między nią, dwóch chłopców pochwytiło błyskawicznie konia za uzdę, a reszta wzniosła się draęi do ciosu, a strzelby do strzału zakrzyrzała przeraźliwie:

— Ręce w górę, albo śmierć!!

— Śmiertelne przerażenie i radość ogromna wstrząsnęły nim w jednej sekundzie. — Poznał okoliczną młodzież.

— A, to wy chłopcy?! — zawołał głosem wzruszonym.

Twarze chłopców wydłużyły się, z ust posypały okrzyki zdumienia, — draęi i strzelby opadły w dół.

— A, więc takie sprawy! To już bandę na gościniec wychodziecie! — Jął karcieć zmieniawszy ton, chociaż zgadywał szlachetny ich względem niego zamiar.

— Ależ, panie!... My wybrali się... zaczynali tłumaczyć się.

— A, teraz już panie, gdy złapałem na uczynku — nie dawał chłopcom przyjsć do słowa. — Więc już za takie rzemiosło szlachta się bierze! Tęgoż ja was uczyłem!...

— My myśleli, że to strażnik — powiedział Adaś Prymaka.

— Że strażnik? A strażnik nie człowiek? Jego można grabić?

— Ani nam do głowy żadna grabież przyszła — rzekł Antek Rakicki.

— My wam na ratunek wybrali się.

— Mnie na ratunek? A któż was wyprawił? Nie dawałem wam znaki, gdy mi na ręce powróz nakładano, ażebyście siedzieli cicho, że ja do świtu wróćę do was? Oni na ratunek uzbroiwszy się bandę szli. Na gminę chcieli napaść. A pomyśleliście co was za to czekało? Was by na Sybir wszystkich za to wystali.

— Nasze dziady nie mieli przed niczym strachu i my też go nie mamy — rzekł Adaś z dumą.

— Wasze dziady oprócz męstwa i rozum też mieli, a wy go ani na rdzawą kopiejkę nie macie. Zginać nie sztuka, ale trzeba patrzeć, aby

z tego korzyść jakaś była. Czemuż wy starszych nie spytali. Boże, Boże, co za głowy!

Nakrzyczał, nawymyślał i w końcu opowiedział pobieżnie o sposobie swej ucieczki i zemsty na Danile.

Chłopcy nadziwić się nie mogli jego odwadze i przebiegłości. Z napisów pożegnania aż za brzuchy się brali zanosząc śmiechem.

— No, a chociaż nie spotkał was nikt na drodze? — zapytał, gdy już wyładowali się nieco z humoru.

— Nikt. Hałasuki to obeszlśmy, wygonem — odrzekł Antek.

— To i dobrze. Chwalić Boga, że natknąłem się na was; niedługo moglibyście z prawdziwą policją się spotkać. Teraz podzielicie się na małe partie, wracajcie wilczymi ścieżkami rychło do domu i nikomu słowa o tym. Gdy przyjdzie czas zaczynać powstanie, to was zawiadomimy, nie bójcie się.

Pożegnał się z wszystkimi serdecznie, poinformował się dokładnie o drodze do Podrzecza, — gdzie postanowił w celu zmylenia śladu pozostawić konia — i pomknął.

#### XXXIV.

#### SLEPCY

Świtem był już dobrych parę wiorst za Okolicą, jadąc z Pawłem Podgrusznym saniami. Na głowie miał magiereczkę wojłokową, typową dla niektórych wsi, na sobie siermięgę siwą, ściągniętą z tyłu, na nogach parcianki i łapcie. Szynel i furazkę policyjną wepchnęli pod lód na Niłce, a szablę zabrał sobie Adaś Prymaka, który wrócił, gdy z Okolicy wyjeżdżali.

Z rozpoczynającym się dniem pogoda zmieniała się radykalnie. Niebo przysłańało jeszcze lekkie zachmurzenie, ale śnieżyca ustała i wiatr się uciszył. Wszędzie biel lśniła się śliczna, niepokalana i cisza stała, zewsząd świeżość biła, że aż lubo było patrzeć, słuchać i wdychać.

Jechali szparką rysią, gdyż świeży śnieg w lesie rozścielał się równo i głęboki nie był. Miejscami jednak zwalniali w stępa i gwarzyli ze sobą. Stach powtarzał szczegółowo przebieg swej ucieczki, twierdząc, że to nie pierwszy raz w życiu spotyka go takie zdarzenie. Podgruszny podziwiał go, objaśniał okolice mijane i drogi w powziętej przez Stacha marszrucie.

— Proszę dobrze wszystko sobie zapamiętać, co mówię — mówił Podgruszny — ażeby potem nikogo nie pytać. Otóż jeszcze raz powtórzę. — Gdy minie się Hołodnicze i pole, co za nimi, wejdzie pan w las starzynny. Tam trzeba pilnować dróg odchodzących w lewo. Druga z rzędu prowadzi na Miatkę. Pójdzie pan nią i po dwóch wiorstach spotka rozstaje. — Trzeba wziąć w lewo. Przejdzie pan drugich parę wiorst i znowu spotka rozstaje. — Tam już trzeba wziąć w prawo. Od tych drugich widel tylko półtora wiorsty do Miatki. Druga chata z końca, to mój szwagier ten, co to u mnie na Trzy Króle gościł. Pozna od razu, gdy pan zrzuci siermięgę i czapkę i uczyni co potrzeba. Można u niego

przenocować, ale lepiej to niech zakłada konia i wiezie pana przez noc do swego teścia do Żmurek, gdzie już może pan być wcale bezpieczny; tam nie tylko gmina, ale powiat już inny. A gdy będziecie przejeżdżać przez groblę na Druci, to nie zaszkodzi, gdy wcale przykryje pana grochowinami, bo w młynie ciągle narodu pełno, więc mogą też być ludzie z Krośna, Boholubów i Podrzecza.

Niedługo w południe zaczęli się żegnać. Do Hołodnicze jeszcze blisko siedem wiorst było, ale Podgruszny, kluczając po mała, albo wcale nieutartych drogach, aby zmylić ślady, zamęczył konia na gładko.

Zarzucił na plecy tobołek z butami i jednorazowym posiłkiem i poszedł wygwizdując "Akulinę". Z razu czuł wielkie zmęczenie i bezwład w nogach, ale gdy się rozruszał, poszedł jakby nigdy nic, szparko.

Gdy przybył do Hołodnicze, bydłu już na wieczór ludzie dawali. Podążył dalej, nie zatrzymując się wcale.

W polu doгнаły go sanie. Zeszedł z jezdni dając drogę.

— Siednyj pareń, podwizie! — krzyknął podziły chłop po rusku.

— Dziękuję, nie zmęczonym jeszcze, pójdę pieszo — odmówił, nie życząc sobie nieuniknionego tłumaczenia się ze swej podróży i nie chcąc, by człowiek był świadkiem, gdy będzie zawracał z gościńca na Miatkę.

— Da siadaj, jak ci mówię! — powtórzył wstrzymując konia.

Dalsza odmowa mogła wzbudzić w człowieku pewne podejrzenie, więc zdecydował się przyjąć łaskę.

— Jak to starzy ludzie mówią — rzekł padając na rozwały: — bija — uciekaj; dają — bierz. Jeżeli sami zapraszacie, to czemuż nie mam waszej łaski przyjąć.

— A toś jak stary powiedział, — No, a dokądże to Bóg niesie?

— Do Białynicz się wybrałem.

— Oho, Tak daleko.

— Mam tam siostrę zamezną, która nam doniosła przez ludzi, że jej męża tj. mojego szwagra na wojnie zabili; idę więc przekonać się czy to prawda. Jak prawda, to szkoda będzie młodego człowieka.

Nic nie zrobisz dietki, trzeba pamiętać, że za cara to...

No a gdzie myślisz nocować? Przecież wieczór już.

— Gdy wychodziłem z domu, to myślałem w Woroniczach, ale gdzie przyjdzie się, to tego i sam jeszcze nie wiem — rzekł z wahaniem, patrząc badawczo chłopu w oczy, gdyż o tych Woroniczach Podgruszny mu tylko coś wspomniał, ale na prawdę to nawet nie wiedział, w której stronie one się znajdują.

— W Woroniczach?! — powtórzył człowiek, jakby nie dowierzał swym uczom.

— Da co dziadźko tak się dziwi? — zorientował się, że palnął głupstwo. — Mówię, że myślałem, gdy wychodziłem z domu, ale wiem przecież, iż zostały daleko po lewej stronie.

— Da nie po lewej, a po prawej — poprawił.

— To jest chciałem powiedzieć, z prawej. Cholera! ja to zawsze się myłę w rozróżnianiu stron, gdy mi już koniecznie trzeba wiedzieć, to podnoszę rękę do krzyża i wiem która prawa.

— Tak, dietki, tak, żegna się prawą ręką — rzekł tonem dobrego znawcy.

Nie chcąc płatać się z nieznaną okolicą, zmienił raptownie temat na wojnę i politykę? Z tym mu poszło łatwiej. Mówił o poruszeniach wojsk koalicyjnych, o bohaterstwie kozaków i pułków syberyjskich, a w międzyczasie uważał pilnie na lewo, by nie przeoczyć zapowiedzianych dróg, bowiem już wjechali w ów las "starzynny".

Jakoż spostrzegł pierwszą i po pół wiorsty drugą. Zaczekał chwilę, a potem uczyniwszy wyleknioną minę, zaczął gorączkowo kieszenie badać.

— Straciłeś co? — pytał chłop.

— Składaniec straciłem, taka jego mać! — zaklął. — I to taki ważny! — Z czarnym kościanym trzonkiem. Gdy siadałem na wasze sanie, to wiem dobrze, że jeszcze był. Może dziadzio zatrzyma konia.

Stanęli: chłop zaczął grzebać się w słomie, Stach zlął z sań i przypatrując się pilnie jezdni, powoli oddalał w tył.

— Będziesz wracał, dzieci? —

— Tak, myślę przejść się chociaż z pół wiorsty. Tak mi go żal?!

— No to zabieraj swoją torbę, bo ja ciebie tyle czasu nie będę czekał.

— A, jeżeli nie macie czasu, to darujcie, zabiorę.

Zabrał tobolek, podziękował człowiekowi za przysługę i udawał szukanie, aż sanie skryją się w zakręcie gościńca, potem zawrócił na Miatkę.

Zapadła noc. Niebo zaciągnęło mroczną chmurą i zaczął znowu śnieg. Ale miękki i cichy.

Spotkał pierwsze rozstaje — wziął w lewo; spotkał drugie — wziął w prawo. Po tych drugich zwolnił kroku, gdyż według zapowiedzi Pawła, do Miatki miało już być tylko półtora wiorsty. Spodziewał się że już lada chwilę pole zaświeci. Lecz coś dłużyło się.

Minął blisko dwie wiorsty i znowu spotkał rozstaje.

— A to co ulicha?? — zdziwił się i zaniepokoił. — Zdaje się, że mi tylko o dwóch widłach mówił. A może to trzeba było wprzód w prawo, a potem w lewo? — przypomniał słowa Pawła.

Poszedł lewą, gdyż ta znacznie większa była.

Lecz niebawem jeszcze jedną okazałą gałęź drogi, odbiegającą w prawo spotkał.

Poznał iż zbłądził, ale obawiał się, że wracając ku rozstajom jeszcze więcej się zaplącze, więc podążył dalej, spodziewając się wyjść jak nie do Miatki, to do innej jakiejś wsi lub zaścianka.

Godzinami całymi szedł pospieszonym krokiem, a lasu wciąż nie było końca. Przeciwnie, stawał się coraz gęstszy i głuchszy. Droga wiła się pomiędzy olbrzymimi pniami, jak nora mysia. Co pewien czas odbiegały z niej w jedną i drugą stronę ramiona. W końcu zupełnie się urwała, rozbijając raptem na kilka nikłych trelu.

Stachowi pot kroplisty wystąpił na czoło. Dobrze wiedział, co to znaczy pozostać przez noc w puszczy bez ognia i bez broni żadnej.

Obawiając się iż przez sieć drożyn jakie minął, nie potrafi wrócić ku ostatnim wielkim rozstajom, postanowił iść na przelaj, trzymając się tego samego północnego — jak mu się zdawało kierunku — w nadziei, że jednak musi w końcu wybić się ku jakiemuś osiedlu.

Tymczasem okazało się, iż marsz w ciemności był nadzwyczaj ciężki i marudny. Śnieg sięgał wyżej kolana. Nie mogąc w pomroce dostrzec na dłuższy dystans terenu, zachodził w pierścienie nieprzebytych złomów, skąd musiał wracać i okrążyć nakładając drogi; co chwilę zapadał się w przykryte śniegiem doły po pas, czepiał łapciami gałęzi.

Po godzinie borykania się, koszula przywarła do ciała, nogi zaczęły drżeć i ugiąć się, w piersiach tchu zabrakło.

Przystanął, aby odpocząć, opierając się o potężny pień klonu, obrośniętego mchem starym. — Knieja dzika otaczała go dokoła. Teren był poorany dolinami. Drzewa dojrzałe stały rzadko, lecz olbrzymie. Między nimi w jednym miejscu stała kępa smagłej jedliny, uroczej, jak noc listopadowa, w drugim czub osinki młodej wielkości żerdzi, podszyty spodem brzoźowym chróstem i krzami łoży tak gęsto, że aniby ręki nie wsadził, w innym znowu leżał stos łomu wysokości człowieka, za którym sterczało kilka pni złamanych wysoko piorunem lub wichrem.

Cichy i monotony szmer śniegu padającego, przy ponurym widoku okolicy napawał go smętkiem bolesnym i trwogą. W mroku jedlanej kępy jakby ktoś kichnął mocno, a potem zaskomliło żałośnie, jakby szczenie małe na mrozie.

Nie wierzył w duchy i drwił z tych, co o nich baśnie opowiadali, jednak tym razem nie mógł oprzeć się złudzeniu, iż znajduje się w gnieździe upiórów i że one go właśnie tu przywiodły.

Przeżegnał się i ruszył rychło w dalszą drogę. Miejsca mroczne, podejrzone omijał daleko i starał się na nie nie patrzeć.

Coraz więcej męczył się, coraz częściej przystawał, aby odpocząć. — Wreszcie wybił się z sił, że ani rusz z miejsca. Usiadł pod drzewem, podślawszy łapek z tym, że trochę się posili — chociaż mu przy pragnieniu, jakie paliło, wcale jeść się nie chciało — i będzie czekał switu. Zobojętniał na noc, na zwierzę, na strachy i na śmierć, jaka łatwo się zdarza ludziom w tym co on stopniu przemęczonym, odpoczywającym na śniegu.

Ani razu nie ukąsił chleba, jak doniosło się z dali: ku-ku-ri-ku. Za nim drugi raz, trzeci, czwarty i dalej bez końca.

W jednej chwili znalazło się w nim sił, jakby całą godzinę odpoczywał. Spakował się żywo i ruszył w kierunku piana.

Wnet zaczęła się olszyna i zaświeciło pole. Wyszedł na łąkę usadzoną niezliczonymi stogami. Za łąką w lewo czerniał znowu las, a w prawo na pagórku wieś świeciła ogniami.

Podszedł w stronę światła i w dwa kwadranse znalazł się przed tablicą informacyjną, która brzmiała:

“Dierewnia Śliwki. Krośnieńskij wołosti. Dusz 86”.

Wskazywało, iż błądził całą noc w niekorzystnym dla swej ucieczki kierunku. Pocieszył się jednak tym, że przynajmniej trafił na swoich ludzi, bowiem będąc w Okolicy, słyszał pewnego razu, iż wieś Śliwki zamieszkuje Polacy.

Zaszedł do pierwszej chaty z końca.

Staroświecko, rażaco ubogo było wewnątrz. Pułap niski, środkiem wygięty w dół, podparty żerdzią. Posadzka gliniana. Okna maleńkie, jak w łaźni z wielu szybami zatkanymi starzyzną. Zamiast taboretów, kłódki

i stolki o samorodnych nogach, zamiast łózek, prycza długa od pieca aż do przeciwległej ściany. Piec tylko z wyprowadzonym na dach kominiem i stół pod obrazami były ludzkie. Obrazy były wyznania katolickiego.

Przy stole siedziało dwóch mężczyzn podstarzałych, pałac fajki i gwarząc zawzięcie. Obaj byli wżuci w łapcie i odziani, jak do wyjścia. Jeden był w świtce siwej, drugi w kozuchu. Na pryczy bawiła się czereda dzieci, w samych koszulinach, dopiero obudzonych ze snu. Przy kominku dziewczyna podłotek przadła na kołowrotku, spoglądając co chwilę w piec na wrzące garnki.

— Dobrze wam utro — przywitał po rusku, postanowiwszy nie przyznawać się do polskości, do czasu, aż wybada dokładnie jacy to są Polacy.

— Dobrze, dobre — odrzekli niedbale mężczyźni. Dzieci z dziką bojaźnią, wyniosły się na piec.

— Można u was pogrzać się trochę i odpocząć? — zapytał.

— A sztoż ty mnie ohnia odkusisz, czy chaty?! — zawołał gburowato człowiek w świtce, który był gospodarzem domu. — Addychaj, hrejsia jak хочysz.

Otrzeptał się ze śniegu, czapkę z tobołkiem położył na ławie, następnie ustawił sobie stólek przy kominku między pryczą, a kołowrotkiem, usiadł i trąc dłonie przed płomieniem, rozglądał się po izbie i słuchał rozmowy mężczyzn. Mówili po rusku.

— Jeżeli tak, to ktoś wypuścił, nie ma co — mówił gospodarz. — Tylko nieczysta siła potrafi szczeliną się precisnąć, ale człowiek nigdy.

— Ktoś wypuścił i to swój gminny, któremu nie tyle o ratowanie chłopca, ile o urządzenie naśmieszki z uradnika chodziło — dodał człowiek w kozuchu.

— Przy postronnym to i nie ośmieliłby się na takie szelmostwo. Mówisz, że wypisał na uradnika durak i zabrał mu konia jeszcze?

— Na drzwiach aresztu napisał durak, a w sionkach bałwan i smród; zabrał czapkę, szablę, szynel i konia.

— Ot odwaga, cholera! Ot, szelma, żulik! Takiegoż, złowiwszy zerznąć, żeby cały krwią się zlał. Pomysleć!...

Stachowi krew uderzyła do twarzy i duszno się zrobiło.

— Ależ wasza i chata ciepła! — rzekł do dziewczyny, która go obserwowała.

W tym czasie wszedł wyrostek lat 15-tu i stanąwszy koło pieca, jął zerkać podejrzliwie w stronę Stacha.

Starzy przy stole kontynuowali rozmowę.

— Da wszelako gadają — mówił człowiek w kozuchu. — On sam, to najwięcej felczera podejrzewa, mówiąc, że mu w czasie biesiady klucze z kieszeni wyciągnął.

— Bardzo prosto — przytwardził gospodarz. — Człowiek podchmielony mógł nie posłyszeć.

— Ach, jak tam w gminie wczorajszym doświtkiem krzyk i warchoł, mówili był, to nie daj Boże! Uradnik z kułakami się rzucał do felczera, naczelnika i do pisarza samego. Stróża za to, że zadrzemał to na kwaśne

jabłko zbił. Mówili, że byłby też i wójtua dał, ale ten zaraz medal swój ra szyję założył, więc się pohamował. Jak węgiel czarny ze złości był.

— Nic dziwnego. — Taka niesława przecież...

— No, ale powiedział, że choćby pod ziemię się schował, to go w swoje ręce dobędzie. Wiesz, trzysta rubli nagrody wyznaczył temu, kto go ujmie, albo chociaż pokaże gdzie się schował. Od niego trzysta rubli, a od kazny medal ważny, bo to jest dzimokrata straszny i buntownik przeciwko naszemu cara. I w służbie też obiecał takiego podwyższyć. Jeżeli to będzie dziesiętnik, to go sockim zrobi, a jeżeli wcale prosty tak otóż jak ty — to dziesiętnika da. Ot jak.

— Prawda, że wielką nagrodę wyznaczył. Ot żeby to mnie udało się go ująć! Jaki on jest?

Stach uczuł się jak na szpilkach. Gdyby nie był przemęczony i nie switało byłby rzucił się do ucieczki.

— Młody, lat 17 albo 18 — objaśniał człowiek w kozuchu — cybaty, chudy i polski. Szukaj jak masz ochotę. Krośna, Podrzecze, Niłki — całymi wsiami po lesie chodzą i szukają.

— A niby on w lesie będzie siedział? Durnie! On na koniu, to czort wie gdzie za noc się ocknął. Tu tylko podróżnych pytając można o nim jakiś słuch powziąć, a nie inaczej.

— Tak, masz rozum.

— No a ten kacapionek skąd idzie?

— A ja co mogę wiedzieć? Spytaj go.

— Skąd ty idziesz, chłopcze? — zawołał gospodarz.

— Kto ja?... Ja z Krośna idę — rzekł Stach jakając się.

— Ty nie z Krośna, ale z lasu do nas przyszedłeś — zaprzeczył wyrostek, który przez cały czas nie spuszczał zeń oka.

— Z jakiego lasu?! — wyparł się. — Chyba ty ześnił chłopcze?

— Ja przy parkanie stałem i widziałem, jak ty wychodziłeś zza łaźni, skradając się po złodziejsku.

Mężczyźni spojrzeli po sobie znacząco.

— No, to zza łaźni, a nie z lasu — tłumaczył się. — Obchodziłem waszą wieś dokoła, bo myślałem, że u was psy złe.

Mężczyźni szturchali siebie łokciami, powstałi i podeszli ku kominowi. Dziewczyna domyślając się awantury, usunęła się z kołowrotkiem na bok.

— Czasami nie ty chłopcze tym dzimokratem będziesz, co wczorajszej nocy z aresztu z Krośna uciekł? — zwrócił się gospodarz do Stacha, patrząc nań przenikliwie.

— Jaki dzimokrata?! — zawołał. — Ja nie wiem o niczym. Co wam do głowy przyszło? Ja zertwę do cudownego obrazu w Białynicz za brata mojego, który zginął na wojnie bez wieści, niosę.

— Breszesz! To ty! — zaryczał chwytając za pierś. — Przyznaj się, zabiję cię na miejscu!

— Przyznaj się po dobroci, bo inaczej pasy ze skóry żywemu ci drzeć będziem! — dodał drugi ujmując z tyłu za ręce.

— Tak to ja ten sam. Biercie mię — załamał się wyczerpany prawie dwudniowym wysiłkiem fizycznym i ciągłym napięciem nerwów. — To ja, biercie mię, zdrajcy. Raz umierać.

- Kaziuk! — krzyknął gospodarz do chłopca. — Lejce!... żywo! Chłopiec pochwyił z haka postronek i wręczył go ojcu.
- Masz rozum szelma, żeś w moją chatę przyszedł i przyznał się po dobroci — pochwalił zaślepieniec, wkładając pętlę na rękę.
- Tabież wszystkie jedno już ginąc. — Ot szczęście mi przyszło! — dodał do siebie. — Trzysta rubli, jak lodu będę miał w kieszeni.
- Trzysta na dwa rozbić, to będzie sto pięćdziesiąt — sprostował drugi.
- Co takiego?! Myślisz, że będę się dzielił z tobą?
- Jakto nie będziesz się dzielił? Przecież we dwóch go bierzemy.
- Gotowego wziąć nie sztuka. W moją chatę przyszedł i mój chłopiec go podpatrzył, więc on mój.
- Gdyby nie ja, to byś wcale nie wiedział, że go trzeba szukać i że nagroda za niego jest.
- Mogę ci tylko za to medal odstąpić. — Zośka! — zwrócił się do córki, która stała wtuliwszy się w kąć wylekniona. — Leć żywo po matkę niechaj nam z Kaziukiem śniadanie szykuje. Głodni przecież nie poprowadzimy aresztanta.
- A ty chcesz ze swoim synem go prowadzić?
- A myślisz, że tobie go oddam?
- Zapominasz chyba żem dziesiętnik?
- Aj - ja - ja! Jakiż ważny czynownik. Żaba parszywa!
- Niechaj sobie i nieważny, ale w Śliwkach ja rządę i po ukazu Jeho Impieratarskaho Wieliczewstwa, aresztowani do mnie należą. Rozumiesz?! — przybrał urzędową postawę. — Aresztowany, marsz za mną!
- Nie ruszaj, bo ci głowę rozszczępię! — zagroził gospodarz.
- Ot może da Bóg zaraz pobijecie się za mnie — wtrącił się Stach.
- Sprzedawczyki! Zdrajcy! Judasze! Brata swego za pieniądze wrogowi sprzedajecie! — jął łajac głosem rozżalonym. — Za marnych trzysta rubli... Myślicie, że rozzyjecie się za nie?! Bokiem one wam wylazą! Dzieci wasze za to oparszywieją i skułami się osypią. Zaraza was z nasieniem za takie zdrajstwo wydusi! Chamy wy zaparszywione!...
- Tymczasem wbiegła gospodyni, zawołana przez córkę.
- A ty czemu tyle czasu włóczył się po wiosce bez potrzeby — skarcił mąż.
- Chodziłam do Wincukowych makotra pożyczyć — odparła.
- Całą godzinę makotra pożyczalaś?
- Zabawiłam się chwilę, bo teraz ichne chłopcy przyszli z wojska na urlop i opowiadają ciekawe nowości.
- Teraz na urlop?
- Tak. Teraz przy mnie w chatę dopiero się wwalili.
- Któż z nich?
- Jurko z Wołodźkiem. Bardzo ciekawe nowości przynieśli. Mówią że już bunt na świecie się zaczął.
- Bunt się zaczął?! — wykrzyknęli obaj mężczyźni.
- Stachowi serce zakolała radością. — Może to rewolucja? — pomyślał. — Może już się spełniają nadzieje Kazika?... O, dałbyż Bóg!
- Znaczy się znowu zaświerzbiała żydom skóra — rzekł dziesiętnik.
- Jak zaświerzbiała, to ją kozaki poczeszą — dodał gospodarz.

— A poczeszą, nie ma co. Jeszcze może i nas, dziesiętników na tą robotę zawołają. Ach, będę dawał parchom, będę!...

— Może jeszcze to nieprawda? Może chłopcy na żarty to mówią?

— Musi być prawda, bo obaj bożyli się kułakami — oznajmiła niewiasta. — Mówili mi, abyście tam zaraz szli obaj do nich, to oni wam wszystko opowiedzą.

— Będzie na to czas — odrzekł gospodarz. — Jeżeli to prawda, to my o tym w Krośnach dokładnie się dowiemy. — Szykuj, babo jeść rychło! A ty — zwrócił się do dziesiętnika — jak koniecznie chcesz z nami się ciągnąć, to idź zbieraj się żywo, bo my ciebie czekać nie będziemy.

— Co to znaczy, chcesz ciągnąć się? — oburzył się dziesiętnik. — Ja aresztanta zabieram do swojej chaty.

— Już jeden taki zabrał.

— A myślisz ciebie prosić będę o to? — Marsz za mną! — krzyknął do Stacha, ujmując go za rękaw.

Gospodarz wymierzył dziesiętnikowi "apleuchę". Dziesiętnik oddał z powrotem. Pochwycili jeden drugiego za pierś i dawaj okładać pięściami. Dzieci podjęły wrzask, kryjąc się po kątach. Gospodyni z córką wybiegły na ulicę, wzywając krzykiem sąsiadów. Chłopiec pochwyił spod przypiecka polano i ruszył ojcu na pomoc, ale nim zdążył się zbliżyć do walczących, Stach uderzył go z całych sił ramieniem w bok, waląc na ziemię. Pragnąłby, ażeby carscy służalcy dobrze się potłukli ze sobą.

— Wynoś się — krzyknął, — bo chociażem związany, dam ci radę. — Niechaj się sami biją. Wynoś się natychmiast! — powtórzył, mierząc w chłopca nogą.

Chłopiec zerwał się na nogi i wybiegł za niewiastami z krzykiem. Kandydaci do nagrody tłukli się pięściami, że aż echo się rozlegało. Dziesiętnikowi łała się z nosa jucha. Stachowi zdawało się, że gospodarz bierze górę, więc zaczął dziesiętnika podszczuwać:

— Nie dajcie się, dziesiętniku, temu szelmie, nie dajcie! Wy przecież naczelnikiem w Śliwkach, więc po "zakonu" ja do was należę!

Dziesiętnik uwolnił się zręcznym szarpnięciem z rąk przeciwnika, pochwyił go w pól i rozłożył na łopatki.

Stach z kolei jął łudzić gospodarza:

— Nie poddawajcie się gospodarzu! Wy też do mnie prawo macie. Wasz przecież chłopiec mnie podpatrzył. 300 rubli w złocie to nie fraszka. Postawicie sobie za nie nowy dom, sprawicie buty dla całej rodziny i nowe kozuchy. Nie poddawajcie się! Ja wasz!...

Gospodarz ugryzł dziesiętnika w policzek i gdy ten nie mogąc znieść bólu, popuścił jedną rękę, by przyłożyć ją do rany, wyprężył się z całej mocy, przewrócił grzbietem do góry i po chwili szamotania się wydobył na wierzch. Bili jeden drugiego pięściami, drapali pazurami, gryzli i targali za włosy, tarzając się po ziemi, aż nadbiegli sąsiedzi i rozłączyli rozwścieczonych zaślepieńców. Kilku mężczyzn trzymało ich za ręce, a jeden ze starszych gospodarzy, uspakajał słowami:

— Opamiętajcie się, bratcy! — mówił. — Do czego to wygląda?

Czyż nie możecie rozstrzygnąć sporu po dobroci? Wyż takie druzaki ze sobą...

— Jakim prawem on mi nie pozwala zabrać dzimokrata?! — krzyknął dziesiątnik. — Wy bratcy przecież wiecie kim ja jestem! Jak on śmiał mię w mordę bić, ha?!

— Dzimokrat jest mój! W moją chatę przyszedł, mój chłopiec podpatrzył, więc mój! — bronił swych praw gospodarz. — Głowę położę, ale aresztanta nie oddam!...

Tu wmieszali się w kłótnię żołnierze przybyli na urlop.

— Znaczy się wy za dzimokrata bijecie?! — zawołał starszy, zwany Jurkiem. — Znaczy się wy jego związali i chcecie do gminy prowadzić?! — Ach, durakiz wy duraki!

— Nie bój się, nie duraki — zaprzeczył dziesiątnik. — To jest wielki przestępca. — On w Okolicy lud przeciwko batiuszki cara buntował i od uradnika z aresztu uciekł, zabierając mu konia, szablę i odzież. To jest wielki przestępca.

— No to go za to hura trzeba podnieść. Nie ma już cara i uradników krwiapijców nie będzie. My żołdaci zrzuciliśmy już cara i carycę razem. Zrzuciliśmy zdrajców, taką ich mać! — zaklął całą gębą.

Obecni zaczęli się żegnać z przerażenia.

— Rozwiązujcie chłopca natychmiast — ciągnął Jurko — i puszczajcie niech idzie gdzie chce! Puszczajcie dzimokratę na wolność!

Stachowi ze wzruszenia potoczyły się łzy ciurkiem.

Widząc, że nikt się nie rusza do rozwiązania aresztanta, żołnierze podeszli do Stacha i rozwiązali go sami.

— Wolny jesteś — rzekł Jurko. — Idź gdzie ci się podoba.

— Nigdzie ja nie pójdę, bo ledwie na nogach stoję — odrzekł. — Ja już dwie noce nie spałem i blisko dwie doby w drodze i w strachu ciągłym jestem! Ja ledwie stoję. Pozwólcie mi żołnierzyki przespać w swym domu!

— Ależ czemu nie, bratiec. Chodź!

## XXXV

### POWRÓT

Bezmała dwadzieścia pięć godzin, bez przebudzenia się, spał w domu żołnierzy. Gdy się obudził, miał przez chwilę złudzenie, że się znajduje w Okolicy. Ale zaraz napotkał znajomą twarz Jurka i myśli zaczęły się rozjaśniać.

— Prawda to, że cara zrzucili, czy mi się tylko śniło? — zapytał bojaźliwie.

— Prawda, bratiec, prawda — odrzekł żołnierz. — Zrzucony już szelma. Jesteś wolny — nie bój się. Swoboda już!

Leżał przez pewien czas snując plany.

— Gdzie iść: do Okolicy, czy do Smołarni? — Do zmroku mogę być w Okolicy, no — ale co tam więcej, niż to, co ci żołdaci wiedzą będą

mógł oznajmić? — Bunt... Cara zrzucili... Swodoba... Ale czy na zawsze? Kto teraz rządzi? — Trzeba wpieryw dokładnie się o tym dowiedzieć, aby przed ludźmi się nie skompromitować i nie sprowadzić im nieszczęścia. Może to wszystko jeszcze nieprawda? Może car ustąpił tylko na pewien czas? Może na miejsce Mikołaja kogós innego postawią? A może razem z tą rewolucją i nasze polskie powstanie się zaczęło? Trzeba najpieryw się dowiedzieć. — Do domu trzeba iść — do Smolarenki kochanej. — U nas znajdują się gazety świeże, nasi gospodarze w tym okresie często jeżdżą do miasta, więc od razu dowiem się szczerzej prawdy. — Jeżeli to broń Boże, nieprawda — będę się koło domu ukrywał; jeżeli zaczęło się powstanie — wracam do Okolicy, zbieram ludzi i prowadzę ich prosto do Kazika; jeżeli to bunt czysto ruski — wtedy przez te dwa miesiące do siewu, zakładam i prowadzę szkołę w Smolarni. — Czym prędzej do domu trzeba...

Wstał i jął zbierać się w drogę.



**TOM DRUGI**



# I

## REWOLUCJA

Gdyby słońce zatrzymało się w swym biegu, chłop białoruski więcej by się nie zdziwił i nie zmartwił, niż detronizacją cara. Miał go za władcę ustanowionego wolą Bożą, którego żadne prawo ludzkie zmienić, żadna moc usunąć się zdoła, — miał go za dobrodzieja swego. Czczył go, ubóstwiał, wierzył mu, w nim pokładał nadzieje polepszenia bytu swego. — Onże nasz prawosławny, mówił, onże nas od robót pańszczyznianych polskim panom uwolnił, onże nas ziemią nadzielił, onże nas przed lutym Niemcem broni. — Wierzył święcie, iż niedola chłopska była troską codzienną cara.

Pierwszymi zwiastunami załamania się carskiego reżymu, jak zwykle na wsi, byli żydzi.

Chłop nie tylko nie mógł w taki przewrót świata uwierzyć, nie tylko nie śmiał wieści tej rozpowszechniać, ale nawet słuchać o tym nie ważył się. uważając to za zbrodnię, za grzech wielki.

— Trzymajcie parchy języki za zębami, bo za takie słowa na Sachalin pójdziecie — ostrzegali.

Ale tę samą wiadomość potwierdzały telegramy tłustym drukiem, zabłąkane na wieś, to samo mówili żołnierze przybywający na urlop całą gębą i wreszcie nadeszły z gminy urzędowe obwieszczenia Tymczasowego Rządu, proklamujące republikę.

Chłopów ogarnęło zdziwienie i trwoga.

— Co będzie z nami muzykami bez batiuszki cara?! Co stanie się z matuszką Rosją?! — rozpaczali.

Inteligencja, robotnicy, mieszczenie, żydzi, światlejsza część Polaków, tudzież innych mniejszości, cieszyli się, urządzali manifestacje, wiece, intrzygi, śpiewali hymny na cześć rewolucji, wiwatowali, — chłop prawosławny przyglądał się temu biernie, ze smutkiem i niepokojem. W głoszonych hasłach nie widział dla siebie żadnych korzyści i nie wierzył w nie.

— Swoboda wyznań, myśli, słowa!

Jaka łaska. Alboż to przedtem nie mógł człowiek myśleć o czym chciał, nie mógł kląć matuszkę, kiedy się podoba.

Swoboda druku!...

Co ludziom z tego druku, jeżeli mało który czytać umie?

Równość!... Braterstwo!...

Polak z żydami nam ruskim równi?! — Przenigdy.

Demokracja!

To człowieka najwięcej niepokoiło. Nie rozumiał znaczenia tego słowa, jednak domyślał się, że to coś wspólnego z "krażą". Wprawdzie sam kradł, gdzie się tylko dawało, ale wiedział, że to jest zakazane. Zresztą jaki sens będzie, jeżeli wszyscy swobodnie zaczną kraść. Kogo będą kradli? Samych siebie?

Niektórzy utrzymywali, że to car rozmyślnie taką famę o sobie puścił, by zachęcić "miateźników" i żydów do buntu i mieć potem

powód do ich wysiedlenia na Sybir. Wierzyli, iż za parę dni, za tydzień, za dwa, zjawi się sprawnik z kozakami i z ich chłopską pomocą wezmą się za rewolucjonistów.

Ale jakoś nie przyjeżdżał. Natomiast przybywali delegaci rewolucyjni z miasta, ustanawiali nowy rząd w gminie, o jakichś dziwnych tytułach i rozwieszali niezrozumiałe i według ich chłopskiej opinii, bezpotrzebne rozporządzenia.

Z kilkunastu rozwieszonych obwieszczeń, jedno tylko zrozumieli i nawet je pochwalili. Była to ustawa zezwalająca chłopom na paszę bydła w lasach pańskich i rządowych, oraz zbieranie łośmu na opał, trawy, jagód, grzybów itd.

— A może i prawda, że nasz car batiuszka szelmą i oszukańcem był? — zaczęli się zastanawiać. — Może i prawda, że za tą republiką, nam biednym ludziom, polepszenie jakieś będzie.

Wprowadzili ustawę w życie bez zwłoki, zwoząc opał, pasąc bydło, drąc łyko. Wprawdzie o łyku żadnej w ustawie wzmianki nie było, ale po dotychczasowym lekceważeniu przez straż leśną kradzieży chróstu lipowego sądzili, że łyko jest tak błaha rzecz, iż nie warto, aby je do druku wstawiali.

Coraz śmielej i rzetelniej zabierali się do lasu. Bydło pędzili w samą głęb puszczy, albo pod samą chatę leśnika. Chróstem lipowym już gardzili, natomiast wspinali się na wierzch lipy, wybierali najsmaglejsze i najczęściej wydajne pędy; gałęzie zbierali na łapcie, pnie na łyby do wozów i na siewalki. Nie mogąc skonstruować naraz, zwijali w obwarzanki, więsta, suszyli i gromadzili na strychu. Za lipą poszły więzy i liminy.

Straż leśna, wskutek odraczania przez sądy rozprawy o szkody w lasach do czasu ustalenia się praw republikańskich, postępowała niezdecydowanie, ograniczając się przeważnie do upomnień, więc ludzie rozzuchwalili się i przywilej swój do lasu z każdym tygodniem rozszerzali.

— Jeżeli mamy prawo zabierać wierzchowiny i wykrocie — wmaiwiali w siebie, — to czemu nie wolno ma być ciąć suchostój? — Wszak to również martwe. — Walili suchostój. A potem: — Jeżeli nam zezwają walić suche, martwe, to czemu nie mają zezwolić więdle, chore? W końcu: — Jeżeli wolno ciąć chorowite, to czemu nie wolno ma być zdrowe? Wszak i te w przyszłości mogą zachorować.

Po zniwach wzięli się za budulec. Jechali w bór, wybierali co najlepsze sosny, jodły, dęby, zwozili do zagród, stawiali zręby do rezerwowych chat, gumień, chlewów. Nie kryli, gdyż na to nie było czasu i słomy. Byleby wywieźć i postawić, a z dachem później się załatwią.

Nie napotykając na przeszkodę ze strony władz, przyszli do przekonania, że to lasy całkiem przeszły na chłopską własność, jeno burzuje i władza przez nich przekupiona, trzymali to w tajemnicy.

Niebawem i na stawianie zrębów zabrakło czasu; walili tylko z pnia i znaczyli każdy swoim znakiem: jeden cięciem, drugi dwoma, inny krzyżykiem. Szał ludzi ogarnął.

Bywało w którąkolwiek stronę się zwrócisz, gdzie spojrzysz, kiedy posłuchasz — wszędzie odgłos topora, grzmot padających kolosów — wszędzie poręby i spustoszenie.

— Ludzie, ludzie! Co wam się stało? Co wy będziecie robić z tego drzewa? Onoż zgnije, zmarnuje się bez pożytku żadnego. Opamiętajcie się! Przestańcie! — upominała straż leśna i rozsądniejsze osoby z zaścianków.

Ale chłop porwany wyścigiem rabunku, stał się jak ten byk w walce rozjuszony, albo rozwścieczony pies: ślepy na czyny, głuchy na upomnienie, nieczuły na litość, o którą go las swym jękiem zdawał się błagać! — Walił, znaczył, pustoszył, aż w końcu nadarzył się korzystniejszy przedmiot rabunku.

Armję przesiąkła anarchia i żołnierz masowo wracał do domu. W domu nie wszystkich czekała radość. Wielu wracało do chatek na kurzej nóżce, z glinianą posadzką, z potłuczonymi szybami w oknach, do czeredy na wpół nagich, zgłodniałych dzieci. I żał się takim zrobiło, iż po trzechletniej walce za ojczyznę na równi z majątnymi, oni przy nich w życiu prywatnym znów pozostają nędzarczami; znów muszą kłaniać się kułakom i burżujom, prosić o robotę, o chleb na rachunek przyszłej roboty. Prawda, że obiecano im ziemię i że korzystając ze swobody, mogli chaty lepsze postawić, ale kiedy to będzie, kiedy się doharuje czego! — Nie, minęły już czasy carskiego reżimu — burzyli się przepełnieni hasłami rewolucyjnymi. — Oni już nie będą burżujom kłaniać się i służyć im. Burżuje muszą podzielić się z nimi swym chlebem.

Zbierały się gromady ubogich ex-żołnierzy, szły do komitetów gminnych i żądały rekwizycji żyta i kartofli w dworach na ich proletariacką rzecz.

W komitetach zasiadali przeważnie ludzie dworom nieprzyjaźni, więc żądaniom proletariuszów, które poniekąd były słuszne, a skromne, stało się zadość.

Lecz proletariusz wymógłszy jedno, stawał się jak ta baba z rozbitym korytem.

— Cożem to, ja ojca rodzonego zabił, czy matkę, że suchą żytnią skórynką mam się dawić? Musi być na odmianę blin hreczany, kostka jakas, albo skwarka. Burżujowi brzuch rozpiera sadłem, a ja mam pościć? — Odkrywał prawa swoje.

Znowu zbierali się w gromady i żądali od komitetów rekwizycji hreczki, jęczmienia i trzody na ubój. Gdy komitety odmówiły, oskarżyli je o nieudolność i o sprzyjanie burżuazji i zaczęli rekwizycje na własną rękę. Do wojskowych przyłączyli się cywilni, do ubogich zamożniejsi, brali karabiny, które przynieśli wracając z wojska, strzelby, widły, drągi i szli zbrojnym tłumem do dworów na "rekwizycje"; rabowali i dzielili między siebie ziarno, snopy, bydło, owce, świnię i wszelaki inny dobytek.

Bronić nie było komu. Właściciele wynieśli się zawczasu do miasta. Służba dworska ani myślała podstawić swe łby za pańskie bogactwo. Przeciwnie, cieszyła się, że łatwiej będzie mogła sama defraudować, zwalając w przyszłości winę na chłopów. Władze gminne i nawet powiatowe były bezsilne i niezdecydowane. Bronić dworów oznaczało sprzyjać burżuazji. Żaden nie chciał narażać się proletariuszom, od których w znacznej mierze stanowisko zależało.

Zapoczątkowany rabunek przez jedną wieś, zachęcał inną, przenosił się z dworu do dworu, obejmował kraj cały, przechodził w mord, pożogę, pogrom.

— Śmierć burżuazji!... Śmierć Polakom!... Śmierć sprzymierzeńcom carskim! — było hasłem rozswawolonych chłopów.

Po dworach przenieśli się na folwarki, po folwarkach na chutory i zaścianki mniejsze, często wcale niezamodne, jedynie dlatego, że tak samo, jak obszarnicy Polakami byli. I gdzie tu logika?! — Początkowo oskarżali o podkopywanie tronu — teraz o dążenie do przywrócenia go.

Ciężkie i straszne czasy przeżywali Polacy nad Berezyną na przełomie lat 1917-1918. Krew i łzy lały się strumieniem. Nocy nie było, aby kogoś na odludziu nie spalono, nie zamordowano. Każdy czekał swej kolejki w trwodze, jutra nie będąc pewien. A chwile wyczekiwania śmierci straszniejsze bywają, niż sama śmierć.

Wielu chutorzan przenosiło się z dobytkiem całym do zaścianków, aby łatwiej móc hurtem się bronić.

## II

### NA ODSIECZ

W wieczór przed Trzema Królami, w Smolarni jeszcze nie wszyscy spać się pokładli, gdy Karapuz, wartujący przy wschodnim kołowrocie, spostrzegł, w kierunku Wielkiego Błota, łunę. Skoczył co tchu do domu Tryzny, gdzie siedziała gromada mężczyzn trzymająca pogotowie.

— Pożar! Polanki zdaje się pała! — zawiadomił.

Mężczyźni pogotowia i domownicy Tryzny, którzy jeszcze nie byli się pokładli spać, wybiegli hurmem za chlewy.

W stronie Wielkiego Błota czerwieniko się, jakby przed wschodem słońca, kiedy się zanosi na wiatr. Dokoła łuny ciemność na niebie była straszna.

— Jezu, Jezu kochany! Czyż Ty już koniec świata myślisz robić? Dokądże Ty ludzi swoich karać będziesz? Kiedy za tych gadów się weźmiesz? — lamentowały kobiety.

— To nie Polanki się pała, — wymiarkował Marian Ściepiuro.

— I mnie się tak zdaje, że nie Polanki — potwierdził Bronik Huszcza. — Na Polanki za daleko i zanadto w prawo.

— Najprędzej to będzie Siniawka — zauważył Otton.

— Jeżeli to Siniawka, to Dubrowscy wygrali, że zdążyli do nas się przenieść — zawołał Oleś Winiarskich. — Klamka byłaby im wszystkim.

— Nie znaleźli gospodarzy i czegoś łakomego do rabunku, to zemścili się ogniem gady — rzekł Ludwik Huszcza.

— Wiecie co? to pali się Siniawka, albo Borsuki — zgłosił swoje zdanie Staś Oleński.

— Nie zgadujmy, chłopcy, stojąc bezczynnie — przerwał Paweł Tryzno, — ale niechaj któryś leci po dziadzie Piotrowskiego i zakładajmy konie. Uważam, że każe jechać! Tam już na miejscu się dowiemy, czy to Siniawka, czy Borsuki.

— Wy prędko bez swojego dziadzi Piotrowskiego i za swoją potrzebą za chlew nie wyjdziecie — syknął Jaś Ładan, zły, że nie jego, prezesa

Smolarskiego Sielsko-Sowieta i w dodatku byłego podoficera, o radę i decyzję pytają, ale gospodarza bez stanowiska i to jeszcze słabo piśmiennego.

Najdłużej w kwadrans wyjechało ze Smolarni troje sań. Na pierwszych siedział Mieczyk Piotrowski z Ottonem bratankiem, Jaś Ładan i Oleś Winiarski; na drugich Dubrowski z synem, Paweł Tryzno i Marcin Ściepuro; na trzecich Bronik i Ludwik Huszcze i dwaj Hajdukiewicz z Bobrów, którzy po zamordowaniu im starszego brata i ojca przenieśli się z resztą rodziny i dobytkiem, jak wielu innych chutorzan, z odludzia do Smolarni. Wzięli ze sobą karabiny, strzelby i topory. Bronik wziął też na sanie psa swojego.

— Ot, czasów zapowietrzonych doczekaliśmy się! — mówił stary Piotrowski. — Tfu! Ani odpocząć w spokoju człowiek może, ani święta przeświatkować. No, — ale kto przeżyje, to długo będzie pamiętał te bolszewictwo zapowietrzone, żeby go piorun popalił!

— Dobrze, dziadziu, wiecie, że bolszewicka władza nie zezwala na bandyctwo, a bolszewików klniecie — odparł Jaś.

— Aha, teraz nie zezwala... A wprzód co robili?! Nie szczuli chłopów, by rabowali majątki? nie chwalili ich za to? Rozpuścić ludzi łatwo, a spróbuj ich teraz uśmierzyć.

— Uśmierza, uśmierza, nie bójcie się. Niech no tylko z "białymi" się rozprawią, to z bandami prędko pójdzie. Gdybyśmy nie byli głupi i nie pomagali białym, to by już dawno cisza i porządek w kraju był.

— Nie pomagali? A któż to im pomaga?

— Jeszcze się pytacie. A Kazik, Norba, Bolek, Walko, Wiktor nie białym służą?

— Więc ty legiony za białych uważasz? Więc za to, że oni za naszą polską wolność poszli, o czym wiesz dobrze, to ty ich jeszcze białymi nazywasz?

— Za burżujski interes służą, a nie za wolność naszą. Nam, robotniczej klasie, nie potrzeba nacji. Musi być za jedno wszystko.

— Za jedno? Tedy wychodzi po twojemu, że mamy poprzehodzić na ruskich? Po rusku mamy mówić, czytać i modlić się?

— Modlić się?... A! — machnął ręką — co z wami, dziadziu, "napitanymi" staroświeckim duchem gadać o takiej sprawie.

— Da i masz rozum, dietki: jajko kurę nie nauczy. Tfu! Poganiaj prędej, Ottonie!

Zbliżywszy się do błota, wszyscy się zgodzili na jedno, że płonie Siniawka. Łuna coraz wznagała się.

— Ksawery! — krzyknął Mieczyk do Dubrowskiego. — Zdaje się, bratku, że tylko pogrzejem się przy twoich budynkach i fajki zapalim.

— A może co i uratujem. Myślę, że tam już dawno są ludzie z Polanek. Jedźmy, bratki, jedźmy! — błagał płacziwie.

— A kto ci mówi, żeby nie jechać? Jedźmy.

Ale kiedy przybyli do Polanek, znaleźli wszystkich mężczyzn z bronią w rękę przy kołowrotach.

— A to na kogo tak czekacie? Czemu nie biegniecie gasić? — zawołał Piotrowski.

— Oni chytre, ależ i my nie durnie — odrzekł stary Anichowski.

— Podpalili Dubrowskich, myśląc, że polecimy wszyscy gasić, a oni w tym czasie na nasze chaty. Nie podejǳą, łotry.

— A która to banda, nie wiecie?

— Myślmy, że Kurtopałca. A wy co, gasić wybrali się?

W kwadrans minęli pole polańskie, krótką starzynkę i znaleźli się na brzegu Siniawki.

Płonęły chata, chlewy, warzywnia i powietka. Swireń nie stykający się z żadnym z płonących budynków, tudzież gumno odległe o całe stajanie w prawo pod las, stały jeszcze całe. Huk szedł od ognia, jak ze spustu. Najwyższy płomień wzbijał się nad chatą, która zbudowana była z samych sosnowych smolnych brewien. Chwilami równo lasu sięgał. Po całej 25-morgowej polanie widno było, że chęć igły zbieraj.

Obawiając się zasadzki, zjechali z drogi w krzaki, wzięli broń i zostawiwszy dwóch przy koniach, poszli brzegiem lasu kierując się ku stodole. Bronik wziął psa przy samej mordzie, aby nie zdradził szczekaniem.

Kiedy zrównali się z gumniskiem, które ogrodzeniem stykało się z lasem, wstrzymali się, posłuchali, popatrzyli uważnie pod strzechy stodoły i ruszyli ku niemu chyłkiem wzdłuż płotek.

Nie znaleźli nikogo ani w stodole, ani w świrnie. Ten już był mocno zagrożony.

— Dawajcie, będziem rzucać śnieg na dach i ściany, to może nie zapali się — zaproponował Dubrowski.

— Pozostało ci cokolwiek w środku? — zapytał Mieczyk.

— Pod podłogą zakopałem beczkę żyta i jęczmienia trzy ośminy.

— No to w ziemi nie spali się.

— Nie spali się, ale może sprzążyć.

— Nic, wtedy samogonki z tego narobim i zabawim się porządnie. Machnij, Ksawery, ręką na tę budkę. Ginie krówka — niech idzie razem i wirówka. Chwal Boga, że zdążyłeś wywieźć zawczasu babę z dziećmi i majątek ruchomy. Budynek, gdy uspokoi się na świecie, pobudujesz lepszy jeszcze. Lepiej ot dawajcie poszukamy śladów, dokąd szelmy stąd poszli. Nie wierzę, by oni nie ukąsiwszy nikogo za żywe, do domów wrócili.

— Bronik! Spuść-no kudłacza swojego, niechaj poszuka.

— W sadzie jest podejrzane wydeptanie śniegu — oznajmił syn Dubrowskiego, który już zdążył okrążyć zagrodę.

Bronik podprowadził Malca ku wzmiankowanym śladom, pouczył go i spuścił ze smyczy. Pies puścił się dokoła zagrody, węsząc i poszczekując. Obiegł raz, drugi i trzeci, ale nie mógł się zdecydować na żaden kierunek: raz się zatrzymywał na drożynie do Polanek, drugi do Borsuków, trzeci do Wończy. Widocznie krążyli łotry długo, czekając aż się dobrze rozpalą.

— Najprędzej będzie, że oni do Borsuków poszli — rzekł Piotrowski.

— Hawryło Matałach mówił mi przed tygodniem, że Kurtopałca już dawno na Milutów zęby ostrzy. Dawajcie pojedziem.

— Chcecie głowy położyć za tego sknerę? — zaprotestował Bronik.

— Nie o tego sknerę idzie, ale o rodzinę jego i — może by dało się ująć któregośkolwiek.

— Ja, to jestem za tym, aby wracać do domu. Będziemy jeździć po chutorach, szukać w polu wiatru, a oni w tym czasie mogą wymordować kogoś w pobliżu Smolarni — odradzał Jaś.

Po krótkiej naradzie postanowili, że Jaś, Marian i obaj Huszcze wrócą do domu, aby wzmocnić pogotowie, a reszta uda się do Borsuków.

Wyprowadzili sanie z ukrycia, usiedli i rozjechali się.

Dubrowscy z Hajdukiewiczami, jako znawcy okolicy ruszyli swymi saniami naprzód.

W połowie gaju brzozowego, stojącego między obu chutorami na przestrzeni wiorsty z hakiem, rozległy się w stronie Borsuków dwa strzały.

— W Borsukach gody!... W Borsukach! — zakrzyczeli wszyscy.

— Żnij, Ksawery, ażeby nie przyjechać za późno! — zawołał stary Piotrowski. — Poganiacie, jakby ciało na mogiłki wieźli!

— Lepiej wy jedźcie naprzód; tu już jedna droga — odrzekł Dubrowski.

— Już wam w pięty kłuje? — No to puszczaście!

Wyrwał z rąk bratanka lejce z puha, żarnał koniowi pod brzuch, minął Dubrowskiego i pognął wichrem. Pnie brzoź zamigały przed oczami, niczym szprychy u kół wozu.

— No, choć raz gadów przyłapiemy na gorącym uczynku — cieszył się. — Jaka szkoda, że tamci pojechali do domu. Ale damy radę...

Wnet zaświeciło się na przedzie i wypadli na borsuckie pole. W tej samej chwili błysnęło nad zagrodą — i znowu rozległy się strzały. Psy aż zalewały się we wściekłym ujadaniu. Był to dowód, że mieszkańcy nie poddawali się.

Smolarzanie wstrzymali się na chwilę, porozumieli co do działań w odpowiedniej chwili i znowu puścili co koń wyskoczy. Po obu stronach drogi zaczęły się płoty żerdziane osłaniające sanie.

Chłopcy unieśli się na kolana, wyteżając wzrok w czerniejący przed nimi, nieco w lewo, cień zagrody. Z niekształtnej masy zaczęły się wyłaniać dachy budynków, zóraw i róg sadu wystający zza chlewa. Lecz zaraz droga zakrzywiła się w lewo i zagroda przesunęła na prawo. Bok frontowy, tworzący się z poprzecznej ściany chlewa, z wysokiego parkanu z bramą w środku i końca chaty, przytykał do samej drogi. Paweł powstał na nogi i przyjrząwszy się budynkom, dojrzał pod parkanem uwijające się chyżo sylwetki zbirów. — Nie zdążył zawiadomić o swym spostrzeżeniu towarzyszków, gdy rozległa się salwa strzałów. — Kule zagwiżdżały nad głowami. — Przedni koń potknął się i runął na ziemię. Następny w pędzie wbił się kopytami aż na sanie.

— W rozsypkę, chłopcy! — zakomenderował Piotrowski.

Piotrowski z bratankiem i starym Dubrowskim przesadzili płot w lewo a reszta w prawo i posuwali się rzadkim kluczem naprzód z bronią gotową do strzału.

Po salwie padło kilkanaście strzałów pojedynczych, potem zaczęły się sunąć wzdłuż ściany chlewa cienie jeden za drugim.

— Stój! — krzyknął Paweł, idący na przedzie.

— Stójcie chamy, bo położym was! — zakrzyczeli Hajdukiewicz i rzucili się przez pole ku prawemu końcowi chlewu, usiłując przeciąć uciekającym drogę.

Nie strzelali, obawiając się postrzelić w chlewie bydło, albo kogoś z gospodarzy na dziedzińcu. Dopiero gdy ostatni dwaj dobiegli węgła, Hajdukiewiczze wypalili w nich.

Jeden upadł, lecz natychmiast powstał i zniknął za innymi w sadzie.

W tej chwili rozległy się strzały przy chacie i gdzieś huknął basowy głos Piotrowskiego.

Biegli sadem i strzelali na oślep. Tu i ówdzie mignął któryś i znowu ginał za drzwiami.

Przy ogrodzeniu spotkali Piotrowskiego i resztę towarzyszków.

— A to wy, dziadzio?! — zawołał Paweł.

— My. Gdzie oni?

— Czort ich wie. Pouciekali łotry, żeby ich piorun popalił.

— Hen, oni, hen! Patrzajcie! — wskazał Oleś ręką na pole, spostrzegłszy toczące się w dali ciemne punkty.

— Jakto, żadnego nie położyliście?

— Ja jednego postrzeliłem — pochwalił się młodszy Hajdukiewicz — ale gad wstał i znowu poleciał.

— To po co wy strzelali? Po co wy kule marnowali i stuk robili?

— Da i wy też strzelali, a jednak żadnego nie zabili — rzekł Otton.

— Kto? kiedy? To Miluty z chaty dwa razy wysmalili. My na oczy żadnego szelmy nie widzieli i żadnego razu nie strzelili.

— No, — czart ich bierz, gadów. Chodźmy do chaty, bo Heronim już zapewne ma portki, jak zawiązać.

Otton z młodym Dubrowskim pobiegli do pozosawionych na drodze sań, pozostali udali się ku chacie. Przybywszy, stanęli przezornie pod ścianą możliwie jak najdalej od okien.

— Heronim! Swat Heronim! Otwieraj! Już nie ma zbójców, przegnaliśmy! — zawołał Piotrowski.

— W odpowiedzi padły z okien dwa strzały z dubeltówek.

— Osły! — rozgniewał się. — Czemu nie zapytacie wprzód, kto do was mówi! Na kogo strzelacie?!

— A któż wy takie? — ozwał się Czesław, starszy syn Miluty.

— Ksawery! — zwrócił się do Dubrowskiego. — Przemów do nich; oni ciebie sąsiada prędzej poznają.

— Czešku, to my swoi! — zawołał Ksawery. — To ja Dubrowski przyleciałem ze starym Piotrowskim ze Smolarni i chłopcami wam na ratunek.

— Nie ty przyleciał z Piotrowskim i chłopcami, ale Piotrowski z chłopcami i tobą — zaprotestował Mieczyk.

W izbie powstał płacz, lament i kwilenie radosne kobiet i dzieci. Wnet zapalono światło, otwarto wrota i zaproszono opatrnościowych gości do środka. Nie wiedzieli jak dziękować za ocalenie, co czynić z radości. Matka padła przed obrazami do modlitwy dziękczynnej. Dzieci czepiały się rąk Piotrowskiego, błagając, by ich zabrał ze sobą do Smolarni. Żal było patrzeć na maleństwa przerażone.

— Zabierzem, dzieci, zabierzem — pocieszał, gładząc po głowach. — Wszystkich was zabierzem. — Jakżeż wy, zdrowi? Nikogo z was nie ranili? — No a gdzież wasz tatko, że go nie widzę?

— Tato pod piecem — odpowiedziały.

— Co takiego?!

— Pod piecem nasz tato — powtórzyły.

— Tak, ja tutaj, swatko, — doniósł się głos spod pieca.

Smolarzanie wybuchnęli gromkim śmiechem.

— O Jezu! — zawołał Mieczyk. — Dzieci wystawił na kule, a sam pod piec się schował. I nie wstyd ci swacie?!

— Jakby pobili dzieci, to i mnie zabili by — odrzekł tak samo spod pieca.

— Dobrze, ale powinien był dzieci pod piec pochować, a sam przy oknie z dubeltówką w ich obronie stać.

— On tam z pieniędzmi — szepnął Czesław na ucho Piotrowskiemu.

— Domyślam się dziecki.

— Odbierzcie mu kiedy wylezie i dajcie nam po trochu; on stary sknera do śmierci będzie cisnąć, a nam grosza nie da. Nam synom z ojcem bić się nie wypada, a wy możecie.

Piotrowski uścisnął dłonią ramię chłopcu na znak zgody.

— No wyłaź już swacie, stamtąd! — zawołał pochyliwszy się pod przypiecek. — Dokąd będziesz siedział?

— Już lazę, już. — Wygramolił się i jął witać się i dziękować, trzymając przy tym lewy łokieć przy boku ciągle. Piotrowski zauważył to.

— A cóż to, może ranili swata, że tak ciągle trzymasz łokieć przy boku? — zagadnął.

— Co?!... Łokieć?... Nic... — zmieszał się. — To ja wyłaząc przytarłem trochę.

— Przytarłeś?! Mocno? Może krew idzie, pokaż?

— Głupstwo, swatku. — I zaraz zwrócił się chytrze do żony. —

Malwinko! Śniadanie dla gości!... Rozpalajcie drzewka, a ja polazę na strych po kielbasy i słoninę.

Piotrowski zastąpił mu drogę.

— Nie mamy pośpiechu ze śniadaniem. Wprzód trzeba ci swatku, ranę opatrzyć, aby, co nie daj Boże, gangrena nie przyrzuciła się. — Pawle! Olesiu! Weźcie no człowieka z tyłu i potrzyмайcie, bo widać, że wstydzi się.

Chłopcy podchwycili Milutę z tyłu pod ramiona i — spod poły żozuska wypadło na posadzkę blaszane pudełko, wielkości i kształtu cegły mniej więcej.

— Gwałtu!... Rabunek!... Witoldzie! Czesku! Bywajcie! — Podniósł krzyk, usiłując wyrwać się z rąk chłopców.

Mieczyk pochylił się wolno do pudełka, wziął je, zaniósł na stół i zerwał wieko. — Obecnych ogarnęło zdumienie. W jednej przedziałce leżał zwój katarzynek samych, w drugiej mniejszych banknotów carskich, w trzeciej stos kierenek, w czwartej złoto rubli osiemset co najmniej. Banknoty były powyglądane, jakby dopiero z druku, złoto zaś poukładane w stożki i poowijane papierem.

Miluta dał się w niebogłosy:

— Bandyto! Grabieżco! Jeździsz z bandą nocą po chutorach i ludzi grabisz! Gorszyś od Kurtopalca samego! Żeby tobie pod starość, za moją krzywdę, przyszło się po żebrach chodzić! Żeby ty ścieżki pod nogami nie widział!

— Widać swacie, że ci sporzył w Borsukach Bóg — mówił Piotrowski łagodnie, jakby te złorzeczenia i klątwy kogoś innego się tyczyły — Ładne pieniądze uciulałeś! — No, a dałeś cokolwiek Cześkowi, gdy wrócił z wojska?

— Złamanej kopiejki mi nie dał, chociaż go tyle razy prosiłem — rzekł Czesław tonem mocno pokrzywdzonego.

— Nie dał?! — No to ja ci tedy dam za ojca, boś wart. Masz chłopcze — wręczył trzy katarzynki i dwie dziesiątki złote.

— A tobie Witoldzie dał? — zapytał drugiego syna, również w wojsku wysłużonego.

— Nie dał. Dajcie i mnie kiedy łaska.

— Masz i tobie — wręczył tyle samo co starszemu.

— A tobie Zośka dał? — zwrócił się z kolei do starszej córki.

Dziewczyna spuściła wstydliwie oczy.

— Wstydzisz się? — Podstaw fartuszek, to ja i tobie za jednym zachodem wydzielę. — Odliczył dwieście rubli złota i wsypał je dziewczynie do fartucha.

Młodszym dał po jednej kierence i po piątce złotej, a co pozostało zwrócił staremu, kazawszy chłopcom uwolnić go.

— No, a teraz pakujcie się, dzieci, pojedziem do nas do Smolarni — zarządził.

### III

## SADNY DZIEŃ

Nim się zebrali, świtać zaczęło. Zjedli śniadanie i ruszyli bez zwłoki. Na przedzie gnali bydło, owce, świny i gęsi, za nimi szło sześć wozów naładowanych dobytkiem martwym. Sami zaś wszyscy, oprócz starego, który z żalu po rozdanych dzieciom pieniądzech rozchorował się; — szli pieszo.

Pochód z trzodą odbywał się bardzo marudnie, więc gdy minęli Polanki, Mieczyk z Ksawerym, pozostawiwszy chłopców przy obozie, poszli naprzód. W borze spotkali Stacha, Adasia i Romka, jadących saniami. Byli przerażeni.

— A gdzie chłopcy? Gdzie sanie? Co się z wami stało?! — zawołał nim się zrównali ze spotkanymi.

— Nic się nie stało — odrzekł Mieczyk. — Przegnaliśmy bandytów z Borsuków i zabieramy Milutów do Smolarni. Kobyłę tylko bratankowi mojemu zabili gady. Wnet jadą za nami wszyscy. A wy nas szukać? Coście tak jak by wystraszeni?

— Nity i Grzybki ze wszystkimi swoimi ludźmi idą na nas — zaraportował Stach.

— Ze wszystkimi ludźmi?! Kto mówił?

— Siadajcie, w drodze wszystko wam opowiemy.

Obrócili sanie i ułokowali się na nich wszyscy pięciu.

— W trzysta ludzi na Smolarnię naszą gady idą — kontynuował Stach raport.

— Ale kto mówił? Skąd wiecie?

— Nocą banda przeszła przez Smolarnię, grożąc, że nas zniszczy, a oto niedawno jechali ubereżyńcy, wioząc cegłę z kuncewickiego dworu, to mówili, że zarówno Grzybki, jak i Nity i już wybierają się na was.

— Nocą banda przechodziła mówisz?

— Tak, dziewięciu ludzi. Dziadzio Tryzno mówił, że to Kurtopalca.

— Kurtopalca?! Więc oni gady z Borsuków wracając? ... No i wy ich przepuściliście?

— Mogliśmy w czterech dziewięciu zatrzymać? Gdyby to chociaż ludzie powstawawszy już byli, to by wiele kto mógł nam na pomoc przylecieć wprost z dcmów, — ale światła wtedy paliły się jeszcze tylko u Tryznów, Sokołowskich i u nas.

— A Jasia z Huszczami i Ściepurzankiem nie było jeszcze?

— Oni wróciwszy od was poszli sobie spać. Czterech nas tylko było: my oto wszyscy trzej, jako tu jesteśmy i Tryzno stary. My chcieliśmy gadów zaczepić, ale dziadzio powiedział, jak nie w sile zatrzymać, to i wcale nie trzeba ruszać.

Szli ulicą i krzyczeli na całe gardło. — Kontrewolucjoniery wy! Zaszczytniki burżujskie! Wy na obronę kułaków patroli zbrojne wysyłacie! Wy zbieracie ich do siebie na ochranę! Damyż my wam za to! Dziś w trzysta ludzi do was przyjdziem i do najmniejszego dziecka wyrzniem! Wyniszczym was z nasieniem! Gotujcie zawczasu białe koszule na śmierć! Wstyd powtarzać wszystkiego co oni wymyślali.

— Pewni byli, że mnie w domu nie ma, to i buszowali łotry śmiało. Jednak dobrze zrobiliście, żeście ich nie ruszali. Niechaj myślą, że boimy się ich i przyjdą, to wtedy my pouczymy szelmów. —

Chłopcy spojrzeli nań zdumieni.

— Czyż my tylu ludziom podołamy? — zapytał Stach.

— Podołamy, sucho od nas nie wyjdą.

— Aż mnie lżej na sercu się zrobiło — rzekł Adaś. — Tamże w Smolarni nie wiedzą co czynić ze strachu i za co się uchwycić.

— I wysłali was po nas?

— Nie tyle po chłopców, ile po was samych — odrzekł Stach. — Powiedzieli, jak tylko was znajdziemy, to żebyśmy zabrali na sanie i wieźli czym prędzej do domu.

— Jak tylko jaka bieda to wtedy do mnie, a tak to nie widzą. Mają tam przecież Jasia naczelnika swojego.

— Jaś w gorszym strachu od nich. On na język tylko sprawny.

— Żaba parszywa! — zaklął. — Wczoraj na saniach chciałem mu w mordę dać. Wiecie co? Powiedział, że legiony przeciwko robotczej klasie idą.

— Dopiero teraz dowiadujecie się, że on za bolszewików ciągnie?

— Ja od pierwszej rozmowy z nim, gdy on tylko wrócił jesienią z wojska poznałem, że on wrogim duchem napojony.

— Was starych, to on jeszcze boi się trochę — wtrącił Adaś — ale przy nas chłopcach, to na wiare, na księdzów i na biskupów nawet wali.

— I nawet na biskupów?!

## EGZEKUCJA

Smolarnia kotłowała się w popłochu. Od dziecka do starca na nogach byli. Jedni znosili brewiona ku kołowrotom by zabarykadować ulicę, drudzy podwyższali płoty w dziedzińcach, w których nie było od strony gumien ostrokołu, inni pomagali kobietom ubierać dzieci, zamierzając je wyprawić z matkami do lasu. Wszędzie był ruch, bieganina paniczna, zewsząd szły krzyki, nawoływania, kwilenia dzieci.

Czołowi gospodarze z Jasiem prezesem i Bronikiem zastępcą, radzili swarliwie przy kołowrocie, nie mogąc uzgodnić stanowiska. Jaś z Bronikiem proponowali wysłanie gońców lasami do gminnego Komitetu w Wończy, prosząc o pomoc; Kantyczka z Oleńskim radzili przygotowanie okupu, Ściepuro, Bałaszewicz i Tryzno byli znowu za obroną bez żadnych kompromisów.

— Tu nie okup zbierać, ni do Wończy po bolszewików posyłać, ale walić w gadów gdy przyjdą kulami, bez żadnego namysłu i gadania — nawoływał stary Tryzno.

— Toż my w Kogach żyjąc, jedną naszą rodziną nieraz całym Nitom się opierali, — a tu nas przecież tyle chat i tyle ludzi w kupie jest — dowodził Jan Bałaszewicz.

— Nie gorączkujmy się sąsiedzi, nie wszczynajmy swarki, zobaczymy co Mieczyk przyjechawszy powie — uspokajał Sokołowski.

— Da zdaje się, że już jedzie — rzekł Ściepuro, spostrzegłszy wylaniające się z boru sanie.

— Już jada, już! — zauważyło też i kilku innych mężczyzn.

Przerwali dysputę, czekając na przybycie Piotrowskiego.

W niecałe dziesięć minut sanie znalazły się przy kołowrocie.

— Po co to? Po co te brewiona tu znosicie?! — zapytał złażąc.

— Myślimy ulice zabarykadować — odrzekł Marian Ściepurzanek, który przyniósłszy wspólnie z Ludwikiem Huszczą ostatnie polano, czekał wraz z innymi na przybycie Piotrowskiego.

— Po co? Co to pomoże? Wstydu tylko sobie tym narobimy.

— A widzicie?! — podchwycił Jaś Ładan. — Nie mówiłem wam, żebyście nie nosili, bo nie ma prawa drogi zagradzać!

Następnie zwrócił się do Piotrowskiego.

— Ja im nie pozwalałem nosić, ale oni nie chcieli słuchać. Uważam, że trzeba jak najprędzej do Wończy posłać?

— Ty tu będziesz rządzić czy ja? — rzekł Mieczyk gniewnie.

— Czemu wy tak ze złością? — Po zakonu mnie należy się rządzić, ale wam nie będę się sprzeciwiał.

— Sąsiedzi! Swatowie! Chłopcy! Kto ma rządzić: ja czy Jaś?

— Ty swacie, ty!... Mieczyk! Dziadzio Piotrowski! — okrzyknęli obecni jednogłośnie.

— Dobrze. Więc zabierać mi te drzewo stąd i samym wynosić się! Na ulicy nie powinno być nikogo!

A to co takiego? Dokąd to? — zawołał, ujrzawszy kobiety wywożące sankami dzieci poowijane koldrami.

— Myśleliśmy, że lepiej będzie, gdy baby z dziećmi wyjdą na czas bitwy do lasu — objaśnił Winiarski.

— Co wam się porobiło ludzie?! Czemu was taki strach wziął?! Wracać i na piec z dziećmi! Mężczyźni opatrzyć broń i czekać w pogotowiu, aż zawołam!

W głosie brzmiało zdecydowanie i pewność siebie, więc pod jego wpływem smolarzanom przybyło odwagi.

— Krzyczysz, jakby generał jaki — zauważył ironicznie stary Huszcza.

— Teraz dziadzio nie czas na żarty — odparł surowo. — Idźcie do domu i nie przeszkadzajcie.

W pół godziny nadszedł obóz Milutów. Po rozmieszczeniu go w pierwszych z brzegu zagrodach, Piotrowski zarządził natychmiastową zbiórkę w swoim dziedzińcu wszystkich zdolnych do walki mężczyzn.

Zebrało się 68 ludzi. 17 miało karabiny wojskowe, 32 — strzelby zwykłe, a reszta drągi.

Piotrowski podzielił zgromadzonych na partie i powyznaczał im posterunki. 19 z drągami posłał do adryni swojej, 16 ze strzelbami wyprawił do bratanka, pierwszego sąsiada z lewej strony, 16 do Kantyczki drugiego sąsiada z prawej strony, 7 z karabinami do łaźni, znajdującej się w sadzie po przeciwnej stronie ulicy i po 5 — w zagrody końcowe. Na każdą grupę wyznaczył starszego i pouczył jak należy działać w odpowiedniej chwili. Sam zaś z Kantyczką i Huszczą starym stanął na ulicy naprzeciwko swego domu bez broni żadnej.

Czekali z niecierpliwością, ale bez trwogi.

O drugiej po południu przeciągnął drugi obóz chłopów uberezyńskich ze zrabowaną na dworze cegłą, zwiastując, iż oczekiwany przez smolarzanów tłum zbójów, już w drodze. Na pytanie, jaka ich ilość zdąża, odpowiedzieli, że więcej będzie stu.

Piotrowski z towarzyszami przeszli ulicą w jedną i drugą stronę, polecili kobietom, by przyspieszyły pojenie bydła, które już przez nie było rozpoczęte, ażeby pozawierały wrota i furtki na glucho, psy wzięły na uwięź i nakazały dzieciom, ażeby gdy wejdą chłopci na ulicę, nie wychodziły z chat, ani też wyglądały oknami.

Nie później niż w dwa kwadransy, doniosły się od brodu przeraźliwe krzyki i prawie w tej samej chwili wytoczył się z lasu tłum.

Pomimo surowego nakazu nie opuszczania posterunków, prawie z każdej kryjówki wyszło po kilka osób i wspiawszy się na dachy, lub parkany, starało się wymiarkować siłę napastników. Piotrowski również wspiał się na wiązanie ostrokołu, aby lepiej móc dojrzeć.

Jednak na odległość półtorej wiorsty trudno było określić liczbę. Można było przypuszczać, że idzie stu ludzi, można było, że dwustu. Dopiero gdy znaleźli się na grobelce, odległej o trzy stajania od kołowrotu, stwierdzono z ulgą, że nie ma więcej pięćdziesięciu.

— Złazić chłopcy z dachów, bo popsujecie mi cały interes! — huknął Mieczyk.

Coraz wyraźniej było widać. Sama młodzież szła. Część w ubraniu wojskowym, część w cywilnym. U wielu zza pleców sterczały ostrza bagnętów. Lecz było też sporo uzbrojonych w drągi.

Na przedzie szedł Kurtopalec. Czapkę miał na bakier, szynel na paszki. Uzbrojony był w krótki karabinek kawaleryjski, niosąc go uwiesiwszy rzemieniem na lewym łokciu i rewolwer, który wysunął na brzuch, ażeby widoczny był.

Znalazszy kołowrót zaparty, nie odmykali go, natomiast wparli się weń kilkudziesięciu ramionami i złamali ze szworznem.

— Siuda stupajcie, stare szerszenie! — krzyknął Kurtopalec pod adresem Piotrowskiego i towarzyszących mu.

Gospodarze zerwali czapki udając przerażonych i przytulili się plecami do ostrokołu.

Kilku zbójców oderwało się od gromady i zaczęło dobijać w furtkę Ksawerego Tryzny, reszta zaś z Kurtopalcem na czele, toczyła się ulicą ku gospodarzom, kląc jak najobrzydliwsiemi słowy.

Piotrowski z towarzyszami stali nieruchomo.

— Matko Najświętsza! — szeptał Piotrowski — daj chamom zaślepienie i podsuń ich wszystkich ku nam, abyśmy mogli bez rozlewu krwi im nosy przytrzcąć! —

Szli bez zatrzymania się. Dwóch uderzyło ramionami w furtkę Winiarskiego, ale nie wyłamawszy jej podążało za innymi. Już mijali bramę Kantyczki.

— A toś ty stary kundlu, zeszłej nocy był z chłopcami swoimi w Borsukach?! — zawołał herszt, kładąc rękę na rękojeści rewolweru.

Mieczyk gwizdnął dwukrotnie w palec.

Niedłuzej, niż w dwadzieścia sekund, gromada smolarzanów ukrytych w domu Ottona, zagroziła ulicę z przodu, druga z domu Kantyczki zamknęła z tyłu; trzecia z łaźni rozsypawszy się tyralierką po sadzie, zagroziła z boku.

Tłum bandytów zdębiał.

— Nie strzelajcie, towarzyszy! To my na żarty was straszylim! Pomilujcie! Nie strzelajcie! Myż jeden i ten sam raboczy kłás! — zajęczało wielu przeraźliwie, jakby na nich ktoś zimną wodą z cebra lał.

— Rzucać mi ten łom na ziemię i nie ruszać się z miejsca! — zakomenderował Piotrowski.

Bandyci, widząc skierowane ze wszystkich stron lufy, poddali się rozkazowi bez słowa sprzeciwu.

Piotrowski jeszcze raz gwizdnął w palec i — zaczęli biec ku niemu mężczyźni z adryni.

— Oplotkami do Ksawerego! Tam kilku włamało się! — rzucił nadbiegającym na spotkanie. — A ty swacie i wy dziadzio — zwrócił się do Kantyczki z Huszczą — zabierajcie łotrowską broń na dziedziniec i przyńście lejce!

— Towarzysze! — zajęczał herszt. — My żartem! Jej Bohu żartem! Po co wy nas zaatakowali? Bądźmy, towarzyszc, przyjaciółmi! . . .

Mieczyk wyrzwał bandycie apleuchę. Byłby powalił go jednym uderzeniem na ziemię, bo miał ciężką rękę do bitki, ale uderzył słabo, by nie ogłuszyć.

— Ach ty świński tato! — zaklął. — Cóż to ja z tobą bydle, na jednej lipie siedział, czy razem do świrna łąził, że mnie towarzyszcem nazywasz?!

— Izwinicie pan. Izwinicie. To ja po przywyczkie.

36 zbójów wzięli na ulicy, 5 w dziedzińcu Ksawerego i 3 dogнали konno na wygonie. Zaden nie umknął.

Piotrowski kazał odprowadzić więźniów do stodoły i czekać nań na gumnisku, sam zaś udał się na naradę do starego Zdanowicza, który niedomagając już od dwóch tygodni nie opuszczał łóżka.

Niemal cała smolarska ludność zbiegła się na gumnisko. Cieszyli się bezkrwawym zwycięstwem, pomstowali na złoczyńców, proponowali różne kary dla nich. Najsurowszych kar domagali się chutorzanie, którym banda pomordowała niedawno krewnych i popaliła budynki. Hajdukiewiczze żądali dla Kurtopalca zdarcia skóry sywcem.

— On naszego tatku zamęczył! — krzydzeli. — On mu boki słomą palił! On mu szpilki pod paznokcie zaganiał!...

Jednak starzy smolarscy gospodarze skłonni byli do łagodnego wymiaru kary. Jaś z Bronikiem proponowali wyłączenie z tłumy więzdzych przestępców i odesłanie do Wończy, a pozostałych uwolnienie.

Gdy Mieczyk powrócił zasypano go projektami.

— Sąd będziemy nad nimi przeprowadzać — odrzekł. — Co uchwalimy większością, to i będzie. Rozpoczynamy sąd.

Kobiety i dzieci oddalił, następnie odemknął wrota, aby więźniowie słyszeli swoją rozprawę i zwrócił się do swojej gromady.

— Na co te łctry zasłużyli? Co z nimi zrobimy?

— Porozstrzelać!... Wywieszać!... Kijów dać!... Skóry poździerać! Popalić! — zakrzydziała młodzież, nie dając starym przyjść do słowa.

— Piotrowski uciszył wrzask gestem ręki i rzekł gniewnie.

— Kto chce męczyć, ten wart, abym mu mordę zbił. Cóż to my poganie jakie?! Ludojady dzikie?! Trzeba ukarać porządnie, ale po chrześcijańsku i po gospodarsku.

— Brawo Mieczyk! Mądrze! Sprawiedliwie! Po gospodarsku! Chytryś do bitki i rozumny do sądu! Brawo! — pochwalili gospodarze.

Więźniowie zaczęli spoglądać na Piotrowskiego z bezgraniczną wdzięcznością.

— Słuchajcie — ciągnął. — Proponuje, ażeby Kurtopalca i jego najbliższych towarzyszdów, którzy chodzili na mordowanie, powiesić, a pozostałym wsypać po 25 — w gołą i puścić z Panem Bogiem. Zgoda?

— Zgoda! Powiesić! Sprawiedliwie! Brawo, dziadzio! Zgoda! — zaaklamowała młodzież wraz z kilku osobami starszej generacji.

Więźniowie podjęli lament.

— Darujcie nam, pankowie! Zmiłujcie się! Póki żyć będziemy już na żaden rozbój nie pójdziem! Darujcie! My wam nogi ucałujem! Miejcie litość! —

Kurtopalec tylko milczał, rzucając nienawistne spojrzenie w kierunku Piotrowskiego.

— My dziadzio, nie mamy prawa ludzi wieszać — zaprotestował Jaś.

— Na to jest władza. Odstawmy hersztów do Komitetu w Wończy, a oni niechaj ich sobie sądzą, niechaj co chcą robią.

— Do Wończy?! A w tym ichnym Komitecie nie takie same bandyty siedzą?

— Wieszac swacie, nie po chrześcijańsku jest i ja z synami swymi ręki do takiej roboty nie przyłożę — oświadczył Kantyczka.

— Czy ty swacie naprawdę myślisz z nimi tak zrobić? — zapytał Winiarski.

— Myślisz, że żartuję? Oni szli z zamiarem porznać nas, poniszczyć, a my mamy ich żałować?

— To prawda, ale chwalić Boga nie zniszczyli i nie zniszczą już, więc po co mamy na siebie grzech śmiertelny ściągać, po co ich matki mają nas całe życie przeklinać? Wsypać i niech idą.

— Prawda, Mieczyku, prawda. Nie trzeba wieszać. Trzeba po gospodarsku. Wsypać wszystkim i niechaj sobie idą do diabła — wstawili się Huszce, Sokołowski i Oleński.

Ale Mieczyk okazał się nieustępliwym.

— Komu się to nie podoba — rzekł twardo — to niechaj sobie odejdzie, a ja uczynię to, co większość uchwaliła i co mi mój rozum dyktuje.

Posłał po stoły, taborety, powrozy i lampę — bowiem już ciemno się robiło i rozpoczął badanie.

— No, okrutniku — przystąpił do herszta, — którzy to wczoraj byli z tobą w Borsukach? Którzy to najbliżsi twoi przyjaciele? Mów!

Kurtopalec spojrział ponuro, ale nie odezwał się.

— Gniewasz się na mnie? Nie mów, dowiem się i bez ciebie.

Sluchajcie, chłopcy — zwrócił się do ogółu więźniów. — Którzy z was wczoraj byli w Borsukach? Kto przyzna się pierwszy, tego powieszę na samym ostatku.

Zaden się nie odezwał. Bali się nawet oczu podnieść, aby nie podejrzewał. —

— Ty był? — wskazał palcem na pierwszego z brzegu chłopca lat 18.

— Ja, panoczek, nie był. Jeżże Bohu nie był! — wyparł się młodzieniec. — Ja nawet dziś nie chciałem z nimi iść, ale oni mię namówili. Po co mię lichy pognało? Lepiej by ja przechorował ten czas!

— A którzy byli?

— Ja, panoczek, boję się mówić; oni mię potem zabiją.

— Dureń. Jakże oni ciebie zabiją, jeżeli ich zaraz powieszę. Mów, bo ciebie pierwszego powieszę!

— Dawid był, — wykrztusił przerażony.

— Pokaż któren to!

— Ten skraj uhubaty — wskazał ruchem głowy.

— Dobrze. Kto więcej? Pokazuj po porządku wszystkich!

— Był Wańko Szałaplut — ten kraśny wysoki. Zmicier Podliźnik — ten, który wybałuszyl się na mnie. Sawka Zadziraka — ten w białej papasze. Kuźma Buhaj...

Siedmiu wszystkich wymienił.

— Musi być jeszcze jeden — rzekł Piotrowski przypomniawszy sobie opowiadanie Stacha, że przez Smolarnię nocą ośmiu przeszło, oprócz Kurtopalca.

— Jeden został ranny wczorajszej nocy.

— Ranny? To ma sukinsyn szczęście.

Jedni z wyjawionych grasantów stali w niemej rozpacz, wzdychając ciężko i wodząc błędnie dokoła oczyma, drudzy błagali o litość, przybiegając żalose miny, wyszukując jak najtkliwsze słowa:

— Dziadzienko drogi! Panoczek złoty! Darujcie! Słonyszko jasne! Archanieli niebiesnyj! Darujcie! Karajcie jak chcecie, ale zostawcie żywych! Miejcie w sercu Boga!

Lecz Mieczyk pozostawał niewzruszony.

— Nie mieliście wy szelmy — mówił — Boga w sercu, mordując naszych ludzi, nie będę miał i ja dla was. Krew za krew, głowa za głowę. Powieszę. Nie bójcie się; to przejdzie raz dwa.

— Nie, chłopcy — zwrócił się do swoich — nie będziemy ich długo męczyć strachem. Do roboty! Który z was łżejszy? Ty Staszku. Łeż na wyszki i gdy ja przesunę przez grochowiny powróż, weźmiesz go i uwiążesz koniec za wiązanie krokwi. Żywo!

— Po co za wiązanie krokwi, jeżeli można za belkę — zaproponował Stach.

— Jeżeli mówię za krokwie, to za krokwie! Ty mnie będziesz jeszcze uczył, żabo?! Mnie już nie pierwszy raz łotrów wieszać.

Stach wlaźł na wyszki, a Mieczyk uwiązał koniec, powroza za rękę — jeść długich drewnianych wideł i przepchnął je przez warstwę grochowin.

— Widzisz? — zapytał.

— Widzę i wziętem już. Zabierzcie sobie widły.

— Dobrze. Ciągnij ile potrzeba i uwiąż. Tylko uważaj, nie zrób sobaczego węzła! Albo lepiej ja sam wlażę. Czekać nie wiaż.

Wgramolił się na wyszki, pouczył Stacha, następnie wrócił, podsunął dwa stoły, ustawiając je obok siebie szczelnie, na stole ustawił taboret, wlaźł nań — zrobił na końcu powroza pętlę, i trzymając ją na wysokości swej szyi, kazał Stachowi powróż naciągnąć i uwiązać ten w sposób, jak go pouczył.

— Dawać Kurtopalca! — zakomenderował z rusztowania.

Kilkunastu chłopców i gospodarzy słabszych sercem oddaliło się, aby nie widzieć okropności stracenia.

— Co ty robisz, swacie?! Tyż zabójcą liczyć się będziesz! Tyż swoją duszę na wieczność zgubisz! — wzywał Kantyczka do opamiętania.

— Mieczyku! Tyż swoją rodzinę oczernisz! Tyż na siebie i na nas przekleństwo i zemstę ściągniesz! — ostrzegali też inni gospodarze.

— Pawle! Ottonie! Dawać, mówię, Kurtopalca! — powtórzył rozkaz Mieczyk.

Chłopcy ujeli herszta pod ramiona i wprowadzili na taboret.

Piotrowski nałożył pętlę i rzekł:

— Może masz jakie życzenie?

— Kajuś, Hospodi! Budi miłostiw mnie hresznemu! — zawołał herszt, wznosząc oczy w górę.

Szczera skrucza bandyty wywarła w gromadzie współczucie dlań i litość.

— Mieczysławie! — zawołał Kantyczka. — Daruj mu, jeżeli kaja się. Daruj, a na zbawienie wieczne zasłużysz!

— Darujcie mu, dziadzio, jeżeli kaja się! — wstawiło się za skazańcem wielu chłopców smolarskich.

— Darujcie mu, panoczyk! Darujcie nam, sokolik jasny! Miejcie serce! — podjęli lament więźniowie.

Piotrowski głuchy był na wszystkie wołania i lamenty.

Oddalił pomocników z rusztowania, poprawił pętle, potem zszedł na dół i ujawszy dłonią za jedną z nóg taboretu, zaczął liczyć: — Raz... dwa... trzy...

Obecni wstrzymali oddech.

— Cztery... pięć... sześć... siedem. — Tu nagłym pociągnięciem wyrwał spod nóg skazańca taboret. — Kurtopalec wyciągnął się na powrozie, wierzgnął raz nogami i — runął na pomost stołów. — Urwał się głuzem na wysokości grochowin, jak nożem przecięty.

W tłumie powstały okrzyki zdumienia, zawodu, radości.

Piotrowski zdjął z szyi pospiesznie powróż i uniósłszy niedoszedłego wisielca do pozycji siedzącej rzekł:

— Teraz daruję ci. Jak urwał się powróż, — twoje szczęście.

Kurtopalec sapiąc ciężko wodził błędnie oczyma, jakby nie dowierając ułaskawieniu, albo wcale nie wiedząc, co się z nim dzieje.

— Daruję ci Kurtopalcze, słyszysz? — Pokajałeś się szczerze i postronek się zerwał, więc drugi raz już nie będę wieszac.

Kurtopalec zawył z radości.

A tymczasem 43 pozostałych więźniów, porozumiewszy się ze sobą szeptem i spojrzeniem, padło jak jeden na kolana i powtórzyło słowa skruchy Kurtopalca:

— Kajuś, Hospodi! Budi miłostiw mnie hresznemu! — A potem: — Panoczek złoty! Darujcie i nam też!

— Darujmy wszystkim! Daruj im, Mieczysławie! — wstawili się wszyscy smolarscy gospodarze.

— A nie pójdziecie, szelmy, na rozbój więcej?

— Póki żyć będziemy nigdzie nie pójdziem! — odkrzekli chórem.

— Dobrze. Daruję i wam sukinsyny, jeno pogolę głowy, ażebym, gdy znowu ujmę któregoś na rabunku, mógł poznać.

— I obróciwszy się zaraz ku swoim wydał rozkaz.

— Nożyce!... i golić łotrom głowy!

Ściepuro zbliżył się do Piotrowskiego i rzekł na ucho szeptem:

— A myż dalibóg myśleliśmy, że ty ich naprawdę będziesz wieszac.

— A myślisz, że co?

— Czyż nie widać, że powróż przecięty? — Nauczyłeś, szelma, tamtego chłysta, na wyszki wzlazłszy.

Piotrowski mrugnął okiem znacząco i podkreślił z fantazją wąsa.

## V

### " WESOŁY NAM "

Rozbrojenie i ukaranie w dzień Trzech Króli bandy Kurtopalca nie przyniosło smolarskiemu rejonowi spodziewanego bezpieczeństwa i spokoju. Krewni osromionych bandytów, oskarżyli przed władzą bolszewicką Piotrowskiego i tych, którzy domagali się kary śmierci i pomagali w egzekucji, o gromadzenie broni i przygotowania kontrrewolucyjne. W kilka dni przyjechało z Wończy 25 przedstawicieli władzy, skonfiskowało całą broń, włącznie ze zwykłymi strzelbami myśliwskimi i areszto-

wało Piotrowskiego z bratankiem Ottonem, Jana Bałaszewicza z synem, Tryznę z synem Pawłem, obu Hajdukiewiczów, dwóch Milutów, Olesia Winiarskiego, Mariana Sciepiurę i młodego Dubrowskiego. Na dobry ład, mogli połowę broni zatrzymać, gdyż była ukryta, ale Jaś sympatyzujący z bolszewikami, opowiedział o wszystkim, jak na spowiedzi. Na całym zaścianku pozostało tylko trzy karabiny i cztery dubeltówki, o których Jaś i Bronik, jego najbliższy przyjaciel, wcale nie wiedzieli.

Gdy rozeszła się o tym wieść po ruskich wsiach okolicznych, rabunki i zabójstwa w rejonie smolarskim się wzmogły. Śmielsi i okrutniejsi od Kurtopalca znaleźli się bandyci. W biały dzień zjawiali się na chutorach ludzie w wojskowym ubraniu i podając się za przedstawiciele władzy, żądali wydania broni, potem pieniędzy, i cennych rzeczy; torturowali ludzi, znęcali się w bestialski sposób, mordowali. Niebezpiecznie było bronić się nie wiedząc kogo się ma przed sobą, bezskutecznie było skarżyć się przed władzą, której połowa członków nie tylko miała kontakt z hersztami grasantów, ale nawet brała bezpośredni udział w rabunkach; nie było gdzie się chronić.

Więcej niż dwa tygodnie przebyli smolarzanie w gminnym areszcie w Wończy. Nie pomogły ani zbiorowa prośba gospodarzy rejonu smolarskiego, ani poręka przyjaźnie ustosunkowanych względem smolarzan, ubereźniców.

Pewnego ranku przybył do aresztu komisarz i zawiadomił, że po południu wszyscy będą odesłani do Birek, każąc spakować swe rzeczy.

Spakowali się według rozkazu i czekali zapowiedzianej odsyłki desperując.

Ale po południu zjawił się milicjant i oznajmił, że mogą zabierać tebołki i wracać wolni. Na zapytanie o powód nagłej zmiany względem nich decyzji, milicjant odpowiedział, że komisarzowi przed godziną udało się stwierdzić ich absolutną niewinność.

— Czyli, mówiąc prościej — rzekł Mieczyk — donos na nas był fałszywy?

— Wychodzi, że tak — odrzekł milicjant.

— Tedy żądamy, abyście tu na nasze miejsce wsadzili fałszywych oskarżycieli. Proszę nas zaprowadzić do towarzysza komisarza.

— Nie ma komisarza w domu.

— No, to do jego zastępcy.

— Nie ma i zastępcy. Przed godziną wszyscy gdzieś wyjechali w bardzo ważnej sprawie. Jeżeli chcecie, to przyjdźcie jutro, albo pojutrze.

— I owszem, przyjdziemy; krzywdy swojej nie darujęm.

Podziękowali za "gościinę" i udali się do pana Sadowskiego. Ten przyjął ich obiadem i powiadomił o serii nowych mordów, popełnionych w okolicach Smolarni w ostatnim tygodniu. Smolarzanie zawrzeli oburzeniem.

— I to jest władza! To jest sprawiedliwość! — mówił Paweł, bijąc pięścią w stół. — Nas za to, żeśmy bronili swojego gardła posadzili do aresztu, a tych, co grabią i mordują, to nie widzą!

— Widać, dzieci, że tu nic innego nie pozostaje, jak tylko zrobić się i nam takimi samymi bandytami i bić ich na śmierć bez pardonu —

rzekł Piotrowski. — Gdybym mógł znaleźć dwunastu takich chłopców, którzy by odważyli się na najgorsze, to bym za tydzień, a najdalej za dwa, uśmierzył wszystkich gadów w okolicy.

— Ja jestem zgodny — rzekł Paweł.

— I ja też zgadzam się — zgłosił Stach.

— I my też zgodni — oświadczyli Hajdukiewiczze poszeptawszy ze sobą.

Zgłosili się po jednemu wszyscy, oprócz starego Tryzny i Jana Bałaszewicza.

— Doskonale! — zawołał Piotrowski. — Reszta znajdzie się w domu. Rozchodzi się tylko o broń. — Ottonie. Ile, mówiłeś, pozostało w Smolarni karabinów.

— Tylko trzy. Ale jeden jeszcze można będzie dostać w Chrapaczowie.

— Znaczy się cztery. — Zygmuncie! — zwrócił się do Hajdukiewicza — słyszałem, że twoi szwagrowie w Polankach przynieśli z wojska dwa karabiny.

— Przynieśli, ale nie wiadomo, czy nam dadzą. Jeden to może...

— Zdaje mi się, że jeden będę mógł dostać u Rusieckich w Ubereziu — rzekł Paweł.

— Znaczy się, że będziemy mieć szczęście. Małowato. Na taką rzecz, trzeba wszystkich dobrze uzbroić. Ot gdyby tak dostać się do Wieźgajłowa — tam bym dostał ile potrzeba.

Wiecie co, chłopcy? — rzekł po namyśle. — Zaczynamy. Hajdukiewiczze z Olesiem pójda prosto stąd do Polanek. Miłuty z Dubrowskim do Chrapaczowa. Paweł z Marianem do Uberezia. Co znajdziecie, zanieście prosto do Wasilewskiego na leśniczówkę. Tam nasze gniazdo będzie i tam na mnie czekajcie. A ty Ottonie ze Stachem pójdziecie wraz ze starymi do Smolarni i nocą zanieście na leśniczówkę te karabiny, co macie w domu. Tylko sza!... Ja pojedę do Wieźgajłowa.

Panie Sadowski! Użyczysz mi swojej kobyłazki?

— Kobyłę pożyczę, ale sam nie pojedę z tobą.

— Rozumiem — pięty ci kłuje... Nic, załóż mi tylko kobyłę i poszukaj siermięgi chłopskiej. Pojedę sam. —

W godzinę opuścili Wończę, udając się każdy w swoją stronę.

W Smolarni tymczasem odbywał się pogrzeb nowej ofiary bezprawia. Był nią Mazur uciekinier, przebywający od dwóch lat w chutorze Skoczek za parobka. Stawił opór rabusiom z siekierą w ręku, więc wsadzili mu w głowę pięć kul.

Smolarzanie zabrali jego zwłoki i urządzili pogrzeb. W domu Kantyczki pełno było ludzi. Heblowali deski na trumnę, śpiewali pogrzebowe pieśni, chwalili cnoty nieboszczyka i współczuwali jego niedoli. Wiele kobiet płakało, jak po krewnym.

Pojawienie się czwórki zwolnionych więźniów przerwało wszystkie czynności i zale. Starzy i młodzi obstąpili przybyszów dokoła i dawaj jeden przez drugiego wypytywać o resztę towarzyszków i cieszyć się z ich uwolnienia i opowiadach o wydarzeniach z ostatnich dni.

— Wiecie, toż ja was wybawiłem — ochwalił się Jaś. — Wczoraj chodziłem do Wończy i prosiłem samego komisarza.

— Wczoraj mówisz! — powtórzył Tryzna.

— Tak, z Bronikiem chodziliśmy.

— Tedy nie może być, aby wedle twojej prośby nas wypuścili. bowiem dziś rano komisarz nam mówił, że ma nas odprawić do Birek.

— Tu coś innego zaszło.

Ośma godzina już dochodziła, więc Otton ze Stachem zmówili za duszę nieboszczyka Anioł Pański i nie tracąc czasu, poszli do domu, zjedli kolację, zmienili zawszoną bieliznę, potem dostawszy z ukrycia karabiny, zanieśli je na leśniczówkę, gdzie też zanocowali.

Na godzinę przede dniem, przybyli na leśniczówkę towarzysze z Chrapaczowa, Polanek i Uberezia, przynoszą ze sobą drugie trzy karabiny, oraz Pietrzyk Karapuzy i Adaś Łapanosy, którzy też przystąpili do organizowanej partyzantki.

Czekali na Mieczyka, snując plany przyszłego działania.

Przyszło południe — nie przyjechał. Przeszło jeszcze parę godzin — nie ma. Poczekali jeszcze z godzinę i posłali Stacha z Józikiem i Adasiem do Smolarni na zwiady.

Akurat wrócił tłum z cmentarza. Część miejscowych mężczyzn rozeszła się do swych zagród trząść bydła, a pozostałych, tudzież wszystkie kobiety Kantyczka zaprosił do siebie na Litanie Loretańskie, które śpiewali pobożniejsi ludzie w zaścianku codziennie na intencję przywrócenia krajowi spokoju.

Dowiedziawszy się, że Mieczyk do domu jeszcze nie wrócił, udali się też i chłopcy wraz z innymi na Litanie.

Kantyczka zaintonował Kirie i powierzwszy dalsze prowadzenie śpiewu staremu Tryzno, leżał na podłodze krzyżem i trwał w bezruchu.

Odszpiewano Litanie, następnie Suplikacje, a Kantyczka nie ruszał się z miejsca. Nikt nie śmiał mu przerywać, ani wstawać z klęczek. Jedni zaczęli odmawiać Pacierz, drudzy wpatrzeni w Mękę błagali Boga o ratunek myślą. Niektóre kobiety podchlipywały w żarliwym rozmodleniu.

Wtem rozwarły się z sieni drzwi — i weszli Piotrowski i stary Huszcza. Mieczyk był, jak dopiero ze sań: oszroniony, w rękawicach i pułą w rękach. Brwi miał ściągnięte, czoło zmarszczone, jednak ruszanie się wąsów świadczyło, że udaje surową minę.

Zdjął rękawice, czapkę i złożywszy je wraz z pułą na ławie, jął przechadzać się koło progu rzucając co chwilę niecierpliwe spojrzenie na modlących się. Wreszcie rzekł głosem stłumionym:

— Nie dosyć już wam, baby, ślinić! Wstawajcie!

A stary Huszcza, zwracając się do Kantyczki, zawołał:

— Wstawaj swacie! Dokąd będziesz gnieść brzucha?! Do czego to warte takie leżenie?! Wstawaj, bo niestrawności dostaniesz! —

Ten i ów z młodzieży zasłonili sobie dłonią usta, by nie parsknąć śmiechem.

Kantyczka jeszcze parę minut potrwał w tej samej pozycji, potem podniósł się powoli na klęczki, przeżegnał, ucałował Mękę, wstał i z miejsca wpadł z furją na Huszczę.

— Lucyperze! Sam nie modlisz się nigdy i drugim nie dajesz!

Przez ciebie takiego heretyka i nieszczęście na nas Pan Bóg zsyła! Won z mojej chaty, szatanie!

— I ty też mu wtórujesz! — zwrócił się do Piotrowskiego.

— Wybacz mi swacie, na ten raz — odrzekł Mieczyk. — Nie w modlitwie przyszedłem wam szkodzić, ale smutek wasz i płacz przerwać. Nam teraz już nie smucić się i płakać, ale “Wesoły dziś dzień nam nastał”, śpiewać trzeba.

— Co się stało?! Co takiego?! — zabrzmiało równocześnie kilkadziesiąt pytań.

— Nie ma już łajdaków!... Polska się zaczęła! W Bobrujsku rządzą legiony! Prażą bolszewików, szatkują, rozganiają na wszystkie strony, zabierają miasto za miastem. Słyszycie?! Polska się zaczęła! Skończyły się już nasze biedy na zawsze. —

Wieść była tak niespodziewana, tyle w sobie radości i szczęścia dla zrozpaczonych ludzi zawierała, że wydała się wprost nieprawdopodobną.

— Gdzież to, swacie, tak zachlałeś się? — zapytał Ściepiuro, klepiąc Mieczyka po ramieniu.

— A gdzieżby mógł indziej, jeżeli nie u szwagrów swoich, — rzekł Winiarski.

— Ale my patrzajcie na niego, nawet nie uśmiecha się, tak jakby to prawda była — zauważył Dubrowski.

Mieczyk padł przed krucyfiksem na kolana i powtórzył wieść z zaklęciem: —

— Jeżeli ja pijany, lub kłamie, to żebym chaty swej nie ujrzał więcej. Mówię szczerą prawdę jak na spowiedzi. — W Bobrujsku Polska się zaczęła. Na własne oczy widziałem w Wieżgajłowie legiony, a między nimi i Wiktora, twojego Ambroży syna, z którym do samej północy rozmawiał, powtórzył z zaklęciem.

Obecnych radość ogarnęła bezgraniczna. Nie wiedzieli co czynić w jej porywie. Targali Piotrowskiego za odzież ze wszystkich stron, nagłąc o szczegóły, wpadali sobie w ramiona, całowali się jak na Wielkanoc, śmieli się i płakali na przemian. Grono chłopców i dziewcząt puściło się na zaścianek, by jak najprędzej zwiastować innym. Drzwi nie zamykały się od napływającego ludu. Krzyżowały się pytania i odpowiedzi. Zgiełk w całym dworze powstał, jak na chrzcinach, lub weselu.

Ale wreszcie Kantyczka zaintonował Boże coś Polskę, więc zaczęto wyładowywać uczucia w pieśni. Śpiewał z całej mocy każdy, kto tylko był obecny. Głosy ludziom drżały ze wzruszenia, oczy płonęły radością, myśli niosły się w bezpieczną, wolnościową, szczęśliwą przyszłość.

## VI

### WYRAZ WDZIĘCZNOŚCI

Na ósmą wieczór zgromadził się w domu Zdanowicza wiec. Oprócz wszystkich dorosłych mężczyzn przebywających w Smolarni, przybył Wasilewski z chłopcami niedoszłej partyzantki, Harasimowicz z Anichowskim z Polanek, Szumski z Jam i kilku gospodarzy i chłopów z chutorów.

— Panowie i bracia! — zagał stary Zdanowicz. — Po wielu klęskach, po długim przyciskaniu nas przez ruskich i naśmieszkach, po różnych

plagach, jak oto ta ostatnia na nas napaść przez bandytów, Pan Bóg wreszcie o nas wspominał i pocieszył. Jak mówi oto Mieczysław niedawno przyjechawszy z drogi — w Bobrujsku Polska się zaczęła, która ma być na całym naszym kraju. Przeto zwołaliśmy was, aby za tą radosną przemianę, w naszym życiu, gromadą uradzić i zatwierdzić jakąś trwałą fundację Panu Bogu, a polskiemu naczelstwu w Bobrojsku podziękowanie, co nam prawdziwym chrześcijanom i wytrwałym Polakom uczynić przynależy.

— Przynależy! Przynależy! — potwierdziła chórem gromada.

— Nim do rady przystąpię — mówił Zdanowicz — niechaj Mieczysław opowie wiadomość przed gromadą, bo są takie, co jeszcze nie słyszeli.

Piotrowski wstał i zaczął opowiadanie.

— Gdy tylko z Wończy wyjechał, tknęło mię, że nas z aresztu wypuścili nie z łaski, nie z uznania niewinności, ale ze strachu.

Przyjechałem do Birek — i zdziwienie mię wzięło. — Kuźnię, co z końca, zamknięte. Przed gmina, — choćby jedna podwoda. W młynie też pusto i głucho. Ludzi na ulicy rzadko i jakby wystraszone.

— A to co takiego się zrobiło? — pomyślałem.

Nie chcąc być poznany, nie pytam nikogo o nic i jadę dalej. W lesie spotykam Bolka Mientaczkę z Kuczek. Samiusienki na saniach i śpiewa "Da zielony jawór". Zatrzymałem go, dałem pochwałkę i mówię:

— Jak widać Bolesławie, to na zapusty będziem grzyby zbierać.

— A to dlaczego tak? — pyta.

— A dlatego, że ciebie samego widzę — mówię.

— Toż i ty sam — mówi.

— Ja. Ja co innego, mówię. Ja za młodu obieszczykiem u grafa służył, ja swego czasu kiermaszy całe rozpędzał, ja oto niedawno z swoimi chłopcami, mówię, 45 bandytów ogoliłem, ale ciebie — jak wiem, to baba nocą za własną potrzebą wyprowadza.

— Wyprowadza dlatego, że nocą niedowidzę — odpowiada.

— A nie mogą ciebie chłopci, mówię, przejąć i chaćmus zrobić?

— Nie przejmą już, braciszku, poczuli duch — odpowiada.

— Jaki duch? — pytam. — Co się stało?

— A to ty jeszcze nie wiesz, — dziwi się, że Polaki Bobrujsk zabrali? Myślałem, że oszaleję z radości gdy mi to powiedział.

— Zabrali na dniach, mówi, i prażą łotrów, że tylko kurzy się z nich. Teraz już, braciszku, na naszej ulicy kiermasz. Byłbym ci opowiedział jak to stało się, ale śpieszno mi do domu. Jak chcesz, mówi to zajęź do Wieźgajłowa; tam dowiesz się wszystkiego.

— Toż ja tam właśnie i jadę — odpowiedziałem i pogałem co ducha u kobyły.

Przyjeżdżam do Wieźgajłowa. — Na ulicy długi rząd sań naładowanych owsem i sianem. W domu Zygmunta huk i muzyka rżnie.

— Co to za bał u was w powszedni dzień? — pytam wyrostków, którzy akraz w bramie stali.

— To u nas legiony hulają — odpowiedzieli.

Ziązę i zachodę. Tłumu, że ani przecisnąć się. Pomiędzy młodzieżą wieźgajłowską, legionistów jest z piętnaście. Niektórzy siedzą na kanapie

gwarząc z gospodarzami, reszta pobrawszy się za ręce z dziewczętami wkoło tańczą, coś takiego jakby korowód. Wszyscy młodzi, krępi, rumiani, zgrabni, a wystrojeni tak, jakby oficerzy jakie. Tupają nogami i przyspiewują po polsku. Szlachcianki patrząc na nich, palą się oczkami i oblizują. —

Polubowałem się trochę nimi i zawróciłem ku kanapie, aby porozmawiać z którymś, gdy wtem ktoś mię z tyłu wziął za ramię i rzekł:

— Dziadzio Piotrowski, jak pozywacie?

Obracam się legionista, ale nie mogę poznać.

— Cóż to mówi, nie poznajecie mię? Jestem Wiktor Ładan ze Smolarni. —

Wiecie bracia — mówił Mieczyk zwracając się do gromady, — tak ten chłopiec wygładził się, tak mu w tej legiońskiej odzieży pasuje, że żaden by go z was nie poznał.

Otóż uściskaliśmy się z nim, opowiedziałem mu z większego, co u nas tu dzieje się i pytam zaraz o sprawie.

Jak to się stało, mówię że wy tak niespodziewanie się zjawili i bez żadnego huku i stuku takie miasto i twierdzę zabrali?

Rozumem, mówi, naszego Pana Generała Dowbora-Muśnickiego i naszą legiońską odwagę. Z razu tylko około 500 ludzi naszych do Bobrujska przybyło i zakwaterowali się obok bolszewików, mówiąc, że jak nie będą się czeptać, to oni będą za nich trzymać rękę przeciwko "białym". — Soldaty rade byli temu, ale Rewkomy i Sowdiepy zaczęli patrzeć na nas krzywo i radzić jakby to rozbroić.

Ale my ich wyprzedziliśmy, mówi. Nocą wstaliśmy cichuśko rozbroiliśmy ichne posterunki i pozajmowaliśmy wszystkie ważniejsze punkty. Rano budzą się bolszewickie komandziry, patrzą.

— My. My na wałach, my przy bramie, my przy moście, przy baszcie, przy stacji Berezynce, my przy telegrafie bezdrutnym, my — wszędzie prawie. Lecz komandziry jeszcze nie dają za wygraną. Ściągają pospiesznie oddziały swoje, kwaterujące na mieście, na stacji wielkiej i koło Krzywego Kruku, które jeszcze nie byli rozbrojone, zbierają wszystkich z miasta komunistów i każą iść na nas.

Ale soldaty z żydkami boją się bez armat iść na wały i żądają, aby im przysłali z Mińska artylerię i więcej piechoty.

A tymczasem nasi zaczęli nadciągać więcej. Ze wszystkich stron od razu, bo to taka zмова była. Ciągnęli w odzieży legiońskiej i w przebraniu chłopskim, pojedynczo i hurtem, pieszo, saniami, pociągami i konno; piechota, kawaleria, artyleria. Prawie bez żadnego rozlewu krwi zdobyliśmy, mówi, twierdzę, rozbiliśmy blisko 10,000 — czubaryków, zdobyliśmy wiele armat, składy karabinów, naboi, prochu, piersyliny, odzieży, auta pancerne i osobowe, parowozy, w gony z furazem i niezliczoną moc wszelkiego innego wojskowego dobytku.

Teraz już powiedział, w naszych polskich rękach jest Jasień, Świsłocz, Hłusk, Parycz. Rohaczew i zdaje się już Żłobin. Aż do Dniepru będziemy zabierać, bo na nim granica Polski stanie.

— I wytrzymacie wszystkim bolszewikom, jakie z Rosji na was mogą nastąpić i wszystkim wsiom ruskim uzbrojonym? — pytam.

— Wytrzymamy, odpowiada. Dziadzio jeszcze nie wie jak legiony odważne i sprytne do bitwy. Na jednego naszego trzeba dziesięć bolszewików. A nas jest tutaj na Białorusi korpus cały 40,000. A dwa korpusy jest na Ukrainie, które też ku nam ciągną. Potem będziem, mówi, jeszcze tutejszych polskich ludzi mobilizować. Rozbijemy bolszewików, to i mówić nie ma co.

To mi mniej więcej opowiedział — zakończył opowiadanie Piotrowski — i radził abyśmy zwołali jak najprędzej “schod”, wybrali spośród siebie trzech, albo czterech najważniejszych ludzi i wysłali ich do Pana Generała Muśnickiego, aby mu pokłonili się i podziękowali za ustanowienie na naszej ziemi Polski. Więc radźcie.

— Radźcie panowie i bracia — powtórzył Zdanowicz.

— Co do fundacji Panu Bogu — zabrał głos Kantyczka — to uważam, że nie może być lepszej pamiątki, niż gdy wybudujem w Wończy murowany kościół. Gdy tylko ustatkuje się trochę w kraju, zwołamy wraz z zawończańskimi ludźmi schod i rozpoczniemy. Teraz to już chyba dostaniemy zezwolenie.

Gromada zaaprobowała projekt jednogłośnie.

— No, a teraz wybierajcie delegatów — naglił Piotrowski. — Niechaj jedzie dziadzio Zdanowicz, Huszcza i jeszcze ktokolwiek ze starszych — zaproponował. — Mówiąc “ktokolwiek” miał na myśli własną osobę, lecz podawać samego siebie nie wypadało.

— Jam nie zdrów jeszcze, nie pojedę, — odmówił Zdanowicz. — Proponuję by jechał Mieczyk, Roman i Ambrozy.

— Jeżeli pojedzie Roman, to ja nie pojedę — odmówił z kolei Kantyczka. — Póki żyję z tym heretykiem na jednym wozie nie usiądę. Wybierzcie sobie kogo innego.

— Słuchajcie bracia! — zabrał głos Winiarski. — Po mojemu to trzeba posłać dwóch starszych i dwóch młodych. Niechaj jadą Mieczyk z Ambrozem i Paweł z Jasiem, chłopcy wcale niegłupie.

W gronie chłopców zerwała się burza protestów.

— Nie chcemy Jasia! On na legionów wymyśla! On za bolszewików ciągnął! Nie chcemy bolszewika!...

— Da choćby wy mię na kolanach prosili, to ja kłaniać się “białym” nie pójdę! — odparł Jaś. — A za bolszewików ciągnąłem i ciągnąć będę, do robotycznej klasy należę! — Powiedział to, wywołując w gromadzie oburzenie i wyszedł trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Po długich namiętnych targach ustalili, że pojedą: Mieczyk, Kantyczka, Sciepura i Paweł.

## VII

### AGITATOR

Nazajutrz późnym rankiem odjechali. Wybrali się szykownie jak do kościoła. Uprzeż na konia włożyli rzemienną, ozdobną, sanki załadowali dywanem, sami wdziali się w futra, lub futerka. W siano wsunęli na wszelki wypadek siekiery i trzy karabinki. Pojechali na zimnik.

Dumni byli z poselstwa, a zwłaszcza Piotrowski, który uchodził za przewodniczącego. Pykał faję i układał w myśli przemówienie do Pana Generała. Ściepiuro gwarzył z Kantyczką.

— Jak to mówią swacie, z ruska: u Pana Boha wszystkiego mnoha — mówił Kantyczka. — Ot na przykład wczoraj byliśmy w strachu i żalobie — dziś już jesteśmy bezpieczni, weseli i w cześci.

— I to jeszcze w jakiej cześci! — podchwycił Ściepiuro. — Przecież do najgłówniejszego generała polskiego jedziem. Taki nawet i królem w przyszłości może być obrany. Ważna cześć, nie ma co.

— Uczynił Bóg wreszcie sprawiedliwość. — Za naśmieszki nad naszymi ludźmi, nad naszą wiarą i mową, za urąganie Bogu, ich ukarał i upokorzył — nam prawo i honor dał. Teraz bodaj im samym przyjdzie po polsku się uczyć.

— Czy uważasz, że teraz w kancelariach po polsku zaprowadzą?

— Ja myślę, że tak.

— Tak, po polsku — wmieszał się do rozmowy Piotrowski. — Po polsku będą pisali w kancelariach, polski będzie wójt, uradnik, przystaw. Za Rosji było po rusku, a za Polski po polsku. Ale u nas żadnego przyciśnienia nie będzie. Wolność będzie dla ruskich, polskich, żydów, tatarów i wszystkich innych nacji. W mowie i modlitwie. — Tak będzie. — Mówił z takim przekonaniem, jakby już widział zredagowaną konstytucję.

— Kto ci to mówi? Mój Wiktorek może?

— Mówił Wiktor i mówił też swego czasu Nieśmiertelny. Dałby tylko Bóg wyswobodzić Polskę — całą, taką, jak jest na świecie — a sprawiedliwość w niej będzie dla wszystkich ludzi.

— Da wyswobodzi się. Gdy już pierwsza gubernia będzie wolna to z resztą łatwo pójdzie.

— Musimy dohrze pomagać wszyscy — rzekł Ściepiuro.

— Wszyscy i zc wszystkich sił — dodał Piotrowski. — Sianem, zbożem, bydłem, końmi i sami. W latach już jestem, jednak gdy trzeba będzie, pójdę.

Na godzinę przed zachodem słońca, znaleźli się przy Truchowiczach. Droga biegła wygonem, ale czas już był na popasę, więc zawrócili na wieś.

Zbliżywszy się do kołowrotu, ujrzeni w głębi wsi na ulicy tłum. W środku stał na podwyższeniu orator i czegoś namiętnie dowodził.

Zatrzymali się.

— Wracajmy bracia na wygon — zaproponował Kantyczka.

— A może to ktoś z legionów ludzi naucza — rzekł Mieczyk. — Warto zobaczyć. Daj no mi chłopcze lejce — zwrócił się do Pawła — i zleż poszukaj przy płocie drążków.

Paweł zeskoczył, wyłamał w płocie trzy smagłe wierzchy żerdzi długości mniej więcej po dwa arszyny, włożył je na sanki pod dywan i ruszyli stopa, — wsuchując się w krzyki oratora. Za chwilę mogli słyszeć słowa.

... Towarzyszcze krestianie! — mówił po rusku. — Czyż wy na tyle duraki, aby nie mogli domyśleć się, co was pod rządami panów czeka?! Czyż wam nie opowiadali starzy ludzie w jakim niewolnictwie żyli krestianie za czasów Polszczy! Czyż wy nie słyszeli, że panowie, nie chcą

dopuszczyć do zniesienia pańszczyzny, miałeż podejmowali?! Palszcza — to pańszczyzna! Legiony o pańszczyznę walczą...

— Oruże chcemy! — zawołał tłum. — Oruże nam dajcie, to my z nimi prędko rozprawimy się!...

— Toż wy macie oruże!

— Ale nie wszyscy! — odpowiedział tłum. — Ani trzecia część nas nie ma karabinów! Kulomiotów nie mamy! Dajcie kulomioty!

— Cóż ja wam go z kolana wyłamie?! Na paniczów nie trzeba kulomiotów! Oni od wideł i dragów waszych pierzchną...

Sanie zrównały się z tłumem. Jednostki, stojące z kraju luzem, obróciły się, obrzucając pasażerów w futrach badawczym i nieprzyjaznym spojrzaniem.

— Poganiajmy prędeż, bo gotowi przyczepić się do nas — szepnął Kantyczka Piotrowskiemu na ucho, szturchnąwszy go łokciem.

Ale Piotrowski kazał Pawłowi zatrzymać się.

Agitator tymczasem judził chłopów dalej.

... Nie dajcie się ujarzmić panom, bo potem gorzko będziecie żałować! Oni za rabunek lasów, za grabież dworów swoich, ostatnie ziarno wam z świrnow zabiorą, ostatnią chudobę z chlewów wyprowadzą, a was samych w niewolnictwo pańszczyźniane wezmą! Oni was do pługa zaprzęgać i sprzedawać na rynku, jak, bydło będą, oni żony wasze i córki kochankami swymi uczynią, oni...

— Breszesz, moszenik!! — huknął Mieczyk, powstawszy na nogi. — Nie będzie pańszczyzny! Polska da większą ludziom swobodę, niż wy, pogany okrutne! —

— A ty kto taki?! — krzyknął agitator. — Burzuj! Rebiata, brać burzujów! Brać lachów!...

Tłum rzucił się z rykiem ku saniom, ale nim dopadł, koń już wziął pęd do biegu, a w rękach smolarskich "burzujów" znalazły się drążki. Prali napastników po rękach, po ramionach, po głowach. Paweł również: raz walił puha po koniu, drugi raz po chłopach. Odskakiwały od sań łatry jak by procą odrzucani. Wnet znaleźli się w tyle.

— Oruże brać! Dawać oruże i strzelać w nich będziemy — zawołano w tłumie.

— Na zew o strzelaniu, smolarzanie dobyli własne karabiny i pokazali je chłopom.

Umknęli szczęśliwie.

Jechali, omijając wsie bez popaski, aż do wsi Wieliczkowo, położonej przy szosie niedaleko Bobrujska i w niej zanocowali.

Nazajutrz wstali i po dwóch godzinach wolnej jazdy znaleźli się w tymczasowej stolicy Polski, pierwszy raz po roku 1831, naprawdę niepodległej. Na Jej widok smolarzom ze wzruszenia łzy w oczach stawały i brakło w piersiach tchu. — W koło straże polskie, polskie miłe sercu słowa, strój, twarze, polski łopot chorągwi, szum lasu na wałach, polskich gwizd parowozów i zapachów powietrza.

Co chwilę spotykali wojskowych. A podobieństwa już żadnego do tych pierwszych legionistów, widzianych w Bobrujsku jesienią roku 1915 nie było. Wówczas legionistę trudno było odróżnić od zwykłego ruskiego żołdata, — teraz wystrojeni we własne polskie uniformy, lśnili się

w kolorach ochronnego sukna i amarantów, mienili barwami lampasów, opasek, chroągiewek i wszelakich odznaczeń.

Jechali stępa od mostu, aż na kwaterę, aby móc nalubować się pięknym wojskiem i nacieszyć porządkiem w mieście.

## VIII

### U GENERAŁA DOWBÓR-MUŚNICKIEGO

Chmara, dowiedziawszy się, że smolarzanie przyjechali w poselstwie do Generała Dowbór-Muśnickiego, ofiarował się im służyć za przewodnika.

Odprzęgli konia, zdjęli futra, uczesali włosy i poszli powoli, słuchając w drodze opowiadania Chmary o wydarzeniach ostatnich dni w mieście, których on był naocznym świadkiem.

Dowództwo Korpusu mieściło się w jednym z budynków twierdzy. Minawszy bramę, przeszli parę kwartałów zygakiem i byli u mety.

— Oto w tamtym domu Generał Muśnicki mieszka — oznajmił Chmara, wskazując ręką na przyzwoitą kamienicę z powiewającą u frontu chorągwią.

Smolarzanie zwolnili kroku, wpatrując się we wskazane miejsce.

— U drzwi stało dwóch wartowników w lampasach, a na trotuarze przed nimi grono oficerów.

— Może to on tam stoi akraz? — zapytał Kantyczka.

— Może i stoi; z daleka poznać nie mogę — odrzekł Chmara.

— Idźcie sobie wy naprzód — zwrócił się Kantyczka do Ściepury i Piotrowskiego, którzy znajdowali się w tym czasie za nim.

— Idź Mieczysławie naprzód — rzekł Ściepuro. — Ty masz podpisy, więc liczysz się za pierwszego.

— Już was strach bierze? — zadrwił Mieczyk. — Jeżeli mi nie zafundujecie, to powiem o tym naszym babom, wróciwszy do domu.

Poszedł naprzód, ale widać było, że wielkiej odwagi nie miał, bowiem jął chrząkać ustawicznie i coraz zwalniać kroku.

Nie więcej niż czterdzieści kroków dzieliło ich od oficerów, gdy z tyłu zagrzmiały kopyta. — Obejrzel się. — Pluton ułanów mknął.

— To on, to on! Ten na przedzie, to Dowbór Muśnicki — poznał Chmara.

Smolarzanie zerwali czapki. Oficerowie wyprężyli się.

— Wyż pamiętajcie, aby robili to, co ja — szepnął Mieczyk kolegom.

Gdy orszak stanął, jeden z oficerów podskoczył do generalskiego konia i pochwyił go za uzdę. Generał zsiadł, pozdrowił oficerów i skierował się ku wejściu.

Słusznym był mężczyzną: wzrostu Piotrowskiego, równy, płeczysty.

Smolarzanie zagrozdzi mu drogę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, — powiedzieli i pokłonili się nisko.

— Dzień dobry panom. Panowie do mnie? — zapytał gen. uprzejmie.

— Tak jest, Wielmożny Panie Generale, — odrzekł Piotrowski. — Ludzie polskie z zaścianku Smolarni...

— Proszę ze mną do środka — przerwał. — Proszę do środka.

Weszli do drugiego pokoju, gdzie znaleźli kilka osób wojskowych i kilka cywilnych, odzianych arystokratycznie.

Generał przyjął krótki meldunek od jednego z wojskowych, następnie porozmawiał chwilę z osobami cywilnymi i w końcu zwrócił się do smolarzan.

— Czym mogę panom służyć? — zapytał.

— Wielmożny Panie Generale — zaczął Mieczyk, wysunąwszy się naprzód. — Ludzie polskie z zaścianku Smolarni, na ziemi własnej i okolic na arendzie, gminy wończańskiej, dowiedziawszy się przedwczoraj, że Wielmożny Pan Generał ze swoim "gierojskim" wojskiem wypędził bolszewików z Bobrujska i zaczął w nim Polskę, zwołali natychmiast "schoď", rozpisali się wszyscy na papierze i wysłali nas pokłonić się Wielmożnemu Panu Generałowi, podziękować za taki uczynek dla narodu naszego i poprosić, aby nas wziął do pomocy, do dalszej z tymi bosiakami walki.

Tu przykląkł na jedno kolano, co też uczynili wszyscy towarzysze, nie wyłączać Chmary.

— Wielmożny Panie Generale! — ciągnął. — Siano nasze, owies nasz, bydło i konie nasze, chłopcy nasze, które w domu i my sami, któren tylko do czego zdolny, oddajemy się pod Twoje całkowite rozporządzenie. Rządź nami jak własnymi synami, a dobytkiem naszym, jak własnym dobytkiem. —

Wstał i wręczył arkusz papieru pokreślony podpisami.

Generał uściśnął dłoń posłom, podziękował za hołd, uznanie i gotowość do ofiar dla Ojczyzny i w końcu jał wypytywać o ich okolice.

— No i cóż tam u panów słychać? W Wończy zapewne jeszcze są bolszewicy?

— Jak nie puciekali, to jeszcze są — odrzekł Piotrowski.

— A nie dokuczano wam przez te czasy?

— Czemu nie, Wielmożny Generale. — Dokuczali. Ale jednego razu i my gadom dokuczali porządnie.

I zaczął opowiadać o swawoli zanarchizowanej ludności, o namnożeniu się band, o okrucieństwach ich nad Polakami i o staczanych z napastnikami walkach. Gdy przyszedł do egzekucji Kurtopalca i golenia jego współnikom głów, to zarówno generał, jak i obecni przy nim oficerowie nie powstrzymali się od śmiechu.

— Toście panowie dawali sobie z nimi radę — rzekł Dowbór-Muśnicki. — Dawaliśmy. Gdyby tak wszyscy nasi byli w domu, to byśmy ich z samego początku w kamysz zagnali; ale najważniejsze nasze chłopcy w legionach pod Wielmożnym Panem Generałem służy, — pochwalili się.

— Wasi ludzie są u nas w legionach?

— Nie chwałac się, jedenaście chłopców z naszego smolarskiego rejonu służy. Trzech poszło z samego początku, jesienią r. 1915, a reszta przeniosła się z ruskich pułków, gdy już cara zrzucili.

— Aż tyle ludzi mamy z waszej okolicy?! To panowie mogą być wzorem patriotyzmu dla całej nadberezynskiej ziemi.

— Proszę panów — wmieszał się do rozmowy jeden z oficerów. — A jakie wrażenie wywarła wiadomość, o objęciu przez nas władzy w tamtejszych wsiach ruskich?

— Co takiego? — nie rozumiałem słów.

— Co mówią o zajęciu przez nas Bobrujska we wsiach ruskich? — powtórzył generał.

— Co mówią? — Koło nas to chyba mało jeszcze o tym wiedzą. Ale oto my jadąc wczoraj przez Truchowicze, widzieliśmy jak, szpieg bolszewicki straszył ludzi, że Polska będzie zaprowadzać pańszczyznę i judził, aby brali strzelby, widły, cepy i szli bić legionów. Uważam, że to kłamstwo, co on mówił o pańszczyźnie?

— Ma się rozumieć. Wierutne kłamstwo. Wszędzie tak podburzają przeciwko nam chłopów. Hasłem naszym jest: wolność, równość i braterstwo.

— Tak i trzeba, Wielmożny Panie Generale — odezwał się pierwszy raz Kantyczka. — To bardzo mądrze Pan Generał wymyślił. — Trzeba, żeby wszyscy ludzie w Polsce zamieszkali w Trójcę Świętą wierzący, a nawet i w innego Boga Ojca — jak tym przykładem Żydzi, albo Tatarzy, mogli bezpiecznie i swobodnie żyć, pracować i Pana Boga chwalić po wszystkie wieki wieków, amen.

Ściepuro nastąpił Kantyczce na nogę, aby więcej się nie wtrącał do rozmowy.

— No, my już nie będziemy więcej Wielmożnego Pana Generała turbować swoją gadaniną, — rzekł Piotrowski już. — Prosimy tylko powiedzieć, co mamy robić, jak trzeba wojsku polskiemu pomagać?

— Za parę dni zjawią się w Wończy legionści — odrzekł generał po chwili namysłu. — Panowie z nimi porozumieją się, oni panów o wszystkim poinformują. A tymczasem proszę zawieźć ode mnie wszystkim rodakom z waszych okolic pozdrowienie, a ludziom, którzy źle o nas myślą powiedzieć, że gdy nam nie będą zła czynić, nikomu włos z głowy nie spadnie.

## IX

### MĘSTWA NIE UBYŁO

Rozproszony po bezbrzeżnych przestrzeniach Rosji, Pierwszy Korpus Polski koncentrował się i Polska Dowborowa, zapoczątkowana w Bobrujsku, rosła, jaśniała coraz większym blaskiem chwały rycerskiej. Ciągnęły pułki, bataliony i kompanie spod Mińska, z Witebska, Smoleńska, znad Wołgi i z najdalszych kresów Ukrainy. Przebijały się poprzez zastępy wojska bolszewickiego, poprzez uzbrojone wsie, jakoby statki małe po wzburzonym oceanie, przemykając się między groźnymi batwanami przesiłgując po ich grzbietach, albo rozbijając je swymi piersiami. Szły nieustraszone, nieuchwytnie. Tam gdzie przeszły, sława o nich pozostała, tam gdzie się zatrzymały — nastawały: spokój, bezpieczeństwo, radość. Zdobyte w 300 ludzi Mińska, boje pod Osipowiczami, Rohaczewem i Żłobinem, przemarsz 3 Dywizji z Jelni, wędrówka szwadronu rotmistrza

Plisowskiego z Odessy — dowiodły wrogom i przyjaciołom, że męstwa i dzielności bojowej ród lechicki nie zatracił.

Po Bobrujsku i Rogaczewie przechodziły w polskie ręce, Osipowicze, Żibin, Mińsk (na krótko jednak), Mohilew, aż został objęty cały trójkąt między Słuckiem, Szklowem i Rzeczą. Wypierano bolszewików, rozbijano bandy, ustanowiono rząd zapewniający ludziom bezpieczeństwo i swobodę pracy.

## X

### WIECZORKI

U Sokołowskich zeszły się wieczorki. Już to szósty raz po nastaniu rządów polskich zbierała się na nie smolarska młodzież. Tym razem, miały charakter czysto rozrywkowy, gdyż akurat sobótką świętą przypadała. Dziewczęta, obsiadłszy rzędem dwa łózka i koniec ławy, nuciły pieśni polskie i obgadywały znajomych chłopców, chłopcy zaś, jedni grali za stołem w karty, inni stabuniwszy się pośrodku izby, rozmawiali na temat werbunku do wojska polskiego, a niektórzy — pewniejsi przysiadali się do dziewcząt i przekomarzali z nimi. Przy stole paliła się duża lampa, na kominku buchały jasnym płomieniem smolne, wysuszone na piecu drzewka. W chacie było widno, gwaro i bardzo wesoło.

Ognia na kominku strzegł stary Sokołowski. Przewracał kawałki opalone, podkładał świeże, pykał faję i wodził z lubością oczyma po długim szeregu dziewcząt. Nahodowało się tych krasek przez półczwarta roku wojny, niczym poziomek, ukrytych przed ludzkim okiem gdzieś w nieprzystępnych złomach. Młode podoganiały starsze. Po dwie i po trzy uzbierało się w niektórych chatach. A wszystkie urodziwe. Skraju oto była Zośka Ładanówna, śliczna szatynka, już po dwudziestu. Za nią siedziały Hanka i Małgorzata Piotrowszczanki, — starsze Mieczkowe córki — gładkie jak łanie, rumiane, urodziwe. Hanka uchodziła za siłaczkę pośród wszystkich smolarskich dziewcząt. Dalej siedziały: Helka z Wilcią Oleńszczanki, przezywane za piskliwe głosiki, Szczebiotkami — drobne, ale zwieźle jak ogóreczki, na twarzyczkach zgrabne, sympatyczne; Polka Winiarska — o bieluchnej, delikatnej cerze i o długiej łabędziej szyi, niczym hrabianka; Kaśka Ściepurzanka — rosta, powabnie składna, twarz jak malinka; Karusia, jego córka, pierwsza krasawica w Smolarni; Klara Tryznianka, prześliczna blondynka o anielskim spojrzeniu; Maryla, trzecia Mieczkowska córka i Bronka młodsza Ładanówna w niczym nie ustępująca starszym siostróm i wiele innych, że i wyliczyć trudno.

Ilekróć przeszedł stary oczyma, zawsze spoczął na Karusi, doznając błęgiego uczucia. Najurodziwszą była. Gadały o tym baby na całym zaścianku i sam to stwierdził. Wzrost miała wyżej średniego, stan smukły, kształtny, łydki i ręce jak utoczone, twarzyczka proporcjonalnie pociągła, lica gładkie z dołkami, brew ciemną, spojrzenie łagodne, a tkliwe, ruchy żywe, harmonijne. Liczni wielbiciele upodobniali ją do rusałki z ruskiego kalendarza i twierdzili, że drugą taką można było tylko na Białej Procesji

w Bobrujsku znaleźć. kiedy to zbierały się najurodziwsze dziewczęta, aż z kilku dekanatów.

— A nie rozdzielali was, nie mierzyli? — badał Karapuz Olesia Piotrowskiego który wraz z Marianem Ściepurzakiem, Pawłem Tryzną i Czesławem Milutą dopiero wrócili z Bobrujska.

— Nie. Mówiłem ci już, że tylko zapisali kto my, skąd, jakie i powiedzieli, że nas listem zawołają. Już wielu chłopców tak, jak my zapisało się, ale na komisję jeszcze żaden nie stawał.

— A prędko będą brać na komisję?

— Nic nie wiadomo jeszcze, teraz dopiero radzą nad tym. Słuchy o tym chodzą różne: że będą brać zaraz po zapustach, że koło Wielkanocy, a Chmara słyszał, że wcale nie będą brać ochotników.

— Wcale nie będą brać?! — wykrzyknęło kilku młodzieńców tonem zawodu.

— Mówią, że dziekan bobrujski i kilku ważniejszych panów doradzają Panu Muśnickiemu, ażeby przeprowadził mobilizację. Radzą, ażeby zmobilizował wszystkich Polaków katolików od lat 18 do 45 i prawosławnych też, którzy z polskich famillii wywodzą się.

— Po mojemu, to bardzo mądrze robią, jeżeli wszystkich zmobilizują — zauważył Stach — jednak zdaje mi się, że to wcale nie przeszkadza przyjmowaniu ochotników.

— Toż i my tak po drodze między sobą mówili.

— Nie, dietki, lepiej wszystkim iść zmobilizowanymi — wmieszał się do rozmowy stary Sokołowski. — Tak czy owak, służyć będziecie wiernie i tą samą korzyść Polsce przyniesiecie, jednak wziętym przymusowo, w razie broń Boże czego, jest łatwe wytłumaczenie.

— Jak to, w razie broń Boże czego?! — oburzył się Stach. — Tedy dziadzio nie wierzy, że utrzymamy się.

— Niechaj Pan Bóg zachowa, aby nas legiony mieli opuścić, ale zawsze trzeba pamiętać, że bolszewików ćma jest niezliczona i też wiadomo, co o nas Niemcy myślą. Strzeżonych Pan Bóg strzeże. Patrzącie oto, tylko paszę legionom do Wońcy po swojej ochocie zawieźliśmy i to już słyszałem, że chłopci z Nitów mruczą nam grożąc.

Rozmowa zaczęta przez grono chłopców, przechodziła powoli w ogólną.

— Gdy drugi raz powiożą siano legionom, to my znowu z tobą za chłopców pojedziem — rzekła Helka Oleńskich do Karusi.

— Chce ci się zobaczyć tego kapralika z faworytami?

Helka przyłożyła dłoń do piersi i westchnęła.

— Wiesz co? — Dawaj namówimy chłopców, ażeby zaprowadzili na zapusty wieczorynkę i zaprosili z kilkunastu legionistów.

— Chłopcy! — krzyknęła. — Urządźcie na zapusty wieczorynkę i zaprosicie na nią z Wońcy żołnierzyków.

— Czemu nie, możemy urządzić — odrzekł Oleś. — Trochę tylko źle, że akurat na zapusty przypada wesele Haliny Anichowskiej w Jamach; dużo młodzieży tam pociągnie.

— Nie, zdaje się nie będzie tego wesela, burzy się — oznajmiła Kasia. — Wczoraj przyszedł Kartawy na urlop i odmówił Halinę.

— Więc ona dla Kartawego zamierza zrywać z Juskiewiczem?! — zdumiała się dziewczęta.

— Ale ten zawsze legionista. Powiadają, że tak wylizał się, tak wyładniał w wojsku, że wszystkich smolarskich chłopców może zakasować.

— Da już jeden taki zakasował — obraził się Romek.

— Posłaliśmy do niego Adasia, — aby się wypytał o naszego Norbę — ciągnęła Kaśka. — Wnet ma wrócić i wtedy całej prawdy się dowiemy.

— Jeżeli wesela nie będzie, tedy na zapusty taką wieczorynkę urządzim, ażeby o niej aż w Bobrujsku słyhać było — rzekł Oleś.

— Ażeby potem długie i dobrze pamiętało się o domu — dodał Stach.

— Tobie przecież nie ma jeszcze całych 18 lat, ciebie nie wezmą — zauważył Karapuz.

— Nie wezmą do szeregu, to inną robotę wojskową sobie znajdę; w domu siedzieć nie będę.

— W kuchni zawsze trzeba chłopca do skrobania kartofli, więc możesz się przydać.

— Znajdę oprócz kuchni zajęcie. Będę namawiał i przeprowadzał chłopców do wojska polskiego tam, gdzie nie będzie mobilizacji. Za Dniepr pójdę.

— Pod bolszewiki?

— A cóż mnie bolszewicy. Byłem ja już, koleżko, na koniu, pod koniem, więziony i bity.

— Jak chcesz, to ja z tobą też pójdę.

— I owszem, — dwom weselej będzie. Trzeba jednak wprzód dokładnie się dowiedzieć o tej mobilizacji i rozpytać, może już przy Korpusie są takie osoby, które chodzą tak, jak ja zamierzam, po kraju do wojska namawiając, ażeby nie włączyć się po tym samym miejscu dwom partiom. Trzeba pójść i porozumieć się z Kazikiem; — on musi o wszystkim wiedzieć.

— A Kazik wie, nie ma co.

— Może jeszcze nawet przed zapustami do niego wyruszę.

Niebawem wrócił Adaś, potwierdzając wiadomość o przybyciu Kartawego na urlop i o zerwaniu Haliny z Juszkiewiczem.

— No i jakżeż on wygląda? Co on mówi? Może co nowego przyniósł? — zasypano chłopca pytaniami.

— Tak wielką radość przyniósł, że was wszystkich z łóżek i z ław pozrywa, — zapowiedział Wicik, któremu udało się spotkać Adasia na ulicy i wybadać nim wszedł do izby.

— Cóż takiego?! Mówcie prędko!

— Kościk leśniczonek na oficera polskiego wyszedł. Słyszycie?!

Izba zagrzmiała wyrazami zdziwienia i pochwały.

— Na oficera polskiego?!... Kościk?!... To on w legionach był?!

Leśniczonek?!... Jakżeż to?... Ot wam i Kościk! Patrzajcie go!...

Hańka, Karusia i Wikcia, która też swego czasu do Kościka paliła się, zaczęły wdychać i rumieniąc spoglądać po sobie.

— Ja i wiedziałem, że on wysoko się wybije, — rzekł Karapuz.

— Taka w nim siła, taka śmiałość! Któżby z nas wtedy odważył się porwać na tego undra, ha?

— Silny, śmiały. i mądry, jak rzadko który — dodał Oleś. Wart oficera. —

— Nie słuchajcie Wicika, on wam bresze, — zaprzeczył Adaś. — Wicik zaniósł się śmiechem.

— Ach, jakież wy proroki! — Dobił się oficera, ale jakiego?

— W bolszewiki przeszedł! Słyszycie?!

— Tak, Kartawy mówił, że już rok jak Kościk bolszewikom poszedł służyć — potwierdził Adaś.

Z kolei zerwały się krzyki potępienia i przekleństwa.

— Zdrajca parszywy! Żeby jego kula polska nie minęła! Rozbójnik! Drugą płamę na Smolarnię ściągnął! Hańba mu. Katorżnik! Szubrawiec!

— Żeby mi kto przed trzema laty prorokował — mówił Sokołowski — że ten chłopiec kiedyś wiary polskiej odstąpi, to bym mu wtedy w oczy plunął. Toż on baldachim nad dziekanem parę lat nosił.

— No i cóż z tego, że nosił — rzekł Otton. — Jaś również chorągiew nosił, a bolszewikiem został.

— Znaczący się naszej Bylinie nie ręczy z narzeczonymi: jednemu żonka się znalazła, a drugi na bolszewiki wyszedł, — zadrwił Romek.

— Taki on mój był narzeczony, akraz jak i ty — odparła.

— Jezus Maria! — zawołała Kaśka. — Żeby taki zdrajca ozłocony był, żeby mię na kolanach błagał, nie zgodziłabym się jego być.

Stach stanął w obronie swego przyjaciela.

— Nie może być, żeby Kościk to uczynił. W jakim celu on miał przechodzić na stronę wroga? Z jakiego powodu? Dlaczego?

— Z bardzo prostego powodu — jął tłumaczyć Wicik. — Ot, przeczytał sobie komunistyczną propagandę, dowiedział się, że biednym ludziom ziemie mają dawać, pomyślał, że jest parobkiem pańskim, gołysem, że będąc w legionach za innych dobro służy — i poszedł.

— Albo już komunizmu od Jasia nabrałeś się, albo durniem skończonym jesteś! — skarcił Otton. — Alboż Polska biednym ludziom ziemi nie da?! Czyż ona takich co za nią wojują nie nagrodzi?! Czyż Kościk tego nie rozumie?! — Jeżeli przeszedł do wroga, to z jakiejś innej przyczyny.

Adaś odprowadził Stacha w ką i pochyliwszy się mu do ucha, rzekł szcphem.

— Wiesz czemu Kościk na zatracenie się puścił? — Ktoś mu doniósł, że Karusia w Anichowskim się miłuje.

Wielu chłopców zaczęło domagać się wyjawienia sekretau, ale akurat wpadł z podwórza wyrostek zwiastując, że swaty do kogoś jadą.

— Od Uberezia dzwonki dzwonia!... Jejże Bohu słyhać wyraźnie! Już blisko kołowrotu! — zawrzęszczał z całej mocy.

Parę młodszych chłopców i kilka podlotków, wybiegło na dziedziniec, a reszta przeszła do świetlicy, gapiąc się przez okno.

— A do kogóż to?... Może do Helki? Może do Karusi?... Może wcale nie do Smolarni — na chutor? — zgadywali.

Już słyhać być dzwonki z izby. Nie przeszła minuta, gdy swatowie znaleźli się naprzeciwko okien. — Koń był duży, gładki, wózek malowany,

szykowny, pasażerowie obaj w futrach. Minęli bramę Sokołowskich, Ładanów i zarzymali się przy bramie Piotrowskiego.

— Do Mieczyka!... Do Hańki!... Do ciebie, Hańko! — zawołano.  
— Któs ważny — w futrach. Zapewne gdzieś z folwarku. Szczęście tobie Hańko! —

Winszowali, radzili, zgadywali, ale Hańka nie objawiała żadnej radości ze swatów. Dobrze wiedziała, iż nie ten przyjechał, którego pragnęła.

— To nie do mnie, — do was którejs — rzekła do siostr. Wyprawiła je do domu, a sama pozostała, pragnąc czegoś konkretnego dowiedzieć się o Kościku.

Prawie wszyscy wrócili na poprzednie miejsca przed kominek, kontynuując wieczorki. Jednak do poprzedniego tematu nikt już nie wracał. Wciąż zgadywali pochodzenie swatów i udzielali rad. Cieszyła wszystkich możliwość wielkiej zabawy w Smolarni.

Niebawem zjawił się parobczak Piotrowskiego.

— Pani Hańko — rzekł. — Hospodar kazali iść żywo do domu.

— Dobrze, wracaj i powiedz mu, że wnet przyjdę. — Poczekała, aż chłopiec się oddali, następnie zwróciła się do Stacha.

— Panie Stanisławie, odprowadź mię.

— Jeszcze czego! — Ażeby swatowie głowę rozbili, myśląc, że jestem pani narzeczonym?

— Bez żartów. Bardzo proszę.

— Domyślając się o co jej chodzi, zgodził się.

Gdy tylko wyszli na podwórko, rzekła doń.

— Powiedz mi Staszku szczerze, prawda to, że Kościk przeszedł w bolszewiki?

— Łapanosy tak twierdzi, słyszałaś przecież sama.

— A przez co? Co ci on szeptał?

— Mówił, że jakoby z żalu po Karusi. Widać dobrze nałgał mu.

— Przez nią?! — Toż on głupi. Daleko on gdzieś?

— Nie wiem. Pytaj o to Kartawego, albo samych bolszewików. Od roku, ani do mnie, ani do rodziców nie pisał.

— Ale ty gdybyś zechciał, mógłbyś odnaleźć go.

— Nie biorę się. Tylko to chciałaś wiedzieć?

— Tak. Żal mi go.

— Mnie może więcej żal tego durnia, ale co poradzę. Idźże do swatów, bo zaraz drugi posłaniec przyjdzie.

## XI

### SWATY

— Panie Piotrowski! O, panie Piotrowski! — zawołał bulgotliwy głos z sań.

— Jestem! — odezwał się Mieczyk, który dosłyszawszy przy bramie dzwonienie, wyszedł był na ganek.

— Otwórzcie wrota. Pozwólcie pogrzać się.

— Zajeżdżajcie, grzejdźcie się, — odrzekł.

— Podszedł ku wrotom, odwalił je i trzymając wierzeje, przypatrywał się pilnie swatom, nie mogąc poznać.

— Jedźcie prosto pod powietkę hen — wskazał ręką w głąb dziedzińca. Zamknął wrota i sam podążył za saniami.

— No, i sztoż, Mieczysławie, ni poznajesz nas? — zagadnął ten sam bulgotliwy głos, już pod powietką.

— Czy nie Łopata będzie?

— Tak, toj samy. A heta wot Hipolit Wędlński mój chrześnik — wskazał na towarzysza.

— Marcinów syn, z Muraszek?

— Tak, toj samy.

Wysiedli z sanek. Łopata był wzrostu niżej średniego, gruby i rudawego zarostu. Wędlński zaś przedstawiał prawdziwego wielkoluda: wzrostem przekraczał o całą głowę Piotrowskiego, plecy miał szersze niż arszyn, a nogi były jak kloce do zrzebu.

— Toż niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków. Amen.

Łopata z Piotrowskim cmoknęli się w usta, a Wędlński ucałował Mieczyka w rękę.

— Ależ słusznego chrześniaczka wyhodowałeś! — pochwalił, mierząc oczyma wielkoluda. — Ile latek ma?

— Latek? ... A wot na Jurie będzie 35. Jak dziś pomniu, gdy malańkaha w połkach kścić wozilem. Po Druci wtedy akraz płyty muzyki hnali. Powodki byli tej wiosny, — nidaj Boh!

— Zdaje się to niedawno było, a wot chłopiec już jak byk wyrósł. Teraz oto, wożę go po świecie i cieluszki jemu szukam. Do twojej że Hańki przywożłem. Czas już chłopca żenić.

— Czas już, czas, nie ma co, — potwierdził Mieczyk.

Odpręgli konia, uwiązali do sanek, nakryli derką, podrzucili siana i udali się do domu, gdzie już znaleźli obie młodsze panny.

— Jakże ty hodujesz się, Hanieczko, jak się masz? — zawołał Łopata pod adresem Maryli siłąc się na jak najlaskawszy ton.

— Nie, to najmłodsza, Marylka — sprostował rodzic.

— A, prawda, to tamta Hańka — wskazał z kolei na Małgorzatę. — A jaż i ni poznaw.

— I tym razem też nie poznałeś; — to Małgorzatka.

— To Małgorzatka?! Wot ja ... Znaczytca zaślepienie maju. A hdzież Hańka?

— Nie bój się, zaraz będzie i tamta. —

Zapoznał dziewczęta ze swatami, posłał po Hańkę i wprowadził gości do świetlicy, bawiąc ich opowiadaniem o przeżytej swawoli w kraju. W kilkanaście minut, zjawiła się Hańka.

— Tatko mię wołał? — rzekła, dygnawszy składnie obcym.

— Tak, dziecko. Masz oto swaty: to pan Łopata z Kruczków, mój stary znajomy, swat, a to pan Wędlński z Muraszek, młody.

— Wot hdzie Hańka nasza! Wot hdzie jana! — zajęczał Łopata, podchodząc na spotkanie. — A jakajaz pieknaja wyhadawała się! Jakajaz rosłaja! Wot dziewczyna!

— Dziękuję panu za pochwałę, — rzekła sucho i podawszy Łopacie dłoń, spojrziała badawczo na młodego. — Raziła nieco olbrzymia budowa, ale brzydki nie był; czoło miał wysokie, mądre, brew krzaczasta, oczy siwe, łagodne, nos i usta w miarę. Nie widziała go dotąd.

— Hipolka! — mówił Łopata, zwracając się do chrześniaka — hetaż Hańka. Heta taja krasawica, o której ja tobie ciągle prawiw. Przywitajcie-sieź!

— Wędliński podał dłoń, kłaniając się nisko i znowu stanął na baczność w milczeniu.

— No i jakże, Hanieczko, pomnisz ty mianie? — pytał swat. — Czy pomnisz jak ja, buduczy w Wończy na kirmaszu, piernik table dawaw?

— Dawno to było? — rzekła chmurząc się.

— O, dawno, dietki. — Jeszcze gdy w Michaliskach żył. Już wot czatyrnatcać letak będzie.

— A pan w polskich Michaliskach niegdyś żył?

— Tak, kotka, żył. Po tym graf wypędził mianie, żeby ja przedawienia ni domahawsia. Ale nic, teraz pakrajni miery swaju ziemiaku w Kruczkach maju.

— To musi być gdzieś bardzo blisko Moskwy?

— Jakiej, dietki, Moskwy? — To wcale ni tak daleko: — koło Białynicz. —

— A, to koło Białynicz też Polacy mówią po łacinie? Pięknie pan rżnie po łacinie.

— Po łacinie? ... Kto? Aaa! — to znaczy się po prostu — zmiarkował. A niechaj-że ciebie niechaj!

— Suczka — mruknał Mieczyk, ruszając wesoło wąsem i wyszedł.

— Ażeby ciebie kaczki, żeby! — ciągnął Łopata ty chytra, jaka praworna. Po łacinie ... Jak to ty umiesz pod szerść zajechać! — Tak, kotka, — mieszamy po prostu. A to wszystko przez ruskie sąsiedztwo i — przez tą wojnę. Te bezhołowie nie tylko mowę ludzom pomieszało, ale wielu też i rozum.

Tak, mieszamy po prostu, ale nie myśl, Hanieczka, że my nie czyste Polaki. — Dworzanie koło nas prawie wszystkie. I to jeszcze jakie! Ot, wot Wędlińskie to nawet pieczętkę swoją jeszcze mają.

Prawda Hipolka, że macie pieczętkę?

— Tak, maim — pierwszy raz odezwał się młody.

— Idź siadaj na kanapę; — ja tymczasem sam z Hanieczką będę mówić. —

Nu i jakżeż, rybka moja, spodobał się tobie mój chłopiec? — zaczął oddaliwszy pupila, zniżonym głosem.

— O, i bardzo nawet spodobał się. Pan także.

— Ty wszystko żartami. A niechajże ciebie ... I, na pierwszy wzgląd może się i nie spodobać — chłopiec nie lalka, wiadomo, — ale żadnego w nim fałszu nie ma: zdrowy, cichy, gospodarny i bogaty też. Trzy włoki własnej ziemiaki mają. Toż folwarczek, kwietka moja! Przed rewolucją mieli 8 koni, 40 sztuk bydła, stado nierogatej chudoby i owieczek. Siemja taka: on, matka, jeden brat i jedna siostra. Jest na czym żyć, tylko daj Boże zdrowie.

Popatrz-że, ptuszczyca moja, na chłopca i powiedz, czy ty pójdziesz za niego, czy nie.

— Ależ, panie Łopata, ja tak nagle nie mogę. Jaż tego człowieka pierwszy raz widzę.

— Pierwszy raz widzisz... Ot główkę, ot chytróść masz! — zawołał. — Prawda słoneczko, nagle nie można. Trzeba popatrzeć, pomyśleć, poradzić się u tatki, u siostrzyczek. Piękna i mądra z ciebie dziewczynka.

— Hipolka, chodźmy konia napoim.

Swatowie wyszli, a Hańka rzuciła się w poduszki.

— Czegoż ty poszedł, głupiutki, w te heretyki?! — załamentowała w myśli. — Czemu ty nie służył dalej w legionach, jak Kazik i inne chłopcy! Byłbyś wrócił do swoich z częścią i sławą. Przez nią swojej wiary i ludzi odstąpiłeś! Przez tą suczkę wietrzną na zgubę siebie oddałeś! Czemuż ty nie odpisałeś mi! Pogardziłeś mną... Czymże ona wartniejsza?! Ze mną sto razy byłbyś szczęśliwszy. I co mnie teraz robić, biednej? —

Tymczasem wbiegły siostry.

— Hańka! Co tobie, płaczesz? — zawołała Maryla. — Czego? Toż chłopiec pełnym słowem.

— No to idź, jak ci się tak strasznie podoba — odparła gniewnie.

— Do mnie przecież nie swata się.

— Po mojemu to można za niego iść, bo chłopiec naprawdę niczego sobie, — zaopiniowała też Małgorzata.

— Chcecie mię jak najprędzej wypchnąć z domu! Gdzie tatko?

— W tamtej chacie.

Wstała i poszła do ojca.

— Tatko, poradźcie co mnie robić z nimi? — rzekła z płaczem.

— Rób dzieki, co sama wolisz, ja w takich rzeczach nie radzę.

— A któż mnie poradzi, jeżeli nie tatko rodzony?

— Jeżeli ci nie wydaje się szpetnie, to możesz iść, bo chłopiec bez żadnej wady. —

## XII

### ZARĘCZYNY

— Nu czy spodobałaś się tabie dziewczynka? — zapytał Łopata, gdy się znaleźli pod powietką.

— Adnym słowam dziewczka! — odrzekł. — Ale wot szczabiecza pa polsku! —

— Jany tut usie hetak wyuczylisia. Budisz brać?

— Żeby tolki poszła.

— Pojdzie, ni bojsia. Ni widzisz, że druhije dwie, jak łani czekajuc. Pobaczysz iszcze, jaki tabie posah ad bački wylupłu.

— Za pasaham ja ni haniusia.

— Dureń. Tolkiż ty ni mawczy stale, bo iszcze padumajuc, że niamy.

— Styd przyznawatca, ale ja hetak szczebietac ni patraflu. Da iszcze dziawczynna widać siardzitaja.

— To prawda: siardzitaja i chitraja suczka. —

Krzętałi się sporą chwilę koło konia radząc, potem przeszli się parę razy wzdłuż dziedzińca i w końcu wrócili do domu.

Małgorzata z Marylą przygotowywały w powszedniej izbie poczęstunek, a Hańka z ojcem bawili w świetlicy.

Pochwaliwszy przed ojcem urodę i mądrość dziewczyny, Łopata wyszczególniał długo zalety swego chrześniaka, wyliczył jego bogactwo i wreszcie dał mu umówiony znak.

Wędliński podszedł niezgrabnym, zórawim krokiem do Hańki, ujął ją za rękę i rzekł:

— Panno Hańko, proszę zostać moją żoną; kajać się za to nie będziesz. —

— Mówi pan, że kajać się nie będę? — Dobrze, zgodzę się być pana żoną, ale pod warunkiem, że ślub będzie po Wielkanocy.

— Co nie, to nie! — zaprotestował swat. — My nie możemy czekać. Mamka jego niezdrowa, a chce póki umrze, zobaczyć syna żonatego.

— Może nie umrze tak prędko. Ja muszę posłuchać, pomyśleć.

— Słuchaj kotka! — rzekł Łopata, udając rozgniewanego. — Jeśli czekasz na oficera, to nie trzeba kręcić, ale powiedzcie prosto, że nie pójdziesz i basta!

— Panno Hańko, proszę zostać moją żoną; kajać się za to nie będziesz! — powtórzył wielkolud błagalnie.

Hańka obejrzała się na ojca i siostry, pytając oczyma ich rady i wreszcie przystała.

— Dobrze, jeżeli już tak wszyscy chcecie, to zgadzam się — wycedziła przez zęby.

Podeszli wspólnie do ojca i ucałowali mu rękę. Piotrowski z kolei ucałował oboje w potylicę, dając tym wyraz swego pozwolenia. Potem Hańka odemknęła kufer i wydobyla zeń ręcznik i dużą wełnianą chustkę; ręcznikiem przewiązała swata przez ramię, chustkę zaś wręczyła narzeczonemu. Hipolit ze swej strony wręczył złotą monetę Hańce, a swat postawił na stole butelkę wódki. To był główny akt zaręczyn.

Zaraz postali po stryjenkę z synami, przystawili drugi stół, zaśłali obrusami i zaczęli wnosić potrawy. Gdy już wszystko było gotowe, swat ujął młodych za ręce, oprowadził dokoła stołu i zmówił Ojczy Nasz i Zdrowaś Maria. Powtórzywszy to trzykrotnie, zasiedli do stołu.

A wtedy, jak na zawołanie, zaczęła wchodzić młodzież zaściankowa. Dziewczęta zaśpiewały koleżance pieśń.

Chodźcie dziewczęta do chaty

Bo u Hańki piją swaty.

Piją, piją przepijają,

Naszą Hańkę zaręczają.

Lecz my z tobą nie usiedziem,

Wódki twojej pić nie będziem.

Będziem śpiewać dla parady,

Doli prosić, dawać rady.

By ze ślubem nie spieszyła —

Wprzódy dobrze rozpatrzyła.

Rozpatrzyła, rozpytała,  
Ludzi dobrych posłuchała.  
Może twój Hipol pjanico,  
Może wielki ladacznico.  
Może baciar zadziraka,  
Żonki będzie zabijaka.

### XIII

## PANIEŃSKI WIECZÓR

W karnawałowym tygodniu młodzież smolarska żyła jedynie myślą o zbliżającym się weselu. Zapomniała przejściowo o wojnie, o mającej odbyć się mobilizacji, zaniechała wielu robót, a tylko czyniła gorączkowe przygotowania do zabawy. Chłopcy biegali codzień do Wończy, gnali w lesie samogonkę, umawiali się partiami do wspólnej wypitki i tańców; dziewczęta szyły, prały, maglowały.

A w domu Piotrowskiego to aż huczało od robót wszelakich. Bili tam wieprze i prosięta, rżnęli barany, robili kiełbasy, gotowali galarety i kisiel, piekli chleb i bułki, bielili ściany i piece, szorowali podłogi. W świetlicy turkotały dniem i nocą maszyny przywiezionych z Wończy krawców. Nie zamykały się do dziedzińca wrota, nie gasły w oknach światła, nie ustawały z kominów dymy. Drugie dymy toczyły się dniem i nocą z puszczy, gdzie Otton brataniec gnał samogonkę.

Stary Piotrowski, to od zaręczyn mało i stykał się z domem: jeździł ciągle do miasteczka, czynił różne zakupy, przywoził majstrów, albo kluczył po chutorach i zaściankach, zapraszał krewnych i znajomych.

W piątek zabrali się do porządkowania i upiększania domu. Szafę ze świetlicy, a także łóżka i komodę wynieśli do stryjenki, a na ich miejsce wypożyczili w zaścianku potrzebną ilość kanap, ustawiając je wraz z własnymi dokoła ścian. Obrazy święte owinęli w doniczkową zieleń i kwiatuszki. Na środku sufitu uwiesili olbrzymiego słomianego pajaka, a od niego w kąty sznury papierowych biało-czerwonych chora-giewek. Ściany przybrali w papierowe ptaszki, kręgi jurginii różnych kolorów, w wachlarze i pawie pióra.

Świetlica była przeznaczona wyłącznie na tańce, a uczta miała się odbywać w izbie powszedniej, również obszernej i widnnej. Sufit tej drugiej i ściany góra obwiesili jedlanymi gałązkami. W taką samą jedlaną zieleń przybrali ganek frontowy, sień wąska, dzielącą obie główne izby, komorę w głębi sieni, przeznaczoną na szatnię i kuchnię znajdującą się, w tak zwanym trzyścienniku, przystawionym do tylnej ściany domu.

W sobotę rano wsadzili do pieca korowaj i zapalili w łaźniach. Wszystko już było w należyтым porządku. Zapewnione były śpiżarnie, wyznaczeni do każdej służby ludzie. Jadła i napojów nagromadzono tyle, że dla dwustu ludzi na cały tydzień starczyć mogło. Wyznaczony był gospodarz do witania w bramie gości, strzelcy do wiwatów, koniusze do stróżowania i doglądania koni, odpowiedzialni za szatnię, służebnice do

stołu, główny śpizarniany, marszałek uczyty, a drugi do tańców. Z każdego kąta bił ład i porządek.

Z družbą tylko mieli mitręgę i ustalili ją dopiero w ostatniej chwili. Zaproszony był między innymi Wiktor Kantyczka, legionista i Józik Oleński, obaj stacjonowali w Bobrujsku, ale pierwszemu odmówiono urlopu, a z drugim Hańka nie mogła się zgodzić w wyborze dla niego drużny; w konsekwencji zmuszeni byli posyłać do Muraszek specjalnego kuriera, aby w porozumieniu z rodziną młodego uzgodnił nowy skład družby. Ostatni komplet przedstawił się następująco: Maryla Piotrowszczanka z Edwardem Wędlińskim, bratem młodego w pierwszej parze, Jadwiga Wędlińska z Olesiem Piotrowskim stryjecznym Hańki w drugiej i Karusia Sokołowszczanka z Hilarym Blinkiewiczem, kuzynem Wędlińskich, trzeciej.

W parę godzin po południu zaczęli zjeżdżać goście. Ale mało, gdyż na paniński wieczór zaprosiło się według zwyczaju tylko najbliższych krewnych.

Gdy ściemniało i zapalili w domach światło, zaczęła gromadzić się młodzież. Pierwsi przysli chłopcy, potem dziewczęta. Oprócz młodzieży smolarskiej, przyjechało kilkanaście osób obojga płci z Polanek i przyszło kilka grup samych chłopców piechotą z innych niedalekich polskich osiedli. Znalazło się też sporo młodych ludzi i wśród przyjezdnych gości.

Wnet i muzykanci przysli. Pięciu ich wszystkich było: Paweł Tryzno z cymbałami, Bronik Huszcza z klarnetem, Marcin i Adaś Sciepurzanki ze skrzypcami i Karapuz z bębmem. Podciągnęli struny, nasmolili smyczki i wyrzneli skocznią polkę, że zdało się nieboszczyka by podjęło.

Zadudniła od wybijania obcasami w takt muzyki podłoga, zahuczały różnogłose przyspiewki — ale do tańca nikt nie ruszał, gdyż paniński wieczór zwykle zaczynała sama młoda.

Nie przegrali muzykanci jednej polki, gdy weszła prowadzona przez Marylę i Karusię, jako drużny. Ukloniła się towarzystwu i kazała grać Lensiej. Hańka wzięła Olesia, a Karusia Czesława Milutę. Poszli jedną czwórka, aby nie przedłużać ceremoniału. Gdy odtanńczyli ostatnią strofkę, Hańka zwróciła się do ogółu:

— Szanowni koledzy i koleżanki! Dzisiejszy wieczór jest moim pożegnaniem z wami; proszę więc tańczyć ile dusza pozwala, abyście o mnie pamiętali i dobrym słowem wspominali. Jeżeli muzykanci się zamęczą, mówcie tatku, aby na podmianę dał drugich.

— "Sieju - sieju" na pierwszy ząb chłopcom sypnijcie — zakomenderował Otton, jako marszałek tańców.

Ponad dwudziestu młodzieńców zerwało się susem i wzięwszy dziewczęta, puściło w zawrotny wir. Jakby burza nawałniczna w dom wpadła, taki jednym razem stuk hałaśliwy powstał. Zataczali w jedną i drugą stronę młyńce, wybijali obcasami, zawodzili śpiewki, wyładowując wreszcie ochotę, jaka nagromadziła się w ich młodzieńczych żyłach czekaniem wesela. Nie czuli ciężaru ciała, ni gości w nim swoich. Oczy płonęły radością i uniesieniem.

— Zaru, chłopcy, zaru! W lewo! W prawo! W tył! Sypcie, sypcie! Grajcie, albo pieniądże oddajcie! — podganiał się wzajemnie.

Wirowali na wyścigi. Każdemu zdawało się, że odkrył w sobie geniusz, moc niepospolitą — że on tu wszystkich zachwyca i zdumiewa — że on wszystko, co jest na świecie, potrafi.

— Żeby was tak, hołopucy, w robocie nosiło, jak w tańcach nosi! — rzekł śmiejąc się Piotrowski, który z grupą gości w starszym wieku przyszedł popatrzeć na tańce. — Co to znaczy młodość. Skaczcież, dzieci, skaczcież, aby długo pamiętali Mieczykową córkę. Jeszcze wam wszystkim po czarce przyniosę.

O dziesiątej Hańka, Maryla, Karusia, Oleś i wiele innych, którzy nazajutrz mieli jechać do kościoła, udali się na spoczynek, a reszta bawiła się nadal zawzięcie. Folgowali sobie chłopcy wiedząc, że przy jutrzejszym natłoku nie każdy się dostanie.

Rej wodził Józik Oleński jedyny legionista, najważniejsza w towarzystwie osoba. Rzucił bezpośrednie rozkazy muzykantom i kierował tancerzami. Podczas pauz opowiadał chłopcom o bitwach z bolszewikami, w których rzekomo uczestniczył, i ile on osobiście położył kaczupów, w co jednak rzadko któren ze słuchaczy wierzył. Krążyły od szeregu dni słuchy, że on w żadnej bitwie udziału nie brał, a co gorsza, dezterterował, przepijając w zajezdnym domu Lejby w Bobrujsku zrabowane ludziom pieniądze. Od czasu, gdy dowborczycy zajęli Bobrujsk, już trzeci raz przybywał na urlop.

#### XIV

### BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

Na parę godzin przede dniem, przyjechał młody ze swoimi. Mieczyk, Otto i wielu chłopców ciekawych, ze świetlicy wyszło na ganek im na spotkanie.

Zajechali z szykiem, wpadając szparką rysią w bramę, zataczając po dziedzińcu łuk i stając jeden za drugim przed gankiem w rząd. Konie wszystkich były spasione, śliczne, rzędy błyskotliwe, wdzięczne, duhy poowijane barwnymi wstążkami, sanki malowane w desenie, kute w przeróżne wyginanki z żelaznych prętów; na przodku każdego sanek siedział parobczak, trzymając lejce i pułę, a goście siedzieli w tylnych kanapach jak panowie, wsunawszy ręce w rękawy futer. Siedem sanek było, a każde miały tylko dwóch pasażerów, nie licząc parobczaków.

Po przywitaniu się na ganku ze smolarzanami, starsze osoby udały się z gospodarzem do stołowego, młodych zaś Otton poprowadził do świetlicy.

— Tu się wręcza odzież, proszę pana, — oznajmił w sieniach szatni Blinkiewiczowi, który był na przedzie, kłaniając się mu uprzejmie i czyniąc ruch do podtrzymania futra. — Ja przyjmuję i oddaje.

— Proszę mnie nie wuczyć! — burknął Blinkiewicz opryskliwie i tak jak wszedł z podwórza, posunął się do świetlicy. Za nim poszli, tak samo w futrach i kaloszach, pan młody, brat jego, siostra i jeszcze dwie panny, z czego łatwo można się było domyślić, że Blinkiewicz uchodził wśród nich za znającego się na etykiecie gentelmana.

Muzykanci na przywitanie młodemu odegrali strofkę marsza.

Przestąpiwszy próg, Blinkiewicz zdjął czapkę, rozchełstał futro, poprawił krawat na białym twardym kołnierzyku i jął witać się z siedzącymi na kanapach, zaczynając od progu. Reszta uczyniła to samo.

— Czemuż to państwo nie pozdejmowali w sieniach kozuchów? — palnął Józik Oleński bez żadnych ogródek.

— Żeby tylko kozuchi byli, proszę pana legionia, to będzie czasu ich zdjąć i nałożyć jeszcze — odciął się, spoglądając wyniosłe na zawadiakę.

— Dlatego weszliście w futrach, aby je pokazać ludziom?

Otton mrugnął Józikowi, aby się pohamował.

Świta postępowała kluczem wzdłuż kanap, kontynuując witanie się a smolarzanie tymczasem obserwowali białyńczan.

Powierzchnowość Blinkiewicza przedstawiała zgrabnego kawalera. Twarz miał pełną, białą, włos bujny i kruczy, oczy bystre, pod nosem zgrabny wąsik wzrost i tuszę w umiar. Edward Wędlński z rysów był, jak krople wody podobny do brata, jeno nie miał tego wzrostu i muskułów. Dziewczęta wszystkie były gładkie, ale nie imponowały chłopcom: siostra młodego miała niepowabny męski chód, a pozostałe obie — prawdopodobnie siostry — szpeciły garbowate nosy.

Gdy obeszli wszystkich, stanęli grupą pośrodku izby i jeli rozglądać się dokoła upiększenia. Otton i Małgorzata towarzyszyli im nieodłącznie, jako gospodarze.

— Piękny „zał”, piękny nie ma co? — rzekł Blinkiewicz.

— Piękny, ale żeby wisiała na ścianie „karcina” z wojną, taką, jak u nas wisi, to byłby jeszcze piękniejszy zauważył młodszy Wędlński.

— Albo żeby po dwa szklane puzyry stało w oknach takie, jak u nas stoją — dodała jedna z garbonosych dziewcząt.

— Proszę pana, — zwrócił się Blinkiewicz do Ottona, — a któraż to będzie moja szafirka? Słyszałem, że jest bardzo ładna. Proszę mnie poznać z nią.

— Ja pana szanownego mogę poznać — wtrącił Józik dosłyszawszy pytanie. — Druhna pana oto tamta, która siedzi na samym końcu przy hrubie — wskazał na nieszpętną, ale już po trzydziestce wdówkę, po nastarszym Dudarowym synie, zabitym przez Austriaków pod Przemyślem.

— Nieprawda zaprzeczył Otton. — Druhny pana wcale tu nie ma. Panna Sokółowszcanka zapewne jeszcze śpi.

Blinkiewicz rozsierdził się na Józika.

— Proszę do mnie nie pryskać! — zawołał doń. — Ja widziałem już legionów, nie panem bywszy!

Pogapiwszy się chwilę na młodzież, wyszli do sieni, zdjęli futra i kalosze i udali się stamtąd do stołowego. Za parę minut przybyła tam Hańka z Marylą i Karusią. Otton przedstawił kawalerom druhnę.

— A, pan Blinkiewicz!... Mój družbant!... Mile poznać! — zaszczębiotała Bylina. — Dawno już panowie przyjechaliście?

Blinkiewicz dotąd wyniosły i gadatliwy spokorniał i zaniemwił.

— A my, wie pan, zaspaliśmy trochę, — ciągnęła, wierząc filuternie oczętami. — Chciałyśmy koniecznie widzieć, jak panowie będą zajeżdzać

— i spóźniłyśmy. Zapewne caluśką noc byliście w drodze? Co, pan spotniał? — spostrzegła rosę na czole.

Blinkiewicz nie mógł słowa wykrztusić.

— To pewnie, że pan dopiero z podwórza — mówiła, nie zważając na uparte milczenie kawalera. — Z mrozu każdemu w chacie ciepłej duszno się robi. Wielki mróz na dworze, prawda? Trzeba będzie ciepło się odziać. Ma pan palto ciepłe?

— Ja mam futro — odezwał się wreszcie.

— A, pan ma futro?! Ja to mam palto podszyte grubo watą z kołnierzem z morskich kotów. Na nogi wezmę kołderkę.

— Na nogi mam niedźwiedzią skórę.

— Niedźwiedzią?! Z prawdziwego niedźwiedzia?

— Jej Bohu z prawdziwego!

— A to dziwo! Nigdy nie widziałam niedźwiedziej skóry. Musi być bardzo straszna.

— Jeśli panienka chce, to poślę furmana, żeby przyniósł pokazać.

— Furmana?! Więc ma pan furmana?

— My nigdy bez furmanów nie jedziem, taka przyzwyczka u nas.

— Dobrze, niechaj przyniesie, zobaczę.

Wyszedł do sieni, odnalazł swego chłopca, kazał mu przynieść z sanek niedźwiedzią skórę i znów czym prędzej wrócił do Karusi.

— No, ale prawdę mówił nasz Hipoli o paniencie — sam zaczął.

— O mnie? A cóż on mówił takiego?

— Że jest bardzo piękna. Mówił, że jak aniołek.

— A pan od razu w komplementy się rzuca.

— Jej Bohu, mówię bez żadnej chytrności. Takiej chyba na świecie całym nie ma.

— Wszystkim dziewczętom tak mówią chłopcy.

— Panienka nie wierzy. Jej-że Bohu, jeszcze za całe moje życie takiej pięknej dziewczyny nie widziałem! No, ależ i pareczka z nas będzie cugowa. Ludzie będą patrzeć i mówić: ni jedne czort łapcie zedrał póki nas takich dwoje zebrał. Nieprawda?

Spojrzała mu woczy przenikliwie i uśmiechnęła się zagadkowo.

Oglądaniu niedźwiedziej skóry, przeszkodziło na razie zaproszenie do stołu.

Zasiedli tylko ci, którzy mieli jechać do kościoła, oprócz państwa młodych, rychtujących się do spowiedzi.

Zjedli rychło skromne śniadanko i zaraz przeszli wszyscy do świetlicy, gdzie stary Kantyczka jął czynić przygotowania do błogosławieństwa. Zdjął ze ściany obraz Matki Ostrobramskiej i ustawił go na kanapie. Po jednej stronie obrazu usadowił Mieczyka. Po drugiej — bratową jego. Miejsce przed nimi na podłodze kazał zaściłać dywanem. Gdy to druhnny uczyniły, wezwał publiczność do ciszy i zwrócił się uroczyście do Hańki.

— Idź dziewczyno, przeproś rodziców i proś ich o błogosławieństwo. Proś ojca rodzzonego i ciotkę, która chociaż w żywocie swoim ciebie nie nosiła, piersiami nie karmiła, jednak stryjenką twoją jest i do chrztu też ciebie na jedwabnej chustce przed kapłanem trzymała, więc słowa jej

tak samo mogą być pomocne, jak i maki rodzonej. Idź i ty panie Hipolite, zbawieni od dzisiaj jej rodzice będą także twoimi rodzicami.

Młodzi podeszli i uklękli na dywanie, całując obraz i ręce rodzicom.

Kantyczka podniósł oczy ku obrazom i zaczął tonem liturgicznym.

— Boże wszechmogący! Oto ta para nockę dzisiejszą nie spała i dole dla małżeńskiego życia błagała, więc raz jej pobłogosławić i wy też wszyscy Święci i Aniołowie. Amen.

Teraz niechaj rodzice zmówią Pacierz — pouczył.

Rodzice ujmując jedną ręką obraz, drugą kładąc na głowie błogosławionych, zmówili Ojciec Nasz i Zdrowaś Maria.

— A teraz musicie pobłogosławić swoimi słowami: wprzód matka, potem ojciec — pouczał dalej Kantyczka.

— Niechaj wam Bóg da zdrowie, szczęście i zgodę, aż do samej starości — powiedziała stryjenka. — I wybaczcie, dzieci — inaczej nie umiem.

— I ja też tylko takimi samymi słowami pobłogosławie — rzekł ojciec. — Daj wam Boże do samej starości szczęście, zgodę i zdrowie. Chcę jednak do tego dać wam trochę nauki.

— Pamiętajcie, dzieci, ażeby, żyjąc nie tylko dbaliście o gospodarke i swoją familie, ale też i Królestwo Polskie. Zwłaszcza teraz, gdy Ono się zaczyna i wojuje. Paszę i ziarno swoje, jakie jest w zapasie, zawieźcie legionom i nie bierzcie za to żadnej zapłaty. Jeżeli jakiś parszywiec koło was będzie fałszywie mówił o Królestwie i o Dowborze, to mu zaprzeczenie i pouczenie słuchających, jak ono i co jest. Jeżeli objawi się mobilizacja legińska, to nie czekaj, zięciu, aż do chaty po ciebie przyjdą, ale idź pierwszy i innych, kórzy by chcieli się od polskiej służby ukryć, namawiaj.

— Wot cieś! Wot baćka! Zięcia swojego w żołdacy wyhaniaje — zaszemrała któraś z kobiet białynickich.

— Nie mówcie między sobą inaczej, jak tylko po polsku — ciągnął Mieczyk. — Ni do siebie, ni do rodziny, ni do kogoś innego z polskiego narodu w okolicy. Przysięgnijcie to sobie dziś podczas ślubu, abyście nie mogli po tym od tego odstąpić.

— Biedny Hipolka! Przez żonkę cały wiek swój będzie łamać się z haworkaju — znowu wtrąciła zjadliwie jedna z białyniczank.

— Nie łamać się, ale prostować z tego, co on sam z ojcem złamał — odparł Piotrowski. — Dziadzio oto nasz Karol Zdanowicz może dziś poświadczyć, że Heronim Wędlński, dziad Hipolita, mieszkając w Michaliskach, do żonki i dzieci swoich inaczej nie odzywał się jak po polsku.

Dzieci swoich — których oby mieli jak najwięcej — kontynuował swój nakaz — od samej kołyski hodujcie w polskiej mowie i w miłości do Królestwa. Zapamiętajcie sobie — jeżeli którekolwiek, będąc u mnie kiedyś w gościach z wami, nie potrafi odpowiedzieć jak polski król się nazywa, albo broń Boże, piśnie przede mną nie po naszymu — to mordę szczeniakowi zbije i precz razem z wami wygonię.

— Słuchajcie baby! — Hipolkawych dzieciak szczeniatami nazywaje — oburzyła się pani Łopacina.

— Hipolkawych dzieci, a moich wnuków, więc nic swaci do tego! No, wstawajcież, dzieci i odziewajcie się.

— A na dzieżę nie będziecie sadzić? — zawołała śwacha.

— Sadźcie ją sobie na dzieżę, na garnek, na koryto, ale prędko, bo już widać dnieje.

— Ja nie będę siadała; u nas nie ma takiego zwyczaju, — zaprotestowała Hańka wstawszy.

— Ni będziesz siadać?! Znaczyć winowata — boisz si! Znaczyć ty w chacie pa polsku pnieszsia, a za wuhłami z chłopcami treszsia?! Hetkająz z ciebie palaczka?! — podjęły wrzask białyńckie baby.

Lica Hańki sponsowiały, oczy zaszyły łzami.

— I ty żadasz bym siadała na dzieżę? — zwróciła się do narzeczonego.

Wędlński spojrział na Łopatę i zrozumiawszy znak, rzekł:

— Baby lepiej od nas wiedzą.

Twarz Hańki przybrała wyraz nieubłaganego gniewu.

— Dobrze, usiądę — powiedziała. — Dawajcie dzieżę.

Maryla z Małgorzatą wniosły chlebną dzieżę, ustawiły ją według wskazówek białyńckich kobiet na krzyżach od motków pośrodku izby i zasłaly obrusem, tkanym w dwanaście nitów.

Hańka usiadła bez najmniejszego wahania, wbiła śmiałe, a nienawistne spojrzenie w te, które tego zabobonu zażądały.

— Czysta, czysta, jak złoto! — zawołały radośnie chórem, przekonane widocznie śmiałym zachowaniem się dziewczyny.

— Hipolka! Idźże pocałuj dziewczynie rękę i zsadź ją — powiedziała pierwsza swacha.

Wędlński podszedł — ale wmiast ręki otrzymał pchnięcie w brzuch, że o mało nie upadł na ziemię.

— Precz!... Nie będzie ślubu! Zrywam! Nie chcę nikogo znać — zakrzyczała.

Wstała i rzuciła się ojcu do kolan z płaczem.

— Zapłać im, tatko, za straty! — jęła błagać. — Nie pójde za niego! Wolę od śmierci panną pozostać, ale za niego nie pójde. Oni obrazili mię! Obrazili mię, tatko! Zapłać im!

— Prawda, prawda, obrazili Hańkę! — przyświadczyły smolarzanki.

— Dobrze, córuchno, zapłać, wstawaj — zgodził się bez namysłu.

Podniósł córkę, ucałował ją w czoło i zwracając się do swatów, rzekł:

— Ja córki swej gwałtem wydawać nie będę. Siadajcie i liczcie, ileście szkody ponieśli; ja dzisiaj wam wszystko zapłać.

Białyńczanie postąpieli wszyscy. Wędlński wodził wybałuszonymi czyma, to na dzieżę, to na swachy. Swachy skuliły się w sobie, jak te więdźmy z bajki w obliczu odpowiedzialności za swe przewinienia. Dziewczęta z ich grona również nie wiedziały gdzie się spojrzeć, gdzie obrócić. Nawet Łopata, kuty na wszystkie cztery i Blinkiewicz, pierwszy w ich kole kawaler, wobec niespodziewanego obrotu rzeczy zbaranieli.

Ale Łopata pierwszy się opamiętał, postanawiając nie dopuścić do zerwania. Podbiegł do Hańki i zaczął jej perswadować, zwalając całą winę na kobiety.

— Hanieczka, rybka złota, po cóz ty chłopca topisz?! — zajęczał.

Cóz on winien?! Toż baby wszystko wymyśleli, żeby ich czym prędzej na mohilnik wywieźli! Głowę dam odrąbać, że Hipolka nawet ni znaję

po co to się sady. Po cóż ty z nim zrywasz? On że jak ciebie zaswatał, nocki jak trzeba nie przespał, obiadu jak człowiek nie zjadł, czasinki spokojnie nie posiedział, a tylko wciąż dumał, a biegał, a jeździł, do wesela wszystko rychtował. Daruj mu, kotka, bo to już i od Boga grzech na niewinnego chłopca napadać, taką jemu krzywdę robić! —

Jakoż wreszcie i sam młody opamiętał się i przypadłszy do rąk Hańczynych, jął też błagać żałośnie.

— Daruj mnie, Hanieczka złota, — mówił. — Jej że Bohu ja nie znał na co heta dziezka. Jaż nie zjadł jak ludzi, ni pospał, a tylko jeździł wszystko i starawsia. Jaż hodzinki liczyw do wiasielka, a ty teraz akraz przed samym ślubam prahaniaisz. Daruj złotka! Jedźmy do ślubu! Wżez i koni założony czekajuć. Jedźmy!...

— Daruj mu, Hańka, przebac — wstawiły się smolarzanki, rozczulone żalem i pokorą wielkoluda.

— Dobrze, odziewajmy się rychło — powiedziała Hańka.

## XV

### RAJSKIE CHWILE

Niedługo po południu, znowu przybyli wszyscy muzycanci i świetlica zagrzmiała tańcami.

Goście zajeżdżali bez przerwy, bez końca. Już zapełnione były saniami danwo obie powietki, już i połowę dziedzińca zastawiono, a ciągle przybywali inni. To tylko były same familie, specjalnie zaproszone, a młodzież, przybywająca z rozległych okolic na tańce, zajeżdżała do innych zagród. Powietki żadnej w Smolarni nie było, ażeby nie stały w niej obce sanie. Z Polanek, Jam i Niwki szli chłopcy tabunami całymi pieszo.

Wojskowi tylko polscy, których oczekiwała z upragnieniem cała Smolarnia, zupełnie zawiedli. Dwunastu piechurów zaprosił Mieczyk w Wończy, czterech znajomych Pawłowi kawalerzystów obiecało przybyć z Kuncewicz, spodziewano się też i swoich smolarskich kilku, a tymczasem wieczór już nadchodził — i nikogo.

Józik buszował w tłumie cywilów, aż do nieprzyzwoitości: przerywał raz po raz bez powiadomienia Ottona muzykę, każąc grać, co mu się podoba, gwizdał tańcząc, śpiewał brzydkie podcinki i szdyził z chłopców. Nie pomagały ni upomnienia Ottona, ni prośby chłopców.

W końcu Paweł ze Stachem udali się ze skargą do samego gospodarza.

— No i co ja poradzę z takim? — rzekł Mieczyk, wysłuchawszy skargi, wygnąć go, — może podchmielony, przydzierać do bitki, bić polskiego wojaka — nie wypada.

— Takiemu wojakowi można zęby dobrze poczyścić; grzechu za to żadnego nie będzie — rzekł Stach.

— Lepiej ażeby obeszło się bez "czystki". Poczekajmy, aż przyjadą legioniści z Wończy, oni go prędko osadzą.

— Żaden legionista z Wończy nie przyjedzie — oznajmił Paweł. —

Niedawno przyjechał Zahorszczyk ze swą siostrą i mówił, że co do jednego żołnierza wyjechali do Michaliszek na wieczorynkę.

— Ot jak! Znaczą się Michaliszki lepsze od Smolarni... No a co z twoimi kawalerzystami z Kuncewicz?

— Nic nie wiadomo. Mogli tak samo gdzieś indziej pojechać i mogli też zbłądzić, pojechawszy na las.

— Bardzo prosto. Ot jeszcze jak pójdzie na licho, to gotowiśmy żadnego nie mieć — zaniepokoił się. — Wiecie co, chłopcy? — Załóżcie mojego Gniadosza i waszą Pawle Łysą i sypcie obaj do Birek. Tam znajdziecie żołnierzyków z pewnością. Weźcie tyle, ile na dwoje sanek się spakuje. Sypcie, dziełki! Jeżeli zbierzecie się rychło, — koło północy bądźcie w domu. —

Przyjęli propozycję i najdłużej w 20 minut byli już w drodze do Birek.

Nie upłynęło pół godziny, zjawił się Walka Tryzno. Nikt nie wiedział kędy on wszedł do zagrody, jak on przybył do Smolarni?

Tylko matkę zastał w domu, reszta wszystko było na weselu.

Przywitał się z nią, wypytał o zdrowie całej rodziny i powiedziaławszy, że idzie na wesele po ojca i siostry, pobiegł opłotkami do Ściepurów, aby się prędzej z Kaśką zobaczyć. Od kilku lat miłowali się ze sobą, o czym cała Smolarnia wiedziała.

Spodziewała się jego urlopu i czekała nań w domu.

— Takiś przyszedł! — zawołała rozpromieniona spotykając go. — Przywitali się kilkakrotnym pocałunkiem, nie zważając na obecność młodszej siostry.

— Dawno już w Smolarni?

— Może minut piętnaście przeszło.

— Tylko! To głodny jesteś?

Młodsza siostra wysunęła się dyskretnie za drzwi, pozostawiając ich samych.

Kaśka rozkopała w pieczone jar, przystawiła do podgrzania kawę, potem dostała z pieca misę skwarek z kiebasami, drugą naleśników, wyjęła spod obrusa stos blinów, zaniósła to wszystko do świetlicy i usadowiwszy go do wieczerzy, jęła bawić rozmową.

— Jak to dobrze, że przyszedłeś! Akraz na takie wesele... Wiesz, ja już myślałam, że tobie jakieś nieszczęście się przydarzyło. Przeszłej nocy dziwny sen mi się przyśnił...

— Cóż takiego śniłaś?

— Że pobrawszy się z tobą za ręce, lataliśmy nad Smolarnią.

— To dobrze oznacza, że będziemy fajnie bawić się.

— Teraz wiem, że to. Ale ja myślałam...

— Cóż takiego?

— Że to już twoja dusza przyleciała.

— Naiwna... A gdyby tak zabili mię, żałowałabyś?

— Nie mów, Walku tego!...

— Nie mów. Wojenka nie żarty, wszystko może się zdarzyć. Wiecie już, że na dniach Kazika ranili poważnie?

— Zdanowicza?! Ach Bożenka!... Gdzież go tak?

— Koło Rohaczewa jego pułk brał udział w wielkiej bitwie z bolszewikami i tam go nieboraka trafili w szyję. Teraz w szpitalu w Bobrujsku.

— Ot gady! Mocno?

— Zdaje się, że wyżyje. Byłem u niego wczoraj. Prosi, by nie mówili matce nim wyzdrowieje.

— Biedny! Żeby chociaż w ciebie, broń Boże, gady nie popadli. Uwazaj, Walku, nie leż naprzód.

— Mówisz jak małeńka. — Gdy trzeba leżeć — polazę, deztererować przecież nie będę.

— A, deztererstwa nie rób, Walku. Nie chciałabym, ażeby na ciebie tak, jak na Józika Oleńszczyka wygadywali. Wiesz, że on to robi?

— Słyszałem. Tym tylko sławę smolarską, drań parszywy maże!

— A maże nie ma co. Wszyscy tak mówią. Mało już kto go w Smolarni za prawdziwego legionia uważa. A jak na Kościka za zdrajstwo pomstują, żebyś posłyszał.

— Na Kościska za zdradę?! — wykrzyknął.

— A to ty nie wiesz, że on paskudnik z legionów do bolszewików przeszedł. —

— Kościk w bolszewiki?! Skądże taka wiadomość?

— Pierwszy Kartawy mówił o tym, bywszy niedawno na urlopie, a na dniach mówili, że list formalny Wasilewskiemu stamtąd, gdzie Kościk służył, przyszedł, dziękujący, że syna na szelmę wychodował. Od tygodnia nikt z Potoki nie pokazuje się w Smolarni ze wstydu.

## XVI

### WIWAT

Po ósmej, do świetlicy już nosa wścibić nie można było. Wszystkie kanapy dokoła obsiadały same dziewczęta, a chłopcy stali szeroką zwartą masą na progu. Plac tańców coraz się zwał. Szli przeważnie polkę, mazurkę (galopem po staroświecku) krakowiaka, węgierkę, kokietkę, walca i niektóre inne najruchliwsze tańce. Od wirów wiatry szły, od stuku grzmiała podłoga. Muzykanci wstrzymywali się tylko, by związać struny urwane, albo ująć w usta papierosa zwiniętego i przypalonego przez chłopców, lecz i to pojedynczo na zmianę, tak, że ogólny ciąg gry prawie nigdy nie ustawał.

A w stołowym na razie była cisza. Stały tam na długość całej izby rzędy stołów, zasłanych obrusami, zastawionych samogonką i jadłem rozmaitym. Niektóre aż uginały się od ciężaru olbrzymich butel, stosów chleba, mis wędliny, kielbas, prosiąt nadziepanych, kiszonych ogórków i kapusty. Dwa rzędy stołów szły wzdłuż obu zaoknianych ścian, łącząc się ze sobą pod obrazami. Kąt ten ozdobiony był doniczkami roślin i przeznaczony dla nowożeńców i świty.

Blisko dwie godziny stały przygotowane stoły, czekając na powrót orszaku z kościoła. Chłopiec, czuwający na ulicy, dwa razy już alarmował Piotrowskiego o dochodzących z pola dzwonek, lecz okazywało się za

każdym razem, że to wyrostki za kołowrotem dzwoniły na zbytki. Niepokoili się gospodarze, niecierpliwili też goście.

Mieczyk z Ottonem zaczęli się naradzać nad wysłaniem pary konnych na zwiady.

Ale wnet nadjechali. Szły z pola dzwonki coraz zawziętsze i wyraźniejsze. —

— Młodzi jada! Teraz to już jada! Jada, jada! — poszły wołania po całej zagrodzie.

Co żyło w domu, wysypało się na podwórze. Mieczyk wziął przygotowaną zawczasu tacę z chlebem, solą i wódką, bratowa wzięła kozuch kudłami do góry, zdjęła z półki krucyfiks i wyszli na ganek. Przy nich ustawili się też muzycanci z instrumentami. Strzelcy stanęli w pobliżu bramy.

Dzwonki, zbliżywszy się ku kołowrotowi przycichły i przystanęły. Trwało to nie dłużej minut, a potem naraz uderzyły gwałtownie i zaczęły znowu szybko się zbliżać.

Strzelcy zarepetowali broń. Dzieci i kobiety niektóre pozatykały uszy.

Gdy ukazała się w bramie pierwsza duha, — gruchnęła salwa. Za nią druga i trzecia.

Koń pana młodego stanął dęba, przysiadł, zachrapał — i rzucił się opętańczo ku obozowi sań, wbijając się na jedne z nich wszystkimi czterema kopytami. Następny rumak pana Blinkiewicza, rzucił się w bok, złamał gołobłę, wyrzucił sanki i poniósł ulicą jak szalony: Karusia z parobczakiem pozostali w śniegu, ale Blinkiewicz, zdoławszy pochwycić lejce, włókł się wraz z sankami po jezdni, aż w końcu zahamował szaleńca. Inne konie rzucały się ku ostrokołom, wbijały w nie końcami gołobli, łamały je, wpadały kopytami na sanie innych, albo utorowawszy sobie drogę niosły opętańczo po ulicy. Popłoch koni z orszaku udzielił się stojącym na ulicy, tedy trzask, chrapanie i szamotanie się poszły po całej zagrodzie. Kobiety, w obawie o kalectwo, podniosły krzyk i lament.

Ale obeszło się chwalić Boga bez kalectwa. Tylko ucho pan Blinkiewicz, wlokąc się po grudach, trochę okrwawił, a jednej ze swach nastąpił koń na biodro i tyle było z całej awantury.

Muzycanci tymczasem stojąc na ganku, rznęli marsza, przyspiewując.

Wędliński z Hańką stali przy sankach, aż nadeszedł z ulicy Łopata z żoną i pierwsza para družbów, potem podążyli ku czekającym na nich rodzicom.

Thum gości zakrzyczał wiwatami, wyrzucając czapki w górę.

Znalazły się na stopniach ganku, młodzi przyklekli na jedno kolano, ucałowali podany przez stryjenkę krucyfiks, wstali, wypili wódkę, wzięli do ust po kromce chleba i udali się do domu. Trzy pary swatów i družba cała uczynili to samo.

## HULAJ DUSZO

Po wejściu orszaku do domu, młodzież wróciła niezwłocznie do tańców, a w kwadrans później rozpoczęła się w stołowym uczta. Po prawej stronie młodych siedziała Karusia z Blinkiewiczem, po lewej Maryla z Edwardem Wędlńskim i Łopata z żoną. Po drugiej stronie tychże stołów był Józik Oleński ze swą Zośką, Oleś z siostrą pana młodego i Walka Tryzno z Kasią Ściepurzanką. Prawe skrzydło zajmowali, aż do końca, gospodarze smolarscy, lewe — białyńczanie. Przy reszcie stołów siedzieli wszyscy ze sobą pomieszani, bez różnicy płci, wieku i stopnia pokrewieństwa.

Rozpoczęła się nadzwyczaj cicho. Głodni byli wszyscy i trzeźwi. Rozmowa toczyła się w paru miejscach — przeważnie o awanturze, wywołanej popłochem koni — i to głosem przyciszonym, jakoby obawiając się naruszenia spokoju.

Chłopcy, jacy byli między gośćmi, spoglądali jurnie w stronę młodej, czyniąc szeptem uwagi na temat oczekujących ją godów. Prześlicznie wyglądała w bieli ślubnej sukni i welonu: biła z jej oblicza dobroć, krasa i dostojność. Smutna jednak była: mężowi odpowiadała krótko i niechętnie i co chwilę zapadała w głębokie zamyślenie. Od Hańki wzrok każdego chłopca biegł ku Bylinie. Kasowała swą urodą nie tylko wszystkie panny siedzące za uroczystym kątem, ale też wszystkie, które były w izbie. W przeciwieństwie do Hańki, była nadzwyczaj wesoła: rzucała zalotne spojrzenia po chłopcach, szczebiotała, ustawicznie wybuchała serdecznym śmiechem. Zziębnięte na mrozie policzki, igrały rumieńcem, oczy tryskały radością udzielającą się innym.

Józik Oleński postanowił zaapelować do humoru towarzystwa. Poprosił służebnicę o kubek od wiadra, wlał weń z pół kwarty samogonki, powstał i obracając się dokoła z naczyniem, rzekł:

— Szanowna publiczność! Czy my tu na pochorony zebrali się, czy na wesele? Pijmy, bracia, jak na dziadka naszego Afeta przystało! Nie żałujmy tej chłodnicy; widziałem, że w spiżarni dziadzi Mieczyka, aż kilka beczulek tego jest. Niech żyją młodzi! — zakończył i wychylił kubek, jak za siebie.

— Niech żyją! — zawtórowano.

— Żeby ty bracie do wojaczki był taki brawny, jak do wypitki — syknął ktoś z głębi.

Chciał odpalić zuchwalcowi, ale akurat weszło z sieni grono smolarzanek i zaśpiewało Hańce pieśń.

W zielonym gałczku kanarejek nuci.

Już twoje Haniczko panięstwo nie wróci.

Nie wróci, nie wróci, bo wrócić nie może:

Dwa serca złączone, wrzucono klucz w morze.

Hańka tak się rozszlochała, że druhny musiały ją utulać.

Izba nabrzmiwała hałasem. Wódka rozpałała mózgi, rozwiązała języki. Wydarzenia ostatniego półrocza nagromadziły w duszy każdego

moc strachu, żalu i radości. Prawie każdemu z obecnych bandyci kogoś z krewnych zamordowali, kogoś spalili, obrabowali, prawie każdy był świadkiem wstrząsających tragedii, każdy pałał oburzeniem za krzywdy, wdzięcznością za ratunek. Teraz wszystkie te smutne przeżycia, pod wpływem napoju, się obudziły i zaczęły wynurzać. Każdy gadał. Opowiadano sobie przebieg wypadków, żalowali poległych, sławili legionistów, obrońców swoich. Tu i ówdzie kobiety pochlipywały.

W orszaku młodych, również się ożywiło. Hańka otarłszy łzy, zaczęła wypytywać Walka o służbę, Blinkiewicz swatał się do Karusi, Józik przydzierał się do Blinkiewicza.

— W legionach, pani Hańko, nie to, co było w dawniejszych carskich pułkach — opowiadał Walka. — Przychodzi czasami pomiesić śniegu, pocierpieć chłodu i głodu, trzeba słuchać od generała do frajtra, salutować im, wypełniać ich rozkazy — ale poza służbą, to sam pułkownik z tobą za panbrat; pije z prostym żołnierzem, siedzi razem, gada o dziewczętach i zabawie. Dobrze jest, tylko trochę za Smolarnią tęskno.

— A najwięcej za Kaśką — rzekła Hańka.

— I... za nią ma się rozumieć też, — przyznał się, spoglądając na Kasię lubo.

— Panie Walko! — zawołała Karusia. — Nie pogardź pan chociaż naszym domem, odwiedź.

— Gdy starczy czasu, to i owczem. Wie panienska, że mam tylko trzy dni urlopu.

— To obiecaj pan wziąć mię dzisiaj na jednego walczyka.

— Z wielką przyjemnością.

— Oni już między sobą zaręczone? — zapytał Blinkiewicz Karusię.

— Nie, jakżeż, kiedy człowiek wojuje.

— Bogato u niego ziemi?

— Ziemi? Mają trzydzieści dziesięcin.

— Ale ma na to bratów?

— Tak, ma trzech braci.

— A, to wcale niebogaty. No, a ten zadziraka, co przed nami, ile?

— Józik? — Ci mają całe dwie włóki, ale też ma tyle braci.

— U mnie jest dwie włóki, ale ja nie mam braci. Ziemia nasza też daleko lepsza od waszej — pochwalił się.

— Słyszałam, że koło waszych Muraszek wszystek naród polski jest bardzo bogaty.

— Bogaty i samy delikatny, dworzański.

Tu zabrał głos sam gospodarz, przerywając wszystkim.

— Panowie bracia i goście miłe! Piliśmy już za młodych, za družbów, za swatów, za gospodarzy, a o wojskowych wcale zapomnieliśmy. Wypijmy teraz jeszcze za pana Dowbora-Muśnickiego, za żołnierzy tych, co teraz wojują i tych, co tam siedzą naprzeciwko młodych. Niechaj żyją legiony!

— Niechaj żyją! — zagrzmiała izba.

— Podoba mi się dziadzio Piotrowski, jak Boga kocham — rzekł Józio, wychyliwszy naczynie do dna. — Ten dopiero umie wyróżnić żołnierza z cywilów i poważać go, jak się należy. — I zaraz zaśpiewał:

Cywilem być, to nie tak dobrze jest.

Tra la—la—la—la—la—la—la—la—la—la—la—la.

Bo cywil to, nie może wódki pić.

Tra la—la—la—la—la—la—la—la—la—la—la—la.

— Panie Blinkiewicz! — zawołał. — A pan swojego czemu nie wypił! To pan nie życzy żołnierzom zdrowia?! W ogóle pan bardzo mało pije. Zapewne dlatego, że szyja tympowrózkiem ściśnięta. Odrzuć pan ten postronek i tą białą podstawkę, spod brody, a zobaczysz, że pójdzie lepiej. Po jakiego licha to wszystko pouczeptał nie rozumiem.

— Da skąd może rozumieć taki, co wyhodował się w muzyckiej rubaszce i pasku z kutasami przy boku — odpalił Blinkiewicz.

— W pasku? A ty w maniszce? — Ty w niej wyglądasz jak ciele wylizane.

— Ty jesteś prostak ostatni!

— A jej, jakie delikatne paniątko! — Ty wiesz na kogo podobny?

— Czego ty leziesz? Czego ty bez przyczyny przydzierasz się do człowieka — ujęła się Karusia.

— Oho! — Pewnie ci po drodze szczecinę do gustu podrapał, że tak się ujmujesz za cywila pierońskiego?

— Taki legionista, co wojuje u Lejby na zajeździe, nie wart cywila!

— U jakiego Lejby?! Co ty plecisz?! — zawołał czerwieniąc się po uszy.

Dalszą wymianę zdań uniemożliwił ogłuszający śpiew białyńskich kobiet:

Da odkryciaż, pakazyciaż!

Da sżoż tam za grafinia.

Da sżoż tam za grafinia,

Da czy budzić dobra haspadynia.

Da czy ni budzić z harszka sala ciahac.

Sala ciahac, w atymalku chawać.

Da Hipolkaż chwaliwsia: za hranicu pajuędu.

Da Hipolkaż chwaliwsia: carsku doczku prywiazu.

Da ahlanisiaż Hipolka na wsih nas —

Da ni lepszaż twaja Hańka za nas.

Blinkiewicz obejrzał się dokoła parę razy niepostrzeżenie, a stwierdzwszy, że żaden z sąsiadów nie obserwuje go, zwrócił się do Karusi tonem poważnym.

— Panna Karolina, ja chcę pannie cości bardzo ważnego powiedzieć.

— Coś bardzo ważnego?! Mów pan prędzej!

— Ja mam wielką elektryczność do panny Karoliny.

— Do mnie elektryczność? Doskonale! Ja do pana taką samą mam. Spojrzał w jej oczy przenikliwie i mówił dalej.

— Jeśli panna Karolina nie kłamie, to my możemy to samo zrobić, co Hańka z Hipolitem Wędlińskim.

— A co oni takiego zrobili? — udała, że go nie rozumie.

— Pożenili się. My tylko to samo możemy zrobić.

— Kiedy? — Toć za dwa dni post się zacznie.

— Teraz zaręczymy się, a ślub wźmiem po Wielkiejnocy.

— A co będzie, gdy przez post cała elektryczność z nas wyjdzie?

— Ze mnie nie wyjdzie. Jej Bohu nie wyjdzie! Ni za post, ni za rok cały.

— Lepiej niechaj i zaręczyny na wiosnę pozostaną.

Izba załała się radosną wrzawą. Smolarscy gospodarze na swym skrzydle toczyli ząarty spór o potęgę mocarstw wojujących. Na sąsiednim rzędzie czterech zawończańskich chłopców pomstowało na okrucieństwa lotewskich krasnoarmijców, pieczętując swe groźby biciem pięścią w stół. Za nimi jędrny brodacz usiłował całować młode sąsiadki, a te broniąc się, krzyczały w niebogłosy. Kobiety białyńskie śpiewały w swym gronie, prawie bez ustanku, weselne przyśpiewki. W głębi, jeden z chutorzanów wygrywał na harmonijce, a drugi, włazłszy swawolnie na rydel, wybijał kozaka. Z kątów dochodził przeraźliwy płacz dzieci i krzyki uspakajania ich. Każdy stał się gadatliwym, każdy krzyczał, gdyż inaczej nie mógł być słyszany.

W powietrzu zebrała się ciężka, woniejąca alkoholem, potrawami i tytoniem zaducha. Pod sufitem wisały obłoki dymu, drząc w rytm wrzawy.

Stary Kantyczka przyszedł do wniosku, iż powinien, jako przedstawiciel duchowny, wezwać rozswawolony tłum do umiarkowania. Przeprosiwszy tedy sąsiadów, opuścił miejsce, wyszedł na środek izby, włazł na taboret i zaczął:

— Kochane dziatki! Można wypić, bo i Pan Jezus, będąc w Kanie Galilejskiej, pił z apostołami, można pośpiewać, poweselić — ale na wszystko trzeba mieć umiarkowanie. Wzywam was...

Stary Huszcza zabeczwał z tyłu, aby przeszkodzić kaznodziei.

— Chrześcijanie jesteście, albo bolszewiki?! — zakrzyczał Kantyczka, poirytowany zuchwałstwem śmiałka.

Wtem nadleciał z głębi spory ochłap galarety i przylgnął mówcy do czoła.

Izba rozległa się śmiechem, rykiem niedźwiedzi, wyciem wilków, rzeniem koni, pianiem kogutów i wszelkich innych zwierząt naśladowaniem.

Kantyczka przeżegnał się, zaklął i wyszedł z izby przepowiadając wielkie nieszczęście z takiego szału.

Wkrótce już nic nie można było rozróżnić; krzyki, śpiew, gwizd, naśladowanie ryku zwierząt, płacz dzieci, szurganie nóg i stołów, brzęk kredensu zlewały się z swawolnym wrzaskiem wyrostków w sieniach, z akordami muzyki w świetlicy, z dudnieniem tancerzy i kipiały wulkanicznym hukiem. Drżały ściany budynku, brzęczały w oknach szyby.

— Panna Karuśka — kontynuował swatanie się Blinkiewicz. — Grafinią za mną będziesz! Co miesiąc będziesz mieć nowe trzewiczki i nową szelkową sukienkę. Futro sprawię z samych kotów morskich. Lato i zimę będę trzymać służanku, aby nie harowała ciężko. Co zechcesz zjesz, co spodobasz kupisz, gdzie zamyślisz pojedziesz, bo jednego konia będę trzymać na stajni. — Mówił i przysuwał się coraz szczelniej, a w końcu objął ramieniem za plecy i przygarnął czule.

— Niech pan weźmie rękę, bo ludzie będą się śmiali — szepnęła, pochyliwszy się mu do ucha.

— Co mówisz lubka?

— Niech pan nie obejmuje mię i mówi ciszej, bo nas obserwują — powtórzyła szeptem, pochyliwszy się jak przedtem, do ucha.

## XVIII

### Z E Ń K O

Smolarska puszcza — bezkresna, głucha, dziewicza. Teren niestały, porwany najdziwniejszymi dolinami — niestałe, różnorodne zalesienie. Co wiorsta, a najczęściej co stajanie, albo nawet i mniej, zmieniają się obszary. Tu ciągnie łąc olchowy, przejrzysty, tu globiasty zagon jedliny mroczonej, tu połać czarnolesia na placu, jak stół równym, tu bór sosnowy, tu kotlina błota zalesionego brzoza, z kałużą wody mętnej, a bezdennej w pośrodku, tu pagóreczek stromy, jakby mogiła olbrzymia przez ludzi usypana — to znowu łęg, lub czarnolesie.

Stoi oto w głębi puszczy gajk sosnowy, szerokości nie więcej, dwóch stajań. Pagóreczek. Drzewa stoją rzadko i same stare, wysokopienne. Widno, jak w polu. Ale dokoła niego teren stacza się w dół i las zmienia. Najpierw idzie brzeźnik stary, kuddami ziemi dostający, za nim leszczyna pomieszana z klonem, grabem i gdzieśdę dębem rosochatym, dalej osina olbrzymia czubami gwiazd dotykająca, podszyta krzami siwej łoży, a jeszcze dalej, jel ciemna.

Brzegiem gajku przeciąga wąska, ledwo utarta drożyna.

Noc późna, wietrzna i mroźna. Drzewa z podmuchem wiatru stękają ponuro, gwizdzą różgami — z dali dochodzą wycia wilków.

Nikt o tej porze nie waży się zapuszczać w głąb puszczy, a jeżeli kogo zagna jakaś nieodzowna konieczność, bierze ze sobą broń i przewodnika.

A jednak oto z pomruku drzew wyłonił się trzask bicza. Po chwili zaskrzyphiały sanie i parsknął koń. Upłynęła jeszcze chwila i ukazały się w przejrzystości gaju sanie z czterema pasażerami. Z przodu dwóch gołowasów — z tyłu starsi. Wojskowi. Na czapkach orzełki, opaski, na płaszczach błyszczące guziki. Na słomie między nimi karabiny i szable.

— Zeńko! Już wyjechaliśmy? — zawołał jeden ze starszych.

— Nie jeszcze, panie plutonowy, — odrzekł gołowas.

Minęli gaj, kęs czarnolesia i zanurzyli się w ciemny jedlany tunel. Drożyna tak się zwężyła, że sanki ocierały się o pnie drzew. Gałęzie z obu stron łączyły się nad głowami szczelnie i przysłaniały niebo. Choć oko wykol.

— Struk, widziałeś ty coś podobnego? — znowu zagadnął plutonowy.

— Piekło prawdziwe — odrzekł równy mu wiekiem.

Ciągnął się tunel blisko stajania, potem nagle zaświeciło i znaleźli się na szerokim łęgu.

— Weź, Janku, lejce, a ja zejde i poprowadzę konia za mordę,

bo zdaje się, tu będzie ten drugi mostek — rzekł Zeńko do towarzysza, siedzącego obok.

— Drugi mostek?! Toż dziad tylko o jednym mówił.

— Nie dosłyszałeś chyba? — Dziad mówił o dwóch.

— Albo ty wariat, albo ja? — Pamiętam dobrze, że mówił o jednym.

— Ja też dobrze pamiętam.

— Niech was chłopcy, szlag trafi! — zaklął plutonowy.

— Za co, panie plutonowy?

— Za to, że was pognano na to piekło. Nie trzebaż było nam gościńcem jechać? Dotąd lekko moglibyśmy w Wończy być.

— W jaki sposób? Toż pan plutonowy na własne uszy słyszał, gdy człowiek w Rudni mówił, że pojechawszy lasami, osiem wiorst drogi skrócimy.

— My już więcej niż dziesięć nałożyliśmy. Głowę dam odciąć, że od paru godzin błądzimy. Tyle tych drożyn mineliśmy!...

— Moglibyśmy jechać na lasy, ale trzeba było wziąć ze sobą chłopca leśnikowego — wtrącił Struk.

— Bezpotrzebny ciężar wozic.

— A lepiej ci się włóczyć po puszczy całą noc?

— Nie bójcie się, nie będziemy się włóczyć.

Rzeczywiście na połowie łągu był mostek. Przeprawili się przezeń i minawszy resztę grobli, znowu puścili konia szparką rysią.

Nie przejechali pół wiorsty, gdy spotkali rozstaje.

— Ot tobie masz — znowu widły! — rzekł Janko rozpaczliwie, wstrzymując konia. — Teraz już i ja przyznam, że zbłądziliśmy.

— Nie zbłądziliśmy, wszystko idzie tak, jak dziad nam mówił — obstawał Zeńko przy swoim. — Wróc w prawo.

— Lepiej w lewo, bo ta szersza.

— Jedźcie szerszą, to może choć gdzieś na leśniczówkę jakąś wybijemy się — rzekł Struk.

— Mówię wam, że trzeba jechać w prawo! — powtórzył Zeńko głosem podniesionym i nie czekając na zgodę towarzyszków, wyrwał z rąk Janka lejce i pojechał mniejszą drożyną.

— Ustąpcie mu, onże frajer — wtrącił ironicznie plutonowy.

Ciągnęło się długie czarnolesie, poprzecinane miejscami wąskimi pasmami olszyny. Drożyna wiła się między pniami, jak wąż i ledwo znaczyła się w śniegu. Plutonowy kłął ustawicznie, a pozostali spoglądali po sobie spoodełba nieprzyjaźnie.

Po paru kwadransach las, jakby siekierą odrąbał, urwał się nagle i stanęli na brzegu szerokiego pola. O dwa stajania majaczyły się sady i budynki. Była to Smolarnia.

— Wieś jakaś! Wieś widać! — zawołali radośnie.

— Jednak Zeńko miał rację — przyznał plutonowy.

— Udało mu się — rzekł Struk. — Uważam, że tu będziemy mogli pospać sobie do dnia — zaproponował.

— To zależy, gdzie znajdujemy się. Jeżeli nie skrzywiliśmy mocno marszruty, to owszem. Trzeba pamiętać, że choćby tam nie wiem co było, na wtorek rano musimy być w Bychowie.

— Do wtorku, panie plutonowy, możemy pieszo zajść.

— Zobaczymy we wsi.

Drożyna z wyjściem na pole, skrzyła w prawo, idąc brzegiem lasu, potem znowu załamała się raptownie w lewo, wzdłuż płotu ostatniej siedziby i przy kołowrocie wybiegała na ulicę.

Zawrócili w pierwsze Bałaszewiczowe wrota, — które stały otworem. — kierując się prosto pod powietkę. W oknach błyszcząły światła, na ganku stał Bronek, najmłodszy syn gospodarza. Ujrawszy wjeżdżające sianie, ruszył żywo ku nim.

— Dobry wieczór legionom — rzekł pierwszy, poznawszy wojskowych.

— Dobry wieczór — odrzekł plutonowy. — Jaka to wieś?

— To jest zaścianek Smolarnia.

— Polski?

— Szczerze polski — panie ułanie.

— Bardzo pięknie. A daleko stąd do Mogilnic?

— Dwadzieścia wiorst będzie.

— Doskonale. Ojciec twój w domu?

— Tata z mamą poszli na wesele. W naszym zaścianku dziś wesele jest.

— Wesele?! — Szturchnął Struka łokciem i rzekł doń półgłosem.

-- Zeńko miał dobry węch.

— Trzeba wołać tatę? — zapytał chłopiec.

— Nie, nie potrzeba. My zaraz sami tam pójdziemy. Pozwól tylko nam ustawić pod powietką konia i umyć w chacie trochę buzie.

— Bardzo proszę. Wszystko pozwolę, co tylko zechcecie.

Struk z Jankiem wzięli się do odkładania konia, a plutonowy z Zeńkiem wyjęli ze słomy broń i poszli z chłopcem do domu.

— Dalekoż od was to wesele? — badał Zeńko chłopca.

— Blisko. Blżej, jak na połowie zaścianku.

— W którym domu, licząc z tego końca, ono będzie?

— W którym? — W piątym... w szóstym... w siódmym, proszę pana. —

— Acha. Więc rodzice poszli się bawić, a ciebie zostawili chaty pilnować? —

— Nie chaty, ale siostry małej, aby pobudziwszy się, nie bała się sama.

— A dużych sióstr nie masz?

— Nie. Mam tylko dwa bratry starsze ode mnie.

— Też na weselu z rodzicami?

— Jeden na weselu, a drugi, starszy pojechał z jeszcze jednym chłopcem z naszego zaścianka do Birek za legionami.

— Za legionami?! Co, może bójka jaka się zdarzyła?

— Nijakiej bójki nie było. Chcą przywieźć ich, ażeby pohulali sobie na weselu.

Plutonowy nastąpił Zeńkowi na nogę znacząco.

— A teraz żadnego legionisty nie ma na weselu? — badał Zeńko dalej. —

— Jest dwóch, ale to rodem z naszej Smolarni.

— Jak oni nazywają się? Może akurat znamy ich.  
— Jeden Józik Oleński, a drugi Walka Tryzno. Znacze?  
— No dosyć już tego śledztwa! — przerwał plutonowy. — Zbierajmy się. Nieśże nam, chłopcze, wodę żywo!

Umyli się wszyscy czterej, uczesali, podglasowali buty, rozładowali karabiny, ustawili je wraz z szablami w kącie nakazawszy chłopakowi, by nikogo z obcych nie wpuszczał do domu, i udali się na wesele.

Na ulicy przed zagrodą Piotrowskiego i w dziedzińcu, ludzi było, jak przed kościołem po nabożeństwie. Część gwarzyła, połączywszy się w gromady, inni przechadzali się z dziewczętami pod rękę, chłodząc się po gorącym tańcu. Pod oknami świeliczy i dokoła ganku, wrzało od wyrostków, kórych z braku miejsca nie wpuszczano do domu.

Z ukazaniem się świeżych wojskowych, gwar zaczął się tłumić.

— Legiony idą! Patrzącie legiony! Ułany!... Ułany jakież idą!  
— szło z ust do ust przytłumionym głosem. — Każdy obracał się ku ścieżce frontem. Kto znajdował się na przejściu, schodził w bok i kłaniał się uchyleciem czapki.

Janko ujął Zeńkę pod ramię i rzekł mu pocichu.

— Ty widzisz jak wszyscy szepczą, pokazując na nas?

— No to co z tego?

— Żeby oni nam, brachu, nie włożyli tu w kość?

— Tureckie gadanie.

— Tureckie gadanie, a czuję, że drzysz cały jak osina.

— Tylko nie ze strachu!

— No, a od czegoż?

— Sam nie wiem, co mi się stało. Jeszcze gdyśmy w lesie byli, zaczęło trząść i duchu w piersiach braknąć. Myślę, że gdzieś wiatr szkodliwy przechwycił.

— Bardzo prosto. Kropniesz tu sobie, to wszystko przejdzie.

W sieniach był taki natłok, że ludzie mimo szczerych chęci, nie mogli rychło uczynić dowolnego przejścia żołnierzom i ci musieli przeciskać się pojedynczo.

— Proszę pana, czy młodzi już przeszli na tańce, czy jeszcze uczują?  
— zwrócił się Zeńko do Władka Winiarskiego, znalazłszy się na linii przejścia ze stołowego do świetlicy.

— Jeszcze uczują, proszę ułana, — odrzekł. — Tam są — wskazał na lewo. — Proszę zachodzić.

— Bez prośby gospodarza nie wypada pchać się ku stołom — zauważył Janko. — Chodźmy tymczasem, gdzie tańczą.

— Tak, tak, chodźmy na tańce — rzekł plutonowy. — Mnie od wczorajszego śniadania wcale nie chce się jeść. Chodźmy chłopcy tańczyć.

Zeńko w międzyczasie podsunął się ku drzwiom stołowego, wspiał się na palce i jał wodzić oczyma po rzędach stołów.

— No i jak tam, brachu, jeszcze nie pożarli wszystkiego? — zapytał Janko.

— Jest coś na stołach?

— Starczy ci, nie bój się — odrzekł, nie przestając przyglądać się biesiadnikom. —

Wtem zagrzmiał z tyłu głos gospodarza.

— Proszę żołnierzyki, proszę! Ja gospodarz was proszę. Tu na lewo proszę. — Hej, tam panowie! Drogę dawajcie prędzej! Ułanki oto złote z Kuncewicz do nas przyjechali. Wojaczki herojskie przyjechali! Drogę prędzej!

Wprowadził i usadowił na prawym skrzydle uroczystego kąta, pomiędzy smolarskimi gospodarzami. Zeńko z Jankiem usiedli od ściany, a pozostali naprzeciwko nich. Służebnice migiem zmieniły nakrycie, kredens i ustawiły świeże mise potraw i butle napoju.

— Tak i nie pogardziliście nami, — mówił Mieczyk, nalewając ułanom pierwsze naczynie. — Bardzo dziękuję wam za to. A my już martwili się, że panowie pojechali gdzieś na inny zaścianek, tak, jak wończańskie żołnierze zrobili. Zapewno późno wyjechaliście z Kuncewicz?

— Zdaje się gospodarzu, między nami nieporozumienie zachodzi — rzekł plutonowy. — Widzę, że pan nas bierze za jakowychś ułanów z Kuncewicz. My nimi nie jesteśmy.

— A, więc panowie nie z Kuncewicz?!

— Nie. My tu przypadkiem do was trafiliśmy. Błądziliśmy parę godzin po tej puszczy piekielnej, co za waszymi sadami i popadliśmy na wasz zaścianek.

— Sami bez nikogo? Jakżeż to panom udało się?

— Udało się jakoś. Ot kreciliśmy się drożynami, kręcili i naraz — pole wasze. Dowiedziawszy się w końcowym domu, że u pana wesele, przyszliśmy obaczyć jak ono się odbywa.

— Bardzo dziękuję ułanom za to. Wielką radość dla mnie tym zrobili i honor. — Ujął kielich w rękę i zwrócił się do publiczności:

— Panowie bracia! Kto rad jest panom ułanom, niechaj krzyknie na ich cześć za mną wiwat i wypije za ich zdrowie kieliszek. — Wiwat ułany! — Wiwat! — powtórzyło kilkadziesiąt gardzieli.

— Niechaj panowie jedzą i piją, żadnej ceremonii i ściśniania się, — prosił.

Droższymi gośćmi dla mnie jesteście, od wszystkich krewnych.

Plutonowy, Struk i Janko wychylili duszkiem swe kielichy i zabrali się z wilczym apetytem do jadła. Zeńko natomiast pociągnął nie więcej jak z naparstek i ustawiwszy naczynie, rozglądał się ciekawie dokoła. —

— Pij brachu, to ci przejdzie wnet wszystko — rzekł Janko.

— Żryj jak masz pod nosem! — mruknął opryskliwie.

— Co mu jest takiego? — zapytał Struk.

— Mówi, że go "traśca trzęsie".

— A, to trzeba kropić.

Jakoż i gospodarz, który nie odstępował od ułanów, zwrócił uwagę na zachowanie się Zeńka.

— A pan czemu nie raczy sie! — zawołał doń. — Może coś niezdrów?

— Zdrow, jak lepiej być nie może — odrzekł. — Niech pan Piotrowski nie zważa na mnie.

Mieczyk wyprostował się zdziwiony, wpatrując się w ułana.

— Co, pan mię zna może? — zapytał.

— Alboż to ja raz w domu dziadzi bawiłem się.

Piotrowski, Ściepuro z żoną, którzy siedzieli po lewej stronie Zeńki, tudzież wszyscy trzej ułani patrzyli nań zdumieni.

— Mnie, jak tylko pan tu usiadł, wydało się, że człowiek znajomy rzekł Ściepuro. — Coś jakby Wasilewskiego syn...

— To prawda, że bardzo do niego podobny — przyznał Mieczyk — ale czyż to może być? ... Mówże waść prędzej, kim jesteś, bo niecierpliwie się!

— Tym, do kogo podobny.

— Kościk Wasilewski?

— Tak, — on we własnej osobie. I cóż słyhać tu u was?

— Jezus Maria! — krzyknął. — Jakżeż to?... Więc ty znowu do swoich wróciłeś?!

— Jak to znowu do swoich?

— Da przecież cała okolica wie, iż przed rokiem przeszedłeś z legionów w bolszewiki.

Z kolei ogarnęło zdumienie Kościka.

— Ja miałem przechodzić w bolszewiki?! Matko Chrystusowa! Któż to taką hańbę na mnie puścił?! Któż to taką podłość wymyślił?! Ja w bolszewiki...

— Kościk się znalazł! Kościk Wasilewski przyjechał! Znowu w legionach służy!... Ułanem jest!... Hen, przy starym Ściepurze siedzi! — poszło od stołu do stołu.

— Więc ty nie jesteś Zeńkiem Makarewiczem? — rzekł plutonowy.

— Nie, panie plutonowy. Jestem Konstantym Wasilewskim. Był powód, że musiałem używać nazwiska przybranego. Myślę jednak, że ani Ojczyźnie zła tym nie uczyniłem, ani też nie splamiłem munduru. Pan plutonowy dobrze wie, jakem ja służył.

, — Wiem i nic przeciwko tobie nie mówię.

— Więc proszę poświadczyć, czy ja przechodziłem w bolszewiki czy nie. Proszę panie plutonowy!

Plutonowy powstał, poprosił o ciszę obecnych i zaczął:

— Szanowni panowie! Ja plutonowy Krechowieckiego pułku ułanów oświadczam, że oto ten ułan, w którym poznaniecie Wasilewskiego, służył ze mną w jednym szwadronie od jesieni roku 1915. Przez ten cały czas, ani jeden tydzień nie odłączał się ze szwadronu. Służbę pełnił wiernie i męsko, biorąc udział co najmniej w czterdziestu bitwach, za co dostał awans na starszego ułana i liczne odznaczenia. To co powiedziałem, mogę w każdej chwili powtórzyć pod przysięgą i to samo mogą uczynić oficerowie naszego pułku.

Izba zagrzmiała krzykiem na cześć Kościka i oklaskami. Kto był blisko, wyciągał dłoń do uścisku, inni witali z dala słowami i gestem.

Kościk pochylił się na stół, zaglądając do Karusi. — Wodziła wzrokiem po wszystkich czterech, jakby nie mogła go poznać; na twarzy malowało się zakłopotanie i niepokój. — Patrzył na nią chwilę myśląc, że w końcu spojrzy mu w oczy i odezwie się, ale poznawszy, iż go rozmyślnie unika, pierwszy zawołał.

— Dobry wieczór, panno Karolina!

— Dobry wieczór, — odrzekła bojaźliwie, rumieniając się wstydliwie.  
— Nie może mię pani coś poznać? — A ja panią to poznałem, gdy byłem jeszcze w sieniach.

Gdy skończyły się witania, Janko zwracając się do Kościka, rzekł.

— Ależ i cwany psiakrew jesteś! — Włoczyłeś nas po znajomym lesie takimi drożynami, aby zawadzić o swój zaścianek, a nam bujałeś, że to dziad tak kazał jechać. Od tego cię i traśca trzęśta. Cwanyś nie ma co.

## XIX

### KOMPLIKACJE

W trzy kwadransy po przybyciu ułanów, uczta się skończyła i młodzi wraz z drużbą przeszli do świetlicy na tańce. Ułani również podążyli za nimi. Plutonowy ze Strukiem i Jankiem usiedli podług muzykantów, przyglądając się grze na cymbałach, a Kościk pozostał w tłumie przy progu. Chłopcy rojem doń cisnęli się, witając serdecznym uściskiem i gratulując ułaństwa, awansu i odznaczeń. Nawet wrogowie dawniejsi i ci zdawali się przebaczać się urazy i brali go w ramiona, ofiarując swą przyjaźń. Józik Oleński, który dawniej w łyżce wody Kościka by utopił, też nie omieszkął podejść.

— Jak Boga kocham z całego serca rad jestem, że ciebie żywego i pomiędzy naszą bracią żołnierską widzę! — rzekł, uściskawszy Kościka z całej mocy. —

— No, ależ i odmieniłeś się, brachu. Głowę daję odciąć, że ani ojciec ciebie nie pozna.

Ty może czujesz coś do mnie za dawniejsze?

— Ależ, broń Boże, braciszku! — zawołał rozczulony.

— No, to i dobrze. Odłąd będziemy pierwszymi z tobą przyjaciółmi. — Tu pochylił się do ucha. — Mam ci coś bardzo ważnego o Bylinie twej powiedzieć. —

— O Karusi?! Co takiego? Mów prędzej!

— Trochę później i gdzieś na osobności. Gdy młodzi skończą swój kadryl, gospodarze będą prosić do tańca nas legionistów, więc musimy być obecni.

— Nas legionistów specjalnie?

— Tak. A co może nie zasłużyliśmy, ażeby odróżniali nas od cywilności? Dostyc, brachu, naharowaliśmy się wojując, dostyc natłukliśmy się z tym chamstwem heretyckim za wyzwolenie kraju.

Jakoż rzeczywiście, po skończonym kadrylu, Otton wyszedł na plac i zakomenderował:

— Szanowni panowie! Proszę na chwilę się powstrzymać, gdyż teraz będą tańczyć sami panowie legionieści.

— Panowie ułani, pan Walko, pan Józef — prosimy.

Muzykanci zaczęli stroić struny, a legionieści wychodzili na plac.

Lubo było spojrzeć na chłopców, — rośli jak jeden, dziarscy, wystrojeni. Nowiusieńskie ochronnego koloru garnitury, jak ulane leżały na każdym. Najwięcej imponowały stroje ułańskie. — Bluzy gładkie, na kołnierzach jaskrawe chorągiewki, spodnie w udach szerokie z podwój-

nymi amarantowymi lampasami, pasy czerwone z pomocniczym rzemie-  
niem przez ramię i spadającymi na udo rapcami, buty wysokie, połyskli-  
we, na piętach ostrogi. Plutonowemu i Kościkowi lśniły się na piersiach  
jaskrawe wstążeczki.

Kościk przewyższał kolegów postawą i urodą. — Wysoki, pleczysty,  
w pasie cienki, równy jak struna. Twarz ogorzała wichrem, męska, a sym-  
patyczna. Czupryna gęsta, uczesana na polkę, brewy obfita, oczy piwne,  
duże, szczerze, na wardze ledwo znaczącej się, ciemny wąsik, usta ułożone  
do uśmiechu. Smutny był w duszy, a zdawało się, że się uśmiecha.

Sto oczu patrzyła nań z zachwytem, kilkadziesiąt dziewcząt, patrząc  
na niego wzdychało tęsknie.

— Co panowie każą sobie zagrać? — zapytał Otton.

— Choć co — odrzekł Struk. — Co zagrają, to my zatańczymy.

— Każ zagrać Obertasa — wymienił, aby się pochwalić znawstwem  
polskich tańców, Józik Oleński.

— Nie, na Oberka ja dziś trochę zmęczony jestem, — zaprotestował  
plutonowy.

— Lepiej coś lekkiego.

— Zagrajcie walczyka: Widziałem Jelenia! — rzucił Józik bezpośre-  
dni rozkaz muzykantom.

Gdy zagrano, żołnierze rozbiegli się brać damy. — Plutonowy popro-  
sił panią młodą, Józik swoją Zoskę, Struk Polkę Winiarską. Walka Kasie,  
a Janko kierował się do Karusi, ale Kościk zatrzymał go.

— Którą zamierzasz? — zapytał po cichu.

— Tą, którą zasłania przed nami ten kleryk — odrzekł. — Widzisz?

— Zostaw ją na teraz; ja chcę z nią pomówić.

— A, to twoja! No to zarekomenduj inną jakąś cieplejszą. —

Kościk wskazał niepostrzeżenie koledze starszą Szczebiotkę i podążył  
ku Karusi. — Podszedł, trzasnął po wojskowemu obcasem i uklonił się  
nisko. Karusia uczyniła ruch do powstania, ale Blinkiewicz przytrzymał  
ją za rękę i rzekł do Kościka:

— Przepraszam pana, to jest moja narzeczona; ja z nią będę tań-  
cować. Kościk uczuł, jakby go szwajką ktoś w serce pchnął. Postać rywala  
wydała mu się potworem obrzydliwym. — Miał przez moment szaloną  
chęć porwać go za szyję i udusić na śmierć. Ale zgrzytnął tylko zębami,  
spojrzał nienawistnie i rzekł:

— Samo narzeczeństwo nie odbiera pannie prawa tańczenia z inną  
osobą. —

Proszę panno Karolino, — powtórzył drugi raz, kłaniając się.

— Ja dla pana mogę na jeden raz odpuścić — ustąpił spostrzegłszy,  
że ułanowi źle patrzy z oczu. — Bierz pan.

Kościk wyprowadził Karusie do koła obrócił się w tańcu parę razy  
w jedną i drugą stronę i zaczął:

— Karusieńko moja! Prawdąż to, co ten człowiek powiedział?

Spojrzała mu żałośnie w oczy, ale nie odpowiedziała.

— Więc takż ty! — A jaż ci wierny był jak pies. Jam dnia nie miał,  
bym o tobie nie myślał, nie wzdychał — nocki, bym nie śnił. Jam przez  
pół trzecia roku nie tylko dziewczyny sobie żadnej nie miał, ale żadnego  
razu na wieczorynce nie byłem chociaż koledzy ze mnie za to kpili, mni-

chem nazywając. Nic mi nie było mile bez ciebie. Tęskniłem za tobą dziesięć razy więcej, niż za matką swoją i Potoką.

A ty przez ten czas nie wspomniałaś nawet o mnie, nie spytałaś nikogo, gdzie ja jestem, czy ja w turmie, czy na wolności, czy ja żyw czy martwy. Bawiłaś się sobie wesoło, prowadziłaś z chłopcami kochanie. Wstępnym ci był zabijaka, ale niechajbyś pomyślała, że ja tym zabijaką zostałem przez obronę ciebie. Niechajbyś policzyła, ile razy ja za ciebie głowę podstawiałem, ilem ci dobroci uczynił i za to chociaż jedno pocieszne słówko mnie na tułactwo przysłałaś. Wiedziałaś, jak do mnie przestać i z jakim upragnieniem ja tego pocieszenia od ciebie czekam...

Znowu okręcił parę razy i potem dalej mówił.

— A jam głupi, łudziłem się do ostatniej chwili. Myślałem, że nie wszystko prawda jest, co mnie o tobie donoszą. — Myślałem, że chociaż bawisz się z chłopcami dla wesołości, jednak w duszy pamiętasz o mnie i do mego powrotu z nikim prawdziwego kochania nie zawiązesz. Że gdy Pan Bóg pozwoли kiedyś, po wyzwoleniu Ojczyzny wrócić żywemu do domu, dowiodę ci iż sława moja nie gorsza ludzkiej i ty, będąc wolną, pokochasz mnie sprawiedliwie. A tyś ot jak zrobiła... Bodajby mnie bolszewiki byli na drobne kawałki posiekli, nim miałem ciebie w objęciach tego złoza na miłosnych szeptach oglądać!...

Z oczu Karusinych potoczyły się łzy struga.

— No i czegoż płaczesz? Bił cię przecież za to nie będę.

Miał więcej przygotowanych słów skargi, ale młodzież, zauważywszy płacz Karusi, zaczęła gapić się na nich natrętnie, więc zaniechał. Przeszedł szparkim wirem na przeciwległość Blinkiewicza, stanął i odprowadziwszy ją ku niemu, ukłonił się obojgu przesadnie.

Nie zdążył wyjść z placu, gdy Struk krzyknął muzykantom: — grać polkę. Plutonowy z panią młodą wycofali się z koła, a pozostali czterej puścili się do nowego tańca żywszym rytmem.

Kościk, nie namyślając się długo, skierował się ku Hańce.

Wskoczyła z siedzenia wcześniej, niż ukłonił się jej i przyłgnąwszy doń, pociągnęła z miejsca w krążenie.

— Trochę nieładnie z mej strony, — należało choć słowo powiedzieć mężowi pani — rzekł.

— Obejdzie się. Takiz mąż, takiz ważna osoba — odrzekła tonem pogardy.

— Cóż to pani tak lekceważy swego męża? Niechętna mu?

— Ja mu chętna?! Dziwię się, że mię o to pytasz...

— No i cóż ci tam Karusia łąga?

— Nic mi nie powiedziała absolutnie.

— Chytra ona. — Rozplakała się, byś uwierzył, że niewinna. Myśli, że nie wiesz o jej kręceniu.

— Słowem jednym nie odezwała się do mnie.

— Bo boi się. Nie wiesz ty jeszcze o niej wszystkiego.

Czemu ty mi Kościzzek nie odpisałeś?

— Ja? — Nikomu nie pisałem. Wprzód nie mogłem przez tego sapersa z okopów drania, potem — jak sama wiesz — nastalo to bezholowie...

— Gdybym choć jedno słówko od ciebie dostała, gdyby choć nie ta podłość, o przejściu twoim w bolszewiki była puszczona — nie poszłabym

za tego człowieka. Dziesięć lat czekałabym na ciebie, gdybym choć jakąś małą nadzieję miała. Kościczku! Żadna dziewczyna ciebie nie kocha tak, jak ja, z żadną nie byłbyś tak szczęśliwy, jak ze mną. Ach, gdybyś ty mógł zajrzeć w serce moje!...

O czy jej napełniły się łzami, policzki mieniącym się rumieńcem, pierś falowaniem zdawała się odzież rozsadzać.

— Chcesz, to teraz z wesela rzuce go i pójdę z tobą. Weź mię Kościku złoty! Małżeństwa z tym człowiekiem jest tyle, żeśmy na jednych sankach z kościoła przyjechali. Weź mię!

— Dokąd? Przecież służę...

— Zawieź mię tylko do Bobrujska, a więcej kłopotu ze mną nie będziesz miał; sama sobie zarobię na pomieszczenie i na życie. Tylko zawieź mię!

— Ależ Hańko! Pomyśl jakiej nieprzyjemności twemu ojcu i siostrze tym narobimy, jaki powstanie z tego skandal.

— Nie dbam o nich. Weź mię!

— Do czego to będzie wyglądało? — Przecież wzięłaś ślub formalny w kościele.

— Gardzisz mną? ... Ona ci milejszą zawsze jest. Kręci się ciągle z innymi, ciągle oszukuje ciebie, za podmiotek swój ma — a ty wciąż ganiaz za nią. Inny by dawno plunął na taką...

— Oszukiwała mię, niewdzięcznica, nie ma co. A z tym dawno już związała się?

— Kogo masz na myśli?

— Jak to kogo mam na myśli? Przecież ten jej družba powiedział mi, że ona już jego narzeczoną.

— Powiedział? Ma się rozumieć narzeczoną. Po Wielkiejnocy ślub wezmą. —

Rok już prędko będzie, odkąd zaczęli giszef z sobą prowadzić.

— Ot jak! No i za czym ona się goni, co w nim ponętne znalazła?

— Bogactwo. Folwarczek mówią piękny ma.

— Fałszywa! Tyle razy mi mówiła, że na bogactwo nie jest łakoma.

— Długa to i ciekawa historia o ich romansie. Zejdźmy gdzie na osobność, to ci podrobnie opowiem: jak oni w Mohilewie na św. Antoniego się poznali, gdzie oni jakie randki mieli i co podczas nich wyrabiali. Dwie tylko osoby w Smolarni jest, które o tym wiedzą. Zejdźmy na osobność, to ci wszystko opowiem.

— Gdzie teraz takie miejsce można znaleźć przy tym tłumie.

— Ajej, mały to zaścianek. Ot można na przykład, w łaźni naszej.

— Chyba żartujesz? — rzekł, patrząc na nią ze zdziwieniem.

— Bez nijakich żartów mówię. Powinien tam jeszcze być duch ciepły po wczorajszym paleniu, tedy możemy jak w chacie siedzieć.

— No, a jak kto zobaczy i mężowi o tym powie? Pomyślałaś jako z tego wyjdzie awantura?

— Jakież z ciebie ułan, jeżeli awantury się boisz?

Nie bój się, można tak zrobić, że nikt nie będzie widział. Weź, poczekawszy trochę po tym tańcu, swój płaszcz, pójdź potocką drożyną ku lasowi — niby to do domu swojego, okraj granicą siedziby, aż do naszych ogrodów i między jedlinki co na miedzy od stryjenki, przebierzesz się

niewidoczny ku samej łaźni. Ja wdzieję kozuch długi i przekradnę się inną stroną niepostrzeżona. Żadnej awantury nie będzie.

— Możeby gdzieś indziej — bronił się.

— Nie, złoty, najlepiej będzie w łaźni. Zejdziemy się, jak powiedziałam, posłuchaj mię! — błagała ze łzami. — Posłuchaj, niech to będzie nagrodą za moją tęsknotę, za moje wdychanie za tobą!...

Wymógłszy zgodę jego, zaczęła opowiadać o wrażeniu wśród młodzieży wywołanym pogłoską o przejściu jego na stronę bolszewików, ale wnet urwała się muzyka. Gdy odprowadzał ją do męża, szepnęła mu jeszcze raz:

— Pamiętaj: za pół godziny musisz tam być.

## XX

### DOBRA PRZYJACIÓŁKA

Co, on może czymś straszył, że Karolinka płacze? — zaczął Blinkiewicz, gdy Kościk się oddalił.

— Ni on straszył, ni ja płacze — odrzekła nie patrząc nań.

— Całe licka od łez mokre — i jeszcze — nie płacze. Proszę nie kryć przede mną. Jeżeli coś takiego... to ja jemu pokażę! Ja nie popatrzę ni na jego lampasy, ni na jego wułaństwo. Kto on taki przychodzi się Karolinco!

— Znajomy jak i wszystkim.

— Karolinka myśli, że ja ślepy. Toż gdy tylko usłyszała jego imię, cała zmieniła się na twarzy. To kawaler dawniejszy?

— Mówię, że znajomy.

— Nieprawda. Niechaj Karolinka nie boi się; ja nie będę za to się gniewać. —

Najlepiej przed sprawą wyznać, kto i jakie z kim miał "snoszenie", aby potem nie było między nami niedorozumienia. Mocno się lubiła?

— Jaki panu interes?! — wybuchnęła. — Jakim prawem pan mię nazwał narzeczoną przed tym legionistą?!

Blinkiewicz wybałuszył oczy ze zdumienia.

— Wot jak! — wymówił głucho po pauzie. — Znaczy się Karolinka już wraca się ze swoimi słowami nazad. Czemuż to tak?

— Z jakimi słowami? Co ja prosiłam nazywać narzeczoną?!

— Nie prosiła, ale zgadzała się być.

— Panu tylko tak się zdaje.

— Jej Bohu zgadzała się. To przez tego wułana odwróciła się ode mnie. Skąd ich cholera nagnala? Na co im taki honor robią?

Panno Karolinko, nie odrzucaj się ode mnie! Karolinka myśli, że frajter to jest bardzo wielki "czyn". Że on zawsze będzie chodzić w tych lampasach i szporach. — Odsłuży i znowu wróci na gospodarkę. Czy on chociaż ma dobrą gospodarkę?

— Gospodarkę? — Czemu nie...

— A ziemi dużo ma? —

— Ziemi? — Dużo ma.

Odpowiadała na jego żarliwe prośby i perswazje bezmyślnymi słowa-

mi i wodziła oczami za Kościkiem z Hańką, usiłując odgadnąć temat ich rozmowy. Po ciągłym i jakby skrytym zerkaniu na nią Hańki podczas namiętnych szeptów, domyślała się, że ją przed Kościkiem potępia. Gdy Kościk odprowadził ją do męża, Karusia udała się ku niej.

— O czymże tak szczerze gadaliście?

— O wszystkim — i można powiedzieć o niczym: on mi opowiadał trochę o wojence, — a ja mu — to owo o domu.

— A co on ci o mnie mówił?

— O tobie? — Nic takiego ważnego. Chwalił tylko narzeczonego twójgo. —

— Blinkiewicza?! I ty nie zaprzeczyłaś temu?

— A skąd wiem, co między wami jest?

— Niech sobie myśli i robi co chce, ale musi dowiedzieć się, że to nieprawda rzekła powstając.

— Dokąd chcesz iść? Siadaj! — usadowiła ją z powrotem koło siebie.

— Ja żartuję. — Powiedziałam mu, że nie może być, abyście zostali narzeczonymi, bo dopiero znacie się od wczoraj. Uwierzył mi i powiedział, że raniem przyjdzie do ciebie do domu.

— Szczerze to mówisz?

— Jak Boga Kocham! — powiedziała na głos, a w myśli dodała: Opuść mi Panie Jezu!

— No, to dziękuję ci, złotka, za to! — rzekła radośnie z wdzięczności uciśnęła przyjaciółkę czule za plecy. — Wiesz, sama nie wiem co mi się stało było: chciałam do niego mówić i nijak nie mogłam. Jakieś przełknięcie mię było wzięło, jakieś zamotanie myśli.

— To jest detynacja — objaśnia Hańka. — Mnie już w życiu kilka razy tak samo zdarzało się.

— A mnie przedtem tylko raz, gdy ksiądz Bujnowski, jeżdżąc przed wojną po kołędzie, pytał się u mnie katechizmu. A teraz, ot drugi raz.

— Jakże on tobie podobał się?

— Jak on wyładniał! Jak mu uchodzi w tym! . . . Jak on umie mówić!

— Gdyby na Blinkiewicza to wszystko włożył, byłby jeszcze zgrabniejszy. —

— A idźże ty ze swoim Blinkiewiczem! Niczym on mi się nie podoba.

— Prawda? — A onże nieboraczek myśli, że za nim ducha ronisz. Nie daj mu chociaż poznać, że ci niemiły; zwódź go dalej.

Spocstrzegły, że Blinkiewicz patrzy na nich, dała mu znak, by się zbliżył. —

— Czy pan Hilary nie zauważył, że ułani wzięli druhnę pana na oko sobie? — rzekła doń.

— Chwalić Boga, nie ślepy jestem.

— Więc czemu nie trzyma się jej! Czemu nie pilnuje! Toż raz dwa mogą ją panu odebrać.

— Trudno pilnować, jeżeli panna Karolina do ułanów rwie.

— Sama rwie. Myślę, że nie ma tu takiej dziewczyny, która by się nie rwała do tych lampasów; ale kawaler, szczerze dbający o swoją pannę, powinien starać się ze wszystkich sił, aby mu się nie wyrwała. Siadaj na moje miejsce i pilnuj!

Wstała, szepnęła mężowi coś na ucho i oddaliła się.

## SZELMA

Odprowadziwszy Hańkę mężowi, Kościak wrócił do grona smolarskich cywilnych chłopców, dopytując się o powrót Stacha.

— Nie ma jeszcze, — oznajmił Józik, który wycofał się z tańców parę minut wcześniej i czatował na Kościaka w tłumie. — Gdy wróci, sam ciebie odszuka. Chodźmy, brachu, do nas — pociągnął go za rękaw.

— Drogę, chłopcy, drogę dawać! Uważajcie kto idzie! — wołał na całe gardło, rozpychając grubiańsko łokciami. — No, ależ i napchało się tego tałałajstwa, że ani precisnąć się człowiekowi — zauważył.

— Ty może już i beze mnie o czymkolwiek dowiedział się? — zaczął gdy znaleźli się na ulicy.

Kościak machnął ręką niedbale.

— No, nie machaj póki nie dowiesz się o wszystkim, nie machaj. Mówił ci już kto, jak oni obejmowali się bezwstydnie za stołem?

— To ja sam widziałem z sieni. Jeżeli za dwa miesiące mają spać już razem, to jakie dziwo, że się obejmują.

— A któż to taki zdążył cię już powiadomić, że za dwa miesiące spać mają razem? — zapytał po chwili namysłu. — Karusia sama czy Hańka?

— Drużbant jej powiedział, że są narzeczeni, a Hańka, że po Wielkiejnocy będzie ślub; Karusia do mnie słowem nie odezwała się.

— I co ci jeszcze Hańka mówiła?

— Że już blisko rok, jak poznali się ze sobą, że mieli randki itd. Obiecała przy sposobności opowiedzieć wszystko podrobnie.

W całym domu Oleńskich nie słyhać było żywej duszy, ale w świetlicy znaleźli dla siebie pewne przygotowania. — Nad stołem paliła się lampa przykryta na mdło, pod obrusem stał talerz słoniny surowej, pokrajanej na skrawki, taca chleba, miska ogórków i kredens jak na dwie osoby.

— Załóż, brachu — wskazał ręką za stół, podręciwszy światło. Zdjął ze stołu obrus, pokrywający potrawy, potem pochylił się pod ławę, wyjął butlę jęczmieniówki, odkorkował, napełnił kielichy i usadowiłszy się naprzeciwko gościa, wznowił przerwana na ulicy rozmowę.

— Ot brachu, jaka sprawiedliwość na świecie! Ty służ, wojuj, haruj, broń cywilowi gardła i mienia jego — a on ci za to dziewczyny uprowadza, w oczy szydzi. Taką zapłata dla nas legionistów!... taka wdzięczność!

— No, napijmy się, brachu, za początek naszej drużby, na króstę bolszewikom, na chorobę Blinkiewiczowi. Daj nam Boże!...

— Na zdrowie i szczęście twoje przyjacielu! — ujmując skwapliwie kielich, odrzekł. Wypróżnił duszkiem i znowu podstawił. — Należ mi jednym zachodem jeszcze jedną. Tak mi smętno, tak mi trudno, — że wytrzymać nie mogę. Cały świat mi niemiły. Zdaje się rzuciłbym się w jakąś przepaść, w jakiś ogień piekielny, aby zginąć z kośćmi razem!

— Wierzę ci, brachu, wierzę — mówił służąc. — Moją Zośkę nie przyrównać do Byliny i to gdy pomyślę, że ją tak samo może kiedyś cywil

zafasować, — to serce jak skwarka na patelni zaskwarczy. A twojaż taka kraska, taki aniołek!

Kościk westchnął boleśnie. Wypił drugą i znowu podstawił.

— Nalej mi jeszcze jedną. Pali jak ogniem koło serca.

— Czemuż nie będzie palić po takiej stracie — szczył, podlewając. — Żeby chociaż ktoś z wiary legińskiej, albo ktoś z naszych smolarskich cywilów uczciwą miłością ją odebrał, wtedy by człowiekowi mniejszy żal było; ale to taki chamski złość białyński i to jeszcze oszukaństwem takim podłym zdobył dziecko, żeby go nagła krew zalała, nim wyjedzie ze Smolarni!

— Jakim oszukaństwem?! — zawołał, zbladłszy jak płótno.

— A to ty nie wiesz jeszcze o tym? — Lekarstwem szelmowskim ją zdobył. Konowałem przy wojsku służył i zna się łotr na wszelkich lekach. Pierwszy raz, mówią, podsunął jej lubczyku na cukierkach, aby w nim się rozmiłowała, potem dawał odwaru z siniego kamienia, mieszanego z jakimiś kroplami, by mu szelmie popuszczą. Po sprawiedliwości, to on powinien w kryminale siedzieć.

— Zniewolił ją?! — ryknął, przewracając niesamowicie białkami.

— Ludzie mówią tak: jeżeli nie ujmiesz człowieka za rękę — nie mów, że on złodziej; jeżeli nie ciągniesz chłopca za nogę, — nie oskarżaj go o grzech z dziewczyną; ale jeżeli raz, drugi i trzeci złapie się jakąś parę sam na saw w krzakach, albo zamkniętą na klucz w pokoju, to przecież głupi się domyśli, że bez tego... nie obchodzą się. Nie będę ci powtarzał wszystkich historii, jakie o tym słyszałem; wystarczy jeżeli ci opowiem, co zaszło wczoraj w Mogilnicu. — Tu trzeba do ślubu stawić, a Blinkiewicz z Karusią nie ma. Oni na plebanie — nie ma. Oni do organisty — nie ma. Oni tu, oni tam — jak w wodę. Dwie godziny szukali, całe miasteczko przebrali, aż w końcu u Łotysza zamkniętych w osobnym pokoju znaleźli. Spytaj kogo chcesz, o której godzinie od ślubu wrócili.

— Czemu ty mi od razu tego nie powiedziałaś?! — zaryczał Kościk, wysuwając się zza stołu pośpiesznie.

— Nie gorączkuj się, druhu, nie śpiesz. Co zamierzasz robić?

— Zabiję potwora, zetrę go na miazgi! — krzyczał, bijąc pięścią w stół.

— Wystarczy jeżeli mordę dobrze zbijesz i żebra policzysz. Trzeba brachu mieć wzgląd na dziadzię. Piotrowskiego, na jego dom.

— W domu nie będę się bił: wywę go w pole na pojedynek i tam zabiję. Dam mu do wyboru: chce na karabiny — na karabiny, chce na szable — będziemy na szable.

— I myślisz, że on pójdzie z tobą?

— Jak to nie pójdzie! Przecież szlachcic podobno jest.

— Dałby Bóg chociaż na dziedziniec wywabić jakoś. Siadaj, skończymy to, co jest i naradzimy się dobrze.

## TANIEC Z ŻALU

Karusia pozostawała przy Blinkiewiczzu dręcząc się. Zapewnienia Hańki o rzekomym wyjaśnieniu komplikacji, nie uspakajały ją. Po-chlebne i gorliwe opiniowanie o Blinkiewiczzu, tudzież prośba, by go kokietowała, budziły w niej podejrzenie o knowanie jakowejś intrygi. W uszach brzmiała uporczywie skarga Kościka, budząc wyrzuty sumienia. Ogarniał ją żal, wstyd i gniew porywał na samą siebie za tremę. A tu jeszcze ten, siedząc przy boku, dokuczał swymi propozycjami. Sama nie wiedziała, jak się zachowywać nadal wobec niego: czy, stosując się do Hańczynej prośby, tolerować jego umizgi, czy wyznać mu szczerze swe względem niego uczucia, by człowiek nie miał złudzeń. Jak na szpilkach siedziała.

Czas upływał, a Hańka tymczasem nie wracała.

— Gdzie pańska żona poszła? — zapytała Karusia.

— Poszła drugą sukienkę nałożyć — odrzekł.

— I tak długo nie wraca.

— Da ja i sam nie wiem czemu nie wraca. Może by panienska scho-dziła poszukać z łaski swojej.

— Szwagierka poszli, a nie, to sam idź, — sprzeciwił się Blinkiewicz.

— Zaraz zagrają Lizinku, to my z Karolinką tańcować pójdziem.

Jak już teraz Karolinka nie posłucha, to grzech dla niej śmiertelny będzie.

Ile tańców grano, do każdego ją prosił, nie zrażając się jej ciągłą odmową. Lecz w końcu zgodziła się pójść. Węgierkę grali.

Razu nie okrzykli placu, gdy Otton zatrzymał muzykę.

— Szanowni kawalerowie i panny! — rzekł. — Proszę o powstrzymanie się z tańcami na jakieś kilkanaście minut. Prosi o plac starszy ułan krechowiecki, rycerz z czterdziestu bitew i drużyna nasz serdeczny, pan Konstanty Wasilewski. — Panie Konstanty, proszę!

Kościk wysunął się z tłumu, ujął w boki, potrząsnął głową, odrzucając powichrzoną czuprynę w tył i krzyknął w stronę muzykantów: — Polkę! Ale taką żeby dym poszedł!

Skrzypacze zaczęli naciągać struny, a on ją wodzić oczyma dokoła, szukając sobie towarzyszek.

— Bylinę weźmie. Z Byliną pójdzie. Ot zobaczycie, że ją weźmie, — poszły pomiędzy dziewczętami szepty.

Karusia uczuła gwałtowne kołatanie serca, brak tchu i dreszcz po całym ciele. Patrzyła z zachwytem i lekkiem jakowymś, układając pospiesznie słowa pokajania. Zdecydowana była sama zacząć rozmowę.

— Nie idź z nim, Karolinka, on pijany widać — błagał Blinkiewicz. — Jej Bohu widać pijany. Jeżeliby on coś takiego... to my go tu z Hipolkiem... Nie idź Broń Boże! —

Ale Kościk ani zatrzymał się oczyma na Karusi. Przepatrzył raz dokoła, drugi i — ku ogólnemu zdziwieniu, skierował się ku Michalinie.

— Naśmieszkę chcesz ze mnie robić? — powiedziała. — Nie pójdę. Mało masz dziewcząt sobie?

— Żadnej naśmieszki nie myślę robić — odrzekł. — Proszę, pani Michalinko! — pokłonił się jeszcze raz i ucałował rękę.

Popatrzyła mu uważnie w oczy i powstała.

Muzykańci już rznęli. Kościk wyprowadził towarzyszkę na plac, stanął, posłuchał muzyki, powążył, a potem naraz tupnął nogą i potoczył się, niby bączek puszczony z dłoni, na posadzkę. Prawą ręką ujmował zgrabnie panią, lewą wspierał po uafńsku na pasie, kroki stawiał krótkie, zwroty czynił w miejscu, bez podskoków — i wirował szybko, a równo, że szklanka wody na głowie mogła ustać, że — lubo było patrzeć i ochota porywała do naśladowania.

Jakoż Struk z Walkiem nie wytrzymali i poprosiwszy najukładniejsze dziewczęta do polki, puścili się z Kościkiem w zawody.

— Wykurzimy ich, Michalinko, — rzekł Kościk i zaraz zakomenderował:

— Koledzy, w tył i w lewo! Muzykanci, żywiej!

Grzmotnął nogą, że aż szyby w oknach zabrzęczały, i poniósł się wichrem, w podanym przez się kierunku, ze zdwojoną szybkością.

Teraz nie można już było, ani tempa dosłyszeć, ani nóg spostrzec: wiercił się tylko i warczał młyńskim hukiem jeden słup migotliwy w połysk butów i desenie lampasów i spódnicy; od stuku ściany drżały, od wiatru huśtał się u góry pajak i chorągiewki. Strach było zbliżyć się i strach było nawet patrzeć na nich.

Pięć minut nie minęło pozostali znowu sami na placu.

— Brawo, Kościk! Brawo, ułańczyk! — zaaklamowała młodzież, stojąca zwartą masą dokoła.

Ale rozhasany ułan już nie zwalniał pędu, przeciwnie — podganiał muzykantów i coraz szybciej wirował. Czasami zdawało się, że już wała się na ziemię, już mają runąć, ale zaraz patrzą — wykręcają się mistrzowskim zwrotem, prostują powoli, potem zmieniają nagle kierunek i znowu szybują jak przedtem.

Co żyło w domu pchało się popatrzeć na taniec rycerza z czterdziestu bitew. Jedni wspinali się na palce, drudzy wślizli z nogami na kanapy. Wyrostki za oknami brali jedni drugich na barki.

Gospodarz wypchnął się aż do placu i bijąc w dłonie, wołał:

— Ot chłopczyk! Ot ułańczyk! Ot zuch! Gdybym syna takiego, albo zięcia miał, to bym parobkiem u niego do śmierci służył; Nasz-że smolarski on! Toż nasz pupsik taki udały!...

— To nie jest delikatny taniec, Karolinko — mówił Blinkiewicz, starając się zmniejszyć w jej oczach wartość rywala. — Tak tylko proste muzyki skaczą. Ja potrafię jeszcze prędzej od niego kręcić, ale to niedelikatnie. —

Nie odpowiadała mu i nie słuchała go. Odkąd wyszedł Kościk na plac, wszystkimi zmysłami, całą duszą była przy nim; odczuwała jego każdy zwrot, każde powichnięcie, każdy wdech powietrza i potrzebę odrzucenia spadającej na oczy czupryny. Chwilami miała złudzenie, że to ona właśnie z nim hasa i wtedy zaczynała ruszać palcami rąk i nóg.

Już i muzykanci zaczęli słabnąć i plątać się: klarnecista coraz częściej przystawał do nabrania powietrza, skrzypaczce grali po jednemu na zmiany, podcinając tylko końcem smyczka, cymbaliście struny się połuzniły, brzęcząc nieładnie, już i Michalina raz po raz potykała się, błagając, by ją

puścił, ale Kościk jakby nadludzką siłą wcielony, nie czuł zmęczenia; nosił panią prawie na rękę, nogami ledwo posadzkę muskał i pędził ciągle z tą samą pasją bez wytchnienia i bez opamiętania. Z głowy dymiło jak z komina, odzież w wielu miejscach przemokła potem na wylot.

— Jeszcze Michalinka, jeszcze! — wołał. — Żywiej chłopcy, żywiej! Jeszcze minutkę! Żaru dajcie! Chłopcy, żaru!

Lecz w końcu Michalina zaczęła mu bezwładnie zwisać na rękę, więc opamiętał się i stanął. Ujął jak małe dziecko na rękę, podrzucił dwukrotnie w górę, potem zaniósł na kanapę, usadowił, padł przed nią na kolana i całując jej rękę, jął przeproszać:

— Daruj Michalinko! Wybacz pani złota! Wybacz, zem cię tak zameczył! Wybacz — jam zdaje się pijany trochę...

Wstał, sięgnął ręką w tylną kieszeń, wyjął garść srebra, rubli ze dwadzieścia co najmniej i sypnąwszy je na cymbały, rzekł:

— To wam chłopcy za struny i za trudy wszystkim pięciu.

Oddał publiczności cześć po wojskowemu i wyszedł.

## XXIII

### AWANTURA

— A nie mówiłem ja Karolince, że on pijany? — rzekł Blinkiewicz zadowolony z odejścia rywala. — Baćko może kozucha porządne na plecach nie ma, a on sypie garścią... Burzuj jaki!... Do czego to wygląda? Kto wie jeszcze, gdzie on wzięł te srebro.

No, teraz już my pójdziem z Karolinką, tańcować. Ale pójdziem coś z delikatniejszego.

— Nie obiecuję pnu; zaraz pójde szukać Hańkę — odrzekła, zamierzając odejść za chwilę.

— Hańki szukać? Toż on zbiera się iść. Hipolka! Czemuż ty nie idziesz żonki swojej szukać? Idź prędko, znajdź i przyprowadź ją tutaj, bo ot Karolinka moja chce z nią o czymś porozmawiać, — rzekł, mrużąc znacząco okiem.

— Czemu nie, znajde i przyprowadzę — odrzekł, zrozumiawszy znaki i wyruszył bez zwolki.

Zaledwie Wędliński się oddalił, przed Blinkiewiczem zjawił się wyrostek.

— Proszę pana — rzekł — Pański parobczak mówił, aby biegli do niego pod powietkę, bo koń zawałił się do góry nogami. Mówił, żeby prędko, bo już pianę puszcza.

— Ot, jak? — zawołał przerażony Blinkiewicz. — A gdzież on cholernik był, że do tego dopuścił? — Przepraszam, Karolinka, — trzeba lecieć.

— Po dwóch, trzech minutach Karapuzy złożył bęben na kanapie i przysiadł się do Karusi.

— Wiesz? — zaczął na ucho. — Twój drużbant po chwastankę poszedł.

— Po jaką chwastankę?

— Mówił mi Romek Oleńskich przed chwilą, że Józik wodził Kościka

do siebie poić i nabuchtorył go, ażeby włożył Blinkiewiczzu. Ten podszywaniec, co po niego przychodził, to od nich przysłany.

— Boże! Toż on go może zabić!

— Co ty wklepała się w tego oblizańca, że żałujesz, by mu nie wyspali.

— Nie jego Kościk, ale on Kościka może zabić.

— A idźże!... Kościk go jedną ręką potrafi zdusić.

— Tak, ale on ma przy sobie rewolwer siedmio-kulowy. Pokazywał mi jadąc z kościoła. On będzie strzelać. Leć uprzedź go! Leć, bratku, żywo!

W tej samej chwili zaczęły dochodzić z sieni przeraźliwe krzyki:

— Bitwa! Legiony Blinkiewicza pod powietką biją!... Bitwa!... Czeczoty leśniczanka biją!... Na pomoc mu, chłopcy!

Jakby zaczynał dach na głowy ludziom się walić, albo płomień, zagrażając życiu ogarniały dom ze wszystkich stron, — taka wrzawa i panika w domu powstała. Co było mężczyzn w izbie, nie wyłączając wojskowych, ruszyło w szalonym pośpiechu ku drzwiom. Każdy krzyczał każdy groził.

Na pomoc Kościkowi! Nie dać skrzywdzić ułana naszego! Pouczyć chamów! Pouczyć za podniesienie reki na polskiego żołnierza!

Drogę dawać! Przejście! — A drudzy znowu: — Na pomoc Hłanku!

Na abaranu chłopcu! Dać zadzirakom! Pouczyć chłystów! pokazać co znaczą Muraszki!...

Tłocząc się wszyscy naraz gwałtownie, uczynili przy drzwiach ścisk, że ani wyrwać się z niego. Ale któryś wpadł na pomysł otwarcia okien. — Wypadali przez kilka otworów z domu, jak procą wyrzucani, wyrwali z płotu ostrokoły, łamali żerdzie, wykręcali z sań gołoble i biegli w stronę powietki, na czym świat stoi pomstując. Dochodzące stamtąd krzyki, czyniły wrażenie, że tam rzną się nożami, duszą, mordują na wzajem, jak pogany dzikie.

## XXIV

### STRASZNY SEN

Nim Karusia wydobyła się z domu i dobiegła ku powietce — już było po bitce. Rozjuszony tłum mężczyzn wrzał jeszcze hałasem przeraźliwie, ale już bez kołów w rękach. Wyłaniające się z wrzawy gromkie rozkazy gospodarza, świadczyły, iż skutki starcia są fatalne.

— Kołyhać trzeba! Łóżcie na huńkę i kołyszcie go. Dawać huńkę! A tego śniegiem nacierajcie!... Rozpiąć marynarkę...

Z krzyżujących się wokół przekleństw ogłuszających, jęków, płaczu, pytań, wołań i śmiechów szyderczych nie można było zrozumieć, kogo to mieli kołysać i śniegiem nacierać, która strona poszkodowana została.

Spostrzegłszy Olesia, podbiegła ku niemu.

— Oleśku! — zawołała. — Co się stało?! Zabili kogo?

— Jeszcze nie wiadomo czy zabity. Nie rusza się, nie odzywa, ale podobno nie umarłszy. — Kto taki?

— Taki chłop mocny i od jednej apleuchy, jak snop bryknął.

— Ale kto taki?! — po raz trzeci powtórzyła pytanie, zaczynając tarmosić go z niecierpliwości za poły.

— Jaśka Czeczotów. Uwierzysz? Blinkiewicz też juchną się zalał i wyje nie mogąc powstać. Czterech Kościk zwał: Edka Wędlńskiego, Blinkiewicza i obu Czeczotów. Był już zczepił się z młodym, ale przybiegł dziadzio Mieczyk i rozłączył ich. Ot gdzie wojaka!...

— Gdzie on teraz?

— Oto tylko co odszedł na ulicę za tylek ręce założywszy, razem z drugimi ułanami. Pewnie poszli do Bałaszewiców, bo tam ich koń stoi.

— Poszedł had padkałodny, żeby z niego duch od rana wyszedł! — wszczęła jedna z kobiet białynickich kłatwę, usłyszawszy opowiadanie Olesie. — Żeby jego wuzakę w jamę jutro włożyli, jako on naszych niewinnych mężczyzn położył! Żeby na jego mogile psy wyli! Żeby wilki jego odkopali i po polu kości rozciągnęli, jak on haresztant naszego Jaśkę rozciągnął!...

— Gotowi po takiej awanturze zebrać się i odjechać — przemknęło Karusi przez myśl trwoźnie. — Poproszę Hańkę, by poszła ze mną do Bałaszewiczów. Kto wie co ten szelma, pojąc go u siebie, naszczekał na mnie, i co Kościk myśli o mnie. Muszę koniecznie z nim sama porozmawiać. Idę szukać Hańkę.

Zajrzała do świetlicy — nie ma. Przepatrzyła stołowy, szatnie, kuchnię — nie znalazła. Poszła do ich stryjenki — też nie ma. Obawiając się spóźnić, pobiegła do swego domu, wzięła dużą chustkę do okrycia się i poszła do Bałaszewiczów sama.

— Opowiem mu wszystko i przeproszę go — rozmyślała idąc ulicą. — Jak na spowiedzi mu wszystko wyznam: że latem wracając z festu z Mahilewa, szłam z Felkiem Zahorskim pod rękę; że na Wielkanoc pozwoliłam się Romkowi pocałować w usta; że siedziałam z Anichowskim na ławce w ogrodzie sam na sam i że dwa razy do niego do wojska pisałam.

Wyznam po sprawiedliwości i jeżeli Józik gorszego na mnie nałgał, poproszę Kościka, by mu zęby za to wyczyścił. —

W miarę zbliżania się do zagrody Bałaszewiczów zaczął ją ogarniać lęk. W bramie ktoś stał. Poznawszy Bronka, ucieszyła się, że za jego pośrednictwem będzie mogła wywołać Kościka do siebie na podwórze.

— Gdzie oni, w domu? — zapytała po cichu.

— Tylko co odjechali, — odrzekł.

— Ja o ułanów pytam. W domu oni?

— Mówię ci, że odjechali.

— Jak to odjechali! — nie chciało się jej wierzyć.

— Ajej, nie wie jak jada. — Zaprzęgli, zakręcili, usiedli, targnęli lejcamy — i pojechali.

— Do Potoki może?

— Na Uberezie a nie do Potoki. Pewnie do Bychowa jadą, bo wczoraj pytali się ile wiorst do niego od Smołarni. Patrz hen w dole — zdaje się jeszcze widać.

W sercu uczuła smutek bolesny, nie notowany jeszcze w swym życiu, w członkach bezwład senny. Obróciła się i poszła do domu lamentując szeptem:

— Ot jak on zrobił!... Zebrał się i pojechał... Ot jak wyszło! A wszystko przez tego łotra przekłętogo. Przez tego szelmę spod ciemnej gwiazdy. Przez tego paskudę wstrętnego! Za to tylko pójść i waru na głowę wlać, pazurami ślipia powydzierać!

— Ale co on na mnie takiego wymyślił, czym on go tak podjudził, że w taką złość się rzucił? Po co Kościk tego na bitkę wyzywał, jeżeli wiedział, że go tylko dzień jeden znam! Nie rozumiem... Pewnie Hańka zelgała mi. Ona mu coś innego mówiła. Tak łasiła się... O, chytra z niej "pticzka"! —

W bramie Sciepurzy rozległ się chichot Józika.

— A dokądże, anioleczek kochany, biegają?

— Rzuciła się ku niemu susem, porwała za kłapy płaszczka i jęła tarmosić, łajac.

— Zmijo ty jadowita! Juda iskariocki! Coś ty mu na mnie nałgał?!

— Coś ty mu na mnie naszczekał, pies parszywy?! Paskudo!...

Józik ujął ją za ramiona i cisnął z całej mocy na jezdnię.

— Ach, ty suko weselna! — zakrzyczał. — Myślałaś, że już grafinią jesteś i komu tylko zechcesz po głowie będzie deptać?! Jaż ci przytrzę nosa! Ty mię widziałas u Lejby?! Wiesz, że dezertuje?! Jaż cię pouczę Jazda z drogi, bo odwiążę rzemień zaraz! —

Zerwała się co tchu, pobiegła do domu, zapała w świetlicy i rzuciła z płaczem na łóżko. Ogarnęła ją rozpacz okropna i żal do wszystkich ludzi, do świata całego.

— Zmówili się na mnie! — zawodziła. Wszyscy się zmówili, aby mi go odebrać... I za co? Jakie zło ja komu zrobiłam, co ja komu zawiniłam? Nie ma co, zmówili. I czemuż to?... Chłopczyku miły! Sokole brawo! Czemuś ty posłuchał szelmę tego? Judasza fałszywego posłuchał. Czyż ty zapomniał, jak on pod tobą jamy ciągle kopał? —

Chwilami porywała ją szalona ochota, biec i bić się z Józikiem do krwi, do upadłego, to znów przedziewać się w ojcowskie ubranie, brać ze stajni konia i pognać za ulanami. Ale nie ruszała się z miejsca, nie przestawała zawodzić, aż w końcu zaczęła kołatać w drzwi Jania.

Poznawszy głos siostry, odparła.

— Czego ty wyjesz? Matka ci pomarła?

— Wiesz? — Już pojechali.

— A, to ty po leśniczonku tak zawodzisz? Ajaja, jaka głupia! Niechaj jedzie na złamanie karku. Czyż on jeden na świecie? Chodź, ot zobacz ilu na ich miejsce Stach z Pawłem przywieźli. Obmyj się z płaczu, włóż drugie ubranie i chodźmy. Takie zgrabne są i gierojskie, że popatrzeć się! Zbieraj się.

— Nie pójde. Żaden mi nie będzie miłym teraz.

— To przynajmniej nie wyj, bo się ośmieszysz.

— Tobie tym nie zaszkodzi. — No, a jakże tam z Jaśkiem Czczotem? — przypomniała.

— Odzywili. Odzywili i powieźli wraz z Blinkiewiczem do Wończy do felczera.

— Chwalić Boga! Idź, zostaw mię samą. —

Leżała na łóżku desperując, aż w końcu usnęła znużona.

Śniła, iż błądziła po głuchym lesie nocą. Szła w jednym kierunku — spotkała gąszcz ciernisty; szła w drugim — wbiła się w pierścień spię-

trzonych wykroci. Noc była letnia, ale chmurna i ciemność wokół wisiała prawie nieprzejrzana. Z jednej strony drzewo pokutnicze skrzypiało złowieszczo, — z drugiej jakby psy na nieszczęście, jakby wilki wyły. Coraz wyraźniej i coraz bliżej. Obejrzała się — pędzi stado psów ogromniastych prosto na nią. Strach ją ogarnął paniczny. Rzuciła się do ucieczki. Biegła co siły, ale sporu w biegu żadnego nie było — i przestrzeń między nią, a zgrają skracała się szybko. Już słyszała za sobą szcęk zębów, już czuła ciepło oddechu bestii — gdy naraz zjawił się przed nią o kilka kroków starzec w czerwonej todze na ramionach i berecie na gołwie.

— Dziaduńko, ratuj mnie!! — zawołała.

Starzec wyjął spod poły długą pułę — i zgraja na jej widok rozpierchła się w gnieniu oka, chichocąc po ludzku.

Chciała mu w podzięcie ucałować rękę, ale on spostrzegłszy jej zamiar, wsunął obie w kieszeń i ruszył szybko wąską, wijącą się zygziem między wykrociami, drożyną.

— Dziaduńko! wyprowadź mnie na pole! — powiedziała.

— Chodź — odrzekł, nie oglądając się wcale na nią.

Szła za nim. Miejscowość była obca. Drożyna ta prostowała się w nagi grzbiet górski, po bokach, którego otwierały się bezdenne przepaście. Lęk uczuła.

— Dziaduńko! — zawołała. — Mnie straszno, weź mnie za rękę.

— Nie patrz w przepaść, ale hen, — niebo — rzekł dźwięcznym wcale nie starczym głosem, wskazując na rozjaśniającą się między chmurami łysinę. Zabiega z boku i przypatruje się starcowi uważnie. — Żaden dziad, ale Kościk.

— A to ty Kościszek?! — wykrzyknęła radośnie. — I czemuż ty nie powiedziałeś mi od razu?! Chciałeś mi niespodzinkę zrobić? ...

Spojrzał na nią surowo i jakby z pogardą i przyspieszył kroku.

— Kościk, za co ty na mnie? Czemuś taki się zrobił? Poczekaj, posłuchaj mnie, Kościczek drogi! Co chcesz zrobić, ale wysłuchaj mnie! — błagała, wspinając się za nim po grzbiecie górskim.

Wtem usłyszała z tyłu znajome wołanie.

— Karusia, o Karusia! Co ty robisz?! Co ty tu robisz Karusia? —

Obudziła się. Przy łóżku stała matka.

— Co ty zasnęła?

— Tak, zdrzemnęłam się — odrzekła, wracając myślami do rzeczywistości.

— To czemu nie rozbierzesz się?! Po co gniesz ubranie?

## XXV

### KOROWAJ

Od świtu do godziny 10 rano trwał ogólny spoczynek, a potem nastąpiła uczta pożegnalna. Tańców przed odjazdem nie zamierzało się rozpoczynać, tedy Mieczyk kazał przenieść stoły do świetlicy, która była obszerniejsza od stołowego.

Karusia zdecydowana była nie iść na oną ucztę. Dwa razy przysyłali po nią specjalnych posłańców, ale kategorycznie odmówiła, tłumacząc się

brakiem towarzysza drużby, — gdyż Blinkiewicz po opatrunku w Wończy udał się do domu — z bólem głowy. Później jednak po namyśle, przysłała do wniosku, że będzie mogła zemścić się na Józiku i postanowienie zmieniła. — Usiadę naprzeciwko niego — myślała — zelżą i zbeszczeszczę ostatnimi słowami Judę. Przy ludziach nie będzie się ze mną bił. — Zebrała się szybko, wyjęła z kufra zwój kuzelnego płótna, dwa piękne obrusy i srebrnego rubla na korowaj i poszła.

Już podawano opłatki pszeniczne, maczane w śmietanie, czwarte z rzędu danie. Obejrzała stoły — Józika nie było. Nie wypadało jednak wracać. Zamierzała usiąść za jednym ze stołów przy proggu, gdzie było dość luźno, ale gospodarz zauważywszy to, zaprowadził ją i usadowił przy Hańce. —

Przywitały się sucho słowem i patrzyły jedna drugiej w oczy badawczo.

— Co ty gniewasz się na mnie za coś, że nie chciałaś przyjść? — zagadnęła Hańka.

— Łgałaś mi wczoraj o Kościku — odrzekła.

— Ja łgałam?! Co tobie, Karusia? — zawołała, rumieniąc się.

— Gdybyś go zapewniła, że ja z Blinkiewiczem żadnego kochania nie miałam, to by on nie zrobił bitwy z nim i nie odjechałby nocą, nie pomówiwszy szczerze ze mną.

— A to jeszcze nie wiesz czyja to sprawka? — Toż Józik Oleński wodził go do siebie poić i na tą awanturę nabuchtorył. Przez te szelmostwo wstydził się oczy przed tatem pokazać. Nie widzisz, że go nie ma?

A ty na mnie. Z jakiej racji miałabym łgać? Czyż on mi zameżnej potrzebny, że chcę go odbić od ciebie? Cóż ja winna, że on temu psu lepiej uwierzył, niż mnie!

— Chciałam zaraz po bitce pójść z tobą do Bałaszewiczów, by porozmawiać z nim, ale nigdzie nie mogłam ciebie znaleźć, a gdy sama poszłam, już go nie zastałam. Gdzie ty byłaś?

— Byłam wtedy u stryjenki naszej.

— Łiesz. Przepatrywałam cały jej dom i nie znalazłam.

— Czyż ja powiedziałam, że byłam w jej domu? Wiesz gdzie byłam?

— Przyznam się tylko samej tobie. — U stryjenki na wyszkach w oborze — rzekła, obejrawszy się na męża.

Karusia patrzyła na nią zdumiona.

— Chciałam zemścić się na swoim — ciągnęła — za to, że zgodził się, by sadzono mię na dzieżę. Chciałam, by mię szukał i znalazłszy na wyszkach, myślał, że ja tam z jakimś chłopcem spałam. Chciałam go nastraszyć. —

— No i znalazł on tam ciebie na wyszkach? — rzekła patrząc na nią nieufnie. —

— Gdzie tam. Przez tą awanturę, to by może aż nad ranem o mnie sobie przypomniał. Sama zlażłam.

Pod koniec uczyty swachy wniosły na wieku od dzieży chlebnej korowaj, stawiając go na stole przed pierwszym swatem. Olbrzymi i piękny był korowaj. Średnicy miał więcej niż arszyn. Wierzch był ozdobiony inicjałami imion małżonków i przeróżnymi cackami.

Łopata kazał muzykantom grać i zaczął krajać i dzielić. Każdy z obecnych podchodził, kładł dary w pieniądzech, lub naturze, przepijał

do młodych, życząc pomyślności, i otrzymywał należną skibę korowaju. Kobiety przeważnie darzyły tkaniną domowego wyrobu, kładąc swoje płótna, obrusy i dywany. Kawalerowie wręczali też dary i muzykantom.

A białynieccy parobczacy tymczasem, tudzież niektórzy smolarscy chłopcy, z rodzin, które zaproszone były do orszaku, pakowali wózki, poili konia, zaprzęgali i wynosili Hańczyne kufry. Kiedy przyszło do zegnania się z rodziną, dziewczęta zaśpiewały pieśń, trzy strofki które pozostały w mojej pamięci.

A my prosimy Hipolka z powagi,

Żeby nie było Hańce zniewagi.

— Żeby nie stała nocą pod okienkiem,

Żeby nie ocierała łezki rękawkiem.

Żeby nie była połwietka za chatkę,

Żeby nie była sąsiadka za matkę . . .

## XXVI

### DO DZIEŁA

Mijały tygodnie, ale spodziewanej mobilizacji coś nie ogłaszano. Powodu zwłoki nie można było ustalić. Jedni gadali, że Dowbór-Muśnicki czekał na aprobatę Rady Regencyjnej w Warszawie, drudzy, że na przybycie reszty wojska polskiego z Rosji. Krażyły po zaściankach pogłoski, iż okrągłych sto tysięcy legionistów ciągnęło z różnych gubernii nad Berezynę.

W ziemiach wyzwolonych tymczasem, Polska utrwałała się. Poszczerbiona walkami i marszem armia się uzupełniała, zajmowała coraz wygodniejsze pozycje, usprawniała między swymi żołnierzami łączność i nawiązywała coraz ściślejszy kontakt ze społeczeństwem. Obudziła duch w narodzie kresowym, złamany długim uciskiem i prześladowaniem. Stała się odżywym słońcem nawet dla najbardziej zruszczonych warstw. Jednostki, które nie tylko mowę, ale już i wiarę od paru pokoleń utraciły teraz przyznawały się do swego pochodzenia i sprzyjały odrodzeniu Polski całą duszą. Wszyscy czuli dumę z pokrewieństwa z bohaterskim wojskiem radość z bezpieczeństwa i swobody wyrażania swych uczuć, odwagę wobec dawniejszych prześladowców, siłę i zapał do czynu. Znalazła się między ludźmi nigdy nie notowana solidarność.

W pierwszą niedzielę postu zebrał się w domu Zdanowicza drugi wiec. Stawili się nań w ordynku przedstawiciele rodzin smolarskich, przyszli wszyscy gospodarze Jam, Polanek, Chrapaczowa, tudzież chutoranie co do jednego i gajowi z puszczy. Razem 78 osób się zebrało.

Wiec zagał sam gospodarz, jako najstarsza wiekiem osoba i najmędrsza głowa w całej okolicy.

— Kochani sąsiedzi i bracia! najprzód dziękuję wam, że nas posłuchali i na zawołanie drużnie co do jednego przyszli. To jest bardzo dobrze. Nam teraz, gdy Polska zaczyna powstawać, gdy mamy zaczynać ważne roboty, trzeba wielkiej zgody i jedności. Gdy zgoda i drużba między ludźmi jest, tedy ich ochota lepsza do roboty bierze, bo pewność mają, że to co zaczną do porządku dojdzie. Przyszedł czas zacząć roboty,

na które dotąd pozwolenstwa nie było. Robota ta innym sąsiadom naszym pokaże, co my naprawdę warte, a dzieci naszych podochoci do družniejszej służby i wojowania za ojczyznę. Więc kochani bracia nim zaczniesz radzić, przysięgnijmy świecie, że póki roboty dziś uchwalonej nie skończym, dopóki Polska cała jaka ona jest na świecie, nie powstanie, między nami nie będzie, ni sądów, ni swarki, ni bójki żadnej. Przysięgamy!

— Przysięgamy! Przysięgamy wszyscy! — zagrzmiała gromada. — Da za cóż my będziemy kłócić się? — mówili. — Niech nas Pan Bóg od takich rzeczy zachowa. Myż swoi wszyscy. Jednej wiary, jednej krwi.

— Dobrze — rzekł Zdanowicz. — Teraz zaczniesz radzić. Mamy trzy ważne sprawy. Pierwszą będzie wybór sołtysa. —

— Sołtysa? Co to jest takiego? — pytali się gospodarze, pierwszy raz słysząc ten wyraz.

— To jest jakby starosta ruski, tylko ważniej nieco, — objaśnił Mieczyk.

— Gmina rozesłała papier po wszystkich gromadach — ciągnął Zdanowicz — aby starych bolszewickich prezydentów zrzucili, a wybrali sołtysów z ludzi, którzy ni na kradzież nigdy nie chodzili, ni na rozbój, ni żadnym komunizmem się nie zajmowali. Jak wiecie, my już sami dawno to zrobili, ale rozkazaniu musi być posłuch. Każą to my na nowo będziemy wybierali. Więc na kogo dajecie głosy?

— Mieczyk Piotrowski! Mieczyk będzie u nas sołtysem! — okrzyknęła gromada chórem.

Mieczyk ukłonił się gromadzie, podkreślił węża z fantazją i zwracając się do Stacha rzekł: —

— Zapisz, panie Stanisławie, to co gromada uchwaliła i niechaj rozpisze się każdy, aby nie było potem jakiegoś gadania.

Gdy żądaniu Mieczyka stało się zadość, Zdanowicz znowu zabrał głos.

— Drugą ważną sprawą jest otwarcie szkoły. Możem być pewni, że naczelstwo polskie w przyszłości samo nam pobuduje szkołę i nauczyciela kazonnego da, ale nie trzeba na to czekać, bo dzieci rosną. Teraz chwalić Boga nie trzeba z tym chować się. Uczyć też jest komu. Wikary, przedwczoraj będąc z namaszczeniem u Oleńskiej mówił, że zna jedną bieżenkę z Warszawy, szukającą zajęcia, która siedem egzaminów zdała. Najmując ją, dwa pożytki zrobim, bo wikary mówił, że ta pani jest wdową i dzieci na utrzymaniu ma. A póki do wojska iść, to i Bałaszewiczonek może też jej pomagać. —

Projekt przyjęto jednogłośnie, polecając Stachowi nazajutrz rozpocząć lekcje. Mieczyk ofiarował swoją świetlicę na szkołę, Winiarski dwa pokoje dla przyszłej nauczycielki, a innych pięciu gospodarzy, posiadających obszerne domy, zobowiązało się kwaterować i doglądać, bezinteresownie po czworo dzieci z najdalej położonych chutorów. Po wyborze Komitetu Szkolnego, zabrał głos stary Kantyczka.

— A teraz bracia i dziatki drogie, zaczniesz sprawę najważniejszą. Przyszedł czas wiaść się za budowę kościoła w Wończy. Na tą sprawę nie powinno nam zabraknąć ni družby, ni ochoty, ni kopiejki, ni rąk, ni wszelakiej innej potrzebnej rzeczy, albowiem tu idzie o przybytek Boży. Aby wam dać przykład, ofiaruję się sam jeden ufundować dziesięciopudowy dzwon. Jeżeli tego nie dotrzymam, to ciało moje po śmierci pochowacie za parkanem. Ot co!

— Ja sto rublów w złocie na kościół daję! — zawołał Harasimowicz.  
— A ja na to dwa woły najlepsze sprzedam! A ja sto kóp gonty na dach zrobię! A ja dwie dziesięciny olesznika na kościół sprzedam! — zgłaszali jeden po drugim ofiary hojne.

## XXVII

### NIEZŁOMNA WIARA

Jakoś w połowie postu przyszedł na urlop Kazik. Niedzielny akurat poranek był. Słonko tylko zaczynało wschodzić. Karol czytał na przypiecku Żywot Pana Jezusa, Zuzia z Henkiem jeszcze spali. Kot mył mordę za stołem. Zdanowiczowa natarkowała kartofli, zamieszała bliny, przyniosła drzew, podpaliła w piecu i przysiadła się koło starego zamierzając mu swój sen opowiedzieć.

Naraz rozwierają się drzwi i wchodzi Kazik. Twarz miał bladą, zmizerowaną, ale oczy pałały życiem.

— Mama! Jak żyjesz?! — zawołał jeszcze w progu.

— Kazik!!... Synku!! — zajęczała, zrywając się co tchu ku niemu.

Padli sobie w objęcia. Całowała mu lica, brwi, włosy, czoło, szlochając z radości. Kazikowi też zaszły oczy łzami ze wzruszenia.

— A jakiz ty zmizerowany! Może niezdrów? — pytała.

— Chłopiec ranny był, ze szpitala wraca — rzekł Karol, który zgrabiwszy się z przypiecka, podązał również do wnuka, opierając się na kawieńce.

Zdanowiczowa narobiła krzyku.

— Ranny był?! Boże!... To wy przede mną tańi! Przede mną matką rodzoną! Czemuż wy?! W cóż ty ranny? Gdzie? Pokaż!

Kazik rozpiął kołnierz, ukazując bliźnię na szyi.

— Matko Chrystusowa! W szyję! Toż umrzeć mogłeś. Jezusie! Jakież ty wyżył? Nie szkodzi co? Możesz dychać? —

— I dychać i śpiewać jeszcze będzie — rzekł Karol. — Dosyc już tego jęku! Pozwólcie mnie go uściskać. Idź budź tamtych.

Po przywitaniu się całej rodziny i wynurzeniu pierwszej fali uczuć, Henek poszedł trząść bydłu, matka z Zuzią wzięły się do blinów, a Kazik z dziadkiem, usadowiwszy się w pobliżu nich na zydlu, zaczęli gawędę.

— W ilum guberniach nie był, ile siedzib ludzkich oglądał, ale miłszej nad naszą Smolarnią nigdzie nie widział — mówił Kazik. — Jak Boga Kocham! Za ten czas, co mnie nie było, jeszcze więcej poładniała. Więzy na ulicy znacznie podrosły. Wy codziennie na nie patrząc, to może i nie zauważyliście tego.

— Nie ma co, podrosły. Wszystko przybyło.

— No, i cóż tu więcej u was słychać? Słyszałem, że już szkołę macie.

— I to jeszcze jaką! Blisko kopa dzieci chodzi. Uczy Bałaszewiczonek i jedna bieżenka z Warszawy, bardzo uczona. Mamy szkołę i zaczynamy już kościół w Wończy — oznajmił starzec z dumą.

— I kościół już zaczynacie?!

— Już mamy plac. Cały ten pagórek, gdzie dawniej stał tartak z dziegiarnią, graf nam za darmo na kościół oddał. W zeszłą niedzielę

zebranie w Wończy mieliśmy. Była cała nasza okolica i wszyscy zawończańscy ludzie. Uchwaliliśmy murowany budować, co najmniej połowę taki, jak w Bobrujsku. Wieża będzie wyższa jak na cerkwi. Choć na jeden palec, ale musi być wyższa. Póki to jednak będzie, musimy stawić małą drewnianą kaplicę, bo na murowany dużo czasu trzeba.

— Jak widać to u was ruch jednym słowem poszedł.

— A poszedł, wnuku, poszedł. Postanowili wybudować i wybudajem, ażeby tylko wy utrzymali, żeby porządek i wolność nie przestawały być.

Cóż słyhać, wnuku, na świecie dobrego? Prawda to, że Niemcy Mińsk Dowboru oddają?

— Gdzieżby tam oddawali.

— Nie prawda? Ale Mozyr z Rzeczycą zgadzają się?

— Też nie. Oni myślą ażeby jeszcze coś odebrać z tego co mamy.

— Myślą odebrać! Wtedy oni nie idą z wami w jedną rękę?

— Oni zapewniają, że idą, ale u nas w to nie bardzo wierzą. Mówią, że to naród bardzo fałszywy.

— Wtedy może być źle — rzekł starzec, skrobiąc się frasośliwie w potylicę. Niemcy pocisną z jednej strony, bolszewiki z drugiej i zduszą was. —

— O, tak bardzo łatwo z nami im nie pójdzie. Żołnierze nasi do bitwy są bardzo zajadli. Choćby dziesięć wrogów na jednego przypadło, nie ustępują. Mammy poddostatkiem wszelkich zapasów i pozycje wygodne: od Niemców będzie bronić twierdza i okopy bereżyńskie, od bolszewików Dniepr. Pan Dowbór nie od dziś o możliwej napaści sąsiadów myśli. Bądźcie, dziaduńko, spokojni, wraza noga już nie postanie na ziemi naszej.

— Ażeby słowa twoje, wnuku, stały się prorocstwem — odetchnął z ulgą. Kazał Zuzi podać węgiel, rozpykał zagasłą fajkę i znowu zaczął.

— Czy was tak bardzo dużo jest, że Dowbór z naborem tutejszych ludzi nie śpieszy się. Niech by brał prędej; za trzy dni legiona z prostego człowieka nie zrobi się.

— Bez przygotowania się należytego mobilizacji nie można zaczynać. Trzeba wprzód przeprowadzić dokładny spis ludzi z wybadaniem ich pochodzenia i przygotować dostateczną ilość instruktorów. Nabrać ludzi nie sztuka, ale trzeba uważać, ażeby z nich jakaś korzyść była. Jak Pan Dowbór-Muśnicki powiedział: "Nam nie zależy na liczbie żołnierza, ale na wartości jego. Dostyc oni swoich warszawskich komunistów mają".

— Warszawiaki komunistami?!

— Ajej, jeszcze jakie zajadłe!

Nie zdążyli zjeść śniadania, zaczęli napływać sąsiedzi, wypytując Kazika o zdrowie i o wieści ze stolicy. Przy rozmowie okazywali jako zasłużonemu legionście i podoficerowi wielki szacunek, a zdania jego o polityce brali niemal za wyrocznię. Odchodząc, każdy zapraszał do siebie w gościnę czego też wcale nie odmawiał.

Następnego popołudnia złożył wizytę Mieczykowi, odwiedzając jednocześnie szkołę, od niego wstąpił do Bałaszewiczów, a wieczorem udał się do Sokołowskich.

Przyjęli jak rodzzonego. Kobiety nagrzały samowar, dobiły z kufra sucharków pszenicznych, stary przyniósł ze świrna talerz miodu. Zwracając się doń, nie mówili inaczej, jak pan Kazimierz, a Janka tytułowała

oficerem. Podczas herbaty zwierali się ze wszystkich trosk domowych i radości. Gdy zaczął się żegnać, Karusia wręczyła mu w podarunku węzełek orzechów, i otuliwszy się kozuchem, odprowadziła do bramy.

— Może panu zdarzyło się Kościka widzieć? — rzekła, gdy podawał jej rękę.

— Owszem, widziałem. Dziś oto akurat jest dwa tygodnie, gdy u mnie w szpitalu był.

— Był u pana w szpitalu? No i jakże mu powodzi się? Co mówił panu.

— Mówił, że już odsiedział swą karę i służbę rozpoczyna.

— Karę odsiedział?! Za co?

— No, a za tą awanturę na weselu.

— Za to go do więzienia wsadzili? Toż chwalić Boga wszyscy wyżyli.

— To go jeszcze nie uniewinnia. Żołnierz polski nie jest zbójcem. Obowiązkiem jego nie bić ludzi, ale bronić przed wrogiem. Proszę pani, jakie ludzkie wyobrażenie o Polsce będą mieli, jeżeli Jej oficjalni przedstawiciele będą o swe własne sprawy do obywateli się przydzierać i tłuc ich? Nie prawda?

— Czemuż nie prawda. Ale to szelma jakiś się znalazł, że o tym doniósł starszym. Założyć się mogę, że to Józika Oleńskiego sprawka.

— Broń Boże. Sam się przyznał. Gdy tylko wrócił do szwadronu, stanął do raportu, opowiedział co uczynił i poprosił o ukaranie. Koledzy niektórzy krzywili się na niego za taką szczerłość, ale on im rzekł bez żadnego ściśnienia: — Tylko z miłości Ojczyźnie rodzonej służę, więc nie będę przed Nią lgać, ni taić niczego. Zuch. Popełnił w służbie brzydki występki, ale zrehabilitował się honorowo, za co go pochwalam i nadal za najlepszego przyjaciela uważam. To się nazywa, proszę pani, rycerz i Polak prawdziwy. Takich koło nas mało jest.

— Wiem, że mało — wyrwało się jej. — A o mnie nic nie wspominał?

— Czemuż nie wspominał. Żałował panią strasznie, że już wychodzi zamąż. Wierzył, że ten družbant z wesela był już naręczonym pani.

— Panie Kazimierzu, ja tego człowieka wtedy tylko pierwszy raz widziałam. To mu Józik na mnie nałgał.

— Wiem już, wiem. Niedawno opowiadał mi o tym Bałaszewiczzonek.

— I cóż mu jeszcze więcej na mnie naszczekał? Jestem pewna, że Kościk panu przyznał się o wszystkim.

— E, takie glupstwo, że nie warto nawet o nim i wspominać.

— Niech mi pan powie! Panie Kazimierzu, niech mi pan wszystko opowie — błagała załośnie.

— Mówił, że ów družbant przed rokiem jeszcze panią poznał i lekiem zdobywszy, żył jak mąż z żoną. Że jakoby mieliście schadzki itd.

— Jezusie słodki! Ot co nawymyślał! A sabakaż on parszywy! Łotr nieszczęsny! Żebyś mu za to na tamtym świecie... Panie Kazimierzu, to jest wszystko kłamstwo. Przysięgam panu, że...

— Niech pani nie przysięga i nie tłumaczy się przede mną bez potrzeby. Ja, gdy mi Kościk tylko przyznał się z czyich ust tą wiadomość dostał, powiedziałem, że to jest intryga. Dziwiłem się, że Kościk tak łatwo w to uwierzył.

— Może pan Kazimierz zawiezie mu list ode mnie?

— List mu pani chce posyłać? Wie, panna Karolina, — nie biore się. Osobiście go bardzo trudno znaleźć, gdyż pułk jego podzielony jest na kilka części i ciągle w ruchu. Pocztą posyłać — nie wiem na jakie nazwisko adresować; dotąd używał on nazwiska przybranego, lecz będąc teraz u mnie powiedział, że odatd go zmieni. Jeżeli go przypadkiem w bliskim czasie spotkam, to mu mogę ustnie coś powiedzieć. Co pani chciałaby by mu powiedzieć?

— Co chciałaby? ... Wie pan? namyśle się jeszcze — odrzekła po chwili namysłu. — Może pan będzie łaskaw wstąpić do nas przed odjazdem?

— Dobrze wstąpię. Dobranoc pani. ←

Pomimo wzburzenia spowodowanego wiadomością szczegółów intrygi Józika, była z rozmowy zadowolona, gdyż uczyniła nią początek do porozumienia z Kościkiem. Aż do drugich kogutów nie zasnęła, analizując sens pochwały dla Kościka, ciąg życia ich obu, uszlachetniony poświęceniem dla ludzi i wzniosłość ideału.

— “To się nazywa, proszę pani, rycerz i Polak prawdziwy” — brzmiało w uszach uporczywie a błogo.

Jacy oni obaj prawdziwi i szczerzy w służbie dla Królestwa. Drudzy wstąpili w legiony, a całe półtora roku później, nie wiadomo czy gdzie wojowali prawdziwie — teraz co drugi tydzień proszą o urlop, wymyślając starszym różne fałszywe przyczyny, przychodzą do domu, bawią się, hulają, buszują, zadawają, że to niby oni naród wyswobodzili, że oni ważność wielka; ci zaś poszli na samym początku, gdy tylko się dowiedzieli, że wojsko polskie jest, gdy nikt jeszcze nie myślał i nie śnił nawet, że taki ważny car ruski zleci, a Polska sama sobą zacznie być; służą bez odpoczynku, bez wytchnienia żadnego, z taką ochotą i szczerością, jak gospodarz z parobkami kosząc, chce dać przykład; nie zadawają sławą choć mają prawdziwą, ani kryją grzechów nawet takich, co popełnili z przyczyny innych — gdyby Józik go nie napił i nie naszczuł on by palcem nikogo nie ruszył — z takich nawet, co oficerzy nie widzieli, ani ludzie oficerom donieśli. Ni o gospodarce, ani o bogactwie jakimś, ani o żadnych przyjemnościach własnych myślą, a tylko o Królestwie Polskim, o dobrości ludzkiej. Matko miła! Toż za takie uczynki, gdyby chłopiec nos miał jak mientaszkę, wargę jak kiełbasę, choć by nawet garbaty był, miłować go warto...

Taka dobrość! ... Toż gdyby nie przyszli legiony, polskiego narodu u nas dotąd może by i na nasienie już nie pozostało. — Teraz żyją sobie ludzie bezpiecznie, co kto chce robi, jak kto chce uczy się i mówi, gdzie chce jedzie czy to dniem, czy to nocą; nikt nie zaczepia nawet w środku najswawolniejszej wsi, nie lży, że ty innej wiary, inaczej odziana, nie szczuje dzieci, by rzucali grudami, jak to dawniej było.

— “To się nazywa, proszę pani, rycerz i Polak prawdziwy”. “Takich koło nas mało jest” — wracało w każdą pauzę myślenia.

Da nie tylko mało, ale wcale nie ma. Ktoś taki może się przyrównać do niego? — Haretny dotąd był chłopiec, ale teraz szczęśliwy. Czemu to nas nie biorą? Jazbym pierwsza poszła z Smolarni. Może by akraz popadło

w tej samej rocie z nim służyć. Z nim śmiało. On by nie dopuścił na śmierć mię zabić. Taki osiłek, taki spryciaż do bitwy! Czterdziestu bitwach był, a nic mu bolszewiki nie zrobili.

A może i są takie dziewczęta, co służą w wojsku przebrane za chłopców? . . .

## XXVIII

### ONA JUŻ NIE TAKA

Kazik dotrzymał słowa i wieczorem, w przeddzień powrotu do pułku, odwiedził Sokołowskich poraz drugi. Starzy chcieli go znowu podejmować poczęstunkiem, ale kategorycznie odmówił, tłumacząc się brakiem czasu. Gdy odchodził, Karusia go znowu doprowadziła do bramy.

— No i cóż pani chce przesłać Wasilewskiemu? — zapytał.

— Niech mu pan ode mnie pokłoni się, oczyści mię z tego oczernienia i powie, że ja już teraz nie jestem taka, jak wprzód byłam.

— Jak to teraz nie taka jak była? — rzekł chmurząc się niespokojnie.

— Ja już wiem jaka to ważność Królestwo Polskie, jaką Ono dobroć dla ludzi ma. Ono i mnie, jak wam droższe jest nad wszystkie rozkosze.

Spojrzał na nią z serdeczną tkliwością.

— Bardzo dobrze. Powiem mu to i wiem z góry, że sie tym bardzo ucieszy. I wie pani, ja też sie ciesze, że w Smolarni jest także i z długimi włosami jeden człowiek, który rozumie i kocha nasz ideał. Chciałbym wiedzieć jednak, czy pani go rozumie jak się należy. No cóż to jest takiego — jak pani mówi — Królestwo Polskie?

— Co jest? . . . To jest taka . . . To jest jakby to powiedzieć . . . Jest to coś takiego, bez czego życie nasze nic nie warte.

— Trochę, proszę pani, niejasno.

— Nie pomyślawszy dłużej, ja nie mogę odpowiedzieć panu jak w katechizmie, ale rozumiem.

— Nie trzeba jak w katechizmie. Niech pani mówi swoimi słowami jak rozumie. Jeżeli, przypuścmy panią ktoś zapyta: jaki program naszej Polski, za co Ona idzie? to jak mu pani odpowie?

— Za co? — Za spokój ludzki, za swobodę naszego narodu, za sprawiedliwość czystą i też . . .

Doskonale! Mądrzej pani odpowiedziała jak w katechizmie. Chcę tylko poprawić trochę co do swobody. Pani powiedziała, że za swobodę nasezgo narodu. Otóż Polska niesie swobodę nie tylko dla nas Polaków, lecz dla wszystkich narodów w Jej granicach zamieszkałych. Jednaką będzie dla nas, Białorusinów, Żydów i innych. Wszyscy dotąd razem byliśmy ciemieni i dla wszystkich Polska da swobodę i byt poprawi. Niech pani nie myśli, że Białorusini jest to samo, co Moskale, wybrane do rządów plemię. Im nieborakom tylko się zdawało ciągle, że zażywają swobody i wołdarzą krajem, tak jak im teraz się zdaje, że ich komuniści obdziała ziemią i pozwolą na niej pracować swobodnie. Napadali na nas, bo ich szczuli carscy słudzy, tak, jak teraz szczują komuniści, wmawiając, że my walczymy za bogaczów. Ideał, który dla jednych niesie panowanie,

dla drugich biedę, nie może być prawdą. Polska nasza prawdą ma być i dlatego Ja z Kościkiem miłujemy z całej serc, bijemy się za nią z całych sił i bić się będziemy, aż póki dychać przestaniemy.

— I ja też, jak wy, będę się za nią bić, póki dychać przestanę! — zawołała porwana słowami Kazika.

Kazik uśmiechnął się nieznacznie.

— Panna Karolina chce się bić... Taka młodzietka, śliczna dziewczyna anioleczek, tylko do całowania, a nie do bitki żadnej.

— Pan śmieje się, nie wierzy. Jak Boga kocham ucieknę z domu, przebrawszy się za chłopca i pójdę do Bobrujska prosić, by wzięli w legiony. Pan Kazimierz mi w tym pomoże, prawda?

Kazik spowaźniał.

— Niech pani tego nie robi. Do wojska panią nie przyjmą, tego pewien jestem, a na mnie napaść będzie, że to ja do tego zbuntowałem. Niech pani takiego głupstwa wcale nie zaczyna.

Karusia nachmurzyła się i wydeła usta.

— Pan mówi... głupstwa? A ja myślałam... Ot jak! Znaczy się tylko wy możecie służyć, po świecie jeździć, chwalebność zdobywać, a my baby — chaty pilnować, nitki całą zimę ślinić, krosna tkąć, chudobę karmić, albo dzieci niańczyć. Wy ważność, a my — nol. I to jest sprawiedliwość?!

— By Ojczyźnie służyć, nie koniecznie trzeba karabin nosić. Każdy może strzelać, — ktoś musi też i kule lać. Mądra kobieta patriotka więcej korzyści sprawie może przynieść siedząc w domu, niż żołnierz na froncie. Chyba tylko pani chce się po świecie pojeździć, bo służby Ojczyźnie w samej Smolarni jest wiele.

— Chcę po świecie jeździć? Pan Kazimierz mnie za maleńką ma.

— Więc dobrze, że między nami doszło do takiej rozmowy; wskaże pani ważną służbę. Pierwszą robotą dla bab — to zachęta. Oto bywając na zaścianku, niech pani wmawia siostrze i matkom naszych legionistów, by nie radziły im szukać sposobu do zwolnienia się, ale zachęcały, do dalszej gorliwej służby. Niech pani stara się ich przekonać, że gospodarka bez jednej pary rąk nie zginie, a że służby swych synów, czy braci będą mieć spokój i bezpieczeństwo pracy na długie lata i chwale wielką dla familii. Najsamprzód to niech pani moją mamę pocieszy.

— Co, może przeciwna, że pan służy?

— Dnia proszę pani, nie było, ażeby mnie nie piłowała: a ty już dosyć nawojował się, a niech idą teraz drudzy którzy w domu mają kogo zostawić, a ty u mnie jeden, a ty mnie chcesz osierocić, a zmuszasz starą harować, a to, a owo. Niech pani, ze swej łaski, postara się jej wytłumaczyć, że ja, który całą okolicę namawiałem do wstępowania w legiony, nie mogę teraz prosić o zwolnienie, gdyż inni patrząc na mnie, to samo uczynią.

— Bądź pan spokojny; wytłumaczę jej, pocieszę i w pracy też pomogę.

— Bardzo będę pani za to wdzięczny.

Dalej. Gdy przyjdzie pobór, niech pani z koleżankami zagrzewa chłopców, by szli ochoczo i rychło. Dziewczęta, a zwłaszcza taka, jak pani ślicznotka, mają wielki wpływ na chłopców. A gdy potem przyjdzie któryś na urlop, to go nie pytajcie, czy mu ciężko było, czy długo będzie trwała

wojna, ale czy dobrze z wrogiem się bił, czy marnowaniem żołnierskiego chleba i zdzieraniem spodni korzystać jaką Ojczyźnie przyniósł. Następnym razem, gdy zobaczymy się, wskażę pani jeszcze więcej roboty; teraz nie mam czasu. Muszę pójść jeszcze porozmawiać ze Stachem Bałasze-wiczonkiem. Pozostawaj pani zdrowa i bądź dobrej nadziei! —

Wyciągnął dłoń, a gdy mu swoją do uścisku podała, ujął i rzekł:

— Niech Karola pozwoli sobie ucałować jeden razek. — I nie czeka-jąc na zezwolenie, cmoknął ją zręcznie w same usta.

Odstąpiła odruchowo krok w tył spłoszona i mrugając oczętami wstydliwie, szepnęła.

— Niech tylko pan Kazimierz, Kościkowi tym nie pochwali się.

— Chwalił się nie będę, lecz jeśli mię zapyta — łągał mu też nie będę. Toż nic takiego . . . To moje przyszłe wielkanocne.

## XXIX

### FEST W WOŃCZY

Szło ku wiosnie. Zdarzały się, od czasu do czasu północne wiatry lodowate, śnieżyce i zawieje nawet, jednak zwykle kończyły się odwilżą silną. Stonko zataczało coraz wyższy łuk nad puszcza, przygrzewając w południe. Pozsuwał się śnieg z lasów, pozłaził z dachów, poosiadał na ziemi. W polu pojawiły się nagie skiby roli.

Świat się budził. Głuche i czasami straszne czarnolesie za ogrodami, rozbrzmiewało rankami śpiewem drobnego ptactwa. W borach tokowały zawzięcie głuszcze i cietrzewie. Na gościńce zlatywały się wrony i kruki z hałasem żerować na kale końskim. Bydło podczas wodopaju porykiwało tęsknie w pole. Dzieci w wolnych od nauki chwilach stawały gromadami na przyzbach i gawędziły o rozmiarze łat nagich w polu, o słodyczy soku klonowego, o zbliżającej się Wielkanocy, o mocarności jałówek i byków w zaścianku, które przy pierwszym wygonie w pole, miały stoczyć ze sobą zazartą walkę o zwierzchnictwo na całe lato.

Mężczyźni w przewidywaniu prędkiego łamania się lodów, wozili pośpiesznie do młyna ziarno, zabierali z dalekich łęgów ostatnie stogi, gromadzili kloce drzewa opałowego. Kobiety snuły krosna.

W Palmową nasza z południa ciemna chmura i zaczął sypać deszczyk. Trzy doby mżyło prawie bez ustanku i chuchał ciepły wietrzyk. Śnieg ginął raptownie na polach i w lasach. Woda sączyła się spodem w doły, ściekała w doliny, wyrwała rzuczajami w łągi i błota, łączyła w coraz szersze lawy, wzbierała, zalewała świat. Cała niska i lesista smolarska okolica, w promieniu kilkunastu wiorst, pokryła się siecią rzek i jezior. Po szerokiej łące za wygonem, niby Dniepr mohylewski się toczył. W błocie Wielkim, jeno gdzie niegdzie wystawały z wody czuby karzełko-watych sosenek a reszta nagą taflą toni była pokryta, niedosięła okiem, niczym morze jakieś.

— Wiosna idzie! Już wiosna będzie! — cieszyli się smolarzanie, oprócz kilku starych gospodarzy, którzy policzywszy śnieżne tygodnie w zimie, zapowiedzieli, że ona jeszcze ukaże swój ogon.

Każdy wrywał się na podwórze, szukając na nim roboty, lub roz-rywki. Chłopcy piłowali kloce nagromadzone sanna, albo nosili sok brzo-

zowy z puszczy. Starsi poprawiali szczyty w dachach słomianych, popsute ostatnią zimową wichurą i stamtąd spoglądali z rozkoszą na pola swoje, na rzeki powstałe, na lasy. Dzieci każdą wolną chwilę spędzały przy ruczajach, puszczając tratwy i młynki. Niewiasty tylko przykute do krosen nie mogły inaczej lubować się wiosną, jak przez drzwi otwarte, lub okna. Ale wieczorami dziewczęta wciągały buty i biegly z chłopcami po sok za ogrody, albo znowu zebrawszy się swoją dziewczęcą gromadą, szły ku łące dziwić się ogromowi płynących wód, słuchać szumu, dychać wilgotnym, pachnącym, przyniesionym z lasów powietrzem. Przecudna była Smolarnia podczas wiosennych roztopów.

Lecz przepowiednie gospodarczy sprawdzily się — zima ukazała swój ogon. Na czwarty dzień Wielkanocy po południu, wiatry zawróciły z północy, naciągnęły zimowych chmur i zaczęła się śnieżycą, która nocą przeistoczyła się w prawdziwą zamieć. W niektórych miejscach nawaliło wyżej kolana. Aż do przyszłego poniedziałku leżał, podtrzymywany lodowatym zimnem, potem naraz zginął i zaczęła się już wiosna prawdziwa.

Kąta nie było, w którym by nie pojawił się stwór Boży, skądby nie płynęła chwała wiśni. Do łągów zatopionych naszło ryb z rzek wielkich, na tarło, naleciało mnóstwo ptactwa wodnego. Starzyny w puszczy, aż trzeszczały od śpiewu drozdów, słowików, wróbl, siniczek, kołopieńków, śniegirów, sitowców i innych drobnych ptaszków, których i nazwy smolarzanie nie wiedzieli. Na rolę zlatywało się stado wron hałaśliwych i gałek. W powietrzu zalewał się skowronek. Nad nimi, pod samym niebem, pływały korszuny, wypatrujące zdobyczy, lub czaple wędrowały z błota do błota. Wygon rozlegał się rechotem żab. Między strzechami śmigaly jaskółki, sprawdzając zeszłoroczne siedziby. A wieczorami latał baran i w rozmokłą, rozgrzaną słońcem glebę siał trawę.

Zdało się, że w oczach twoich wszystko wschodziło i rosło. Dziedzińce i drogi zieleniły się murawą. Kępy błot osypywały się bujnym czarnogłówkiem. W łągach wyłaziły z wody łopuchy, wykluwały się zdźbła leżaju i asaku. W czarnolesiu rozścielał się kuroślep. Jak okiem między drzewami pnie dojrzyć, bielił się kobierzec kwiecia.

W pierwszą po Przewodniej smolarzanie wyruszyli tłumnie na poświęcenie placu pod kaplicę w Wończy. Cześć konno, a reszta wszystko piechcą, gdyż woda we wszystkich czterech brodach stała jeszcze tak wysoko, że moczyła posłanie w wozach. Do przeprawy pieszej leżały kładki ciosane, przez chłopców smolarskich poprawione i osypane żwirem drobnym, by tak mężczyźni, jak kobiety mogli bez obawy przejść w obuwiu.

Świtem wyjechali Kantyczka ze Ściepurem, należący do Komitetu, w godzinę po nich gromada młodzieży z koszami kwiatów i zielini, a w parę kwadransów później, zaczęły wychodzić grona rodzinne.

Sokołowska z córkami i Zdanowiczowa z Zuzią wybrały się prawie ostatnią partią. Przy pierwszym brodzie czekali na nich, ukryci za wykrocią, Romek ciągle uganiający się za Karusią i Karapuzy adorator Jani.

— A co, z baćkiem, czy z matką? — pytał Karapuzy towarzysza, który wysunawszy głowę z ukrycia, starał się rozpoznać sylwetkę w gromadzie.

— Zdaje się... z matką. Mężczyzny przy nich żadnego zdaje, się nie ma.

— Tak, z matką, żeby ją cholera zadusiła!

— Psiakrew! — zaklął też Karpuzy. — Ta wiedźma nigdy córek swych nie puści. Bodajby ją!... A więcej z nimi kto?

— Zdanowiczowa ze swoją smarkatą i nikogo więcej.

— A nie mówiłem tobie? — Odkąd Kazik u nich pobyl, piecki i ławki zaczęły się wspólne. Jednego rywała będziesz miał więcej, brachu.

W Kazika ona nie zakochała się i nie zakocha. Ze wszystkich chłopców, co do niej podłazili, to nie licząc tego undra z okopów, tylko do jednego Kościka taką łaskawość, jak do mnie miała; on jeden mógłby mi pomieszać, ale ma się rozumieć wtedy, gdyby ja tak samo jak on nie wybierałem się w legiony i gdyby jemu matka Karusina nie była przeciwna. Na własne uszy onegdaj słyszałem, gdy mówiła babom na zaścianku, że choćby leśniczonek na kolanach ją błagał, choćby nawet na głowie stawał to Karusi za niego nie odda. A do mnie ma wielką łaskawość i poważanie. Gdy rznałem u nich raz sieczkę, inaczej nie nazywała mnie, jak zięć.

— Nazywała, aby za durniczkę kręciłeś jej jak najdłużej sieczkarnię. Ech, braciszku; O rękę Karusina nie tobą bywszy chłopcy się starają. Jania pochwaliła się mi niedawno pod sekretem, że Bolik Suszycki z Michaliszek, spotkawszy się raz z Sokołowskim w młynie, całą noc koło niego się kręcił, domawiając o zięciostwo. Po tym, że Sawickie z Zielonki, co byli u Tryznów na Wielkanoc, wołali do siebie starą i pytali się, czy może do Karusi przyjechać w swaty ichny kuzyn Jurkiewicz z Mogilnic, Maryla Piotrowszczanka, będąc w poście u Hańki słyszała, że tak samo Blinkiewicz nie traci jeszcze nadziei. A mówią też, że już i Arciszewski z Drozdów zaczął do Karusi wzdychać.

— I Arciszewski już?!

— Nie jeden raz już o tym słyszałem. Więc takie busły o nią starają się, braciszku. A cóż ty znaczysz przeciwko nich? — Droździk maleńki.

— Jej Bohu każdemu, kto do niej przyjdzie w swaty, rozwałę głowę!

— Cicho, już blisko, mogą usłyszeć.

— Ty patrzaj jak to jej uchodzi w tej zielonej spódnicy i w tej bluzce w kropki — zaczął Romek szeptem. — Dziewczynka jak burbałka! Jak zorka jasna! Psiakrew! Gdyby nie było starej, to bym wziął ją pod rękę.

— Jakby ci się dała. Wiesz? Dawaj ich postraszym.

— Dawaj. — Przywarli się szczelnie do ziemi i zawyli po wilczemu. Zuzia uczyniła krzyk przeraźliwy.

— Czego ty krzyczysz, głupia? To my — pośpieszył ujawnić się Romek.

— To my — przedrzeźniła Sokołowska gniewnie. — Pocóż straszycie! Nie wiecie, że od przestraszenia można choroby dostać! Buhaje stare! —

Romek zmieszał się czerwieniąc po uszy, ale Karapuzy zaczął odcinać się babie.

— Wprzódzy niech ciotka na ciolkę głupią pokrzyczy za to, że na ryk buhajów płoszy się. Byki przecież zawsze, zobaczywszy świeże stado, ryczą.

Jania szarpnęła Karapuzego za rękaw, dając znak, by nie jątrzył starej bezpotrzebnie.

Przeprawili się przez bród i poszli wspólną kompanią. Sokołowska ze Zdanowiczową gwarzyły o krowach, o niedostatku paszy spowodowanym ostatnią śnieżycą; Romek, towarzysząc Karusi o kilkanaście kroków za matronami, wszczął rozmowę o szkodliwości wstępowania w związki małżeńskie dziewcząt w niedojrzałym wieku i błagał, by nie wychodziła zamaż, póki on z wojska nie wróci, choćby najzamożniejszy kto się swatał, Zuzia zabiegała we wrzosey po kwiaty sonu, zwijając je w wianuszek, a Jania z Karapuzym, wlokąc się z dala od wszystkich, rozpoznawali różki pastusze dochodzące z różnych stron lasu, albo liczyli gęsi i żorawie w kluczach, które już drugą dobę płynęły po niebie bez ustanku.

Zbliżając się do drugiego brodu, Jania posłyszała tętent kopyt.

— Ktoś sypie konno — powiedziała.

— I to ktoś we dwóch, albo we trzech — rzekł Karapuz, przysłuchawszy się.

— Któż to może być taki? Nasze zdaje się już wszystkie pojechali.

— Może komuś z uberezyńców zechciało się pobaczyć naszego festu, może ktoś ze Sakałuszek, a może też ułany jakie.

— Najprędzej ułany. Wiesz co mnie teraz pomyślało się? — Że Kościk przyjechał ze swymi kolegami do Smolarni i dowiedziawszy się, że my wszystkie wyszli do Wończy, jedzie za nami.

— Może tak jest, jak tobie się pomyślało.

— Jeżeli naprawdę Kościk, to poproszę, aby mi dał swojego konia przejechać.

— Ażeby mi rozdarła się jeszcze na siodle? Myślisz, że na wojennym koniu, tak łatwo jechać, jak na swojej klaczy.

Przyśpieszyli kroku, oglądając się co chwila w tył. — Nie przeszło dwie minuty, wyłoniło się dwóch jeźdźców cywilnych, w których wnet rozpoznali Bronika Jurkiewicza z Mogilnic i Karola Ogińskiego ze Sakałuszek. Smolarzanie rozstąpili się na obie strony jezdni, dając konnym drogę, ale ci stanęli i zeskoczyli z koni, zaczęli się witać. Gdy Jurkiewicz całował rękę Sokołowskiej, ta pogłaskała go po włosach, dając tym wyraz swej życzliwości. Romek podał rywałowi tylko jeden palec lewej ręki.

— A my myśleli, że to ułani jakie jadą — zauważyła Jania.

— I na pokowę zgadliście: my sami cywilne, ale konie nasze wojskowe już, ułańskie, — odrzekł Jurkiewicz. — Wczoraj legiony wszystkie zdadne konie do wojska pomierzyli i poklejmili w naszej gminie.

— Tylko w waszej, a w naszej myślisz nie będą brać — wtrącił Romek, spozierając zawadiacko.

— Czemuż nie będą. We wszystkich powiatach, gdzie tylko są jakie konie zdadne do wojska będą brać. Klejmią do obozu, do artylerii, a najlepszych do ułanów. Naszych tych koników przyznali w ułany. Patrzajcie oto — wskazał na wysmalony w sierści biodra stempel: (I.K.) To oznacza pierwsza kawaleryjska klasa — objaśnił.

— Pierwsza kawaleryjska — przedrzeźnił Romek. — I dlatego wybraлиście się na nich do naszej Wończy. Myślisz, że jak na stemplowanym do wojska koniu koło dziewcząt przejedziesz, to już rojem, za tobą latać będą. Da to nawet kobyłę masz zdaje się.

— Romek! — krzyknęła Sokołowska karcąco. — Czego przydzierasz się do człowieka! Tak brzydko.

— Kiedy mnie złość bierze, że ten człowiek takim głupstwem się stawia. Mój rodny brat w legionach służy i to ja nie przechwalam się.

— Że brat w legionach służy, to też nie wielka ważność, — wmieszał się Ogiński. — Z braćmi bywa tak: jeden legionistą, drugi komunistą, a trzeci złodziejem.

— To ty mnie złodziejem nazywasz?!

— Ja tylko taki przykład daję.

— Nie stójmy długo, dziecki, chodźmy, bo możemy spóźnić — rzekła Zdanowiczowa.

— Tak, chodźmy już, chodźmy — potwierdziła reszta.

— My też pójdziem pieszo razem z wami, aby nie pomyśleli, że naprawdę końmi swoimi się stawiamy — rzekł Jurkiewicz do Karusi i trzymając konia za wodzę przysunął się do jej prawego boku. Ogiński w ten sam sposób chciał zająć z lewej, lecz Romek wyprzedził go.

— Ty co mi drogę zaskakujesz, młokosie?! — krzyknął Ogiński.

— Nie drzyj się bezpotrzebnie, póki nie biją — odparł zuchwale Romek. — Lepiej oto zabierz oba konie i trzymaj daleko w tyle, aby zielonej spódniczki pannie Karolinie nie ochlapały błotem, dziedu sakramencki, jak te legiony mówią!

— Zamilcz smarkaczu, bo my ciebie tu zaraz nauczymy!

— Dwa dziady ślińkate będą mię uczyć? — Józik, bywaj! —

Karusia zatrzymała się.

— Jak panów ręce świerzbią do bitki, to precz ode mnie! — krzyknęła gniewnie. — Precz ode mnie wszyscy!

— Ależ broń Boże, panno Karolino! — zawołał Jurkiewicz. — Ani my myślimy nawet bić. Co my bandyty jakie? Panie Oleński! Panie Ogiński! Czego wy? Ustatkujcie się! —

Znowu ruszyli. Jurkiewicz z Romkiem szli jak przedtem przy bokach Karusi, a Ogiński mruzczał pewien czas sobie pod nosem, pozostawiając coraz bardziej w tyle, w końcu dosiadł konia i pomknął szybko naprzód. Gdy zniknął z oczu, Romek podszedł do Karapuzego, aby opwtóżyć mu przebieg zatargu z Ogińskim, pozostawiając Karusię z Jurkiewiczem samych. —

— Cóż u was słyhać dobrego? — zaczął Jurkiewicz, korzystając z nieobecności świadka.

— Nic takiego co by pan nie wiedział — odrzekła. — Ot, cieszymy się bardzo, że już i my będziemy mieć kościół blisko.

— Prawda, to wielka będzie dla was dobroć. Teraz w waszym boku poweseleje. A co więcej takiego? Może już jakie wesele w zaścianku się gotuje?

— Takich rzeczy, to póki co nie słyhać.

— Naprawdę, nie słyhać? A koło nas gadają, że aż pięć swatów do smolarskich panienek, już się wybierają.

— Pięcioro swatów?! Może do którychś w chutorach, bo ile wiem, żadna z moich smolarskich koleżanek swatów się w prędkim czasie nie spodziewa.

— Swaty często przyjeżdżają wcale niespodziewanie. Słyszałem też, że jedne swaty i do panny Karoliny się wybierają.

— I do mnie też?! Dziwo. Ani mnie kto pytał o zgodę na przyjazd swatów, ani ja kogo prosiłam o szukanie mi męża.

— Nikt nie pytał? . . . A jeżeli kto przyjedzie nie dostawszy zgody, to panna Karolina wygoni?

— Wyganiać broń Boże, ale odjedzie z niczym.

— Choćby ktoś z ważniejszych trocha przyjechał?

— Choćby milioner jaki, choćby graf nawet.

— Oho! Czy nie myśli panna w mniszki się zapisać?

— W mniszki zapisywać się nie zbieram, ale zamąż zgodzę się wyjść tylko za takiego człowieka, który sam sobą będzie mi się dobrze podobał, który będzie mieć postęпки ważne, honorowe, przez mądrych ludzi chwalone, który będzie mieć wielkie dbanie o nasze Królestwo Polski. Taki kawaler, w tym ważnym dla naszego narodu czasie, do mnie w swaty się nie wybiera.

— Po co taka długa mitologia? Powiedz panno prosto, że czekasz na leśniczonka. —

Nie odpowiedziała mu.

Jurkiewicz zamienił jeszcze parę zdań dla formy, potem dosiadł konia i odjechał.

Do Wończy przyszedli prawie ostatni ze strony smolarskiej, lecz jeszcze w porę. Plac tartaczny zalegał tłumem. A wszystko sami swoi, znajomi byli: Jamy, Polanki, Lizuny, Wieźgajłowo, Turkacze, Michaliszki, Szpyrki, Szeptuny, Grodzianka. Najtłumniej Michaliszki przybyły, które uważały się za współinicjatorów budowy. Spełniały one w rejonie zaścianków zawończańskich taką samą misję, jak Smolarnia w swoim; w Michaliszkach schodzili się gospodarze w wolnych chwilach na wspólne czytanie Jutrzenki Wileńskiej, Dwóch Groszy, lub Kuriera Warszawskiego, w Michaliszkach uczyli swe dzieci pokryjomu elementarza i katechizmu, w Michaliszkach odbywały się huczne wieczorynki, do Michaliszek szli o radę i pomoc w ciężkich czasach, na ich wzorowali się w każdej zbożnej sprawie. Pomiedzy tłumem cywilów, widziało się sporo legionistów z miejscowego garnizonu.

W miejscu gdzie przypadła ołtarz przyszłej kaplicy, stał olbrzymi krzyż brzozyowy, a u dołu przy nim stół z obrazem św. Kazimierza, obranego na patrona. Obraz i krzyż od góry do dołu ubrany był w zieleni i wianuszki kwiatów leśnych. Na końcach stołu stały doniczki z mirtą. Opodal krzyża, po jednej stronie leżał stos brewien sosnowych, długich i równych, jak maszty okrętowe, po drugiej — cztery dębowe kraże na podwaliny.

Nie dążyli dobrze rozejrzeć się po ludziach jak wikary z Mogilnic rozpoczęli nabożeństwo. Do służby mu stanął Stach Bałaszewiczonek i Jaśka Wiemikowski, polski nauczyciel w Michaliszkach.

Po odprawieniu Mszy czytanej, kaplan poświęcił plac, podwaliny i wygłosił kazanie, chwalać przywiązanie do wiary obecnych, patriotyzm i zagrzewając do dalszej pracy nad budową świątyni.

. . . Wierność Kościołowi i tradycjom ojców — mówił — cnota, praca, męska wytrwałość w przeżywaniu okresów ciemnych, są hasłem Narodu Polskiego, bramą do szczęścia i tryumfu i też artykułem Prawa Bożego. Prawa, które wszelakie przestępstwa surowo karze, posłuszeństwo i krzywdy hojnie nagradza. Nagradza miarą zasługi. Czym cięższe

doświadczenie ludzi spotyka, czym mniej je ludzie znoszą — tym większą radość otrzymują. — Oto przed paru zaledwie miesiącami, na ziemi waszej buszowało barbarzyństwo, tyrania, chaty wasze rozlegały się płaczem przerażonych dzieci, lamentem matek, serca wasze krwawiły zalem przez krzywdy wielkie, — dziś sprawcy tych krzywd dręczą się w oczekiwaniu kary, która ich nie minie, — a wy tryumfujecie. Tryumfujecie wy żywi i dusze braci i ojców waszych. W tej uroczystej chwili tu są one przy was. Tu są dusze braci waszych, pomordowanych zeszłej zimy. Tu są dusze ojców waszych z cmentarzy: michaliskiego, wieźgajłowskiego i grodziańskiego, którzy przez całe swoje życie mężnie znosili prześladowania, wierząc święcie w przyjście Jutrzenki, która dziś wam zaświeciła. Tu są dusze dziadów waszych, którzy polegli chwalebnie w walce o Prawo Boże: z katongi, z Syberii, z mogił bratnich rycerstwa polskiego, rozproszonych po wszystkich krańcach Rzeczypospolitej. W tej chwili wszystkie one tu są nad waszymi głowami, — radują się wspólnie z otrzymanej przez was nagrody Wolności, z waszego gorliwego naśladowania ich cnot, z zapału rozpoczynania tego dzieła i błogosławią was . . .

Większa część zgromadzonych płakała z rozczulenia.

Po zakończeniu całej ceremonii, gospodarze udali się do jednego ze starych budynków, byłego tartaku, na naradę, a reszta gwarzyła gromadami po całym placu, gdyż dopiero przechylało się tylko południe, więc nikt do domu się nie spieszył.

— Jeżeli swacie się nie spieszy, to postójcie tu trochę koło ludzi, a ja tymczasem zbiegam do Sadowskiego, dowiedzieć się, może on otrzymał na pocztce dla nas list od Kaziczka — rzekła Zdanowiczowa do Sokołowskiej.

— Ależ czemu nie, postoiimy, poczekamy — zgodziła się.

Zdanowiczowa udała się do miasteczka, a Sokołowska z córkami i Romek z Karapuzym, ciągle trzymający się wspólnej kompanii, podeszli do jednej gromady, w której jakiś legionista opowiadał przygody z czasów wędrowki jego oddziału po Bolszewii.

Zawończańscy kawalerowie, jakby te szczury zwęszywszy kęs przypalonej słoniny, zaczęli dokola krążyć, wypatrując odpowiedniej chwili do nawiązania z dziewczętami rozmowy. Za chwilę zjawił się Arciszewski w towarzystwie swej siostry. Znajomy był trochę z Sokołowską, więc podszedł od razu, przywitał się z niewiastami, przedstawił im siostrę i po paru zdawkowych słowach, jał zapraszać na zabawę taneczną, którą wraz z kilku sąsiadującymi z nim dzierzawcami folwarków i grupą kawalerów michaliskich urządził w jednym z polskich domów Wończy. Janka aż zaskakała z radości.

— Pójdziem, mamulka, pójdziem! — błagała. — Jak Boga kocham, pójdziem Karuśka, pójdziem!

— Jeżeli tak chcecie, to możemy pójść i pobyć godzinę, czy dwie — zgodziła się matka od razu, rada, że pogłoski o zabiegach najzamożniejszego w okolicy kawalera względem jej córki, zaczynają się sprawdzać.

— Ja stąd idę prosto do domu — powiedziała Karusia stanowczo.

Matka spojrzała na nią z takim gniewem, jak gdyby zbierała się ją czymś wyciąć.

— I ty naprawdę nie pójdiesz?! — zawołała Janka. — Czemu tak? Pewnie postanowiłaś żałobę nosić? Chodźmy Karuśka!

— Panna Karolina pewnie myśli, że to będzie taka sobie zwykła chłopska kałatuszka? — rzekł Arciszewski. — My urządzamy zabawę pierwszy sort: dom jest elegancki, polski, towarzystwo będzie samo zaproszone, a grać będzie dwanaście żydków tutejszych.

— Dwanaście żydków! — wykrzyknęła Janka. — Słyszysz, Karusia?! Jeżeli ty mnie nie posłuchasz, na tą zabawę nie pójdziesz, to ja tobie aż do śmierci nie odpuszczę. Pójdziem, Karuśka, złota! Posłuchaj nas. Jaż tak ciebie proszę...

— Niechże pani nami nie gardzi — przyłączyła się też do prośby panna Arciszewska.

— Nie gardzę, ale nie mogę, proszę pani. Obiecałam pani Zdanowiczowej towarzyszyć dziś w jedno miejsce.

— Da co ty pleciesz! — zaprzeczyła siostra. — W jakie ty masz z nią iść miejsce? Gdzie, dokąd?

— Mamy iść do Borsuków po wzory dywanów — jeżeli tak dokładnie chcesz wiedzieć.

— A nie można tego odłożyć na jutro? Jutro tam pójdziecie. Zdanowiczowa na to się zgodzi. Jak Boga kocham się zgodzi.

— Jak zgodzi się to i owszem. Czekajmy na nią.

— A dokąd pani Zdanowiczowa poszła? — zapytał Arciszewski.

— Do Sadowskiego, dowiedzieć się o listy.

— Chodźmy pomaleńku, to akurat ją spotkamy.

— Tak, tak, akurat spotkamy — potwierdziła Janka. — Tylko proszę pana, my jeszcze tu mamy oto swoich chłopców — wskazała na Karapuzego z Romkiem, którzy stojąc obok, rzucali nienawistne spojrzenia na Arciszewskiego.

— Arciszewski nachmurzył się niezadowolony, jednak podał chłopcom rękę i zaprosił ich również.

Ruszyli powoli. Znalazszy się na ulicy, panna Arciszewska ujęła Karusię pod ramię, wyprzedziła z nią całe towarzystwo na kilkanaście kroków i zaczęła półgłosem:

— Jakież to kawalerowie idą z nami?

— Z naszego zaścianka, sąsiedzi.

— Może to wasze narzeczone?

— Ależ broń Boże! To młokosy jeszcze, ani po osiemnaście lat nie mają.

— Pytam dlatego, bo zauważyłam, że gdy Zygmus do pani mówił, to ten wyższy, ostronosy tak na niego spoglądał, jakby chciał z kulakami się rzucić.

— On na każdego, kto tylko do mnie zamówi, gniewa się.

— Ale miłości pani do niego nie ma?

— Nic w nim takiego nie zauważyłam, za co go warto byłoby kochać.

— Bo widzi pani — tylko proszę nikomu nie mówić — Zygmus w pani bardzo się zakochał — rzekła po pauzie.

— Braciszek pani we mnie?!

Ale co to jest, że Zdanowiczowa dotąd nie wraca — zmieniła naraz temat, nie mając odwagi powiedzieć otwarcie dziewczynie, że tyle ją obchodzi jej Zygmus, ile ten "ostronosy" młokos. — Oto już ta uliczka co do Sadowskiego idzie — wskazała na wąski, przesiekający żydowskie ogrody, ślepy zaułek, z którym się równali. — Wy tu wszyscy poczekajcie,

a ja zbiegam po nią. W dziesięć minut będę z powrotem. To bliźniutko. Patrz pani, oto w tej bramie rozwartej, co naprzeciwko tej uliczki.

— Ja z panią też pójdę.

— Owszem, chodźmy. — Zawiadomiły o swym postanowieniu resztę towarzystwa i ruszyły szybko zaułkiem.

— Pewnie staruszka otrzymała od synalka list i ucieszona czyta go z gospodarzami. Zna pani Kazika?

— Troszkę z widzenia. Zygmus to go dobrze zna, bo razem z nim do tutejszej ruskiej szkoły chodził.

— To pani brat razem z Kazikiem się uczył?

— Razem uczył, razem łapy od nauczyciela brał, a od muzyków kułaki. —

— I egzamin też jak Kazik zdał?

— Nie; dwie zimy tylko tu chodził, a na trzecią, tatko nie chcąc by chłopca chamstwo więcej popychało, najał jednego nauczyciela, by uczył go w domu. Egzaminu tutejszego nie zdał, ale po rusku i po polsku czyta bojko, a pisać umie tak szybko, jak Wiernikowski. Oho, do naszego Zygmunia nikt nie przystawi się.

— Koło nas są takie, co przystawiają się — wyrwało się Karusi. — W naszej okolicy aż czterech kawalerów jest, co zdali egzamin. — Ale spójrz pani w bramę, ile tam narodu miga się. Może tam akurat chrzciny jakie. —

— Nie, to pewnie wszystko, co na feszt przyjechawszy.

Zbliżywszy się na jakieś ćwierć stajania do dziedzińca, dosłyszwały rozpaczliwy krzyk niewieści.

— A to co takiego?! Jakby głos Zdanowiczowej — przeraziła się Karusia. — Pewnie otrzymała coś bardzo złego.

Puściły się biegiem i w pół minuty znalazły się za wrotami. — Cały dziedziniec zastawiony był kałamaszkami. Przy jednej stał tłum ludzi z czterdzieści, gorączkowo o czymś rozprawiając. Z wnętrza dochodził lament. —

— A synoczek mój! A czemuż ty tam jechał? Czemuż nie strzegł główki swojej? Miły mój! Serce moje! —

Lecz głos był obcy, nie Zdanowiczowej.

Podbiegły bliżej i poznały Wasilewską. — Karusi w oczach pociemniało, nogi zaczęły drżeć i uginać się. Jakiś zawończański młodzieniec opowiadał Anichowskiemu z Polanek przebieg katastrofy.

... W ochronie panu pułkownikowi Mościckiemu, wysłanemu przez Dowbora do Warszawy, jechał i w jednej ruskiej wsi za Słuckiem został postrzelony, a potem widłami żalaznymi dobity. Pułkownika tego też zabito. Zasadzka była. Z całej sekcji, co z nim jechała, tylko czterech zostało żywych i oni wróciwszy do Bobrujska, opowiadali ludziom przed kościołem na Wielkanoc, a nasze gospodarze akurat wtedy tam byli i tą historię na własne uszy słyszeli. Mówią ludzie, że już i w gazecie polskiej stało o tym z wypisaniem familii zaginionych. Ot jak wyszło z osiłkiem...

Twarz młodzieńca w oczach Karusi przybrała wyraz dzikiej okrutności i wstrętu. Zdawał się drwić i cieszyć z bohaterkiej śmierci rycerza. Wasilewski starał się pocieszać zrozpaczoną połowicę.

— Scichnij, głupia, nie płacz bezpotrzebnie, póki nie będziem mieć o tym pewności. Gdyby to prawda była, to by Dowbór nam dawno już

o tym doniósł. Rodzonego ojca zawsze o śmierci syna się powiadamia. Póki formalny list od naczelstwa nie przyjdzie, to ani dzwonić za jego duszę nie będzie, ani na egzekwie dawać, ani płakać też nie trzeba. Scichnij, babulka, scichnij, nie płacz.

— Prawda, pani Wasilewska, prawda: pierwszym słuchom nie trzeba wierzyć — pomagała Zdanowiczowa. — Gdyby coś nie daj Boże... to Kaziczek by o tym napisał. Oni druzaki ze sobą i ciągle jeden o drugim wiedzą. —

Ochłonawszy nieco z pierwszego wrażenia, Karusia również zaczęła nieszczęśliwą utulać.

— Nie płaczcie, ciocia, na próżno, bo jego nie zabili — mówiła drżącym głosem. — Już nie jeden raz wymyślano nibylnicę na niego. On nie zabity, on żyw. On żyw... Przy ostatnim słowie głos dziewczyny załamał się i przeszedł w szloch żałosny.

### XXX

## WIOSNA

Wiosna kroczyła zamasyżycie naprzód. Wody ściągały w koryta rzeczek, gleba stężała, rozparzyła się ciepłem słońca, przesiąkła świeżą deszczową wilgocią — i roślinność wschodziła, rozwijała się, kwitła. Pożółkła i spleśniała ruń żytnia na Klinie, zaczęła szybko zielenić się i krzączyć. Z kęp łęgowych wywijają się krzywymi haczykami paproć, rosnąc w oczach i rozkładając się jak palma, między nimi podnoszą się bujnie leżące, asak, kozielce, gdzieś indziej — w miejscach przepastnego bagna — wschodziła mokrzyca, kopytnik, rozrastały się rohoże i jawór. W moczarach brzoźowych wyłaniały się z kozuchów mchu, chwoszcze skrzypiące, bobek i łyżeczki. Czarnolesia zazieleniły się szczawiem zajęczym i stożkami orzeszków ziemnych. Las odziewał się, szeleścił liśćmi, szumiał. Doliny borów sosnowych i otoki błot zórawinnych zabieliły się kwieciami bohunów, bujaków, brusznic. Na łąkach coraz jaskrawiej skrzyły się kwiaty łąpuchów, goździków, lenku, dzięcieliny. A zaścianek wprost tonął w kwieciu sadów, zieleni wierzów i lip.

Starzy, zbierając się na gawędę świętami, jednogłośnie twierdzili, że tak bujnej wiosny nie było, odkąd powstała Smolarnia. Bo też urodzajna rzeczywistość była. — Ryb w powodzie naszło tyle, że niektórzy pałkami je bili. W sadach od kwiecica gałęzi nie widać było. Liście kopytniku rozrastały się do rozmiarów ruskiej furazki. Na jednym liściu dębowym mieścił się siedmio-funtowy bochen chleba. Kwiaty kozielców przekraczały oczy wołu. W paprociach łęgowych najszustniejszy człowiek się chował. Skowronek w pieśni wzbijał się niemal pod samo niebo. Ule po pięć rojów wypuszczały. Kobiety, jak rzadko, rodziły bliźnieta i to przeważnie samych chłopców. Niektórzy zauważyli, że nawet słońko jaśniej świeciło, niż poprzednimi laty.

O świetle słońka, to pewnie zdawało się tylko ludziom w rozradowaniu wielkim z wskrzeszenia się Polski na ich ziemicy. Patrząc na Nią, trud ludziom wydawał się lżejszy, a świat miłszy. To też patrzyli na Nią przy

każdej sposobności, przyglądali się lubując z każdej strony. — Do miasteczek, w których kwaterowały jakiekolwiek oddziały wojska, to jakby na jakiś odpust doroczny ściągaly tłumy z zaścianków w każdą zwykłą niedzielę.

Najwięcej bywało tłumów w Bobrujsku, w stolicy dowborczyków. W nim najwyraźniej ukazywała Polska swe oblicze. — W przeciwieństwie do lat przeszłych, na każdym kroku rzucały się jaskrawo w oczy czystość, ład i porządek. Na urzędach, szkołach, na różnych instytucjach, powiewały białoczerwone chorągwie, widniały polskie godła i napisy. Wiele sklepów wywiesiło już polskie szyldy. Ulicą przeciągały każdego dnia ze śpiewem liczne kompanie piechoty i szwadrony ułanów na ognistych rumakach. Berezyną ciągnęły parostatki z polską banderą, śmigaly łodzie motorowe z szarżą wojskową, w przystaniach uwijali się polscy marynarze. W lasku, między basztą a stacją kolejową, oraz na wałach twierdzy, to aż w oczach ci się mieniło od amarantów snujących się przez cały dzień szarży.

Z najodleglejszych okolic ziemi wyzwolonej, spod okupacji niemieckiej i nawet z za Dniepru spod Bolszewii przybywały ciągle pielgrzymki, aby oglądać Ją na własne oczy; każdy był kontent, rozpromieniony radością, jakoby wielkiego święta Wielkanocy doczekał, albo spotkał po wielu latach rozłąki miłą osobę.

No bo jakżeż mógł nie cieszyć się człowiek? — Gdzie nie spojrzy, w którą stronę się nie obróci: od Zielonki do cmentarza, od Nazarówki do wież kościelnych — wszędzie łopocze w takt twojego stęsknionego serca białoczerwona chorągiew, srożą się białe orły, rysują się szkarłatem polskie napisy, dźwięczy słodką nutą harfy mowa polska, dochodzi echem alleluja chór pieśni żołnierskiej.

O wiosnoż nasza dowborowa! Dumo nasza! Nagroda za długoletnie zsykany i krzywdy ciemieżców! Najsłodszy kwiecie naszego żywota! Wspomnienie, kojące ból tęsknicy, w długiej i dalekiej tułaczce!

## XXXI

### JASŃIE PANIENKA

Po festynie w Wończy, życie Karusi stało się ciągłym pasmem zmartwienia, niepokoju i udręki. Co drugi tydzień przychodziły inne wieści i losach Kościka: raz potwierdzano pierwszą pogłoskę o zamordowaniu go przez chłopów równocześnie z pułkownikiem Mościckim, później donoszono, że z owej katastrofy szczęśliwym zbiegiem okoliczności się wybawił i z resztą delegacji podążył do Warszawy, gdzie pozostaje z ran się lecząc, innym znowu razem gadano, że z zasadzki zdołał życie unieść, lecz na trzeci dzień umarł z ran w jednym polskim zaścianku. Po rozpaczy rodziła się nadzieja, lecz po niej znowu przychodziło bolesne rozczarowanie. Rzadko która po stracie rodziców tyle desperuje, ile ona po nim. Ani wianą ją cieszyła, ani wieczorynki, od których huczało w zaścianku w każde święto, ani chata rodzona, ani nawet robota żadna.

A tu jeszcze matka ciągle dręczyła, usiłując nakłonić ją do zamążpójścia. Wieść o śmierci leśniczka wlała nadzieję krociom konkurentów. Wnet sypneli swatowie nawałnicą ze wszystkich stron. W przeciągu jednego miesiąca sześciu kawalerów oświadczyło się o jej rękę. Ponowił próbę Jurkiewicz z Mogilnic, przyjeżdżali formalnie: Ogiński ze Sakatuszek i Arciszewski, przysyłał pośredników: Suszycki z Michaliszek, Smarhaczewski z Turkaczów i Blinkiewicz.

W środę przed Zielonymi Świątkami zaczęto gadać w zaścianku o wręczeniu Wasilewskiemu w gminie urzędowej wiadomości o śmierci syna, odznaczeń jego, fotografii i pieniędzy.

Karusia zdecydowała się pójść na leśniczówkę i sprawdzić tą wiadomość osobiście. Już dawno zbierała się tam pójść, gdyż rodzice najlepiej mogli wiedzieć o nim — jednak ciągle jej brakło odwagi.

Wydoiwszy w południe krowy, zapowiedziała matce, że pójdzie w kopytnik, wzięła płachtę i poszła przez ogrody w puszcze.

— Dosyć już tej męczarni — muszę dowiedzieć się prawdy — myślała idąc. — Jeżeli zabity, to zbiorę się bez żadnego wstydu, pójdę tam, gdzie on jest pochowany, popłaczę na jego mogiłę, pomodłę się, potem wrócę do Bobrujska, wypowiadam się u samego dziekana — i z mostu w Barezynę. Nic mi już nie potrzeba będzie na tym świecie.

A może nie topić się? — Przypomniała sobie, że samobójców nie grzebią na święconym cmentarzu. — Nie, lepiej pójdę tam, gdzie wojują, stanę pod kule i niechaj mię zabiją. Tak i zrobię . . .

A może Matuleńka Najświętsza da jeszcze, że to wszystko będzie nieprawda. Gdyby tak odmieniła, gdyby oni mieli nadzieję — tedy wrócę do domu tak, aby nikt nie wiedział w Smolarni, że ja tam chodziłam. Najlepiej żeby tak gdzieś poza ich chatą udało się spotkać ojca samego; braciszki Kościka nie wytrzymają, pochwalą się smolarskim pastuchom, że ja u nich byłam.

Postanowiła przygotować płachtę na wszelaki wypadek. Zaszła w łęg, wyszukała pole kopytniku, naszczypała potrzebną go ilość; wyniosła naręczami na suchy brzeg, zawiązała płachtę, ukryła ją w złomach, potem wróciła, wymyła w czystej kałuży łydki i usiadła na kłodzie pod krzewem paproci spocząć chwilę.

Dusza, jak każdego dnia w chwilach samotności i bezczynności, niosła się w zasłuckie ziemie na miejsce śmierci ukochanego. Z licznych opowiadań ludzi, z ciągłych rozmyślań utrwalił się w jej mózgu dokładny opis całej tragedii. Ot i teraz tak samo — jakby to przed jej oczyma się działo.

— Pole wielkie — nieskończona biel śniegu, — zachód słońca — mróz aż skrzypi. Gościńcem ze strony wschodniej posuwa się pluton ułanów: furczą chorągiewki, brzęczą szable, cugle, trzaskają podkowy. W pierwszej dwójce jedzie pułkownik z inną jakąś szarżą, w następnej poznaje Kościka. Z lewej strony czernieje coraz wyraźniej las, naprzeciwko majaczy wieś. Stoi w poprzek gościńca. Ogromna wieś — widać to po dymach kominów: — zaczynają się z lewej strony, prawie pod samym lasem i ciągną w prawo aż hen — w pole dalekie.

Ciemnieje. Zbliżają się do wsi. Już dzieli ich od niej może jedno dobre stajanie — gdy naraz rozlegają się w kilku miejscach przed nimi salwy karabinów maszynowych i ręcznych. — Pluton rozwija w lewą stronę tyralierkę i mknie ku lasowi. Strzały grzmiały coraz gęściej, — ułani wali się po jednym — tyralierka rzadnie. Widzi jak Kościk pochyła się na grzywę i zsuwa bezwładnie lewą stroną w śnieg. Ale za chwilę się podnosi i pełźnie na czworakach za innymi ku lasowi, malując krwią śnieg. — Ze wsi wypada tłuszcza chłopstwa uzbrojonego w karabiny, widły żelazne, cepy i dobija rannych. Widzi, jak zanurzają się widły między żebra Kościka, jak jego twarz kurczy się niewysłowioną boleścią. Aż wstrząsnął nią dreszcz cała.

— Jezunio słodki! — wzniosła oczy ku niebu. — Czemuż Ty nie ostrzegł ich! Czemu nie szepnął któremuś na ucho, że czają się na nich lotry zaślepieni!

Ukryła twarz w dłoniach i znowu pobiegła myślami ku niemu. Teraz stawał przed jej oczyma obraz pogrzebu. — Kościółek — trumny obladowane kwiatami — mrowie ludu polskiego. Żałosny skrzyp opartych o się drzew, smetna daleka gra fujarki, kwilenie ptaków, szum lasu, szelest paproci, czyniły złudzenie chóralnego pienia Psalmów, modlitewnego głosu kapłanów, dzwonięcia służebnego i rzewnego płaczu po żołnierzach, — jej oczy zasłyły łzami.

— No, ale dokądżeż ja mam siedzieć? — opamiętała się. — Wstała i poszła brzegiem łągi na wschód, w kierunku drożyny, prowadzącej na leśniczówkę. Nie uszła więcej nad dwieście kroków, dosłyszała przed sobą rzenie konia.

— Pewnie stary gdzieś jedzie, lub wraca skądś — pomyślała z zadowoleniem. — Jeśli zdąże go spotkać, dobrą okazję będę miała. —

Ujęła w garść klosz spódnicy i puściła się biegiem. Chwilami przystawała, usiłując dosłyszeć, w którą stronę posuwa się klekotanie wozu. Ale cicho było) Dobiegając drożyny, stanęła zdumiona.

Przed samą groblą stała karetka wielkopańska. Tylko w Bobrujsku w dzień Białej Procesji podobny luksus widziała — Konie wysokie, stajenne, cugowe: oba jasno — gniade z jednakimi na czole gwiazdkami, poniżej kolan białe, strzyżone krótko; zaprzęg krakowski, nasadzany srebrnymi guzikami; powóz kryty, ze szklanymi drzwiczkami i latarniami po bokach. Woźnica w liberii, stojąc przy głowach końskich, oganiał brzoźowym wiechciem komary i spoglądał co chwila za groblę.

— Cóż to za jaśnie państwo? — dziwiła się, przykucnąwszy za krzewem smorodni: — Może to dziedzice puszczy? — Nie inaczej. Zobaczywszy, że taką kareta nie przejadą przez groblę, zostawili ją z furmanem, a sami poszli pieszo. W dobry czas wybrałam się, nie ma co. No i co teraz robić? Wracać do domu? — Warto by zaczekać, schowawszy się tu gdzieś w krzakach; jeżeli to dziedzice, tedy Wasilewski będzie ich odprowadzać tutaj, więc ja go potem, gdy zostanie sam, wypytam.

Zawróciła chyłkiem w łęg, podeszła ku samej grobli i ukryła się w gęstwinie paproci.

Zaledwie się ulokowała należycie, zaczął dochodzić od leśniczówki gwar.

— A może to generały jakie? — pomyślała — Może sam Dowbór przyjechał pocieszyć rodziców po synu. — Uczuła mocne kołatanie serca i lęk.

Gwar się zbliżał. Za chwilę usłyszała stukanie obuwia o płaszki grobli. Rozchyliła paproć i wyjrzała ostrożnie. — Szedł mężczyzna w podeszłym wieku i młoda niewiasta. Ale Wasilewskiego przy nich nie było. Wyjrzała jeszcze raz i stwierdziła, że niewiasta była urodziwa. Nie oparła się pokusie podsłuchania tła rozmowy arystokratów. Już mogła dosłyszeć słowa.

... Jednak nieuzasadniona — mówił mężczyzna. Mówię, że Rafał wyklucza taką możliwość. Według zebranych przezeń wiadomości, on nie tylko na liście poległych nie figuruje, ale nawet w owej potyczce nie był. Podobno nawet w końcu kwietnia widziany był w Hłusku.

Karusia zataiła oddech by nie uronić słowa.

— Wśród poległych nie figuruje, w szwadronie nic nie wiedzą, w szpitalu nie ma, do ojca też nie wrócił, tedy gdzież on mógł się podziać? — pytała niewiasta.

— Najprawdopodobniej oburzony na dowódców za uległość wobec krzyżaków, podążył, jak nasz Wacek, do Odessy, lub tak, w któreś miejsce, gdzie formuje się wojsko polskie niezależne.

— Chociażby dał Bóg nie stało mu się w drodze jakie nieszczęście.

Ale jaka tu bujna roślinność, stryju! — zauważyła, rozglądając się z zachwytem dokoła. — Spójrz-no na te paprocie. Jakoby step jakiś palmowy z bajki! Śliczności! Mój las nie ma tak pięknych okolic.

— Sugestia paniuska i nic więcej.

— Na serio tak uroczych miejsc i takiej dziewiczości nie widziałam jeszcze w swym życiu. Jeżeli sokole moje z wojenki wyjdzie szczęśliwie, i przyjdzie między nami kiedyś do małżeństwa, to jeden folwark sprzedam, kupię przy samej ich leśniczówce kawałek lasu i pobuduję willę.

— Co za genialna myśl! — uśmiechnął się dobrodusznie mężczyzna.

Mąż z ojcem będzie się po lesie włóczył ze strzelbą, a wy z matką będziecie grzyby suszyć, tylko drzeć i łapcie wyplatać. Co za sielanka! —

Karusia boleśniejszego skurczu serca doznała, niż onego dnia w Wcńczy, gdy pierwszy raz posłyszała o śmierci Kościka.

— Znaczą się on dziewczynę sobie ma! — zajęczała myślami. — Grafinię jakąś ma! Więc takąż prawdziwość skargi jego zimowej!... Taka jego czystość! O Matko Chrystusowa! Grafinia w niego wkochała się! Grafinia za nim sama lata!...

Gdy przechodnie oddalili się, wyszła z kryjówki i powlokła się przegnębiona ku pozostawionej płachcie w kopytniku. Żal ją dławił okropny i paliła zazdrość. Czuła się kuzurką małą a nędzną wobec tej możnej, oświeconej, a urodziwej arystokratki.

Już w dwa tygodnie po przeglądzie koni wiejskich, zaczęły krążyć niepokojące miejscowych Polaków słuchy. W Bobrujsku utrzymywano, że wojna z Niemcami jest nieunikniona, jeno się czeka aż nadciągnie z Bolszewii reszta wojska polskiego; legionści, którzy przychodzili na urlop, mówili, że dowórcy zarekwirują wszystkie ostemplowane konie, zabiorą młodych mężczyzn; dziady ruskie wędrujące po żebraniu gadały, że car niemiecki zawarł z namiestnikiem polskim sojusz i "wulany", nie mając co robić, wyjadą wojować z Francuzem; żydki znowu wończańskie szeptały, że Muśnicki zgodził się na rozbrojenie Korpusu, co już rzekomo nawet się rozpoczęło. Wszyscy czuli, że gotuje się coś bardzo ważnego a niedobrego, jednak prawdy nikt nie mógł ustalić, gdyż sami oficerowie dawali nieścisłe a sprzeczne informacje.

Niebawem w ważnych strategicznie punktach, zaczęli się ukazywać, obok legionów niemieccy żołnierze i pogłoska o rozbrojeniu zdawała się być prawdopodobniejsza.

— I po co to wpuszczają tych niedowiarków do siebie? — mówili smolarzanie, niepokojąc się — czemu się nie biją? Czemu nie zabierają koni poklejmionych i chłopców naszych? Co to myśli Dowbór robić? Co stanie się z nami, gdy nie będzie legionów.

Coraz więcej zjawiało się w miastach Niemców, coraz głośniej gadano o rozbrajaniu Korpusu, aż w końcu zaczęli wracać do domów legionści.

Pierwszy przyszedł Józik Oleński, klnąc Dowbora i pomstując na Niemców. — My tyle trudu w organizację Korpusu włożyli, my tyle krwi o jego byt przelali a on zdrajca Niemcom zaprzedał. Bał się burzuj przeklęty, że wojując z Niemcami, może wpaść w ręce bolszewików. Ale to nie koniec na tym. Jeszcze my powstaniemy. Przyjdzie chwila, że poleje się szwabska jucha. Ścierwy ich, jak kęp w naszym Wielkim błocie będzie, a juchy jak wody w nim wiosną. Zapamiętaj, co wam Józik Oleński mówi!...

W cztery dni po nim, przyszedł Bolek Winiarski i Walka Tryzno, a w dwa dni później Wiktor Kantyczka. Brakowało tylko Norby Ściepuzonka i Kazika Zdanowicza, których też lada chwila się spodziewano.

Ściepura wiedząc gdzie się znajdują, zbierał się posłać po nich furmanke, jeno czekał aż pogoda nieco się wyklaruje. Zapowiadała się ulewa burzliwa. — Dymy z kominów łamały się raptownie w dół, kury siadały do gniazd na długo przed zachodem słońca, bydło, wracając z paszy wyprawiało harce, koty łąziły po płotach, jaskółki ścieląc się przy samej ziemi, rzucały się ludziom i bydłu pod nogi, komary gromadziły się w supy wysokie, muszki były tak jadowite, że ciało od nich puchło. W dzień okropnie parzyło, a noce były suchowiejne.

Lecz nazajutrz — pamiętam był to piątek — Norba przyszedł sam oznajmiając, że Kazik z Kartawym wybierają się z Bobrujska na Murmańsk.

Zdanowiczowa w lament.

— Więc to jest sprawiedliwość? Was wszystkich popuszczali, a Kaziuczka mojego, co służył najwięcej, jeszcze w jakiś tam Murmańsk posyłają!

— Nikt go nie wysyła; po swojej ochocie jedzie, bo tam formują nowe legiony — objaśnił Norba.

— On po swojej ochocie?! — No, to i ja razem z nim jadę.

Pobiegła co tchu do Jam, uwiadomiła Pokłackiego o zamiarze synów i zaczęła błagać z płaczem, by jechał z nią czym prędzej do miasta namawiać ich do powrotu.

— A hycle! A włóczęgi! A obiboki! — rozsierdził się Pokłacki. — Już wam pokażę! Nie puścim ich, swacia, nie puścim. Dostyc już nabadziali się. Dobrze zrobiłaś, swacia, że do mnie przysłaś. Pojedziemy. Choćby za hrudki mi przyszło się brać z jednym i drugim, to zawrócę do domu. Czyż to nie rozpusta? — Wszyscy powracali, a oni jeszcze gdzieś chcą się pchać, chcą być ważniejszymi od reszty. A do kosy! a do pluga sukinsyny! Ja wam pokażę Murmiel!...

Tegoż samego wieczora, sprzęgli swe konie w orczyk i puścili się oboje przez noc do Bobrujska.

Całą noczkę chuchał z puszczy gorący, jak z łaźni wietrzyk. O świcie ustał, lecz rosa nie zebrała się. Słonko weszło duże, zamglone jakieś, bez tarczy; dokoła niego rozlała się szeroka krwawa luna.

Zaraz po wschodzie pojawiły się ogromne rude gile i zaczęło parzyć niemilosiernie. Pszczoły wylazły z ulów na powierzchnię, nie kwapiąc się zbyt w pole, owce po wyjściu na paszę ciągnęły do lasu w cień, świny zarywały się w brzozy, psy wywieszały języki sapiąc, ludzi ogarniała senność i lenistwo.

Około dziewiątej, doszedł z zachodu grzmot i zaraz zaczęła wylaźić z lasu wielka chmura. Czarna jak kir była. Wnet pociągnął chłodzący wietrzyk; zatrzepotały liście, zakotyły drzewa, zaszumiały sady i las. Poszumiało kilkanaście minut i znowu uczyniło się jak w worku. Fala gorąca nawróciła z większą okropnością: piekło, dusiło, łamało kości, gotowało całą roślinność. Kartofle w polu i buraki w ogrodach, to jakby warem oblane zległy na ziemię do samego korzenia) W miejscach piaszczystych, nie można było wytrzymać boso. Nawet gęste trawy na łąkach powiędły i las młody opuścił uszy.

A chmura tymczasem podnosiła się powoli, grzmiała, siekła błyskawicą, potworniała, groziła. Pszczołki, które wyszły były w pole, pastuchy z trzodą, oracze poparu i pełki lnu wracali pośpiesznie do domu. Kobiety bojaźliwsze klękały przed obrazami, błagając Boga o odwrócenie klęski.

Ale też i mężczyźni ogarniała trwoga, gdyż od chmury szedł szum i huk taki, jak gdyby niezliczone pułki husarii skrzydlatej waliły, jak gdyby bitwa straszna odbywała się.

Naraz zerwał się wichur szalony; toczył się po polu, siał ku samej ziemi żyto, wskakiwał na chlewy i gumna, kudłaczył słomę, zrywał ze szczytów kostrzycę, rzucając ochłapami w górę, rozsypując na pył, wrywał się w sady, chwytając za wierzchołki wieżów i grusz wysokich, tarmosił nimi, jak pies wściekły, gwizdał, niósł się wirami po drodze, podejmując cmentarz kurzawy. Na puszcze strach było patrzeć. Pochylone gwałtownym

uderzeniem wichru kolosy cofały się gniewnym ruchem w tył, trząsły konarami, pomstując chmurze, wyły i trzęsły się febrycznie ze złości. Zdawało się, — stado rozjuszonych niedźwiedzi ryczy. Miliony liści zarwanych i kurzawa zaćmiły niebo.

Czarna tafla nawałnicy posuwała się coraz wyżej. Wnet wypłynęło z niej stado drobnych szarych obłoków i puściwszy się szybko naprzód, zasłoniło cały firmament. Za nimi ruszyły większe i ciemniejsze. Na dworze ciemność się uczyniła jak o północy. Chmura w świetle samej błyskawicy wydawała się jeszcze groźniejsza.

I lunął deszcz. Z razu burzliwymi falami kropel rzadkich, ale dużych, jak orzechy laskowe, lodowatych, z ogłuszającym trzaskiem piorunów, z gradem niebywałych rozmiarów i form; później nieco równiejszy, lasem słupów niebotycznych, zakrzywionych u dołu, żaglami wydętymi o kroplach tak gęstych, że oddech człowiekowi zabijało. W przeciągu kilkunastu minut potworzyły się w dolinach tak głębokie kałuże, że w niektórych brewna budowlane z łatwością mogłyby pływać.

Lecz zaraz poświeślało nieco i ulewa zmieniła się w deszcz drobny, ciepły, łagodny — błogosławiony. Blisko trzech godzin padał bez ustanku, potem ustał.

Mężczyźni wyszli obejrzeć poczynione burzą szkody, kobiety śpieszyły z dojnicami do chlewów, gdyż nadchodziła pora wyganiać bydło, dzieci zaczęły pluchać się w kałużach. Szkody poważne były: w wielu słomianych dachach pozrywało szczyty, w sadach nałamało moc gałęzi, natręsało zawiązków owocowych, a u Tryzny na gumnisku wywróciło sosnę z ulami. Ale żytu nie poszkodziło. Fala gradowa, jakby ręką Bożą kierowana, przeszła omijając Klin.

Przed domem Kantyczki zeszła się gromada sąsiadów, rozprawiając o dziwacznym kształtach gradu; jedni zauważyli krzyże i skrzydła pojedyncze, drudzy głowy ludzkie i żmije, inni znowu miecze jakoweś, noże, pazury, kopyta, rogi i inne dziwy.

— Co to będzie z tego, co to oznacza takiego? — pytały się Ładana osoby przerażone tym niebywałym zjawiskiem.

— To jest jasne: anioły z czartami walczą w niebie o bolszewictwo na świecie — zawyrokował Kantyczka.

Chmura, przewaliwszy się na wschód, długo grzmiała jeszcze, straszyla, ale coraz słabiej i rzadziej. O godzinie trzeciej rozjaśniło się zupełnie.

Zaścianek wrócił do zajęć: pastuchy pognały trzody na paszę, mężczyźni, wyprowadziwszy konie na wygon, wzięli się za naprawę popsutych dachów i spuszczenie wody z gumnik, a kobiety, zwłaszcza dziewczęta, wyruszyły po trawę na dzień jutrzejszy. W lesie rośno było po deszczu i mokro, tedy wszystkie poszły w żyto na miedze.

Wybrały się też i Sokołowszczanki, ale nie razem, gdyż Karusia zastępując Zdanowiczową w jej gospodarstwie, musiała czekać, aż Henuś wygoni świnię i owce w pole, a potem jeszcze karmić indyki.

Lecz wreszcie wybrała się. Szła i chwiała się od senności. Świadomość rychłego otrzymania konkretnych wiadomości o Kościku, nie pozwalała jej zasnąć do świtu samego. Przekonana była, że Kazik po swym urlopie

widział się z nim i wie co się z nim dzieje. — Co on powiedział Kazikowi, dowiedziawszy się od niego szczerzej prawdy o niej? Czy naprawdę nie figuruje wśród poległych, jak podsłuchała na grobli potockiej? Gdzie on teraz się znajduje? — niecierpliwiła się. Godziła się na wyjazd jego do tego dalekiego, pierwszy raz dotąd słyszanego Murmańska, godziła się nawet na wzajemność miłości jego z tą jasnie panienką, byleby żywy pozostawał. Rozmyślała o tym, przewracając się z boka na bok, aż pod-pasek zatrząbił budząc kobiety na dojenie.

Oczy kleiły się gwałtem, w członkach czuła zmęczenie okropne, ale szła siłą woli w poczuciu przyjętego na się obowiązku. Koniecznie trzeba było trawy dla Zdanowiczowych świń i cieląt przygotować. Obiecała kobiecie dopatrzeć chudoby jak się należy, więc musiała słowa dotrzymać. Na Zuzię samą nie można było się spuszczać. Gdyby nie ten obowiązek, to by zaszyła się gdzieś w słomę i choćby tam pioruny takie, jak w południe strzelały, nie wylaziaby aż do jutrzejszego rana.

Znalazłszy się jednak w polu, zaraz ją otrzeźwiło. Szeroki łąn żyta wilgotnego i las niosły świeżość i wonność podniecającą.

Udałe tego roku było żyto: wysokie jak człowiek, pierzaste, gęste, ciemne bujnością. Gdy pociągiwał wietrzyk, kolebało się rozkosznie, jak dojrzeć, od lasu do lasu, perliło nieobeschłą, jeszcze rosą, mieniło kolorem, i szumiało słabo, ale tak tkliwie, że samemu chciało się lecieć z jego falami.

Klinem tą zmianę pola nazywano, dlatego, że klinem wciskała się w dwie ściany lasów: czarnolesie puszczy pańskiej i sosnowy bór smolarski. W samym ostrzu łączka maleńka była.

Gościńiec podsuwał się zwolna ku borowi, leżącemu po prawej stronie w połowie pola wychodził na jego granicę. W tym samym miejscu odbiegała w żyto drożyna polna, która załamawszy się po dwóch stajaniach równym kątem w prawo, prowadziła w samo ostrze klinu. Karusia zawróciła nią, kierując się na sznury ostatnie, dokąd też i siostrze kazała iść z Zuzią Zdanowiczową.

Ze wszystkich stron łąnu dochodziły echa gwaru, śmiechu i śpiewów. Na jednej z miedz poznała Kasję Sciepurzankę z Walkiem legionistą. Odwróciła szybko głowę, udając, że ich nie spostrzegła.

— Jacy to oni szczęśliwi! — westchnęła. — A mój Kościk? ... Prawdę ludzie mówią: "Nie ródź się krasną, ale szczęsną". —

Dochodząc na wyznaczone przez się miejsce, ujrzała przy Jani Karapuzego. Siedzieli obok siebie na posłaniu płachty, jakby to jakieś święto było. Na widok Karusi skoczyli oboje: on podążył miedzą ku lasowi, ona wzięła się za robotę, której jeszcze ani tknęła nawet.

— Oho! nim ja przyszlłam, ty już tyle nawaliłaś, że tylko wiązać i do domu wracać — rzekła Karusia ironicznie.

— Czy już i chwilkę żadnej nie mogę posiedzieć ze swoim chłopcem?

— Dobra twoja chwilka. A gdzie Zuzia?

— Posłałam ją na ichną miedzę.

— Wygnałaś, aby ci nie zawadzała. Może tak samo siedzi z jakimś smarkaczem?

— Jak ma z kim, to i posiedzi. Chciałabys pewnie, ażeby wszystkie siebie tak suszyły jak ty? Zobacz na siebie jaka ty jesteś? —

Istotnie Karusia w ostatnich tygodniach zmieniła się bardzo: w stanie zeszczupiała jakby gorsetem ciasnym była ściągnięta, a na twarzy tak zbieiała, że żyłki na skroniach uwidoczniały się. W oczach tylko jeszcze dawniejszy blask pozostawał i ta sama tkliwość anielska była, a brew na tle bezkrwistej cery, zdawała się nawet ciemniejszą być.

Rozesłały płachty na drożynie i wzięły się za robotę, Karusia wybierała z żyta mleczał i drwoniec, a Jania zżynała sierpem miedzę.

— Zasiedziałem się z Karapuzym, bo mi bardzo ważne nowości opowiadał — zaczęła się Jania tłumaczyć. — Mówił mi, że w Wończy już się pojawili Niemcy.

— Już w Wończy są?

— Na własne oczy ich widział wczoraj. Mówi, że jak tylko przyszli, to zaraz poleżli na cerkiew, zdjęli dzwony i zaczęli kopułę miedną odzierać.

— Nie gadaj czego nie trzeba! Onaż jest święcona.

— Oni wcale nie zważają na to. Mówią, że im sam Bóg na to pozwolił.

— Błuzniercy! Za to ich pokarze.

— A może i prawda pozwolił?! Ty wiesz jak oni Bogu modlą się? — Maszyną.

— Maszyną można modlić się?

— Mówią, że modlą się. Są w Wończy tacy ludzie, co na własne oczy to widzieli. Mówią, że póki prostym językiem zmówisz same Ojczy nasz, to oni maszyną skończą cały Różaniec z Litanią.

— Głupi twój Karapuzik i ten, co mu to mówił.

— Jedna ty rozumna. Aha, wiesz co on mi jeszcze mówił?

— Później opowiesz; teraz patrz za czym przyszła. —

Niebawem nadeszła Zuzia. Zdjęła z ramion noszę, usiadła na niej i zawołała:

— Ot wy wielkie, a ja za was prędzej nałataszyła sobie płachtę.

— Da i nam już tylko poznać i związać pozostaje — rzekła Jania, zabierając się do składania naręczy. Lecz Karusia powstrzymała ją.

— Nie ma dokąd spieszyć. Niech ona sobie idzie, a my pobędziemy, do zmroku. Nie widzisz ile chwastów w życie. Przynajmniej zagon jeden wyczyścimy.

Przywołała Zuzię do siebie i pouczyła co i jak ma robić wróciwszy do domu.

Pełny żyto, posuwając się miedzą coraz ku lasowi.

Wieczór był. Słonko zataczało się w bór, a cień sosen rósł wydłużał się, pełz po życie, aż w końcu objął swą szarą powłoką Klin cały. Przy siedzibach, gdzie pole było szersze, widniały jeszcze słoneczne pasma na zbożu i ściana puszczy jaśniała, ale i tam już z każdą chwilą bladło i gasło. Wraz z zachodem cisza przeogromna się uczyniła. Gdzie te Nity znajdowały się, gdzie Jamy, Polanki, Uberezie — a mogły w nich dosłyszeć wygrywanie trąb pastuszych, szczekanie psów, ryk byków buszujących i wołania ludzkie. A w Smolarni, to jakby o jedno stajanie tylko od nich leżała: najwyraźniej, dochodziły uszu skrzypy wrót otwieranych,

kwilenie głodnych prosiąt, gęganie gęsi, poszczególne słowa gwary ludzkiej i nawet tętent powracającego z paszy bydła.

Jania peła coraz niechętniej, przysłuchując się co chwila dochodzącym głosom rozmowy.

— Gdy wrócimy, to ja tatku powiem, że ty ciągle stałaś nie robiąc.

— Tatku — tatku. Jak ty mnie tatkiem straszysz, to ja wcale nie będę robić. Już niedzielnka święta zaszła. —

Stała na miedzy i jeła przyglądać się niebu. — Na północy wisały dwa niewielkie zawalne obłoki; brzegi ich od strony słońca wyglądały niby gęste kłęby dymu, niby hurby śniegu, lub wełny rozczesanej.

— Jak po twojemu, Karusia: z czego to porobiły się chmury? — rzekła po długim przyglądaniu się. — Karapuzi mówił, że są z dymu.

— Dużo tam twój Karapuzi wie, — burknęła, nie podnosząc głowy. — Ale zaraz jakby sobie coś o chmurach przypomniała i stanawszy obok siostry, sama jeła się przypatrywać osobliwym obłokom.

— Gdyby były z dymu, to by deszcz z nich nie padał, — odrzekła. — Pamiętam Kościk mi raz mówił, że chmury robią się z rosy.

— Myślisz, że twój Kościk to już Salamon wielki? Gdyby były z rosy, to by wyschły latając po niebie.

Co to ja chciałam ci mówić? Aha! Wiesz. Arciszewski wciąż nie traci na ciebie nadziei; jutro przyjeżdża ze swoją siostrą do Smolarni na wieczorynkę.

— Dobrze, że mi o tym powiedziałaś; pójdę gdzieś, ażeby i w zaścianku nie być!

Jania spojrzała na siostrę z politowaniem.

— Wszystkie baby w zaścianku mówią, że jeżeli ty tego chłopca przepuścisz, to kajać się cały wiek będziesz. Lepszego nie znajdziesz, to już ręczę. — Cztery włóki ziemi, ważna familia, jeden u baćki, wysoki, składny, kudrawy, uczony, delikatny, harmonista...

Dla mnie on tyle wart, co każdy z naszych chłopców cywilnych w Smolarni.

— Znaczy się ty wciąż jeszcze na tego myzdryka kręconego masz nadzieję?

Karusia jak tygrysica rzuciła się ku siostrze, pochwyciła ją za odzież na piersiach i potrząsnawszy z całej mocy, zakrzyczała:

— Jak ty mi się jeszcze raz takim słowem na niego odezwiesz, to ci wszystkie kości na krupy potrę!! —

Jania wybałuszyla na nią oczy, zdumiona tak gwałtowną reakcją.

— Czekażesz, ja powiem mamce, że ty tak za nim ujmujesz się! pogroziła, gdy Karusia ją wypuściła z rąk.

— Mów. Nikomu nie pozwolę jego drażnić!

— Myślałam ci coś bardzo ciekawego o nim powiedzieć, wracając do domu, ale jak ty taka, to nie powiem. Wiem co się z nim stało, wiem jaką on sobie w jednym miejscu dziewczynę... — Tu urwała, spłoszona trzaskiem łamania gałęzi z tyłu. Najwyżej dwadzieścia kroków dzieliło je od brzegu puszcy. Była wysoka, jak kamienica siedmiopiętrowa, ciemna jak — noc jesienna, bezszelestna — jak podziemie. Na dworze już ciemniało.

— Co to może być takiego? — szepnęła zapominając w jednej sekundzie urazę. — Może niedźwiedź jaki?

— A idźże ty ze swoim niedźwiedziem.

— Chodźmy, Karuska, do domu prędzej; ja bardzo boję się. —

W tej chwili znowu zatrzeszczało w tym samym miejscu.

Wyteżyły obie wzrok i słuch, usiłując rozwiązać zagadkę.

— Ktoś stoi — szepnęła Jania. — Jak Boga Kocham stoi. — Patrz na lewą stronę pnia osinowego. Stoi. Uciekajmy jak najprędzej stąd, bo to nieczysta siła stoi! — szeptała coraz trwoźniej i nie spuszczać oczu z podejrzanego punktu, jęła cofać się tyłem, pociągając za sobą siostrę.

— Głupia, to któryś z chłopców smolarskich przyszedł nas postraszyć — rzekła Karusia, nie zdradzając najmniejszej bojaźni. — Może nawet twój Karapuzik, albo Romek.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołała Jania.

— I ja Go chwale, alem nie duch — padła odpowiedź.

Dziewczęta spojrzały na siebie pytająco, nie mogąc poznać głosu.

— Mówiesz, kto jesteś taki i nie strasz nas! — znowu krzyknęła Jania.

Ostąpiły obie ze zdumienia.

— Jak Boga Kocham, Wasilewczyk — rzekła Jania po cichu, oblewając się rumieńcem. Karusie ogarnął lęk, jak zimą podczas wesela, gdy go ujrzała; serduszek trzepotało jak ptak dopiero ujęty, nogi drżały i uginały się pod nią. Ale Jania natychmiast opanowała się.

— No czego stoisz tam ukradkiem?! — rzekła. — Pilnujesz nas pewnie, by tyka w twoim lesie nie nadarły, albo paproci nie naskubały? Chodź do nas!

Ruszył posłusznie. Karusia, nie wiedząc co ze sobą począć, zaczęła chwasty składać do kupy ruchem roztargnionym.

— Jakżeż miewają się panienki? — odezwał się głosem drżącym, podając dłoń Jani, która stała bliżej. — Ubrany był po ułańsku, jeno bez ostróg i pasa.

— Dobrze. Ale jak ty nas nastraszył!

— Ja was nastraszyłem? — odrzekł bezmyślnie, obracając się ku Karusi.

Spojrzeli na siebie bojaźliwie, a spotkawszy się wzrokiem, pospuszczali szybko oczy.

— Jak ty nas nastraszył! — powtórzyła Jania. — Ot posłuchaj jak moje serce skacze. — Nie czekając, aż Kościk to uczyni, ujęła jego dłoń i przyłożyła sobie do piersi. — A co słyszysz? — Tach, tach, tach!... Ale i twoja ręka coś trzęsie się. To pewnie za złości na mnie, że ciebie podrażniłam? Długo tam koło osiny stałeś?

— Minut z pięć może. Dziękuję Jance za życzliwość...

— Za życzliwość! I myślisz, że ja naprawdę sierdziła na ciebie? Ot, mówiłam sobie, by gadać, aby ją trochę rozweselić. Nie widzisz, że wygląda jak święta Magdalenia? Już może więcej jak miesiąc ona w takim smutku chodzi, z nikim nie gada, a tylko ciągle wzdycha i wzdycha.

— Przystań! Ja nie potrzebuję adwokatki! — przerwała Karusia surowo i odwróciwszy się od obojga, zaczęła zbierać narecza trawy, posuwając się ku drożynie. Jania uczyniła to samo.

Kościk też ruszył za dziewczętami. Chwilę szedł w milczeniu, później rzekł nieśmiało do Jani.

— Pozwólcie mi, to ja też wam będę pomagał.

— Chcesz pomagać? Nie warto: raz zaśmiesz swój mundur bezpotrzebnie, po drugie nie wiesz, które garście brać a które zostawiać, bo tu jest wiele takiej, co nikt nie będzie jadł.

— Powiedz którą, to ja od razu zrozumiem. Albo dawaj, będziemy zbierać na spółkę: ty mnie podawaj, a ja będę niósł. Dawaj to, co masz w rękach. Dawaj, — ot zobaczysz, że pójdzie nam raz dwa.

— Jak tak chcesz koniecznie, to i owszem — zgodziła się. — Wręczyła mu uzbierane brzemie i krocząc przy nim, wsuwała mu coraz nowe garście. Próbowwała podczas tej czynności nawiązać rozmowę, ale zauważywszy, że jej odpowiada, aby tylko zbyć, natomiast goni ciągle oczyma za Karusią, umilkła.

Nie zdążyli dojść ku drożynie, Kościk miał brzemie, że trudno utrzymać. Jania skoczyła naprzód, by przygotować płachtę.

— Kładnij mnie wprzód, bo ja jestem gospodynią dziś u Zdanowiczów i muszę śpieszyć doić ichne krowy — powiedziała tak głośno, aby mogła usłyszeć Karusia. — A wy tu sobie jeszcze nazbieracie. — Zawiązała płachtę według własnej siły, poprosiła, by jej pomógł włożyć na ramiona i pobiegła truchtem baby mohylewskiej.

Prawie ciemno już było. Nad łączką całą i brzegami żyta przy czarnolesiu wisały obłoki mgły. W oleszniku, graniczącym z łączką, śpiewały zawzięcie derkakce. Na gościńcu za brodem klekotały czyjeś wozy. W zaścianku jakby w karczmie jakieś wrzało; dochodziły zeń dźwięki harmonii i skrzypiec, śpiewy obojga płci, bałabony odjeżdżających na nocleg koniuchów, wrzask rozbawionej dziatwy, krzyki kłótni, wołania, płacze i śmiechy.

Stał spoglądając na oddalającą się Janię i Karusię śpieszącą z ładowaniem. Oczy płonęły gorączką, serce tłukło z taką mocą, że zdawało się mu — pierś rozsadzi. Nie miał odwagi podejść, nie wiedział od czego i jak zacząć. Myślał, że ona pozna zakłopotanie jego i pierwsza zagadnie.

Ale ona unikała nawet wzroku jego. Brwi miała nachmurzone, wargi były wydęte dąsem. Kto wie, może tylko udawała zagniewaną.

Wyładowawszy przyniesione spod lasu brzemie, zebrała jeszcze kilka nareczy znajdujących się w pobliżu drożyny, zawiązała to wszystko i uczyniła ruch do podnoszenia.

— Nawet nie chcesz powiedzieć, bym ci pomógł podjąć — rzekł, podbiegając ku płachcie. Pochylił się jak do pomagania, ale wmiast ujmować za płachtę, pochwycił jej dłonie i runął na kolana.

— Karusienka moja! — zajęczał. — Serce miłe! Przebacz mi niedogziwcowi! Ja sam siebie teraz wstydzę się za tą podłość! Jam głupiec i łotr nikczemny! Przebacz mi parszywcowi! . . .

Karusia nachmurzyła się jeszcze bardziej.

— Co ci mam przebaczać? Co uczyniłeś podłego? — zapytała.

— Żem uwierzył temu oszczerstwu, hańbiącemu twoją cześć i cnotę. Tyś najczystsza ze wszystkich dziewcząt, jakie znam tylko. Tyś aniołek niewinny! Tyś lilijka biała! . . .

— A jej, jak pięknie wyuczyłeś się! — przerwała. — Aniołkiem nie jestem, ale do tego, co ci naszczekał Józik nie dopuściłam się, kochania, od tych przeklętych okopów, z żadnym chłopcem nie prowadziłam, a jeżeli któryś, kiedyś podprowadził mię pod rękę, albo posiedział na jednej ławce, albo czasami cmoknął znienacka, to tego taić nie będę, nie tak, jak ty, co w każdym miejscu masz sobie inną dziewczynę, przed każdą na kolana padasz, aniołkiem i lilijką nazywasz.

— Ja inną dziewczynę mam?! Jezus, Maria! Ja, gdy uważałem ciebie za straconą, to śmierci sobie szukałem nie dziewczyny.

— Jakież ty fałszywy się zrobił! A ta jaśnie panienska, co przychodziła do was ze swym stryjem przed Zielonymi Świątkami. Myślisz, że ja nie wiem nic?

Poczerwieniał lekko, ale nie zmieszał się.

— Co ja winny, że ona za mną lata. Dwa razy tylko, gdy rekwirowaliśmy w jej majątku siano, porozmawiała ze mną i odtąd już za swojego chłopca mię uważa. Co ja winien temu?

— Kto ona taka?

— Dziedziczka jedna spod Mińska. Kuzyni jej są oficerami polskimi.

— Nie kochasz jej?

— Ani troszka nawet. Co tam jest kochać. — Ona przed tobą, jak zorka maleńka przed słońcem. Ani mi ona w głowie. Nie wierzysz, to ot. — Złożył dwa palce na krzyż i ucałował je, przysięgając.

Objęła go za szyję obiema rękoma i cmoknęła w same usta.

— Wstawaj, bo jak kto zobaczy, drażnić potem będzie. Na zawsze wrócicieś?

— Gdzie tam. Nie wiem kiedy, ale pójdę jeszcze.

— Pewnie myślisz jechać z Kazikiem na Murmańsk?

— Nie. Wprzódy myślałem, ale potem uradziliśmy wrócić póki co do domu.

— No, ale chodźmy już — przypomniała sobie, że już późno. — Poddaj mi.

— Zostaw, ja sam poniosę. — Przepakował noszę, zamieniając ją uściskiem swych rąk w mały węzełek, wdział go na lewy łokieć, prawą ręką ujął ją pod ramię i ruszyli.

Przytuliła się doń, jak dziecko do ojca zrozpaczone długim błakaniem po puszczy.

Jak ja po tobie zbiedowałam się! — zaczęła. — Gdzie ty byłeś tyle czasu? Co z tobą się działo?

— Gdzie bym nie był, ale oto wróciłem i znalazłem ciebie taką, o jakiej przez całych półtrzecia roczków marzyłem: czystą, jak zwierciadło, szlachetną, rozumną. Gdy Kazik, spotkawszy się ze mną w Hłusku, prawdę o tobie powiedział, to ja skakałem z radości jak wariat jaki.

— Dawno to było?

— A ot, żeby ci nie zelgać . . . zdaje się już miesiąc będzie.

— I nie mogłeś przez ten czas przyjechać choć raz do domu?

— Myślisz, że nie rwałem się? Nie mogłem. — Wtedy, gdy on mnie spotkał, byłem wyznaczony akurat na ważną ekspedycję, a gdy wróciłem z niej, — dostałem od Kazika list bym czym prędzej jechał do niego na jedną bardzo ważną sprawę.

— Jaka tam była sprawa?

— Jedna wojenna; tego nie wolno mówić.

Obejrzała się badawczo w tył i znowu przytuliła się doń, kontynuując skargi.

— A ja już myślałam, że ty na tamtym świecie jesteś. Jak mi ciebie żal było! Jak ja prosiłam Boga, by to wszystko odmienił! — Tu ją opowiadać szczegółowo o tym, jak w Wończy dowiedziała się o rzekomym zamordowaniu go przez chłopów, o desperacji swej, o naśmieszkach chłopców, o natręctwie swatów, o kłótniach z matką, usiłującą ją wydać zamaż.

Kościkowi oczy ze wzruszenia zaszyły łzami; słuchał, patrzył na nią, jak na bóstwo jakie i tulił coraz mocniej do siebie, ujawszy w pół.

— Oj! nie ciśnij tak mocno, boli — krzyknęła.

— Zdaje się rozdarłbym sobie pierś i ciebie do gołego serca przyłożył! Nawet wypowiedzieć nie mogę, jak ja ciebie miłuję, jak ja rad i szczęśliwy jestem. Rusałka ty moja! Kwiatku pachnący! Zorka jasna!

— Ciszej, bo któryś podszywaniec podsłucha z żyta.

— Synem leśnika bezziemnego, sługi pańskiego jestem, więc mi nie równać się bogactwem do takiego Arciszewskiego, czy Juskiewiczza, alem kraść jeszcze nie chodził, pod mostem nie siedział, zebraniną też póki co się nie zajmował, wszystko to, co oni umieją potrafię i chwalić Boga, poważania mniejszego od nich tak w zaściankach, jak przy kościele nie mam, chociaż fajetonem nie jeżdżę.

— Ty dziesięć razy ważniejszy od nich wszystkich.

— Ważniejszy nie ważniejszy, ale i nie gorszy. Żeby tylko dał Bóg Ojczyznę udało się całą tak, jak myślimy wyzwolić i zdrowemu z wojenki wrócić, to wtedy zobaczysz, jak ja wezmę się za gospodarkę. Zobaczysz jaką ja chatę tobie postawię, sad zasadzę, jaką ja tobie wygodę urządzę. Żle ci u mnie nie będzie, nie bój się. —

W tej chwili dosłyszeli włania przy kołowrocie.

— Karusia, huuu! Karusia!

— Mama woła — rzekła z niepokojem. — Może ona coś paskudnego ci powie, to ty nie bierz tego do serca.

— Potrzebujesz mi o tym jeszcze mówić. Niech ona jak chce mnie nazywa, niech na mnie grudą rzuca, niech nawet psami szczuje, — to ja się nie zmartwię. Jeżeli ty mnie miłujesz, to mnie nic nie odstraszy i nikt mi cię nie odbierze.

## LEGIONOWY DZIEŃ

Nazajutrz rankiem, przyszedł do Zdanowiczów stary Wasilewski. Był w wyśmienitym humorze.

— Oho! Słonko jeszcze dobrze z lasu nie wylazło, a u pani w piecu już dzy-dzy — rzekł do Zdanowiczowej, pochwaliwszy Jezusa. — Pośpieszyłaś się wedle Kaziunki swego. A jakżeż — gość najdroższy. I mojaż tak samo zapaliła dziś w piecu wcześniej, niż zwykle, a mnie kazała iść szukać hycła.

— Kościka szukać?

— No a kogoż? Wczoraj jak powłókl się do waszej Smolarni, to jeszcze nie wrócił. Wiem — przy dziewce swojej siedzi — dodał ciszej.

— Przy Sokołowszcance?

Wasilewski klepnął lewym okiem potwierdzająco.

— To nie może być — zaprzeczyła. Już na swoje oczy późno w wieczór podpatrzyłam, jak wasz z moim i Bałaszewiczonkiem rozmawiali długo na naszym gumnisku, potem podali sobie ręce na dobranoc i Bałaszewiczonek poszedł do domu. Kazik do adryni, gdzie mu posłałam, a wasz wrócił na dziedziniec, przeciął ulicę wpoprzek i sadem naszym podążył ku puszczy. Na swoje oczy widziałam.

Wasilewski ruszał wąsami, hamując uśmiech.

— Od tylko dla oka ludzkiego hycel takie koło w sad zrobił. Do domu nie poszedł. U dziewczki swojej siedzi, żeby tam nie wiem co. A gdzież Kazik?

— Jeszcze nie budziłam. Zuzia! Uważaj, ażeby nie przypaliły się bliny; pójdę Kaziczka budzić.

Karola nie było w chacie, tedy Wasilewski, nie mając z kim porozmawiać, towarzyszył starej.

— Prosił mię, bym go obudziła o wschodzie słonka, — mówiła idąc — ale pożałowała nieborakę strudzonego. Chce dziś z waszym do Michaliszki jechać.

— Dziś do Michaliszek? Czegoż ich burza tam poniesie?

Szczerze powiedzieć, to nie wiem. Tyle mi nagadał, że i zrozumieć nie mogłam. — Jakiś tam oficer, jakieś kolegi, jakieś książki, zebranie...

— I to koniecznie dziś? Jaż mu pojedę! Ja mu pokażę!...

Byli przed wrotami adryni. Zdanowiczowa postukała pięścią w wierzeję i zaczęła wołać.

— Wstawaj Kaziczku! Wstawaj synku! Już słonko wzeszło.

Nie-odezwał się. Zdanowiczowa jeszcze raz zastukała.

— Wstawaj Kaziunio! Tyż prosił, żeby ciebie pobudziła. Wstawaj, już późnowato. Oto już i pan Wasilewski do ciebie przyszedł.

Taka sama cisza. Poczekali chwilę i otworzyli wierzeje. — Pościel była pusta. — Starej w oczach pociemniało z przerażenia; wodziła nimi błędnie to na pościel, to na Wasilewskiego.

— Zdaje mi się on bardzo mało grzał tą pościel — rzekł Wasilewski.

— O Boże miłosierny! — zajęczała. — Uciekł ode mnie. Uciekł na ten Murmiel przekłety!

— Da, co pani w głowie. — Oni u dziewczek swoich nocują. — Do której podsiadywał wczoraj, nie podpatrzyłaś?

— No, nie, — oni uciekli na Murmiel. Ja już wczoraj zauważyłam, że coś niedobrego zamierza. — Ani on sznurami żyta, przejeżdżając Klin, się cieszył, ani on chudobę przyjechawszy do domu jak należy się obejrzał, ani u niego rozmowy z nami, ani wesołości. Tylko myślał i myślał smutny. A gdy waszego zobaczył, to zaraz z nim na bok i szeptać. Oni uciekli od nas, uciekli! Czemuż on litości nad matką nie miał?! Jakaż ja nieszczęśliwa!

Jakoż i Wasilewski sposępniał.

— Czyżby oni naprawdę podurnieli? Dnia jednego z nami nie pobywszy, słowa nam baćkom nie powiedziawszy... To nie może być. A gdzie Karol?

— Wyszedł na zaścianek — odrzekła, zanosząc się płaczem.

— Może on wie. Nie chlipaj bez potrzeby, ale wracaj do blinów, a ja pójdę poszukam Karola.

Zaledwie oddalili się od adryni dziesięć kroków, ujrzeli w furtce Karola, wracającego z zaścianka. Zdanowiczowa na jego widok znowu wybuchnęła płaczem.

— Wiecie, nie ma już Kaziczka, uciekł! — zajęczała, zbliżywszy się.

— Co on skradł coś u kogo, że miał uciekać? — odrzekł starzec obojętnie.

— Dalibóg nie ma w pościeli, niechaj oto Wasilewski powie.

— Teraz dopiero dowiadujesz się z tego? Ja jeszcze, gdy zorki na niebie świecili, chodziłem w adrynię i dowiedziałem się, że go tam nie ma. Oczy matki pojaśniały nadzieją. Wasilewski uśmiechnął się.

— A nie mówiłem pani, że oni u dziewcząt swoich siedzą?

— U jakich dziewcząt — zaprzeczył Karol. — Do Michaliszek, na koniach Bałaszewicza, wyjechali nocą. Teraz od nich wracam.

— Już do Michaliszek, nocą?! Toż on mówił, że po śniadaniu pojedzie.

— Mówił, bo tak myślał, ale przed północą przybiegł jakiś chłopiec, mówiąc, ażeby jechali natychmiast. Pojechał Kazik, wasz chłopiec i Bałaszewiczonek.

Wasilewski, przeprosiwszy uprzednio starca z niewiastą, zaklął syna matuszczą, potem rzekł:

— Mordę szelmie zbiję i z chaty won wygonię, gdy wróci!

Ale Zdanowicz skarcił go ostro.

— Już ci głowa siwieje, a gadasz jak błazen jaki! Za co go masz bić i z chaty wyrzucać? Myślisz, że na hulankę jakąś pojechali? — Prosili obaj Bałaszewicza zawiadomić nas, byśmy nie robili z tego w zaścianku szumu i nie niepokoili się, gdyby nie wrócili prędko. Tedy nie krzycz.

— A nie wiecie co tam za sprawa? — zapytał łagodniej.

— Kto ich tam zrozumie. Nasz Kazik przy kolacji mówił, że mają tam od kogoś książki dla naszej szkoły otrzymać. Walkowi, gdy przyszedł odwiedzić, powiedział, że są zaproszeni przez szlachtę na wieczorynkę,

Bałaszewiczowi znowu, że jakiś tam legionista mocno zaniemógł; widąc tedy, nie chcą przyznawać się i kręcą.

Przeszła doba — nie wrócili. Minał poniedziałek, wtorek i środa — ani słuchu. Zdanowiczowa rozpacziała. Bałaszewicze z Wasilewskim też zaczęli denerwować się. Jedyne Karol nie zdradzał najmniejszego niepokoju, jakby był w zagadkową podróż chłopców wtajemniczony. Bałaszewicz z Wasilewskim uradzili, że gdy przez następne dwa dni nie wrócą, to pójdą szukać.

Ale następnym rankiem w czwartek wszyscy trzej znaleźli się w domu. Kiedy przyjechali, jak weszli do zagrody, nikt nie widział, nie słyszał. Zdanowiczowa świtem wychodzi z dojnicą, patrzy — Kazik wyjeżdża z pługiem w pole. Stacha znaleźli rodzice przy wiciu postronków na drywotni. Kościka przy motykowaniu kartofli w ogrodzie.

— Przehulaliśmy pół tygodnia, ale teraz weźmiemy się szczerze do roboty — mówili zmówiwszy się. Zadziwiająco długi pobyt za Wończą, tłumaczyli, tak przed swoimi jak obcymi, przypadkowym spotkaniem wesela w jakimś chutorze, gdzie rzekomo bawili się na umór.

W niedzielę Piotrowski zaproponował smolarskim gospodarzom urządzenie uczy na cześć legionistów. Zamierzał w niedzielę ubiegłą z tym wystąpić, ale dowiedziawszy się o nieobecności Kazika, odłożył.

Zgodzili się wszyscy chętnie, ofiarując produkty i pomoc w przygotowaniach. Dziewczęta, zebrawszy się hurtem, pomogły Piotrowszczankom umaid świetlicę, pozaścielać stoły, gospodynie zniosły kredens i potrawy, gospodarze dostarczyli napojów.

Oprócz legionistów miejscowych, zaproszono Kościka z ojcem, Kartawego z Jam, Anichowskiego z Polanek, Kuncewicza i Zahorskiego z chutorów i wszystkich smolarskich gospodarzy ze starszymi synami. Nie na każdym weselu tyle potraw, napoi i ludu bywa, ile na ową ucztę się zgromadziło. Ledwie się zmieścili przy dwunastu stołach.

Legionistów usadowiono razem w miejscu poczesnym. Gdy usadowiła się reszta, Mieczyk zaczął przemówienie:

— Żołnierzyki polskie, chłopaki kochane! Za to, że gdy my na piecu siedzieli, wy służyli w legionach, trudzili się na chłodzie, krew swoją za kochane Królestwo, za spokójstwo gospodarskiej ludności, za swobodę ludzką przelewali, — urządzamy dla was ten poczęstunek. Królestwo długo nie pobyło — Niemiec szelma Dowbora oszukał, ale wy temu nie winne. Wy zrobili swoje i sława nam z tego wielka jest. W całej parafii nie ma takiej okolicy, gdzieby jedenaście chłopców, tak szczerze od samego początku do końca wysłużyło. — Tu ujął napełniony kielich. — Więc na podziękowanie wam za to, na poszanowanie was, na życzenie...

— Po mojemu, to rozlewem tej swojej krwi nic nie zrobili i Psalmów śpiewać nie ma za co — rzekł Jaś Ładan niby do Bronika Huszczy, ale tak głośno, ażeby wszyscy posłyszeli.

Gospodarzom ściągnęły się brwi i nachmurzyły czoła. Mieczyk nie zdzierzył.

— Proszę sąsiadów! — rzekł głosem podniesionym. — Przymusu do wspólnego stołu nie było, więc komu moja chata i słowa się nie podobają,

może swoją kostkę i butelkę siwuchy zabrać i spożyć to we własnym domu. Proszę serdecznie!

Ale Jaś wiele się nie stropił.

— Przymusu nie było, ale zaprosili, do kompanii przyjęli, więc teraz wyganiać jest nieładnie. Co ja wam brzydkiego powiedziałem? — rzekł.

— Po co przebijasz? Chcesz być, to siedź cicho i słuchaj co ludzie mówią.

— Więc kochane chłopaki! — znowu zwrócił się do legionistów, biorąc w rękę kielich, — abyście teraz po trudach wesoło hulali, a gdy znowu przyjdzie sposobność — bo ja nie wierzę. by Dowbór długo siedział cicho, — znowu swą służbą przykład parafii dali, a z tej drugiej wojny wróciwszy, według gustu się poženili i żyli, aż do samej śmierci szczęśliwie. Wiwat chłopaki złote!!

— Wiwat!! — powtórzyli obecni chórem.

Za chwilę zabrał głos Kazik Zdanowicz.

— Drodzy sąsiedzi, ojcowie i bracia! W imieniu obecnych kolegów dziękuję wam za łaskawy poczęstunek, za życzliwe słowa, a najwięcej za ocenę naszych trudów dla Ojczyzny. Żołnierz służy chętnie, pierś w boju nastawia śmielej, niepowodzenia znosi cierpliwiej, jeżeli ma zrozumienie i zachęte swoich najbliższych. Uznanie wasze, nagradza nas hojnie. Dziękuję wam!

A teraz chcę jeszcze odpowiedzieć na uszczypliwą uwagę mojego dawniejszego przyjaciela. Nie będę dowodził dlaczego przyjaźń nasza się popsuka, kto z nas ma rację ideową, bo mogłaby się wszcząć między nami długa gawęda; chcę tylko zaprzeczyć powiedzeniu: nic nie zrobili.

Proszę braci! Czyż w wojnie liczą się trudy tylko tych żołnierzy, którym przypadło wziąć udział w końcowej bitwie ostatecznego zwycięstwa? Otóż nie. — Liczą się trudy tych, którzy wojnę zakończyli, tych którzy zaczęli i tych, którzy walczyli wielokrotnie z niepowodzeniem. Bez początku nie może być końca. Inna rzecz, że zasługi poszczególnych żołnierzy i korzyści ze stoczonych bitew bywają nierówne — jednym zdarza się z bitwy uchodzić, drugim w niewolę się dostać, innym zginąć, nie uczyniwszy wrogowi uszczerbku, a inni i wroga biją i sami przy życiu się pozostają — ale każdy, kto wziął udział w walce, jeżeli zdrajcą nie był, z chwilą zwycięskiego zakończenia wojny, pozostaje zwycięzca. Wojna, w której my braliśmy udział, nie za naszej pamięci i nawet nie za naszego życia się zaczęła, a skończy się wtedy dopiero, gdy cała Rzeczpospolita będzie miała niepodległość. Był Pierwszego Korpusu i walki jego z wrogiem jest tylko jedną z bitew w tej długiej wojnie. Bitwa ta nie była bezowocna. Bitwa ta przypomniawszy światu, że wojna o Niepodległość się toczy, że bić się umiemy i dała nam poznać grunt pod nogami. Gdyby nie legiony, nie wiedzielibyśmy, że społeczeństwo nasze do końcowej rozprawy nie jest należycie przygotowane; nie wiedzielibyśmy kogo trzeba uczyć, kogo wystrzegać się.

To zrobiliśmy pierwszą bitwę. Ale każdy legionista wierzy, że jeszcze weźmie udział w drugiej bitwie, która da Bóg, będzie zwycięska i może już ostateczna. Rozbrojenie naszego korpusu nie jest rozbięciem wojska polskiego, a tylko wyparciem z zajmowanej pozycji. Czas, który nas

dzieli od nowego spotkania się z wrogiem, pozwoli uświadomić naród i zebrać nieco większe siły. Do tego drugiego spotkania pójdzie nie jeden korpus, ale kilka armii potężnych. Z okolicy naszej będzie nie jedenastu żołnierzy, ale sto jedenastu. Iść będziemy ze świadomością Sprawy, drużynie, z wiarą w zwycięstwo — i zwyciężymy.

Więc drodzy ojcowie i bracie, wnieśmy teraz toast za pomyślność tej bitwy. Niech żyje wiara w zwycięstwo!

— Niech żyje wiara! — krzyknęła gromada, oprócz dwóch osób.

— Tylko krew biednego ludu przeleją i więcej nic — rzekł Jaś do Bronika, jednak po cichu, by nie jątrzyć gospodarzy.

— Ale składnie powiedział, nie ma co — przyznał Bronik.

— Myślisz, że ze swojego rozumu? W białych armiach wszystkich podoficerów uczą na pamięć takich modłitek, aby w razie potrzeby, umieli ludziom chorobę wmówić za zdrowie. Gdyby on ze mną zaczął, — to bym go momentalnie oberznął.

Bronik pokręcił głową niedowierzająco.

Rozpoczęło się uctowanie. Sami swoi byli i u siebie gośćmi, tedy powstała w izbie wesołość od pierwszej chwili; każdy sam sobie nalewał, pił, jadł i gwarzył całą gębą. Najpogodniej było w gronie legionistów. Niektórzy teraz dopiero spotykali się ze sobą po długiej służbie; opowiadali tedy jeden drugiemu ciekawsze epizody przemarszów, potyczek i rozbrojenia. Oblicze każdego wyrażało dumę spełnionego obowiązku i radość z powrotu w rodzinne progi.

Tylko Józik Oleński zachowywał się tak, jakby mu drzazga siedziała pod paznokciem, narywając boleśnie. Honorowanie i obfitość stołu łechtały go rozkoszą, ale obecność Kościka napawała trwogą. Na myśl, że Karusia już mu się poskarżyła na zniewagę jej na ulicy podczas wesela, chłopcu skóra cierpła.

— Czemuż ciebie naprawdę nie zadusili chamy? !... Czemuż ty nie skrzyłeś głowy gdzieś sobie, cholernik! — kłął w duchu, spoglądając nań ukradkiem — Czemu na twoim sercu skuła nie usiadzie, abys tak się dreczył jak ja już piąty roczek przez ciebie się dreczę, zarazo ty cholerna! Ależ to i szczęście gad ma; w tyłu awanturach był, a nikt go nie zastrzelił, ni noża wsadził.

— Co tobie jest, Józio, czemu ty nie pijesz dzisiaj? — zapytał Walka Tryzno, który siedział przy jego boku.

— Krew we mnie burzy się przez tego drania — odrzekł gniewnie.

— Przez kogoś to?

— Jeszcze pytasz. — Przez tego bolszewika cholernego. Jak on śmiał powiedzieć, że myśmy nic nie zrobili? Jak on śmiał wyrazić się przy nas w ten sposób?! Żeby to chociaż przy takich, jak my z tobą, to by jeszcze mniejsza złość człowieka brała, ale z nami przecież znajduje się Kaziunio, który naprawdę krew rozlał za Ojczyznę i kapralem jest, tu też Kostus Wasilewicz, który więcej, jak w czterdziestu bitwach był i wrogów na tamten świat tyle wyprawił, ile włosów na głowie.

Kościk spojrział nań z taką przenikliwością, że aż w piętach zakłuło.

— Wie już, nie ma co! — jęknął w duchu. — I co robić? Jak do niego podejść?

— I po co go przyjęli do siebie? — znowu mówił do Walka. — Czemu nie wezmą za kołnierz i nie wyrzucą?

— Wyrzucaniem ludzi nie zjednamy.

— A to mamy jeszcze bolszewików zjednywać?

— Z niego taki bolszewik, jak z ciebie... Chciał powiedział patriotą.

— Jak co ze mnie?

— Białogwardzajec. On komunizmu się uczeplił tylko z żalu, że nie poszedł z nami od samego początku. Do niego zwracać się i obchodzić po bratersku, serdecznie, to on jeszcze nawróci się. Kto wie, czy on w przyszłej kampanii nie będzie naszym kolegą.

— On moim kolegą? Więc to, co my wojowali pod Dowborem, nie będzie się liczyło!

— Tyle ty tam brachu... Tyle my z tobą brachu — poprawił — pod Dowborem nawojowali, ile kot napłakał.

— Ile nie wojowali, ale jest zapisane i będzie się liczyć.

— Głupstwo. Dawaj oto lepiej cykniemy za nasze legiōńskie. Trzymaj się!

— Daj ci Boże zdrowie. — Stuknął się kieliszkiem, ale umoczywszy usta, znowu go ustawił na stole.

— Czemu nie pijesz? Co ci się stało dzisiaj?

— Boję się. Doszczętnie tracę pamięć, gdy wypiję. Boję się, żeby znowu nie było ze mną to, co na weselu u Hańki.

— A co z tobą było na weselu?

— Zarznij mię teraz, nie pamiętam. Ludzie mówią, że krzyczał jak wariat, gadał niestworzone rzeczy, przydzierał się do gości, potraçał, nie patrząc czy to kawaler, czy dama. Do dziś dnia nie pamiętam.

Walka odszukał butem nogę Kościka i nastąpił mu na palec.

— Ty słyszysz? — rzekł. — Józik nic nie pamięta, co mówił i robił u Piotrowszczanki na weselu.

— Ja też nic nie pamiętam — odrzekł Kościk, znowu przeszywając blagiera groźnym wzrokiem.

— Żeby ci te gały bielmem zaciągnęły! — pomyślał Józik. — Żeby na ciebie matka rodna z siostrami do śmierci tak spoglądały! Ale widać już zmądrzał bestia — nie da się chytrōścią podejść. Zdaje się nic nie pozostaje, jak tylko udać pokajanie. Co zrobić? Trzeba jakoś cholere załagodzić, bo jak wyłupi, życia mi nie będzie w Smolarni od wstydu. Powiem żłobu, że gotów jestem jego suczce w nogę pocałować za to, że ją zimą potracił, byleby tylko nie przy ludziach. Co mi to zaszkodzi? Może kiedyś głowę gad skręci, to odwdzięczę się jej.

Na prawym skrzydle stołów, przy Jasiu toczyli gospodarze spór o oddawanie broni Niemcom. Jedni byli za oddaniem, drudzy radzili pozostawić część na wypadek ponownego bezprawia w kraju. Jaś natomiast nalegał, by wcale nie oddawać.

— Bandyctwa już nie będzie, bo władza sowiecka umocniła się — mówił — ale nie trzeba iść burżuazji na rękę. Nic nie oddawać. My w puszczy możemy armaty pochować, a nie tylko strzelby.

Chłopcy niebawem zaczęli wymykać się po jednemu na wieczorynkę, która odbywała się w tym czasie u Winiarskich. Kościk przeprosił kolegów i też wyszedł.

— Czekać na was, to nie będzie czasu pobyc z aniołkiem moim — rzekł do siebie idąc. Silił się na spokój, ale w miarę zbliżania się do zagrody Winiarskich, kroki stawały się coraz szybsze. Usłyszawszy dźwięki muzyki, z trudem się pohamował, by nie puścić się jak wyrostek biegiem.

Chłopców tyle naschodziło się z okolicy, że połowa z nich musiała stać u progu, czekając na swoją kolejkę do tańca. Szedł akurat walczyk rozkoszny, któremu grupa dziewcząt siedzących na kanapie, przyspieszyła:

Widziałem jelenia jak dosiął go strzał

I sercem zranionym on wciąż jeszcze drżał...

Niektórzy też i tancerze pomagali do chóru.

Kościk wysunął się na czoło tłumowi chłopców i jął szukać wzrokiem Karusię. Znalazł ją przy lewym oknie od ulicy w towarzystwie Kasi Ściepurzanki. Miała na sobie gładką spódniczkę niebieską i białą jak śnieg bluzkę, szeroką u dołu. Warkocz zwinięty był w kukię zgrabną, nasadzoną gęsto grzebieniami; na czoło spadała grzywka małeńka, po-falowana według mody. Na szyi połyskiwały dwa rzędy paciorków bujnych z kryształowego szkła. Do piersi przyczepiła bukiet z bratków polnych. — Chłopca nie było w izbie, któryby spojrzawszy na nią, nie powiedział w duchu: Ależ i kraśka!

Siedziała z nogą na nodze, na pół zwrócona do okna, bawiąc się gałązką łązki rozkwitłej w doniczce. Ściepurzanka śledziła tancerzy i świeżo przybywających chłopców, widocznie czekając na Walkę swego. — Ujrzawszy Kościka, obróciła się żywo ku Karusi, jakby jej zwiastując o swym spostrzeżeniu. Ale ta ani obejrzała się, ani zmieniła pozycję.

— Jeżeli masz ochotę, to bierz i syp, bo jeszcze nie ma pięć minut jak zaczęli ten kawałek grać — oznajmił Karapuz.

Okolił tancerzy i stanął przed Karusią.

— Dobry wieczór panienom — pozdrowił przez grzeczność obie.

— Dobry wieczór — odpowiedziały. — Ściepurzanka uśmiechnęła się uprzejmie, Karusia wydeła wargi dąsem.

Poprosił do tańca. Zgodziła się, lecz wstała z dobrze udawaną niechęcią.

— Co, ty już gniewasz się na mnie o coś? — zapytał, gdy znaleźli się w kole.

— A gdzie ty jeździł, słowa mi nie powiedziawszy? — odrzekła.

— A, więc ty za to! Czyż nie wiesz? Czyż Kazik ze Stachem nie mówili? Za Wończę byliśmy.

— Tak, tak za Wończę — powtórzyła ironicznie. — Na weselu hulali. Któż to się żenił: kolega jaki, czy może braciszek któregoś z was?

— Kazikowy kolega, z którym razem w szkole się uczył.

— Kazikowy. A jakże on nazywa się? Ja wiele kogo znam za Wończę.

— Jak się nazywa? A ot wiesz — zapomniałem. Spytaj Kazika, on musi dobrze pamiętać swego kolegę.

— Słuchaj Kostuś! Czemu ty taki fałszywy się zrobił! Po co łąsz?!

— Ja fałszywy... Niech mię szlag trafi, jeżeli ja fałszerstwo jakie wobec ciebie popełniłem.

— A czemu nie mówisz prawdy? — Głowę dam uciąć, że wy nie za Wończę jeździli. Mów, gdzie byłeś?

— Pytaj ich. Ja nie mogę inaczej mówić jak oni.

— Nie możesz, nie mów. Jak ty do mnie, tak i ja do ciebie będę.

Nie pytała go, nie odpowiadała mu i nawet nie patrzyła nań, dokąd trwał taniec. Gdy muzyka ucichła, podał jej ramię, chcąc odprowadzić na miejsce, ale oświadczyła, że już wraca do domu.

— Już do domu?! — zawołała żałośnie. — Karuśka! Za co ty rozgniewałaś się? Jak Boga kocham, niczym nie zawiniłem przed tobą!

— Ja też o nic ciebie nie winuję — mruknęła, spoglądając kapryśnie i śmignęła odeń, mknąc do domu.

Zdawało mu się, że świadkowie tej sceny, patrząc nań, uśmiechają się z politowaniem, więc natychmiast rozpogodził twarz, wsunął ręce, przeszedł się parę razy po izbie z fantacją, potem wyszedł i podążył do zagrody Zdanowiczów.

Z całej rodziny, tylko stara pozostawała w domu, siekając przy chlewie kopytnik w korycie.

— Kazik jeszcze nie wracał? — zapytał.

— Nie, dietki, ni Kazik, ni Stary nie wracał jeszcze. Ty może mleka chcesz?

— Nie w głowie mnie mleko. Pozwólcie pobyc u siebie, aż Kazik wróci.

— Jeszcze pytać trzeba.

Wszedł w ogródek, okalający świetlicę od ulicy i dziedzińca, usiadł na przyzbie pod oknem, zwinął z domorosłego tytoniu gruby, jak palec, papieros, zapalił go i zapadł w zadumę. Twarz mu się zachmurzyła smutkiem, oczy napełniły łzami.

— Co robić? Jak hołubce wytłumaczyć, by się odgniewała? — łamał głowę.

Zaścianek wrzał niedzielą. Od Winiarskich dochodziły odgłosy coraz zawziętszych tańców, za chlewami rozlegały się śmiechy podlotków, bawiących się karuzelą, przy kołowrocie hałasowała swawolą dziatwa. Ulica nie opróżniała się z przechodniów. Zewsząd płynął gwar i wesołość serdeczna. Jemu tylko smutno było, chociaż zaledwie przed pół godziną, uważał siebie za najszczęśliwszego człowieka w świecie. Gdyby wiedział, że matki nie ma w domu, poszedłby zaraz do Karusi, by przebłagać ją. Za każdym tętnem kroków, dochodzących ze wschodniego końca ulicy, wyteżał ku ostrokołom wzrok, łudząc się, że to ona czegoś idzie do Zdanowiczów, lub wraca na wieczorynkę. Gdy poznawał w przechodniu kogoś innego, kłął go w duchu na czym świat stoi.

Wypalił jednego papierosa i zaraz zwinął drugiego przepalając tym samym ogniem.

— I czemu ją taka ciekawość wzięła? A może to tylko przyczepki do mnie szuka? — rodziło się podejrzenie. — Może jej już zbrzydłem przechodząc w cywila?

Naraz uczuł, że mu ktoś czapkę zrywa. Obejrzał się zrywając

w mgnieniu oka na nogi. — Serce chciało wyskoczyć z radości. — W rozwartym oknie stała Karusia i kryjąc czapkę za sobą, uśmiechała się doń figlarnie.

— Jak tyś podkradła się? Jak ty otworzyłaś okno, że ja ciebie nie posłyszałem?! — zawołał zachłystując się.

— Myślałaś, że tylko ty umiesz podkładać się, a ja to nie? Uciekaj z drogi, bo skakać będę!

— A idźżeż! Jeszcze nogę sobie wywichniesz.

— Dawaj drogę, powiadam! — Włazła nogami na próg okna i śmignęła ze zwinnością dwunastoletniego malca na kilka kroków przed siebie.

— A widzisz jak umiem! — pochwaliła się.

— A ja już bałam się, że ty mnie nie odpuścisz.

— A myślisz, że odpuściłam? Musisz mi powiedzieć szczerą prawdę.

Oddała mu czapkę, zdjęła z płotu ogródka czystą deskę, posłała ją na samym końcu przyzby osłoniętym gęstymi krzewami malin i usadowiwszy się z nim, zaczęła go badać:

— Mów bez żadnego kręcenia, bo ja póki nie wydobędę od ciebie prawdy, nie odczepię się. Mów gdzie jeździłeś?!

— Karusieńka! Czy ty myślisz, że ja u jakiejś dziewczyny był?

— Nie, tego nie myślę; mnie tylko złość bierze, że ty kręcisz i przede mną sekret chowasz. Po co łiesz!

— Skąd wiesz, że myśmy nie za Wończę byli?

— Wiem. Bałaszewicz mówił Zdanowiczowej, że konie były tak zmachane, jakby co najmniej dwieście wiorst przeszły. A po drugie: czemu wyjeżdżali nocą i tak samo wrócili ukradkiem?

— Tak nie za Wończę byliśmy; ale gdzie, tego nie mogę ci powiedzieć.

— Nie powiesz?! Znaczy się ja dla ciebie nol?

— Na twój rozkaz bosymi nogami po jasnym węglach będę chodzić, ale tego pod żadnym względem nie mogę ci wyjawić, bo to jest sprawa publiczna.

— Co to znaczy publiczna?

— To znaczy, że gdy przeze mnie się wyda, to nie tylko ja mogę zginąć, ale też zginie wiele innych osób.

Ale to tylko roznieciło ciekawość dziewczyny.

— To ty boisz się, że ja ciebie wydam?! — zawołała tonem oburzenia.

— Koszuś! Braciszku drogi! Ty wiesz, że ja wcale nie chciałabym żyć na świecie, gdybyś ty, broń Boże, zginął. Ja mogę wydać? . . . Żeby mnie na kawałki drobne siekali, żeby mnie na szubienicę prowadzili, to jeżeli ja będę wiedzieć, że to grozi twojemu życiu, albo nawet honorowi, nie wydam. Jam już nie taka, jak była. Mnie możesz mówić śmieiej, jak najwierniejszemu swemu koledze. Powiedz braciszku! Powiedz miły! Jeżeli ty mię nie posłuchasz, to znaczy nie kochasz jak należy.

Błagała, zaklinała się, groziła, próbowała nawet płakać, aż wreszcie uległ.

— Pamiętajże! — rzekł. — Jeżeli ty swojego przyrzeczenia nie dotrzymasz, to zginę ja, Kazik, Stach i jeszcze dwóch chłopców. Pamiętaj!

— Na Matkę Najświętszą przysięgam!

— Nawet Kazikowi nie daj poznać, że wiesz. —

Wstał, zajrzał za węgiel, przepatrzył krzewy, wsunął głowę w okno, sprawdzając też wnętrze świetlicy i wróciwszy do niej, jął mówić prawie szeptem.

— Broń z bobrujskiego kazonnego lasu do naszej puszczy woziliśmy.

— Broń?! Z lasu?!... Jaką broń?

— Wojenną legiōnską: karabiny, naboje, kulomioty.

— Ot jak! Co, wam legiony to oddali?

— Oddawać jawnie nie oddawali, ale patrzyli przez palce, jak my ją z Kazikiem z bobrujskich "cechhauzów" po trochu brali i wywozili taborowym wozem do kazonnego lasu. Na dwa tygodnie przed naszym zwolnieniem tą robotę z nim zaczęliśmy.

... I wiele wszystkiego wywieźliście?

— A ot, przewieźliśmy już w puszcę wóz karabinów, wóz naboji i jeden kulomiot; pozostaje jeszcze w kazonnym lesie: jeden kulomiot, czterdzieści szabel i dwieście pięćdziesiąt kompletów ubrania nowiu-sieńskiego.

— Ajajaja! Na co wam tego tyle?

— Na co? — Co mieli zabierać szwaby, to niech leży u nas; tego karmić nie trzeba. Może, da Bóg, przyjdzie czas, że się przyda.

— Chociaż nie widział was kto w drodze?

— Zdaje się, że nie. Środkami lasów samych przebieraliśmy się po maleńku; przez to straciliśmy całe cztery doby na to.

— To naharowali się. Pochowajcież tylko dobrze, aby nikt nie wykrył.

— O schowę to jesteście spokojni. Mam w puszczy jedno takie miejsce, że prócz mnie, może od samego początku nikt nie stapał.

— Może mi kiedyś pokażesz?

— Tego to już pod żadnym względem nie uczynię.

— Może i Józik Oleński do tej waszej roboty należy.

— Ot współnika znalazła! On by tyle takiej sprawie pomógł, ile kaszel chorobie. Żaden smolarski legionista nawet nie wie o tym.

To i lepiej. Strzeż się, braciszku Józika; to jest strasznie chytry Judasz i bardzo mściwy na ciebie. Strzeż się go! —

Przyszło jej do głowy poskarżyć się, że ją zimą popchnął był grubiańsko na ulicy, ale pomyślawszy, że z tego wnet wyniknie awantura — zaniechała, odkładając na później.

— Może masz ochotę tańczyć, to wracajmy na wieczorynkę? — zaproponowała.

— Mnie i tu dobrze, ale jeżeli masz ochotę — chodźmy.

— No to zostańmy lepiej, bo i mnie tu bardzo dobrze.

Spojrzeli jedno na drugie miłośnie. On ją objął rękę za plecy i przytulił czule do siebie.

— Karuśka! — rzekł. — Ty jeszcze nigdy nie byłaś tak śliczna jak dziś! Ty przed resztą dziewcząt, to jak maj zielony przed słotną jesienią!

— Przestań takie głupstwa! Lepiej oto opowiedz mi, jak tyś na wojence był, jakies na niej zdarzenia miał. Musisz wiele ciekawych rzeczy znać.

— Co prawda, to nie grzech; bylebyś tylko chciała słuchać, to mnie starczy opowiadania na pół roku całego. Ale wprzód pochwalę ci się o zamiarach naszych. Wiesz co? — Myślimy zakładać w Smolarni Towarzystwo.

— Co to ma być takiego?

— Nie wiesz co to jest Towarzystwo? Jakby ci to wytłumaczyć jasno? ... Wiesz, jest to taki sojusz między gromadą ludzi, taka — drużba trwała do wzajemnego pomagania sobie, albo do roboty jakiejś ważnej, którą tylko hurtem można przeprowadzić. Najważniejszą robotą naszego Towarzystwa będzie nauczanie.

— Wiem już — będziecie się uczyć wojować.

— Ot, już od razu wojować. Na to szwabi nam nie pozwoliliby nawet. Musimy wprzód dowiedzieć się, czy trzeba wojować i za co wojować. Trzeba wprzód rozumu nabrać. — Będziemy uczyć się czytać, pisać, rachować; będziemy się dowiadywać jaki jest świat, jakie w nim narody się znajdują, jakie prawo mają, jak żyją; dalej — kto my tacy, jak żyły nasze pradziady, czy dobrze rządziła się dawniejsza Rzeczypospolita i co trzeba zrobić, by wszystkim w niej ludziom dobrze się działo. Tego będziemy się uczyć.

— Wy trzej wiecie to doskonale.

— Co wiemy, nauczymy tych, którzy nie wiedzą, a czego brakuje, będziemy szukać w książkach i uczyć się gromadą. Już mamy obmyślane prawo, na jakim Towarzystwo nasze będzie się opierać i program na pierwsze miesiące. Siłą go nazwiemy. W przyszłą niedzielę zwołamy wiec młodzieży, wybierzemy Komitet i zaczniemy przyjmować.

— Wielu myślicie przyjąć?

— Ile wstąpi. Kto tylko zechce z młodzieży i nawet z żonatych młodszych, każdego przyjmiemy. Ot jak zechcesz, to tak samo zapiszesz się do nas.

— Jak to, dziewczęta też będziecie przyjmować? Żartujesz chyba?

— Na serio. Kazik mówił, że dziewczęta koniecznie muszą być z nami, dlatego, by chłopcy chętniej przebywali na zebraniach i by z dziewcząt wyrobić sobie pomocników. I ma rację. — Ty ot na przykład, rozumiesz dobrze naszą sprawę i wiedząc, że ona jest dobrocią i szczęściem dla nas i ludzi, pochwalasz moje dla niej staranie; a ja wiedząc o tym nie tylko nie myślę starania przerywać, ale chcę je zdwoić, chcę — coś bardzo ważnego dla ojczyzny uczynić, bo wiem, że ty mię wtedy jeszcze będziesz więcej miłowała. Nawet gdy myślę czasami, że przyjdzie mi kiedyś w polu legnąć, albo na szubienicę być prowadzonym przez wrogów, to też przypominawszy, sobie, że umrę za umiłowanie nasze wspólne, mniejszy czuję smutek.

Ale mało która tak rozumna, jak ty moja miła. Większość naszych niewiast sądzi, że sprawie publicznej tylko wtedy trzeba służyć, gdy rząd zmusza, a ochotnicy, według ich zdania, idą przez wzgląd na kolegów, albo dla zaszczytu, dla naszywek, dla wyróżnienia się przed ludźmi, albo

też przez hultajstwo, nie chcąc gospodarzyć na ziemi. Taka nie skrzydłami dla swego towarzysza jest, ale pętem. Taka ciągle będzie swego chłopca, lub męża piłować, ażeby myślał tylko o nej, o chacie, o gospodarstwie, o dzieciach. A jeżeli któren mocniejszy wołą mimo wszystko decyduje się iść, to go uczy, by utrzymał się w służbie z tyłu, wmawiając, że choćby Bóg wie na jaką nagrodę za swoje starania zasłużył, to jeśli legnie, lub skaleczy się, w opinii ludzkiej tylko durniem pozostanie, bo przeszedł jako ochotnik.

— Skąd wiesz, że ja rozumiem sprawę waszą?

— Jak to skąd? Kazik mi przecież co do słowa powtórzył, co jemu mówiłaś.

— Wiesz braciszku, że teraz ja już daleko lepiej rozumiem. Rozważałam sobie każde jego słowo i rozmyślałam nad sprawiedliwością rozumem swoim. Kazik mówił: Polska ma prawdą być Pomyślałam więc sobie:

— Jeżeli Polska ma być czystą prawdą, to ma się rozumieć, nie powinien w niej nikt mieć krzywdy. I zaczęłam sama siebie pytać: Komu i jaka krzywda się dzieła? Co Polska ma naprawiać, co robić, aby z niej wszystkim ludziom dobroć była? Co nam smolarzanom brakowało, to słyszałam niezliczone razy, ale co inni ludzie cierpią? Czego pragną ludzie z innych zaścianków, z dworów, z wsiów, z siól, z miast? — Ja tak mało poza Smolarnią bywałam, tak mało porządkiem świata interesowałam się, że zaledwie przypominałam sobie dwie skargi ludzkie, które po mojemu są bardzo ważne.

Raz zmierzchem zimą — ty jeszcze wtedy uczyłeś się w Wończy — przywłókł się do nas z puszczy stary muzyk. Musiał on być moim rodzicom dobrze znany, bo gdy tylko wszedł, zawołał na mamę po imieniu, kazać dawać rychło suche nogawice, parcianki w łapcie i grzać "czaj". Mokry był po pas i zziębnięty, że aż trząsał się cały. Przedział się na sucho, podjadł, napił się herbaty, potem zafajkowali z ojcem i poleżli na piec gawędzić. Myśmy z mamą przędły przy kominku i słuchały ich rozmowy.

Opowiadał ten człowiek, jak w puszczy odbywała się obława, z której on wracał. Mówił, że jeszcze nie rozedniało dobrze, leśniki ich trzysta muzyków, zagońszczyków, rozstawili sznurem po lesie, kazać czekać na miejscu, aż przyjdą panowie i dadzą znak do marszu. Mróz był, aż oczy zlipały, ale im nie tylko nie wolno było ognia rozpalać, ale też i tupać głośno, aby dziec zawczasu nie płoszyła się.

Przeszła, mówił, godzina — panów nie ma. Przeszła druga i trzecia — też nie ma. Oni zaczęli szemrać i zbierać się do domu, ale leśniki zagrozili, że jeżeli któren odejdzie, to ani familia jego, ani chudoba w lesie nie zostanie. — Aż samym południem panowie przyjechali. — W walenkach grubych, w futrach ciepłych, w poduszkach miękkich; z namiotami z meblami, z kuchnią, z lokajami. Rozbili namioty, rozstawili meble i zaczęli obiad jeść i czaj pić. Po obiedzie dopiero, który trwał co najmniej godzinę, kazali muzykom gnać ku nim zwierzyne.

Opowiedziawszy dokładnie, jak gnali, jak on wpadł po pas w zgniłą wyżarę, ile i czego panowie zastrzelili, jął narzekać na niesprawiedliwość wielką w Rosji. Prawie wszystkie słowa jego pamiętam. — Powiedz mi,

Prańcis, mówił, czemu to taka nierówność u nas? Czemu jeden nie ma czasu wyspać dobrze za robotą, drugi codziennie świątkuje? Czemu jeden chlebem miekinnym, kapustą postną i bulbą nieskrabaną się żywi — drugi codziennie czajok z bułką pszeniczną, smarowaną masłem, popiwa je i jejęcznicę z mięsem, ile w brzuch wlezie, zje? Czemu jeden kolanami gołymi z parcianek świeci — drugi w szołu i w futrach drogich chodzi? Czemu jeden ciągle tylko rozkazuje — drugi słuca z pokorą? Czemu jeden cały swój wiek płacze — drugi skacze? Czemu to tak? — A tatko mu na to:

— Jeżeli ty do cudzego bogactwa i doli-lykasz slinę, to ty durak.

— Nu da, ja na czwartce durak — mówił muzyk — a ty już, jak tobie udało się nabyć całą włóke, to chytrym się zrobił. Ty już za bogaczów ciągniesz. Wiesz Prańcis? Gdyby ja był carem, to bym kazał całe wasze laskie plemię wyrznać. Przez was nasza niedola.

Myślałam, że tatko wygoni go za takie słowa z chaty, ale on nawet nie rozgniewał się. — Ani wzdychaniem do bogactwa, ani rzezią nas, doli swojej nie poprawisz — odrzekł muzykowi spokojnie. — Ja już nie raz mówiłem: Sawka jest największym durniem w całych Szyszkach. —

Odtąd wierzyłam długo, że naród muzycki nie tylko pragnie naszej zguby, ale też jest osobiwie chciwy na cudze i głupi. Aż zdarzyło mi się od ludzi polskich usłyszeć takie same narzekanie. —

Raz po żniwach owsianych, pojechaliśmy z tatkiem do Bobrujska sprzedawać masło uzbierane przez lato, borowiki suszone, wosk, szczecinę i inną drobnicę. Dobrze nie pamiętam, ale zdaje mi się, że to było tego lata, w którym zacząłeś baldachim nosić. — Otóż tylko myśmy się ustawili na rynku, zjawiła się przy nas kobieta, ubrana ubogo, ale po mieszczañsku i zaczęła z nami się witać. Była to daleka krewna tatki, zamężna za Stańczykiem z Brozki, który obsiawszy swoje dwa morgi w zaścianku kartoflami wyjeżdżał zawsze na całe lato do Bobrujska na zarobki. Przywitawszy się, wypytała o zdrowie i zaczęła prosić nas, byśmy zajechali do nich. Tatko mając wiele sprawunków i wiedząc, że u nich nie ma miejsca żeby konia ustawić, zgodził się puścić na ową gościnę tylko mię samą z tym, że odprowadzą mnie później do Chmary, gdzie mieliśmy nocować.

Dziś wcale nie orientuję się, w którą stronę z rynku poszliśmy, ale szliśmy długo i przyszyliśmy do tak małej chatki, jak nasza łaźnia, tylko że pobielana była w środku. Zapoznała mię z czworgiem swoich dzieci, poczęstowała słodyczami i zapakowawszy mężowi podwieczorek, kazała mi iść z sobą.

— Pokażę Felku mojemu jaką ja piękną plemienniczkę mam w swojej rodzinie — powiedziała idąc.

Felka jej pracował przy budowie wielkiej kamienicy. Pamiętam jak dziś, że ludzi przy robocie było, jak mrówek, jedni miesili glinę, drudzy dźwigali cegły w górę, inni murowali. Stańczyk dźwigał cegły na plecach na trzecie piętro. Gdy wrócił z góry tak ciężko dyszał, jak człowiek, wiorstę przebiegłszy. — Popatrzył na mnie, poglądził mię pod brodę i zaczął jeść. Żona jego opowiadała mu o naszej rodzinie, o Smolarni, a ja rozglądałam się ciekawie dokoła, bo to środek miasta był.

Naprzeciwko stała druga tak samo wysoka kamienica, już ukończona. Była może nawet piękniejsza od kuncewickiego pałacu. Na jednym z górnych balkonów siedziała gromada mężczyzn i kobiet młodych z pańska ubranych. Zza drzwi prowadzących na balkon, dochodziło granie muzyki i jakby stuk tańców. Był wtedy dzień powszedni, więc spytałam swoich krewnych: — Czy to wesele jakie odbywa się?

— U burzujów przecież każdy dzień wesele — odrzekł Felka. A żona dodała...

— Lepiej nie patrz na nich, dietki; to nasze krwiopijcy.

Zrozumiałam, że im nie podobało się moje gapienie na zabawę bogaczów, więc nie dopytywałam się o nich więcej i odwróciłam w inną stronę. Ale Stańczykowa odprowadzając mię do Chmary, sama objaśniła, że tam gdzie odbywała się zabawa, mieszka generał ważny, a pałac budujący się, należy do "uprawiającego litiejnego zawodu", który z rękami w kieszeniach, "zarabia" dwadzieścia siedem razy więcej od jej męża, dźwigającego na plecach cegły. Potem zaczęła narzekać na swój los, na niesprawiedliwość w świecie. Przyznała się mi, że jej rodzina z domu, służyła na ordynarii w majątku i opowiadała gorzkie życie parobków dworskich. Mówiła, że trzeba dzień w dzień harować od świtu do zmroku; że ciągle stoi nad karkiem ekonom, krzycząc na ludzi, jak na bydło, a podlotków za niedbałość nawet puha po tydkach siecze. Mówiła jaki ją żal ogarniał, gdy ona nie mogła w polu krzyżów z boleści swoich rozchylić, a dziewczynki przy nich "katały się" na koniach stajennych. Mówiła że mimo trudu ciężkiego i ciągłego podwładztwa ekonomom, nie mogli jeść i ubierać się nawet tak, jak arendarze na półwólczkach, oprócz tego uważani byli na każdym miejscu za ostatnich.

— No to czemu wy nie szli na arendę? — zapytałam. A ona mi na to.

— A myślisz, dietki, że arendę można zacząć bez grosza? Myżby z Felkiem i teraz wzięli się za nią, gdyby mieli czym ręce ucześcić.

Wracając do domu opowiedziałam to wszystko tatce.

— Jest na świecie ludzie, którzy jeszcze gorzej od nich żyją. — Odrzekł mi.

— Tak na świecie było i tak będzie. Bóg lasu nie zrównał, więc też i ludzi nie można zrównać. —

Czułam się wówczas bardzo szczęśliwa, że nie jestem córką parobka.

Teraz rozważyłam te obie skargi dokładnie i uznałam, że tak nie powinno być, bo w tym jest wielka niesprawiedliwość. Przecież krzywdę człowiek ma, marznąć w lesie głodny cały dzień, dlatego by drugi wygrawszy się w szubie, nazrawszy czego tylko dusza pragnie, mógł zabawiać się w strzelanie do zwierzyny. Krzywdę człowiek ma, otrzymując za swój prawdziwie mozolny trud dwadzieścia razy mniej od tego, który stał nad jego karkiem, ręce za tył założywszy; budując komuś pałac — sam w ciemnej chatce, nie mającej podłogi mieszkać.

Krzywdę człowiek okropną ma, harując pod krzykiem ekonomia od świtu do zmroku, po to, by dziedzice mogli napychać brzuchy łakociami, stroić w jedwab i sukna drogie, "katać się" na konikach w dzień roboczy i urządzić codziennie bale. Tak nie powinno być!

Wiesz Kostuś? Ja nie wiem jacy ludzie mieszkają na reszcie świata, jakie u nich porządki; nie wiem jak pisze w ustawie Polski, — mężczyźni nasi jeden tak gada, drugi siak — ale wierzę, że będzie sprawiedliwiej.

Myszę, że Polska tak robi, aby każdy człowiek w Niej, rolą się zajmujący, mógł nabyć sobie co najmniej pół włóczki ziemi, na której zaharuje, bez ekonoma nad karkiem w dostatek chleba i napasie bez łaski pańskiej swoją chudobę. A komu nie będzie się podobało na roli, kogo nie będzie hańbić robota pod drugiego władztwem, kto będzie chciał żyć w mieście, — będzie żył, ale płacić mu będą tyle, ile on wart bez zdzierania na tych, którzy chcą bawić się w dzień roboczy. Ja wierzę, że gdy Bóg lasu nie zrównał, to i ludzi nie można zrównać, ale po mojemu, jeżeli kto chce się wywyższać, tedy niechaj to robi własnymi rękami, własną siłą, własnym rozumem bez krzywdy i podjeżdżania na drugich. No powiedz Kostuś kiepsko ja rozumiem? Powiedz jak jest napisane w ustawach Polski?

— Wiesz miła — ustawy Polski jeszcze nie są jak się należy ułożone, ale inaczej jak powiedziałaś być nie może. Wierzmy wszyscy, że w Polsce, gdy da Bóg Ją wyzwolić, krzywdy nikomu nie będzie.

— Tak Ona, braciszku, robi, jak powiedziałaś. Ot zobaczysz — potwierdziła z głębokim przekonaniem.

## XXXIV

### NIEMCY

Gdyby Dowbór-Muśnicki przewidział oszukańcze zamiary Niemców, losy wojska polskiego, a tym samym i całej Sprawy wypadki potoczyłyby się niezawodnie innym torem. Można było po koncentracji Korpusu w ziemiach nadberezynskich zwerbować miejscowych Polaków, zarekwirować zarejestrowane już konie, zabrać nagromadzony w Bobrujsku sprzęt wojenny i przejść za Dniepr, a stamtąd kierować się na Ukrainę, ku reszcie oddziałów polskich, względnie czekać na ich przybycie. Jeżeli sama Trzecia Dywizja potrafiła przebić się z Jelni do Bobrujska, to czterdziesto-tysięczny Korpus, tym łatwiej, mógł torować sobie drogę w jakim chcąc kierunku. Połączenie się i zementowanie istniejących już jednostek w jedną silną i niezależną armię, i zwycięskie jej operacje wzbudziłyby patriotyzm w rzeszach Polaków ze zburzonej armii rosyjskiej i natchnęłyby ich do łączenia się z braćmi w szeregi. Wówczas jeszcze tylko znikoma część owych rzesz, które się liczyły na setki tysięcy, przejęła się szczerze komunizmem, a reszta tylko oszołomiona była beładem i agitacją przeróżnych partii. Zdecydowane trzymanie z Koalicją i posiadanie potężnej armii podczas klęski Niemiec, wiele zaważyłoby przy ustalaniu granic Rzeczypospolitej.

Ale tak mogło się stać, gdyby na czele Korpusu był nie tylko dobry gospodarz i organizator, ale też przebiegły i śmiały, o nieprzeciętnym geniuszu strategicznym polityk. A tego właśnie brakowało Dowborowi. Pierwszy i zasadniczy błąd popełnił, przystając do sojusznicznych działań z Niemcami w okupacji Kresów Litwy. Uwierzył zapewnieniom Prusaków,

że byleby Korpus nie działał na szkodę Rzeszy, to oni, ani do rządów ziem przezeń okupowanych nie będą się mieszać, ani rozrostu sił jego krępować, aż do końca wojny. Jakby nie wiedział, że ci ludzie odkąd notują się w historii nikomu słowa nie dotrzymali.

Otóż zaledwie wyrzucono bolszewików za Dniepr i uśmierzone rozbój wewnątrz kraju, już "sojusznicy" zaczęli narzucać Korpusowi nowe zobowiązania względem Rzeszy, okraivać ziemie przezeń wyzwolone i wciskać się zbrojnie między polskie posterunki bez uprzedniej na to zgody dowództwa. Już przejrzyste były zamiary Prusaków, ale Dowborowi brakło odwagi na zatarg z nimi. Pochód za Dniepr, doradzany przez innych generałów, uważał za wielkie ryzyko. Ażeby nie mieć odpowiedzialności przed Narodem, posłał po instrukcje do Rady Regencyjnej, w której łonie ani polityków prawdziwych, ani rzeczoznawców wojskowych nie było i która bez zgody Sztabu Wojennego Niemiec, nie mogła wydać żadnego wojsku polskiemu rozporządzenia. Tracił czas na komunikowanie się z nią, na narady, a Niemcy tymczasem wciskali się coraz głębiej w ziemie Korpusu i koncentrowali dokoła swe siły. Dopiero przygotowawszy się należycie, ujawnili swój podstęp, otwarcie żądając rozbrojenia.

Dowbór łudził się jeszcze, że trafi do sumienia niemieckiego; przypominał pruskim generałom, za pośrednictwem swego pełnomocnika, ich pierwsze obietnice względem legionów, wyliczał usługi oddane przez Korpus armii niemieckiej, powoływał się na honor żołnierski, zapewniał o lojalności wobec Ententy — ale Prusaków tym nie wzruszył. Uległ żądaniu, chociaż wielu zdolnych oficerów przekonywało go, że wycofanie się za Dniepr jeszcze i teraz ma szanse powodzenia. Wszczęty bunt przeciwko niemu nie udał się.

Zaczęło się stopniowe rozbieranie i wysyłanie legionistów do Kraju. Trwało to przez cały czerwiec. Przez ten czas władza dowborczyków w ziemi nadberezynskiej była tylko pozorem.

I przyszli nowi włodarze, obcy ludziom krwią, mową i duszą.

Do wojny wiedział lud kresowy o Niemcach tyle, że był to naród zamieszkujący obszar jednej Archangielskiej gubernii, który nie miał w dostatek własnego chleba. Opowiadanie żołnierzy, będących na niemieckim froncie, tudzież fakt zwycięskiego prowadzenia z kilku mocarstwami naraz wojny, wyrobiły w chłopie nadberezynskim przekonanie, że Niemcy są wzorem cnoty, porządku, męstwa i mądrości niedoścignionej. Powiadano, że w Niemczech nikt nie kradł, nie łągał, nie upijał się. Że wszyscy byli nader pracowici i tak umieli gospodarzyć, że nawet dym z kominów potrafili na pożytek obracać. Że każdy prosty człowiek miał za sobą osiem lat nauki, a oficerowie byli tak mądrzy, że umieli myśli ludzkie przenikać. W bitwie trafiali każdym strzałem i przed żadnym

niebezpieczeństwem nie uciekali, gdyż wcale nie wiedzieli co to jest strach. Że byli delikatni i sprawiedliwi. W niektórych miejscowościach przekonanie owe, o wyjątkowej doskonałości Niemców, tak się utrwaliło w ludzie, że nawet propaganda komunistyczna nie potrafiła go zachwiać.

To też gdy pojawiło się pierwsze łożactwo, ludzie chodzili za nim tłumem, patrząc jak na twór z innej planety, albo bóstwo jakieś. Wielu było dobrej nadziei, spodziewając się natychmiastowej budowy szos, kolei, fabryk, osuszenia błot i nawet wywłaszczenia ziemi pańskiej na rzecz chłopów. A pocóżby przychodzili do nas, jeżeli nie po to, by oswo-bodzić ludzi od lachów i zaprowadzić w kraju porządek jak się należy, — mawiali. — Żydki, służące okupantom za tłumaczów, przepowiadali przed- kie wydanie ważnego manifestu.

Jakoż wydali. Był to dekret, nakazujący obywatelom pod karą śmierci, wręczenie nowym władzom posiadanej broni i ścisłego wykony- wania wszelkich rozporządzeń. Prawie nikt nie myślał o nieposłuszeń- stwie wobec "przemądrych dobrodziejów", ale ludzie nie przywykli jeszcze do niemieckiego wykonywania rozkazów, ociągali się, oglądając jeden na drugiego. Po upływie wyznaczonego w dekreście terminu, zja- wiły się w niektórych wsiach ekspedycje karne i przeprowadziwszy rewizje, winnych opieszałości powlekli na szubienicę. Nie pomogły żadne tłumaczenia się, ani błagania, ani interwencje. Ciała skazańców po kilka dni trzymali na powrozie, aby ludzie przekonali się o wyższości duchowej niemieckiego szczeputu.

To był pierwszy akt polepszenia doli chłopskiej. Po nim zaczęły się rekwizycje. Przyjechali do wsi żandarmi z tłumaczem, policzyli domy i kazali po jednym bydłaku dostawić do miasta. Szwabi na stacjach z uciechy tylko węża podkręcali, szwargocząc między sobą wesoło, aby ludzie nastraszeni szubienicą pchali się jeden przez drugiego z chudobą, w obawie, by przez spóźnienie nie zostali uznani za buntowników. Jednym wydali kwity, drugim zanotowano tylko nazwisko, przekręcając jego brzmienie i kazali wracać do domu. Kto ośmielił się prosić o wynagro- dzenie, knutem dostał.

Nie zdążyli wypocząć po drodze — znowu zjawili się żandarmi. Tym razem kazali młócić żyto i dostawić do miasta po worku ziarna. Po życie szły: owies, jęczmień, kartofle, potem znowu bydło. Tygodnia nie było, by nie rekwirovano czegoś. W obejściu z ludźmi byli brutalni. Z lada powodu — nawet za samo niezrozumienie wyjaśnień człowieka, rzucali nań obelgi, albo prali pałką, bez względu, czy to mężczyzna, czy niewia- sta, czy starzec siwy. Przy stole zachowywali się po bydłecemu. Za swoją potrzebą siadali gdzie popadło, żadnego sromu przed ludźmi nie mając.

Po dwóch miesiącach każdy stwierdził, że to jest tylko dzicz zorgani- zowana w półki i zaprawiona do mordu — wiecznie głodna, chciwa, okrutna.

Ale do kultury narodu nie mieszała się tymczasem. Cała ich uwaga i wysiłki skierowane były na eksploatację żywności i surowców wsze- lakich. Na niemczenie ludzi nie mieli czasu.

## NIE ODDAJCIE NA ZGUBĘ...

W następną niedzielę odbył się znany nam ze zwierzeń Kościka wiec. Młodzież zesła się tłumnie, ale do Siły wstąpiło zaledwie czternaście osób z okolicy. Organizacja w tych stronach była taką nowością, że prawie nikt nie mógł uwierzyć, by podobna rzecz mogła być legalną. My od nautwa i drużby nie odrzucamy się — mówili — ale musimy dobrze wypytać czy to jest dozwolone i namyśleć się. Wielu zgadzało się na wstąpienie, jednak pod warunkiem, że na siedzibę towarzystwa obierze się odludny chutor i będzie ono działać w tajemnicy przed władzą, czemu znowu przeciwni byli inicjatorzy.

Wobec znikomej ilości członków, zarząd powołano tymczasowy, składający się tylko z trzech osób samych inicjatorów.

Szedł czas najgorętszej roboty w polu, więc przez pierwsze dwa miesiące praca Siły polegała jedynie na werbowaniu nowych członków. Formalności wpisu załatwiał sam Kazik, a Kościk ze Stachem włączyli się każdego święta po okolicy, zaprowadzali z chłopcami družbę, badali ich przekonania i namawiali na wstępowanie do Siły. Prawie każdy, po zapisaniu się u Kazika, szedł do Potoki rewizytować leśniczonka. Smolarscy chłopcy też zaczęli go często odwiedzać. Ktoś puścił pogłoskę, że Kościk prowadzi osobne książki, w których rzekomo więcej członków figuruje, niż u Kazika, lecz cała rodzina Wasilewskich kategorycznie temu zaprzeczała.

Po zwiezieniu snopów Kazik ze Stachem wybrali się do Mińska po kupno książek, aby uzupełnić bibliotekę. Ale na drodze spotkała ich wieść, która zmusiła do rychłego powrotu. — Dowiedzieli się na bobrujskiej plebanii, że Biskup Łoziński wyjeżdża na wizytacje nadberezynskich parafii. Nie było wykluczone, że jadąc z Łoszy do Birek, wstąpi do Wończy, zwłaszcza jeżeli budowa kaplicy będzie ukończona. Zawrócili tedy śpiesznie do domu, aby dać znać o tym Komitetowi, sprawę książek odkładając na później.

Radosna wieść rozeszła się błyskawicą po całym zawończańskim rejonie.

Biskup Łoziński w nasze strony jedzie! Kaplicę naszą własnymi rękami święcić będzie! — zwiastowali jeden drugiemu z płomieniem w oczach, z błogim kołataniem serca, chociaż o tym, że wstąpi do Wończy nie było jeszcze pewności.

Natychmiast zwołano ogólne zebranie, postanawiając przyspieszyć budowę. Zrąb już był gotowy i stawiano na nim krokwie.

Między zaściankami i Wończą ruch taki powstał, jakby w popospolite ruszenie dawnych czasów. Kto znał się trochę na stolarstwie, szedł pomagać majstrom, inni wozili gonty, ciosane łąty, piłowali deski, albo biegali po kweście, służyli za posłańców. Komitet dla większej sprawności, zakwaterował się w Wończy na stale. Do dyspozycji swej miał kilku konnych gońców, komunikując się nimi codziennie ze Smolarnią,

Michaliszkami, Wiezgajłowem, Grodzianką, Turkaczami, tudzież z Mogilnicem, Birkami i Łoszą.

— Już Biskup w Szacku! Już w Osipowiczu! Już jedzie do Bobrujska! — przychodziły coraz bardziej pocieszające wieści. Robota szybko posuwała się naprzód, powiększając nadzieję, że kaplica ukończona będzie w czas.

Któregoś dnia przybył na pomoc Komitetowi wikary z Mogilnic, przywoząc oficjalną wiadomość, że wizyta I. E. w Wończy jest już przezeń postanowiona.

Porwał ludzi entuzjazm, jak podczas pojawienia się dowborczyków zeszłej zimy. Kto miał jaki kwiatek, roślinę godną zachwytu, albo świętość jakąś w domu, niósł na upiększenie przybytku bożego, na wspólny ołtarz. Wroniec i brusznicznik, to wozami na plac kapliczny wozili. Młodzieży do dyspozycji Komitetu tyle stawało, że musiał część jej codziennie odsyłać, aby nie przeskadzano sobie tkociem. Wznoszono bramę, wito wieńce, upiększano podwórko, kaplicę, ołtarz. Kościak, uzyskawszy przy pomocy wikarego w miejscowej żandarmerii zezwolenie, jał organizować jazdę do eskorty honorowej Dostojnika. Stuk, gorączkowe nawoływania i bieganina trwały codziennie do samego zmroku, jakby w jakimś obozie wojennym, oczekującym nieprzyjacielskiego szturm.

— Wot zawieruszyli szerszenie! Wot zahuczeli! — mówili pobratymcy, przypatrując się przygotowaniom tłumnie.

A ich na te uwagi jeszcze większy zapał porywał.

— Teraz wy dowiedcie się jaka nasza siła, jaka między nami drużba! — odpowiadali. — Teraz zobaczycie co my możemy! Teraz się dowiedcie jaka nasza wiara piękna jest!

Dzień upragnionej uroczystości się zbliżał.

— Już wyjechał z Bobrujska! Jutro będzie w Łoszy! — zakomunikowali gońce. A następnym razem: — Dziś w Łoszy, jutro będzie w Wończy! Jutro w Wończy! Jutro u nas! Jutro u nas! — powtarzano gorączkowo na każdym kroku, w każdym zakątku wończańskich okolic.

Tej doby nie gasło przy kaplicy światło i nie ustawał hałas, aż do samej północy.

Następny dzień rozpoczął się jak lustro. Świtem pociągał chłód, ale zaraz po wschodzie złagodniało. Na niebie choćby obłoczek małeńki, choćby tasiemka dymna. W sam sianakoś mało tak jasných dni bywa.

Zaledwie rozedniało, zaczął gromadzić się naród. Pierwsi pojawili się zebracy; ciągneli oni od samego Mińska za Biskupem takim tłumem, jak wiosną na Kalwarię wileńską. Naprzód przybyło kalectwo mińskie, chórem śpiewające Łozarza i Matkę Gidleńską, później kilka partii dziadów berezyńskich, każda z jakąś muzyką z jakąś pieśnią żalowaną, a za nimi starcy białynicy, z teorbanami, o brodach, niektórym, po pas sięgających. Najwięcej jednak wlekło się miejscowego portactwa, które ani brody starczej, ani kalectwa porządnego nie miało. Niektórzy z nich, ażeby wzbudzić litość, udawali pogorzalców.

Oglądając świątynię, wszyscy twierdzili, że tylu kwiatów i tak cudownego upiększenia na żadnym odpuszcie nie widzieli, chociaż, jak wiadomo, już jesień była.

A bo też i było czemu się dziwić. — Brama tryumfalna miała sześć sążni wysokości. Tworzyło ją sześć słupów ustawionych w rząd powiązanych u góry poprzecznymi belkami po parze. Górne wiązanie wyginało się łukiem. Tak słupy z dołu do góry, jak belki, owinięte były szczelnie wieńcami wroncu i brusznicy. Na szczycie widniało godło biskupie, uplecione z goździkowego kwiecica, a pod nim olbrzymie z samej białej jurginii, wyrazy: "Witaj nam Pasterzu". Od bramy do kaplicy prowadziła podwójna jedlana aleja obwieszona girlandami. Nad drzwiami kaplicy widniało drugie godło i wyrazy powitania.

Ale najśliczniej było wewnątrz kaplicy. — Pod sklepieniem wisało jakby koło młyńskie, uwite z wroncu i kwiatów wszystkich kolorów, a od niego wokół rozchodziły się race tejże barwy. Podłużne ściany zdobiły olbrzymie dwie szarfy kształtem i barwami ładząco podobne do tęczy. Szerokość ich była półtora arszyna, a długość osiem sążni. Wplekli w nie wszystko, co tylko na ziemi swej znaleźli. Były tam kwiaty goździków, małwy, nagódek, astrów, nasturcji, chryzantem, pelargonii, pychu, wszystkie kolory jurginii terek, polne bratki, dzięcielina, leśne dzwonki, lny, miodaczki, gałązki mokrzycy, zórawin, borówek, wzorów, wroncu, jemiółki klonowej i wiele innego zieleń i kwiecica, którego przypomnieć człowiekowi trudno. Pod jedną szarfą napisali białymi kwiatami: "Patronowi Kresów — Smolarnia"; pod drugą. "Budzicielowi ducha — Michaliszki". Przy ścianach prezbiterium stały dwa olbrzymie, przywiezione z któregoś folwarku, fikusy. Boki ołtarza zdobiły, ustawione w piramidę doniczkowe paprocie, pokrzywy, jaśminy, mirty i leżki pysznie rozkwitłe. Wszystkiego było po parze, jednakiej wielkości i w jednakich doniczkach.

Wszędzie lśniło się kwiecie i zieleń mile bawiące oczy, zewsząd płynęła wonność błoga i świętość, bo to i relikwii wstawionych cudem, lub starością, ludzie wiele do kaplicy przynieśli. Po jednej i drugiej stronie wisały na gwoździach, lub leżały na przyprawionych pułkach, przybranych kwiatami: rozańce, szkaplerze, figurki, obrazy, księgi i inne nabożne rzeczy. Najślawniejsze z nich były: obraz Matki Ostrobramskiej, należący do Witkowskiego z Grodzianki, którym ugaszono kilka pożarów, pas zakonniczy Kantyczki z dziewięciu węzłami, odziedziczony przezeń po krewnym mnichu, unieszkodliwiający omotaniem rany jad żmii; trzystoletni Żywot Pana Jezusa Bałaszewiczów, przynoszący długi żywot właścicielom; okrajec wielkanocnego chleba Pawłowicza z Turkaczów, znaleziony w popiele spalonej piorunem chaty i żelazna Męka Łojki z Szyszek, paraliżująca konwulsje konającego. Świętości te przechowywane były po domach z wielkim pietyzmem i właściciele ich nawet pokazać były komu nie chcieli. Wikary krzywił się na umieszczanie niektórych rzeczy, ale żal mu było mącić ludzką radość i entuzjazm.

Część żebraków usadowiła się między drzewkami alei do czasu, a dla hałaśliwych wikary wskazał miejsce przy parkanie wewnątrz dziedzińca. Po drugiej stronie parkanu, pierwszy od bramy rozłożyli się skaplerznicy, dalej w przyzwoitej odległości ustawiali wozy sprzedawcy owoców, piekarników i wszelkiej innej łakoci.

Naród płynął ze wszystkich stron nieprzerwanym potokiem. Wieści o przyjeździe Biskupa, o entuzjazmie narodu, czyniącego na Jego cześć

przygotowania, o wspaniałości ich, dotarli w najgłuchsze zakątki osiedli polskich, obudziły najczęściej zaniedbane dusze. Szli więc ludzie w sile wieku, wlekli się staruszkowie zgrzybiali, biegły dzieci drobne, przybywali bogobojni i grzesznicy. Niektóre osiedla to stróżów do pilnowania chaty i chudoby sprowadziły, aby móc uczestniczyć w uroczystości całą rodziną. Rozczulenie człowieka aż do łez ogarniało, patrząc na czeredy dzieci, dręczących koło matczynej spódnicy z rozradowanymi oczkami; na ženadę młodzieży z rodziców wyznania mieszanego, chrzczonych według dawniejszego prawa u popa i uczęszczających dotąd do cerkwi; na korne i pokutnicze miny niedowiarków, które od siedmiu i od dziesięciu lat ani u spowiedzi, ani nawet w kościele nie byli i na bluźnierców zwichniętych propagandą bolszewizmu. Ciągnęli teraz wszyscy na chrzest, na bierzmowanie na pokajanie się.

Przyszedł z młodzieżą smolarską i Jaś Ładań, jednak skruchy na jego obliczu nie znać było.

Przybyło kilku staruszków tak zgrzybiałych, że sił nie mieli z woza zejść i kilku śmiertelnie chorych, którzy nawet ani podnieść się z pościeli nie mogli, ale jeszcze przy rozumie, więc tak samo pragnęli fest oczekiwany od dzieciństwa na tym padole zobaczyć i zarazem błogosławieństwo od Dostojnika w daleką drogę otrzymać. Wozy ich z pościelą, której nie opuszczali, ustawiono na wyniosłości terenu w pobliżu kaplicy i osłonięto parawanem tak, ażeby przez szpary mogli patrzeć na fest, nie rażąc, widokiem swego schorzałego ciała publiczności.

Niebawem przyjechało wikaremu na pomoc kilku księży i zaczęły się chrzty, spowiadania i namaszczenia.

Tłumy ludu ciągnęły bez końca, bez miary. Poznawało się w nich i sporo młodzieży ruskiej, zwłaszcza ze wsi nowych, tak zwanych kupczańskich, która czy to przez swą zamożność, czy przez pokrewieństwo — bo wiele nazwisk w takich wsiach ma brzmienie polskie — ciągle naśladowała ubiór narodu zaściankowego i uczęszczała na jego festy. Z Uberezia, sąsiadującego ze Smolarnią to prawie cała młodzież przywalała. Jeszcze jak Wończa stoi, tak wielkiego zgromadzenia w niej narodu nie było.

A czy prędko przyjedzie? A jak wygląda? A co nam powie? — rozlegały się w każdym miejscu niecierpliwe pytania.

Niedługo przed jedenastą księży opróżnili kaplicę i zamknęli ją.

Nie upłynęło dwadzieścia minut, przymknął goniec, zwiastując że Pasterz już przybywa. Natychmiast uderzono w dzwony, podając upragnioną wieść ogółowi.

Tłum na dziedzińcu zadrżał, zakolysał się i runął nawałnicą ku ulicy; wytryskały przez bramę kotłujące się masy, jakby woda wiosną z młyńskiego spustu. A drugie masy, tak samo burzliwymi falami, waliły przed bramę z zaułków miasteczka. — Biskup jedzie! Biskup jedzie! Prędej! Prędej! — poganiali się ludzie wzajemnie.

Po upływie kilku minut, cała ulica na przestrzeni dobrego stajania zamieniła się w rzekę głów ludzkich. Jakby maku nasypał. Wprost wierzyć nie chciało się, iż tyle narodu polskiego w tych głuchych okolicach się znajduje. A wszędzie kotłowało się burzliwie, jakby w mrowisku pod-

rażnionym, każdy się pchał zapamiętałe naprzód, wspinał na palce, wyciągał szyję, wyteżał wzrok w stronę rynku.

Jakoż za chwilę w śledzonym miejscu zerwała się kurzawa, jakby tam wicher zakręcił, albo bomba pękła.

— Już widać! Hen widać!! — zabrzmiało z tysiąca ust.

Z dziedzińca wyszły przygotowane zawczasu szpalery młodych mężczyzn i rozczepiły tłum na dwoje, czyniąc przejście dla wozu.

Kurzawa toczyła się naprzód, rosła, szerzała, strzelała słupami, jak dym z komina parowozu i w końcu zaczęła wylać łąby końskie. Coraz więcej coraz wyraźniej. Droga przed nimi staczała się w dół, tedy widać było cały orszak jak na dłoni.

Przodem pędził pluton jazdy honorowej czwórkami — prawie wszyscy w jednakich burchach kurtkach, w rogatywkach z czubami z końskich ogonów i prawie wszyscy na jednakich gniadoszach. Dziewięć czwórek było. Dowodził Kościk Wasilewski na Gniadoszu Piotrowskiego, to wysuwając się na czoło, to jadąc harcem przy boku.

Za nimi sunęło się auto Dostojnika otoczone dwunastu eks-dowborczykami tak samo na koniach; każdy był w swoim legiońskim stroju, a na piersi miał szarfę barwy kościelnej. Za autem ciągnął klucz powozów konnych z licznym duchowieństwem.

Ludziom serca zabiły niespokojnie, zapłonęły oczy, zadrżały członki.

W miarę zbliżania się, orszak zwalniał biegu. Podjeżdżając do tłumy, pluton jazdy przeszedł w stępą i rozdzielił się na dwie części: brzeźni jeźdźcy pochwycili rzucone im przez środkowych towarzyszy powody i zawrócili raptownie w bok, a środkowi zeskoczyli z koni i ruszyli pieszym szpalerem. Legioniści, eskortujący powóz Dostojnika, uczynili to samo. Odbiło się to tak sprawnie, że auto wcale nie potrzebowało się zatrzymywać.

Chłopcy w rogatywkach prężyli się po wojskowemu, zadzierali dumnie nosy i zerkając oczyma na boki, zdawali się przechwalać: — Dziwcie się jak to u nas składnie wyszło! Patrzenie na nas, bośmy prawie to samo, co ułani prawdziwi.

Ale na nich nawet mało kto patrzył; oczy tłumów skierowane były na powóz, w którym znajdował się Pasterz dostojny i Władko serc narodu kresowego.

Zagłębiwszy się kilkanaście kroków w tłum, auto stanęło i za chwilę ludzie ujrzeli Go — w czepcu czerwonym na głowie, w pelerynie na ramionach, z krzyżem na piersiach) Wzrostem przewyższał całe otoczenie.

Tłumy pochyliły się w ukłonie, jak łan żyta przed ciężkim powiewem wiatru. — Witaj nam Pasterzu! — szeptała klęcząc. — Bierz serca nasze! Króluj nami wszechwładnie! Na Twój rozkaz w ogień pójdziem!

A On szedł na czele kilkunastu księży i błogosławiąc znakiem krzyża, to spoglądał tklwym wzrokiem na swe owieczki, to wznosił oczy błagalnie ku niebu. Widocznie mówił do Boga: — Patrz jacy pozostają po tylu próbach ciężkich, po tylu kuszeniach czarta! Weź ich za to w opiekę swoją! Nie daj im zczeznać! . . .

Ludziom patrząc nań, zdawało się, że potrafią góry poruszyć i że mogą pod samo niebo wlecieć.

W bramie tryumfalnej czekało na Dostojnika trzech członków Komitetu z chlebem i solą. Biskup przyjął dary, podziękował za nie krótko i ruszył ku świątyni prowadzony przez kipące fale tłumu.

Ceremonia poświęcenia rozpoczęła się śpiewaniem Psalmów i odmawianiem modlitw po łacinie przed zamkniętymi drzwiami. Trwało to z pół godziny, potem Biskup odemknął własnoręcznie drzwi kaplicy i pokropił ją wewnątrz. W chwilę później dziekan ihumeński z dwoma innymi proboszczami stanęli do celebrowania Mszy. Grał organista z Birek na przywiezionej przez się fisharmonii, a śpiewał chór zorganizowany przez wikarego z Mogilniec złożony z członków i członkiń siły. Wprost uwierzyć nie mogli wończenie, że to i u nich takie samo nabożeństwo się odprawia jak w Mogilniecu i w Birkach. Starzy, którzy przeżywali okropności ucisku sprzed wojny japońskiej, płakali jak bobry.

Do kazania wyszedł dziekan rohaczewski. Mimo wyrażania pochwał zgromadzonemu ludowi, wielu czulo pewne rozgoryczenie; dla Biskupa oni to wszystko czynili, i od niego pragnęli usłyszeć słowa uznania. Ale po dziekanie przemówił też i Biskup.

— Dzieci moje! — zaczął. — Pozdrawiam was od Diecezji swej, od braci waszych z Macierzy i dziękuję za miłą niespodziankę. Jak mi Bóg miły, szczerze mówię: wielką niespodziankę sprawiliście mi! Objawwszy powierzona mi przez Stolicę Apostolską strażnicę, spieszyłem w wasze strony, mniewając, iż w tak odległym od mej siedziby miejscu, przyjął się kłakol, zasiany przez wrogów Chrystusa, że znajde was zwątpionych w moc i sprawiedliwość Boga, skłonnych do usług szatanowi. Spieszyłem na wsparcie, a tymczasem przekonywuję się, iż czym dalej na wschód, tym większa wiara w narodzie się znajduje. Wiara, którą widzę w Wończy, może być wzorem dla chrześcijan całej Rzeczypospolitej. Ta świątynia wzniesiona w tak niespokojnym i bezbożnym czasie, te ozdoby: koło młyńskie i obie tęcze uwite z milionów kwiecica, które nawet króla koronującego się wzruszyłyby, to wasze zgromadzenie się z dziećmi i starcami i te płomienie w oczach waszych napełniają serce moje takim ogromem błogich uczuć, że nawet wypowiedzieć nie mogę. Tylko kapłaństwo w młodych latach otrzymując, taką radość miałem, jakiej teraz doznaję; tylko do matki swej rodzonej taką wdzięczność żywię, jaką do was za waszą wiarę czuję. Widzę, że wiara wasza jak wulkan gorąca, a jak skała mocna. Dziękuję wam za nią.

Jako kapłan dziękuję wam za wiarę w Chrystusa, a jako Polak — za wiarę w Polskę. Tak jak pobożnością, tak i patriotyzmem wzorem być możecie. W żadnej okolicy naszych Kresów nie spotykałem takiej ilości szkółek polskich, powstałych z własnej inicjatywy narodu, nie słyszałem o żadnej organizacji samokształcenia dorosłych, jaka się zawiązała w tutejszym rejonie, w żadnej okolicy nie widziałem tak gęsto mundurów żołnierzy polskich, ani takiej jedności i braterstwa w narodzie i nadziei w zmartwychwstanie Polski.

Gdy wrócę z objazdu, pojedę do Warszawy i powiem o tym terazniejszemu Rządowi, jakkolwiek niewyzwolonej jeszcze Polski. Powiem przed Radą Regencyjną: — Tam na dalekich kresach, u styku ziem mińsko-mohilewskich mocno żarzy się Polska. Przetrzebiona srodze jest

długą niewolą i ciężkim prześladowaniem, rzadka już — jak ten las wystawiony na chłody lute, burze szalone, długą posuchę, — ale to co zostało, zdrowe jest w pniu, mocne w korzeniu, odporne na wszelakie zakusy. Rzadka, ale wierna Macierzy, zwarta duchowo. Powiem członkom jej: — Jakoście zwierzchnicy i wodzowie Narodu, cieszcie się, że na najdalszym posterunku macie dobrych synów i wiernych obrońców. Cieszcicie się, ale też i nie zapomnijcie o nich. Gdy Naród zerwie kajdany, gdy miernicy i cieśle wyruszą budować granicę Polski, przypomnijcie im starą miedzę, nie pozwólcie stawiać parkanu w głębi ziemi Rzeczypospolitej. Nie wyprzycie się ziemi związanej z macierzą pięciowiekową tradycją, nie zostawcie na zgubę synów oddanych wam całą duszą, gotowych do największych poświęceń, nie zlekceważcie lasu, który chociaż rzadki w drzewa zdrowe, ma wiele pni świeżo uwiędłych, lub świeżo złamanych, które po zaporze wiatrów szkodliwych, po deszczu i ciepłe słonecznych promieni, jeszcze odżyją, albo latorośle z korzeni puszczą.

Tak im powiem. I wierze niezłomnie, jak w to że niewola Narodu już się kończy, że Polska już powstanie i rozrośnie się dobrą wolą bratnich plemion w dawniejszą potęgę i chwałę, jak w moc i sprawiedliwość Boga — tak w to, że macierz dobrych synów nie zapomni.

Ale dzieci moje, powinniście wytrwać w takiej wierze, aż po was ojcowie przyjdą. Wytrzymajcie aż do końca. Stoicie przed możliwością nowych bolesnych prób i doświadczeń. Tam na wschodzie wisi czarna chmura — wielka chmura, dzika, niebezpieczna. Chmura zarazy bezbożnej, rozkładu moralnego, nieprawości; chmura pożogi, mordu, barbarzyństwa. Może ona tu nawrócić.

Po tłumie poszły bolesne westchnienia mężczyzn i chlupanie kobiet. Doświadczyli już takiej chmury.

— Dziś ją wspiera filar zbrojnej potęgi Niemiec — ciągnął Biskup, — filar napozór granitowy, niezwyknięty. Ale niezbadane wyroki Boże: dziś jednym moc i potęgę daje — jutro je odbiera i w słabych zamienia; wielkich w nicość obraca — maluczkich na wyżyny wznosi; dziś jedne narody do panowania nad pół światem dopuszcza — jutro w niewolników wczorajszych sług zamienia. Czasami wieki całe trwają mocarstwa, zdają się być niezwykniętymi — a tu patrzysz — naraz rozlatuje się, jakoby ten pyłek za podmuchem wiatru. Tak runęła potęga moskiewska, tak może się rozwalić niemiecka. I wówczas ta chmura barbarii bolszewickiej na waszą, skrajną stojącą ziemię, spadnie. Na waszą ziemię całym swym ciężarem spadnie i przeciwko wam, sprzymierzeńcom walk o niepodległość Polski, przeciwko wam obrońcom chrześcijaństwa, cała właściwość szatańska przódzi się skieruje.

Tłum wybuchnął płaczem, że aż w sklepieniu zakwiliło. Biskup powiódł parę razy oczyma po mrowiu wiernych, westchnął i mówił dalej.

— Truchleją serca wasze... Prawda, dziatki, gorzki to kielich byłby do wypicia, ale nie trzeba rozpaczać; powinniście ten ciężar przyjąć z odwagą godną prawdziwych chrześcijan. Mówię to wam, byście zawczasu duchem się przygotowali. Nie bójcie się — nie zginiecie. Przodkowie wasi niejedną taką plagę przeżyli. Czuwa nad wami Chrystus sam i Matka Jego, która nie zapominajcie, iż jest Królową Korony Polskiej

i naród Rzeczypospolitej ma w osobliwej opiece. Do Niej w ciężkich chwilach się zwracajcie, do Niej też i w obecnym uczuciu trwogi się zwróćcie. —

Tu obrócił się do ołtarza, ukląkł i zaintonował Litanie Loretańskie. — Kto był tylko w tłumie przyłączył się całą mocą swych piersi do wtóru. Nie tylko kaplica, ale nawet budynki stojące w pobliżu, zatrzęsły się od kilkutyśięcznych wołań. Nie był to śpiew zwykły uroczystościom, gdzie człowiek chociaż słyszy nutę przeważnie tęskną, czuje żeń jakąś radość w sercu i natchnienie błogie; tu było łkanie żalosne i lament rozpaczliwy, wstrząsający duszą. — Oto tyle już czasu od owej uroczystości upłynęło, a jednak gdy tylko usłyszę gdzieś śpiew litanii, albo sam jej nutę, w rozmyślaniu tęsknym o ziemicy rodzonej przypominę sobie, to zawsze jakby widzę zgromadzenie braci, jakby słyszę ich błaganie żalosne i za każdym razem łzy mi w oczach stają. Jak Boga Kocham!

## XXXVI

### S I Ł A

W początkach października zawiązało się w Michaliskach, podobne smolarskiemu towarzystwo.

Siła rozwijała się świetnie. W dwa tygodnie po wizycie biskupiej w Wończy, należało już do niej ponad stu członków, było w bibliotece sto pięćdziesiąt książek i nadchodziło już kilka gazet z Wilna i Warszawy. Zarząd był w komplecie i przedstawiał się następująco: Kazik Zdanowicz — prezes i kierownik propagandy; Kościk Wasilewski — wiceprezes i instruktor sportowy; Stach Bałaszewicz — sekretarz i wykładowca; Walko Tryzno — łącznik, Norba Ściepuro — bibliotekarz i Oleś Piotrowski — kasjer. Oprócz nich byli zastępcy i różni pomocnicy.

Pełną aktywność Siła rozwinęła dopiero po wykopaniu kartofli. Kazik wtedy ze Stachem zaczęli udzielać lekcji dokształcających małopolskim, urządzać wieczórki wspólnego czytania książek i pogadanki. Norba ze swą narzeczną uczyli ochotników śpiewu. Kościk zbierał amatorów sportu, tworzył z nich drużyny piłki nożnej, strzelania z procy i łuków. Ażeby nie budzić podejrzania okupantów, ćwiczenia i zawody wyznaczał u siebie na leśniczówce, albo na polanach leśnych. Często przychodzili na nie i chłopcy z Wończy, do Siły wcale nie należący. Jednoczyli się, udoskonalali umysł, hartowali wolę, gotowali się do walki o wolność, o byt — o lepsze jutro.

Zagrzeni powodzeniem, kierownicy Siły powzięli myśl zorganizowania wszystkich Polaków w ziemi nadberezynskiej. W tym celu zaprosili do siebie aktywniejszych chłopców z Michalisk i na wspólnym posiedzeniu postanowili wpłynąć przez swych delegatów na szereg innych ośrodków polskich i pobudzić do założenia takich samych towarzystw i potem w porozumieniu z zaściankami z Berezyny i Związkiem Ziemiaków, zwołać ogólny Zjazd Polaków w Bobrujsku. Wyznaczyli na tą misję Stacha, Walkę, Norbę, Anichowskiego z Polanek i Smarhaczewskiego z Wończy. Stach miał iść w Okolicę podbiałyńską, gdzie, jak wiemy,

wyrobili zaprzeszłej zimy wpływy sobie wielkie, Wańko w okolice Birek, Norba do Ryni. Anichowski do Szacilek, a Smarhaczewski pod Bychów. Zaraz po ustaleniu się zimy, zamierzali wyruszać.

A szła już właśnie i zima. Dnie były przeważnie chmurne i mgliste i często też padały długie, słotne deszcze. Zaczęły się psuć drogi: porozbijały się koleiny, potworzyły gęsto kałużę, przybrały brody. Na Wszystkich Świętych wypadł na mokra ziemię śnieg prawie do kolan. — Rozdroże się zrobiło — ani nosa na świat wysunąć. Zwłaszcza poza Smolarnię nie sposób było się wydostać: na kołach — śnieg głęboki, w saniach — brody otwarte.

Ludzie, przygotowani zawczasu z chlebem, solą, drzewem i smolakami na kominek, w duszy nawet radzi byli temu okresowi, gdyż poza doglądaniem chudoby, prawie żadnej roboty w gospodarstwie nie było, więc każdy mógł czynić, co mu się tylko podobało. Używali tedy wszyscy wywczasów: myśliwi uganiali się całymi dniami po świeżym śniegu za zwierzyną, starcy i chorowici wygrzewali się po dwadzieścia godzin na dobe na piecach, wyrostki, nie uczęszczające do szkoły, rznęły się od rana do wieczora w śnieżki, baby zagryzały się plotkami, zakochani wyznawali przy opłotkach, lub w zapieckach swoją miłość, romantycy suszyli zdrowie czytaniem powieści, nabożni śpiewali dwa razy na dzień Godzinki lub odmawiali na różne intencje Różaniec, politycy zbierali się codziennie w gromady, spierając o koniec wojny i o mającą po niej nastąpić przemianę. Świetlica Zdanowiczów, w której mieściła się Siła, huczała głosami sporu i opowiadaniem niby młyn. Gazet tylko świeżych nie było, więc nie wiedzieli, co w ostatnich dwóch tygodniach na froncie się działo. Walko któregoś dnia posłał umyślnego chłopca do Wończy, ale ten na brodzie poślizgnął się z kładek, wpadł po pas w wodę i obawiając zaziębić się wrócił do domu. Drugiego już nie posyłano. — Niewiadomo czy poczta w takie bezhołowie przychodzi z miasta? — mówili członkowie zarządu.

Tymczasem przyszły wieści pocztą ustną, które zakłóciły smolarzom spokój i przerwały błogie wywczasu.

W lokalu Siły odbywały się popołudniowe pogadanki. Uczestniczyła w nich licznie i starsza generacja, ale sama pleć męska, gdyż dziewczęta akurat pomagały babom Winiarskich trzeć len.

W pewnej chwili zajechał przed bramę konno Moskalimus z Jam. Z konia waliła piana ochłapami — tak był zgrzany. Jeździec opapwany błotem, miał wygląd, jakby z pożaru wracał, albo przed bandą uciekał. Stał przy wrotach, zeskoczył susem z konia, rzucił powód uzdeczki na ostrokół, a sam szybko, prawie biegiem, podążył do świetlicy.

Kazik z grupą obecnych w świetlicy mężczyzn tak byli pochłonięci rozmową, że nie tylko nie zaprosili świeżego gościa, ale nawet nie wszyscy odpowiedzieli na pochwalonkę. Moskalimus stał przy progu, tupał nogami, kaszlał, a wreszcie podszedł do gromady gwarzących i jął mrugać na Kazika.

— Co ci w oko coś wpadło? — spytał Jan Bałaszewicz, pierwszy zauważywszy mruganie.

— Włazło mi coś w oko, — odrzekł czerwieniąc się.

Widząc, że Kazik nie przerywa rozmowy i ani się obciera na niego, ujął go za ramię, obrócił nieco ku sobie i rzekł przyciszonym głosem.

— Panie prezesie, ryba gwałtownie odpływa. —  
Smolarzanie wybuchnęli śmiechem. — Zachłął się! mówił Bałaszewicz. — Zwariował z długiego bezżenku! — mówił Oleński.

— Co ty pleciesz? Jaka ryba? — dopytywano się.

Ale Kazik na wiadomość o "odpływie ryby" zbladł i osłupiał. Patrzył długo i przenikliwie Litwinowi w oczy, potem pociągnięciem za rękaw kazał iść za sobą na podwórko.

Znalazłszy się w odosobnionym miejscu na ulicy, spytał:

— Tyś wartownik?

— Tak jest, panie komendancie.

— Dawno,

— Od Pokrowy.

— Czyj?

— Kartawego.

— Bombaj.

— Maharadża.

— Dobrze. Któż cię przysłał?

— Kartawy, panie komendancie.

— Wiesz co on chciał donieść tymi słowami?

— Nie. On przyjechał skądś z daleka i nie odkładając konia, przybiegł do mnie i kazał prędko jechać.

— Dobrze. Wracaj teraz co pary i powiedz mu, że niech zwołuje na zebranie.

— Dokąd?

— Tu do mnie.

— Wszystkich, czy tylko wartowników?

— Wszystkich — odrzekł po dłuższym namyśle. — Potem będzie się widzieć... — dodał.

Moskalimus odjechał, a Kazik wysłał konno do Wończy Walkę z Norbą i zarządził natychmiastowe zebranie.

Rozbiegli się posłańcy po zaścianku i na chutory.

W pół godziny rozpoczęli się schodzić. Nigdy nie zwoływano w dzień powszedni i tak nagle ogólnych zebrań więc pytano się o przyczynę.

— Wańkowicz przyjeżdża — symulował Kazik.

— Kto to taki?

— Delegat Związku Ziemian.

— Więc może odziać się trzeba odświętniej? — proponowały dziewczęta.

— A ma się rozumieć. Podetnijcie grzywyki, nawijcie je, nasadźcie grzebieni, wdzieńcie jedwabne sukienki, buciki, kalosze... Starszy to człowiek, ale się zakocha w której. A jeżeli któraś spóźni się, szkody wielkiej nie robi. — Rzucił dziewczętom uszczypliwe przytyki.

Wzburzony był i nieprzystępny: mierzył w głębokim zamyśleniu wielkimi krokami świetlicę, przebiegał co chwila oczyma po zebranych, jakoby ich liczył, albo kogoś szukał, odpowiadał z gniewem i co kwadrans wybiegał, wypatrując posłańców.

Kiedy Staś zbliżył się ku niemu, chcąc o coś zapytać, krzyknął:

— Gdzie Kościk?! Leć po Kościka!!

Wiadomość o przyjeździe Wańkowicza ściągała i starych. Pierwszy, jak zwykle, przyszedł Piotrowski.

— Gościa będziemy mieli, gościa! — zaczął do wszystkich. — Znam ja Wańkowicza dobrze: plenipotent to pana hrabiego. Ale i on mnie zna jak brata. Wpadłem mu w oko na jednej obławie. Było to tak: — Podjeliśmy z barłogu niedźwiedzia, a on przeszedł po jakimś gołomordym brzuchaczu w okularach, co kudłatego jeszcze na oczy nie widział i na jodle. Na wysoką, na sam wierzchołek. Przyszło — rób co chcesz: strzelać — nie honor, ani dla strzelca, ani dla zwierza, bo to przecież nie wrona, a zresztą choćbyś i chciał, tobyś za sekami nie dosięgł; czekać — nie przeczekasz. Wańkowicz przywołał mnie i pyta:

— Mieczyk, — mówi, — można go zsadzić żywego? — Można, mówie. Dobrze, zdejmuj mnie, mówi, to dostaniesz katarzynkę. Ja więc i zdjąłem. A wiesz chłopcze jak ja to zrobiłem? — zwrócił się do Kazika, łapiąc go za ramię.

— Panie Piotrowski, idź pan do cholery ze swoim niedźwiedziem! — wybuchnął tamten.

Piotrowski spłonął gniewem — ale się pohamował.

— Masz racje, chłopcze — rzekł — tu trzeba myśleć o przyjęciu, a ja zacznam o obławie.

— Jak uważasz, ja myślę, wysłać na spotkanie trzeba?

— Bądź pan spokojny, już wysłano.

— Warto by warem burzuja oblać — wmieszał się Jaś Ładan.

— A to za co? — krzyknął Mieczysław.

— Za sęki, za paszę, za grzyby, ostatnią koszulę z ludzi zdzierał.

— Słyszałeś dzwony, ale nie wiesz w której stronie. To leśniczy był taki parszywiec i obieszczyk. Wańkowicz człowiek ludzki . . .

— Leśniczy z obieszczykami tak robili, jak im ten kazał.

— Hołopupiec ty! Ty mnie będziesz opowiadał! Ja już go znałem, gdy ty jeszcze był . . .

Splunął na podłogę i znowu zwrócił się do Kazika:

— A jak z poczęstunkiem zrobimy?

— Niech się pan nie troszczy, przyjmiemy. On do Siły przyjeżdża, a nie do pana.

Znaczy się wyganiaasz mnie?!

Kazik machnął niedbale ręką.

Piotrowski wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Ale za chwilę znowu wrócił; usiadł w odosobnieniu za grubą, puszczal z fajki kłęby dymu, pluł na środek izby i mruczał sobie pod nosem, wyklinając niewdzięczność ludzką.

Ludzi napchało się potrzebnych i niepotrzebnych, że w końcu nie można było się obrócić.

O zmierzchu wrócili z Wończy posłańcy.

Kazik z Kościkiem, który już zdążył przybyć, wyszli im na spotkanie, aż za kołowrót. Stali skupieni czwórka na poufnej rozmowie kilka minut, a potem wrócili do świetlicy i rozpuścili zebranie.

— Drodzy bracia członkowie, — powiedział Kazik, zwoławszy wszystkich do środka. — Pan Wańkowicz, którego czekaliśmy, swój przyjazd do nas odłożył, więc kto życzy, może sobie wracać do domu. —

— Rybacy niech opatrzą oście! — doniósł z sieni głos Kościka.

Na te słowa niektórzy członkowie zaczęli dawać sobie różne znaki, szeptać i wymykać się z izby.

— Co to mają znaczyć te "rybacy", szepty, mruganie i całe te dziwne zacowanie się wszystkich? W tym coś jest . . . — zwrócił się Jaś do Józika.

— A pewnie że jest — odrzekł tamten.

— Wiesz? Powiedz!

— Byle tam sołdacka oferma nie rozumie tego, choćbym mu tłumaczył dwie godziny — mówił Józik, szukając oczyma w tłumie któregoś z członków zarządu, by podejść i czegoś się dowiedzieć, bo chociaż był legionistą, tyle wiedział, co Jaś.

— Jak widać, to członkowie podzieleni na chytrzejszych i głupszych — oburzył się. — Ja się wypiszę.

— Niewielka szkoda: jednego komunisty mniej będzie. Na dobry rozum, to nie powinienesz być i wpisywać się. —

Zaraz po zebraniu Kazik, Kościk, Staś, Bolek, Wałka i jeden legionista z Jam, zamknawszy się u Tryznów w Świetlicy odbyli tajną godzinną naradę, a potem przeprawili hurtem za bród sanie i Kazik z Wiktorem odjechali do Bobrujska.

Na wieczorkach, jakie mimo wszystkiego, zebrały się tego wieczoru u Oleńskich, wielu chłopców wcale się nie pokazało, a wielu siedziało jakby miało coś na sumieniu i prędko rozeszli się.

## XXXVII .

### ŚMIAŁA WYCIECZKA

Nazajutrz przed świtem jeszcze, Smolarnia była zaalarmowana ewakuacją z kraju Niemców. Niewiadomo, czy jakiś podróźny tą wiadomością przyniósł, czy może ludzie Kazika ją puścili, lecz dość tego, że gdzie się nie obrócisz, każdy ci mówi o gwałtownej ucieczce okupantów.

Jednocześnie z tym stwierdzono nieobecność wielu chłopców. Ponad 20 najruchliwszych członków Siły, nie licząc legionistów, nie nocowało w domu. W paru domach znaleziono pożegnalne kartki, w których synowie donosili rodzicom, że wobec grożącego im ze strony bolszewików niebezpieczeństwa, zmuszeni są ujść.

Nikt inaczej nie myślał, jak tylko, że nocą zbrali się hurtem i odeszli do Bobrujska, by stamtąd wraz z Niemcami odjechać do Królestwa.

Płacz, lament i rozpaczliwa biegania z chaty do chaty ogarnęła całą Smolarnię. Kobiety zawodziły:

— Boże miłosierny! Jezusie Nazareński! Matko Najświętsza! a dokądże będziecie na nas dopuszczali różne kary! A kiedyż ta trwoga i łzy nasze się skończą! Kiedyż my zobaczymy swoich synków! —

Narzekały kobiety na los, nie wiedząc biedne ile ich jeszcze nie-szczęść i łez na tym padole czeka.

O świcie, na ulicy przed Kantyczką zaczął się gromadzić tłum mężczyzn, dziwiąc się upadkowi Niemiec, przypominając sobie przepowiednie Biskupa, omawiając ucieczkę młodzieży i radząc nad zbliżającym się

niebezpieczeństwem. Piotrowski zagłuszał wszystkich. Głos jego basowy, silny, wesoły, jednaki w radości i biedzie, myśl śmiała i zaradczą krzepiły zrozpaczone dusze Smolarzan. Piorunował na chłopców:

— Zaby parszywe! ani się poradzili, ani spytali, tylko szach, mach i pobiegli w świat szukać guzów. Gdzie? Poco? Żeby kto spytał. Nie mogli to w domu posiedzieć! Zechcieliby na kórego nastawać — w las.

— Nie, swacie, lepiej zrobili, że odeszli sobie zawczasu — zaprzeczał Kantyczka. — Przynajmniej dusza będzie na miejscu.

Ot pojedą do Królestwa i jeżeli to prawda, że Niemców nie będzie, to znajdą Dowbora i znowu zaczną legiony robić.

Jeżeli w domu mają się chować, to już niewielkie z nich robotniki.

— Ajak napadnie hołota, to z kim będę zaścianku bronił?

— Jak Bóg nie uchroni, to nikt nie obroni. W Nim cała obrona. Jak powiedział Biskup: “Z wiarą i modlitwą trzeba czekać przeznaczenia”. Jak Bóg zechce to cały świat między sobą może się wyrznąć, a nasza Smolarnia, jak ten korab Noego, nietknięta tak ostanie.

— Jak sam płoch, to nie pomoże i Boh — mówi przysłowie. Ech! mój Boże! Czemu to drużności ludzie nie mają. Toż tylko zebrać się naszym do miejsca, porobić pułki, wybrać Dowbora, pójść do Bobrujska, zabrać twierdzę i żyć jak przeszłej zimy i wiosny.

— Pleciesz, swat niby dzieciak — przerwał Bałaszewicz. — Z kim pójdziesz? Ile to naszych, a ile ruskich?

— Połowę by ruskich z nami poszło, kto ma trochę lepszą gospodarę, to tak bolszewików czeka, jak pies pałki. —

Jakoś spotkali się w tłumie i Jaś z Józikiem. Prawie że oni tylko dwaj pozostali z dojrzałych chłopców.

— Dziś już rozumiem co oznaczała wczorajsza krętanina. — Zwąchali ucieczkę sojuszników i w pięty zakłuło. Szczęście, że ulotnili się; sowiecka włast takim supczykom w zęby patrzeć nie będzie! — śmiał się Jaś. — Dziwię się, że tyś jakoś pozostał.

— A tyś czemu pozostał? — zapytał Józik.

— Ja?! Co ty towarzyszu, z byka spadł? Ja, partyjny, mam uciekać przed sowiecką władzą?! Żartujesz. — Jaś teraz w Smolarni będzie coś wart.

— Ja też partyjny — rzekł Józik.

— Ale burżujski.

— Nie, sowiecki. Gdybym był burżujski, to bym uciekał razem z nimi. Ja tylko udawałem, że do nich należę. Ja w duszy czysty komunist — łął.

Jaś świdrował go oczyma i kręcił z niedowierzaniem głową.

Pogadali tak stabuniwszy się na ulicy, poradzili, kobiety popłakały i potem wszyscy się roześli.

Po obiedzie cisza niebywała, złowroga zapadła, po całym zaścianku, osiadł ciężki smutek. Nikomu nie chciało się brać do roboty. Ze starszych, jedni brali się za książki, szukając ukojenia w modlitwie, drudzy zaszywali się na piece w nadziei, że całą biedę prześpią; młodszy szukali towarzystwa. Rażniej jakoś kupą było.

Dziewczęta — jak zwykle już po stracie — zwierzały się najlepszym swym koleżankom ze swych uczuć względem wybranych chłopaków

i wypytywały się wzajemnie, czy aby któryś nie pozostawił jakiejś wiadomości.

Zabiegała o to już i Karusia. Kościk również poszedł; wiedziała o tym od ojca, który o świecie był w Smolarni. Pytała Ściepurzanę, narzeczoną Walki, starszą Szczebiotkę, narzeczoną z Bolkiem Winiarskim, ciągnęła siostrę za język, myśląc że Karapuzy przed nią się zdradził, — ale każda tyle wiedziała, co i ona.

Zrozumieć nie mogła, czemu w takiej tajemnicy odeszli, czemu Kościk z nią się nie pożegnał. Wczoraj dopilnowała, gdy się rozchodzili od Tryznów z narady i stanęła w furtce w nadziei, że podejdzie i coś powie; ale on tylko spojrzął z dala dłużej niż zwykle i prosto posypał do domu.

Pobiegła jeszcze do Polki, przed którą Norba nigdy żadnej tajemnicy nie chował. Wywołała ją do próżnej świetlicy i jeła badać.

— Polka, gdzie nasi chłopcy? Prawdaż to, że odjechali do Polski?

— A ja skąd mogę wiedzieć — ruszyła ramionami.

— Nieprawda, — ty wiesz.

— Cóż to, ja wszechwiedząca! Mówię ci, że nie wiem.

— Przed tobą Norba nigdy w niczym się nie tai. —

Tym ją zdobyła. — Wiedziała.

— To prawda: on zawsze mi powie — promieniała radością.

— Gdzie oni?

— Nie powiem; grozi to śmiercią jemu i bratu.

— A chyba Kościk nie razem.

— Zdaje się, że razem.

Więc i jemu grozi śmiercią. Czyż ja go wydam?

— Tak, ale przykazywał, groził, zaklinał...

— My tylko obie będziemy wiedziały, — więcej nikt.

— Mama już wie.

— Mama już wie! Czemuż mnie nie chcesz powiedzieć?!

Pola obejrzała się w koło, potem pochyliła się do ucha i szepnęła.

— W puszczy. Ale uważaj! bo zgubisz ich. Tak on mi przykazywał...

— W puszczy?! — A czegoż tam?! — pytała również szeptem zdziwiona.

— Na parę dni tylko — póki się zbiorą. Potem podobno gdzieś pójdą...

Karusia domyślała się wszystkiego. Chciała jednak upewnić się, czy mówi prawdę.

— A może ci tylko tak mówił, byś go nie próbowała powstrzymać, a w rzeczywistości poszli tam, gdzie ludzie mówią? — badała.

— Więc czegoż by tedy szli w strony Uberezia? Sama go nocą odprowadzałam aż w chojnik.

— Aż w chojnik, nocą?!

— No, a cóż w tym dziwnego! Przecież mamy się zenić.

— To prawda. Więc mówisz, że odprowadziłaś go w chojnik, a stamtąd on poszedł w puszcze?

— Czy od razu zawrócił w puszcze, tego nie wiem. Kazał mnie wracać, sam zaś poszedł drogą. Miał tam podobno stać wartownik i wskazywać droge.

— Dawaj pójdźmy w chojnik.

— Ażeby naprowadzić ludzi na ich ślady i zgubić!...

— Nocą. Przeberzmy się za chłopców, tedy choćby nas kto i spotkał, nie pozna. Znajdziemy w chojniku ich ślady i nimi zajdziemy gdzie są. To zrobimy im niespodziankę, co?

— Idź ty! Za nic w świecie nocą w puszcę nie pójde. Boję się.

— Ja niczego się nie boję — chwaliła się Karusia.

Nie namawiała dłużej. Wróciła do domu. Po obiedzie założyła konia i pojechała w bór. Miała okazję przewiezienia sosnowych kogutków, których uzbierały z siostrą, jeszcze przed śniegiem, całe kupy.

Zajechawszy w chojnik, zwolniła kroku i jąta przypatrywać się pilnie na obie strony. Przed samym mostkiem, w gęstwinie brzeźniaku, dojrzała podejrzanе ludzkie ślady. Pojedyńcze niby ślady, ale za szeroko rozmełte i głębokie nadzwyczaj, co świadczyło, że przeszło nimi wiele osób. Przecinały drogę z północy na południe w kierunku puszczy.

Od razu poznała się na tym i wzięła je za ślady przemarszu chłopców. Znając dokładnie w koło teren zgadywała nawet gdzie ta ścieżka miała wchodzić w puszcę. Kiedy o zmierchu, wracając z kogutkami, zamierzała zejść z sani i przypatrzeć się tym śladom bliżej, dojrzała z prawej strony sylwetki mężczyzn. Na widok nadjeżdżających sań, popadali w śnieg. Przykro jej jakoś zrobiło się, że przeszkodziła chłopakom w przejściu, więc nie oglądając się, pognęła konia. Gorzała cała wzruszeniem i chęcią zobaczenia w puszczy obozu.

Wróciła do domu, uporządkowała konia i pobiegła do Tryźnianki.

— Słuchaj Klara — zwróciła się do starszej — pożycz mi wojskowych spodni.

— Wojskowych spodni?! A to co?

— Henuś Zdanowiczów przyczepił się, bym mu wykroiła galifę. Tak z pamięci nie potrafię.

— Płócienko, czy może nabierali?

— Własne, czarne, walone sukno, jeszcze z zeszłego roku.

Wracając, zaszła do Kantyczków i pod takim samym pozorem wypożyczyła Wiktorową, uszyta z ochronnego sukna na wzór ułanki, kurtkę. Zniosła to prosto do łaźni. Potem jeszcze wykradła z domu i także zniosła do łaźni: ojcowską baraszkową czapkę, świąteczne buty, ostrą siekiere, lusterko, latarnię i zapalki. Nikt z domowników ani z sąsiadów na to ciągle chodzenie nie zwracał uwagi, gdyż akurat w tym czasie, był ustawiony w łaźni len do suszenia.

Podczas kolacji powiedziała rodzicom, że pójdzie do Zdanowiczów i że może nawet pozostanie tam na nocleg, bo stara, splakawszy się po synie, coś zaniemogła.

— Już chyba żadna nie wyplakała tyle, co ta baba po swym synie — zauważył Sokołowski.

— Która ma dzieci — każda się naplakała. — odrzekła małżonka. — A mało mi zdrowia odjęła ta suka!

— Samaś była winna: dziewczka zamąż nie chce — ona ją pcha.

— Nie chce ona... Jeszcze i jak chce, — ale żebym jej pozwoliła z tym parobkiem, z tym warchotem, żeby on ścieżki nie widział!

— Jak chcą, to niech się i żenią. Chłop też niezgorszy: zdrowie ma i poważanie u ludzi.

— Takie poważanie ma, jak i ty, wojlaku głupi! Ojciec jaki, on by ją oddał? Pozeń, a potem karmij bobyla ze swego śpichrza i całą jego psiarnię.

— Ot jak ostaną bolszewicy, to tak jeszcze będzie, że bezziemny więcej będzie miał, jak ten, co ma folwark.

— A, więc ty radujesz się bolszewikom?! Z ciebie więc taki gospodarz?! — czepiła się baba.

Karusia, korzystając z kłótni jaka się wywiązała między rodzicami, wymknęła się z chaty jeszcze przed zakończeniem kolacji. Poszła na prawdę do Zdanowiczów.

W świetlicy, lokalu Sity, — żeby dusza. Nawet światła tego wieczoru nie zapalono. Zuzi z Henkiem też w domu nie było. Karol tylko drzemał na przypiecku, a synowa przędła przy kominku. Na widok wchodzącej Karusi, uradowali się oboje.

— Choć jedna dusza jednak o nas pamięta w radości i biedzie — mówiła Zdanowiczowa, sadowiąc gościa w najwidniejszym miejscu — Jak własnemu dziecku tobie radzi.

I rozpoczęła się długa skarga, na niedzielę, na urządzenie świata, które matkom dzieci odbiera, przerywana płaczem.

Karusi chciało się zwierzyć z odkrytej tajemnicy względem chłopców, ale się powstrzymała. Przędła i pocieszała starą.

— Siedziała do późna, — aż Zuzia z Henkiem wrócili z zaścianka i posnęli, a gospodyni, siedząc nad kądzielą, zaczęła odbijać pokłony. Wtedy zostawiła kołowrotek, obiecując przyjść jutro i wyszła.

Było już około jedenastej. Światła paliły się tylko u Bonifacych i Hilarych, kobiety których zwykły siedzieć z wieczora do północy, — poza tym zaścianek spał. Noc była cicha, chmurna, jednak, że był księżyc i biel świeżego śniegu, dość widna. Od strony gumien, Lutnia Kantyczków i Duks Bałaszewiczów poszcze kiwały od czasu do czasu, lecz gdy milkły — cisza nastawała wkoło grobowa.

Przeszła na przeciwległą stronę ulicy, spojrzała na chaty, posłuchała i poszła przy samym ostrokołe w stronę własnej siedziby. Przed wrotami do sadu, obejrzała się i śmignęła w nie zdążając ku łaźni.

Znalazłszy się wewnątrz, jeszcze raz spojrzała w stronę ulicy, potem zamknęła się, zapaliła latarnię i nie tracąc czasu, zaczęła się przebierać.

Chodaki cisnęła prosto z nóg pod pryczę. Zdjęła świtkę, wierzchnią spódnicę i schowała je między snopki lnu, a stamtąd wydosłała przygotowaną odzież męską. Usiadła na najniższej półce, podścielając pod nogi garść lnu, wciągnęła spodnie, wzięła na miękkie onuce buty, wdziała ułankę, ściągnęła się rzemiennym pasem, na głowę wcisnęła baraszkową czapkę i spojrzała przy latarni w lustro.

— Nie poznała siebie. — Pachole piętnastoletnie, malowane...

Podgarnęła starannie w czapkę włosy, wzięła za pas siekiere, dmuchnęła w latarnię i wyszła. Prosto od łaźni skierowała się ku puszczy. Chytkiem wzdłuż żywopłotu.

Miała na myśli przejść własną siedzibą do puszczy, potem zawrócić w lewo i granicą pomiędzy puszcza, a wąskim pasmem smolarskiego

osinowo-brzozowego chmyru, walić prosto, aż za pole, gdzie łączy się z lasem chojnik. Tam według jej mniemania miały wchodzić w puszcze widziane dniem ślady.

Kiedy jednak zbliżyła się do lasu, zaczęła się bać. Przypomniała sobie rozpoczynający się okres wilczego wesela. Dziwiła się, że przedtem jej to nie przyszło do głowy. — Pozrą mię całą, a tylko nogi w butach ostaną — pomyślała.

A może by tak wrócić i poszukać towarzyszki? Może siostra? — Ona też ryzykowna. — Tak, ale nim się zbierze, to ludzie powstają. I język kata... Lepiej już sama.

Szła jednak coraz wolniej i bojaźliwiej. Przed chmyrem, o 30 kroków od puszczy stanęła. Nigdy ją nie widziała tak groźną i tajemniczą. Zdało się jej, że tam przy ziemi, w mroku ogromnych pni i drobnej jedlinki, czają się na nią wilki, niedźwiedzie, poczwary, czarne, kudłate o olbrzymich nietoperzych skrzydłach i uszach, a osiny niebosiężne, patrząc z góry na idącą, swawolną, młodą, głupiutką dziewczynę, dają znaki, ostrzegają by nie szła, swarzą się, a wreszcie drwią z jej głupoty.

Obejrzała się na sady i budynki i uczuła nieprzepartą chęć powrotu. — Po co to mnie wszystko? Nie pomogę ja im nic, — a co sie stanie — on mnie potem wszystko opowie. Wrócę, przebiorę się i pójde spać — wmawiała sobie.

Ale drugi głos sztydził z jej tchórzostwa i pchał naprzód.

— Na wojenkę się rwała, chłopcom tchórzostwo wytykała — sama teraz w ojcowskiej czapce, w żołnierskich spodniach, z siekierą w ręku wilków we własnym ogrodzie się boisz! Meżna z ciebie wojaczka, nie ma co. Czyż nie chodzą ludzie samotni po lesie? Znasz, że kogo pożarły wilki? A cóż ty grzeszniejsza od innych, że tobą Bóg początek będzie robił?! —

Przeżegnała się, dostała zza pasa siekierę i poszła. Przebiegła chmyr, przesadziła płot i zawróciła granicą w lewo. Przed oczyma migwały ognie, w uszach trzeszczały gałęzie, jednak nie czuła by ją coś chwyciło. Starala się nie patrzeć w puszcze; głowę trzymała zwróconą w lewo na chmyr i pole. Powoli się oswajała i szła coraz śmieiej.

Tymczasem spotkała się niedługo z daleko większym niebezpieczeństwem. — Dojrzała w polu przed sobą cmentarz. Stał on najdalej 60 kroków od linii granicznej, która szła. Wiele razy dniem samusienka była na nim, wiele razy o zmierzchu szła przy nim i choćby co; teraz — włosy stawały dęba, uginały się nogi. Jak na złość, mknęły przez myśl wydarzenia o duchach, opowiadane kiedyś na wieczorkach, przed oczyma stawały postacie świeżo pogrzebanych nieboszczyków. Najwięcej tych z ubiegłej jesieni, pomarłych nie swoją śmiercią. Leżli natarczywie przed nią: Bułyńska z Chrapaczowa cała w sińcach i ranach, wykrzywione wargi Jasia Szuby z Michaliszek, rozbrzękła twarz Budakowskiego z Jam, zabitego, a potem wrzuconego do sadzawki, przerażone miny dzieci wymordowanej rodziny Hajdukiewiczów i wiele innych.

W miarę jak zbliżała się, coraz natarczywiej te trupy lazły, coraz większy ją strach ogarniał, coraz cieplej jej w kurtce było. Ale szła. Stawać, lub wracać, gorzej się bała. Wzrok wbiła przed siebie, w przetrzeń linii, słuchem łowiła najmniejszy szmer, duszyczkę niosła przed

stopy Matki Najświętszej, szepcząc "Pod Twoją obronę" — i biegła, nogami ziemi nie dotykała.

— Daj mi Boże żywą tylko stąd wyjść, — nie chcę widzieć żadnych obozów! — szeptała mijając cmentarz.

Przeleciała jeszcze ze stajanie i obejrzała się. — Cmentarz stał jak zwykle, — żaden nieboszczyk nie gnał. Odetchnęła z ulgą.

Okolę pole, przejdę na drogi i do domu — myślała. — I tak dokazałam — o północy między puszcza a mogiłkami byle różczyna nie przejdzie. — Chociaż jak już aż tu zaszłam, warto by podejść i zobaczyć, czy się nie mylę co do tych śladów...

Szła granicą rozmyślając, wciąż dalej. Teren niebawem pochylał się łagodnie w dół; las, zamiast leszczyny i grabu, mieszał się z jodłą; z lewej strony — pasmo chmyru coraz szerszało, pole oddalało się. Wreszcie pole zupełnie znikło, a chmyr zamienił się w młody, gęsty żerdziany las.

Była u mety. Stanęła odsapnąć, rozejrzeć się, posłuchać. Noc była jak i przedtem widna, ale cisze mącił od czasu do czasu lekki, niezdecydowany wietrzyk. Raz doniósł z puszczy skrzyp drzewa, potem ze Smolarni jakby pianie kogutów.

Ot, nic mi się nie stało, ani od zwierząt, ani od nieboszczyków. — Nie ma jak oddać się szczerze w Jej świętą opiekę. — W puszcze jednak nie pójdę; — rozgniewałaby się Mateńka za taką moją śmiałość i na ciągle wzywanie Jej na pomoc... Odpocznę chwile, a potem odnajdę te ślady i popilnuję przy nich, bo jeżeli — jak powiedziała Polka — mają zbierać się parę dni, więc może jeszcze nimi ktoś przechodzić. —

Pomyślała tak — i o mało nie zemdląła z przerażenia. — Niosło z puszczy chóralne wycie wilków: raz gdzieś daleka, a zaraz po nim o wiele bliższe.

— Wesele wilcze idzie! — przemknęło jej przez głowę. — Szpilki ją zakłuły w pięty, uda i plecy, — krew uderzyła karkiem gwałtownie do głowy. Jęła obracać się rozpaczliwie wkoło, szukać jakiegoś schronienia, ratunku.

Tuż przy granicy po smolarskiej stronie, nieco w tyle, dojrzała jodłę prawie aż do ziemi sękatą, a szczerlnie przy niej, wysoki, ścięty, brzoźowy pień. Susem tam skoczyła i znalazła się jak u Boga za plecami: mogła łatwo bronić się siekierą z pnia, mogła szybko wleźć w górę, gdyż sęki były tuż pod ręką gęste i mocne.

— Boska ręka w tym, nie ma co — stwierdziła.

Przyłożyła rękę do piersi, tłumiąc łopot serca i wsłuchiwała się. — W puszczy cisza, natomiast w gęstwinie żerdzianej — jakoby chrząkanie, jakoby szmer kroków. Zataiła oddech i jeszcze raz wsłuchiwała się. — Wyraźne stąpanie i szmer ocierania się odzieży o drzewa.

— Biedny człowiek!... W same stado wpadnie... Jeżeli sam — trzeba będzie ostrzec. Może ktoś znajomy.

Przywarła się szczerlnie do pnia, by nie być widoczną i wpatrzona w przestrzeń linii granicznej, czekała.

Za chwilę dojrzała sylwetkę rosnącego mężczyzny. Poszedł w puszcze. Za nim drugi, trzeci, czwarty, piąty. Kluczem szli jeden za drugim, stąpając w te same ślady.

Karusia obejmowała z całych sił i całowała pień z radości. Prze-

czekała parę minut, aż odejdą, potem zeskoczyła z pnia, wzięła siekiere za pas i puściła się za nimi ukradkiem.

Głucho było i groźnie w lesie. Z jednej strony kukanie sowy, lub zająca dochodziło, z drugiej żaloszny skrzyp drzewa pokutniczego, gdzieś indziej odzywało się jakoby kaszlanie ludzkie, jakoby poganianie wołów; raz zrywał się szum lasu niosący jakieś skomlenie, jakieś mruki złowieszcze, raz cisza zapadała grobowa jeszcze większą trwogą napawając.

Ścieżka prowadziła jak najdzikszyimi miejscami. Najpierw szła samym środkiem łągi szerokiego, później czarnolesiem zawalonym wykrociami i łomem nieprzebytym, a potem wąskim pasmem młodej jedliny wtłoczoną w błoto brzożowe.

Niebezpiecznie było, jednak wiedząc, że tu przed nią idą swoi ludzie z bronią, mniej się bała, niż przed cmentarzem. Nie chcąc być widziana, trzymała się od nich jak najdalej i często zupełnie traciła ich z oczu. Tylko gdy czasami drzewo jakieś żaloszne zaskrzypiało, albo dojrzała jakąś wykróć mocno podejrzaną — wtedy podbiegała bliżej, by przekonać się o obecności ludzi.

Męczyła się okropnie. Pot obfito spływał po licach, bielizna przystawała do ciała.

Po blisko półtora-godzinnym marszu, naraz powtórzyło się wycie. W jednej i drugiej stronie i to — gdzieś bardzo blisko.

Przerazona, rzuciła się w pogoń za prowadzącymi ją ludźmi, ze stanowczym zamiarem połączenia się z nimi — ale zaraz wbiła się w gęstą jedlinę i straciła ślad. Ani przeleźć ani dojrzeć. Przecisnęła się parę kroków, osłaniając ręką przed gałęziami oczy i zrozpaczona postanowiła wołać o ratunek. Już rozwarła nawet usta — a tu jej jak huknie głos nad uchem: — Stój!!

Aż podskoczyła z przerażenia i radości.

— Jak mnie pan przestraszył! — zawołała ochłonawszy nieco, plując na odegnanie choroby trzykrotnie.

— Przestraszyłem? — Hasło? — zagrzmiął surowy głos.

— Co takiego, panie? — nie rozumiała.

— Hasło, mówię! — powtórzył.

— Nawet nie wiem, co to jest takiego.

— Nawet nie wiesz... Postąp pięć kroków w prawo w to swobodniejsze miejsce. A nie próbuj uciekać, bo przebiję bagnietem na wylot!

Uczyniła jak rozkazał.

— Masz jakąś broń?

— Tylko siekiere. Masz ją pan — wręczyła.

Człowiek przyjął siekiere, potem przyłożył do ust jakiś przedmiot i zawył po wilczemu.

Karusia aż za brzuch się wzięła ze śmiechu.

— Ażeby pana kaczki, ażeby! Jak to pan umie zawodzić! A ja myślałam, że to naprawdę wilki. Tyle się nastrachałam! Mądrze, mądrze, panowie wymyśliłi.

— Milcz! — krzyknął zniecierpliwiony człowiek, nie wychodząc z gęstwiny.

— Przepraszam, przepraszam. Głupia dziew... Głupi chłopiec... Pan zamyślny o wojnie, a ja śmieję się. Przepraszam.

A dużo już zebrało się? ... Prędko wojować zaczniecie?

— Jak widzę, to chcesz, bym podszedł i w mordę ci zajechał. Milcz!!

Z gęstwiny wynurzyło się trzech ludzi w wojskowym ubraniu: jeden stary z brodą, dwóch bez zarostu, z karabinami.

— Biegł za tamtymi. Nie zna hasła, — zaraportował człowiek, który ją zatrzymał, brodatemu.

— Coż za jeden? — zaczął brodaty do Karusi.

— Ja ... Ja ... — jąkała się nie przygotowana na takie pytanie. — Ja zza Wończy.

— Czyj?!

— Ja ... Mientaszki.

— Syn?

— Nie, parobek.

— Chcesz łącać, smarkaczu! Uciekłeś z domu ...

Odprowadź do komendanta! — rozkazał towarzyszom i odszedł.

Jeden nacisnął jej czapkę, drugi przewiązał mocno szalikiem pozabiając wzroku i słuchu, potem podali w dłoń rzemień i poprowadzili.

Długo szli równym terenem, ocierając się o jedlane gałęzie, potem uczuła pod nogami gwałtowną pochyłość.

— Może prowadzą mnie topić? — mignęło jej w głowie.

Postanowiła ostrzec .

— Niech panowie nie robią ze mną coś złego, — powiedziała. — Ja wśród was mam krewnych ... Ja mam brata. Ja nie żaden szpieg i bolszewik. ....

— A któż twym bratem?

— Mam, brata, mam.

— Ale kto?

— Nie panów interes badać, — prowadźcie gdzie wam kazano.

— Patrzajcie go świnopas! Jak nie powiesz, to utopimy. —

Zrozumiała, że żartują, gdyż teren pod nogami zaczął się szybko podnosić.

Niedługo stanęli i zdjęli jej opaskę. Uderzyło w oczy oślepiające światło. Byli na pagórkowatej, okrągłej, półstajaniowej średniej polanie. W środku palił się olbrzymi jasny ogień, a przy nim siedziało wkoło kilkadziesiąt prawdziwych legionistów. Niektórzy z nich piekli na roznach słoniny, drudzy na wygarniętym z ognia żarze grzali czajniki i pili herbatę, inni paląc tytoń gwarzyli. Karabiny mieli opodal ustawione w kozły. Gwar i wesołość od nich biła jak na wieczorkach.

Dalej, w prawo pod samym lasem, widniały rzędem, cztery niskie, bezdasze zręby, podobne do tych co parzą jesiona na koła. Pokrycie ich z wierzchu naturalną warstwą śniegu i wystające zeń badyle, świadczyły, że to były budynki stare. Przechadzał się przed nimi legionista z najeżonym bagnetem.

Za ogniem, na przeciwległej stronie, też pod samym lasem, stało sześć szałasów; miały one kształt olbrzymich mrowisk, albo kartoflanych kopców, a pokryte były jedlanymi łapkami. Z niektórych, przez górny otwór wydobywały się dymy. Z lewej strony stał jeszcze jeden szałas, ale ten miał podobieństwo do chatki. Od razu można było poznać, że to

budynek urzędniczy, gdyż na szczycie powiewały polskie chorągwie, wejścia zaś strzegło dwóch legionistów z bronią.

Serce Karusine zatrzepotało radością na widok tylu prawdziwych żołnierzy, jednak gdy przebiegła po nich wzrokiem, to ani Kościka, ani kogokolwiek ze smolarskich chłopców nie znalazła.

Prowadzono ją prosto do owej chatki z chorągwiami. Przy wejściu jeden z konwoju zaklaskał w dłonie. — Uchyliły się rohożane drzwi i wyszedł legionista — młodziutki, maleńki, zgrabny. Zdało się Karusi, że widziała go we Wończy służącego, podczas biskupiej wizyty, dziekanowi do mszy. Zdziwiła się, że takiego młokosa obrano starszym. Pewnie bardzo uczony — pomyślała.

— Nie znał hasła i łąg, — panie pisarzu. — Starszy kazał odstawić do komendantury — zaraportował konwojowy.

Mały żołnierz przyjrzał się Karusi i poleciwszy zaczekać, znowu skrył się za rohożanymi drzwiami.

— Więc to jeszcze nie komendant? — pytała żołnierzy.

— Czemu nie, — chciałbyś. A któżby takiego młodzika słuchał?! Oho, komendant! — Wąsy ma aż po uszy, a brodę — po kolana. On ci da za włóczenie się, gdzie nie potrzeba i kłamstwo, że ty dziesiątemu zakążesz!

Karusię naprawdę lek ogarniał przed jego komendancką mością. Gdy szła, myślała, że znajdzie gromadę swoich uprzejmych, gościnnych chłopców, a wśród nich swego Kościka, któremu chciała zrobić niespodziankę, tymczasem wszyscy jacyś obcy, nawet brodaci, nieprzystępni, grubiańscy. Rozmyślając nad oczekującym ją badaniem u pana komendanta, postanowiła powołać się na Kościka. — Powiem, że on mój kolega ze szkoły i do niego szła. Niech go przywołają, a on — jeżeli nie trzeba, by mnie poznano — będzie wiedział co mówić. On mądrzejszy. —

Jakoż znowu wyszedł mały żołnierz i odprawiwszy konwój, wprowadził Karusie do środka.

Weszła — i osłupiała. Za stołem siedział pochylony nad arkuszem zapisanego papieru, Kościk.

— To ten chłopiec, panie komendantcie, — zameldował mały.

— Dobrze. Skądże ty chłopcze? — zaczął łagodnie, odrywając wzrok od pisma. Spojrzał — i zaczęła mu się ściągać brew, czoło marszczyć, — twarz przybierać wyraz chmurny, gniewny, — stał się groźnym, jak wówczas na weselu przed bójką.

— Kaziuka dawać! Dawać Kaziuka! — krzyczał do małego żołnierzyka — I bez meldowania mi nie wchodzić! — dodał.

— Co jest?!... Karusia! — zwrócił się nie swoim głosem do niej.

Uczuła się maluczką i winną wobec jego komendanckiej mości.

— Ty się gniewasz?! Kościczek złoty! — odezwała się doń takim głosem, że najgorszego kata mogłaby rozbroić, patrząc błagalnie i kuląc się i cofając bojaźliwie w kąt, niby pojmana, młoda dzika sarenka.

— Co jest?! Cała już Smolarnia wie o nas?!

— Nikt! Nikt, drogi, złoty, jedyny! Nikt nie wie. Ja sama tylko...

— Jakżeś dowiedziała się? Jak przysłaś?

— Wszystko ci, wszystko, opowiem! Jak na spowiedzi... Tylko się nie gniewaj. —

I zaczęła mu jednym zachłystującym się od pośpiechu ciągiem, opowiadać, jak pociągnęła Poleę za język, jak pojechała w bór po smolaki i w chojniku znalazła podejrzane ślady, jak wypożyczyła ubranie, jak nocą się wykradła, przeszła granica za pole, spotkała pięciu ludzi i z nimi aż do posterunku przyszła. Słuchał i dziwił się jej śmiałości — uszom wprost swoim nie wierzył.

— I nie bałaś się sama po nocy? —

— Troszeczkę... Przed mogiłkami...

Widząc, że się rozpogodził, postąpiła naprzód i mówiła śmiejąc.

— Prawda, że Niemców nie ma?... Będziecie się bili z bolszewikami? — Ciebie to obrali za komendanta?

— Dziś ja tu rządę...

— Wiedziałam, żeś ważniejszy od wszystkich.

— Cieszy cię to?

— Troszkę cieszy, a trochę i nie. Ciesze się, bo rozkazywał będziesz tym co cie gołym leśniczukiem nazywali, boś ważniejszy od nich, lecz znowu mogą cię przedzej zabić. —

Na dworzu zaklaskano. Kościk wyszedł zostawiając ją samą.

Rozglądała się. Małeńka była chatka, ale miła, jak w bajce, jak kiedyś wyśniła. — Ściany, dach, nawet posadzka — jedlane pachnące, zielenią. Drzwi i okno małe, zakryte rohożanymi pletniami. W środku na uwiązany za krokwie sznurku — lampa. Na ścianie po obu stronach drzwi dwie mapy: jedna, wielka, drukowana, Mińszczyzny z przylegającym do niej naddnieprzańskim kawałkiem ziemi mohylewskiej, druga mniejsza, nakreślona ołówkiem, puszczy i bliższych okolic. W jednym kącie dwa krótkie karabiny, w drugim żar na płaskim kamieniu. Stół na krzyżakach z brześcianym pokryciem, wkoło cztery — arszynowe kłódki do siedzenia. Na stole książka i dużo zapisanego papieru.

— Gdybym tak umiała lepiej pisać — ja zostałabym przy nim pisarzem — westchnęła. Pochyliła się nad wierzchnim arkuszem, by coś odczytać, ale wszedł Kościk.

W rękę niósł duży blaszany kubek z odwarem lipowego kwiatu, sownie osłodzonego miodem.

— Napij się ciepłego, boś zmęczona i gotowa się zaziębić, — mówił, stawiając kubek na stole. — Podstawił jej kłódkę, sam usiadł na drugiej.

— Pocieszy z ciebie chłopiec w tym ubraniu — lubował się. — Zdaje się, że tak zjadłbym ciebie z kopytkami!...

Pijżeż i mów, orliczka moja, co tam w Smolarni?

— Ach! żebyś ty wiedział, jaki lament powstał przedświtkiem! — Opowiedziała mu o płaczu bab, o smutku jednych, o radości drugich, o domysłach co do ich nieobecności, o uznaniu za rzekomą wczas ucieczkę przed bolszewikami.

— Wszyscy tak sądzą i chwają?

— Są co i gania. Dziadzio Piotrowski, to nawet i łaje: mówi, że nie uciekać, ale zebrać się i Bobrujsk w swe posiadanie zabrać trzeba.

— Tak mówi?! Zaczny to człowiek, rozumny i zdalny do takich rzeczy, — tylko, że języka nie umie trzymać za zębami. Dlatego, jemu dotychczas nic nie mówiliśmy. Kiedy przyjdzie, da Bóg, do rzeczy, to zabierzemy i jego i Józika i wszystkich, którzy tylko zdolni i zechcą.

— Józika zabierzecie? — Nie można bez niego obejść się? To fałszywy odradzała. Dotąd, oprócz siostry, nie przyznała się nikomu, że ją w czasie pamietnego wesela zniewazył czynnie, jednak zawsze czuła do niego nienawiść i gdy się dowiedziała, że go spośród siebie wyłączyli, rada była.

— Wiem, że fałszywy. Ale nam trzeba będzie dużo ludzi, więc nie można przebierać.

— Dużo już macie?

— Narazie mało, więcej stu, ale z tymi co Stach z Walkiem, którzy werbują po dalszych zaściankach, obiecali przysłać i tymi co będziemy mogli jeszcze zebrać wkoło siebie, zbierze się do trzystu.

— Tyle ludzi! — A ci co tu są to skąd?

— Jak to skąd? Ze Smolarni, Jam, Polanek, chutorów, są i zza Wończy.

— A czemuż ja nikogo nie poznałam?

— Nikogo nie poznałaś? A nie wiesz, że ten brodacz co kazał cię tu przysłać to Oleś?

— To Oleś Piotrowskich?

— A tego co tu stoi za drzwiami, też nie poznałaś? Nie wiesz, że pan Smarhaczewski?

— Ten bogacz? Ten jedynak, zadawaka?

— Niechaj sobie zadawaka, ale i patriota: prawie pierwszy ze swej okolicy się zgłosił.

— Tyle ludzi się zbierze! Tyle wojska będziesz miał!

— Jakie to wojsko. Pokusić się o władzę to trzeba co najmniej dziesięć razy po trzysta mieć. Nie wiadomo jeszcze co będzie. Zobaczysz się co tam Kazik dobrego w Bobrujsku się dowie.

— A on naprawdę do Bobrujska pojechał?

— Tak. On właściwie jest komendantem wszystkich tych ludzi, — ja tylko zastępuję go.

— Stary Kantyczka to się zbiedował, że go konia z wozem pozbawili. Wtem znowu zaklaskano na dworze.

Wyszedł i zaraz wrócił z listem w ręku.

— Jego wspominamy, a od niego list idzie, — mówił, rozrywając nerwowym ruchem kopertę. Ręce mu drżały jak w febrze, oczy paliły się gorączką. List brzmiał:

“Bobrujsk, południe.

Bracie! Miałem ci to samo napisać rano, ale czekałem, że może jeszcze czego się dowiem.

— Mrzonki... Grubsze śpieszy z wodą, drobniejsze — toczy każdy na swoją rękę, nosy w nory, albo wywraca tchórzliwie odzież.

Nie ma co i myśleć — tylko to co u nas... Trudno...

Polecam, co się zebrało rozpuścić i podwórko zmieść do ostatniego okrajka. A śpieszyć się, bo morze szybko prze fale...

Ja zobaczę, może jeszcze skoczę do Mińska. Dowidzenia”.

— Ot tobie i masz! — jęknął, osuwając się bezwładnie na kłódkę.

— Co takiego? Co się stało? Kościczek drogi! — pytała przerażona.

— Ot tobie wojsko! Ot tobie twoja praca, nadzieja, ot tobie wszystko!

— Kościk! Co się stało?

— Losie ty nasz parszywy! Czemuż to tak?!... Boże miły! Czemu tak robisz?!... Czemu płodzisz tą zakałę na naszą biedę?! Czemu nie wydusisz... Panicze cacane!... Snoby przekłete! — Wmiast porozumieć się z ludźmi, zbliżyć do nich, zjednoczyć, pouczyć, przygotować na wszelki wypadek, toście polowania dla szwabskich oficerów wyprawiali, biesiady, zażywali wywczasu, — teraz uciekacie tchórzliwie wraz z opiekunami. Żeby was ręka bolszewicka dosięgła tam, gdzie się schowacie i wyrznęła, wydusiła z korzeniem, z nasieniem. Boże miły! Czemu Ty tak niemądrze rządysz!

— Opamiętaj się, Kościk, nie kluj i nie bluźnij przeciwko Bogu — wzięła się go uspakając, przeczytawszy w międzyczasie list. — Nie kluj i nie bluźnij, bo ściągniesz gniew Boży. Nie masz jeszcze powodu do rozpacy. Nie tu — jak to mówią — Polska się zaczyna i nie tu kończy. Wielka ona jest. Znajdą się kraje, gdzie wszyscy jednako tęsknią za Nią, gdzie wiele jest takich "Si!" jak u nas, — tam rozpocznie się zebranie. Ot zobaczysz, że znowu okaże się Dowbór, zbierze legiony, ułany i pójdzie z bolszewikami się bić; odbierze Warszawę, Kraków, Częstochowę, Wilno, Mińsk i do nas wreszcie przyjdzie. A ty tedy z Kazikiem zbierzesz znowu tych ludzi, odzienesz i poprowadzisz do niego, a nie wstąpisz, jak przedtem w ułany. Nie rozpaczaj!

— Nie wiesz, że tak sposobnego czasu przez półtora wieku nie było!

— A może to właśnie jest zły czas?! Może Bóg chce dać lepszy. Może widzi, że nie wszyscy jeszcze chcą tej Polski. Małoż było takich, choćby nawet i wśród naszych, co bolszewikom się radowali, co teraz się radują? Może jeszcze chce puścić bolszewików, ażeby wszyscy się przekonali, że to jest rozpusta, grzech, że to nie raj dla ludzi, ale męczarnia. Uspokój się!

Wsparł się łokciami o stół, ukrył głowę w dłoniach i zapadł w zadumę. Ona wpatrzyła się w jego ułańską, wyszarzałą czapkę, w ciemne, gęste wystające spod niej włosy, w barki i modliła się żarliwie bez słów...

Trwali tak, może kwadrans, może więcej, aż rozległo się za drzwiami ponowne klaskanie.

— I cóż ja siedzę! — rzekł, wstając pośpiesznie.

— Karusia, pójdiesz zaraz do domu! —

— Pójdę — odrzekła pokornie.

Zabrał do kieszeni list i wyszli.

Na polanie było ludniej i weselej niż przedtem. Rozgorzałe kłose suchopostoję osiny i olchy, buchały prawie sążniowym płomieniem, cicho, jasno i miło. Legioniści, na postaniu jedlanych łąpek i płaszczy, rznęli w kilka grup w karty, że aż trzeszczało. Kilku ludzi stało przy ogniu, w płaszczach i z karabinami w ręku, widocznie przygotowanych do służby. W pobliżu chatki stało kilkunastu ludzi świeżo przybyłych, odzianych przeważnie po cywilnemu ze zwykłymi strzelbami na plecach i tłumokami.

Kościk przyjął od swego pisarzyka meldunek, dał mu dłuższe zlecenie i podszedł do świeżo przybyłych.

— Cześć braciom! — pozdrowił.

— Czołem, panie komendancie! — odpowiedziano.

— No i jakże, dobrze przeprawiliście się? Nikt nie wiedział?

— Nikt. Nikt. Lasem aż z domu szliśmy.

— Dobrze. Idźcie do ognia i rozkładajcie się. Ja prędko do was wrócę. —

Kiwnął na Karusię i skierował się na prawą stronę ku lasowi gdzie już czekało grono żołnierzy tych, co przedtem stali z karabinami przy ogniu. Dojrawszy nadchodzącego Kościka, ruszyli w las. Kościk z Karusią szli za nimi.

— Gdyby nie ta Kazikowa nowość — zaczął gdy już znaleźli się w lesie — odprowadziłbym cię, aż do domu, a tak musisz iść sama. Lecz bać się nie będziesz. Pójdiesz za tymi ludźmi. To jest zmiana warty na ścieżkę, którą przysłaś. Ludzie ci nieznajomi; prowadzi ich starszy poczciwy człowiek. Ostatni posterunek stanie, aż naprzeciw naszych mogiłek, — stamtąd już nie ma żadnego strachu.

Oni z tobą rozmowy zaczynać nie będą i ty ich nie ruszaj.

— A ty kiedy przyjdiesz? Kiedy się zobaczymy?

— Kiedy? — Tego nie wiem. Wcześniej niż za tydzień to chyba nie.

Gąszcz był tak ciemny, że miejscami nie mogli jeden drugiego widzieć i Kościk, aby się nie płątała, prowadził ją za rękę. Znalazłszy się w miejscu, gdzie ją zatrzymała była straż, zatrzymali się i zaczęli żegnać.

— Idź już, orliczka moja, sama, bo mnie już trzeba wracać, — rzekł, przygarniając ją do piersi.

— Jak trzeba, to wracaj, — odrzekła, zarzucając mu ręce na szyję. — Wracaj i nie smuć się, nie rozpaczaj. Zobacysz, że wszystko na dobre zmieni się.

— Kto taką miłkę ma, to nawet na szubienicę idąc nie powinien się smuć. —

Ucałowali się ściskając czule i rozeszli.

Najdłużej w kwadrans na polanie zagrała trąbka alarmowa.

# **TOM TRZECI**



## ZMIANA CIEMIĘZCÓW

Kontrolując całą komunikację kraju, okupanci potrafili ukryć przed ludźmi swą klęskę na zachodnim froncie, aż do załadowania się na wozy. Tu jednego dnia rekwirując w pobliżu miasteczek zboże, chwaliли się, iż Francuzów już rozbili w pył, że za tydzień, za dwa, wyruszą za Dniepr po resztę Rosji — tu następnego ranka dowiadują się ludzie, iż rzekomi panowie świata uciekają co tchu na swoje śmiecie. Wyrывało szwabstwo z "ziemi obiecanej", że tylko pod nogami jęczało. Prawie w jedną godzinę wyruszyli ze wszystkich miasteczek przygranicznych, ze wszystkich stacji. Koleje wyły dniami i nocą hudkami parawozów, szosy grzmiały bezustanku taborem konnym. Zdumienie ludzi ogarniało, patrząc na niekończące się eszałony. — I skąd oni, nieczysta siła, tyle maszyn nabrali? gdzie tylu koni dohodowali się? — mawiano. — Gdyby dowiedzieli się o tym zawczasu, to by choć gadom za swe krzywdy szyny na kolejach rozebrali, choćby jakiś most zerwali, czy podpalili, albo nawet i kulami gdzieś z gęstwiny zebrałszy się gromadą sypnęli.

Jedną plagę przeżyli.

W ślad za Niemcami ciągnęły watachy drugich barbarzyńców. Bandy to raczej były partyzanckie nie wojsko, jednak i tych nie było komu zatrzymać. Ludność polska stanowiła mniejszość, a do tego nie była zorganizowana i miejscami przesiąknięta komunizmem. Siła stanowiła wyjątek i nie wiadomo czy na całej Białorusi wschodniej była druga jej podobna organizacja. Ziemiaństwo, byli urzędnicy, oficerowie i wszelaka inna inteligencja miejscowa, od której należałoby się spodziewać kroków celem zorganizowania obrony, albo uciekała z Niemcami na zachód, albo kryła się po miastach zamaskowana. Myśl o suwerenności państwowej Białorusi, jakkolwiek idea narodowościowa wówczas jeszcze na wsiach białoruskich nad Berezyną, wcale nie istniała i małaolna ludność uważała bolszewików za swych dobrodziejów. Żydzi jeszcze więcej sprzyjali czerwonym władcom. Pozostałe warstwy, wobec tchórzliwego stanowiska inteligencji i przyjaznego nastawienia wobec bolszewików proletariatu bały się nawet usta otworzyć.

Szli tedy "apostołowie wolności" za Niemcami bez żadnych przeszkód, obsadzali rychło przez swą załogę miasta, brali pod swą kontrolę koleje, ogłaszali się władcami, ustanawiali sowieckie rządy.

Ale pogromu Polaków, na wzór zeszłej zimy, lud białoruski już nie wszczywał. Obawiał się widocznie powrotu "białych". Rekwizycje rabunkowe władz, areszty, napady zbójcekie band prywatnych były na porządku dziennym, ale dotyczyły każdego zamożniejszego, albo podejrzanego przez kogokolwiek z proletariuszów o sprzyjanie "białym" bez względu na narodowość.

W dwa dni po wycieczce nocnej Karusi do puszczy, wrócili ku uciecie a zarazem i trwodze rodziców smolarscy chłopcy. Oprócz b. legionistów prawie wszyscy się zjawili. Na pytania co do trzydniowej nieobecności, odpowiadali jak jeden, iż rzeczywiście w obawie o karę za należenie do Siły wybrali się aby uciekać, jednak zobaczywszy po drodze,

że młodzież wszystkich zaścianków siedzi spokojnie po domach, ośmielili się i postanowili wrócić.

— Dobrze zrobiliście, że wrócili — pochwalił Jaś Ładan Władka Winiarskiego, spotkawszy go nazajutrz na ulicy. — Sowiecka władz' za samo należenie do kulturalnej organizacji karać nie będzie. Nikt was palcem nie ruszy. — O, już dla tamtych: dla Bolka waszego, dla Kazika, Norby, Walki i Wiktora bratanek mojego — dla tych już coś innego. Dla takich już nie będzie miejsca w Smolarni.

— Byłbyś ich wydał? — zapytał Władek.

— Ja? Myślisz że poza Smolarnią nikt nie wie kto z naszych gdzie był, kto komu służył? Szydła, bracie, w worku nie ukryjesz.

Przeszło następnych parę dni i wrócili wszyscy legionieści. Usposobienie mieli niewesołe, lecz bojaźni, że już w Smolarni dla nich nie będzie miejsca, nie zdradzał żaden. Rodzice ich natomiast zaniepokoiłi się. Zaraz po kolacji odbyli u Ściepury naradę, postanawiając nazajutrz wyruszyć do sąsiednich miasteczek, aby zbadać nastrój przyjaciół bolszewizmu i zwietrzyć zamiary władzy względem byłych uczestników wojska polskiego. Ułożyli sobie, że Ładan pójdzie do Wończy, Ściepuro do Kuncewicz, a Tryzno w kierunku Mogilniec.

Tymczasem wróciwszy z zebrania, Kantyczka dowiedział się od domowników, że Jaś bratanek dopiero przybył z Wończy. Poszedł doń natychmiast. Znalazł go w świetlicy czytającego gazety przywiezione z sobą.

— Prawda to, że wasz Wiktus wrócił? — zawołał do stryja pierwszy.

— Tak, dietki, wrócił. Co ty na to?

— Ryzykanci, nie ma co.

— Słyszałeś może co złego? Co tam w Wończy słychać?

— W Wończy wszystko bardzo dobrze. Ot pocieszcie się, że znowu nam przyznano własny sowiet. Pojutrze przyjedzie do Smolarni komisarz sam dla przeprowadzenia wyborów do Komitetu.

— Komisarz do nas?! Któż ci to mówił? Widziałeś może kogoś ze starszych?

— Widziałeś... Ja w posiedzeniu udział brałem.

— Byłeś na posiedzeniu? Ot dobrze! Powiedzże, dietki, co oni mówili o takich, jak mój Wiktus? —

Jaś uśmiechnął się szelmosko.

— Teraz już, to powiedz dietki, a gdy wam w zeszłym roku mówiłem, ażeby zabrali Wiktusia z legionów, to mnie sukinsynem nazwali.

— Ja ciebie?... Więc ty aż dotąd do mnie za to żal czujesz? Po mojemu niewielka w tym obraza; wszak jak ci rodnym stryjem jestem. Drugi, to nawet wstydziliby się wspominać taką drobnostkę, w czasie kiedy nad braciszkiem jego nieszczęście wisi. Mówże prędzej, co oni mówili a konto legionistów?

— Nic nie mówili, bo na to nie mieli czasu. Wiem jednak, że wrogom proletariatu w zęby patrzeć nie będą.

— Znaczy się źle. Poradźże co robić trzeba, ażeby chłopców uratować?

— Dziwię się wam. Oni z naszych żołnierzy kpiny stroją, prawie mi w oczy pluja, a wy chcecie żeby ja ich ratował. Pytam przed chwilą

Walke, gdzie przebywał przez te dni, a on mi na to: — W Bobrujsku. Myśleliśmy, że uda się odjąć Niemcom ła chy zagrabione nam wiosną, ale do miasta tyle już chamstwa bolszewickiego napchało, że ani przesyć.

— No i cóż w tym obraźliwego? To tylko fakt, że ciebie nadal mają za swojego.

— Mnie, partyjnego?

— Czy ty naprawdę do bolszewików należysz?

— Jakby dotąd nie słyszeliście o tym. — Słowo honoru, należy.

— Chrystusie! — zawołał Kantyczka, zrywając się z siedzenia. — Ładan bolszewikiem! Jezu! W naszej famillii bolszewik prawdziwy!

— Jeżeli to wam szkodzi, to wykasujcie mię ze swojej famillii. Moim familiantem będzie ten, kto przystąpi do naszej partii. Kto będzie trzymać z nami, włos mu w Smolarni z głowy nie spadnie, choćby to nawet legionista dawniejszy był.

— Choćby nas na szubienice brali, to ni ja, ni Wiktuś mój, ni Jaśka do heretyków się nie przyłączym.

— No to wracajcie na bohomole swoje, bo ja nie mam czasu z wami więcej gadać. —

Zgodnie z zapowiedzią Jasia, na trzeci dzień rano Piotrowski otrzymał rozkaz natychmiastowego zwołania zebrania, a w parę godzin później zjawił się komisarz ludowy gminny, w którym smolarzanie, ku swemu zdumieniu, poznali Żyda pracującego przedtem w młynie. Pomimo sprzeciwu rodziców, przyszli na zebranie prawie wszyscy legionieści.

— Towahryszczy khrestjanie! — zagaił komisarz. — Wot wy opiat' macie swobodę. Opiat' możecie rządzić się swoimi ludźmi, swoją gromadą. Przyjechałem do was przeprowadzić wybory. Stawiajcie kandydata na pedsiedatiela.

Zgłosili się do głosu Paweł Tryzno i Bronik Huszcza, ale Paweł zdążył zacząć pierwszy.

— Towaryszcz Sołowiejczyk. Nasza gromada zgodna jest zatwierdzić starego pedsiedatiela, Mieczysława Piotrowskiego.

— Wszyscy chcecie starego?

— Wszyscy, wszyscy! — potwierdziła gromada chórem.

— A wot nie wszyscy — zaprzeczył Bronik. — Wot ja, Józik Oleński, Pokłacki i Czudny, nie chcemy burżujskiego podliźnika. My chcemy Iwana Iwanowicza, który za roboczych ciągnie. ,

— Tak, my chcemy Iwana Iwanowicza — potwierdzili przyjaciele.

— Prawilno towahryszczy! — pochwalił komisarz. — Wybierajcie zaszczytnika raboczaha klasa. Iwana Iwanowicza wybierzcie. — Towahryszczy! — zwrócił się do gromady — kto z was nie chce na naszego człowieka głosować?

Smolarzanie spoglądali tylko po sobie, mrugając znacząco.

— Znaczy wszyscy chcecie — rzekł komisarz. — Dobrze. Iwan Iwanowicz. Wy od tej chwili jesteście pedsiedatielom smolarskiego sowietu.

“Nowoobraný” prezes zabrał głos.

— Towaryszczy! Ruskaja, Socjalistyczeskaja, Fiederatiwnaja, Sowiet-skaja, Respublika, daje nam wszelką wolność, broní nas przed burżuazją. więc obowiązkiem naszym jest pomagać jej. I to nie słowem, ale czynem.

Jeżeli dostaniemy jakiś rozkaz od wyższej władzy — powinniśmy go wykonać jak się należy; jeżeli dowiemy się, że jakiś kontrrewolucjonista buntuje się przeciwko naszej władzy — powinniśmy donieść o tym; jeżeli mamy u siebie jakieś dobro zapasowe — powinniśmy ofiarować je rządowi. Sowiecka Republika teraz znajduje się w ciężkim położeniu. Wszędzie wrogi, wszędzie niedostatek. Oto dowiadujemy się, że raboczyje wielkich miast z głodu umierają, a żołnierze krasnej armii chrapki kapuściane gryzą. Towaryszczy! Jeżeli my im teraz nie pomożem, to nam wstyd później będzie przed potomstwem. Ja wyliczyłem, że tylko sama Smolarnia ma 450 pudów żyta zbytecznego. Oddajmy to krasnej armii.

— Oddajmy! oddajmy! — powietrzyła sprzymierzona czwórka.

— Towaryszcz Sołowiejczyk! Przyjedźcie jutro z podwodami i zabierzcie naszą dla krasnej armii żertwę. —

Komisarz uściśnął serdecznie dłoń Jasiowi.

— Dziękuję wam, Iwan Iwanowicz! I wam też wszyscy towahryszczy. Sowiecka włas' potrafi ocenić waszą pomoc.

Piotrowski postanowił zaprotestować.

— Towaryszczy komisary, — rzekł. — Jeżeli chcecie nas grabić to nie strójdzie komedii, że my wam dobrowolnie dajemy. Po drugie w Smolarni ni 100 pudów nie ma zapasowego chleba. Dziwię się tobie, Jaśku, że ty ruski egament zdał, a tak głupio wyliczył. Ja żyta nie mam więcej, jak trzydzieści pudów, więc nie wiadomo jeszcze czy na moją rodzinę starczy.

— Znaczy się już schował! — krzyknął Jaś.

— Ja schował?! Żeby ciebie jutro na mogiłkach schowali, parszywiec! Czy ty zapomniał ile nam wzięli Niemcy?

— Towaryszcz Sołowiejczyk, weźcie jutro ze sobą silną ochronę, bo nasze kułaki gotowi jeszcze bunt podnieść.

Nazajutrz o świcie Sołowiejczyk przybył, stosownie do rady prezesa, z podwodami i milicją i zaczął grabić ludzi. Na nic się zdały protesty, perswazje, prośby, ani nawet lamenty kobiet. Gdzie nie znalazł, podanej przez Jasia ilości żyta, zabierał na to miejsce jęczmień, lub owies utrzymując, iż dany gospodarz resztę ukrył. Według zestawionego spisu, najwięcej ziarna chlebnego miały gospodarstwa legionistów i Piotrowskiego. Zdanowiczowi zapisał, ile w zniwo nie miał. Kazik nie wytrzymał.

— Słuchaj, Jasiu — rzekł odprowadzając go na bok. — Jak ty nie wstydiłeś się zapisywać trzydzieści pudów, jeżeli my nażęliśmy tylko 12-kóp?

— Jak to dwanaście? — krzyknął Jaś. — Wy przed wojną nażyna-  
liście 25-kóp.

— To przed wojną, kiedy wszystko było obsiane i dobrze zgnojone.

— To ja winien temu? Czemu nie gnoileś? Czemu nie obsiałeś?

— Bom w domu nie był.

— Aha, ty w domu nie był. A gdzieś ty był?

— Tureckie pytanie. — Nie wiesz żem w wojsku służył?

— A w jakim ty wojsku służył? W białym? Walczyłeś przeciwko bolszewikom, a teraz wzbranasz się dać na krasną armię parę osminek żyta! Chcesz bym zawiadomił o tym komisarza?! Chcesz pod ścienku?! — krzyczał podskakując z pięściami.

— Idź zawiadamiaj! — odrzekł mierząc się pięścią do ciosu. — Ale w tej chwili dopadła matka.

— Kaziczku! — zawołała chwytając syna za rękę. — Jaśku! Za co wy? Co się stało? Wyż drużaki dawniejsze! Wyż chorągwie razem nosili. Nie sprzeciwiaj się, Kaziu! Niechaj biorą. Bierzcie, Jaśku, jak trzeba dla krasnej armii. Bierzcie żytko, bierzcie jęczmień, hreczkę. Wszystko bierzcie jak trzeba, ale nie mów komisarzu, że Kazik w legionach służył! Zlituj się!

## II

### MIŁE MARZENIA

Kościk tydzień cały jeszcze mieszkał w swoim szałasie. Część zgromadzonych ludzi rozpuścił zaraz po otrzymaniu listu, część na drugi dzień, jednak że wciąż ciągnęli nowi, musiał na ścieżkach utrzymywać warty, aż wrócą werbunkowi. Kiedy wrócili, rozpuścił resztę, a sam przy pomocy Stacha przeniósł do starych kryjówek broń i ubranie, spalił szalasy i wtedy dopiero wrócił do ojca na leśniczówkę.

Z dowódcy batalionu znów został tylko zwykłym leśniczonkiem i to już ze słabą nadzieją w realizację swych dążeń.

Zniósł ten zawrotny skok tym łatwiej, że zostawała mu Karusieńka. — Śliczna, troskliwa, miła śmiała i rozumna. Była dla niego otuchą, podporą i iskrą do życia.

— Nie rozpaczaj Kościczek drogi... Ot zobaczysz, że Dowbór znów się okaże, zbierze legiony, pójdzie się bić, odbierze: Warszawę, Wilno, Mińsk i ty zbierzesz tych ludzi poprowadzisz do niego, a nie — wstąpisz w ulany i będziesz sobie wojował... — brzmiały cały tydzień jej słowa.

— A niech tylko się okaże i zbliży — to zaraz pójde myślał.

— I bić się bede co tchu, za Smolarzeńkę, za Karusię, za tą puszcę, za kraj nasz, za Polskę całą. Pierwszy pójde — ostatni wróce. Ot zobaczysz moja droga!

A da Bóg odbijemy wolność. — Polska wolną będzie, a ja żyw ostanę, to już chyba mi nie poskapią rąbka tego lasu na założenie dla mej Karusienki osiedla... Wykarczuję szybko, postawię śliczny budynek...

A jeżeli Bóg pokute za grzechy naszych ojców zechce przedłużyć, jeżeli ukarawszy moskiewskich ciemieźców plagą bolszewizmu, znowu nas w ręce ich odda, — znowu wrócą przedwojenne czasy — to jednak dam sobie radę. Nie mam ziemi, ale Bóg mi nie poskapił, zdrowia, siły, zręczności i ochoty do pracy. Roboty się zaczną — a las będą ciąć, więc pójde zimą akordową walić olchę, wiosną pogonię na Berezynę płyty, latem przy budowlach w Bobrujsku będę robił i zbiorę grosz — wezmę dzierzawę... Mam też przyjaciół — pomogą mi.

Odwiedziwszy ją przy pierwszej sposobności u Zdanowiczów, uczył jeszcze większą ochotę do życia. Patrzał w gorejące życiem jej oczęta, słuchał rozważnych, przepowiadających lepszą przyszłość słów i krew w nim burzyła się do czynu. Chciało mu się zaraz brać siekiere, iść do lasu, walić, karczować, budować.

Wracając o północy do domu, marzył i rysował w myśli swą przyszłą siedzibę.

Poproszę by mi dali ten pagóreczek starzynki, co przeciwko smolarzkiego Czubu, skąd będzie mogła widzieć rodzinny zaścianek. W starzynce pola dobrego z osiem dziesięcin będzie, a w okalającym ją łągu — gdy się wyrze rów, to i woda płynąca na płukanie bielizny się znajdzie i łączka co się zowie.

Budynki rozstawię szeroko — dziedziniec będę miał przestronny. Chata stanie przy tej kępie brzoź, którą umyślnie z całego lasu dla ozdoby pozostawię. Podmuruję ją wysoko kamieniami, jak u Piotrowskiego, ściany dam sosnowe, ciosane, pokryję gontą, okna wytnę widne i przystawię ozdobny ganeczek ze stopniami, z ławkami po bokach do siedzenia i kwiecistymi wycięciami przy daszku.

Świetlicę, to postaram się wyszykować książęcą. Sufit podbiję deskami, ściany wytynkuję jak w kamienicy, posadzke wyhebluję i do tego jeszcze wyściele... Czym wyściele? — Suknem? — Nie. Futrem? — Tak, futrem... Wilczym futrem... Caluską świetlicę wyściele wilczymi skórami...

Niechże chodzi moja królewna stópkami po ciepłym puszystym futrze lutego zwierza, co innym zwierzątkom i ludziom zło czynił, niechże słucha przez okno szelestu brzoźek i świergotu ptasząt, niechże patrzy na huśtające się różgi, na las, na — matczyną chatkę, żeby smętna nie była. Tak ja ci przygotowuję, mój aniele najśłodczy! —

Po całodziennym w domu rozmyślaniu, przyszedł do wniosku, że cokolwiek możnaby zacząć zaraz.

— Można, na przykład, zacząć z tymi skórami, albo nawet z gontą — myślał. — Tyle po lesie jedlanych wykroci, tyle lasu ścietego swawolnie przez chłopów leży, gnije nie przynosząc nikomu żadnej korzyści. A co będziemy robili zimą całą z ojcem? Z tym stróżowaniem (gajowi zarówno lasów państwowych jak i prywatnych, uznani byli na swych stanowiskach i przez bolszewików), to ojciec i sam nie ma co robić; ludzie lasem nasyceni. —

Następnego dnia, założył konia w kary, pojechał w las i wybrał najsmaglejszą jedlaną wykroć zwożąc ją do domu.

— Co mam bezczynnie siedzieć — powiedział ojcu — to lepiej nastrugam gonty. Gdy przyjdą lepsze czasy — sprzeda sie.

Popiłował z ojcem, pokłuił na kawałki i jął strugać. Robił gontę i uganiał się za wilkami.

Chytre to zwierzę, — trudno go podejść, lecz Kościk wyhodowany w lesie znał ich siedliska, ścieżki, tak umiał wabić, że nawet stare wilczyce oszukiwał. Rzucił ścierwo, czatował, wabił i jednego po drugim zabijał.

Uganiając się za wilkami, zastrzelił lisa i pomyślał, że warto by też Karusi i lisie futro sprawić. — Niech się dziwią! Niech wiedzą że to Kościkowa... Nie sprawi jej takiego ani matka, ani nie sprawiłby żaden z jej swatów.

Odtąd trafił zarówno wilki, jak i lisy, które powoli i stopniowo przenosiły się do Wasilewskiego na strych.

— Co ty kontrakt zrobił wygubić wilków? — pytał ojciec zajrzawszy na strych. — Po co oni tobie?

— Tatko nie wie jeszcze: wartniejsze oni od lisów.

Całą zimę, żeby on kiedy beczynnie posiedział, żeby godzinę daremnie zmarnował. Nie wiedział co to ncc, niepogoda, zmęczenie. Wstawszy o pianiu drugich kogutów, strugał do świtu gontę, potem biegł ze strzelbą do lasu, po południu zwoził na leśniczówkę drzewo, wieczorem znowu strugał, albo szedł na łowy. Bywało, na dworze ciemność, choć oko wykol, śnieżycą, zamieć, że — jak to mówią, dobry gospodarz psa z budy nie wypuści — a on po kolacji samiusienki przez puszcę sypie do Smolarni, siedzi na wieczorkach przy Karuśce, prawie aż do północy, potem nie wracając nawet do domu idzie w las na czaty wilków. Wróciwszy po całonocnej włóczędze czasami położy się na parę godzin, a niekiedy to tylko podje, przezuje się w suche parcianki — i znowu w las.

I był szczęśliwy w tej ciągłej gonitwie i pracy.

### III

#### POD TERROREM

Ciężkie czasy nastały dla smolarskich ludzi. Władze bolszewickie znalazły w Jasiu wytrawnego i gorliwego ajenta — bracia szpiega i mściciela okrutnego. Wyrzekł się krewnych, zapomniał o gospodarstwie. Zeszłej zimy to choć po drzewo do lasu jeździł, młócić ojcu pomagał — teraz choćby palec do roboty przyłożył. W dniu świąteczne chodził do Wończy na posiedzenia, w powszednie roznosił po swym rejonie afisze i rozporządzenia; uczył, węszył, agitował. — Kto ośmielił się przeciw jego agitacjom wystąpić, tego na listę szkodliwych kułaków wciągnął i karną rekwizycję na niego sprowadzał. Pod terrorem wszyscy żyli. Starców za nic miał. Nawet ojca rodzonego, który go zaczął upominać, durniem nazwał i zapowiedział, że gdy jego czynnościom będzie szkodził, to go się też nie zawaha przed władzą zaskarżyć.

Najokrutniej nad legionistami się mścił, czepiąc się do nich na każdym kroku, urągając i grożąc wydaniem. Ale nie wydawał, tak, jakby chciał nasycić się wprzódą trwogą swych ofiar, a może obawiał się zemsty członków Siły, widząc, że chociaż ta się rozwiązała, prawie wszyscy chłopcy trzymali się drużnie nadal gromady.

Jakoś między Świątami władze wezwały do rejestracji wojskowej trzy roczniki: 1898, 1899 i 1900. Tylko w samej Smolarni było 12 chłopców urodzonych w tych latach. Należeli do nich: Stach Bałaszewicz, Adol Bałaszewicz wychowanek Marcina przezywanego Karapuzym, Adaś Łapanosy, Zygmunt Piotrowski, Jaś Kantyczka młodszy brat Wiktora legionisty, Wicik Dudar, Władek i Potruś Winiarscy, Romek Oleński, Franek Tryzno młodszy od Walki, i Florek z Ignasim ich bratanki. W okolicy dwa razy tyle było.

Jaś zwołał wszystkich do siebie, obwieścił rozporządzenie i oświadczył od siebie, że na winnych uchylecia się od rejestracji sprowadzi karną ekspedycję.

Nie mieli chłopcy rady; zadośćuczynili wezwaniu i czekali z rezygnacją poboru, który rzekomo miał nastąpić w kwietniu.

Tymczasem któregoś dnia, w poście, Jaś znowu zwołał rekrutów do siebie.

— Wot, chłopcy, — rzekł. — Radosną wieść wam przyniosłem z Komitetu. Towarzysz wojenny komisarz Trockij zarządził ćwiczyć rekrutów w ich wioskach. W Smolarni będziecie się ćwiczyć! Cieszcie się — ja wasz instruktor. —

Chłopcy na taką "radość" aż zębami zagryzali. — Szczęście komuniście służyło w naigrywaniu się nad braćmi.

## VI

### NIE DADZA SIĘ WODZIĆ ZA NOS

I znowu ludzie doczekali się wiosny. Ale jakże odmiennie od tamtej dowborowej. — Wrogie rządu, niepewność życia i swej pracy, smutek — i głód. Gość niebываły od założenia Smolarni. Przyczyniły się do tego sprowadzone mściwą ręką Jasia dwie rekwizycje: jedna ziarna, druga paszy. Po pierwszej mniej pokrzywdzeni podzielili się po bratersku swym ziarnem z resztą i już byłiby jakoś do nowego zbioru dociągnęli; ale gdy zabrano siano, tedy kto troszczył się o swe bydłatka, musiał, aby okrasić słomę, odejmować sobie od ust. Jarowego co kto miał rzucał prędzej na rolę, by choć przyszły rok zapewnić. Wielu kartofle pochowane jesienią w jamy pogniły i nie mogli nawet skutecznić zasiewu jak się należy. Zamorzona zimą chudoba grzęzła w łęgach, długo nie odpasła się i nie dawała mleka. Przy tym wiele sztuk powalił księgosusz, wiele utonęło w bagnach.

Nie był to głód, jak gdzieś na przykład — w długo obłożonym mieście lub twierdzy, gdzie ludzie umierają, bo to w lesie żyli i chwalić Bogu wiosny doczekali — jednak prawie każdy smolarzanin w mniejszej, lub większej mierze go odczuwał i kawałek chleba, który ujrzał, albo którego skosztował, tak mu smakował i pachniał, jak wielkanocne ciasto. Komu zakradła się garść żytniej czy owsianej mąki, gotował choć raz na dzień bieloną zacierkę, kto "lebiodki" zbierał, albo szczawie zajęcze i gotował z tego strawę przyprawiając skwareczkami; jeden rybę łapał, drugi polował, inny zabijał na pokrzepienie się jagnię, lub cielę. Dzieci, bawiąc się po lesie, odgrzebywały z liści zeszloroczne orzechy. Najgorzej, że soli nie było; z zagranicy, wobec wrzenia w kraju, nie nadchodziła, a co było w sklepach, Żydzi aby wyzyskać ludzi pochowali. Bez niej puchli ludzie i słabli.

Jaś, za pośrednictwem swych nielicznych przyjaciół radził głodującym, by zwrócili się do gminnego sowietu o zasiłek, z którego sam korzystał, lecz smolarzanie nie chcieli.

— Nasze niech jedzą na zdrowie — mówili — ale my cudzego nie chcemy i o jałmużnę nikogo nie będziemy prosili.

Jeszcze nie pomrzemy z takiego głodu. Zawsze tak nie będzie: doczekamy chleba, doczekamy — sprawiedliwości.

A właśnie, że już bieliło się w utęsknionej stronie niebo i wiał stamtąd ciepły, błogosławiony wietrzyk nadziei; szeptał na ucho słowa

miłosne, przelewa w żyły lek czarodziejski, który nie bacząc na biedę i zawartość żołądka, kazał radować się. — Polska opdejnowała się, powstawała.

Wiadomości z zachodniego frontu były skąpe, nieścisle a co więcej, kłamliwe na rzecz "krasnej armii" ale już sam fakt o toczących się z Polską walkach napawał radością. Zupełnie nie można było zataić "szydła w worku" podawane w gazetach komunikaty o "zwycięskich" bitwach z "białymi", w coraz to bliższych miejscowościach, jasno wskazywały że gwiazda przyświeca polskiemu wojsku.

— Jak widać to z nowym chlebem, i nowych łaskawszych rządów się doczekamy — mówili smolarzanie.

Braterstwo i miłość między ludźmi się znalazła, jakiej nigdy nie było; czy w święto na ulicy, czy w dzień roboczy w polu od pługa, od brony schodzili się do kupy, wypytywali troskliwie o zdrowie, o zawartość żołądka, wałkowali bezustanku komunikaty i różne wieści z frontu. Niektórzy przykładali uszy szczelnie do ziemi, wsłuchiwali się w nią i mówili, że słyszą grzmoty armatnie, śpiew do Bogarodzicy idącej do ataku polskiej piechoty, huraganowe tętno kopyt, łopot chorągiewek szarżujących ułanów i rozpaczliwy krzyk uciekających czubaryków.

Ale nie chciało się temu wierzyć, bo bitwy wówczas toczyły się o kilkaset wiorst.

— — — — —  
Na Zielone Świątki Karusia miała straszny sen. — Śniło się jej, że szalała nad Smolarnią burza i wyrzuciła u Zdanowiczów na dziedzińcu choję, przygniatając pnem Kazikową matkę. Starala się ją stamtąd wydobyć, wzywała na pomoc ludzi i obudziła się.

— Coś ma być złego — pomyślała. — Postanowiła nikomu nie mówić. Rozmyślając nad snem, znowu zasnęła.

Obudziło ją wesołe wołanie matki, która odchodziła do Wończy do spowiedzi.

— Karusia! Wstawaj! Dziady będziecie dziś mieli — mówiła.

— Co takiego?

— Dziady będziemy mieli.

— Jakie dziady?

— Kazik przywiózł od swej ciotki Kozłowskiej kartofli, mąki, soli; dla was też użyczył.

— Dużo?

— Dał nam wór kartofli, dwa pudy mąki i wielki blaszany kubek soli. Mówi, że to za twoje im pomaganie. Oddamy im potem.

— Aż tyle!

— Wstawaj! Natarkujesz kartofli i napieczesz blinów.

— Chyba ołatek?

Niech sobie ołatek. Tylko cieniuśko obierać! Albo wcale, wystarczy wypluć. Jemu ukrąsz skwarek, sobie z Janią zrobisz krochmalo-mlecznej maczanki. Idźże już, co on mówi, że go mdłości z głodu bierą. Ja już odchodzę. — Wyszła.

— Ciotka Kozłowska... Gdybyś ty znalazła to ciotka?... — mówiła do siebie Karusia. — Biedny, — może sobie od ust, albo braciom odjął...

Ty go do chaty nie chcesz wpuścić... A może by jej tak powiedzieć?... Może by przed spowiedzią się odpuściła?...

Ale dosłyszała już trzaśnięcia furtki na ulicy.

Przeciągnęła się wygodnie i wsparłszy głowę na łokciu jęła lubować się majowym upiększeniem świetlicy.

Bóg w niej mieszkał. — Posadzka wyszorowana, czyściuśka, ani pyłka. "Hruba" świeżo pobielana — jak śnieg. U góry baldachim gęsto nawtykanych pod belki klonowych gałązek. Ściany w jarzębinie, brzoźkach, obrazy w kwiecistych wieńcach, na kanapach i oknach wazony, na stole obok Męki Pańskiej lanaj w żelazie, dwa bukiety leśnych kwiatuśków. Przez górną szybę prawego okna od ulicy wdzierało się wąskie pasemko słońca i głaśkało na stole bolejącą główkę Jezusika, a przez cdemkniętą w tymże oknie furtkę, niósł z bżów poranny śpiew ptasząt. W oknach od dziedzińca, widniał sad klonów, brzoźek, jarzębin, jakimi zwykle w tych stronach w wilię Zielonych Świątek obsadzano podwórka i ulice.

— Mój Boże! — westchnęła. — Żeby to on mógł przyjść, posiedzieć tu, — zobaczyć tą całą moją pracę... Wszystko przez tą upartą mamę...

— Karusia! Ha Karusia! — rozległ się za drzwiami głos ojca.

— A czemuż ty nie idziesz! Idźże! Ja już i drzew do pieca nałożyłem. Wstała, ubrała się pośpiesznie i wyszła do drugiej izby.

W godzinę potem piekła ołatki, a ojciec z Janią, która już zdążyła wrócić z końmi, schwytywali gorące wprost z patelni.

— Ot żyto! ot kartofle! ot ołatki! — chwaliła Jania.

— Taką ciotkę mieć, to ja rozumiem — mówił ojciec. — Daj Bóg jej zdrowie!

— Gdy doczekamy nowych kartofli i żyta, codziennie będziemy piekli ołatki — rzekła Jania.

— Ale kiedy to będzie? — zauważyła Karusia. — Osiem tygodni trzeba jeszcze czekać, gdy zaczną kłosować. Mówią tak: dwa kłosuje, dwa krasuje, dwa nalewa, dwa dojrzewa.

— Musimy dostać nasion tam spod Mohilewa od tej Kozłowskiej — zaproponowała Jania.

— A to czemu? — spytał ojciec.

— Bo tam wszystko smaczniejsze i bujniejsze rośnie.

— Zdaje się nam, że smaczniejsze, bośmy głodni.

— Głodni to prawda, ale dziadzio Piotrowski mówi, że tam pod Mohilowem też i inśze wszystko: kłosem żytnim, mówił, człowieka zabić można, kartofle takie, że jednym cały kosz się napełnia, a harbuzy w ogrodzie rosną!... Parą koni jednego tylko wiozą. Takie tam wszystko.

— Taka już duża dziewczyna, a głupia.

— Kiedyż przestaniecie gorące chwytać! — zaprotestowała w końcu Karusia, widząc, że z siedmiu patelni, jakie już zrzuciła, leżały na obrusie tylko dwa ołatki.

— Krowy wnet będą wracać, a ty dopiero zaczynasz — zwróciła jej uwagę Jania. — Jeszcze krzyczy... Nie mogłaś to wcześniej wstać?...

— Do chłopców ci pewnie pilno? Karapuzy czeka?

— Nikt nie czeka; na uczenie idą.

— Dziś na ćwiczenie?!

— Gdyśmy z końmi wracali, tabun już cały koło kołowrotu stał.

— Toż dziś święto, prawie takie, jak Wielkanoc?

— I chłopcy tak mówią. Ale on mówi, że sowiet większego posłuchu wymaga w święto niż w dzień powszedni. Mówi, nie pójść w święto, to oznacza, że się idzie przeciwko sowietu, gdyż on wypowiedział Panu Bogu wojnę.

— I ziemia nie rozstąpi się przed takimi!

— Umyślnie wczoraj chodził po chatach i zapowiadał uczenie, ażeby któryś nie wymknął się do kościoła.

Ostatni tydzień się uczą, już pójda na wojnę — dodała po chwili.

— Już na wojnę?! I pójda? Przeciwko swoim?

— Ja tam nie wiem jak kto; Karapuzы to nie pójdzie. Bo i jakoś tylko co nie widać legionistów. Już wiele kto przyłożywszy ucho do ziemi słyszał jak wojują . . .

— Żeby jak najprędzej. Matko Najświętsza!

Po obiedzie, Jania pobiegła na zaścianek, a Karusia zagnawszy do obory krowy wyszła na gumnisko po cielęta. Znalazła tam Kościka. Siedział za ich gumnem na wysokim stosie belek, czytał "Krasnoarmiejca" i od czasu do czasu spoglądał na mustrujących się w polu rekrutów.

— Dzień dobry, pastuszek! — ozwał się wychylając głowę zza węgła, gdy Karusia schyliła się za powrozem.

Obróciła się radośnie i poszła ku niemu.

— Dzień dobry, pani Kozłowska — powiedziała zbliżywszy się.

— Pocóż nawłóki tyle tego dobra! — strofowała go.

— Za dużo? Zzieleniałaś już bez chleba.

— Więc przez to masz morzyć siebie i swą rodzinę? Ukradłeś pewnie ojcu?

— Nie zgrzeszyłbym gdybym i skradł; u nas głodu nie znają. Ale nie kradł: kupilem. Kartofle u ojca, zaś mąkę i sól u spekulanta.

— Miałaś złote pieniądze?

— Za kunia skórkę.

— Za jedną skórkę?

— Chyba nie wiesz co ona warta? Przed wojną byłoby za nią 20 pudów mąki i 5 pudów soli; — teraz 4 mąki i 5 funtów soli.

— Taka droga! Ale udało ci się ją pochwytać?

Świerzbiał go język, żeby pochwalić się ile ma u siebie na strychu tych skór, lecz się powstrzymał, by zrobić jej niespodziankę innym razem.

— Chciałem powiedzieć matce, że to wszystko ty przyniosł.

— Nie mów broń Boże! Nie miałem na myśli kupować jej sympatii.

— Nie będę.

Odprowadziła cielęta. potem znowu wróciła i wlaźła do niego na kupę belek.

— Co pisze w gazecie?

— E, piszą, że zwyciężają, ale walki odbywają się wciąż bliżej ku nam i z tego widać, że się tylko chwala.

Rozłożył gazetę i przeczytał jej na głos sprawozdawczy artykuł o przebiegu walk na zachodnim froncie.

— Kto to taki "gromoodwod Piłsudski"? — pytała, słysząc wciąż te wyrazy. —

— Głównodowodzący polskich wojsk.  
— Więc po bolszewicku oznacza gromoodwod?  
— Nie, bolszewicy go tak nazywają przez złośliwość, że ich bije.  
— A o Dowborze wcale nie słyhać?  
— Nie spotykałem nigdy w gazecie, musi jednak przy Piłsudskim być.

— Lepiej żeby był, bo ten Piłsudski może wcale i nie wiedzieć, że my tu jesteśmy. —

Przerwali i spojrzeli oboje za brzeźniczek na pole skąd zagrzmiała słodka pieśń:

Wo ku, wo kuż—ni—ce. Wo ku, wo kuż—ni—ce.

Wo kuż—ni—ce mo—ło—dl—je kuż—nie—cy . . .

— Zawsze ta kuźnica. — Czy innej dla żołnierzy ruskiej piosenki nie ma, że dzień w dzień, już kilka miesięcy to kują? — zapytała.

— Czemu nie, są; ale chłopcy żądają, by im Jaś zaciągnął, a on innej nie potrafi.

— W takie święto! i to jeszcze przed zaścianek by ludzie się dziwili, że to on wodzi. Patrzaj jak wszędzie po płotach ciekawi obsiedli i gapią się. —

— Na takie ćwiczenie i potrzeba większego placu.

— Tak? Myślę, że ty byś też, jak on potrafił?

— Potrafię. Obserwuję od początku; zna musztrę — ale widać, że mało zna wojnę. Zwyciężyłbym go z mniejszą siłą.

— Tobie i Kazikowi należy się komenda nad tymi ludźmi; to nie bolszewicy.

— Da Bóg, że to ostatni raz on ich na ćwiczenie wodzi!

— A patrzaj ile ich dziś jest! Raz, dwa, trzy, cztery . . . jedenaście czwórek! Tyle nigdy nie było. Skąd to się nabrało?

— Są tu chłopcy i z Uberezia.

— Z Uberezia?! Ruscy z naszymi?!

— Nie wszyscy: z tamtego końca się przyjaźnią z nami.

— Mają oni własnego instruktora, który jednak dawno wszystkiego zaniechał. Ci przyszli do naszych na ochotnika.

— Co, już wołają na wojnę? Nie wiesz, nasi pójdą?

— A któżby tam poszedł. —

Oddział na komendę pieśń urwał, stanął, potem rozproszył się w długą tyralierkę i padł na ziemię.

— Tak mają czynić, gdyby zauważyli nieprzyjaciela — objaśnił jej.

Linia pojedynczym i krótkim przebieganiem ludzi posuwała naprzód to lewe, to prawe skrzydło, wiła się jak wąż, to kurczyła i wydłużała, jak pijawka, przybierała formę półksiężyca to klinu, to prostowała w strunę. Przed chojnikiem, ściągnęła się w gęsty szereg, powstała i z kołami w rękę i krzykiem hura; rzuciła się do ataku.

— No, a jakby cię teraz z tego mchu kropnęli, co byś robił? — rzekł Kościk jakby do siebie.

— Nie wiem jakby tam było, gdybym prawdziwą wojnę ujrzała, ale z tego ćwiczenia wcale mi nie wydaje się straszna. A może, że to w rękę mają drągi, a nie karabiny i że nie strzelają?

— Bo też i nie straszna. Czasami tylko — gdy się słyszy jęk rannych — dreszcz troszkę przechodzi.

— Gdy doczekamy się legionów i ty znowu wstąpisz w ulany, przyjadę do ciebie zobaczyć jak naprawdę wojują.

— Ażeby jeszcze na nieszczęście zabili.

— Nie będę ciebie odstępowała, jakżeż zabiją?

— Dziecino! Cóżem stałowy? Choćbym do kaburu się schował, to też nie zapewnię bezpieczeństwa. Mogą zabić ciebie i mnie.

— To i dobrze! Chciałabym wspólnej śmierci. Bez ciebie świat byłby mi niemiły. —

Obejrzał się czy nie śledzą czyjeś oczy, potem zarzucił ramię i przyhołubił, jak ongiś w lesie.

— Pókim żyw, nie pozwolę nikomu palcem cię tknąć! —

Przytuleni do siebie patrzyli dalej na rekrutów, którzy po krótkiej pauzie, sformowali się w kolumnę i maszerowali w stronę zaścianka. Jaś zabiegał z boku, podawał komendę i równał zadowolony.

— Śpiewać! — zakomenderował, gdy wyszli na drożynę.

— W odpowiedzi — zabeczały owce, zapiąły koguty.

Przeglądając się temu z brzeźniku dzieci wybuchnęły śmiechem.

Kościk z Karusią również nie wytrzymali.

— W riadach nie chczo sztok! — gniewał się Jaś. — Smirno!

Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Poj!

Znowu odpowiedział chór bydłychych i ptasich głosów, w którym już było i kukanie i gwizd słowika, rzenie koni i ryk wołów.

Dzieci kładły się od śmiechu. Zbiegały się ze wszech stron.

— Co, buntują się?! Żle będzie . . . — mówiła Karusia drząc cała.

— A czego się boisz? Wojaczka.

Zeskoczyli z kupy belek i poszli zagumienną drożyną, wraz z resztą osób przyglądających się ćwiczeniom rekrutów za Bałaszewiczową skrajną siedzibą, skąd otwierał się na pole lepszy widok.

Jaś się złościł.

— Ja was nauczę kpin! Do zmroku będę ganiał! Rozumiecie?!

Smirno! Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Poj!

Wo ku, wo ku—ni—ce. Wo ku, wo ku—ni—ce — zaciągnął sam.

W szeregach minutę, dwie, trwało milczenie, a potem naraz z 44 piersi gruchnęło:

Naprzód drużyno smolarska,  
Sztandar do góry swój wzniesł,  
Żadna nas siła sowiecka  
Zniszczyć nie zdoła ni zgnieść.

Jaś osłupiał na chwilę: stał i nie wierzył swym uszom. Ale potem wy dobył rewolwer, zbiegł z przodu i mierząc nim, usiłował swój oddział powstrzymać.

— Stój! — krzyczał. — W imię sowieckiej władzy, rozkazuję stój!  
Strzelać będę!

Broń mu wyleciała z ręki, a za nią i sam się potoczył.

Pieśń tymczasem nie ustawała.

Choć przyjdzie zginąć nam z głodu,  
Czy w tundrach Sybiru nam zgnieć,

— Z trudu naszego i znoju  
Polska powstanie by żyć.

— Wiec bunt! — krzyczał Jaś idąc z tyłu. — Toście się zdradzili!  
Was kontrrewolucjoniści tego nauczyli! Ataman nauczył. Opamiętajcie  
się póki czas! Karatielnyj otriad przyjdzie i wszystkich was wyłowi, wy-  
strzela! Smolarnię spali! Opamiętajcie się! Stój! Smirno!

Oddział maszerował i pieśń grzmiała bez ustanku. Po Drużynie  
następowała specjalnie dla Jasia przygotowana:

Nie drzyj się Jasiu na próżno,  
Minał już władzy twej czas;  
Młodzież oświadcza ci drużnie;  
Nikt nie usłucha cię z nas.

Zbrzydły nam twoje wykłady,  
Zbrzydził nam komendy twej głos.  
Nikt z nas nie pójdzie w twe ślady  
I nie da się wodzić za nos.

Z Polski my Dziadka czekamy.  
Przed Nim skłonimy swą skroń,  
Jemu zwierzchnictwo oddamy,  
Przy Nim staniemy pod broń.

A choćby przez szereg tygodni  
Nam w lasach przyszło się kryć,  
To lepiej niż słuchać twych bredni,  
Zdrajcy podwładnymi być.

Któryś z szeregu podał komende i potem znowu to samo śpiewali.  
Wierszydło własnego rekruckiego pomysłu, słowa rytmiczne, proste zu-  
chwale, uszczypliwa nuta legionowa miłych wspomnień niosły echem na  
wieś, ściągały ludzi na ulicę, pole, wprawiały ich w humor, dmuchały  
w żar tęsknoty za swoimi, rwały do lotu i razem też budziły — trwożę,  
bowiem legiony daleko jeszcze były.

— Nieszczęście z tego będzie! — powtarzała Karusia stojąc z Kości-  
kiem przy Bałaszewiczowym płocie. — Na tobie i na Kaziku się zemści...  
Snił mi się niedobry dla Zdanowiczów sen...

— Nie bój się, nic nie będzie — uspokajał ją. — Ot obaczysz, że  
nawet ze skargą nie pójdzie. Bo i o co będzie skarżył? Że piosenkę za-  
śpiewali? Że nie chcą się ćwiczyć? Po innych wsiach dawno zaniechali  
ćwiczeń i nic im nie zrobili za to.

— A jak już dowiedział się, że zbieraliście się zimą do powstania,  
wtedy co ty myślisz? ... Trzeba było z nim do czasu łagodniej.

— Łagodniej... Nie można było już cierpieć, jak rył. Pochyl się  
tylko przed łotrem — zaraz ci po plecach na głowę wejdzie. Nic nie  
będzie — na wszystko trzeba świadków.

## NIE ZA BURŻUJÓW IDZIEMY

Mijały dni, tygodnie, a Jaś ani nie szedł do Komitetu ze skargą, ani nie próbował dalszych ćwiczeń. Pierwszych kilka dni, groził, straszył, wyklinał, ale w końcu zobaczywszy, że prawie wszyscy rodzice postępek swych synów gania, a ci znowu przed oczu mu nie lażą, uspokoił się. —

— Co ci młokosi winni — mówił. — Jak ich agenci burżujskie uczą, tak czynią. Przyjdzie czas, że wspomną Jasia.

I przeciwko owym "ajentom" byłym dowborczykom, kierował swą złość: lżył, czepiał się — pragnął bójk. Na mocniejszych: Kościka, Bolka, Walkę, którzy mu w niecierpliwości samą pięścią mogli krzywdę uczynić, ujadał tylko za oczy, a z bliska czepiał się tylko wtedy, gdy miał przy sobie swych druhów; zaś słabszym przejścia nie dawał. Najwięcej się czepiał Kazika, którego za głównego swego wroga uważał i który chuderlawy był.

Chłopcy już wiele razy zbierali się Jasiowi wsypać porządnie na ochłodzenie, lecz Kazik ich zawsze powstrzymywał.

— Wy myślicie, że on liczy na zwycięstwo w bóje? — mówił — Jemu na tym tylko zależy, byśmy go pobili, by potem mieć przyczynę skarżyć. Wie on więcej o wszystkim, nim nam się zdaje. Trzeba do czasu się hamować. Nie mówię, byście się poniżali do pochlebstwa, albo przytakiwali jego bredniom, ale na bicie go nie zgadzam się i proszę nie rozdrażniać umyślnie. Nie o nas samych się rozchodzi. W każdej chwili możemy skryć się w lesie, — lecz o rodziców i gospodarkę, których przecież do lasu nie zabierzemy. Omijać go, ścisnąć zęby. Może da Bóg nie na długo. —

Lato szło. Żytko wykłosiło się, przekwitło, i nalewało Bożym darem. Na jarowym polu sięgały już po kolana owoy, jęczmienie, kartofle. W ogrodach znalazła się już na pożytek ludzki po wołowym oku rzepa, za gumnami w bohumnych mchach dojrzały durnice, na leśnych porębach poziomki, w łągach olchowych dojrzewały smarodnie. Łąki zakolały się wysoką, gęstą trawą i prosiły już o kosę.

Przed Świętym Janem, korzystając z pięknej pogody, skoszono i zebrano w stogi błotne, skoszono też i koniczynę.

Szedł czas gorącej roboty, zbliżał się chleb, zbliżała się — Polska. Wieści z frontu nadchodziły coraz bardziej pocieszające.

W niedzielę, po Świętym Piotrze znaleziono w gazecie komunikat, o przekroczeniu przez wojska polskie linii starych niemiecko-ruskich okopów i o szybkim posuwaniu się naprzód.

Na ulicy przed domem Kantyczki, który ową gazetę przyniósł z Wończy, zebrało się pół Smolarni starych i młodych mężczyzn. Przeczytali parokrotnie ów radosny komunikat głośno dla wszystkich, potem czytał i przyglądał się mu każdy z osobna, wreszcie zaczęli liczyć wiorsty do Baranowicz i czas potrzebny legionom na przejście do Smolarni.

Niebawem przybył też i Jaś. Z całą swą świtą: Bronikiem Huszczą, Pokłackim z Jam i Hilarym Czudnym z Polanek, który na jesieni chodził nawet na gościniec przejmować spekulantów, znielawiając tym całą swą rodzinę. Wścispnęli się brutalnie w środek i Jaś zaczął się przyczepiać.

— Cóż to za radość? Pewnie, że burżuazja idzie?

— Przeciwnie: smucimy się, że nie przyjdzie długo w domu zabawić — odrzekł Stach, nie mogąc z wielkiej radości milczeć. — Tyś nas uwolnił od służby w krasnym wojsku, a tu niebawem zabiorą do polskiego. Idą już! —

— Jak nie wierzysz to masz przeczytać! — dodał Karapuzы podając gazetę.

Widocznie już wiedział o tej nowinie, bo gazety do rąk nie wziął.

— Radość ta wasza krótka — rzekł Jaś. — Jak przyjdą, tak i pójdą. Niechaj tylko rozprawią się z Denikinem i Kołczakiem, to tak potem dadzą i polskiej burżuazji, że pięty zabrzęczą! Najemnym wojskiem długo nie nawojują.

— Jak to, więc Piłsudski ma wojsko najemne?! — zapytał któryś z rekrutów. —

— A tyś myślał? . . . O, durniów już mało na świecie: za raj na tamtym świecie, za króla i ojczyznę walczyć już nie będzie nikt.

— Nieprawda? — zaprzeczył Stach — pan Piłsudski ma takie same wojsko, jakie miał Dowbór: ochotnicze.

— A Dowbór myślisz nie płacił żołnierzom?

— Wtedy znaczy się i ja za pieniądze u niego służył?! — nie wytrzymał Walka.

— Jeżeli ci nie zapłacili, to tylko dlatego, żeś głupi. Ja wiem jak się to robi. — Burzuje, którzy chcą przywrócić państwu, składają pieniądze i wręczają generałowi; ten rozdziela je pomiędzy "zwodnych" i zobowiązuje się zebrać ludzi; jeżeli zwodnemu uda się znaleźć durniów, którzy ofiarują się służyć za ojczyznę i zbawienie na tamtym świecie — pieniądze jego, jeżeli nie — musi nająć. Tak się robi braciszku. Jeżeli ty nie otrzymał, to otrzymał za ciebie twój zwodny.

O, Ataman wasz, to nie bój się — otrzymał.

Kazik z gniewu zbieleł jak płótno, lecz słowa nie rzekł i skrył się za innymi.

— Aha! widzicie! Widzicie, jak ucieka! Widzicie jak czort prawdy nie lubi! — zawołał. — A wy mnie czasami jeszcze nie wierzycie.

Niechaj ja sobie nie gospodarz, niechaj — jak mówicie — na moje łące stoją konopie, ale na chytróściach, na sztuczkiach burżujskich i na polityce się znam i zawsze mówię prawdę. Uważajcie! Mówiłem, że dowborczyków rozbiorą — rozbiorli, mówiłem, że w Niemczech wybuchnie rewolucja i dobrze ich weźmie — wzięła, mówię, że triumf hromoodwoda Piłsudskiego i jego najemników jest chwilowy — tak i będzie.

Do was młodzież zwracam się: Nie słuchajcie Atamana i całej jego paczki burżujskich płatnych agentów i nie czekajcie legionów, bo żałować będziecie? Jedinstwiennaja partia chłopska — robotnicza — to komunizm, jedinstwiennym państwem od teraz na świecie będzie: Ruskaja Sowetskaja, Socjalistyczeskaja, Fiedieratiwnaja Republika. Proletarii nikt nie zwycięży!

Mówicie, że już idą legiony? Dobrze, niech idą. Niechaj wezmą Mińsk, Bobrujsk, niech nawet Mohilew, ale gdy tylko rozprawią się z wewnętrzną burżuazją, to takiego legionom łupnia dadzą, tak będą uciekać, że nie

pomoże im kapitał, nie pomogą księży, biskupi, papież, ani nawet sam Pan Jezus i Matka Najświętsza taka jej...

— Rozerwę cię na dwoje!! — ryknął Piotrowski, rzucając się w środek.

Ale Kościak, który widocznie spodziewając się tego stał obok, pochwylił go za ramię.

— Dziadzio, drogi! pohamuj się! Chwileczkę tylko! — błagał trzymając.

— Nie wytrzymam! Puszczaj mnie!

Jaś obejrzał się za przyjaciółmi, ale nie cofnął.

Wtem wystąpił z tłumu Kazik i stanął przed Jasiem. Wszyscy zahamowali oddech; — cisza się zrobiła, jak w kościele podczas podniesienia.

— Czyż naprawdę wierzysz w swe słowa, co do naszych dążeń i służby, czy tylko tak mówisz dla przydzierki? — zapytał Kazik.

— A może zaprzeczysz! Cóż to ja Duks Bałaszewicza przydzierać się bez przyczyny?!

— Wtedy muszę ci powiedzieć, że się mylisz.

Nie za burżujów, ale za szczęście swoje i ludu my idziemy.

Za wolność — za Polskę całą, wielką, ludową i sprawiedliwą. I nie za pieniądze, nie za nagrodę w niebie, ale z tęsknoty za Nią, za ideał nasz, jako ochotnicy służyliśmy.

— Za szczęście ludu... Znamy się bratku, na wilkach w baranich skórach! Znamy się. W okopach bywało przyjdzie taki obrońca, gada, chwali swą partię, obiecuje chłopu i robotnikowi złote góry, ale gdy go "rozdzienieś" — okazuje się, że najemny agent burżujski.

Jeśli ty mówisz, że idziesz za szczęście ludu, to czemuż nie trzymasz z roboczą komunistyczną partią Czemuż nie trzymasz z ludem? Ha?

— Wo wo! Czamuż ni dzierzysz z ludem?! — pomagali Czudny z Pokłackim, jak zwykle z białoruska.

— Bo program wasz jest zły — odrzekł Kazik spokojnie.

— Czamu? Dokaży!

— Dakaży! Dakaży! — powtarzali z tyłu wszyscy trzej przyjaciele,

— Bo jest dziki, nie wyraża woli narodu, idzie wbrew naturze ludzkiej, hamuje rozwój i uniemila życie.

— Że nie przyznajemy własności i Boga?

— Że chodzenie wskazaną brózną, jedzenie ze wspólnego złoza tej samej potrawy, mieszkanie w jednakim budynku, może zadowolnić wołu, ale człowieka nigdy. Człowiek, z małymi wyjątkami lubi pracować samodzielnie, lubi urządzić swe pomieszczenie jak najwygodniej i podług własnego gustu, chce być właścicielem warsztatu i swej pracy. Posiadanie tych praw zagrzewa go do intensywniejszej pracy, stawia do wyścigu i udoskonala. Życie człowieka jest tylko wyścigiem: siły, zdolności i rozumu. W wyścigu, w wolności czynu leży urok istnienia ludzkiego; w nich — może szukać i — znaleźć szczęście.

Rząd dbający o dobro swych obywateli, o rozwój państwa, nie tylko nie powinien hamować tego wyścigu, ale zagrzewać doń. Baczyć tylko trzeba, by nie rzucono sobie kłód pod nogi, by jeden na drugim nie podjeżdżał, by biegiem swym, jeden drugiemu nie zawadzał.

— Jakaż tedy wasza program?

— Przyznać, w granicach nieszkodliwych rozwojowi innym, własność, znieść stany, zrównać wobec prawa, klasy i narodowości; dać wolność: mowy, wierzeń, pisma i zawodu, umożliwić służbie dworskiej, chłopom małorolnym, nabycie koniecznej do życia ziemi, zaś ubogim rzemieślnikom założenie własnych warsztatów i udostępnić wszystkim naukę. Majątki ziemskie, dwory, fabryki zatrudniające więcej, niż członków jednej rodziny, kopalnie, banki komunikacje publicznego użytku, nadmiar kamienie czynszowych, — upaństwić. Taki mniej więcej nasz program.

— Więc dobrze, raz fabryki będą państwowe, to i komuna będzie?

— Świat jest mieszaniną najpróżniejszych charakterów i skłonności. Są ludzie, którzy w obawie o plon pracy samodzielnej, wołają pracować pod kierunkiem innych, by tylko mieć z góry zapewniony zarobek. Tacy zajmą miejsce w państwowych fabrykach. Będzie to piąta część ogólnej ludności.

Nie będzie jednak to żadna komuna. Robotnicy ci beda wynagradzani podług ich produktywności, a 17-godzinny czas poza fabryką i zarobione pieniądze strawią podług własnego widzimisie: zechcą, na zarobionych własnymi rękami pieniądzach będą sypiać, zechcą — plac kupią i dom szykowny urządzić, zechcą, będą podług własnego gustu stroić się, bawić, tańczyć, uczyć, modlić, podróżować.

— Znamy się, bratku na takim podstępie — przerwał Jaś. — Kosiu, kosiu, póki w ogłobie, a potem — knutem.

— Wo, wo, pakul w ahlöbi — potwierdzały głosy z tyłu.

— To właśnie do waszych apostołów trzeba powiedzieć — mówił Kazik.

— Błagierzy! — Dopóty zwolennikami pokoju, rządów demokratycznych i wolności byli, dopóty w obronie uciemiężonego chłopca stawali, praw człowieka bronili — dopóki broni przeciwnikowi nie wytrącili i władzę w swe łapy ujęli.

Za swobodę, mówili, idą — a swe rządy gwałtem rozpoczęli. Czemu nie dopuścili do Narodowego Zgromadzenia? Czyż wszyscy tam byli burżuje? Czyż nie było wśród delegatów ludzi uczciwych? Zniesienia przywilejów się domagali — sami przywileje zaprowadzają. Przeciw tyraństwu cara pomstowali — sami barbarzyństwa, niewinnej krwi rozlew się dopuszczają, jakiego świat nie pamięta. Precz z wojną! — krzyczeli, — a prowadzą okrutniejszą. Sowietem się mienią — ale ludzi o rady i zgodę co do rządów nie pytają!

Pańszczyzną ludzi przed swym przeciwnikiem straszą — a ją w swym programie mają. Czyż wspólna gospodarka chopa na roli nie jest pańszczyzną? Nie wierzę, by terażniejszy człowiek chciał pracować wydajnie bez naganiacza. Jakaż różnica dla człowieka: czy naganiacz ów będzie się nazywał ekonom, czy sowiecki czynownik? Czy jego pracą będzie dysponował pan, burżuj, czy paczka darmozjadów bolszewickich? Czy ten wasz program redagował naród?

— Ty idziesz przeciw sowieckiej władzy? Tyś kontrrewolucjonista! Pójdziesz pod ściankę! — zakrzyczał Jaś.

— Niechaj sobie... Daj mi tylko skończyć! Nie mogę dłużej wytrzymać!...

— Jesteś egoista, samolub, cham, łotr i tchórz!

— A u was chamy się nie wywodzą?

— Jesteś chamem z uczynku! Nie z pobudek zbawienia ludzkości, ale dla wywyższenia się, dla łatwizny chleba, dla zemsty uczepiłeś się komunizmu. Spotkał cię zawód w Smolarni i się wściekasz. Kto ci jakie zło uczynił za Dowbora i za Niemca? Kto ci palcem tknął, kto ci wymyślał? — Tyś za to odwdzieczył się. — której wsi przeprowadzono tak zabójczą rekwizycję, jak u nas? Nie wstyd ci patrzeć na te zmizerowane bez chleba dzieci! Twojaż to zasługa.

Teraz czepisz się na każdym kroku, niby ten pies, drogę zastępujesz, grozisz, że wydasz, że mnie rozstrzelają. Czemu już do cholery ciężkiej nie idziesz ze skargą? Nie wytrzymam już! Tak dalej nie może być! Musisz, albo usunąć mi się z drogi, albo iść sobie donieść! Idź! Nie będę uciekał! . . .

Trzasnęła siarczysta apleucha.

Jaś pochylił się w bok, lecz nie padł i schwycił Kazika za pierś.

Krzyk kilkudziesięciu głosów — gwałtowny, jakby przed walącym się murem, rozsadził powietrze i miejsce Kazikowo-Jasiowej dysputy zamieniło się we wrzące kłębowisko ciał ludzkich. Jedni się rzucali, by pod pozorem obrony Kazika wsypać pod żebra Jasiowi, niektórzy w obronie Jasia, inni znowu, by nie dopuścić bijatyki; rozpychano się wzajemnie, tarmoszono, wzywano do ustąpienia. Wszystko kręciło się, huczało, kipiało, jak w garnku. Ale po kilku minutach jedni zniecheceni bezskutecznym dobijaniem się do środka odchodzili sami, inni odlatywali rzutem silniejszych rąk, niby te piłki i w końcu znowu wszystko się rozstało. — W kole rozpiętym ramionami mocniejszych, a posłusznych Kazikowi chłopców, stał Kazik, naprzeciwko Jaś, a obok nich, wodząc się za pierś. Kościk z Piotrowskim.

— Puszczaj! On Matku Najświętszu obraził!! — ryczał Piotrowski. — Uduśę go na wieki wieków! Puszczaj! Czego wy się boicie?! Puszczaj, bo tobie zęby wybije! — groził nie mogąc wyrwać się z silniejszych rąk.

Jaś stał skurczony, brał się ręką to za pałający policzek, to za bok i strzygł bojaźliwie oczyma w stronę Piotrowskiego. Sprzymierzeńców już nie było w gromadzie.

— Puścić łotra! — zawołał Kazik.

Kordon rozstał się i Jaś śmignął, niby ten szczur w norę.

## VI

### “CHRYSTOS Z POLAKAMI”

Jaś jak uciekł w niedzielną awanturę z gromady, to nikt go nie ujrzał cały ten wieczór i szereg dni następnych. Zosia, siostra jego, dojąc w niedzielę wieczorem krowy, dosłyszała na wyszkach brata stękanie, gdy jednak zwróciła się doń troskliwie, czy go bardzo boli i czy czego nie potrzebuje, odpowiedział grubijańsko “matuszką”. To samo uczynił, gdy go przyszli wołać na kolację. Gdy nazajutrz rano ojciec wlaź na wyszki — już tam go nie znalazł.

— Zszedł jak kot zbrodny — śmieli się zeń chłopcy. — Trzeba mu było od samego początku boki odmiesić, wtedy by i do rekwizycji nie doszło i na ćwiczenia by nie ganiał i nie laź, nie groził.

Ale nie dowierzali mu i mieli się na ostrożności. Legioniści i czołowi członkowie Siły rzadko w zaścianku się pokazywali. Czynili to jednak nieznacznie i bez żadnego uszczerbku w robocie, bo to gorąca już kośba była: od świtu do zmierzchu na łące pracowali, tam jedli, tam gdzie w zaroślach, zebrawszy się po dwóch po trzech nocowali. Jeden Kazik tylko mimo zalecania tej ostrożności innym, sam jej wcale nie zachowywał. Częściej nawet go można było ujrzeć na ulicy i w domu, niż przedtem. Nie pomagały na to, ani błagania matki, ani rady i perswazje starszych, ani też groźby chłopców, jego przyjaciół, którzy mówili, że gdyby go ujęto, to oni też w rece bolszewickie się oddadzą, a nie, — to wezmą karabiny i zaczną po bolszewikach kropić na zatracenie Smolarni. Nikogo nie słuchał.

— Sam ja śmierci szukał nie będę — mówił — ale po tym, co z Jasiem zaszło, kryć mi się nie godzi. Nie bójcie się o mnie; gdy prawdę ujrzę niebezpieczeństwo, ulotnię się.

Matkę oprócz tego jeszcze zapewniał, że chociażby go nawet bolszewicy aresztowali, to jednak mu nic nie zrobią, bo on w sowiecie gminnym ma znajomości.

Lecz matczyne serce takim zapewnieniem uspokoić się nie chciało. Przeczuwała ona niebezpieczeństwo syna i kołatała się, szukając dlań ratunku: biegała po kilka razy dziennie do Ładanów w nadziei, że znajdzie tam Jasia i wyprosi dla syna przebaczenie, prosiła sąsiadów o pośrednictwo, o ratunek, nie przestawała błagać, by się syn ukrył. W końcu wzięła sobie do pomocy Karusię i przyczepiły się doń, jak pijawki. Ale on — choć mu, jak to się mówi, kamienie na głowie tłucz: Nie i nie.

— Prędej, — mówi — o przebaczenie Jasia poproszę, lecz kryć się w lesie za nic w świecie nie będę.

— Dobrze, wtedy pogódźcie się — podchwyciły obie.

Jednak pod warunkiem: Niech publicznie cofnie rzucone na dowborczyków paszkwile. Ja go za to przeproszę i nastawię mu swój policzek.

Lecz cóż z tego, kiedy nie było z kim się godzić: o Jasiu ani słychu, ani ducha. Dokazały jednak obie tyle, że wymogły na Kaziku zgodę nocowania, do czasu pojawienia się Jasia, w stodole.

Czekano tedy i w międzyczasie czyniono wszystko, by Kazik jak najmniej pokazywał się w domu; jeść mu zawsze przynoszono na łąkę, a gdy przychodziło jechać do domu z sianem, zastępował go Henuś. Wieczorem matka z dziadem wypchawszy go spać do stodoły, sami na zmianę stróżowali ukradkiem całą noc.

Tymczasem we czwartek o świcie, razem z wygonem była gruchnęła nagle, jak grom z nieba, wieść o nawróceniu się Jasia.

Opowiadali o tym wszyscy czterej jego domownicy. Wprost wierzyć się nie chcieli temu nawróceniu i w jaki sposób ono się odbyło.

O północy, mówią, budzi wszystkich żaloszny jęk. Wskakują, palą światło i patrzą. — Jaś stoi przed obrazami na kolanach i jęczy:

— Niemaż dla mnie miejsca, ani u ludzi, ani w Smolarni, ani we własnym domie. Palcem mnie wszyscy wytykają i stronią, jak od par-

szywego. A bo i podły, nikczemny jestem.. Zaslepienie jakieś miałem... Oni Polsce służyli, krew za Nią przelewali — jam trzymał z wrogiem, Jej szkodził i bluźnił. Jam chleb starcom, dzieciom, braciom moim od ust odjął, jam wiernym sługom Ojczyzny dokuczał, czeptał się ich, jak pies wściekły, jam wiary się wyrzekł, przeciwko Matce Najświętszej bluźnił. — Wstyd mię teraz pali!...

Matko litościwa, wybacz mi! Boże wszechmogący! Jezusie miłosierny! Tyżeś co wisząc na krzyżu łotrowi odpuścić, odpuść i mnie grzesznikowi! Jam grzesznik śmiertelny, zdrajca Ojczyzny, Judasz, kat okrutny, kajam się i obiecuję poprawę. Pójdę i ja w legiony. Daj mi taką łaskę... Dopuść, by mnie przyjęto, by i ja móg krwi swojej za Polskę, za wiarę upuścić i niesławę z mej familii zdjąć. Potem karz, — srogo karz, bom winien... Niech mi potem za moje bluźnierstwa język zdrętwieje, niech mi twarz zestrupieje, niech mi rany na ciele śmierdzące się potworzą, niech na mnie ludzie plują, dzieci paskudztwem rzucają, psy liżą, — ale wprzódy daj mi tą łaskę, bo nie chcę w niesławie, pogardzie i grzechu zostawać.

Potem wstał i dawaj wszystkim do nóg padać, ręce całować i przebaczenia prosić.

— Placz nas wszystkich z rozżalenia i radości ogarnął taki, żeśmy nie mogli wytrzymać — opowiadali Ładanowie. — Chcieliśmy lecieć po ludzi, by byli świadkami tego pokajania, ale on powstrzymał. Nie słowami, mówi, ja chcę się nawrócić, ale czynem. Pójdę na spotkanie Polakom, przedrę się przez front i wstąpię na ochotnika w legiony. Wrócę dopiero po wysłudze. Teraz ani memu nawróceniu uwierzą, ani ja mam odwagę w oczy ludziom spojrzeć.

Zebrał się zaraz, wziął od Zosi w podarunku medalik z Matką Boską, poprosił rodzicielkę o błogosławieństwo i poszedł.

— Odpuścież i wy mu — mówili, opowiadając — bo chłopca żal.

A i któżby mu tam po takim pokajaniu nie chciał przebaczyć? Ci z płaczem ze wzruszenia opowiadali, a ludzie płakali słuchając.

Kantyczka, stryj Jasia, zawodził, jak ta baba.

— Bratańczyk mój złoty! Chłopczyk drogi! — przyczytywał.

— Gdybyś ty górą złotą mnie zasypywał, takiej by radości, jak z twego nawrócenia nie miał. Jaż ciebie rozcałuję, gdy wrócisz, jaż ciebie rozmiłuję! — Ja i wiedziałem, że on w końcu się nawróci... W naszej familii nie ma szelmów... Rewolucja go zepsuła; z mału on porządny chłopiec.

Caluński ranek — aż ludzie na łąkę powychodzili, chodził po zaścianku, rozgłaszał nawrócenie bratańca, zmniejszał jego winy i płakał. Kiedy zdarzał się któryś, co nasuwał wątpliwości w szczerłość tego nawrócenia, gromił go, samolubem nazywał i gniewał się.

Odpuszczali mu z całej duszy starzy i młodzi. Tylko z grona młodszych rekrutów niektórzy, do jego wyprawy do legionów czuli pewien niesmak i zawiść. Czuli jakby im ktoś paskudztwa do serca przyłożył.

— Gotów on dojsć, przedrzeć się, wstąpić i póki my doczekamy, krzyżów i medali się dosłużyć — myśleli. On — bolszewik, komunista, kat, Judasz, zdrajca!?... On, który nam komunizm wpajał i przeciwko Polsce judził?!... I będzie jeszcze się stawał potem...

Chciało się niejednemu cisnąć kosę do cholery ciężkiej i biec, wyprzedzać Jasia.

Nikt ani pomyślał nawet, by taki zbrodniarz, tak raptownie się nawrócił, by w taki sposób uchyliło się niebezpieczeństwo.

A groziło niebezpieczeństwo naprawdę wielkie, z czego smolarzanie dobrze sobie zdawali sprawę. Razem z cofaniem się przed wojskiem polskim bolszewików, wzmogły się na tyłach likwidacje "białych" i wyłapywanie rekruta. Pokpiwano z ucieczki Jasia tylko, aby podtrzymać wśród nich ducha i spokój bab, lecz gdy który pomyślał co grozi Smolarni, ciarki mu po ciele przechodziły. Bo i gdzież było tylu legionistów i rekrutów co w Smolarni? ... Co czekało od bolszewików za zeszłoroczną, zbrojną przeciwko nim zbiórkę w lesie, o której już Jaś wiedział. Czterodniowa jego nieobecność kazała spodziewać się rzeczy jak najgorszych.

Cały dzień z ust nie spuszczano jego sprawy, z głowy ona nikomu nie wychodziła. Rozmyślali nad nią i podziwiali mądrość Bożą i rządu Jego niepojęte: że zawsze czynił to, czego ludzie się nie spodziewali. Że gdy człowiek w biedzie czeka polepszenia — Bóg większą biedę zsyła, a kiedy złamany ciągłym niepowodzeniem nie widzi już dla siebie wyjścia, ani ratunku — zsyła go niespodziewanie. Że bogobojni od młodości pod koniec żywota grzesznikami się stają, a znowu grzesznicy świętymi.

Chłopcy kosili, a kosa im się waliła z rąk, trawa się spod niej wślizgiwała. Myśleli tylko o Jasiu i o wojnie. Zdawało się im, że ostatnimi czasy zaszyły na froncie ważne zmiany na niekorzyść bolszewików, co oni kryją przed ludźmi. Padały wnioski, by kosztem ogółu rzucić za Berezynę paru chłopców na zwiady.

Ale wieczorem doszły świeże wieści z pola walk. Przynieśli je starcy (zebracy), którzy wlekli się o zmroku. Dwoje ich było: mężczyzna i kobieta; on wysoki, pleczysty, ckropnie brodaty, o krótszej i sztywnej lewej nodze, o kulach, z dwoma torbami uwieszonymi krzyżem na ramionach i teorbanem na plecach; ona niska pochylona, garbata, jednooka, z kijem w rękę i niewielkim węzełkiem na garbie. Szli z podwórka na podwórko, stawali pod oknem opierając się o płótek kwietnika, o przyzbę, albo o ganek i przygrywając na teorbanie pięknie śpiewali Łazarza.

Smolarzanie darzyli ich od serca, bo takich starców, co darmo nie proszą nadzwyczaj lubili. Chleba nie mieli, ale dla dobrych starców zawsze coś się znalazło: jeden jajko wynosił, drugi starą miedzianą kopiejkę, inny pieluchę płótna, tasiemkę lnu, a niektórzy częstowali jagodami i mlekiem.

Osobliwa, rzadko słyszana i widziana muzyka i płacziwa nuta pieśni gromadziły wyrostków. A za małymi i więksi się gapili, idąc za starcami ulicą, bo dziad był nadzwyczaj gadatliwy i uprzejmy: dziękował, życzył, opowiadał i wypytywał.

— Tut sami polskija? — pytał Kantyczkę, odśpiewawszy Łazarza.

— Sami — odrzekł Kantyczka.

— A widzisz! A ty kazała, że miszanyja! — strofował starą.

— Moja staraja także Palaczka — mówił do Kantyczki.

— A skąd? Skądże wy?

— Ja rodem z Białynicz, a ona — z Błoni.

— Z Błoni?! Może tej, co koło Puchowicz?

— Wo, wo. Hetaj samaj.

— Może z Błoni teraz i idziecie?

— Z Błoni, z Błoni. Na polskaha Piatra wyszli z niej.

— Na Piotra . . . stamtąd wyszli? ! . . .

— Na polskaha Piatra — powtórzył. Spieszna idziom, bo chcym na ruskie Kupalie (Jana) do Białynicz trafić.

Mogli oni przez ten czas ową przestrzeń przejść, bo dziad, jakkolwiek o kulach, chodził szparko.

Chłopcy obstąpili świeżego przybysza z tak daleko wysuniętej na zachód miejscowości i dawaj go wypytywać.

— I cóż słyhać w tamtych stronach?

— Oj słyhać, dzitki, słyhać!!

— Biją się co?!

— Oj biją się, biją!!

— Dalekoż jeszcze za Błonią bitwa?

— Jak my wychodzili, to czuć było harmaty, jakby heta strelali u Wończy.

— No, a któż tam kogo zмага, nie słyszeli? Gadajcie, ale tylko prawdę!

— Chrystos, dzietki, z Palakami: bjuć niedowiarkaw, że tolki pył i dym idzie. Jawnie Boh lihjonam pomahaja: pokazuje hdzie niedowiarek się chowa, hdzie treba strelać, pokazuje drogi, jak okrzyć, a czasami to nawet i sam strela.

— Cóż to, dzieci przed sobą macie, że opowiadacie bajeczki? — zaprotestował Stach.

— Jak nie rozumiecie, to można jeszcze i dziećmi nazwać. Przez ludzi wiernych pamahaja. Przez christijan polskich i ruskich pokazuje drogi, pokazuje bolszewickie obozy i christijanie w niektórych wioskach biera strzelby i strzelają z lasu.

— A bolszewicy za to nie mszcza sie na ludziach?

— He! oni chrabre, jak ich się boją, ale jak wieś wieźmie strzelby i zbuntuje — to uciekają. Nima u nich nijakiej dyscypliny ni ładu.

— Ech i my damy im damy! Żeby tylko prędzej tu podeszli! — wołali rekruci, tupiąc niecierpliwie, niby te stajenne młode źrebaki.

— Znajdzie się u nas komu i z czego bić — wymknął się Karapuzy.

— I tacy znajdują się, co już bolszewickiej juchy spróbowali — dodał Lapanosy.

Stach mrugnął na obu, by przed nieznanym starcem trzymali języki i jął go badać.

— Słyszeliście dopiero strzały armatnie, a mówicie jakby sami wojowali; jak możecie wiedzieć o walkach, raz ich nie widzieli?!

— Hm, nie widzieli. Stuch, dzietki, chodzi po ludziach szybciej, niż oni sami. Idzie on szybciej, jak koń — jak płuszki leci ponad wsiami, polem i lasem. A chtëż może lepiej od Żyda i starca wiedzieć? Ha?

Na swoje oczy to ja wojny nie widział, ale rozmawiałem z ludźmi, którzy nie tolki wojnę widzieli, a też i rozmawiali z polskimi lihjonami i achwicerami. Mówili oni, że taka lihjonów moc i tak chrabryja, szto ni zdzierzyć ani sam Kitaj z Japońcem. Iduć, honiac nidawiarkaw i iść

buduć tak do samaha Mołilewa, bo polskaja carstwa budzić pa Dniepr, a nie — jeszcze i dalej. Wot szto! Najdalej za tydzień i u was buduć.

Nie wiedziano jak darzyć, jak odwzięczać się zwiastunom tak pomyslnych wieści; gospodynie na wyrwy ciągnęły starców każda do siebie na nocleg. Ale dziad nocować w Smolarni wcale nie myślał.

— Nie możem, mołodziszki, nie możem — wymawiał się. — Do Białynicz nam śpieszna, a po drugie stareńka moja nocą trywalsza. Trzeba trafić do Białynicz na Kupalie, bo chrzest duży budzić. Swiaszczenikaw dużo zjedzie się, manachaw i może archirej sam. I achwiiary też w tym samym dniu na Kupalie przed cudotwornaj ikonaj muszę złożyć, które mi darowały matki na ochronę życia ich synów w hetyja niespakajnyja czasy.

— I ofiary niesiecie? — podchwyciła przysłuchująca się temu Zdanowiczowa.

— A niesiemy, niesiemy. Pomocna Białynicka Ikona jest!

— Wiemy, że pomocna, wiemy! — posypały się głosy.

— A może by tak i za mojego syna wzięli ofiarę? — zaproponowała Zdanowiczowa.

— Wezmę, czemu nie. Dawajcie.

Skoczyła do chaty i za parę minut wróciła z dwunastonitowym, tym co go zimą tkwały z Karusią, obrusem.

— Złóćcie to przed cudownym obrazem za mojego syna — powiedziała, wręczając — a gdy będziecie wracali, zajdźcie, to was osobno za waszą pracę i trud nagrodzę.

— A jakżeż zwać waszego synka? Bo składajuczy achwiaru, treba pa imiu opomianuć.

— Kazik. Kazimir się nazywa.

— Któryż to wasz? Gdy my byli u was, zadnaha chłopca nie widzieli.

— A oto tamten, który stoi koło płotu bez czapki — wskazała.

— Ach, to ten! Ależ nadta mizerny — zauważył, przypatrując się Kazikowi długo. — Poproszę jeszcze szto mu Boh zdrowie poprawił.

— Poproście, starcze, poproście.

Za tą pierwszą i Bałaszewiczowa przyniosła ofiarę za swojego Stacha, pokazując go starcowi i narzekając na oddanie się syna sprawom wolnościowym, czym jej kłopot czynił. Potem jeszcze uczyniły to samo: matka Walki, Oleńska i Ściepurowa. Były by tak z całego zaścianku, która tylko syna ma, ofiary znosiły, gdyby nie powstrzymali bab mądrzejsi gospodarze, mówiąc, że dziad oszukuje, bo ani tego płótna do Białynicz nie zanieśie, ani też imion, za kogo brał, nie spamięta. — Sprzeda, mówili, w sąsiedniej wiosce, przepije, a wy będziecie myślały, że na ołtarz złożył.

Starcy ukończyli w zaścianku żebry i nocną lipcową, — ciepłą, krótką, widną, powlekli się w stronę Uberezia.

## BOHATER

Jak we czwartek Jasiowe nawrócenie, tak następnego dnia nikomu z głowy nie wychodziły wieści przyniesione przez starców. Nieśli sie smolarzanie duszą hen, w podmińskie okolice, gdzie według, opowiadał dziada, pył i dym z bolszewików szedł, szli z legionami zwycięskim pochodem nad Berezynę, Druję i Dniepr. Niektórzy w głębokim o tym zamyśleniu, zapominali na chwilę, że znajdują się jeszcze pod panowaniem bolszewików; zdawało się im, że już właśnie żyją we wskrzeszonej, szerokiej po Dniepr, potężnej i szczęśliwej Polsce.

Zaczęła się bieganina chłopców ze sznura na sznur, szepty, zmywy, projekty.

— Wszystko jedno, nie będę miała syna — pomyślała Zdanowiczowa, podsłuchawszy, że chłopcy zbierają się, z chwilą zbliżenia się wojsk polskich nad Berezynę, by pójść na partyzantkę. — Kazik z nimi pójdzie; nie powstrzymam go. Mój Boże! nie jedno to drugie, lecz zawsze coś się znachodzi, co go ode mnie zabiera. Może tylko, gdyby ożenił się, wtedy by już ustatkował; żona by go powstrzybała. I czemu on nie żeni się?!

Tyle już razy mu to proponowała, lecz zawsze, albo wymawiał się niespokojnymi czasy, albo zbywał ją żartem, mówiąc, że nie ma z kim. A tymczasem tyłu rówieśników jego się pożeniło, nie bacząc na czasy. Nie ma z kim... Do czegoż taka rozmowa? Zeby już teraz i nie było z kim. I to jedynakowi, co włóke ziemi ma. Czeka nie inaczej, aż znajdzie sobie wedle serca. Wszyscy oni teraz porobili się takimi, by się żenić tylko z lubości.

A może o Karusi myśli? O, z nią to wiem, że gdyby tylko go zechciała, żeniłby się. — Nigdy jej się ze swych uczuć względem Karusi nie zwierzał, jednak widziała, że wodził za nią z lubością oczyma, chętnie w jej towarzystwie przebywał, zapominając o wszystkich troskach i kłopotach. Takiemu małżeństwu jej rodzice byłiby nawet radzi; Sokołowska nawet sama je proponowała i nazywała już ją swachą. A może Karusia go i chce? Te ciągle jej u nas wizyty i bezinteresowne pomaganie wydają mi się nieraz podejrzane. Gdyby Bóg zrządził taki ożenek, nic by więcej w świecie nie chciała! Łaskawyz On!... Będę z całych sił prosiła, to i uproszę — żywiła nadzieję, zagrzana uproszeniem uchylecia wiszącego przed tym nad jej synem niebezpieczeństwa.

Tego samego dnia po południu umyślnie dała Zuzi z Heńkiem jeść wcześniej i wyprawiła ich z grabiami na łąkę, by potem, gdy wróci Kazik z wozem, zostać z nim przy podwieczorku sam na sam i rozmówić się. Karol zajął do pasieki i też za dziećmi pociągnął.

Zdanowiczowa wyгнаła pastuchowi bydło i czekała, wyglądając co chwila za wrota. Pogoda służyła piękna i ulica kipiała roboczym ludem: skrzypiała wozami, połyskiwała stałą niesionych kos, odzywała się nawoływaniem, śmiechem, snuła ludźmi.

Kiedy Kazik wrócił, pomogła mu zwalić siano, potem w mieszkaniu podała strawę, usiadła naprzeciwko i zaczęła:

— Czemu ty nie żenisz się, Kaziunio?

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Nedorzeczności mamie do głowy przychodzą w taki czas.

— Tobie zawsze czas... Wiesz, gdyby tokie tak przyszło jeszcze do wojska iść, mnie by lżej i weselej było ze synową zostawać. Ożeń się, synku! Już czas.

— Z kimże mam się żenić, niech mama poradzi?

— Mało dziewcząt! No a chociażby ot i z Karusią.

— Z Ka - ru - sią?!

— Ona by za ciebie poszła.

— Co?! Poszła by?!... Mówiłyście co ze sobą?! Co mówiła? — zapalił się, że aż przestał jeść.

Wtem na dworze rozległ się krzyk, jęk, hałas. A bezpośrednio po tym strzały: Trach, tararach, buch! Trach tararach, buch! Buch, buch!

Zdanowiczowa rzuciła się ku oknu.

— Bolszewiki!! — krzyknęła. — Kazik, bolszewiki!!... Już na dworze, ratuj się! Uciekaj!

Twarz Kazika pokryła się śmiertelną bledością, ręka zadrżała rozlewając strawę, lecz z miejsca się nie ruszył.

— Podszedł!... Łotr chytry!... — wyszeptał.

— Uciekaj, Kaziczek! Chowaj się! Do komory leć! Prędzej na miłość boską! — błagała tarmosząc go za rękaw.

— Zapóźno, mamunia. —

Drzwi się rozwarły z łoskotem i wpadło do izby, jeden za drugim, sześciu bolszewików uzbrojonych w karabiny i rewolwery.

— Ruki w wierch! — krzyknął przedni, rosły bolszewik kierując lufę rewolweru w stronę Kazika.

— Ach, ty szelmaż spod ciemnej gwiazdy! — rzekł Kazik, poznawszy po głosie wczorajszego starca, nie ruszając się nadal z miejsca, ani nie puszczając nawet z ręki łyżki, jakby ten rozkaz i rewolwer nie do niego były skierowane.

Kilka rąk pochwyciło go, wywlokło brutalnie zza stołu i nałożyło żelazne kajdany.

— Darujcie mu, bolszewiczki złote! — Nie zabierajcie go mnie!

On u mnie jeden jedyny! On żywiciel nasz! Darujcie mu! nie zabierajcie! — lamentowała matka.

— Orużyje podawaj! — krzyczał do Kazika ten sam rosły bolszewik.

— Masz ją przecież w ręku — odparł.

— Orużyje podawaj, howoriaty! — Podawaj wintowku!

— Nie jesteś władzą do przeglądania cudzej broni.

— Ja komandir karatielnaho otriada! Ja przedstawiciel sowieckiej władzi.

— Tyś bandyta i więcej nic.

Komandir uderzył Kazika w twarz.

— Wot tybie za bandytu, ty bielaja roża!

Kazik machnął nogą, by go kopnąć, ale ten w porę odskoczył.

— Synku, nie swarz się z nimi! Oni ciebie zabijają! Proś ich łaski przebaczenia! Daruj mu komandirczyk złoty! — rzucała się starowina, to do syna, to do władzy.

— Trzymać ich! Obysk! — padł rozkaz.

Dwóch bolszewików strzegło skutego aresztanta, jeden powstrzymał matkę a reszta zabrała się do rewizji. Zwierzchnik rozpoczął badanie.

— Ty kontrrewolucjoner? Ty służył w legionach?

— Kontrrewolucjonistą nie jestem: nie przeciw bolszewizmowi walczyłem, ale za wolność, za Polskę. Za tę, oto ziemię, na której stoję.

— Jednak w legionach służyłeś?

— Dotychczas dumny z tego jestem.

— Choroszo — Teraz, — przeszłej zimy organizowałeś powstanie protiwn sowieckiej własti, zbierałeś w lesie wojsko?

— Czego się nie zrobiło, nie warto chwalić.

— Jednak organizowałeś?

— Gdyby jedność wśród ludzi była, noga by bolszewicka na naszej ziemi nie powstała.

— Dużo już ludzi było zebrało się? Kto oprócz ciebie był?

— Słuchaj zbóju! Jeżeli nie chcesz, by za dwa tygodnie, gdy przyjdą prawowici gospodarze tej ziemi, cię powiesili, to zabieraj swą bandę i uciekaj!

Komisarz zachichotał szyderczo.

— Wyskalisz tak zęby na szubienicy.

Zdanowiczowa biła się jak ryba o lód: uspakajała syna, uniewinniała go, błagała o łaskę, wyrывała się z rąk sołdata, by rzucić się naczelnikowi do nóg.

— Zlituj się komisarzu złoty — jęczała. — Nie zabieraj mi go!

I cóż on winien? Szedł i wojował gdzie go generały posyłałi. Czyż on jeden w legionach był?! Daruj mu! Do śmierci będę za zdrowie twoje i szczęście, za szczęście twoich dzieciak Bogu się modliła. Zlituj się gołąbku złoty! Sokolek mój! . . .

W tym samym czasie odbywała się rewizja po wszystkich domach legionistów i u Stacha Bałaszewicza.

Nadjechał karny oddział bolszewików, co najmniej w sześćdziesiąt ludzi, jak grom. Konno i na furmankach. Konni rozsypali się w tyralierkę, otoczyli zaścianek zza gumien i od puszczy i strzegli, by nikt się nie wymknął, zaś ci drudzy na furmankach, mknęli ulicą co koń wyskoczy, liczyli budynki, zeskakiwali z wozów, wpadali po trzech, po czterech akurat do domów legionistów, nikogo o to nie pytając, wiązali młodych ludzi i przeprowadzali rewizję. Dwie furmanki, z gotowymi do strzału kulomiotami, ustawiły się na obu końcach zaścianka, jako osłona; pozostałe stanęły dwoma rzędami w środku ulicy, jako obóz.

Strzelanina do uciekających i na postrach, wołania bolszewików, krzyk przerażonego ludu, lamenty niewiast, płacz dzieci, zalewały cały zaścianek dziką, nieznośną wrzawą, podobną do jakiejś rzezi tatarskiej, do rozpaczliwego krzyku tonącego tłumu.

Po kilku minutach już zaczęto wyprowadzać do wozów pod straż powiązanych młodych ludzi, wynosić strzelby i tłumoki z wojskową i nawet cywilną cenniejszą zrabowaną odzieżą.

Ale szczęście jeszcze, że przyjechali pół godziny zapóźno: większa część, mężczyzn, a wraz z nimi i legionistów zdążyła już spożyć podwieczerek i wyjść na łąkę. Z legionistów, oprócz Kazika, zastał najazd

w zaścianku tylko Norbę i Józika. Obu jednak udało się szczęśliwie skryć. Norba o włoskę tylko nie wpadł w bolszewickie ręce.

Wyszedł był akurat na ganek. Posłyszawszy krzyk myślał, że wszczał się na zaścianku pożar i rzucił się na ulicę. Kiedy wyrzął z wrot, już tylko kilkanaście kroków dzieliło go od pierwszej pędzącej bolszewickiej furmanki. Widząc, że nie zdąży niepostrzeżenie dopaść swego budynku, skoczył — ot tak, na szczęście — za wierzeje wrot, przychylił je jak najszczelniej do parkanu, uniósł się w górę stawiając jedną nogę na poprzecznicy wierzei, drugą na framugę parkanu i obserwując przez szczeliny co się na dziedzińcu i ulicy dzieje trwał nieruchomo, aż bolszewicy opuścili zaścianek. Józika baby w sieni korytem świńskim nakryły i też uniknął aresztu.

Razem wszystkich coś ze dwudziestu ludzi zatrzymano, jednak ogromna większość z nich, ani ze zbórką powstańczą w lesie nic wspólnego nie miała, ani też do poboru bolszewickiego nie należała.

Przysłuchawszy Kazika, dowódca wyprowadził go na ulicę ku furmankom. "Krasnoarmiejcy" obstąpili szefa dokoła, meldując o wyniku swych poszukiwań. Komisarz przypatrzył się każdemu z zatrzymanych uważnie, przejrzał przedłożone mu książki wojskowe i metryki — i większość z nich uwolnił. Zatrzymał tylko Pawła Tryznę i Michasia Ściepurę, którzy łudzaco byli podobni do swych braci legionistów, oraz Karapuzego, Władka Winiarskiego i Romka Oleńskiego, jako poborowych. Rozmiescił ich po jednym na furmankę, Kazika usadowił przy sobie i wystrzelił z rewolweru w górę, dając tym sygnał oddziałowi do odjazdu.

Kobiety, na pożegnanie chopców, jeszcze większym płaczem wybuchnęły. Jania Sokołowska, to aż zawodziła w łkaniu po Karapuzym. Zdanowiczowa po synu włosy targała, odzież na sobie darła.

— Zabierajcie i mnie, gady podkłodne! — krzyczała biegnąc za wozem. — Jam sama winna! Jam go na polskiego chłopca wychowała, was gadów nienawidzić uczyła! Jam go w legiony wyprawiła! Zabierajcie mnie! Jam sama winna! Krumkacze wy krwiożercze! Karszuny drapieżne! Krwiopijcy! Ludojady!

— Nie rozpaczaj, mamó. Jutro będę w domu, ot zobaczysz — rzucił Kazik matce z wozu, głosem urywanym ze wzruszenia, ale pewnym siebie.

Zaledwie ostatnia furmanka minęła koowrót, gdy z drugiego końca zaścianka zaczęli nadbiegać gospodarze z łąki. Na przedzie mknął stary Piotrowski. Boso i bez czapki. Jakby dwadzieścia lat miał, tak chyżo przebierał nogami.

— Kogo zabili?! Kogo zabrali?! — zakrzyczał wpadając zdyszany w rozlamowane koło bab.

— Ichnego zabrali! Naszego nie złowili!... Naszego złowili! Naszego zabrali! Franka nie złowili! Bratka złowili! Romka złowili! Romka powieźli. Żeby ich na cmentarz jutro wywieźli, jak oni mnie syna wywieźli! Matko Najświętsza! — z kilkunastu ust razem sypały się lamente, przekleństwa, wołania o pomstę.

— Ścichnąć! Nie wrzeszczeć wszystkie razem! — ryknął Piotrowski. — Bo jak wezmę postronek, jak zacznę ciągać po grzbietach, to każdej urwie! Których zabrali, mówcie?!

— Kazika zabrali! Pawła zabrali! Michasia, Karapuzego, Władka i Romka — odpowiedziała jedna.

— Kazika schwycili?! Rátować go trzeba! Ja go wyratuję...

— Ratuj jeśli możesz, dziadzio! Ratuj swacie! Ratuj nasze dzieci! — błagały rodzone zabranych chłopców.

— Nie waszych. Kazika tylko ratować trzeba. Waszym nic się nie stanie. Ja Kazika wyratuję!... Pomóście mi tylko zebrać się.

Oleś! Leć na gumnisko po Gniadosza! Marylka, buty! Żywo! —

Kto tylko stał na ulicy rzucał się mu z pomocą; wyciągano drabinę, smarowano koła, pakowano siedzenie, niesiono mu na ulicę, buty, odzież, chleb na drogę i tytoń.

— Ja wyratuję. Teraz dopiero pokaże się co w Smolarni wart Piotrowski — mówił wciągając na bosą nogę but.

— Jakżeż ty go możesz wyratować, jak go sam komandzir zabrał — pytała, biegając koło niego rotzargniona Zdanowiczowa.

— Mam w Bobrujsku żydka, którego syn starszym jest komandzirem od tego. Głowę daje, że wyratuję!

— Aż w Bobrujsku?! Póki zajedziesz, a naprowadzisz sprawki, to może już Kaziczka nie być na świecie.

— Dziś zajadę; a stamtąd dadzą po telefonie.

— Gdzież ty zajedziesz dziś...

— Zajadę. Żeby ja z miejsca tego nie zszedł, że dziś zajadę!

Konia położy na drodze, a zajadę! Jutro będziesz miała syna, w domu. Ja wyratuje.

— I Kazik też tak mówił. Oby wasze słowa się sprawdziły.

— Prędzej, Olesiu! Ruszajcie się!

Wtem rozległa się za Klinem karabinowa salwa:

— Tr-r-r-rtach — tach — tach!!

— Zabili! — jęknęła Zdanowiczowa i osunęła się zemdlona na ziemię.

— Zabili! Już zabili! — powtarzali ludzie na ulicy, rzucając się co sił w stronę, skąd doszła salwa.

Piotrowski pochwycił uzdeczkę, dosiadł Gniadosza i pomknął jak strzała. Przed brodem spotkał Felka Bałaszewiczów.

— Dziadzio! — wołał, przerażony. — Kazika bolszewiki zabili!

— Gdzie on?! Gdzie zabili?!

— Pod Leniwym dębem. Bolszewiki zawołali mnie i powiedzieli: — Stupaj, zajawi cztoby ubrali.

## VII

### ANTYCHRYST

W pół godziny po zamordowaniu Kazika zaczął się na cmentarzu za jego duszę dzwon i bił, z przerwami na Zdrowaś, prawie aż do zachodu słońca. Trupa już przywieźli, umyli, odziali, przyrządzili katafalk, złożyli go na nim jak się należy, zapalili świece, już i ludzie zaczęli się schodzić, a dzwon jak bił, tak bije.

— Co mu się stało? Dokąd on będzie dzwonić? — zaczęli się niepokoić ludzie.

— Dawaj schodzیم do niego — zaproponował Jan Bałaszewicz Mieczkowi Piotrowskiemu.

— Dawaj schodzیم — zgodził się Mieczyk.

Wyszli do sieni, napchali fajki, przypalili i poszli gawędząc.

— Ot swacie, jaka chytróść u człowieka może się znaleźć, jaki grzesznik i wyrodnik w porządnej familii może się zdarzyć! — zaczął Bałaszewicz.

— Toż trzeba! — Pokajał się, by się nie chowali, przebrał za żebraczkę, przyprowadził kata, pokazał drogi, chaty i chłopców samych.

— Szelma spod ciemnej gwiazdy!

— No, ale też i z tego komandzira kawałek diabła kutego na wszystkie cztery nogi: kulał, grał i śpiewał, jak prawdziwy starzec białynicki.

— Porządnego, nie postawią. Na mądrych, to można było na szelmach się poznać: on rzał młodzieńczym głosem, jakby ogier stajenny, ona — jak suka skomlała bojąc się w oczy spojrzeć, żeby otworzyć. Mnie jakby kto do ucha szeptał, że to albo wiedźma kijowska, albo szpieg jakiś.

— Ot jak z ludzkim życiem: tu żyje — tu już gnije. Dziś rano siedział przy ognisku tak blisko koło mnie, jak oto ty teraz; palił, rozmawiał, śmiał się, a teraz — trup, a dusza już może aż koło samego Chrystusa w niebie.

— A, dotychczas w niebie, już nie ma co. Biedny, nie doczekał się i Polski kochanej. Rozumny, ale i haretny też chłopiec był.

— Aż siedem kul biednego przeszło!

— A, to już wszystko jedno śmierć, ileby tam nie przeszło.

— Jedno i nie jedno: tyle kul gdy przeszło to i koście połamało, prędko zgnieje.

— Jak zrobimy mu smolną trumnę to i z połamanymi nie prędko zgnieje.

— Dałoz mu akurat w tym czasie w chacie siedzieć!

— Traf. Gdybyż się tego spodziewał...

— Jakoś on nie bardzo siebie strzegł. Słyszałem, że się był gryzł przez tą dziewczynę.

— Przez Sokołowszczankę?

— Tak, Mówili, że się wklepał w nią po uszy, lecz nie chciał tamtemu mieszać, bo to družaka jego wielki był. I przez to gryzł się i jakby sam sobie śmierci szukał. Ja wcale nie rozumiem, czemu wszyscy tak za nią się ganiają? Mało ładnych dziewcząt?

— Ganiają bo urodziwa i uduła, jak żadna. Moja nieboszczyca, gdyśmy żenili się, też był anioł, jakiego poszukać: gładka, kraśna, miła, przytulna, a oczęta — niby zorki w niej świeciły się, ale nie taka jak Sokołowszczanka. Ta wkoło 25.

Chwilę szli w milczeniu, potem znowu Bałaszewicz zaczął:

— Dałby Bóg, żeby chociaż tym innym, co zabrali nic złego nie zrobili.

— A, tym nic się nie stanie, można być spokojnym.

Trzeba tylko uważać, aby ci których szukali nie wpadli.

Twój i legioniści nie powinni w domu przebywać. Gadom nie ma co wierzyć.

— A trzeba strzec się, trzeba. Ja swojemu powiedziałem, że nie chcę jego roboty i nie chcę przez niego się trząść.

— Ale patrzaj ty, i na Stacha doniósł!

— Za buntowanie oka nie miał.

— Nu psia mać Jasia! — zaklął Piotrowski po krótkiej pauzie — zabiłże on Kazika no, ale i jemu w Smolarni nie będzie już miejsca. Chyba, że się nie pokaże więcej. Jak legiony nie powieszą, to uwiążą kamień do szyi i do wyżary. I tego komandira też znajdę.

Dzwon na mogiłkach wciąż bił.

— Co mu się stało z tym dzwonieniem? Może się pokiełbasiło mu?!

— Nie mów takich rzeczy, bo mię dreszcz przechodzi.

— Nie bój się; dwom nam przecież nic nie zrobi.

Przeszli bramę i ujrzeli Kantyczkę klęczącego pod dachem dzwonicy z pochyloną modlitewnie głową, z postronkiem od dzwonu u ręki. Odmawiał Zdrowaś i łyzy mu ciurkiem sypały się na kolana.

— A dokądże to będziesz dzwonił, swacie? — zagadnął go Piotrowski, zaszedłszy mu z boku.

Kantyczka choćby się ruszył.

— Swat, ha, swat! Nie słyszysz co do ciebie mówimy?! — powtórzył.

Jakby do muru; łyzy mu tylko posypały się jeszcze rześściej. Ukończył modlitwę i znowu pociągnął za powróż. Piotrowski zatrzymał go za rękę.

— Dokąd będziesz dzwonił? Nie widzisz, że już słońce zaszło i ciemnieje?!

— Aż Bóg ześle mi skonanie i duszę moją odprawi na męki do czyśca. O to Go i proszę. Nie przeszkadzajcie mi — powiedział płacząc.

— Skonanie?! Myślisz, że śmierć przychodzi wtedy, gdy ją prosisz?

— Dotąd będę Go modlitwą i dzwonem wzywał i błagał, aż mię wysłucha i przyśle.

— Przyparło ci umierać akurat teraz, gdyś potrzebny koniecznie do pogrzebienia tego chłopca nieboraki. Wstawaj, pójdziem!

— Chowajcie beze mnie. Ja oczu ludziom nie śmiem już pokazać.

— A to czemu? — udał, że go nie rozumie.

— Antychryst, zabójca takiego chłopca z naszej familii się wywiódł, a ty jeszcze pytasz czemu. Jakże mnie patrzeć w oczy ludziom?

— Twój syn, jak wszyscy ludzie i nie masz czego się wstydzić. Wstawaj!

— Wszystko jedno z naszej familii. Hańba nam wszystkim!

Umrzec chcę i więcej nic. Bracia, odejdźcie, nie przeszkadzajcie mi umrzeć.

No i ty naprawdę wierzysz, że Bóg ci przyśle śmierć?!

— Tak. Już nawet niedługo. Czuję, że mi członki coraz słabną, dech zajmuje, serce coraz boleśniej piecze.

— Tobie tylko tak się zdaje. Nie umrzesz choćby tydzień cały tu bałabonił, choćby chciał powiesić się, lub utopić.

Nie da ci Bóg śmierci, dlatego, że Kazikowi chcesz krzywdę zrobić.

— Kazikowi krzywdę?! Jaka?

— Pytasz jeszcze. Bywało grzesznik umiera taki, co pił, katował żonkę, do spowiedzi po trzy lata nie chodził, a ty idziesz, śpiewasz nad nim całą noc, prowadzisz nazajutrz, aż na mogiłkę, grób święcisz i jeszcze kazanie mu pochwalne mówisz; tego co samą dobrocią wiek swój żył, i śmiercią męczeńską przez twojego bratańca umarł, chcesz, by tak wrzucili do jamy, jak wisielca, albo nie przymierzając, ścierwę jaką. Kto go pochowa, ja? Niechaj oto powie Jan. — Ludzi już ćma różnych się zeszło, a bez ciebie do śpiewania pogrzebowych pieśni, choćby nawet i co z chóru, którzy samych tylko drynduszek się uczyli, żadnego ładu i porządku nie mają. A kto jutro poprowadzi?! Chcesz może by prowadził Dudar, który ci zawsze dokucza? Kto słowo o Kaziku przy takim tłumie odważy się powiedzieć? Wstawaj, daj wybiierzem mu miejsce.

— Ja mu swoje tu pod brzozą oddam miejsce.

— Ot i już ci za taki dar kawałek hańby zejdzie. A gdy pochowasz świetnie — drugie tyle się odejmie. A potem już będziesz mógł sobie i umierać, bo ja to póki nie doczekam legionów, póki córki wydam zamaż i sam się nie ożenię, do Abrahama na piwo wcale nie myślę iść.

— No, wstawajże wreszcie! Bierz go Janie!

Unieśli go wzięwszy pod ramiona i powlekli do Smolarni.

— Swatowie! bracia! zostawcie mnie! — błagał. — Wstyd mię pali! Jak ja ludziom w oczy spojrzę?!...

— Nic. Z początku tylko taki wielki wstyd się wydaje, a potem już jakby nic — wmawiał Piotrowski trzymając go silnie.

— Zrobi się wszystko byś jak najmniej tego wstydu cierpiał.

Jan przed zaściankiem pójdzie nieco naprzód, zacznie w świetlicy niby to lampę pawić i weźmie przykręci światło; ty zaś w tym czasie w mroku niewidocznie wkręcisz się między śpiewaki. Mając przed oczyma kancyzkę, nie będziesz potrzebował wcale na ludzi patrzeć.

A do jutra to już się obędziesz, obetrzesz i będzie jakby nic.

---

Kiedy wrócili, ludzi naprawdę zeszło się już sporo. Ale przeważnie mężczyźni starsi i niewiasty, gdyż chłopcy obawiali się ponownego najazdu. Mężczyźni prawie wszyscy skupili się przy heblowaniu desek na trumnę w izbie powszedniej, niewiasty obsiadły wszystkie kanapy i zydle w świetlicy. Za stołami, w przeciwnym od nieboszczyka kącie, dziewczęta z chóru śpiewały postne, pogrzebowe pieśni.

Bałaszewicz, jak go pouczył Piotrowski, podstawił pod lampą taborecik, włożył nań i podkręciwszy ognia jął coś manewrować; — Kancyzka w tym czasie przeszedł do stołów i wmieszał się między śpiewaczki.

Ludzi napływało z okolic coraz więcej. Przychodzili z chutorów, Jam, Polanek i nawet z dalszych stron. Każdy kto przychodził, klękał u nóg nieboszczyka, odmawiał Anioł Pański, całował obrazek, potem stawał z boku przyglądał się Kazikowi ze smutkiem i współczuciem, albo i płakał.

Kazik jakby spał; powieki, w czas, ciepłemu jeszcze zaciśnięte, oczy zakrywały szczelnie, twarz miał pogodną, usta ułożone jakby do uśmiechu. Nad to tylko białuśkim był, bo to nieboszczyk przez tyle ran krwią caluśki zeszedł.

Patrzyli nań ludzie i płakali, jak po rodzonym. A rozpacz rodzonych granic nie miała. Karol jak usiadł na ławie przy wnuku, zaraz po jego złożeniu w świetlicy, jak utkwiał w swego kochanego i jedyne go potomka posagowo wzrok, tak przesiedział, aż pod północ, nie słysząc co do niego mówią, nie widząc co się wkoło niego dzieje; patrzył, wzdychał głęboko i boleśnie, ruszał wargami coś szepcząc, albo płacząc. Zuzia po wuju spazmów dostawała i kilkakrotnie wyprowadzano ją ze świetlicy. Matka tak już splotkała się, tak ochrypła i zestabła, że już tylko jękiem słabym, podobnym do skomlenia psa się odzywała. Trzy razy już mdlała i składano ją na łożu. Lecz gdy osłabienie trochę mijało znowu przychodziła. Karusia nie odstępowała jej ani na chwilę, służąc i jak mogła pocieszając:

— Uspokój się już cioteczko, przestań już — błagała. — Nie samą ty na świecie taka nieszczęśliwa. Wiele jest nieszczęśliwszych od ciebie. Pomyśl tylko. — Oto już czwarty rok wojna idzie i krew w bitwach zjadłych rzeką, jak mówią, płynie, a ludzi pobitych hurby całe leżą nieraz po całym tygodniu, a nie, to i więcej nie grzebane. Wrony i krumkacze im oczy wydziobują, psy i wilki kości po lesie ciągną, a jeżeli już chowają to po czterdzieści razem do jednej jamy zwalą. Zwalą brudnych, bez trumienki, bez poświęcenia, jak drzewo jakie, albo nie przymierzając padlinę. A małż takich co ręce, nogi i oczy na męczeństwo na cały wiek sobie i krewnym potracili?! Matkom takich nieszczęśliwców daleko boleśniej powinno być niż tobie. Twojego zabili, ale mu oto pieśni śpiewają, trumienkę piękną heblują — pochowają po ludzku. Nawet Jasiowym ciężej musi być. Ty syna utraciła, ale współczucie i poszanowanie u ludzi masz; oni, można liczyć, utracili już syna, a tymczasem hańbę i pogardę im od ludzi pozostawił. A cóż, oni uczyli go tego? Pomagali mu w szelmostwie? — Masz dla kogo żyć; ci dwoje nie obcy: twojej rodzonej siostry. Kazik, prawda, odcierpiał, ale już mu nie boli... lata on po niebie. Nie płacz, a idź lepiej pomódl się cicho, by mu tam widno i lekko było w dzień i w nocy! Dosyć już! —

Z chaty Jasiowych cały wieczór nikt się ani pokazał. Ale już późną nocą Zośka z Bronią przyszły. Obie w czarnych żałobnych sukienkach, w czarnych zapuszczonych, aż na całą twarz, okryciach głowy. Weszły, klękły, odmówiły jak wszyscy Anioł Pański, potem wstały i rzuciły się Zdanowiczowej do nóg, błagając przebaczenia za szelmostwo brata.

— Nie róbci tego! Wy niewinne temu, nieboraczki — mówiła Zdanowiczowa, broniąc przed nimi swych nóg.

— Winne, my, winne, bośmy opowiadały wszystkim, że się nawrócił. Gdyby nie to, Kazik by się wystrzeżał i nie wpadł — powiedziały.

— Dobrze, ale wy chyba nie wiedziałyście, że to podstęp? Chybaż tak i było, jak opowiadałyście ludziom? — wmieszała się Karusia.

— Tak było, tak! — zawołały obie. — Przysięgamy, że tak! Uwierzyliśmy jego nawróceniu tak, jak w Boga wierzymy!

— Wtedy ciocia nie może czuć do was żadnego żalu. Wtedy wam przebacza. Nieprawda ciociu? — zwróciła się do Zdanowiczowej.

— Tak, nie mam do was żalu. Przebaczam wam wszystkim. I Jasiu przebaczam... Nikt już nie podejmie mojego syna.

Dziewczęta zaczęły chwytać za nogi i dziękować:

— Dziękuję ci, cioteczka droga! Boga będziemy prosiły byś doczekała pociechy z tych sierotek i spokojnie przy nich starości dożyła. Cały wiek swój paniński, w jakim zamierzamy do śmierci zostawać, będziemy o to Boga prosić! — mówiła Zosia za siebie i siostrę.

— W panieństwie... zamierzacie... zostawać?! — zdziwiły się obie.

— Tak. Modlić się i pokutować za zbrodnię brata naszego, będziemy do śmierci. Teraz pójdziemy do wujka naszego do Ihumenia i przy tamtejszym kościele, póki co, będziemy się modliły, potem gdy można będzie przejść do Wilna wstąpimy do klasztoru.

— A rodzice jak zostaną? — spytała Karusia.

— Tata powiedział, że sprzeda do rąbka wszystko i poszuka sobie gdzieś w lasach służby leśnika, by ludzi nie widzieć.

— Niedobrze chcecie robić — powiedziała Karusia. — W domu zostawszy, większy pożytek Bogu i ludziom możecie przynieść. Ja będąc na waszym miejscu inaczej bym uczyniła. Ja bym pozostała w domu, wspłynęłabym na rodziców, by nie wyrzedawali się i starała się Jasia jednak nawrócić. I wam radzę tak uczynić.

— A któż by chciał go teraz do chaty wpuścić, z nim rozmawiać, albo nawet spojrzeć?!

— Jak to? Z nienawiścią w sercu do brata wybieracie się w mniszki?!

— Tak zatwardziały komunista już się nie nawróci. Na próżno, nikt go nie potrafi nawrócić.

— Jak nie potraficie nawrócić, to w każdym razie powstrzymacie od dalszych zbrodni. Bo wiecie, że gdy dowie się, iż jego wyrzekłyście się, iż chcecie go wydziedziczyć, to jeszcze większa w nim złość się okaże, jeszcze większą zemstą zapala; dotąd będzie donosił, dotąd bolszewików wodził, aż wszystkich wygubią i zaścianek spalą. Ostańcie w domu i gdy brat gdziekolwiek się tylko okaże pójdźcie doń i łaską próbujcie. Radzę i proszę was o to...

— Ostańcie dziatki, ostańcie — przyłączyła się do prośby i Zdaniczowa podejmując Ładzianki z ziemi i całując je. — Zróbcie tak, jak ona radzi! Mądrze ona zawsze radzi. Ostańcie.

Po północy przyszedli oddać zwłokom Kazika cześć, jego najbliżsi przyjaciele. Przyszedł Kościk ze Stachem, potem Walka, Norba, Bolek, Wiktor, Józik i kilku też b. dowborczyków, a przełożonych wartowniczej gromady z okolicy. Wchodzili, klękali przy zwłokach, jak inni, odmawiali modlitwę, potem stawali na dłuższy czas w hołdowniczym skupieniu; w oczach im szklily się łzy, a twarze mieniły wyrazem głębokiego współczucia i zawziętości wielkiej. Ale bawili krótko.

Po kwadransie, najdalej zabrali Kantyczkę, Piotrowskiego i innych paru gospodarzy i poszli do Tryznów radzić nad uświetnieniem pogrzebu zasłużonego Smolarni człowieka.

## HOŁDY I ŚLUBOWANIA

Nazajutrz po południu Kazik odjeżdżał na wieczny spoczynek. Akurat w 24 godziny po proponowaniu mu przez matkę ożenku. Nie-skończonym sadem zieleni jechał — łanem żyta, aleją młodych brzózek, jarzębin, klonów, wysadzoną tego rana przez całą drogę, aż do cmentarza na jego cześć; jechał z paradą wielką, z kwiatami, orszakiem tłumnym prowadzony, jak rycerz dostojny i żalowany jak ojciec, jak brat rodzony, jak gospodarz dobry, który zabiera ze sobą do grobu, pamięć, ład i dobrobyt pozostałej rodziny. —

Pochód prowadził, jak zwykle, stary Kantyczka, w komży koronkowej i drewnianym krzyżem w reku. Za nim o kilkanaście kroków szła kolumna działwy szkolnej, w której każda z dziewcząt niosła naręcze kwiatów. Dalej niesiono pięć wieńców: od szkoły, dowborczyków, gospodarzy smolarskich, od chłopców z Siły i od dziewcząt. Potem szła trumna; niosło ją na zmianę dwunastu najbliższych Kazikowych druhów. Za trumną szła matka podtrzymywana przez Karusię i Zuzię, a za nimi w drugiej trójce Karol z Piotrowskim i Henkiem. Nie było w zwyczaju by matki chodziły za dziećmi na cmentarz, ale Zdanowiczowa uparła się i poszła.

W końcu, już za rodzonymi, postępował tłumnie lud z chórem na przedzie i śpiewał "Któż opłakać godnie może". Lud polski — ze Smolarni, Jam, Polanek, chutorów; kresowy lud — rośli, roboczy, gospodarny, szczerzy i drużny.

W połowie drogi, pod przydrożnym, wielkim, drewnianym krzyżem, pochód przystanął, pokłonił się Jezusowi, pochwalił Go krótką modlitwą i potem dalej ruszył polem, — migotliwy barwami chust, tęskny żalną pieśnią.

Dzień był piękny, pogodny. Od czasu do czasu pociągnął z boru lekki wietrzyk, chłodził popołudniowy żar, kołysał żyto. Puszczą odzywała się cichą, smętną dumką.

Na mogiłkach bił dzwon. Czekają tam kilkadziesiąt chłopców, b. uczestników powstańczej w lesie zbiórki. Obawiali się podstępu. Co prawda od strony Uberezia i brodu były rozstawione warty, które, zbliżające się niebezpieczeństwo miały wystrzałem alarmować, jednak dla większego bezpieczeństwa i spokoju smolarskiej ludności, zebrali się i czekali na mogiłkach.

Pod dachem dzwonnicy stał przyrządzony ołtarzyk z obrazem Trójcy Świętej. Przed nim na obrusie leżała gruba książka Kantyczki i stała butelka ze święconą wodą. Grób dla Kazika był wykopany w środku cmentarza, po lewej stronie dzwonnicy. Tuż przy niej — pięć, sześć kroków od filarów. U samego wezłowania stała piękna kędzierzawa brzoza. Można powiedzieć, najlepsze miejsce to było ze wszystkich wolnych na cmentarzu, bo na widoku i pod najpiękniejszym drzewem. Niejeden z chłopców patrzył na ten grób i myślał sobie, że nie zaszkodziłoby gdyby i jemu po śmierci szumiała nad głową taka brzózka. Nie darmo Kantyczka rezerwował je dla siebie.

Oprócz b. wartowników Siły, czekało na cmentarzu też kilkunastu przedstawicieli polskich zaścianków z bardzo dalekich stron, zwołanych umyślnymi gońcami wysłanymi, zaraz po śmierci Kazika. Już więcej godziny, poległszy wszyscy kupami między mogiłami czekali.

Gdy kondukt nadszedł wszyscy powstali i ustawili się rzędem od bramy aż do dzwonnicy, wyprężają się po wojskowemu, aby oddać cześć swemu b. zwierzchnikowi.

Kondukt wchodził. Kantyczka przeszedł nabożnym krokiem przed ołtarzyk, umieścił przy nim krzyż i ukląkł. Trumnę ustawiono po lewej stronie między filarami i na niej złożono tymczasem wszystkie wieńce i kwiaty. Krewni i dostojniejsi gospodarze zajęli miejsce bliżej Kantyczki pod dzwonnica, reszta poklekała szerokim kołem zewnątrz.

Rozpoczęło się pod kierunkiem Kantyczki wspólne odmawianie litanii do Wszystkich Świętych, co podług zaprowadzonego przezeń zwyczaju, czyniło się tylko dla nieboszczyków zasługujących na szczególną cześć. Trwało to dobre pół godziny. Potem Ładan wstał, dał znak ręką, by i ludzie też wstali i zwrócił się do nich z przemówieniem:

“Ludcy moi rodzone! Chowamy oto dziś Kazimierza Zdanowicza Karolowego wnuka. Karolowego wnuka, Marylinego syna, a naszego sąsiada, przyjaciela, druha i sługę. Był to chłopiec od samego maleństwa jakiego poszukać, jaki jeden na tysiąc, a nie, to i dwa się rodzą: pracowity, uważny dla swoich i dla cudzych, usłużny i bogobożny. Za cały swój wiek nikomu on złego słowa nie rzekł, nikogo bez potrzeby palcem nie tknął, nikomu najmniejszej krzywdy nie uczynił i niczyjej prośbie nie odmówił. Jeżeli ktoś starszy, lub młodszy nie mógł, albo nie chciał konia swego na nocleg wieść — Kazik zabierał. Jeżeli chłopaki jeden drugiego krzywdzili — Kazik bronił. Jeżeli któryś potrzebował czegoś pożyczyć, albo pomocy jakiejś — szedł do Kazika, jak do własnej chaty, jak do rodzonego brata. A kiedy do Wończy do młyna, albo na rynek jeździł, to więcej spraw ludzkich, niż swoich załatwiał. Teraz: — kto dzieci starszych — was oto. co już na dużych chłopców porośli, nauczył po polsku czytać i pisać? Kto najwięcej księdza do chorych przywoził? Kto doktora? — Trzeba było komuś pomoc przywieźć, to tak: jednemu koń podbity, drugiemu otosy porwały się, trzeciemu do młyna trzeba było jechać, czwartemu baba czekała rozburzenia się i wreszcie nie było komu jechać. A Kazik nigdy nie odmówił. On nie pytał czemu ten, a ten nie jedzie. On nie znał w takich sprawach, co to jest słota, co to jest zawieja. On chorego ratował, on, jeżeli zdarzało się, że umierał, pomagał mi zawsze chować. On nigdy spowiedzi wielkanocnej nie opuścił, nie opuścił ważniejszej w kościele uroczystości i postu. I on też pierwszy poszedł w legiony, w polskie chrześcijańskie wojsko.

Jak on i gdzie wojował, ja nie będę mówił, bom z nim nie chodził i nie wiem. O tym powie któryś z was chłopców. Ja tylko mówię o uczynkach jego w Smolarni.

Życie jego całe składało się z uczynków miłosiernych, i ze służby bliźnim, Bogu i Ojczyźnie. A za tą służbę dostał nagrodę: — siedem kul przeszło na wylot!... Umarł śmiercią męczeńską...

Raz żywot spędził przykładnie i pobożnie, a umarł jako męczennik, tedy nikt nie zaprzeczy, że on świętym jest.

Kazimierzu! Królewiczu smolarski! — zwrócił się do trumny. — Nasłużyłeś się ludziom, naharowałeś za swój wiek, nacierpiałeś wczoraj bólu, ale już teraz Ci dobrze. Teraz jesteś szczęśliwy. Bóg Ci wyznaczył dostojne miejsce obok świętych w niebie i wśród nas też zajmiesz pierwsze miejsce. Narazie chowamy Cię w tym, które mnie podłemu było wyznaczone. Ale to tylko docześnie. Miejsce Twoje obok św. p. kanonika w podziemiach bobrujskiego kościoła, dokąd Cię zaraz, gdy tylko zastąpią legiony, z wielką paradą przewieziemy. Tu, na tym miejscu legnie Karol, tam matka Twoja, a z tamtej strony na widoku, wasi krewni. Wyście odtąd najważniejsi w Smolarni.

A Ładany, z których wywiódł się Twój zabójca, Judasz, zdrajca, Antychryst, co dusze diabłu zaprzedał, chytróść od niego przejął, nas oszukał, krew bratnią i łyzy rozlał, legną rządem hen tam pod płotem. Mnie proszę was — zwrócił się do ludzi — pochowacie w samym kącie obok Sycki samobójcy, bom najwinniejszy. Oto Mieczysław, Jan i Hilary wyczuwali w jego nawróceniu się podstęp, alem ja się bożył, przysięgał, i zareczał za nim łotrem...

My Ju—da—sze... zdraj—cy... ow—ce par—szy—we! — zajęczał żałośnie, chlipiąc.

Wzruszenie ogarnęło ludzi nad wielką desperacją starca i płacz poniósł się po całym tłumie.

Ładan chciał odplakawszy się trochę jeszcze coś mówić, lecz Piotrowski ujął go pod ramię i odprowadził na bok, mówiąc, ażeby już dał miejsce innym.

Na widownię wyszedł Stach, ustawił taboret, na który wskoczyła Wikcia, siedmioletnia siostra jego. W czerwonych z rzędami guzików bucikach, w białej w czarne groszki sukieneczce, z biało-czerwoną wstęgą u głowy, z czarną żałobną u pasa. Płowowłosa, a ciemnooka, zgrabna, żwawa, śliczna. Minka jej i oczęta, wobec ludzkiego płaczu i zarazem bawiącego ją tłumy, mieniły swój wyraz, niby to słońko w dzień lotu szybkobieżnych urwistych obłoków; to zapalały się jasną radością, to powlekały się cieniem smutku.

Podziwiali ją i miłowali wszyscy smolarzanie za jej śmiałość, fenomenalną pamięć i artyzm w deklamowaniu wierszy, przeważnie utworów brata, których znała na pamięć moc niezliczoną. Nieważne tam wiersze były samouka — w porównaniu z doskonałością terażniejszej poezji, śmiało rzec można, partackie, jednak — powiedziane ustami anioła w postaci Wikci, dla ludu smolarskiego, którego duszę autor znał na wylot i dla którego owe poezje tworzył, miały swą wartość i moc wielką.

Wikcia wskoczyła na taboret, zrzuciła z ramion w tył matczyną chustkę i powiódłszy w koło rączyną, miłym aksamitnym głosikiem wazwała:

— Nie płaczcie ludcy dobrzy! Uciszcie się!

Ażeby najpoważniejszy gospodarz — żeby nawet Karol, albo Piotrowski, rozplakane baby do spokoju wezwał, to by ich nie uciszył tak, jak to siedmioletnie dziecko. — Choćby chlipnęła któraś, choćby ktoś chrząknął — taka cisza po całych mogliłkach zapadła.

Powiodła tryumfującym wzrokiem po uspokojonym przez się tłumie, nabrała tchu i zaczęła:

W czas dawny — gdy nasi pradziady  
W zachodnich narodów ślady,  
Pogaństwa wyrzekłszy się czarów,  
Chrystusa przyjmowali wiare —

Król Wielki — rozkazaniem Bożym  
Najwięcej słowiańskie plemiona  
Jezykiem i dusza zbliżone  
Połączył — i Polskę założył.

Ludową Polskę zaczął — kmiecią  
I całą — największą w świecie.  
Hen! — od skał karpackich złoza  
Aż po Bałtyckie morze.

I od Łaby łużyckiej rzeki —  
Aż po naszego Dniepru brzegi.  
Gdzie Szkłów, gdzie Bychów, Rzeczyca —  
Tam Chrobry wytknął Polski granicę.

Ech! czasyż to kmiotkom były,  
Ze lepszych i życzyć nie trzeba!  
Było ludziom ziemi i chleba  
I była między braćmi miłość.

Lecz dzieci Chrobrego w przyszłości  
Nie mogły utrzymać w całości  
Złączonych przez ojca krajów  
I wrogi, jak głodnych psów zgraja,

Rozerwały Polskę na szmaty  
I lud Jej przez długie lata  
We łzach i we krwi się pławił.  
My przez ten okres bezprawia,

Gwałtu, krwi bratniej rozlewu,  
Pierwszy okres Bożego gniewu,  
Tu w nadberezynskich stronach,  
W tylu byliśmy szponach,

Że trudno człowiekowi spamiętać.  
Wpierw ruscy udzielni książęta  
To tu, to tam nas ciągli,  
Później znalazło Moskali,

Narzucając władzę zbrodniczo.  
Potem znowu Tatarów dzicze

Napłynęły ze Wschodu,  
Co z lada powodu

Palili, a ludzi w pień cięli.  
W końcu Litwini zajęli —

Naonczas jeszcze pogańskie.

A bywaliśmy też i bezpańskie.

Dopiero gdy książę Jagiełło litewski,  
Zawarł ślub z królową Jadwigą małżeński,  
Którym to Żmudzinów pochrzcili,  
Myśmy do Polski wrócili.

Odtąd, po latach niedoli i płaczu,  
Drugi okres się zaczął. —  
Okres wolności, dobrobytu,  
Potęgi polskiej szczytu,  
Bohaterstwa, — orlich wzlotów,  
Blasku, sławy — okres złoty.  
Gasiły się zgliszcza, trzebiły bory,  
Wznosiły wioski, świątynie, dwory,  
Zamki i warowne grody.  
A człowiek miał wszelkie wygody.

Każdy się czuł na swobodzie:  
Czy w mieście, czy w wiejskiej zagrodzie  
Czy w pracy, czy w mowie, czy w wierze.  
Rolnik miał pełne śpichlerze —  
Ziarna i siana adryńce.  
Kupcy zalegli gościńce.  
Znaleźli zajęcia: rzemieślnik —  
I rybałt i pasterz i leśnik.  
Pracy, dostatku i swobody ludzie mieli. —  
Jakich tylko chcieli,  
Po całe Rzeczypospolitej ziemi.  
I zażywali. A nad nimi  
Sztandar powiewał bogaty  
W prawdę i Orzeł skrzydlaty  
Z Pogonią u boku wesoło  
Spozierał. Świat chylił czoło.  
Tak wieki minęły w chwale  
Potędze i szczęściu. Ale,  
Że magnat przebrał miarę  
Wolności i Ojczyźnie wiare  
Złamał i Sztandar znieważył,  
Sam hulał swawolił, swarzył,  
Zaś chłopu, co prosił wolności daru  
Nie dał, a dołożył jeszcze ciężaru —  
Że aż grzbiet mu trzeszczał,  
Króla znowu nie słuchał i wrzeszczał  
Targając Ojczyznę — więc Ona zesłała  
Z boleści i biedna na ziemię upadła.  
Wróg za krzakiem schowany  
Podskoczył i włożył kajdany.  
Siliła się potem Matka Święta,  
By zerwać narzucone pęta.  
Lecz biedna już sił nie miała.  
Nie zerwała.

Znowu przyszła niewola, udreki  
Z moskiewskiego kata ręki.  
Chłopską zależność od pana  
W Moskwie wolnością nazwano.  
Kazali jeszcze lepiej przycisnąć,  
By nie mógł chłop i pisnąć.

Kościół zabrali zwyczajem  
Pogańskim, a ludność nahajem  
Zagnali do cerkwi, przechrzcili.  
Język na swoją modłę kręcili.  
Wszystkie duchowe zasoby  
Krzywili na swoje sposoby.  
Kto się buntował — car ścinał  
Wieszał, lub zsyłał na wyspę Sachalinu,  
W pustynie, w chłody lute,  
Na dozgonną pokutę.

Ale bracia!

Nie po to Bóg Polskę zaczął,  
By Ją na wieki zabaczył.  
Te wszystkie kaźnie, zsyłki —  
To tylko pokuta za ojców pomyłki.  
Wieszczę nasi w swoich poematach  
I dusze poległych w powstaniu,  
W polu i zamęczonych w kazamatach,  
Lub w Sybirze na zesłaniu,  
Które obcują z nami we śnie,  
Twierdzą — że Polska wskrześnie:  
Mocarna, szeroka, cała.  
Chyba już odpokutowała ? . . .

Nastała pauza. Cisza wkoło wisiała absolutna. Lecz krótko. Za chwilę tchnął ze wschodu wietrzyk i poniósł się po polu szept kłosów — łagodny, kojący, słodki, jak pieśń matczyzna nucona kołysanemu do snu dziecku. Na cmentarzu zaszleściły drzewa, zaigrało po mogiłach i wrzosach liśćmi słońko. A zaraz i puszcza się odezwała poważnym starczym głosem; zdało się, że starsze kilkowiekowe drzewa wszczęły z młodszym pokoleniem spór o opowiadaną przez Wikcię historię tej ziemi. A ponoć — przeżywszy tyle wieków dużo wiedzieć mogły . . .

Wikcia spoczęła parę minut, obejrzała się za bratem, skupiła myśli, zamknąwszy oczęta i dalej jęła szczebiotać:

Gdy mija dzień dżdżysty ponury,  
Gdy zaczną rozjaśniać się chmury —  
Słońko spadnie, zaświeci  
Wąskim pasemkiem i leci  
Po ziemi radując jasnością.  
A za nim z tą samą szybkością,  
Cień goni ze smutną swą miną.  
Ale przed drugą słońca laminą  
Ucieka. Czasem i słońce grzeje,  
A obok jak z cebra leje  
Grubymi ciurki  
Z małej na pozór chmurki.  
Albo pasmo w cieniu zginie, zatonie,  
Lecz patrzysz — świeci już w innej stronie.

To wszystko dowodzi,  
Że się wnet rozpogodzi.  
W terażniejszej zawierusze co leje  
Krwi rzeki, to samo się dzieje  
Gdy pioruny, gdy jeszcze  
Krwawe się leją deszcze,  
Już promień zza chmury tryska,  
Spada, czyni jasną wyspę  
I poi ludzi radością.

To — Legiony — zwiastuny wolności.

My gdy byliśmy w cieniu mroku  
I śmierć przy naszym boku  
Dniem i nocą chodziła, jak zmora,  
Spadł promień Dowbora  
Cień przegnał, blaskiem zaświecił  
I napełił radością. Potem odleciał.

O, Bracia, znad Drui, Berezyny, Swiśloczy!

Powiedzcie szczerze w oczy,  
Každy kto z was pamięta,  
Jak przyleciały nam Dowbora Orleća  
Zesłój osiemnastej wiosny,  
Czyż nie był to czas radosny?!

I my, i nasze chłopaki,  
Też nie chowali się w krzaki,  
Gdy pękły zapory caryzmu,  
Prawie nikt nie poszedł na lep komunizmu,  
Nie uległ wrażej pokusie,  
Lecz stawał w Polskim Korpusie,  
Pospołu ze swymi  
Walczyć za wolność swej ziemi.  
Zwykli na trud niewygody,  
Cierpliwie znosili pochody,  
Do boju szli z jawną radością  
I umrzeć umieli z godnością,  
Szepcząc za Polskę pacierze.  
Cześć Wam Berezynscy Rycerze!

Ty jesteś pierwszym z nich Bracie!

Bo dwa lata chodziłeś w szacie

Orlećej, w trudzie i znoju,

Stawałeś do każdego boju.

Tys innych do tego zagrzewał,

A męstwem i wolą nas zdumiewał!

Wczoraj, gdy napadli zbiry wściekle,

Tys im śmiało rzekł:

Tak — jam był legionistą,

Walczyłem o ziemię ojczystą,

Co wyście zajęli w drodze grabieży,

To do Polski należy!

My ją odbierzemy, gdy przyjdzie pora.

A teraz precz mi łotry ze dwora!

Zabrali i zabili prawem kaduka.  
Udała się łotrom sztuka.

Kaziku! Prawdziwy Lachu!  
Cały wiek swój stałeś na odwachu

Pomocy bliźnim  
I służbie ciemionej Ojczyźnie,  
Trwając przytem niezłomnie w wierze,  
Ze Ona po Dniepru wybrzeże.  
I śmiercią swą złożyłeś pieczęcie.  
Cześć Twej pamięci!

My też, co pamięć Twą czcimy  
W granicę dneiprową wierzymy.  
Nie tracimy ducha,  
Ze Bóg nas wreszcie wysłucha!  
Ze niedola nasza przeminie, przejdzie,  
Ze słońko wolności nam wszędzie.  
I zaświeci: na zamek w Świsłoczy,  
Na toń Berezyny, co się toczy  
Poważnie u zamku podnóża  
I cichym szeptem wynurza  
Skargi narodu.

Na zamek Starego Bychowa grodu.  
Na ziemię podślucką — jej czarne skiby,  
Co rodzi pszenicę, jak gdyby —  
To było prawdziwe Podole.  
Na twierdzy bobrujskiej topole,  
Na wieżę kościoła,  
Na miasta, siola.  
Na klin polski i kościół w Szaciłkach,  
Gdzie Dniepr z Berezyną po wielu wysiłkach,  
Łączą się w jedno łożysko.  
Na Rynię stare polskości ognisko,  
Na szosy bobrujskiej cieniste drzewa,  
Na mury Mohilewa,  
Na cerkiew z Białynicz z obrazem  
Cudownym, który i my czcimy razem  
Z greckiej wiary ludem.  
Bo miejsce gdzie Bóg objawia się cudem  
I oni i my i wszyscy inni,  
Czcic i szanować powinni.  
Na puszcze, na łęgi, na bory  
Na wioski, zaścianki, chutory.  
Na lud nasz szczerzy, gościnnie, otwarty  
I drużyny — duchowo zwarty.  
Otóż gdy przyjdzie ów czas nam wesoły,  
Gdy na wieżach cerkwi i kościoła  
Wybiją dzwony.  
Ze już kraj nasz z Macierzą złączony —  
My całą smolarską Siłą

Znowu przyjdziemy nad Twoją mogiłę,  
Podzielić się z Tobą radością.  
A teraz z największą dla nas przykrością  
I żalem po Twojej stracie,  
Rozstaniemy się miły Bracie.  
Duszą jednak będziemy przy Tobie.  
Ostań i śpij słodko w swym grobie!

Ledwo skończyła, gdy ją pochwyił w swe ramiona Ładan.

— Dziecko złote! Aniołku żywy! — wykrzyknął całując ją po twarzy i rączkach. — Bóg przez ciebie przemówił, aniołku drogi. Przez ciebie przyszłość Bóg zapowiada naszemu krajowi, tak, jak zapowiedział był przez swych aniołów narodzenie Izaaka i królowanie potomstwu poczciwego Piasta...

Przed trumnę wyszedł Kościk Wasilewski pożegnać bohatera w imieniu kolegów.

— Bracie, Prezesie i Komendancie nasz! — mówił.

— Smutek i boleść nam wielką sprawiasz swoim odejściem. Żałujemy Ciebie z całego serca, jako kolegę od lat dziecinnych, jako druha serdecznego, jako uwielbianego zwierzchnika i — jako zcięty kwiat życia.

Odchodzisz po długiej mozolnej pracy, po uciążliwym powziętym przez cię marszu, nie zaznawszy spoczynku i nie doczekawszy się owoców swego trudu — Odrodzonej Polski. Przez podły podstęp zbłąkanego brata odchodzisz, którego nie pozwalałeś nam usunąć z drogi, oszczędzając go z żelazną cierpliwością w nadziei, że w końcu się nawróci. — Wybacz — nie mogliśmy zdążyć z odsieczą.

Umarłeś śmiercią ciężką — cięższą od śmierci w chorobie na łożu i żołnierza w bitwie, bo — widoczną i świadomą. Nas to jednak nie odstrasza. Mord popełniony na Tobie nie ostudza pragnień naszych, nie mąci myśli, nie zachwiewa wiary, nie powstrzymuje dążeń naszych.

Bracie Komendancie! — stanął na baczność. — Melduję posłusznie w imieniu obecnych tu wartowników, że trwamy w wierze odrodzenia się całej — wraz z naszą ziemią — Polski i gotowości służenia Jej i oddania w potrzebie życia. Niechaj tylko zbliżą się — wszyscy idziemy.

Bądź o nas spokojny. Mieszkaaj tu w swoim nowym domku, słuchaj szumu tych drzew i puszczy, odpoczywaj ciałem słodko po ciężkich trudach, duszą gość między nami. Odwiedzaj nas, by nie brakło nam zgody i wytrwałości.

A gdyby tak życie nasze w niewoli bolszewickiej się przedłużyło, gdyby jeszcze któryś z nas wpadł w ręce zbirów i stanął w obliczu śmierci, tedy przybądź, wesprzyj, natchnij męstwem, by mógł tak, jak i Ty bohatersko umrzeć i zasłużyć na miano — jak powiedziała Wikcia — Prawdziwego Lacha. — Cześć!

— Cześć! Cześć! — zagrzmiało po tłumie.

Kantyczka pokropił święconą wodą z butelki dół i zaśpiewał:

Anioł Pański zwiastował Pannie Marii i poczęła przez Ducha Świętego.

Setki głosów drgających żalem wielkim, zachłystujących się płaczem, ciągnęło za Kantyczką ostatnią pożegnalną pieśń...

Zdrowaś Maria, łaskiś pełna, Pan z Tobą błogosławionaś Ty między niewiastami . . . . .

Wieczny pokój, wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie, a świętość wiekuista niech mu świeci, Amen . . . . .

Wieczny pokój, wieczne . . . . .

Sześciu mężczyzn wzięło trumnę na powrozy i spuściło ją pieczołowicie na dno dołu.

Zagruchotała po wieku trumny ziemia. Zasypywali Kazika na wieczny odpoczynek. Bez rydlów, garścią samą, cały dół wszyscy, bez różnicy płci i wieku, kolejno zasypywali. Ziemią wytrząsaną z korzonków, czystą, sypką, zroszoną łzami.

Zasyпали dół, ustawili krzyż, uklepalii mogiłę i złożyli na nią wszystkie wieńce i kwiaty — symbol czci swojej dla Kazika.

## X

### WILCZE ŻYCIE

O zabranych chłopcach, ani słuchu.

W poniedziałek o brzasku, drugi raz spadła obława na legionistów i Stacha. Nie przyniosła ona bolszewikom pożądanej zdobyczy i wcale nikogo ze smolarskich ludzi nie zdziwiła, gdyż oczekiwano jej dniem i nocą.

Nie znalazłszy poszukiwanych osób, bolszewicy zabrali z ich gospodarstw bydło. Co do sztuki zabrali w nadziei, że im uda się zmusić gospodarzy do oddania chłopców. Zabrali i powiedzieli tak: — Niech zgłoszą się dobrowolnie, to nie tylko bydło wam oddamy, ale i życie im darujemy; w przeciwnym razie dotąd będziemy do was jeździli i majątność brali, aż zostawimy w gołej koszuli, a gdy złapiemy pójdzie prosto “k stienkie”.

Za Stacha, na którym im widocznie więcej zależało niż na innych, oprócz bydła, zabrali jeszcze i ojca.

To samo, następnego dnia, uczynili w okolicy. Starego Wasilewskiego zwabiwszy przez zarząd lasów do gminy, również zatrzymali. Ale dobytku jego nie udało się zagarnąć.

Gdy któregoś dnia, doprowadzona zdradziecką ręką dwudziestka bolszewików na leśniczówkę przyszła, znalazła gołe ściany budynków. Wasilewscy na czas tego “beżhołowia” kompletnie z całym dobytkiem przenieśli się do lasu.

Obrabowani smolarscy gospodarze, ani myśleć nie chcieli o bolszewickim warunku wydania synów. — A cóż to my “Azijaty” jakie, żeby dzieci swe sprzedali za bydło?! — mówili. — Niechaj biorą, ale chłopców nie wydamy. A co nam starym mogą zrobić? Co rodzic za dorosłe dziecko może odpowiadać? Dużo Jasia ojciec nawrócił? A gospodarka, to rzecz nabyta. Może da Bóg, że jeszcze w zębach zrabowanie nam wróca.

Leśne, wilcze życie odtąd dla smolarskiej młodzieży się zaczęło. W domu nie nocował żaden. Legioniści, to nawet na łące rzadko się pokazywali. A Kościk ze Stachem zupełnie znikli z ludzkich oczu. Na

nich najwięcej nalegali bolszewicy. Za wszelką cenę, postanowili "kontrrewolucyjnych prowodyrów" zdobyć.

Kiedy zabranie inwentarza i uwięzienie rodziców nie skutkowało, w Smolarni, Jamach, Polankach, Ubereziu i innych pobliskich wsiach wywiesili takie ogłoszenie: — "Kto Konstantyna Wasilewskiego i Stanisława Bałaszewicza dostarczy władzom żywych lub umarłych, względnie ułatwi ich ujęcie — dostanie tysiąc rubli w złocie za głowę nagrody. A jeśli to uczyni dezertter, albo jakiś inny winowajca — tedy oprócz złota będzie mu służba we wojsku i wina darowana..."

Gdyby nie troska o rodziców, Kościk ze Stachem gwizdali by na takie ogłoszenie; — pewni byli, że chociażby złote góry za nich ludziom obiecali, że choćby cały korpus wojska, by ich ująć, przysłali, to z puszczy ich nie dostaną — jednak myśląc, że nieobecnością swą powstrzymają bolszewicką zawziętość i zaoszczędzą rodzicom, przykrości, puścili pogłoskę, że idą w świat i zapadli w lasy, jak w wodę.

Jak wilki skradając się przed ludźmi, włóczyli się jak pustelnicy, żywiący się owocami puszczy, w odosobnieniu od świata mieszkali. Ciszy, swobody, paszy, wygód wszelakich w łonie dziewiczej natury zażywali miarą pierwotnych, przedpotopowych ludzi. Żywili się całą gębą, mięsem wyborym pojmanych zajączków i młodego ptactwa, jajami wybieranymi z gniazd, surowizwą jabłek dzikich i rzepy kradzionej z ogrodów, słodyczą jagód przeróżnych, miodu świeżego — prosto tak po niedźwiedziemu z ula, niekiedy garścią kartofli, lub okrajcem chleba, dobytym nocą z leśniczówki; sypiali na poduszkach mchów, pierzynach zgarniętych w hurbę liści, mówili z lasem, słuchali ciszy. Lato już dojrzało w pełni, świat dniem i nocą oddychał aksamitnym ciepłem, lasy obfitowały w dary Boże.

Nie rozłączali się ze sobą nigdy. Kościk wodził Stacha, pokazywał mu, uczył go posiadanej wiedzy i wprawy, jak stary wytrawny wilk nie-doświadczonego rocznika. Wskazywał mu najciemniejsze, najgłuchsze zakątki puszczy, najokazalsze drzewa, uczył go wabić zwierzynę i ptactwo, czołgać się długimi stajaniem po wilczemu na brzuchu, przesadzać jednym susem blisko dwusążniowe rzeczulki, biec boso lotem łosia po złomach, chróście, trzęsawiskach, a nogi nie ranić, ptaka nie płoszyć, nie grząść, uczył go rozhoworu leśnego: wszystkich tonów szumu, huków wrzających burze, znaczenia skrzypu pokutniczych drzew: które za dziecinne duszyczki bez chrztu pomarłe, które za dusze w czystości cierpiące, które za znachorów, czarnoksiężników, topielców i samobójców z miłości pokutowały.

Nigdy długo w jednym miejscu nie przebywali; zawsze chodzili coraz inną ścieżką, zawsze nocowali w innym miejscu. Przechodzili bory, łągi, błota, krążyli po zagajnikach wokoło Smolarni, chutorów, ale najczęściej przebywali w puszczy. Niekiedy, to aż w samo serce, aż za drugi łąg, gdzie niczyje było nie dochodziło, gdzie rzadko człowiek dochodził, Kościk prowadził.

Był to naprawdę dziewiczy kąć, w którym od początku świata, można powiedzieć, siekiera pnia nie tknęła. Za przedwojennych czasów, dziedzic w niektórych częściach puszczy po trochu sprzedawał jesiony na obwoły do kół, które czernihowscy kołodzieje parzyli i gieli na miejscu; innym

razem olchę na dyktę, znajomym wysłużonym chłopom pozwalał kiedykolwiek osinę zciąć przy brzegu na czółno, na koryto, na niecki do kąpania niemowląt, albo starą lipę złupić na łuby do wozów, ale za drugim łęgiem nikomu nie sprzedał, ani pozwolił wyciąć prętka nawet. Rodziły się tam drzewa same z nasienia wrzuconego przypadkowo, albo pędem ze starego pnia i naturalna starczą śmiercią umierały.

Ocalał ten kąt i przed chłopską swawolą siedemnastego roku; budulcu wszelakiego okoliczne wsie miały poddostatkiem blisko swych granic, a zdzierołyków odganiał istniejący od niepamiętnych czasów przesąd o rzekomym zamieszkiwaniu za drugim łęgiem "nieczystej siły". Leśnicy nawet rzadko tam wkraczali raz że bali się tego samego przesądu, po drugie dziedzic surowo zabraniał ploszyć zwierzyne.

Czasami tylko śmielszy któryś zaszedł w brzeg i najwyżej od starej zmurszałej brzozy odłupał siekierą kawałek czeczotki na tabakierkę, albo jemiółę urwał, albo jakąś samorodną krzywiznę na płozy wyciął i tyle. Lecz zdarzało się, że skradzioną tam białą rzecz odnosił z powrotem.

Tak, opowiadał Kościak, przydarzyło się było Hawryle z Uberezia. Wyciął był jesionową krzywiznę na podsanki, to mu co nocy dotąd "czerci" się śniły, aż sanki rozebrał, odniósł płozy, gdzie wyciął i posłał do Wończy popowi ośminę grochu za "żertwu". Tak się zdarzało.

A Kościak znał to sanktuarium nadberezynskich puszczy na wylot i teraz dumnie dzielił się tym znawstwem ze Stachem.

Przeszedłszy za łęg rozzuwał się, kazał rozzuwać się Stachowi, potem prowadził go za rekaw skradając się bezszelestnie i szeptem na ucho, objaśniał lasu dziwy: — Oto tam przy tym kurhanie znalazłem martwego łosia i uciałem mu rogi, te same co mamy w chacie; w tych złomach w dwunastym roku dziedzic podjął niedźwiedzia; w tamtym wiodą się dzikie pszczoły; to Lech, to Barbara, to Sobieski, to Chrobry, to Zygmunt to Jadwiga. Godne podziwu, drzewa kolosy, starcy, miały nadane przezeń imiona królów polskich, dlatego, iż rzekomo narodziły się w okresie ich panowania.

Najwięcej zdziwiły Stacha: jodła Jadwigi i dąb Chrobry. Niewiadomo czy Jadwiga mogła mieć pięćset lat żywota — jak wiadomo przecież jodły rosną szybko — jednak kolos to był niespotykany. Wyższa była o jakie dziesięć sążni nad cały las. Nieba zdała się dotykać wierzchołkiem. W trójwidłach obwieszzonego szyszkami szczytu widniał zwój chróstu podobny do olbrzymiego wiewiórczego gniazda. Kościak mówił, że gnieździły się tam orły.

Chrobry przechodził wszelką wyobraźnię o leśnych olbrzymach. Mógł naprawdę pamiętać czasy Bolesławów. Pień u dołu miał ponad sążniową średnicę. Samych rozłożystych konarów jednymi ramionami by nie obchwycił. Kora pnia u dołu poorana była głębokimi brózdami, wyżej zaś i w niektórych miejscach konary obrosłe brodatą siwizną mchów. I zdrowiem jeszcze oddychał; niektóre jego liście tak były olbrzymie, że na jednym bochenek chleba by się zmieścił. W koło na jakieś dziesięć sążni — żeby choć chróścinka, żeby choć trawka — tak wszystkie z gleby soki smok ściągał.

Patrzyli nań obaj za każdym razem z podziwem i należnym patriarsze szacunkiem, zapadając myślą w czasy jego dzieciństwa.

— Ot, gdybyśmy tak narodzili się razem z nim i przeżyli — dotąd, to byśmy już mieli co ludziom opowiadać — zauważył Stach pewnego razu.

— A ja bym tego nie chciał — odparł Kościk.

Dlatego, że nie lubiła by cię wtedy takiego starca Karusia?

Nie odrzekł na to nic.

Dużo było tam drzew starych i olbrzymich, godnych podziwu. Wiele zgrzybiałych, napoty uwiedłych, wypróchniałych. Niektóre tak były wypróchniałe, tak cienką warstwę zdrowego pnia u dołu miały, że aż dziw brał, jak one się jeszcze trzymały. W paru dziuplach wiodły się dziko pszczoły ślepniami zwane, huczało od nich potęgą roju, jak z młyna.

We wschodniej stronie tego dwuwiorstowej szerokości ośrodka puszcz leżała bagnista kotlina, w środku której, na małej wysypce w kilku olchowych dziuplach chroniła się legionowa broń i odzież. Jeziorko to raczej było zabagnione. Pokrywały je miejscami pływające słabe kozuchy darni, miejscami kępy rohoży, trzciny kopytniku, miejscami szklila się woda. Zielona, mętna i bezdenna woda. Kościk mówił, że raz mierzył długą żerdzia, ale dna nie dostał.

Na wysypce dochodziło się sekretnymi, niewidzialnymi, z mętnej wody lub bagna, kładkami. Przyniósł je Kościk wyciosane z daleka. Do ułożenia używał specjalnie zbitej tratwy, którą potem rozebrał i rozniósł po lesie.

— No, i jak ty sobie myślisz, dobre to miejsce na taką schowę? — chciał się zawsze Kościk.

— Po wiek wieków nikt sam nie znajdzie — chwalił Stach. — Ale gdybyśmy tak obaj nie wyjawiliśmy tajemnicy zginęli, zginie i zerdzewieje schowa.

Czasami odwiedzali Parnię, zeszlóroczne obozowisko wartowników. Siadali na kłodce w wysokiej i gęstej pokrzywie porosłej na miejscu spalonej komendanckiej chatki i gwarzyli zawzięcie o dniach, kiedy powiewała tam biało-czerwona chorągiew. Powtarzali sobie ilu i jakich ludzi już było się zeszło, ilu miało przyjść, kto do jakiego kurenium należał, kto jaką funkcję spełnił i potem kleli nadberezyńskie ziemianstwo za ich przedwojenne niebraterskie, pogardliwe traktowanie uboższej ludności, za ich absolutną bezczynność w kierunku podniesienia wśród tej warstwy pobratymców oświaty, za niewykorzystanie, podczas pobytu Polskiego Korpusu i okupacji niemieckiej, możliwości wspólnego zorganizowania się i wreszcie za tchórzliwą ucieczkę.

Wyczerpawszy temat zapadali obaj w głęboką zadumę. Nadzwyczaj lubili marzyć na świeżym ciepłym jeszcze popiele palącego się przed niespełna rokiem stosu uczuć patriotycznych, porywów wzniosłych, setnej gromady najlepszych z okolicy polskich synów. Kościk nieraz tak głęboko się zamyślał, że zapominał nawet, iż nie jest sam; chmurzył czoło, ruszał ustami, uśmiechał się błogo, czynił rękami różne gesty.

— O czym tak szepczesz? — zapytał Stach, pewnego razu.

— Kto, ja? — obudził się.

— A jużci, że nie ja.

— E, nic... Ułańskie czasy mi się przypominają — wymawiał się.

— Ale po chwili się przyznał.

— Wiesz co, Stachu? — powiedział.

— Co?

— Przychodziła wtedy do mnie hołubka moja.

— Niby Karusia?

— Tak, ona orliczka.

— A pewnieś marzył, draniu o tym, ażeby cię ujrzała w honorach?

— Mówię ci, że była.

— Mnie nie nabierzesz; wiedziałby o tym każdy bękart.

— W przebraniu przychodziła i nocą, więc nikt jej nie poznał.

— Nie łiesz?

Kościk pobożył się, uderzając w pierś.

Stach patrzył nań chwilę z pogardą, potem odskoczył na przyzwoitą odległość i dawał wymyślać:

— Cham! Brutal! Błazen! Zdrajco!

— Czemu?

— Nadużyłeś władzy! Zdradziłeś tajemnicę! Zawiodłeś zaufanie!

— Jak to? Czemu?

— Sprowadziłeś ją gwałtem dla zaimponowania jej komendantem, albo może...

— Milcz, bo mordę zbije! — krzyknął Kościk podskakując. — Niech mnie nagle krew zaleje, jeżeli ja coś podobnego pomyślałem! Sama przyszła. Nie ja tajemnicę zdradził, ale Norba.

Od Polki się dowiedziała i przyszła nocą samiusienka.

Usadowił go znowu i opowiedział całą rzecz od początku do końca.

— Szalone ty szczęście do tych bab masz — zauważył Stach.

Najpiękniejsze kraski same za tobą chodzą.

— Bujaj jak sobie chcesz, ale nie mów, że ją gwałtem sprowadzałem, albo, że zawiodłem zaufanie.

Pewnego ranka zbudziła ich ze snu burza. Niebo było pogodne, ale wiały ze wschodu silne wiatry i tarnosiły puszcze, że aż strach!

— Zmykajmy czym prędzej z lasu, bo jeszcze któremuś sęka w siadaczkę zagoni — zaproponował Stach.

— Uciekać... w burzę... z puszczy?! Ja w burzę robotę rzucam i idę w nią słuchać i lubować się, a nie to ażebym z niej uciekał. To rozkosz! Pójdziemy w jedno miejsce, pokażę ci jej taniec.

Upiekli w popiele po garncu dzikich jabłek, posilili się, potem Kościk zaprowadził do Hawryłowej z ulami jodły znajdującej się na szczycie jednego z pagórków falistego terenu, zalesionego najróżnorodniejszym gatunkiem drzew. Potężna była dzierzawiona przez Hawryłę do hodowli pszczoł jodła — prawie jak Jadwiga wysoka.

— Poleziemy na wierzch — powiedział.

— Zwariował chyba?! Pomóc burzy wywrócić drzewo i połamać kości.

— Jak nie wywróciła się tyle lat, to i teraz się nie wywróci. Kroplą w morzu my na niej będziemy wobec ciężaru jej własnego ciała i mnóstwa ulów.

Odnaleźli ukrytą w złomach przez pszczelarza sękatą, odrobioną, mocną żerdź, przystawili, wleźli na pomost, a stamtąd po wbitych do pnia między ule drewnianych kołkach, później po sękach, wspięli się, jak

można najwyżej. Na sam szczyt chwiejny i huśtający się z wiatrem. Stachowi, nieoswojonemu z podniebną huśtaniną, trzepotało się z trwogi serce, niby ten jagni ogonek, jednak powoli od sęku do sęku się ośmielał i za towarzyszem wciąż się wspinał.

— Patrzcie teraz i lubuj się — rzekł Kościk już na szczycie.

Byli wyżej ponad wszystkie drzewa, ponad cały las.

Puszczą wrzała. Jak morze wzburzone, jak bitwa zajadła. Jak grunwaldzka bitwa, jak wiedeński pogrom Turków. Jak okiem w koło dojrzeć gnały mieniające się barwą i kształtem niezliczone hufce, dopadały siebie chwytaly się w objęcia i jedno z nich po krótkim konwulsyjnym wstrząsie rozbijały się na drobne wątki, rozplýwały, gasły, drugie — obróciwszy się wirym rytmicznie, szły dalej wspólnie. Niektóre naraz stawały, cofały się nagłym skokiem w tył — jakby dojrzały przed sobą groźne niebezpieczeństwo, czekały chwilę, aż drugi z tyłu nadbiegnie i swym pędem do dalszego biegu popchnie. Tu i ówdzie pojawiały się czasami olbrzymy potworne, które płynęły jedną nieskończoną lawą zagarniając mniejsze bez wyłomu w swym szyku, bez najmniejszego drgnięcia, wciąż rosnąc i potworniejąc. A wszystko w jednym i tym samym kierunku spieszyło wyścigiem, jakby to dwie przeciwne sobie armie gdzieś na rozgrywającą się walną bitwę, wynik której był zależny od tego, czyje hufce wprzódy dopadną. Cała ta wojująca gonitwa grała bezustanku symfonią przeróżnych szumów, gwizdu, wycia, ryku, grzmiała hukami walących się drzew, wyrzucała w powietrze roje liści i obłoki kurzawy. Prawdziwa bitwa.

Kościk promieniejący uniesieniem rozglądał się parę minut w koło, potem utkwiał wzrok w stronę dokąd wiatry gnały hufce i jał odmawiać do puszczy hymn pochwalny — może kiedyś wyczytany i zmodyfikowany podług własnych uczuć, a może w chwilach wielkiej tęsknoty podczas ułańskich wędrówek po bezleśnych krajach, zrodzony w jego głowie w całości.

— Puszczę święta! — wołał. — Biblio najprawdziwsza! Ogrodzie rajski! Komoro nieprzebranych pokarmów i bogactw! Skrzynio tajemnic i leków czarodziejskich! Matko przytulna!... Ty rysunkiem pagórków, dolin, łągów, kurhanów, glebą nietkniętą, rośliną dziewiczą piszesz najprawdziwszą historię tej ziemi od początku świata. Ty owocem swoim dokarmiasz, a łykami obuwasz tysiące ubogiego ludu. Ty leczysz ich potęgą ziół swoich. Ty wiatry chłodne powstrzymujesz, a cieniem swym i wilgocią upały chłodzisz. Przygarniasz słabszych i pokrzywdzonych przed prześladowczą ręką silnych. Oślaniasz przed niepożądanym okiem i uchem zwierzchności miłosne kochanków, ich pocałunki, objęcia i nie zdradzasz przed nikim tajemnicy. Ty świeżością swą, zapachem, pieśnią natury, koisz ból, dajesz słodkie wytchnienie, lejesz obfitym potokiem zdrowie i rozkosz.

Rodzicielko moja! Kolebko miła! Nianko troskliwa! Nadziejo szczęścia mojego!...

W sercu Twym, w złomach wykroci na świat przyszedłem. Owocem Twoim surowym, sokiem czystym, przy ciągłej pieśni szumów Twoich wyhodowałem się i sił nabrałem. Ty mi zapewniasz pobranie hołubki mojej.

Choćbyśmy braci naszych z zachodu wcale nie mieli doczekać, choćby ręka bolszewicka miała ścigać mię długie lata, choćby cały świat stanął na drodze połączenia się z Karušką, to Ty jednak staniesz przy mnie, ochronisz mnie i pragnienie moje ziścić dopomożesz. Porwę wtedy ją, uniosę w serce Twoje za drugi łęg i tam trybem praszczurów naszych w dziuplach drzew żyć z nią będę.

Skończył i spojrzął na kolegę badawczo. — Na ustach Stacha błąkał się uśmiech.

— Czego się śmiejesz? — zapytał. — Że ja gadam do lasu?

— Nie. Śmieje się, bo mówisz, że porwiesz ją i w puszczy żyć dziko z nią będziesz.

— Jeżeli nie będę miał innego sposobu, to jak Boga kocham porwę!

— Gwałtem, jak ruski Stieńko?

— Po co gwałtem. — Jeżeli do mnie sama wtedy do lasu przychodziła, więc chyba kocha mię. Jak ty uważasz?

— Nie tyle, ile ci się zdaje. Przychodziła wtedy na Parnię, bo jej chciało się koniecznie zobaczyć nasz obóz; łaskawsza na ciebie niż na innych chłopców, boć tymi czasy w modzie jesteś; ale gdyby tak, co nie daj Boże, sprawa nasza się nie udała, gdyby wróciły ruskie carskie czasy — wtedy byś zobaczył, jak gust babski naraz by się zmienił. Wtedy byś zobaczył, jak wróciła by moda na takiego Arcyszewca, Blina, Juszke i innych im podobnych glinogryzów. Ja ci mówię.

— Karuška nie łakoma na ich folwarki. Mówiła mi, że chłopiec, który myśli tylko o samym bogactwie, nie ma dla niej żadnej wartości. O, moja Karuška to zupełnie inna dziewczyna.

— Zupełnie inna — przedrzeźnił. — Ach, jakiz ty naiwniak jeszcze! Każdy chłopiec tak, jak ty wklepany, wierzy, że jego wybranka, to wyjątek na świecie, każda wybranka zapewnia swego chłopca, że tylko jego osobiste walory ma na względzie, ale każda mówiąc to, w myśli liczy ile on ma majątku. Głowę dają odciąć, że Bylina, jak wszystkie baby, łakoma na wygody.

— Ona u mnie będzie miała wygody książęce.

Stach pokiwał głową z politowaniem.

— Póki ty czegoś dostukasz się, bratku, to i zsiwiejesz. Dziewczyna już dojrzała i dziesięć lat na twoje wygody czekać nie będzie. Że do lasu z tobą żyć nie pójdzie, to już ręczę. Aj-jaj-jaj! Jaki ty naiwniak! Jak Boga kocham dziwię się, że tobie dali w ulanach naszywkę. —

Patrzył sporą chwilę na coraz wzmagające się huśtanie lasu, potem rzekł:

— Wiesz, brachu? — I mnie się podoba to kołysanie. Ot — jakby to żytko w wielkim polu przed samą gradową nawałnicą buszuje, jakby przeogromna woda kipi; drzewa zdaje się gwarzą po ludzku i kłaniając się zwiastują jedno drugiemu wieść jakąś bardzo ważną, a pilną strasznie. Nieprawda?

Kościk nic nie odrzekł. — Obejrzał się — nie było go. Spojrzął w górę, w dół — też nie ma. Zlazł natychmiast z drzewa i znalazł kolegę o kilkanaście kroków od jodły pod krzakiem. Leżał skulony i szlochał.

— Kościk! braciszku! — zawołał. — Czego ty? Co ci się stało?

— Coś strasznie smętno mi się zrobiło — odrzekł chlipiąc.

— Nu ot: tu weseliłeś się, śpiewałeś — tu już strasznie smętno. Co ci jest, bratku?

— Przeczuwam, że mi ją złoby odbiorą. Nie moja ona, przeczuwam już.

— Przeczuwasz. Ty się boisz, a nie przeczuwasz. Widze, że do serca wzięłeś moją paplaninę. Ja na żarty powiedziałem.

— Powiedziałeś na żarty, ale prawdę. — Póki ja czegoś się dostukam. — zsiwieję.

— A ja gdzie będę? To ty na mnie liczysz? — Ja ci, braciszku, pomogę. Ot zobaczysz. Jeżeli Polska się nie wydzwignie cała i Moskale po tym bezhołowiu zaprowadzą na naszej ziemi stare porządki, wtedy pojedą do stryjów i po paru miesiącach przyślę ci dwie szyfkaty. Zechce z tobą jechać do Ameryki — dobrze; nie zechce — to będę ci przysyłać co miesiąc po sto dolarów, byś mógł założyć sobie rychło gospodarkę. Za dwa lata będziesz miał chutor, że ci zazdrościć ludzie będą.

— A jak bolszewicy na zawsze pozostaną, wtedy co?

— Jak bolszewicy? — Wtedy bedziemy o tym myśleć. Wiem tylko dobrze, że Karusia z żadnym komunistą na małżeństwo się nie zgodzi, a dotychczasowi twoi rywale stracą przy bolszewikach na wartości, bo ci ich zrównają z bobyłami. Nie bój się — Bylina twoją będzie. Ot zobaczysz!

Kościk pochwycił kolegę w ramiona. — Braciszku! — zawołał. — Jeżeli twoje słowa się sprawdzą, to ja ciebie rozcałuję! Ja tobie do śmierci służyć będę!...

## XI

### KATORŻNIK

Po dwóch bez mała tygodniach wzięni smolarzanie zaczęli wracać. Przyspieszył to stary Piotrowski, który zaraz po obławie, zostawiwszy sianokos, zebrał po sąsiednich wsiach podpisy i dotąd jeździł do gminy i powiatu, dotąd kołatał w urzędach i u znajomych sobie wpływowych żydków, aż sąsiadów uwolnił. Najpierw przyszedł Jan Bałaszewisz, za nim Wasilewski, potem Michał Sciepurow i Paweł Tryzno. A za tymi na drugi dzień pojawili się dwaj rekruci: Władek Winiarski i Romek Oleński. Aż z Homla uciekli, zaraz po włączeniu ich do pułku. Brakowało jeszcze tylko Karapuzego, którego też oczekiwali z dnia na dzień, bo chłopiec to był nadzwyczaj żwawy, a bolszewików bardzo nienawidził. Przepowiadały rychły powrót Karapuzego też i sny Jani Sokołowszczanki jego wybranicy, której kilka nocy z rzędu się śniło, że wciąż wybierał się do legionów i z nią się żegnał, co według ziszczania się snów w przeciwny sposób, miało oznaczać witanie się. Tymczasem pierwszy przywłócił się ten, o kim nikt nie śnił, którego nikt nie oczekiwał.

Zwykłego powszedniego przed południem, bawiące się przy brodzie dzieci, nadbiegły z krzykiem alarmując matki, że przeszedł kładki i zdaża ku Smolarni niezwykły człowiek: wariat, albo katorżnik.

— Może to starzec, a wam tylko się zdaje? — niedowierzały matki.

— A nie, nie starzec, bo cały oberwany i do siebie mówi.

Rzeczywiście niedługo ukazało się jakieś osobliwe indywiduum: bosi, odzież w strzępach, bez czapki, włosy rozczochrane. Szedł powoli i kulał trochę.

Dzieci, wyrostki i kobiety, które były w domu, zaczęły przy kołowrocie się gromadzić, przypatrując się obdartusowi z wielką ciekawością, a niemalą też i trwogą.

— Po mężczyzn na łąkę lecieć — podała jedna. — Niektórzy są już w domu — oznajmiła druga. — Kołowrót zawrzec! — zakomenderowała inna.

Niektórzy z wyrostków rzucili się na zaścianek w poszukiwaniu mężczyzn, drudzy zawarli kołowrót. Ale zaraz nadszedł stary Ściepuro i kazał z powrotem rozewrzec, stojąc przy prawie, że drogi nikomu nie wolno zagradzać.

Człowiek zbliżał się, zaciekawienie przyglądających się rosło. Szedł coraz wolniej i stękał boleśnie. Odzież była na nim tak zniszczona, że na ramionach i kolanach świeciło nagie ciało. Lecz twarzy spod spadającej na nią rozczochranej gęstwiny włosów, dojrzec nie było można.

Zbliżywszy się na jakieś dziesięć, kroków, stanął i ku ogólnemu zdumieniu pochwalił po ludzku Boga:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków. Amen — odpowiedziało parę głosów. Innym jednak urwała się odpowiedź w połowie.

— Baby, ta toż Jaś! — poznał Ściepuro.

— Jaś! Jaś! Zabójca Kazika!... Zdrajca! Antychryst!... Uciekajmy! — wołały kobiety i dzieci rzucając się w panicznym pośpiechu, jak przed zapowietrzonym, w ucieczkę. Niektóre zęgnęły się po drodze. W pół minuty, z całej gromady przy kołowrocie Ściepuro pozostał sam. Jaś stał w miejscu zdumiony.

— Co?! Jak?!... Dziadzio!!... Kazika zabili?! — pytał odrzucający osłaniające twarz włosy.

— Czy zabili Kazika? Ach, ty parszywiec! — rzekł Ściepuro drżącym nienawiścią i oburzeniem głosem. — Nie oglądajcie się tam, baby, i zamykajcie za sobą wrota, bo szatan nowe nieszczęście dla waszych synów niesie! — Zawołał w stronę zmykających kobiet, które i bez tego dość strachu miały.

— Boże! Co się stało?! Mówicie, dziadzio, że Kazika zabito? Ja nie wiem...

— Ha, ty nic nie wiesz! Niewiniątko jakie... Myślisz, że nikt cię nie poznał, jakieś przebrany za żebraczkę, przywiódł komisarza. Szelmo! Gad podkłodny!...

— Jaka żebraczka?! Ja nic nie wiem. Co, wam, dziadzio?! Boże!... Ja na front chodziłem! W turmie bolszewickiej siedziałem... O mały włos nie zginąłem. Jam cały w ranach i ledwo na nogach się trzymam... Co, wy dziadzio, na mnie?!... Odpowiedzcież, jak i co się stało? Biedny Kazik! — Mówił i zbliżał się powoli.

— Nie zbliżaj się do mnie! — krzyknął Ściepuro — bo chociażem stary, ale ci tak jeszcze lunę, że zębów nie pozbierasz! Patrzajcie go, on ranny!... On na froncie był... Ach, ty parszywiec! Ach, ty szelma!

Kazika wyprawił na tamten świat, a teraz znowu z chytrą szatańczą po któregoś przyszedł! O, nie uda ci się wziąć już żadnego. Dostyc już! Wracaj, gadzino przeklęta, skąd przyszedłeś, bo wśród nas nie ma ci miejsca!

Naklął, odszedł w podwórko i zatrzasnął za sobą furtkę. Jaś pozostał na ulicy sam.

— Boże mój! — wołał błagalnie, wznosząc ręce ku niebu. — Tyś świadkiem mojej niewinności. Tyś widział, gdzie ja przez ten czas był. Wskaż, błagam Cię, sprawcę Kazikowego nieszczęścia, bo na mnie niewinnego podejrzenie spada. Zginąłeś, Kaziku biedny... Gady nieszczęsne...

Stał pewien czas samotnie o ostrokół oparty, jęczak, wzywał Boga, potem powłókł się ulicą dalej.

U jego zagrody czekał nań ojciec. Stał oparty o odrzwia furtki trzymając za scbą ukrycie drewniany tłukacz od stupy. Zdał się nie patrzeć w stronę syna.

— Tatko! — zaczął Jaś idąc, gdy już się znalazł o kilkanaście kroków. — Mówią, że Kazika zabito i że ja winien jego śmierci. Czy i wy tak samo utrzymujecie?

Stary milczał.

— Ot jaka napaść niesłuszna może się wydarzyć! Jakże wy tu się macie, tatko? — pochylił się do ręki.

Tłukacz w rękę ojca zatoczył w powietrzu młyńca i pomknął na głowę syna. Ale ten w ostatnim momencie pochylił głowę w bok i cios spadł na ramię.

— Ojej! — jęknął boleśnie. — Czemuż to, tatko?!

— Nie wszędzie stopa twoja na moje podwórko, wyrodku parszwy! Wynoś się, żeby cię oczy nasze nie widziały więcej! Skuło ty serc naszych — kłął stary.

— To niesprawiedliwie, tatko. Nic nie winienem Kazikowej śmierci. Teraz dopiero się tego dowiedział. Spod frontu polskiego wracam. Wielkie męczarnie wielką pokutę odbył...

— Choćbyś szatanie dzień i noc szczeakał, to już nikt ci nie uwierzy. Ani słuchać twego łągarstwa nie chcę! Idź precz stąd! — zamierzył się powtórnie tłukaczem postępując naprzód.

— Pójdę, tatko, pójdę — mówił pokornie. — Nie będę się odbijał i gwałtem do chaty nie wejde. Inną ja już drogą idę. Zniosę pokornie wszystko. Z woli Bożej za dawniejsze moje grzechy ta niesłuszna na mnie napaść. On wie co czyni... Zniosę... Pójdę choćbym z osłabienia miał paść na drodze... Ale kto będzie żył, dowie się z czasem prawdy. Zostańciez tatko, z Bogiem.

I poszedł w stronę Uberezia — wolniej i stękając boleśniej niż przedtem.

Opustoszała i cicha podczas jego przejścia ulica, po jego oddaleniu się, stała się rojną i hałaśliwą. Wszystko co było po domach wytoczyło się na ulicę. Rozbrzmiewały przekleństwa, wołania do Boga o pomstę, rodziły się domysły co do nowych szelmoskich zamiarów.

— Nie udaje się oblawa i obietnicami — mówili — to go znowu na szpiegi wysłali! Prędzej powiadomić chłopców, ażeby pozaszywali się daleko w puszcze. I z bydlęm żeby pastuch nie wracał, bo ostaniemy

bez jednego ogona. — Już nowe szelmostwo wymyślili... Wtedy żebraczką był, a teraz już rannym... A co wy myślicie, taki szelma to i naprawdę mógł sobie jakieś rany pootwierać. Jak czego zechce, to na nic nie patrzy. Jeżeli ma rany, to ażeby mu do śmierci się nie pogożyły! Żeby on szubienicę wprzódy, a nie syna mego ujrzał! Żeby on na tamtym świecie po jasnym żelazie boso chodził, jak teraz za dziećmi naszymi chodzi! — przeklinały baby.

Ale obok płomieni nienawiści, przekleństw, zgadywań nowych szelmowskich zamiarów Jasia, znalazły się też głosy i w jego obronie.

— A może on i naprawdę niewinien? — powiedział Tryzno. — Ja jak myślę, to wciąż mi się zdaje, że on nie mógł w tej żebracze się zmieścić.

— I mnie też — przytwierdził Hilary. — Może on naprawdę chciał, jak mówi, przedrzeć się przez front, wpadł w ręce bolszewików i był katowany. Niewinnie może napadamy, a to wielka krzywda — coraz więcej rodziło się głosów powątpiewania.

Zastanawiało wszystkich zdumienie Jasia, naprawdę bolejący wyraz twarzy i pokora, z jaką zniósł uderzenie i wygnanie ojca.

Pod koniec namiętnej o nim rozprawy, już więcej głosów było w jego obronie, niż potępienia. Znaleźli się nawet tacy, którzy chcieli gonić go, zawrócić i wybać dokładnie. Jednak nie uczynili tego.

## XII

### “UHOŁOWNE DIEŁO”

Wieczorem Henuś Zdanowicz, który pomagał gromadzkemu pastuchowi bydła odbywając kolejną powierniczą przypadającą Sokołowski, przyznał się pod sekretem gospodarzowi, że w bohunie w chojniku za poparem widział Jasia. — Odszedłem ja — mówił — w bohuny za swoją potrzebą, usiadłem i słysze — ktoś za wierchowiną jęczy: Oj! Oj! Ojej!... Przypomniałszy sobie, że to dniem Jaś jęcząc drogą się włókł, od razu pomyślałem, że to musi być on. Wstaje ja prędko, podwiązuje się, skradam, patrzę. — On. Leży twarzą do góry z zamkniętymi oczami, jęczy i dryga nogami, a muchy tłuste nad nim rojem, bo to paskudnie od niego śmierdziało.

— Dawność to widział? — pytał Sokołowski.

— O, już było późnowato; cień wtedy mierzyła siedem kroków. Dotychczas kipnął, nie ma co.

— A mówiłeś już komu?

— Michaiłu tylko. On mi zakazał rozpowiadać. Powiedział: ani pary z łapy nie puszczaj, bo to, “uhołowne dieło” i do śmierci po turmach mogą ciągać. —

— Prawda, sprawa to uhołowna — potwierdził. — Nie rozpowiadaj nikomu broń Boże!

— Mówiąc tak przed Sokołowskim, Henuś zełgał trochę: — już był powiedział o tym samym Karusi.

Ta również nakazawszy milczenie, pobiegła i oznajmiła to Zdanowiczowej. —

— Trzeba zawiadomić mężczyzn, rodziców — zaproponowała Zdanowiczowa.

— Broń Boże, ciocia! Któryś z zazwiątszych nań chłopców gotów pójść i dobić, jeśli żyw jeszcze. A może on i nie winien? Różnie w zaścianku zaczęli mówić o nim. Lepiej, gdy ściemnieje się, schodzimy doń same.

— We dwie?! Możemy też wziąć ze sobą siostry jego. Ale już wtedy je zawołały, gdy będziemy odchodziły, bo gotowe rozpowiedzieć i wszystko zepsuć.

Zgodziły się.

Kiedy koniuchy odjechali, o godzinie już mniej więcej dziesiątej. Karusia, Zdanowiczowa i obie Ładzianki, wykradły się gumniskami z zagród i wąskim pasmem zarośli, zwanym pogonem, przecinającym na połowę pole, leżące w tym roku poparem, szły w stronę boru. Kluczem jedna za drugą, bez gadania i starym rowem porośłym rdzawym mchem szły, bo noc była księżycowa i z drogi leżącej o dwa krótkie stajania, łatwo miejscami mogły być widziane i słyszane. Niosły ze sobą na wszelaki wypadek zwój starego miękiego płótna, dzban wody i gromnicę.

Minęły pole, potem młody, sosnowy, krótki las i znalazły się przy poroślej bohunem nizinie, gdzie według wskazań Henusia, miał się znajdować dogorywający Jaś. Stały wszystkie kupą przy sobie i wsłuchały się.

— Z głębi niziny dochodziło monotonne dudnienie rozmowy — jakby modlitwa, jakby czytanie Ewangelii, jakby huczenie starego, rudego olbrzymiego trzmiela.

Patrzyły na siebie pytająco i z trwogą.

— Już ktoś przy nim jest — ozwała się szeptem Karusia.

— Może to w gorączce tak dudni — zauważyła Zdanowiczowa.

— A może ze współnikiem, z komisarzem — dodała Zosia.

— Wiecie co? — powiedziała Karusia — to jest, jak najlepsza okazja do wyświetlenia całej sprawy.

— Podkraść się i podsłuchać? — rzekła Zdanowiczowa.

— Tak. Jeżeli przy nim ktoś obcy, to choćbyśmy i nie podsłuchały o czym mówią, będzie rzeczą jasną, że szelmostwa; jeżeli w gorączce — to wtedy dowiemy się czegoś z jego paplaniny. Trzeba tylko tą okazję dobrze wykorzystać i cicho niepostrzeżenie się podkraść. Ciocia z Bornią niechaj tu zostaną, a my ze Zośką podkradniemy się.

— Nie, nie, my też pójdziemy razem — zaprotestowały obie, widocznie bojąc się same zostać.

— Jak już tak bardzo chcecie, to chodźcie.

Rzeczy posiadane złożyły przy krzaku, a same na czworakach, jedna za drugą, po mchach, pomiędzy krzewami bohunu, cicho i powoli skradały się w stronę słyszanych głosów. Dudnienie rozmowy trwało bez ustanku. Po kilkudziesięciu krokach przystały i znowu wsłuchały się. — Najwyraźniej słychać było słowa:

— Jezu miłosierny! Matko najświętsza! Ukróćcie moje męczarnie.

... Da, da, na stronę białych, ku swoim przechodziłem... Ubiejtje!...

... Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko, naszymi prośbami nie racz gardzić w potrzebie... abyśmy się stali godnymi

obietnic Pana Chrystusowych... Nu czort z wami towarzyszy, dajcie wody. Łyk jeden dajcie proszę was!... Stamtąd przyjdzie sędzić żywych i umarłych i nie wódz nas na pokuszenie, ale zbaw ode złego Amen...

— W goraczcze i niewinny — orzekły jednogłśnie. Wstały i prosto ku niemu poszły. — Leżał przy wierzchowinie, na prawym boku, pod głową mając kępe. Na ich zjawienie się, ani się poruszył, ani przerwał paplaninę.

— Jasiu, co ty bredzisz? co tobie jest? — ozwała się Karusia.

— Ubiejtie mienia, a z wami nie pójdę!...

— Kto cię będzie zabijał, Jasiu? To my, swoje.

— Boście łgarze bezwstydni! Na okrucieństwa "białych" pomstujecie, a sami we łzach i krzywdzie ludzkiej się kąpicie...

— Co tu z bezpamiętnym gadać — wtrąciła Zdanowiczowa.

— Gorączkę on wielką ma. Leć Zośka po wodę!

Uniósł się szybko siadając, jakby sprężynowy.

— Ha, tak i dacie wody?! — mówił gorączkowo. — Dajcież! Dawajcież prędzej wodę! — chwycił niewiasty za spódnice i ciągnął kurczowo ku sobie.

Zośka migiem skoczyła po wodę i przyniószszy podała mu prosto ze dzbaną. —

Ujął dzban rękami i pił chciwie i długo nie dając odjąć. W końcu popuścił. Odsapał się i jał rozglądać się jakby z głębokiego snu obudzony.

— Kto wy? — spytał.

— Swoi: ja Karusia, a oto Zośka i Bronia siostry twoje. — O Zdanowiczowej przemilczała w obawie, by nie uczyniło to na nim złego wrażenia.

— To ty Zośka, siostra moja?! — zawołał. — A tatkoż mnie jak psa wygnał... Wszyscy ode mnie uciekli, jak od zaraźliwego... A jam przecież niewinny!... — załkał i odwalił się na ziemię.

— Wiemy już wiemy, żeś niewinny — wzięły się wszystkie go uspakając.

— Tato cię teraz przyjmie i ludzie uwierzą, przebaczą. Uspokój się. Cóż ci dolega?

— Plecy moje, w słućkiej Czeaka nahajami posieczono, rozgnoły się.

### XIII

## ODWAGA I GENIUSZ MIECZYKA

Pokosili łąki i późneli żyto, a w Smolarni nic zasadniczo się nie zmieniło. Jasia, który okazało się naprawdę był poraniony, rodzice z boru zabrali i troskliwie leczyli. Do jego zeznań o perypetiach z bolszewikami, niektórzy odnosili się z pewną dozą nieufności. Karapuzy po blisko miesiącu ćwiczeń w Smoleńsku, zwiął i ku ucieście rodziców, a jeszcze więcej stęsknionej za nim Jani, szczęśliwie wrócił do domu. Raczej do lasu wrócił, bo cała młodzież, jak i przedtem musiała się kryć po lasach. Watahy bolszewickie zbrojne do Smolarni przejazdem i umyślnie zaglądały często, jednak obław, na wzór pierwszych dwóch i zabierania dobytku, więcej już nie było.

I nie sprawdzały się przepowiednie smolarskich gospodarzy: chleba nowego się doczekali, a włodarze wciąż byli ci sami pogańscy. Co prawda to niewielki jeszcze chleb był, bo wobec tłumnych we młynach zawozów, męto po trochu w domu na żarnach, jednak — każdy już go miał i narzekaniem na głód nikt przeciw Bogu nie grzeszył. A ten i ów, wybiwszy z większego kope, albo drugą i do młyna zdążył zawieźć.

Stary Piotrowski, gdy uprząłnął swe łąki, aż dwa worki namłócił i do młyna przygotował. Zbierał się jechać na noc, w nadziei, że prędzej uda się zmachlować i zmleć bez kolei od razu.

Namaścił tłusto koła, wypakował zieloną wyką drabinę, założył klacz, wrzucił worki, wziął na wszelki wypadek dwie huńki, bo to ze wschodniej strony deszczowa chmura wisiała, i o zmroku wyjechał.

W połowie drogi do Wończy zagrzmiało. Ale w przeciwnej, widzianej wieczorem chmury, stronie — z zachodu.

— A może to już wreszcie legiony? — pomyślał. Spojrzał w widniejszym miejscu na niebo. — Czysto, — gwiazdy wszędzie.

— Pewnie mi się przysłyszało — niedowierzał sobie. — Jak to mówią: “wilku w uszach zawsze piszczy”. Od tak długiego czekania naprawdę może w głowie się pobuntować.

Po jakim kwadransie, znowu w tej samej stronie zagrzmiało: Hrrr! hrrr!... hrrr!... hrrr!... — czterokrotnie.

Stary aż zawiercił się na siedzeniu. — To harmaty... Musi coś być, nie ma co!... Dałbyż Bóg!... Czas już, ażeby tą szac pogańską, puszczoną na pokaranie ludzi, wreszcie zabrał — mówił do siebie, poganiając szybciej klacz.

Znalazłszy się przy rozstajach, zamiast do Wończy zawrócił na dalsze o 12 wiorst Kuncewicze, dlatego tylko, że leżały bliżej Berezyny i mógł tam prędzej czegoś o tym grzmocie się dowiedzieć.

Blisko godzinę z przerwami grzmiało, potem ucichło.

Około jedenastej stanął przy koncewickim młynie. Zawozu — aż trzeszczało. Plac zastawiony furmankami, że ani się przeszyć; przy sankach windujących zboże na górne piętro — tłum. Dużo furmanek stało założonych — jak do odjazdu.

— Hej stary! — zawołał jeden z bliższych zawoźników na Piotrowskiego. — Zawracaj lepiej od razu i jedź do domu, bo nic nie zrobisz.

— Czemu nic nie zrobię?

— Za łby się wodzą przy koszu. Widzisz, że niektórzy spuszcżają na dół niemielone.

— A to czegoż ich trasca bierze?

— Jak to czego. — Według wojny.

— Jakiej wojny?!

— Pytasz jakby teraz z Sybiru przyjechał, albo cały miesiąc spał. Wojny z lihonami, z wułanami polskimi. Co nie wiesz, że wczoraj Bobrujsk zabrali?

— Breszesz?!

— Wot, jeszcze breszesz. Jej Bohu zabrali! Zabrali Bobrujsk, przeszli Bierozu i dalej żywo idą. Jutro już mogą być tu. Wieczorem obóz bolszewicki do Kuncewicz zajechał. A cóż to nie słyszał, jak niedawno grzmiało?

Piotrowski zdjął czapkę i podrzucił ją wysoko w górę.

— Niech żyje Dowbór Muśnicki! — zagrział na cały plac.

— Niech żyją Legiony! Chwała Ci Boże, że tą dzicz bolszewicką zbójczką zabierasz! Damyż my teraz temu azjackiemu pogaństwu, że tylko kurzyć się będzie! . . .

— Ale odwaga u ciebie stary! — mówili zawoźnicy, patrząc nań.

— Dziwicie się, bo mię nie znacie pewno.

Nie myślał wracać nie zmejszy. Odjechał na wolne miejsce ku płotowi, stanął, podrzucił klaczy wyki, potem wyjął sworzeń, ukrył go pod kurtką za pas, pod jeden łódziec wziął jeden wór, pod drugi drugi i prosto schodami zaniósł, aż na górne piętro.

Przy koszu ludzi z dwadzieścia. Czterech z odwiązanymi workami gotowych do sypania siedziało. Dwóch z nich sprzecząc się o kolejkę, podsuwało sobie pięści pod nos.

— Ja za Maksymem przyjechał i teraz za nim mnie sypać należy się! — Zawodził chłop młody lat dwudziestuparu, w wojskowej bluzie i furacze na potylicy.

— Maksym nie po zakonu wsypał: jam daleko wcześniej przywiózł — odpierał starszy nieco, w prostej siwej kapocie.

— Ja nie widział kiedyś przyjechał; ja przyjechał za Maksymem i za nim będę męł. — Zabieraj wór, bo mordę zbije!

— Ja cie udusze, hołomyrzyk, ty sobaczy!

— Nie kłóćcie się, dzieci, przy koszu, bo dar Boży możecie rozsypać, a to grzech wielki — wmieszał się Piotrowski podsuwając między nich do kosza i swój wór i rozwiązując go, jak oni.

— A tyś co za jeden?! — zwrócili się doń obaj.

— Mieczysław Piotrowski ze Smolarni, Lach ten sam co to za młodu u grafa za obieszczyka służył, jeśli łaska wiedzieć, smyki — przedstawił się.

— I czegoż leziesz?! Kiedyś przyjechał?

— Teraz dopiero worki wniósł — oznajmili ci co go widzieli.

— Jakim że prawem leziesz?! Won stąd! — krzyczał młodzieniec w czapce na potylicy.

— Prawem starszego — odrzekł Piotrowski. — Zdaje mi się, że pare dziesiątek starszym od ciebie smarkaczu. Twój baćko bez portek jeszcze chodził, a jam już wasy jako i teraz miał.

— To mi mało obchodzi! Won od kosza! Teraz ja sypię.

Piotrowski milczał i pilnie śledził ubywające szybko ziarno i ruchy chłopca. Gdy znikła ostatnia garść, chwycił rywalowi za worek, przytrzymał i puścił swoje.

— Hop, hop! — krzyknął na dół, że już innego idzie.

Młodzieniec wskoczył i wyrznął dwukrotnie apleuchę.

— Wot tobie, łaska morda! Wot tobie!

Stary potrząsnął głową, jak to koń czyni, gdy mu bąk rudy w grzywe się wplącze.

— Twoja apleucha dla mnie, chłyście, tyle co pstrzyczka — powiedział spokojnie, wysypując resztę zboża z worka.

Wstał, chwycił nagłym skokiem lewą ręką przeciwnika za plecy, przechylił, jak małego chłopca przez kolano i dawaj dłonią kleić w siadaczkę, za każdym razem przymawiając:

— A masz! A bierz! A znaj, jak porwać się na starszych! A kundel! A pastuch! A koniokrad!

Przyglądający się temu ludzie z gromady, aż za brzuchy się brali ze śmiechu. Niektórzy jednak stanęli w obronie chłopca.

— Nie dać swojego, bratcy! — zaczęli. — Cóż on, laska jego mać, wyspał bez kolei i jeszcze się rozbija, siłę tu swoją pokazuje! Dać staremu! Dać Lachu! Brać go chłopcy! Związać! — podburzali jeden drugiego i w groźnej postawie przybliżali się.

Piotrowski uwolnił ofiarę, potem sięgnął po sworzeń i zatoczył nim młyńca w powietrzu, że aż zahaczało.

— Komu życie niemiłe, podchodź! — ryknął. — jak kabanów po jednemu będę tłukł i wyrzuciał przez okno. Podchodźcie!!

— Widzicie go ze sworzeniem umyślnie na bójkę przyszedł! To rozbójnik! Wołać z dołu naszych co mocniejszych parników. Milicję wołać! Rzucić węń czym popadło! Związać go! — nie przestawali złorzeczyć, ale tymczasem zaczęli powoli ku ścianie się cofać i jeden za drugiego kryć.

Nie życzył sobie z ludźmi poważniejszej teraz bójki, widząc tedy, iż żaden się nie ośmiela, wsunął sworzeń za pas, wyspał resztę żyta i pobiegł na dół.

W korycie, mąki przez ten czas już pudy dwa zebrało się.

... Uczeplił worek i dawaj rychło zgarniać. Po chwili usłyszał za sobą znajomy głos po polsku.

— Dziadzio! Ten chłyst, coś mu olatek nakleił, poleciał po milicję. Uciekajcie. Ja za was zmielę i odwożę.

Obejrzał się i poznał młodszego syna Brylewskich z pobliskiego Kunczewiczom chutoru.

— Michaś — zawołał radośnie. — Wiesz, że legiony już idą?!

— Wiem... Chwała Bogu!... Ja mówię, że ten chłyst po policję pobiegi. Uciekajcie.

— Czegóż ja mam uciekać?

— Zastrzelić mogą. Wszyscy widzieli, jak na placu czapkę w górę na wiwat legionom podrzucali, a na bolszewików pomstowali.

— A to prawda — zaniepokoił się. — Dużo tu naszych we młynie?

— Mój stryj tylko i Władek Witkowskich.

— Macie co przy sobie?

— Ze strzelbów nic. A co? Może o walce z milicją myślicie?

— Powystrzelalibyśmy ich, jak zający, teraz nie ma co się bać.

— Ani myślij dziadzio o tym, bo zginiesz. Nie wiesz, że obóz bolszewicki w Kunczewiczach kwateruje i że ćma tu ich. Uciekaj!

Piotrowski skrobał się w potylicę i myślał. W końcu rzekł:

— Masz sworzeń oto i idź podgoń mi drabinę. Na kłaczy...

Ostatnia po tamtej stronie... A stryju i Władku powiedz, niech pilnują i gdyby coś tego... zauważyli — dajcie mi znać...

---

Koguty pierwsze na północ zaczynały pisać, a Piotrowski wyjeżdżał z Kunczewicz. Dostał parę razy po uszach, ale zuchwalca poskromił, zmeł i umknął szczęśliwie. Tryumfował.

Poganiał rychło, oglądał się, od czasu do czasu, czy go nie gonia i rozmyślał, co tu wróciwszy począć: czy zwoływać z lasów chłopców,

czy też nikomu nic nie mówiąc, jechać na spotkanie legionów samemu. — Ono to lepiej by hurtem było: — można wystąpić... odciąć coś... rozbroić — no, ale nim się ich poznajduje w lesie, a zbierają się — dzień, a nie to i więcej przejdzie. Może już być za późno. Długoż na dobry ład od Berezyny tu przyjść? A po prawdzie to znowu i nie wartoby było smarkaczów powiadomić; — gotowi wtedy sami beze mnie polecieć. Za nic starego człowieka, młokosi mają... Niech by sobie gołopucy siedzieli w lesie i czekali, a stary tymczasem... Zobaczą...

Nie życzył w duszy swoim chłopcom zła, jednak, od zeszłej jesieni, czuł do nich żal za pominięcie go w przygotowaniach do powstania i zbiórce. —

Gdy wrócił, zajechał pod "powiętkę" i prosto, nie odkładając, wszedł do mieszkania i obudził córki.

— Co nie zmęłeś? Zostawiłeś we młynie? — pytały zdziwione przedwczesnym powrotem.

— Zmleć to zmęłem, ale wstawać mi rychło! Gdzie Gniady?

— Na rżysku za sadem — odrzekła Maryla.

— Idź Marylo, odłóż klacz, zaprowadź ją na rżysko, a Gniadego stamtąd zabierz, napój, pociągnij zgrzeblem i osiodłaj. A ty Małgorzata, dostań mi białą koszulę, portki i wydrzyj onuce czyste.

— Gdzie... tato?! Co się stało?! — zawołały.

— Nie wasz babski interes! Robić co każe i basta!

Uwijał się szybko, ale ubierał się akuratnie, jak do kościoła.

Napełnił przy studni koryto świeżą wodą, umył w nim głowę, nogi, zmienił bieliznę, wdział nowy garnitur, wciągnął lepsze buty, potem skoczy do łaźni, wyjął ze strzechy ukryty karabin i naboje i dawaj to czyścić i opatrywać.

Córki w płacz i lament: — Co się stało, tatusiu?! Gdzie się wybierasz z karabinem?! Co czynić myślisz?!

— Na polowanie jadę.

— Nocą?!... Na koniu?!... Na jakie polowanie? Osierocić nas chcesz!... Bolszewicy napotkają cię z bronią, to od razu zabiją!... Mów! gdzie jedziesz?! — dopytywały się.

— I cóż wy suczki sobie myślicie, że baćko wasz już tak z rozumu zjechał, że z karabinem będzie się pokazywał bolszewikom?! Ha! Nie bójcie się — w różnych ja za swój wiek perypetiach był, a zawsze wychodził cało. Milczeć! bo postronkiem jedną i drugą!

— Kiedy wrócisz?

— Nie wiem, może za dzień, może za dwa.

Aha... Gdyby o mnie w zaścianku dopytywano, powiedzcie, żem nie wrócił z mlyna.

— Jakże tak możemy mówić, kiedy widziano jak pojechałeś na klaczy? — zauważyła Małgorzata.

— Nic, powiedzieć, że klacz mi za brodem zaczęła się kłaść, więc wróciłem i wziąłem Gniadego. Drabinę schowajcie.

Zaządał jeść, ale wzruszony do głębi płaczem i troskliwością córek, nie mógł przełknąć. Łyknął parę razy samego mleka, chleb zaś wsunął do kiesieni. Wdział burą, samodziałkową, jak frencz szytą świtkę, prze-

rzucił za plecy karabin, ucałował czule obie córki, wyszedł, dosiadł Gniadego i ruszył.

Córki odprowadziły go aż na ulicę.

— Ale tatuś, gdyby nie broda, to w siodle na Gniadym z tym karabinem za plecami akurat, jak prawdziwy ułan — zauważyła Maryla odmykając na ulicę wrota.

— Nie łiesz, Marylko?!...

— Jak Boga kocham, jak ułan! potwierdziły obie.

Ścisnął upasionego konia obcasami pod brzuch i skokiem fantazyjnym z miejsca pognał.

Pochwała córek lży mu z oczu wycisnęła.

— Dobrzy synowie, ale też dobre i córki — mówił do siebie wyjechawszy na wieś. — Może nawet lepsze... Synowie, przez samą tylko zazdrość, nie powiedzialiby tego ojcu. Już by smyki sami chcieli na konika siadać, a staremu kazaliby na przypiecku siedzieć. Oho!...

Ażeby was, lisiczki wy moje drogie! Nieba wam uchyliliby! Jak wy dla mnie, tak ja dla was. Dla was cała ziemia, gospodarka i siły, praca moja aż do śmierci. Nie, nie będę się żenił, bo bym wtedy mógł uszczuplić was posąg.

Hm, powiadacie suczki, że ułan; — jakież to ze mnie ułan, raz nie mam szabli, ani ostrogów?...

Za brodem zjechał na zimową trel, bowiem już świtać zaczynało i na smolarskiej drodze można było spotkać nie tylko cywilnego przechodnia, którego przed czasem nie życzył sobie widzieć, ale też i bolszewicką zbrojną watachę.

Mknał trelą zimową, potem drożyną łączącą chłopskie samotne polany, dalej ścieżką przez wiejskie bydło wydeptaną, w końcu prosto naprzecią, przez bór, gaje, łęgi. Obeznany był z lasem. Kierował się prosto na Bobrujsk. Co parę wiorst stawał, nadśluuchiwał, czy czasami gdzie nie zagrzmi i dalej sypał.

Dzień zaczął się chmurny, niepewny, potem jednak rozjaśniło się i wyjrzało wesoło słońko.

Cień ludzki przedpołudniowy zmniejszył się już do czterech kroków, kiedy Piotrowski wyjechał na wąską, a bez końca długą dzielankę wyrebu w rządowym lesie.

— Trzeba spocząć — powiedział sobie napotkawszy bujnie zatrawioną małą dolinkę, a przy niej wabiący ku sobie piękny kurhan. — Latka już, jakby nie było, w żyłach jeszcze czuję krzepkość, ale często ciągnie na bok. —

Stanął, zarzucił powodzie na kulbakę i puścił konia na trawę, sam zaś zafajkował i odwalił się na ostonieczną stronę kurhanu. Dymił, patrzył na las i myślał:

— Psiakrew, coś nie grzmi już więcej! A może od Berezyny dalej nie pójda? ... A może wcale ich nie ma, może mnie chłopci okłamali? ... Nie, to nie może być. — Michaś z Władkiem to samo mówili. Gdyby tak nie przyszli — sianowato byłoby mi w Smolarni. Było w kunczewickim młynie dość takich, co mnie znają skąd i co... Wtedy tylko do lasu z chłopcami. Niech Bóg nie daje!...

Tak myślał, a tu naraz, jak wczoraj: Hrr!... Hrrr!... Hrrr. I to blisko.

Zerwał się i dawaj miarkować gdzie to może być:

— Tu słońce, tam Smolarnia, tam Kuncewicze, a tu muszą być — Popławki, albo — Studzionka. Prędzej Studienka. Po parominutowej pauzie znowu czterokrotnie zagrzmiało. Wskoczył na konia i pomknął w kierunku grzmotów, które już nie ustawały.

Po godzinie szybkiej jazdy, wyjechał na szerokie pole. Studzińskie to było, od razu poznał. W północno-zachodniej stronie, o jakie dwie wiorsty z hakiem, w dolinie widniały końce zórawi i dachy budynków. Widać było, że o nią bój się toczył. Grzmiało ze wszech jej stron. Po prawej stronie, pod lasem, mniej więcej, u wejścia do gościńca, wzbijały się w rytm grzmotów słupy dymu; na połowie wsi — jakby kto bób do próżnej beczki sypał, turkotały kulomioty; w lewo nieco, w odosobnieniu wsi na wzgórzu, buchały płomienie palącego się budynku.

— Dawajcie tym pastuchom, dawajcie, chłopczyki drogie! — mówił Piotrowski przypatrując się z brzegu lasu. — Znaczy się to jest prawdziwa wojna?... Hm, choć to o parę wiorst stąd, ale żadnego strachu nie czuję. Cóż to ja gromu nie słyszał, ognia nie widział?!... Być osaczonym przez ćmę pijanego chłopstwa na kiermaszu, a nie, przez bandytów — jak to owej jesieni było — wtedy dopiero w pięty kłuje...

Nie wiedział co czynić; czy jechać tak, jak stoi, czy konia i karabin ukryć w lesie, a samemu iść pieszo. Gdyby wieś była już w ręku legjonistów — lepsze było to pierwsze; gdy zaś w bolszewików — należało iść pieszo, bo inaczej by zginął. Ale znowu i konia samego tu w pobliżu strzelaniny obawiał się pozostawiać.

Po dłuższym namyśle, zawrócił w lewo i pojechał brzegiem lasu spodziewając się napotkać kogoś z mieszkańców Studzionki. Od czasu do czasu wyjeżdżał na pole, stawał, słuchał, przypatrywał się. Ale ciągle ten sam grzmot, turkot a ludzi — choćby gdzie jeden.

Zajechawszy tak na przeciwko wsi, postanowił wleźć na drzewo i z wysoka rozejrzeć się. Rozgląda się wkoło za czymś wyższym — i widzi, przy samym polu dęb ogromniasty stoi. Z podkurem i ulami. Przy pokurze akurat i ostrą — żerdź sękata przystawiona.

— No, chociaż swe koście poturbuję — ale gdy się wgramolę na wierzch, bitwę dojrzę — pomyślał.

Podjeżdża, staje i patrzy w górę czy łatwą będą sęki. — Ktoś na samym szczycie siedzi. Studziński ktoś, bo w siwej świtce i łapciach.

— Hej! kto tam?! Zła! — krzyknął gromko.

Świtka przywarła się szczelnie do pnia i znieruchomiła.

— Zła powiadam, kto tam jest, bo zestrzele jak wrone! — powtórzył po rusku i gromczej, zdejmując jednocześnie karabin.

To poskutkowało: świtka z łapciami zaczęły szybko zsuwać się w dół. Za parę minut stanął przed Piotrowskim siedemnastoletni chłopiec. Błady, jak trup i drżący, jak w febrze.

— Jak zwac? — rozpoczął Piotrowski badanie.

— Ko—ko—ko—kola — jąkał się ze strachu.

— Baćko?

— Ihnat.

- Matałachami wasz piszą?
- A, to wy nas znacie, towarzyszczy?! — poweselał.
- Towariszcz?! Ach ty sukinsyn! — Toś szpieg bolszewicki?! Znaczy się ciebie tu bolszewiki wsadzili abyś wypatrywał nasze polskie wojska i im potem donosił! Takież ptaszek?!
- Chłopiec zbierał jeszcze więcej i zdjął czapkę.
- Panok! Nie, panok! Ja tak sobie wlaż. My w oleszniku na Zmyrcie konie ukryte pasiemy, aby bolszewiki w obóz nie zabrali, trasca ich matary!
- Pobóz się!
- Jej Bohu, panok! — uderzył się z całej mocy w pierś.
- Dobrze. Powiedz mi teraz, coś widział z wierzchu? Ale prawdę, bo mnie nie okłamiesz!
- Wasi na łągu, około Kuksiakowej puni, most jakoby przez rzeczkę majstrują.
- Most tam majstrują?! A czemuż nie idą tym co na gościńcu?
- Jakżeż, nie wiecie, że bolszewiki za sobą dziś rano zerwali?!
- Wiem, czemu nie. Ja tylko chciałem przekonać się czy wszystko, tak, jak jest mówisz. No, a cóż to pali się?
- Magazyn gromadzki.
- Dobrze. To we wsi znaczy się jeszcze bolszewiki?
- Muszą być. Widać jak z tamtej strony wsi sznurują po ogrodach, trasca ich matary!
- A gdzie i czyje harmaty stoją nie widać, nie wiesz?
- Nie wiem, panok.
- Aha. Powiedz mi jeszcze, które to gumno Emiliana?
- A wy i Emiliana znacie?
- Ja wszystkich znam. Ale ty mnie nie pytaj, a mów!
- Oto ta, — druga od buślanego gniazda.
- Widze. Teraz masz konia, prowadź go na Żmyrkę, tam do swoich i paś go z reki. A uważaj, ażeby ani rzemuszek mi ze siodła nie zginął, bo głową wtedy odpowiesz!
- Poklepał konia po szyi na pożegnanie i poszedł pomiędzy mendle żyta w kierunku Emiliana stodoły. Dużo tu wśród starszych miał znajomych, co do których pewien był, że w wypadku, gdyby przyczepili się doń bolszewicy, źle o nim nie zaopiniują, jednak Emilian był pewniejszy.
- Ach, ty, pastuchu! — mruczał pod adresem chłopca idąc.
- Jaż tobie dam towarzyszczy!... Córki powiedziały żem podobny do ułana, a on mnie za bolszewika bierze. Patrzajcie go?! No, alem strachu mu dał. Biedna Proska, nie domyje się mu portek.
- W połowie drogi obejrzał się wkoło, wsunął karabin w jeden z mendli, pochylił mu na bok czapkę, by potem go poznać i poszedł dalej bezbronny.
- W miarę, jak się zbliżał do zabudowań, niepokój go ogarniał. Bitwa grzmiała, wyła lotem pocisków, trzeszczała strzałami karabinów maszynowych i ręcznych. Miarkował po strzałach, że bój się toczy za wsią.
- Ależ te pogaństwo i trzyma się długo!! — dziwił się. —
- I pewnie — póki się przeprawią przez rzekę. Ech, gdyby tak w czterdziestkę jaką z tej strony wpaść! — nie wiedzieliby gdzie uciekać.

W stodole znaleźli pustkę. Szedł dalej. Na podwórku też pustka. Wrota od ulicy zaparte na zawałę. Szedł do chaty. Odemknął drzwi do sieni — i spotkał gospodarza.

— Aj! Piotrowski!... Bratok!... Jakżeż ty?! Kędy! — zawołał.

— Legiony mamy! Bracie Emilianie!

— Aj, bratok, biją się! Sachrani Hospodi!

— Gdzie, na ulicy?

— I, pewnie... Nie wiem.

— Czyż przez okna nie widać?

— Cóż mnie życie nadojadło, ażeby tam patrzeć?! Kule szyby w oknach tłuką. W stopce wszyscy moi siedzą ukryci. Ja tylko chyłkiem do komory tu wróciłem, aby poprawić jedną schowę na wszelki wypadek. Gdybyśmy wiedzieli, że tu bitwa taka będzie, to by do lasu uszli.

A ty jak się tu dostał?

— Przez lasy. Pomagać przyleciałem.

— Komu pomagać?

— Już ci, że nie bolszewikom! A tybyś pewnie chciał im pomagać?! Emilian machnął ręką. — Trzeba to ci na stare lata?

— Dawajże wyjrzymy przez okno na ulicę — rzekł Piotrowski, kierując się ku drzwiom. — A prawdaż — u ciebie na strychu okienko jest od ulicy — przypomniał sobie, dojrawszy przystawioną na strych drabinę — powiedział i ją gramolić się po niej.

— Piotrowski! Bratok! Opamiętaj się bo zhiniz! — ostrzegł gospodarz, ale widząc, że Mieczyk na jego słowa nie zwraca uwagi, sam także polazł za nim.

Wleźli, wytarli rękawami zakopczone szyby i wyjrzeli na ulicę. — Bolszewików, aż roło się. Cofali się — zaraz poznać było można. Gnali co koń wyskoczy we wschodnim kierunku, ambulansy sanitarne, wozy z kulomiotami i amunicją; płynęły beładne tłumy piechoty. Niektóre grupy przystawały między budynkami i strzelały w kierunku ogrodów na oślep. Ale natarcia wojsk polskich za dachami budynków nie można było dojrzeć.

Piotrowski wskoczył ze zwinnością chłopca na wiązanie krokwi, wyłupił w samym szczycie słomianego dachu otwór i wysunął głowę. — Otwarty był widok na całą wieś i okolicę jej. Rzuci oczyma na ulicę, na rzędy budynków, stojących po przeciwległej stronie ulicy, przebiegł ogrody pokratkowane płotami, niewielki pas pola poparnego i utkwiał wzrok w dal łąki ciągnącej się wzdłuż rzeczki. Przypatrzył się — i o mało nie wykrzyknął z radości. — Szła Polska utęskniona.

Z lasku rokity nadrzecznej wyrastała gęsta i szeroka tyralierka poznańczyków w rogatywkach. Już blisko pół wiorsty długości miała, a wciąż rosła, wciąż snuła się z rokity jak wić z kądzieli. Podniósł oczy wyżej — za rzeczkę i na pagórku pola dojrzał lasek chorągiewek ułańskich. Jakby stado aniołków żywych ujrzał — taka go, na widok owej szcnoteczki lanc, kliwość serdeczna ogarnęła. Cofnął się pod dach i zawołał:

— Emilianie!... Braciszku! — Polscza idzie. Jej Bohu idzie! Już na łące waszej. Idzie już, idzie! Leć po strzelby — będziemy walić w tą hołotę stąd przez okienko!

— Co tobie w głowie, Piotrowski?! — przeraził się gospodarz. — Sam chcesz zginąć i mnie z rodziną zgubić! Opamiętaj się!...

— Głupi! — Ostatni raz ty już na tą hołotę patrzysz. Prędeż leć, bo wszystko ucieknie. Ja swój karabinek w polu zostawiłem, więc nie czas po niego.

— Bratok! Boję się... Zhinim...

— Krzyż św. Jurki za taką przysługę Polsce dostaniesz. Wójtęm w gminie będziesz. Leć, bo zaczę twój komin burzyć i cegłą walić!

Emilian, skrobiąc potylicę, jał spuszczać się po drabinie, a Mieczyk zląszy z wiązania znowu wpatrzył się w okienko. —

Wozów już nie było. Ciągnęły tylko piesze gromady, jednak rzadziej niż przedtem i śpieszniej. Tu i ówdzie usiłovali wdzierać się w podwórka, częściej jednak znajdowali je zamknięte i usiłowania były bezskuteczne. Niektórzy tedy z zemsty, tłukli kolbami w okna. Dwóch usiłowało wejść w podwórko Emiliana. — Daremnie.

I po jakie лихо on się zaparł?! — wściekał się Piotrowski. Już by byli moje. Co za tchórz!

Innych trzech, próbuje furtki u sąsiada. — Otwiera się. Wchodzą jeden za drugim.

Nie zwleka ani chwili, obraca się i schodzi śpiesznie w dół. W sieni wyszedł doń z komory Emilian. — Bratok! Nie mogę nijak odnaleźć. Zapewne młodszy mój syn, który teraz z końmi w lesie, gdzieś przechował — tłumaczy się.

— Niech ciebie jasna cholera udusi, tchórzku nieszczęsny! — Tyś nawet nie szukał! — zaklął i wybiegł trzasnąwszy drzwiami. Przesadził parkan i znalazł się w sąsiednim podwórku.

— Opamiętaj się Piotrowski bo zhiniesz! — rzucił mu Emilian jeszcze raz ostrzeżenie.

— Z dwojga jedno: zginę — albo zabiorę. Raz kozłu śmierć.

Wszedł w sień, przystanął na chwilę, jakoby się wahał, potem przeżegnał się i otworzył drzwi do mieszkania.

Siedzieli wszyscy trzej za stołem i lechtali już wydobyty z pieca barszcz. Dwóch siedziało na poprzecznej ławie od ulicy, twarzą zwróceniu ku drzwiom, trzeci na podłużnej od podwórka; pierwsi mieli swe karabiny przed sobą na stole, trzeci trzymał pomiędzy kolanami.

Piotrowski przestąpił próg, pokłonił się niżej pasa i pozdrowił:

— Zdrawstwujićte dorohije towarzyszczy!

— Zdrawstwujić, staryk — odrzekli uśmiechając się między sobą znacząco.

— Cóż ty nas zostawiasz w piecu gospodarować? — zadrwił po rusku jeden z siedzących naprzeciwko, będąc pewnym, że ma przed sobą gospodarza domu.

— A wietczyny, staryk nie masz? — pytał siedzący od podwórka.

— Ha? Co mówicie towarzyszu? Ja trochę nie dosłyszę — udawał Piotrowski głuchowatego. Skulony unizienie, krokiem drżącym i chwiejnym zgrzybiałego starca, zbliżał się ku stołowi, a spod przywartych powiek i najeżonych brwi rzucał badawcze spojrzenie na gości i kombinował, jak tu i od którego zacząć.

— Pytam, czy nie masz wietczyny?! — powtórzył bolszewik.

— Ha? Pytacie gdzie moi syny?

— Wietczyny, pytam, głuchaja ty...

— Dopomóż mi Boże! — wezwał myślą i prawą ręką na odlew grzmotną bolszewika w ucho, ogłuszając go i nie dając wypowiedzieć pięcioletniego ubliżającego miana.

Uderzywszy tego, rzucił się błyskawicznie po leżące na stole karabiny. Pochwyił rekami — tak, jak razem leżały — za oba, — ale zgarnąć ze stoła nie zdążył; bolszewicy również za nie chwycili.

— Nie dam już kacapi! Moje już będą! — ryknął przywalając się lewym bokiem nad stół. Lewym łokciem przygniół mocno karabiny do stołu, a prawą ręką pochwyił jednego za czuprynę i dawaj jego łbem walić o stół. Za trzecim uderzeniem pluchnął krwią, zachrapał — i zwiądł. Ostatni widząc to — poddał się.

— Zdajus, staryk! Zdajus! — zawołał podnosząc ręce.

Piotrowski dwa karabiny rzucił pod łóżko, trzeci wziął sobie na łokieć, potem zdjął z haka recznik, rozszarpał go na taśmy, powiązał wszystkich, potłuczonych wywłócił na środek izby, wlał im na głowy wiadro wody i usadował razem po chińsku.

— Ot wam kacapi wietczyna! Znajcie Piotrowskiego! — powiedział uporządkowawszy.

— I nie wstyd ci staryk? — wstydził ten cały, który się poddał.

— Za łóżku barszcza!... Takiz z ciebie pomocnik proletarskiej walki?...

— Durniu, to wcale nie mój barszcz. Gospodarz, zapewne gdzieś w stopce siedzi. Jam ułan polski w przebraniu.

Patrzyli nań nie dowierając.

Zagrzany powodzeniem, Piotrowski zapragnął jeszcze większej zdobyczy. Nie tracąc tedy czasu, usunął nieco stół, otworzył trochę okna, od ulicy, usiadł na ławie i jął czatować.

Środkiem ulicy parł samotnie, któryś ze starszyny: w nowych butach po kolana, w szerokich galife, z odznaką na ramieniu i naganem w rękę.

— To zapewne komisarz — pomyślał i zawrzał pragnieniem dostać go w swe ręce.

— Towaryszcz! Towaryszcz! Wietczyna! — zawołał.

Ani się obejrzał nawet.

Piotrowski zarepetował karabin i wziął na muszkę. — Bolszewik przewrócił się i zajęczał. Jeszcze jedną posłał dla pewności.

— To za Kazika naszego! — rzekł.

Obejrzał się za siedzącymi więźniami i dalej czatował.

Ale bezskutecznie. Biegli przeważnie po drugiej stronie ulicy; woła — nie słyszą, chce strzelać — zawsze chata za bolszewikiem stoi — może zabić cywilów.

Już ulica pustoszeje, już traci nadzieję na dalszą zdobycz, gdy zza węglów po jego stronie ukazują się jeszcze dwóch.

— Towaryszczy! Wietczyna! Zachodźcie! — zawołał.

— A czort z wietczynoju — powiedzieli. — Lepiej nas schowaj przed białymi, staryk.

— Zabiegajcie bratcy!

Spotkał w sieniach, rozbroił bez najmniejszego z ich strony sprzeciwu, potem powiązał i usadowił obok pierwszych.

— Minęły już wasze czasy, barbarzyńcy! Wszystkich na postronek weźmiemy! Zapędzimy gdzie komar cielecia pasie! — burczał kontent.

Z ulicy dobiegł huraganowy łopot końskich kopyt. Piotrowski rzucił się ku oknu. — Z zachodniej strony gnał co koń wyskoczy, rozpięty na całą szerokość szerokiej ulicy oddział ułanów. Ziemia jęczała, szyby w oknach brzęczały. — z taką siłą gnali. Zdało się, żeby całe tu pułki piechurów stanęły, to by ta mknąca lawina końskich kopyt rozbiła ich i zdruzgotała.

— Panowie ułani! — zawołał Piotrowski. — Bywajcie! Tu te łajdactwo! Tu bolszewiki!

Kilku z brzegu, zauważywszy machanie ręki, obejrzało się na niego, jednak żaden się nie zatrzymał. Jak wichler przemknęli zostawiając za sobą tylko ścianę kurzawy.

— Ot chłopcy! Ot ułani! Ot wojaki! Gdzież tym pastuchom mierzyć się z nimi?! W puch wszystkich rozbiją — chwalił tupiąc przy oknie z radości.

Za chwilę i piechota z najeżonymi bagnetami się pojawiła. Z dwóch stron naraz: jedni biegli dwoma sznurami po bokach ulicy, drudzy wypływali z pomiędzy chat od strony ogrodów.

— Panowie! Tu bolszewiki! Bywajcie! — znowu wołał.

Pierwsza grupa z podchorążym na czele, z szeregu, który biegł ulicą od strony Piotrowskiego, wpada na zew.

— Ręce do góry! — zakrzyczał podchorąży z sieni dojrzwawszy kupę siedzących bolszewików.

— Panowie, oni są powiązani — oznajmia.

— Po—wią—za—ni?!... A, prawda, że powiązani — przypatrują się zdumieni. — A któż to ich powiązał?

— Ja, panie oficerze. Ja samusienki ich wszystkich rozbroiłem i powiązałem. A żeby ja z tego miejsca nie zeszedł, jeżeli bżę, panie!

— A cóżes za jeden?

— Piotrowski ze Smolarni, Polak, panie oficerze.

— Jakżeż panu udało się to? Pewnie pijanych, albo sennych?

— Sennych?! A któżby to usnął przy takim stuku? Nie sennych.

— Więc, jakimżeż cudem?

— Ach, panie, jaką ja tu walkę z nimi miałem! Dowiedziawszy się, że tu są, wchodzę i mówię; Poddajcie się, pastuchy, bo i tak już naokoło przez naszych okrażeni jesteście i nie ujdziecie. Myślałem, że dadzą się nastraszyć. Ale komisarz wstaje i woła do swoich: Brać białego Lacha i smalić żywego słomą! Więc ja wtedy im w mordę, w mordę; pogłuszyłem po jednemu, rozbroiłem i powiązałem. Patrzajcie ile tej juchy na ziemi. Szkoda tylko, że ten komisarz mi żywcem się nie dał! Wiedział on dobrze, że czeka go to, czego mnie życzył, więc gdy tylko spostrzegł, że ja biorę górę, rzucił się do ucieczki i innej rady nie było, jak tylko zastrzelić bandytę. Patrzajcie, oto ten, który tam, jak byk rozciągnięty leży — wskazał przez okno.

Oficer z żołnierzami słuchają, patrzą i uszom i oczom swoim nie wierzą.

— Wprost nie do wiary! — mówi podchorąży. — Gratuluje i dziękuje ci bohaterski sprzymierzeńcu — uściskał dłoń. — Polska, panie o takich nigdy nie zapomni.

A więcej już ich nie ma tu we wsi? Nie wie pan?

— Nie wiem, panie. Blisko godzinę przed wami zaczęli uchodzić ze wsi. Może gdzie i zakradli się, nie będę ręczył.

— Pietrzyk! Antek, Ferdek! — wymienił podchorąży podwładnych — zostańcie i zabierzcie ich! Reszta za mną!

— Jak nie łiesz stary — zwrócił się po wyjściu oficera ten, którego nazwano Ferdkiem — toś cwany i chociaż cywil pieroński dostaniesz ważne odznaczenia.

— Ja łę?! — oburzył się Piotrowski. — Znaczą się oni przyszli, złożyli karabiny, posiadali, poprosili, by ich związał? Znaczą się, że ja z własnego nosa tej krwi napuściłem?

— Krzepkiś wtedy i wielką odwagę, dziadu sakramencki masz! No, a nie da się tu coś zeżreć? Gdzież ci chłopcy się podzieli?

— A wy jeść chcecie, drodzy chłopczyki?! Dobrze, ja przyszlę...

Wyszedł odnalazł w warzywni gospodarza z rodziną, kazał im stawić się do dyspozycji znajdujących się w ich izbie polskich żołnierzy, a sam poszedł do Emiliana.

— Wo imia Otca i Syna... — żegnał się Emilian dojrzwawszy Piotrowskiego. — To ty Piotrowski, czy nie ty?!!

— Ty, czy nie ty — przedrzeźniał go wykrzywiając usta. — Tchórzu cholerny! Bałeś się mi podać broni... Jam ot bez nic poszedł, dwunastu bolszewików rozbroił, komisarza zastrzelił i żyw, ot co.

— Niauże, Piotrowski?!

— Nie wierzysz? Patrzej, oto ten komisarz, co wkoło niego kupa legionistów, — wskazał. — Widzisz? — Już naczelnik polski o tym wszystkim wie, za co mnie bardzo chwalił i rękę ścisnął.

Emilian aż się przykurczył przed Piotrowskim na taką wiadomość.

— Powiedz mi Emilianie, kto u was prezesem?

— Draka.

— Ten bobyl, komunista?!

— Porządnego gospodarza nie postawia.

— Dobrze. Odtąd za Polską, ty sołtysem będziesz. Naczelnik mnie wypytywał o porządnego człowieka w Studzionce i powierzył mi go zamianować.

— Breszesz?!

Żeby ja z tego miejsca nie zeszedł, sołtysem od dziś jesteś! — poklął się będąc pewien, że to stanowisko dla niego wyrobi. Chociaż prawdę powiedzieć, nie warto by było, za to, żeś mię nie usłuchał... No, ale znaj moją dobroć i družbę.

— Bratok! Wiek nie zapomnę takiej od ciebie dobroci! Udużę i ja ci za to, zobaczysz.

— Uważaj tylko, pilnuje się byś to, com u pana naczelnika dla ciebie wyprosił lekkomyślnie nie utracił, a mnie czerwienić się nie zmusił. Bo za Polskę tak: kto pilnie się sprawnia — szybko idzie w górę, kto zaniedbuje — kolanem od razu dostaje. A temu, który takiego rekomendował, wiesz — nosa.

— Ty bratko znasz jaki ja do służby... Za mnie nosa nie dostaniesz.

— Za Polską dwóch rzeczy sołtysowi trzeba się pilnować: być usłużnym i prawdomównym. I to najwięcej trzeba się starać teraz, gdy jeszcze wojują. Ot i dziś potrzebny będziesz wojsku.

— Aha?!... Mówili już co?

— Nie mówili, bo nie mieli jeszcze czasu, ale sami musimy wiedzieć, że ludzie z drogi chcą jeść.

— Jeść chcą?

— Prości żołnierze, to już sami sobie po chatach zdobędą, ale oficerów to trzeba zaprosić.

— Do mnie?!

— Do sołtysa. No, a któż może być ważniejszy od ciebie?! Zaprosić, to ja już zaproszę, jednak trzeba wprzód się przygotować, bo sam wiesz, że polscy oficerzy to nie my ludzie prości i byle tam sołoduchy i byle jak i gdzie jeść ci nie będą. Potrawy muszą być tylko same smaczne i dużo i po ludzku podane.

— A, to prawda, prawda. A nie wiesz, co oni mogą jeść?

— Musi być tak: szynka, kielbasa smażona, jajecznica, ser, masło, miód i — postawić samowar. Koniecznie musi być herbata. Jeżeli u siebie czego nie masz, a jest to u kogoś na wsi, masz prawo pójść i zażądać.

No idźże prędko, wołaj bab, synów i bierzcie się do roboty. I ty własnymi oczami wszystkiego przypilnuj. Trzeba sprzątnąć izbę. Babom każesz, ażeby nim się wezmą za miskę i patelnię, wymyły dobrzą rękę, a gdy będą podawały do stołu, muszą mieć białe fartuchy, a na głowie chustki, albo czepki...

— I w czarawikach pewnie?

— Nie, jeżeli nogi będą miały białe, czyste, mogą być boso. Ale ty, koniecznie bądź w butach i dla fasonu poczernij ich trochę dziegiem, a jak nie masz, to chociaż przynajmniej słoniną. Bo pomyśl sobie: jakby to wyglądało, gdyby sołtys przedstawił się w zrudziałych butach, a nieco gorsze, w łapciach?

— A, prawdę każysz, Piatrowski, prawdę.

— No, idźżeż już!

Zatrzymał się jeszcze chwilę, aż wezwani przez Emiliana domownicy nadeszli i wzięli się za robotę, potem udzielił bezpośrednio kilka dodatkowych wskazówek kobietom i wyszedł.

Najpierw wstąpił do sąsiada, gdzie pozostawił był żołnierzy i swoich jeńców, a nie znalazłszy już tam nikogo, zafajkował, wyszedł i jał się przechadzać.

Na ulicy rojno się czyniło, jak na kiermaszu. Wszędzie, gdzie tylko okiem rzucić snuły się pojedynczo i gromadami szare mundury piechoty. Przy zagrodach wystawali ciekawi, ośmieleni już mieszkańcy Studzionki. Od rzeki ciągnęły i ustawiały się rzędami po bokach ulicy nieskończone wozy taboru, ze zdobyczą wojenną i zaopatrzeniem dla własnego oddziału. Przeważały w nim wiejskie jednokonne furmanki. Jeszcze nie wjechały wszystkie wozy — już konwojowano długą kolumnę, zagarniętych gdzieś przed Studzionką, jeńców. Zatrzymano ich na końcu wsi i wprowadzono na maleńki, przylegający do ulicy plac, otoczony z dwóch stron parkanem, a z trzeciej — w głębi, budynkiem szkoły. Skoncentrowani już tam

byli nieliczni jeńcy, zdobywcy w Studzionce. Niezadługo ułani wracali, prowadząc nowych jeńców i tłum jeszcze się powiększył.

Piotrowski, wspierając się w bok z fajką w zębach przechadzał się po ulicy, przyglądał z lubością dziarskim postawom piechurów, konikom cisawym, strojom ułańskim upstrzonym mnóstwem białych guzików, a w międzyczasie wypatrywał starszyznę, by jej swoją obecnością przypomnieć, o dokonanych zwycięstwie i gdy zacznie go chwalić, zaprosić do sołtysa na obiad. Pewien był, że już starszyzna nie tylko wie o tym jego bohaterstwie, ale nawet wie, jak on, ten bohater wygląda; życzył sobie przeto, by go pierwsi zaczepili.

Przeszedł w jedną stronę, prawie o nosy ocierając się tym, których uważał za oficerów, w drugą — nikt go nie zaczepił, nikt nań szczególnej uwagi nie zwrócił.

— Cóż to, nie wiedzą jeszcze u licha, albo co? — myślał — Spróbował w paru miejscach sam zaczepić, ale w jednym wachmistrz kazał mu "nie zawracać kontrafaldy", w drugim, kapral obrzuciwszy go pogardliwym spojrzeniem, kacapem nazwał.

Ja nie żaden kacap, panie starszy! — oburzył się — Ja jestem ten, który sam jeden rozbroił pięciu bolszewików, a szóstego komisarza zastrzelił, o czym już pan chyba musi wiedzieć.

— Co takiego?!! — Obrzucił jeszcze raz starego badawczo wzrokiem od stóp do głowy i wzięwszy go za pijanego furmana z taboru, zaklął: — Jazda do wozu, ty offermo pioruńska, bo jak cię w klarnet urnę, giry wywrócisz!

Odszedł dotknięty do żywego, zawstydzony.

— Nie wiedzą... Patrzajcie!... Może, broń Boże, temu oficeru co się przydarzyło?... Gdyby tak jego... więc jeńców mieszają ze swoimi i gotowe wszystko się zatracić. Wtedy pozostaje co?... Szukać chyba tych chłopców, Ferdka tego. Poszedł do obozu jeńców, w nadziei, że ich tam znajdzie. Przyszedł i przeglądał. Trzech wartowników strzegło maszerując od ulicy, pięciu siedziało na ganku szkoły, po drugiej stronie tłumy jeńców. Ale Ferdka i towarzyszy wśród nich nie poznał. Jął tedy wypytować swoich jeńców, aby w razie, gdyby jego słowom nie chciano wierzyć, mieć chociaż ten dowód. Wypatrywał z jednej strony, z drugiej, a wartownik śledził go pilnie.

— A czegoż tak wypatrujesz, dziadu? — spytał go w końcu.

— Ja tu panie chcę odszukać swoich...

— A, toć masz tu swoich?! Więc ty bolszewik?! Jazda tedy do kupy!

— Takich mam swoich — zaczął tłumaczyć śmiejąc się — których...

— Jazda do kupy, ci powiedziałem! — powtórzył srożej.

— Co pan?!... Nie rób, chłopczyku, ze mną takich żartów, bo tu wkoło patrza się znajomi mi ludzie, więc mogą tedy pomyśleć, iż naprawdę jesteśmy w niezgodzie. Ja tu mam...

— Zaś piorunie jasny jazda do kupy!! — zakrzyczał żołnierz, mierząc się kolbą w Piotrowskiego.

Piotrowski zawrzał gniewem.

— Ach, ty żabo parszywa! Ty chcesz mię na kpiny wystawić! Ryknął i pochwycił za kolbę. Zaczęło się szamotanie.

— Wiara, na pomoc! — zawołał wartownik. — Wiara, na pomoc! —

powtórzyli wartownicy na ganku. — Bolszewiki się zbuntowali: na pomoc! — podawano z ust do ust na ulicy.

— Zginę od swoich i jeszcze hańbą familię okryję — mignęła mu przez głowę bolesna myśl, gdy dojrzał ze wszech stron skierowane w niego ostrza bagnatów.

Ale w ostatnim momencie — gdy jedno ostrze krok już tylko dzielił od jego żeber — Opatrzność natchnęła go myślą zbawienną; trzymanego w rękach żołnierza obrócił błyskawicznie plecyma do siebie i osłoniwszy się nim, cofnął się tyłem w kąt parkanu.

— Nie zakłóćcie mnie, zakłóćcie tego smarkacza — swego towarzysza! — ryczał, osłaniając się nim zrećnie.

Piechota sypała się ze wszech stron jak mrowie. Kilkanaście żadeł czało się ze wszech stron, by gdzieś w odsłonięte miejsce dziobnąć.

— Puszczaj go, dziadu sakramencki! — wołali.

— Uduszę go wprzód, a nie puszczę! Zginie smarkacz razem ze mną! Ja nie dam ze siebie kpin stroić!

Za tłumem żołnierzy rozległ się głos, znajomego Piotrowskiemu oficera:

— Rozejść się, chłopcy! To swój! Rozejść się!

Wszystko się rozstało i Piotrowski, puściwszy z rąk figlarza, rzucił się ze łzami w oczach ku swemu zbawcy.

W pół godziny potem, Piotrowski siedział w gronie oficerów u Emiliana za stołem. O nim cała rozmowa się toczyła, na niego skierowana była wszystkich uwaga. Opowiadał on o swojej walce z bolszewikami, twierdząc jak przedtem, że zastał ich w izbie sześciu i że komisarza zastrzelił wtedy, gdy mu uciekł przez okno; dalej o napaści na niego przy obozie jeńców, prosząc jednocześnie, by winnego ukarano, potem o Smolarni: o tęsknocie ludzi za Polską, o porwach młodzieży, o krzywdach od bolszewików doznawanych, o urąganiach, rekwizycjach, obławach i o zabójstwie Kazika legionisty. Opowiedziawszy o tym, uważał za wskazane i panów oficerów o nowości zapytać.

— No, a cóż tam panowie w Polsce słychać? — zaczął. — Cóż słychać w Warszawie? Król Jegomość zdrów?

Oficerowie obrzucili się wzajemnie oczyma, hamując uśmiech.

— My w Polsce nie mamy króla — odrzekł kapitan, dowódca całego oddziału, człowiek lat 30, z czarnymi pięknymi wąsikami.

— Jak to, nie ma króla?! — zdziwił się. — No, a jakże wojujecie bez gospodarza?

— Tymczasowo jest Naczelnik Państwa.

— Aha!... Pewnie Pan Dowbór-Muśnicki?

— Nie, Piłsudski.

— Nie znam takiego. Nie znamy. Hm... a myż myśleli, że jest król — mówił skrobiąc się w głowę. — Czy to panie, że nie było czasu na wybory, czy, że nie ma podchodzącego grafa?

— To panie rzecz drugorzędna; — wprzód trzeba Polskę wyzwolić.

— A, wyzwoli się już, wyzwoli! Raz już dotąd doszliście, dojdziecie do końca. Teraz, gdy my przystąpimy z pomocą, pójdzie gładko.

— Co panowie znaczą wobec tak olbrzymiego wroga?! Dużo tu panów jest...

— Mało nas jest, aleśmy tu na miejscu silni i dużo warcii.

— Jeden sześciu bierze — zauważył jeden z oficerów.

— Nie dlatego — mówił Piotrowski; — taki wypadek mógł się zdarzyć tylko Piotrowskiemu, którzy rzadko się rodzą — jesteście warcii, bośmy drużni i w swojej chacie znamy wejście i wyjście. Wy nie znając dróg i terenu, o niejedną ważniejszą pozycję musicie się bić — my ją potrafimy wziąć bez boju; wy nie znając tutejszych ludzi, nieumiejętnym postępowaniem zrobicie z nich sobie wrogów — my znajdziemy wśród nich sprzymierzeńców.

Ot, weźmy chociaż i tą Studzienkę. Panowie tyle nabożów zepsuli, a oni most zerwali, magazyn ludziom spalili i sami prawie wszyscy zwiali. Bez moich, ileż tu panowie jeńców w Studzionce wzięli?! A wie pan? — ja bym ich co do jednego zabrał z pańską siłą.

— Być może! Być może! — przytwardziło kilka głosów.

Kapitan naradził się z oficerami po cichu, potem rzekł:

— Jeżeli pan chwali się znawstwem dróg i sztuki wojennej, tedy go poprosimy o radę. — Dostał z torby mapę, rozłożył ją na stole i wskazując Piotrowskiemu linie dróg i punkty wsi mówił:

— Patrz, pan. To szosa. Idzie tam jeden nasz oddział. Tym gościńcem idzie drugi, a tym oto idziemy my. Uważaj pan: oto Studzionka, my z niej mamy iść tedy, tu i w tym miejscu połączyć się z tamtym.

Rozpatrz pan, rozmyśl i powiedz swoją opinię.

Piotrowski przygląda się długo, skrobie się, myśli i w końcu orzeka:

— Tak, prawidłowo tu namalowano: drogi i wioski na swoim miejscu. Ale...

— Ale co?

— Ja bym stąd ze Studzionki poszedł inną drogą.

— Musi pan pamiętać, że tu w tej miejscowości trzeba się połączyć z sąsiednim oddziałem. Koniecznie!

— Można się połączyć, tylko nie tedy.

— A to dlaczego?

— Bo wszystko się wymknie, a nawet w niektórych miejscach mogą się zacząć i pana poszczerbić.

— A jak by pan uczynił? Którędyby poszedł?

— Ja chcę wprzód zapytać: czy te całe stado jeńców i wszystkie te furmanki będziecie ze sobą włościć?

— Nie, nie: zaraz wszystko odsyłamy do Bobrujska; wozy zostawimy tylko niezbędne.

— A harmaty macie ciężkie?

— Lekkie, trzechcalówki.

Ja tam panie na żadnych calówkach się nie znam; chciałbym wiedzieć, czy w wypadku gdy zapadnie koło, można będzie za róg ramieniem podjąć?

— A pan to udźwignie! — zaśmieli się.

A na żelaznych osiach, czy na drewnianych?

— Harmaty... na drewnianych osiach!! Gdzie pan to widział?

— Dobrze. Wtedy bym ja panie, tą oto miejscowość — wskazał

palcem — przeciął szybko i niewidocznie tędy lasami i tu za Busłyczami, zastawiłbym na te łądactwo sidła. Żaden by mi nie uszedł. — Tu na pańskiej bibułce nie pisze w lesie dróg, ale one są i ja znam.

Jeżeli panowie chcą, mogą ich tymi drogami przeprowadzić.

Oficerowie naradzają się ze sobą i kapitan potem wyraża zgodę.

— Tylko niechaj pan uważa — ostrzega Piotrowskiego — byśmy, zamiast na bolszewików nastawić, sami w sidła nie wpadli. Czy chociaż dobrze zna pan drogi?

— Nie ufacie mi? ... Wtedy powieszcie, będę w waszych rękach.

O jedno tylko trzeba koniecznie się postarać. — Musi być dużo i dobrych furmanek, by chłopcy mogli podjechać i zdrzemnąć się trochę na wozie; zależy nam na pośpiechu, więc będziemy musieli jechać też i nocą.

— Wybierze się co lepsze z naszego obozu i w tej wiosce może się coś znaleźć? — spojrzął po oficerach pytająco.

— Prędzej, że nie znajdzie się, panie kapitanie — oznajmiło kilku oficerów. — Już tego i owego pytaliśmy. Odpowiedzieli tak samo, jak i w poprzednich kilku wsiach: Bolszewiki zabrali.

— Skandal z tymi furmankami! — mówił kapitan do Piotrowskiego.

— Wie pan, w kilku wsiach ludność do nas jest tak nieprzyjaźnie nastawiona, że gdy czegoś potrzebujemy, przychodzi wyrwać, jak wilkowi z zębów.

— Bo trzeba umieć im wytłumaczyć że Polska będzie nie uciemieniem dla biednego ludu, ale — jak Kazik powiedział, wieczny mu pokój — dobrodziejstwem. Ot co!

W pańskim obozie prawie same zdechlaki i takich furmanek, które by bez dłuższego popasu mogły przejść tą drogą leśną znajdzie się mało; w Studzionce musimy świeże wziąć, tu konie doskonałe. Ja już z tym załatwię się, dadzą.

Emilianie! — zawołał na zamianowanego przez się sołtysa. — Schadi!

— Tu do mnie, czy na ulicę? — spytał tamten prężąc się.

— Za kuźnicę; tu nie można — oficerzy muszą odpoczywać.

Piotrowski pół godziny radził jeszcze o szczegółach zamierzonej przeprawy, potem wyszedł na zebranie.

Za wsią przy kuźni, czekało już ludzi ze dwieście. Gospodarzy i dorosłych z ich domów mężczyzn. Było też kilka ciekawych kobiet. Piotrowski aż węża podkręcił z zadowolenia, że tyle się zeszło.

— Dać mi zydel! — rzekł do Emiliana. — Gdy przynieśli zydel włożył na niego, ażeby przez wszystkich być widzianym i zaczął:

— Zdrawstwujcie, bratcy studenci!

— Zdrawstwuj! Zdrawstwuj! — zahuczało po tłumie.

— Czy wy mnie, bratcy, znacie, czy nie znacie?

— Znamy! Znamy! — Stary grafski obieśczyk! — odpowiedziało kilku starych ludzi, którzy go pamiętali.

— Zrobił ja wam komu zło? Ma któryś przeciw mnie abidu?

— Nie, nie! Dobry był czaławiek! Daj Boh zdrowie!

— To i dziakuj Bohu! — z przyjaciółmi lepiej mówić.

Wot bratcy, polskie naczalstwo przysłało mnie wam ogłosić, że zaczęła się Polzcca.

W odpowiedzi poniosły się po tłumie: głuchy pomruk i chrząkanie.

— Mówię, bratcy, że Polszcza nastala! — powtórzył.

— Nu to sława Bohu — odezwało się kilka głosów pół gębą.

A za chwilę potem posypały się pytania: — A nia wiernuć pańszczyzny? A nia buduć na polsku wieru wiarnuć? A nia buduć ludźmi harać?

Piotrowski wysłuchał wszystkich pytań ze spokojem, jakby się tego spodziewał, a gdy się uciszyło, rzekł:

— Brechnia, bratcy! Nie będą ludźmi orać, nie będą na inną wiare przewracać, nie wrócą pańszczyzny; — nie będzie dla was mniej swobody, jak za Mikołaja mieli.

— Sława Bohu! Sława Bohu i polskamu karalu! — okrzyknęło gromko i szczerze kilkanaście głosów.

— Hm, dobrze. Ty Emilian, ty Ihnat, wy tam: Chalimon, Piotro i drugie, wy, co macie po uczątku, a najmniej pół, mówicie sława Bohu, ale za co powiedzą: Jurka, Miszka, Awłas, Sidar i inni, którzy nie mają więcej od dziesięciny?! Za co oni mają mówi sława Bohu?!

— Prawdu kaza Piotrowski! Prawdu kaza! Za szto my budziem dziakować?! — zagrzmiał prawie cały tłum.

— Prawdu kazu i prawdu raskazu. — Wszystko to raskazu, com słyszał od naczelnika, gdy piłem z nimi za jednym stołem czaj. Emilianie! — zwrócił się doń. — Czy nie prawda, że ja z oficerami za jednym stołem piłem czaj?

— Jej Bohu prawda! — przysiągł się tamten.

— Wiec słuchajcie. Słyszałem, jak oficerzy mówili, że w Polszczy wszyscy ucziwi i pracowici ludzie powiedzą: sława Bohu.

— Zrównaja biednych z bogatymi?!

— Hm, zrównaja. Jak Bóg lasu i trawy nie zrównał, tak i ludzi zrównać nie można. Ale ziemi ludziom dadzą.

— Dadzą?! Kiedy?! Ile?! Komu?! — dopytywali się.

— Zaraz, gdy tylko mir będzie, dadzą. Ale będą dawać tylko temu i tyle, kto i jak na to zasłuży, ile w wojnie z bolszewikami Polakom pomoże. Kto pomoże pierwszy i więcej — temu dadzą cały ucząstek i pierwszemu pozwolą wybrać gdzie zechce; kto mniej i ostatni, dostanie tylko parę dziesięcin i to już samych wybirków, co ludziom niegodne; a kto nic nie pomoże, a jeszcze będzie szkodził — temu nawet to odbierają, co jego baćko car nadal i posadzą go za wsią bobylem, obok Kiryka i Jewdochi. Tak będzie. —

Tom słyszał od oficerów i radze wam po bratersku czynić tak, aby was dzieci nie przeklinały, by nie narzekali potem na samych siebie: jeżeli o coś pyta polska władza — mówić prawdę, jeżeli czegoś żąda — dawać z chęcią. Jeżeli żądają furmanek, nie łąć, że bolszewiki zabrali — jak parę durniów w Studionce się znalazło, co oficerom, którzy wiedzą, że konie w oleszniku na Żmyrcie, tak powiedziało — ale iść po konie, zakładać i jechać; jeżeli zajdzie do wsi żołnierz i zapyta o drogę, albo poprosi jeść — nakarmić go i pokazać; jeżeli znajdzie się we wsi bolszewik, komunista, który będzie przeciwko Polszczy buntował, zło jakie czynił — związać go i odstawić do gminy. Tak trzeba robić i za każdym razem żądać, ażeby do knihi zapisali i wydali kwitancju, bo w końcu

może wyjść tak, że kto mało pomagał, dostanie udziałek, a kto dużo — dziesięcinę.

Powiedziałem wam com słyszał i dałem swoją radę, a teraz muszę oznajmić, że polski komandzir potrzebuje ze Studzionki i to zaraz sto furmanek. Lećcież tedy na Żmyrkę po konie, małcie koła, pakujcie drabiny, zakładajcie i dziękujcie Bogu, że to akurat w Studzionce zaszła potrzeba zmiany furmanek, bo ja podsłuchałem, że kto pierwszych żołnierzy będzie wioził, za jednego konia zapiszą mu trzy. Ot co!

A jeżeli znajdzie się wśród was jakiś drań bolszewik, który zacznie kręcić, to go ostrzegam, że sobie bardzo szkodzi. — Oficery wiedzą gdzie konie i gdy im potrzeba, to czy kto chce, czy nie chce, do jazdy zmuszą, a za kręcenie nic mu nie zapiszą.

Thum, który od czasu, jak Piotrowski zaczął mówić, urósł prawie w dwójnasób, zakolysał się, zahuczał wymianą zdań pomiędzy gospodarzami i ich synami i rozsypał się, aby sprowadzić konie i gotować wozy. Niektórzy chłopcy to wprost, od kuźni przez pole puścili się na Żmyrkę.

— Ihnat! o Ihnat! — przywołał Piotrowski jednego z obecnych.

Twój chłopiec pasie tam razem i mojego konia; powiedz mu, niechaj prowadzi...

#### XIV

### “TY SŁYSZYSZ KOSIU?”

Następnego dnia o świcie, dwie kompanie piechoty, szwadron ułanów, i batalion lekkich armat z całą obsługą przeprawiwszy się ze Studzionki lasami za Buszycze, siedziały przyczajone w zaroślach, po obu końcach półtorawiorstowej, przecinającej bagnistą łąkę grobli i zgarniały bolszewików zastępy całe. Szli i wpadali w zastawione sidła, jak ta ryba wiosną śpieszaca na tarło w zapleciony w całą serokość rozlewu rzeczki jez, którego nie można ominąć, skąd już nie ma wyjścia.

Ot, jadą sobie jakby nic, idą wjeżdżają na groble — a gdy już czoło znajduje się w pobliżu zarośli z przeciwnej strony — wtedy naraz grzmia karabiny z przodu i tyłu. Nie mogąc na otwartym bagnistym miejscu rozwinąć się, ani nie mając drogi do ucieczki — poddają się w całości. Niektórzy ze starszyny, rzucają się na łąkę — ot tak, na szczęście — ale w krzyżowym ogniu strzałów karabinowych padają.

O świcie zgarnięto duży i bogaty obóz eskortowany przez pluton konnicy, około dziewiętej, batalion piechoty z karabinami maszynowymi i sześć polowych armat z dużą ilością pocisków, a niedługo potem watache kawalerii na pięknych, zrabowanych ludziom, koniach. Nie wiedzieli drudzy o losie pierwszych, gdyż łącznicy, a nawet przygodni podróżni byli zatrzymywani, odgłosy strzałów znosiły wiatry, a zamożni chłopcy z Buszycz radzi byli kłesę bolszewickiej i niczym przed nimi się nie zdradzali.

Oficerowie i dowódca ze zdobycia, bez strat we własnych ludziach, tyłu jeńców, koni, różnego bogactwa, przez zadanie wrogowi takiej kłeski, wprost nie posiadali się z radości; chwalili udany pomysł Piotrowskiego, patriotyzm jego i obiecywali go przedstawić do wielkich odznaczeń.

Oficerowie uściskali mu kolejno dłonie, a kapitan ujął go w swe ramiona i ucałował.

A on rósł, jak na drożdżach; oczy mu ze wzruszenia zasły łzami, a dusza chciała wyskoczyć.

— Nie dla pochwały ja, nie dla odznaczenia z domu wam na spotkanie wyjechałem i drogę wskazałem, ale z obowiązku wobec Polski kochanej, której tak długo czekaliśmy, co każdy Polak uczynić powinien, co każdy smolarzanin uczyni jeszcze z większą korzyścią, niż ja stary dziad niedołęga — mówił skromnie, w duszy jednak z obiecanych odznaczeń cieszył się bardzo i przed oczyma stawały mu już rozkoszne obrazy: jak udekorowaną polskimi krzyżami pierś podsuwać będzie pod nos Huszczy, Kantycze, lekceważącym go dotychczas chłopcom, jaką powagę będzie miał w gromadzie, gminie, w kościołach na festach i kiermaszach.

Radził oficerom korzystając z uczynionego w bolszewickim “froncie” wyłomu, zapuszczać się jak można najdalej na wschód. Miał już dalsze pomysły.

— Jużemy się popaśli — mówił — więc ciągnijmy panowie z tym całym kiermaszem na szosę, a ja ze szwadronem ułanów, puszcze się rychło naprzód, by w drodze na Mohilew obsadzić większe mosty. Bo jak zerwą bolszewiki, przyjdzie zamarudzić. Mając w swym ręku mosty, dzisiejszej nocy, a najdalej jutro rano, będziemy w Mohilewie. O, tam już odpoczniemy i zahulamy.

Ach, żeby panowie wiedzieli, co to za miasto, ten Mohilew?! Przecież sam car ruski Mikołaj, ze swoją żoną i córkami, więcej jak rok w nim mieszkał. Jakie tam kamienice śliczne! jaki widok z góry na Dniepr! Kościół tam śliczny jest, dużo dobrych Polaków w mieście i okolicy mieszka, tedy witać nas będą.

Ale kapitan, bez nawiązania łączności, bez wyraźnego rozkazu od swego przełożonego, po który do umówionej miejscowości na szosie rzucił jeszcze wschodem słońca pluton ułanów, nie chciał z miejsca ruszać. Ściągnął wszystko na jedną stronę grobli, ustawił się w pogotowiu na wszelką ewentualność, popasał i czekał.

— Rozkaz nigdzie się nie podzieje — nie przestawał Piotrowski namawiać. — Jak powstańcy nie znajdą nas tu, pójdą za nami. Zresztą, możemy tu kogoś pozostawić. A my, jak zrobimy coś pożytecznego, to tylko pochwałę od starszych dostaniemy. Jedźmy!

— Żołnierz musi nie tylko umieć nieprzyjaciela podchodzić i męźnie się bić, ale też musi być posłusznym — odparł kapitan.

— Panie młody — zwrócił się do podchorążego o pośrednictwo — niechaj pan pomoże namówić tego czerniawego (kapitana), by nie “spał w czapkę”. Bezpотrzebne to czekanie, to strata. Jak mówią: kuj żelazo, póki jasne.

Tym razem jednak, wszyscy byli nieczuli na jego rady.

Jakoś z południa wrócili ułani i przywieźli rozkaz. Kapitan przeczytał i wydał rozkaz gotowania się do odmarszu.

— A nie trzebaż było od razu to zrobić, gdy panom to radził?! — zawołał Piotrowski uradowany. — Bylibyśmy już około szosy. Stary zawsze mądrze radzi.

— Jedziemy, ale w inną stronę — rzekł kapitan.

— Nie na Mohilew?

— Na Berezynę.

— Pan pewnie chce powiedzieć na Dniepr?

— Co Dniepr, to nie Berezyna. Powiadam, że wracamy na Berezynę — powtórzył twardo i ruszył droga, przyglądając się rozpoczętym na jego rozkaz przygotowaniom.

— Na Be—re—zy—nę— wra—ca—cie?! — zdziwił się nie mniej, jak gdyby słońce zawróciło na wschód. Łydki staremu na taką wiadomość zdrząły, włosy stanęły dęba. Dopędził kapitana i ujmując go za rękaw, zawołał błagalnie:

— Drogi kapitanie! proszę mnie starego czowieka nie straszyć! Proszę mnie prawdę powiedzieć: dostał pan rozkaz odwrotu na Berezynę?

— Tak, wracamy i to rychło. W służbie nigdy nie żartuję.

— Znaczy się temu, kto taki rozkaz pisał, w głowie się zbuntowało.

— Bez złośliwych uwag względem mych przełożonych, bo... przyjaźń nasza może się rozluźnić!

— Ależ powiedz mi pan: gdzie rozum u tego człowieka, gdzie jego głowa?! Już jesteśmy przy Dnieprze — on każe wracać.

— Muszą być ku temu powody.

— Uważaj pan, może w tym sprawka szpiegów bolszewickich; komuniści, to naród bardzo chytry.

— Poznają pismo pana pułkownika, znają go też osobiście moi ułani, którzy list otrzymali z jego własnych rąk.

— I pan kapitan będzie wracał?

— Pan wątpi?

— Ależ z tego dla Polski strata będzie, a dla kraju tego i dla ludzi naszych krzywda wielka. Pomyśl pan. — Tyle czasu tęskniliśmy za wami — teraz cieszymy się, pomagamy, czekamy, ażeby przyjęli nasze mienie na potrzeby Ojczyzny, chłopców naszych w swoje szereg, a wy, bez żadnego powodu — gdy droga do Dniepru stoi otworem, gdy jeden dzień marszu pozostaje, by stanąć na granicy Polski, wracacie.

Panie kapitanie! niechaj oni tu zaczekają, a z panem skoczmy do tego pułkownika i będziemy mu radzić, by tego nie czynił. Przecież stąd bliżej do Dniepru, a szerszy on jest łącniej na nim oprzeć się będzie. Jedźmy, panie!! — błagał.

— Rozumiem rozgoryczenie i boleść pańską, panie Piotrowski, jednak temu nie poradzimy. Dlatego, że ja udzielić rady panu pułkownikowi, jeżeli o nią mnie nie pyta, nie mam prawa; pańska rada również na nic się zda, bo chociażby potrafił go pan osobiście przekonać, on na swoją rękę marszu nad Dniepr nie przedsięweźmie; rozkaz taki musi pochodzić z dowództwa dywizji, a nie, to może i z Warszawy. Nie ma na to rady.

Tak powiedział i znowu ruszył droga, wydając na wsze strony rozkazy.

— Nie ma na to rady... — powtórzył Piotrowski złamanym głosem. Świat cały dokoła — słoneczny, wesoły świat — pograżył się w jego oczach w gęstej mgie smutku i żałoby, serce ból okropny, jak kleszczami ścisnął, członki ogarnął bezwład. Oparł się o pień brzozy i stał parę

minut przygnieciony nawanica jadowitych myśli, z pochyłą ku ziemi głową, potem krokiem chwiejnym, opierając się o pnie drzew i wozy, podążył ku swemu koniowi, objął go ramionami za szyję i zapłakał. Dotąd dwa razy tylko w życiu tak płakał: po nieboszce matce i żonie.

— Gniady! Kosiu mój! — jęczał. — Oni wracają!... Słyszysz ty kosiu?! Wracają nad Berezynę... Do nas znowu bolszewiki przyjdą... Nie będzie dla nas miejsca w Smolarni, nie będzie!... Rozstać się przyjdzie z chatą, stajnią, gospodarką całą, pozostawić na sieroctwo Marylkę, Małgorzatę i wędrować w świat cudzy, jak starcy jakie, albo cygany bezdomne. Zostaniemy — mnie żywemu bolszewiki pasy ze skóry zdierać będą, słomą pod boki smalić, ciebie do wojska zabiorą i żydy parszywe, kitajcy kose jeździć na tobie będą, albo ciężary różne wozić i knutem bić. Ot, co. Gniadoszu kochany! I to bez żadnego powodu, bez żadnej przyczyny wracają...

Żołnierze i niektórzy oficerowie, co byli bliżej, słysząc taką rozpacz Piotrowskiego, okrążyli go kołem i zaczęli pocieszać, jak mogli. Wrócił doń też i kapitan.

Panie Piotrowski! — mówił — umie pan mężnie się bić, ale nie umie po żołniersku przeciwności znosić. Czego tak rozpaczać? Obawia się pan zemsty bolszewików? — Poślę z panem pluton ułanów, byś mógł przewieźć się z rodziną i gospodarką za Berezynę. Zgoda?

— Całej gospodarki mojej i ziemi nie przewiozę.

— Potem pan do ziemi i budynków wróci. Przecież wracamy czasowo.

— A wracacie czasowo?! — ożywił się.

— A pan myślał, że na zawsze?! Dziwny człowiek... Nie wie, że na wojnie zawsze się tak dzieje: dziś idą naprzód, jutro wracają, potem znowu naprzód. To jest tylko manewr, aby zmylić orientację nieprzyjaciela, rozumiany tylko przez generałów.

— Rozumiany tylko przez generałów, ale nie wart złamanego grosza! — przerwał podniesionym głosem. — Gdybym wiedział, kto taki manewr wymyślił, pojechałbym prosto do niego!

— Ja nie będę roztrząsał, czy ten manewr co wart, czy nie wart; ja tylko wierzę, że Polska będzie tu na Białorusi co najmniej po Dniepr i że my tu niebawem wrócimy.

Chce pan, bym posłał z nim ułanów?

— Nie — odrzekł po namyśle — lepiej już ja sam.

## XV

### RYWALE ZASŁUG

Cień człowieczy urósł już na cztery kroki, gdy popasany za busztycką groblą obóz, rozciągnawszy się niezliczonymi furmankami w paręwiorstwowy łańcuch, ruszył w stronę Bobrujska, a Piotrowski odjechał do Smolarni. Sam jeden jechał, wybierając mniej ludne drogi. Jechał i chwiejąc się w siodle, jak pijany, odbijając pokłony, jak Żyd na modlitwie, drzemał; blisko czterdziestośmiogodzinna przy ciągłym sku-

pieniu uwagi podróz, załamanie się moralne, wyczerpały jego siły do ostatka.

— Nie, choćbym miał w ręce bolszewikom wpaść, choćby tam nie wiem co mi groziło, muszę choć pare godzin zasnąć — powiedział do siebie po godzinnym ze snem borykaniu.

Wjechawszy, za niedużą wsią Myszki w las, zjechał z drogi w bok w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca na popas. Po dobrej wiorście jazdy wąską drożyną, wyjechał na niedużą, wbijającą się od jakiegoś pola klinowatą wyspą głęboko w las, łąkę. Stało na niej cztery stogi murożnego siana, odgradzony każdy z osobna rzadkim w trzy żerdzie płotem.

Piotrowski podjechał do pierwszego stogu, rozsunął z jednej strony żerdzie, wprowadził konia, następnie znowu zagroził tak, jak było, zdjął karabin, wsunął go pod odonek, rozsiodłał konia i rzuciwszy siodło pod głowę, padł i zasną jak kamień. Gdy obudził się, noc już była głucho. Koń go swym rzeniem zbudził, który, albo konie gdzieś w pobliżu zwęszył, albo niebezpieczeństwo jakies.

W pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, czemu on za tym płotem się znajduje. Przypomniawszy, westchnął ciężko, wstał, zebrał się szybko i ruszył dalej. W pierwszej wiosce, jaką niedługo spotkał, napoił konia i potem już długie godziny gnał bez odpoczynku.

Wczesnym doświtkiem jeszcze, wyjechał na smolarskie pole. Puścił konia stępa, by przed paszą się trochę ochłodził i rozmyślał:

— Ach, mój Boże! — westchnął — żeby to legiony nie wracały, to by życie teraz się zaczęło! Rajskie!... Jeździłbym co niedzielki na festy, kiermasze, w gościny i rozповідаł o swoich przygodach... Jest czym pochwalić się, chwala Bogu... To szczęśliwi ci, co żyją za Berezyną!... I czemu to Bóg tak robi: jednym daje niebo, drugich nadal w piekło zostawia?!...

Hm!... cóż robić. Może da Bóg, że jeszcze — jak to mówią — i na naszej ulicy będzie kiermasz... Może doczekamy. A tego, com dla Polski zrobił, nikt mi nie odbierze, ani zetrze i czy dziś, czy jutro, czy tu, czy gdziekolwiek bądź mogę śmiało się chwalić. Swoim w Smolarni to i zaraz mogę rozpowiedzieć. Niech wiedzą smarkacze, że chociażem w wojsku nie służył, trochę więcej wart od nich jestem. Może jeszcze wcale o legionach nie wiedzą?...

Ale już musieli chyba wiedzieć, bo prawie we wszystkich domach paliły się światła, czego dotychczas, wobec stosunkowo niedługich nocy, jeszcze nie czynili, a w niektórych podwórkach śmiało odzywały się głosy ukrywających się przed bolszewikami chłopców. W jego domu też paliło się światło. Gdy skrzyknął wrotami, zaraz rozwarły się z sieni drzwi i wybiegły obie córki.

— Aj, tato, wrócił, tato! Gdzie tato tyle czasu był?! — rzuciły się doń radośnie z hałasem. Przywitały ucałowaniem mu ręk i dawaj litanie jedna przez drugą raportować:

— A u nas, tato, nowości, nowości!

— Legiony już przyszli, wiesz?! We Wończy stoją.

— Ach! żeby tato widział, ile tego dnia jakieś odjechał po południu i noc całą waliło bolszewików?!... Strach! Strach!

— A jak grzmiało za Wończą?!...

— A jak w Smolarni radowali się wszyscy!...

— Chłopcy już z lasu do domów wrócili!

— Przyszli, ale nie na długo: wracają na Berezynę. Do nas czasowo znowu bolszewiki przyjdą.

— A już i to wiecie?! — burknął Piotrowski sobie pod nosem i splunął gniewnie.

— A wie tato, że już i Kościak ze Stachem się odnaleźli?!... W puszczy obaj siedzieli. Mówią, że oni pierwsi o legionach się dowiedzieli i spotkali ich, aż na Berezynie, skąd dwa dni i dwie noce z nimi jeździli i jak gdzie i co pokazywali.

— Ot, smarkacze! — znowu plunął.

— I mówią, że przez ten czas za panbrat z oficerami byli i że ich obu do ważnych odznaczeń obiecano przedstawić, bo przez nich dużo bolszewików okrażono i bez boju zabrano.

— Patrzcie wy ich, żaby parszywe?! — jeszcze raz splunął.

— Prawda, wszyscy tak mówią. Kościak dziś od południa czeka w Zdanowiczów chacie na Karusię, która jak to zeszłej niedzieli poszła ze Zośką Ładzianką w Białynicze do tego chwalonego lekarza po ziele na Jasiowe rany, to aż dotychczas jeszcze nie wróciła. Chce z nią pożegnać się przed drogą; wszyscy chłopcy wybierają się do Bobrujska.

— Aha, jeszcze jedno! — przypomniała Maryla. — Gdy tamtej nocy uciekali bolszewiki, Karapuz zaczął się w chojniku i bez nic, gołymi rękami jednego bolszewika rozbroił, związał, uprowadził w las i potem do Wończy legionom odstawił.

— Jeszcze i ten szczeniak! — wykrzyknął Piotrowski i zgarnawszy co miał w ustach śliny, z takim hukiem splunął, że aż echo po budynkach się poniosło.

— Co tatko tyko pluje i pluje a nic nie odpowiada? — zauważyła Maryla.

— Bo wy wszystko za mnie opowiedziałyście!

— Gdzie tatko tyle czasu przebywał?

— Tam samo gdzie i gołopępcy, co mówicie z oficerami za panbrat byli, żeby ich!

Spodziewał się, iż córki mu na tę wiadomość urządzią przykrą scenę, ale dziewczyny nawet zbyt się nie zdziwiły jego oświadczeniu.

— Tatko naprawdę jeździł pomagać legionom? — zapytała Małgorzata.

— Tak dietki, jeździłem. Gdyby nie pomagałem, grzech miałbym śmiertelny — usprawiedliwiał się.

— A widzisz, nie mówiłam ci! — zawołała Maryla, zwracając się do siostry. — Wie tatko? ja, gdyśmy tylko się dowiedziały, że do Wończy przyszły legiony, mówiłam jej, że pojechałeś im pomagać.

No, a dobrze chociaż udało się z wojowaniem w tym miejscu, gdzie tatko był? Udało się zbić niedowiarków?

Stary przymrużył oko figlarnie z ukontentowania.

— Udało się dietki, że lepiej być nie może. Od Dniepru do Warszawy teraz ludzie będą gadać o waszym baćku z zazdrością. Uwierzycie? Sam jeden w Studionce pięciu bolszewików rozbroiłem, a szóstego komisarza zastrzeliłem.

— Na śmierć?! — wykrzyknęły.

— Niechąco — zełgał. — Celowałem w łydki, a trafiłem w wątrobę. Niechąco dzietki. Ale głupstwo — ksiądz rozgrzeszy.

i dałem polskim oficerom plan. Przez moją głowę na busztyckiej grobli więcej niż tysiąc czubów z końmi i armatami zabraliśmy. Kapitany polskie mię za to na rękach nosili. Jeżeli wam ktokolwiek udowodni, że to nieprawda, będziecie miały prawo mię sukinsynem nazwać.

Z wojowaniem udało się, że lepiej być nie może, ale źle, że za rzekę wracają. Bardzo źle. Musimy uciekać. Zbierajmy się córuchny żywo!

Dziewczyny sposepniały.

— Jak to i my też mamy uciekać z tatkiem? — rzekła Małgorzata.

— Za mnie i na was będą się mścić gady. Wyjedziem na parę tygodni do Bobrujska. Kapitany mi mówili, że za dwa, a najdłużej za trzy tygodnie, polskie wojsko znowu do nas przyjdzie i pozostanie na zawsze.

— A z chatą i chudobą co zrobimy?

— Cokolwiek weźmiem ze sobą, a resztę oddamy w opiekę Ottonów.

— Nie, ja nie pojedę — oświadczyła Maryla. — Niech tatko jedzie sobie, a my zostaniemy w domu. My wojować nie jeździłyśmy; za co nas mają karać? Nieprawda Małgorzato?

— Prawda. My zostaniemy w domu.

— Patrzajcież, abyście nie narzekały na mnie, gdy wam coś złego się przydarzy.

## XVI

### MARSZ ZA BEREZYNE

Na Podwyższenie, z puszczy smolarskiej wyruszył w stronę Berezyny klucz polskiej młodzieży. Prowadził Kościak Wasilewski. Za nim szedł Stach Bałaszewicz, dalej jeden, za drugim: Norba i Adaś Ściepuro, Oleś i Zygmus Piotrowscy, Wiktor i Jaś Kantyczkowie, Bolek Winiarski, Karapuz, Walka, Franek i Florek Tryznowie, oraz sześciu chłopców spoza Smolarni.

Cząstka to tylko mała była, tych wszystkich b. wartowników Siły i uczestników zeszlorocznego zbrojnego obozu w lesie i tych wszystkich zapaleńców, którzy tęskniąc za Wolną Polską, czekali Jej z postanowieniem, że niechno zblizą się tylko wojska polskie nad Berezynę, oni przedrą się na ich stronę i ze swojej gromady zawiążą własny zaberezyński pułk. Ponad stu młodych ludzi z okolic Smolarni w gawędach między sobą powtarzało o gotowości służby w wojsku polskim i ponad stu ludzi, słyszawszy upragnione grzmoty na zachodzie, gotowość tą w duszy potwierdziło. A tymczasem ciągnęła się oto garstka 19 osób. Garstka mała szła i to nie w ciasnej braterskiej między sobą drużbie i jedności myśli, nie pogodzie ducha i zapale, czego od b. organizatorów zbrojnej Siły i wnioskodawców zawiązania własnego pułku należałoby się spodziewać, ale jak rozbitki przegranego powstania — smętni, skłócenii, opryskliwi.

Pierwszą i główną przyczyną takiego upadku było załamanie się wiary w Polskę poddnieprawą. Dobrowolne wycofanie się wojsk polskich

z ich ziemi, wielu zrozumiało jako wyrzeczenie się jej. Wypadek starego Piotrowskiego i jemu podobne, które spowodowały rozstanie się z gospodarką, na ludzi zrosłych z zagonem podziały odstrasząco i kazały mieć się na ostrożności. Polska bez włączenia ich ziemi, traciła dla nich na uroku.

Znowu do pewnego rodzaju powikłań w gronie młodzieży smolarskiej przyczynił się Kościk Wasilewski, najgorętszy zwolennik tworzenia zabereżyńskiego wojska i główny organizator w tym kierunku. Zrazu było więcej takich, którzy nie zważając na to, co ich w wypadku niepomysłnej walki czeka, ani nie oglądając się na nikogo, na zew Kościka do wspólnego odmarszu, w puszczy się zgromadzili. Ale Kościk z wymarszem dzień od dnia odkładał, mówiąc, że ma jeszcze połączyć się z nimi gromada chłopców zawończańskich. Tak towarzyszom mówił, a w samej rzeczy zwlekał, by znaleźć okazję ujrzenia się ze swoją "hołubką". Nie widział się z nią. Tak się złożyło, że podczas parodniowej gościny wojsk polskich, Karusia znalazła się w dalszej drodze, a gdy wróciła, rozłożył się w Smolarni na dłuższy czas obóz bolszewicki.

Kościk tedy, pozorując czekaniem zawończańskich chłopców, wykradał się od towarzyszy, krążył koło smolarskiego pola i czatował na Karusie. Mógł prosić kogoś ze smolarskich ludzi, pracujących na polu o pośrednictwo i to spotkanie zaraz pierwszego dnia mieć, ale do byle kogo zwracać się nie chciał, po drugie obawiał się, że to dojdzie zaraz do obozu towarzyszy i go zdemaskuje. Krążył dokoła Smolarni i czatował tak, aby go nikt z ludzi nie dojrzał.

Pływały dni za dniami, a upragniona okazja nie nadarzała się, ani nie wyjeżdżali ze Smolarni bolszewicy. Towarzysze, zaniepokojeni długim nieprzybywaniem zapowiadanych zawończańskich chłopców oraz ciągłym oddalaniem się Kościka, zaczęli go śledzić. W końcu dwóch z rekrutów z Jam przyłapało go, jak siedział całe pół dnia za ogrodami i zawiadomiło o tym resztę. Powstał bunt, w rezultacie którego, kilku starszych wróciło do domów, a kilku rekrutów zaraz z miejsca poszło do Bobrujska na swoją rękę.

— Czy chociaż masz przy sobie, Kościku, tą przepustkę, którą nam pan porucznik Kloc był wydał — próbował Stach, już może po raz piąty, nawiązywać rozmowę.

— Po co, ażeby przepuścili bolszewicy? — burknął ironicznie.

— Ażeby nie przyszło się tak, jak Piotrowskiemu w Studzionce. Wezmą nas za bolszewików partyzantów i szpiegów i będą ciągaliby po turmach.

— Wprzódmy myśl, jak przedrzeć się przez front bolszewicki. Ot, jeśli prawda, że zasiedli do okopów, wtedy poświszczesz.

— Wtedy wrócimy, uzbroimy się, zbierzemy większą gromadę i przebijemy się przez front siłą.

— Zbierzesz większą gromadę... Kto cię teraz usłucha? Żeby chociaż ci, co są nie rozeszli się. Darować sobie nie mogą tego, co się stało. Biczowałbym siebie zdaje się, włosy rwał pasy darł ze skóry. Ludzi tyłu straciliśmy, czasu, skompromitowałem się, jak gorzej nie trzeba i do tego jeszcze jej nie ujrzał. Szczęście to moje choleryczne!

— Co się stało, to nie odrobisz i teraz nie warto już tym dużo się przejmować. Winujemy cie tylko, żeś czynił to przed nami w skrytości i bujał. Patrz oto, ilu tu ich idzie, to prawie każdy po dwie nocki ze swoją sie lizał. A tyś co, gorszy od nich?

— A, to prawda. Pognałoz ją do tych Białynicz! Patrzajcie jaka siostra miłosierdzia z niej się znalazła!...

Zresztą te leki, to tylko może pozór — dodał po pauzie.

— A co myślisz?...

— Myślę, że zwabiła ją tam Hańka, by ululać z Blinkiewiczem. Mściwa ona na mnie jest i nim ich nie pozeni, nie spocznie.

— Ech, głoważ twoja, głowa! 25 lat niebawem osiągniesz, szczecina ci już po goleniu na brodzie wysiada, jakby ta otawa na naszych łąkach po deszczu, a takie dziecinne głupstwa ci po głowie chodzą.

— Wcale nie głupstwa. Słyszałem, że w tym czasie, cośmy się kryli w lesie, przyjeżdżał razem z Wędlińskimi Blinkiewicz i umizgał się do Karusi. Coś w tym jest...

— Tak, słyszałem o tym. — Matka Karusina tam do nich doniosła, że za twoją głowę bolszewiki naznaczyli wielką nagrodę i że śmiało cię można już liczyć za nieboszczyka, więc przyjeżdżał i umizgał się. Ależ co z tego? Wiesz dobrze, że kusili się o nią chłopcy nie Blinem będąc, a jednak odmówiła. Nie dała się ona bracie nikomu i nie da.

— Staszku! aż mi lżej na sercu za takie powiedzenie.

— Lżej na sercu... Ja zawsze mówiłem i mówię, żeś zdrowy, jak wół, masz łakomą dla bab morde i szczęście do nich, ale znowu, jak but głupi. Zawsze podejrzewasz, zawsze boisz. Przestań o niej myśleć, natomiast pomyślmy i pomówmy względem naszego pułku.

— Co o tym mówić przed czasem; będziemy widzieli, jak i co na miejscu.

— Oczywiście, gdzie przyjdzie kołatać, będziemy widzieli na miejscu; warto jednak skorygować teraz w głowie prośbę i jakby powiedzieć — argumenty, uzasadnienie takie, o potrzebie i korzyściach z naszego pułku.

— Myśl sobie sam, bo ja dziś o tym nie potrafię.

Zagłębiwszy się w zakuncewicką puszcze, zatrzymali się na nocleg. Widno jeszcze w lesie zupełnie było, na niektórych wierchołkach jodeł złoćiło się nawet słońce, jednak dalszy marsz tego wieczoru był bezcelowy, gdyż połowę drogi mieli już za sobą, a głuchszego na nocleg zakątku znaleźć nie mogli. Wybrali dogodne miejsce, rozwiesili po pniach tobołki i wzięli się za ogień. Pniów wszelakich wkoło i suchopostaju było moc, więc nim dobrze się ściemniło, buchał ogień płomieniem wyższym od człowieka, a obok leżał stos suchego drzewa, co najmniej z pół sążnia, na późniejszą nocną podkładkę.

Nastrój jednak panował w gromadzie ten sam — ponury; jedni legli samotnie wśród krzaków z dala od ogniska i tęsknili zapatrzeni w niebo, drudzy posiadali na kłodzie i w ponurym zamyśleniu patrzyli w ogień, inni rozwiązali swe tobołki i zabrali się do wieczerzy, ale z taką ochotą, jak koń trzy dni nie pojony, do siana. Niektórym lży na oczy się cisnęły. Kościk zaszył się gdzieś w gąszcz.

— Bóg wie, czy przyjdzie się nam już widzieć Smolarzeńkę — westchnął ciężko Adaś Ściepuro, przezywany Łapanosym.

— I Julkę smarkatą — dorzucił drwiąco Stach. — Widzę, że już płakać będziecie zaczynać. Szlag by was trafił takich wojaków! Pół dnia dopiero przeszło, jak ze swoich zagajników odeszli, jak na swoje chaty patrzyli, a już płakać zaczynają!

— Żebyż człowiek wiedział, że gdy wróci znajdzie w domu Polskę, to by trzy lata o tysiąc wiorst stąd służył przyspiewując. Niepewność ta tylko bracie człowieka gnębi.

— Wcale nie pojmuję, czemu ten upadek ducha was ogarnia, teraz gdy Polska u wrót naszych stoi? Przypomnijcie sobie położenie nasze i duch, jaki panował wśród nas, po odejściu Niemców zeszłej jesieni i porównajcie go z położeniem i duchem dnia dzisiejszego. Wówczas jakby powiedzieć... jakby na zablakanej w bezkresie oceanu tratwie naraz znaleźliśmy się, mgłą nieprzejrzaną osaczeni, nie widząc słońca, nie wiedząc, gdzie trzymać ster, — jednak wierzyliśmy, że nie zginiemy; dziś słońce świeci, ład niedaleko widzimy i z ład u naszą tratwę widzą, — nas zwątpienie ogarnia. Przypomnijcie z jaką wiarą i zapałem zbieraliśmy się na Parnię.

— Lepiej chłopcze nie wspominać o tej Parni, bo mnie aż wstyd bierze, żeśmy tak dziecinnie naiwni byli — wmieszał się do rozmowy Norba.

— A ciebie aż wstyd bierze?! Wiesz bracie, możesz tylko wstydzić się wyjawienia tajemnicy partyjnej swej babie i słabości swojej, którą ujmę czynisz sławie dowborczyka. Nie dziecinna to była myśl. Gdyby jedność wśród Polaków była, nie wilczą ścieżką chodzilibyśmy, jak dziś, ale ludzkim traktem. Każde wielkie dzieło maleńki i niepozorny początek miało. Weźcie nawet oto tą potężną jodłę, co nad lasem szumi, burzom uraga, — początek swój wzięła z siemienia wielkości pluskwy, które najłżejszy podmuch wiatru, jak pyłek nosił.

— Ciebie Stachu na język, to ani białynicka baba nie zmoże.

Na wszczęty dyskurs, chłopcy po jednym wyłazili z krzaków i gromadzili się wkoło ognia.

— Ty mówisz Stachu, żeśmy w zeszłym roku nie widzieli brzegu, ale wiara była — przyłączył się Bolek Winiarski. — Tak to prawda: wiara była i ochota wtedy do walki wszystkich brała; ale wierzyli też wtedy, że jesteśmy częstką organizmu Polski, bez której Ona, ani kształtu należytego, ani siły potrzebnej nie będzie miała; dziś jednak widzimy, że jesteśmy szóstym niepotrzebnym Jej palcem.

— Kto ci to powiedział?

— A czemu oni z naszego kraju odstąpili?

— To tylko świadczy o wielkim talencie i doświadczeniu polskiego Wodza. Powiedz mnie, czemu Napoleon przegrał wojnę z Rosją?

— Bo jego żołnierze w Moskwie pomarзли.

— Nie, — bo szedł za szybko, bez przygotowania tyłów. Polski Wódz działa ostrożniej i zatrzymał swój zwycięski pochód, aby ugruntować ziemię świeżo wyzwoloną; trzeba dopasować podług swych pociągów koleje, trzeba ponaprawiać popalone mosty, porwane telefony, ustanowić rząd i zapełnić świeżymi ludźmi szczyby w pułkach. Gdy z tym uporządkują się — pójdą dalej. Czytał któryś z was w jakiej książce, albo

słyszał gdzieś, żeby Polska kiedykolwiek opierała się o Berezynę? Do Dniepru zajmą — jak amen w pacierzu.

Ale musimy chłopaki w tym ostatnim pochodzie wziąć jak największy udział, ażeby potem Poznańczyk, czy tam Mazur jaki nie mówił, że nas przy tym nie było i że nasze zaścianki to kacapy, albo bolszewiki. Nie konfuźcie siebie, chłopcy, mazgajstwem! Trzymajcie się, jak przystało na Berezynców! Oto przeprawimy się do Bobrujska, zbierzemy co będzie naszych chłopaków i założymy swój zabereżyński pułk ułanów. Jacy to będą ułani, to już naprzód możecie wiedzieć...

— O, nasze zabereżyńscy chłopcy!! — zagrzmieni rekruci.

— Otóż założymy, zaprawimy się trochę i pójdziemy szatkować łajdactwo. A potem — gdy już krainę swą wyzwolimy, weźmiemy urlopek, albo poprosimy o służbę taką, która będzie mogła dać okazję odwiedzenia Smolarni, zajedziemy nocką niespodziewanie pod okno — zuzuli serdecznej, chaptusi słodkiej, kraski tęczowej, wonnej, aksamitnej i zaśpiewamy:

Przybyli ułani pod okienko.

Przybyli ułani pod okienko — zaśpiewał.

Kilku rozweselonych jego opowiadaniem rekrutów, przyłączyło się doń i las zagrzmiał wesołą żołnierską pieśnią.

— Ażeby ciebie, Stachu, ażeby! — wołali rekruci odśpiewawszy “Przybyli ułani”. — Jak ty zawsze możesz pocieszyć i rozweselić.

— Franek! a dostań swoją przebieranę i rypnij tam jakąś trasuchę, aby w domu nie “zuryli się”! — “Antek złodziej” zagraj! — Zagraj: “Kudy idziesz Natałaczka”! — Nie, “Pajdu siadu u rasadu”! — wołali jeden przez drugiego.

Pieśni żołnierskie i domowe, gra na harmonii, trzęsły lasem, aż pod północ. Posnęli w słodkich marzeniach powrotu do Smolarni w mundurach ułańskich i sławie wojennej.

Nazajutrz ze wschodem słońca ruszyli dalej i jednym długim marszem stanęli przy mohilewsko-bobrujskiej szosie, o parę tylko wiorst od Berezyny. Trzymając się zawsze głębi lasów, przez całą drogę na oczy nie widzieli żadnego bolszewika, ani legionisty, ani nie słyszeli żadnych strzałów. Byliby tak wilczą ścieżką szli jeszcze dalej — aż ku samej rzece, jednak po wyjściu z rządowego lasu, zaczynał się przejrzysty zagajnik, więc mogli ich z dala dostrzec i obstrzelać.

Gromada zatrzymała się w gąszczu państwowego lasu, a Kościk z Walkiem udali się na zwiady.

Wypełzli na czworaczkach na szosę — wyjrzeni. — W kierunku Mohilewa pustka, od Bobrujska — szła gromada pięciu kobiet z tobołkami na plecach. Szły spokojnie i wesoło ze sobą gwarzyły, co świadczyło, że nie były w strefie działań wojennych.

Kościk z Walkiem przeczekawszy aż się zbliżą powstali na ich spotkanie. Kobiety zaczęły szeptać, zbijać się w ciasną kupę i zwalniać kroku, biorąc ich widocznie za opryszków, którzy ciągle w tym lesie ograbiali podróżnych, albo szpiegów niewiadomej narodowości.

— Wy skąd babki? — zwrócił się do nich Kościk.

— Ludcy miłosierne! — zajęczały — my nic nie wiemy.

— Jakżeż to, nawet nie wiecie skąd idziecie?

— Dalibógżeż nic nie wiemy! Przepuście nas ludcy miłośierne!  
My biedne kobiety!... Dzieci nasze już popuchły bez soli!...

— Aha, więc sól niesiecie; znaczy się idziecie z miasta. Musicie nam powiedzieć, jak daleko stoją bolszewicy, bo inaczej nie puścimy.

— My nie widzieli żadnych bolszewików! My nic nie wiemy!

Z przeciwnej strony szosy posypały się strzały. — Dzyn, dzyn, fiu!  
— zagwizdały kule nad głowami.

Kobiety popadały z wrzaskiem na ziemię. Kościk z Walkiem również upadli i wypatrując w stronę skąd doszły strzały, cofali się powoli na brzuchach w tył.

— To nasi! Kościk, to nasi! — zawołał Walka pierwszy, dojrawszy wynurzające się z lasu szare postacie Poznańczyków.

Powstali i wzniesli ręce w górę. Z lasu wynurzył się patrol 12 żołnierzy i okrzyknął ich.

— Cośta za pierony, ludzi na drodze grabicie? — zawołał sierżant, trzymając w pogotowiu rewolwer — Idźta baby! — dodał w stronę przerażonych kobiet.

— My swoi, panie sierżancie, Polacy — odrzekł Kościk.

— Skund? Macie jakie papiery?

Kościk dostał z podszewki cholewy, wydany mu swego czasu przez porucznika Kloca, dokument i wręczył go sierżantowi.

— A gdzieśta pana porucznika widzieli? — pytał prześlabilizowawszy.

— Za przewodnika mu swego czasu służyłem. — Opowiedział pobieżnie, o współdziałaniu swym w walkach wojsk polskich za Berezyną.

— Możeta sobie iść — zdecydował.

— Panie sierżancie, ale my tu nie sami, nas jest cała gromada. Prosimy o odprowadzenie nas do miasta.

— A gdzież ta wasza gromada?

Kościk złożył dłonie i gwizdnął trzykrotnie. Po paru minutach zaczęli wynurzać się jeden po drugim z lasu rosłe i krępe, jak dęby, smolarzanie. Sierżant liczył i oglądał się niespokojnie na podwładnych. Po wynurzeniu się dziesiątego chłopą, twarz sierżanta wydłużyła się i przybrała wyraz podejrzenia i obawy. Żołnierze zaczęli się rozstępować i unosić karabiny.

— Pan sierżant zapewne dziwi się wzrostowi naszych ludzi? Rośli u nas ludzie i mocni.

Sierżant spojrział nań ostrzegawczo i cofnął się parę kroków.

Smolarzanie wychodzili po jednym na szosę, pozdrawiali żołnierzy uchyleniem czapki i stawali kupą przy Kościku. Gdy już większa część znalazła się na szosie, sierżant zakomenderował:

— Tłomoki rzucać i ręce w górę!

Połowa żołnierzy trzymała w pogotowiu broń, reszta zabrała się do rewidowania tobołków i kieszeni smolarzanom.

Nic podejrzanego nie znaleźli mimo to, odstawiono wszystkich konwojem, z zachowaniem wszelkich ostrożności, do ujścia rohoczewskiej szosy, gdzie stał patrol całego plutonu z oficerem na czele.

Oficer sprawdził, wybadał o stosunki w okolicach Smolarni i kazał kapralowi przeprowadzić ich za most.

Znaleźli się w Polsce, oddychając wolnością, lubując się Jej obliczem.

Dobrujsk wyglądał jak za Dowbora; — rzadnie, schludnie, polsko, wojskowo. Z tą tylko może różnicą, że wówczas wojskowość lśniła sukniem ochronnym i amarantem — teraz zdobiła ją odzież szara, upstrzona gęsto srebrnymi guzikami.

Ulice świeciły wzorową czystością. Grzmiały ruchem. Na skrzyżowaniach strzegli porządku policjanci. Zaczyły ich orzełki i szerokie białoczerwone na ramionach i czapkach opaski. Sklepy wszystkie były otwarte i zapełnione żywnością i wszelakim towarem. Na rynku stały, jak i dawniej, rzędy wiejskich furmanek. Na chodnikach główniejszych ulic, a zwłaszcza b. Murawiejskiej — tłok odpustowy. Mnożyli go teraz i barwili na polsko, spotykani na każdym kroku wojskowi i urzędnicy cywilni, ze złożonymi rzemykami na daszkach czapek i złożonymi, wypukłymi guzikami na mundurze. Wszędzie brzmiał głos polski, widniało pisane słowo polskie, polski znak. Na twarzach ludzi malował się spokój i radość.

Smolarzanom spod rządów Rosji sowieckiej, po ciągłej obawie i trwodze o swe życie i mienie, po kilkumiesięcznym zwierzęcym życiu w lesie, wierzyć nie chcieli się, że to już naprawdę bezpieczni. Szli miastem, patrzyli na przepelnione towarem sklepy, przypatrywali się zwłaszcza zasiekom soli, którą Żydzi po stronie bolszewickiej sprzedawali po cenie cztery razy droższej od masła, przyglądali się urzędnikom pozłacanym, orlim postaciom wojska, radości ludzi, porządkowi — i oczy im wilżyły się łzami, tchu brakło ze wzruszenia, że Ona powstała od razu silna, rządna, dostatnia, ojcowska i brawurowa.

Zaszli tymczasowo na kwatere do pana Chmary, zamieszkałego w stronie Krzywego Kruku. Tylko zaczęli się rozkładać, kiedy wbiegł Józik Oleński. Z orzełkiem, w policyjnych na ramieniu i czapce opaskach, z długim rosyjskim karabinem — na ramieniu i z teczką, z okładek starej dużej księgi, pod pachą. Twarz wyrażała triumf.

— Myślałem, że was dogonię na ulicy — mówił witając się — Szedłem do Komendy z korespondencją, a na rogu, Mińskiej, spotyka mnie Zeńko z Wieźgajowa i mówi: Pociągnął tabun smolarskich chłopców ludzi ze 25. Więc ja zawróciłem i hajda. Wiedziałem, że nie wiecie gdzie mieszkamy i tu pójdziecie.

No i jakiesz, wam też już nadojadło w lesie siedzieć?! Ach, jak ja dobrze zrobił, że z wami się nie łączył! Ot życie znalazłem, bracia, to znalazłem! Godne starego dowborczyka. Służbę policyjną wszelaką znam z zamkniętymi oczyma. Pan rewirowy, zwierzchnik mój — druh serdeczny. Żydzi bracie przed tobą na palcach chodzą; nanoszą darmo bułek, obwarzanek, śledzi, wódki. Jadła różnego, choć ty się rozpasz napitku — choć się żalej. Żeby tylko jeszcze Zośkę jakoś sprowadzić. Jest tu dla policjanta dziewcząt wszelakich do cholery — mam jedną żydóweczkę, która nie gorsza od katoliczki — no, ale zawsze nie to, co nasza smolarska dziewczyna. Zośka moja o dużo cieplejsza.

— Ale udało ci się wtrynić do tej policji — zauważył Norba.

— Kawalek zasługi dla Polski, oleju w głowie i trochę znajomości to się i wtrynisz. Jak chcesz to i ciebie wpakuje.

— Nie myślimy o wpakowaniu się do policji; zamierzamy utworzyć własny oddział wojska — uprzedził Kościk.

— A, wy zamierzacie tworzyć oddział wojska? — powtórzył tonem ironii. — Twórcieź, twórcieź. — No, ale teraz mi śpieszno. Potem po służbie przyjdę do was. Bywajcie...

Zamienił z tym i owym jeszcze parę słów osobno, potem pociągnął Norbę za rękę, wyprowadził go na podwórze i długo z nim nad czymś radził.

Po Józiku, zajrzało do zagrody Chmury dwóch policjantów zawończańskich, kilku rekrutów ze smolarskich chutorów, potem zjawił się stary Piotrowski, Schudł, posiwiiał bardzo, oczy zapadły i paliły się gorączką.

— Ach, dzieci wy moje!... Jakżeż wy?!... Jakżeż przebrali się!?! — wołał, ujmując każdego po ojcowsku w ramiona i całując w czoło. — Ja już myślałem, że nie przejdziecie; tu mówili, że bolszewiki do okopów zasiędlili.

— Przez całą drogę i na oczy żadnego bolszewika nie widzieliśmy — odpowiedział Kościak.

— A, więc to nieprawda! No i jakżeż tam, dzieci, w Smolarni? Zdrowiż wszyscy? Jakżeż tam moje córki? Oleś, jak tam moje Małgorzata z Marylką?

— Nic, żyją, zdrowi. Już przyjeżdżała ekspedycja za stryjem.

— Bolszewiki?!... Za mną?!... Już donieśli?... No i cóż tam, bili może dziewczęta? Mówcie, mów prędzej! — naglił.

— Ażeby tam bili, tego nie słyszałem, ale całą chatę przekopali, przewrócili do góry nogami, zabrali wasz czarny, duży kozuch, dziewczęce palta, kosztowniejsze chustki i Padłasą zabrali.

— I Padłasą zabrali?! Boże, jak ograbili! A klaczy ze źrebakiem nie zabrali?

— Byliby też zabrali i klacz, ale szczęściem akurat była w lesie, a Maryla im powiedziała, że stryj uchodząc do Bobrujska, konie zabrał ze sobą.

— Ot rozumna dziewczka! No, ale dobrze, że chociaż ich nie bili. Aby zdrowie, to nażyjemy. Niech da Bóg udławią się zrabowanym.

A nie wspominają moje dziewczki o mnie źle?

— Nie widziałem ich na własne oczy i nie będę łął. Tabor bolszewicki w Smolarni ciągiem stoi.

— Bolszewicki tabor stoi!

— Zaraz po wyjeździe stryja zajechał i jak stanął, tak stoi i stoi.

Ale tabor, oprócz dwukrotnego rekwirowania po kopie z chaty siana, większej krzywdy ludziom nie czyni. O tej grabieży u stryja to mi mama w czwartek mówiła, która, dowiedziawszy się, że my jeszcze nie odeszli, do Wasilewskich na leśniczówkę przychodziła.

Nic takiego więcej o waszych córkach. Mówiła mama tylko, że gospodarzą co się zowie: wożą nawóz, orzą, sieją, żyto, kopią kartofle.

— Sieją żyto?! Jak to dobrze! Boże, aż, mi ulżyło na duszy. Córuchny złote! Mróweczki moje robocze i zaradne! Zórawinki rumiane! Malinki złote! Jaż was, jak przyjadę, jaż was!... — wylewał starowina ze łzami w oczach swe uczucie i wdzięczność dla córek. Chłopcom, którzy go słuchali, również zaświeciły się łzy w oczach.

— Dobrze, że sieją; jest nadzieja. Kościak, wiesz, jest nadzieja!

Nie siedzę ja tu bezczynnie, nie śpię: kołatał na wszystkie strony, biję się, jak ryba o lód. Byłem już razy pięć u dziekana, byłem w Komendzie Miasta, w Starostwie, a teraz oto już czwarty dzień chodzę tylko i zbieram podpisy.

— Podpisy?! Po co?

— Podanie z panem Nieśmiertelnym zwyredagowaliśmy względem naszej ziemi . . .

— A, już Nieśmiertelny się zjawił?!

— Jest tu Nieśmiertelny, jest Przeździecki, Swisłocki, Szelkowski, Ostrowski, Zabiello, Ejsmont, Bułak, Dmuchowski, są tu prawie wszyscy panowie z za Berezyny. Ale Nieśmiertelny u nich głową.

Otóż zwyredagowaliśmy z nim dwa podania: do Pana Naczelnika Państwa Polskiego i do Koalicji. Uwierzycie? — Anglik protestuje, że niby Polska za głęboko w ruskie ziemie lezie. Nie szelmaż to?! Mówią, że Naczelnik Polski na protest tego Anglika kicha i choćby on tam na głowie do góry nogami stanął, to wszystko jedno, po Dniepr zabierze; chce jednak pokazać przed Koalicją, że zabereżyński naród sam tego przyłączenia żąda. Ot co.

Więc ułożyliśmy podanie i zbieramy podpisy: on od panów, ja — od prostego ludu. Mam już dużo na swojej liście, ale jeśli mówicie, że w nasze strony przedrzeć się łatwo, to pójdę i nocami po wsiach i zaściankach będę zbierał więcej. A może któryś z was zechce ze mną pójść? We dwójkę raźniej. Co zamierzacie robić?

— Zamierzamy organizować własne zabereżyńskie wojsko — odrzekł Kościk.

— Własne zabereżyńskie wojsko?! — wykrzyknął — A to rozumnie!

— Pułk zabereżyńskich ułanów — poprawił Stach.

— A, to bardzo dobrze! Kościk, ja oddaję dla ciebie swego Gniadosza na początek. Nic nie żałuję na takie rzeczy.

— Jutro idziemy w tej sprawie do dowódcy tutejszych wojsk.

— Do pana generała Konarzewskiego.

— Nie wiemy jeszcze, kto to jest, ani jak się nazywa.

— Generał Konarzewski tu najstarszy nad całe wojsko, nad cały

front. Wiem nawet gdzie to jest, pójdziemy razem. Ja już dawno do niego wybierałem się, ale mi Nieśmiertelny zawsze odradzał, mówiąc, że tymi czasami pan generał mocno jest zajęty. Ale jeżeli wy pójdziecie, to już za jedną turbacją i ja pomówię.

Na wieży kościelnej i w cerkwiach zaczął się wieczorny dzwon.

— Dawajcie dziatki, tak wszyscy hurtem, pójdziemy na Nieszpór, na intencję, aby to, co zamierzamy spełnić się pomyślnie — zaproponował Piotrowski.

— Dawajcie! dawajcie! — chętnie zgodzili się chłopcy.

## U GENERAŁA KANARZEWSKIEGO

Następnego dnia około dziesiątej rano, stary Piotrowski, Kościak i Stach stanęli przy sztobie 14 Dywizji Wielkopolskiej, który się mieścił przy ulicy Długiej. Na pół kwartału przed urzędowym gmachem, jezdnia dla niewojskowych była zamknięta. Na ganku drzwi frontowych, stało dwóch wartowników z nadzianymi bagnetami.

— Stać! — rozkazał jeden wartownik, gdy smolarzanie zaczęli wchodzić na stopnie ganku. Drugi obrócił się bokiem w stronę korytarza i głową uczynił komuś we wnętrzu gest porozumiewawczy. Za chwilę wyszedł kapral.

— Czego sobie życzą panowie? — zwrócił się do przybyłych.

— My delegaty, chcemy widzieć się z panem generałem — odrzekł Piotrowski, występując naprzód.

— Delegaci? Chcecie się widzieć z panem generałem? — powtórzył kapral pytanie, obrzucając wszystkich trzech badawczym spojrzeniem.

— Proszę za mną — rzekł.

Wprowadził do długiego korytarza z rzędami drzwi po obu stronach. Przy niektórych drzwiach stała warta.

— Proszę siadać! — wskazał ławkę przy ścianie.

— Co, pana generała nie ma w domu? — spytał Piotrowski.

— Nim panowie ujrzą pana generała, będą mówili z panem kapitanem.

Skrył się za pierwszymi po prawej stronie drzwiami i za parę minut wyszedł i poprosił delegatów, aby poszli za nim.

Weszli do niedużego, skromnie po żołniersku umeblowanego pokoju. Przy mniejszym stole, bliżej drzwi wejściowych, urzędował kapitan, przy dłuższym, obok okna, dwóch podoficerów.

— Co panowie powiedzą? — zaczął kapitan.

Piotrowski znowu wystąpił naprzód.

— My delegaty prostej polskiej ludności z za Berezyny, chcemy mówić z panem generałem Kanarzewskim, co to najstarszy nad całe w Bobrujsku wojsko.

— W jakiej panowie sprawie?

— O tym będziemy mówili z panem generałem — odrzekł twardo i podkreślił junacko wąsa.

— Mają panowie upoważnienie?

— Jakie upoważnienie? od kogo?

— Od ludzi, którzy panów delegują. Oprócz tego, dowód osobisty, abym mógł stwierdzić, kim panowie są.

— Dowód osobisty kim jesteśmy? Czemu nie, w domu znalazłoby się cokolwiek: jakaś metryka, paszport ruski gminny, bilet wojenny — przecież wronie spod ogona nie spadłem — ale do bolszewików tam za front, po to nie pójde. A co do upoważnienia, to jeśli koniecznie tak potrzeba, można zrobić.

— Nie stwierdziwszy kim panowie są i iż rzeczywiście są delegowani, nie mogę ich panu generałowi przedstawić. Każdy człowiek może tak samo mówić, że jest delegacją.

— Co, pan nas za bandytów ma, albo bolszewików?! Mnie pół Bobrujska ważniejszych ludzi zna; Zna mię pan starosta, zna dziekan, zna pan Nieśmiertelny, który wszystkim ziemianom przywodzi, zna też kapitan... zawsze zapominam jak go nazywać... Czerniawy taki. Pan musi go znać. Wodziłem go z całym wojskiem tam za rzeką w naszych stronach, aż dwa dni, więc poznał mię jak brata.

— Jak się pan nazywa? — zapytał kapitan powstając.

— Mieczysław Piotrowski ze Smolarni.

— Może to, panie kapitanie cokolwiek warte? — wręczył Kościk zaświadczenie porucznika Kłoca.

— Aha! — przebiegł oczyma pismo i wyszedł bocznymi drzwiami do sąsiedniego pokoju. Po paru minutach wrócił z miną nadzwyczaj uprzejmą.

— O rety! więc ja mam zasłużonych ludzi przed sobą! — zawołał.

— Panowie Piotrowski, Wasilewski i Bałaszewicz wyświadczyli wielkie przysługi naszemu wojsku! Pan będzie Bałaszewiczem? — zwrócił się do Stacha.

— Tak jest — panie kapitanie.

— Siadajcież panowie, siadajcie. — Kapral Dziuba, a przynieście no stamtąd jeszcze pare krzeseł! Siadajcie, proszę! Pana generała narazie nie ma, więc będziemy musieli zaczekać. Panowie palą? — podał papierosa.

— Dziękuję bardzo — odmówił Piotrowski. — Jeżeli można, to już wolę swoją fajkę.

Zawiązała się długa i przyjazna rozmowa, w trakcie której, smolarzanie opowiedzieli ważniejsze wydarzenia z odbytych walk za Berezyną, których byli uczestnikami, potem o sprawach smolarskich i w końcu o celach swej delegacji.

Jakoś około południa kapitan wprowadził delegatów do generalskiego gabinetu, mieszczącego się w narożnym pokoju po przeciwnej stronie korytarza.

Był to pokój widny, szeroki i elegancko urządzone. Ściany i sufit wyklejone nowym kwiecistym cbcieciem. W koło portrety królów polskich, wodzów, obrazy historycznych bitew, wydarzeń i mapy. Krzesa i kanapy miękkie, o toczonych ozdobnych poręczach. Dwa stoły, jakie były w pomieszczeniu, pokrywały amarantowe sukna. U góry wisiał piękny i duży, jak w kościele, zyrandol. Ścieżki pomiędzy stołami i drzwiami wysłane były wiśniową, powłóczystą tkaniną.

Za stołem, naprzeciwko drzwi wejściowych, w fotelu, siedział generał Konarzewski. Był to człowiek już podżyły, lat około 45, przyprószony siwizną, o twarzy, rozumnie, męznej, ambitnej, harmonizującej z generalskim stopniem. Zdało się, że choćby przywdział chłopską siermięę, można by poznać, że to polski generał. Za drugim stołem z boku, siedziało dwóch oficerów w adiutanckich sznurach.

Smolarzanie weszli i stanęli przy drzwiach nieśmiało.

— Proszę! Proszę panowie ku stołowi! — zapraszał generał unosząc się nieco.

Postąpili bojaźliwie kilka kroków naprzód i stanęli przed stołem.

— Proszę siadać, panowie.

— Dziękuję pokornie, postoiemy. Nasiedzieliśmy się chwala Bogu — mówił Piotrowski za siebie i chłopców.

— Ależ proszę! Proszę siadać! Od czegoż są krzesła?!

— Za nic w świecie nie usiądziemy przy panu generale. My ludzie prości, postoiemy.

Panie generale, ja przyszedłem prosić pokornie, ażeby pan naszą zabereżyńską ziemię raczył przyłączyć do Polski.

— Ależ panie — odrzekł generał — ja przecież nie jestem tym, który decyduje o przyłączeniu do Polski krajów.

Piotrowski jakby nie dosłyszał, albo nie zrozumiał słów generała i ułożoną już zapewne w głowie prośbę ciągnął dalej.

— Panie generale, strony nasze nie gorsze od tutejszych, ani ziemią, ani narodem. Nawet jeszcze lepsze. Co prawda, jest parę dzikich błot i parę kawałków piaszczanej wydmy też jest, ale w większej części to ziemia spadzista, czarnoziemna, godna na chleb i na las. Lasy u nas nieskończone, a stare i drogocenne. Są dęby w naszych puszczech, że przed wojną po 40 rubli za sztukę płacili. Łąk tak urodzajnych i pożywnych, jak u nas, w całej gubernii nie znajdzie się. Pan Dowbór Muśnicki, daj mu Boże zdrowie, gdy u nas tu był, to wszystkie ułańskie konie, tylko naszym sianem karmił. A naród też nie jest taki zły, jak o nim kto może mówi, albo myśli. Nie będę łgał — uboższa ludność wsi starych pańszczyźnianych, nie wiedząc za co Polska wojuje, patrzy na Nią koso, a też i bandytów przez parę lat bezładu dużo się narobiło, jednak gdyby pierwszym pokazać Polski program, drugich, za przeproszeniem pana generała, wziąć krótko za mordę, to ludzie z nich będą pierwszy sort. A ten, kto ma szerszy zagon, oraz zamożniejsze wsie na kupczy i bogobojni starowiercy, to za tego, kto w kraju przywróci porządek, Bogu będą się modlili. A nasze polskie ludzie z takim pragnieniem czekają Polski, jak człowiek w Poście czeka Wielkiejnocy.

Na rękach mówią, będą nosić polskich żołnierzy, gdy przyjdą.

I gęsto jest wsiów polskich — miejscami gęściej nawet, niż po tej stronie rzeki. Ot, koło nas na przykład: Smolarnia, Jamy, Polanki, dalej Mohilnic, Lizuny, Żerdzianka, Wieżgajłowo, Turkacze, Sakatuszki, Maślaki, Michałowka, Podgardle, Szpyrki, Szeptuny, Grodzianka, Glinokopy, Birki Małe. To tylko zaścianki a prawie drugie tyle mieszka obok nich na chutorach.

Teraz wymienię drugie pasmo zaścianków . . .

— Zbytecznie panie — przerwał generał. — Nie przeczę prawdziwej wartości kraju panów i ludzi w nim zamieszkałych, lecz powtarzam, że o przyłączeniu krajów nie decyduje.

— Panie generale, na tego Anglika wcale nie trzeba patrzeć; oczyścić po Dniepr, a potem, jeżeli komu zazdrość, niech nawodzi sobie sprawy, niech nawet na głowie staje. Przecież po Dniepr ziemia polska.

Panie generale, błagam cię, odbierz nas bolszewikom, przyłącz naszą ziemię do Polski! Zmiłuj się nad nami!

— Pan ode mnie przyłączenie swego kraju tak domaga się, jak bym ja to trzymał w kieszeni. Połączenie ziem polskich zależy jedynie od

wyniku wojny, którą z wrogiem prowadzimy. Pan zapewne myśli, że jedynie wasze międzyrzecze pozostaje w niewoli i że tylko ta wojna, co tu nad Berezyną? Nie panie — jeszcze ze wszystkich czterech stron znajdują się polskie ziemie pod obcym władaniem, obywatele, których nie mniej od panów, wyzwolenia tego pragną i na wszystkie cztery strony wojnę prowadzimy. Walczymy nie o cząstkę Polski, ale o Jej całość przedzoborową i granice dobrze pamiętamy.

Pan oto domaga się przyłączenia ziemi po Dniepr, a co pan powie na to, że ludzie zza Dniepru również o przyłączenie proszą, powołują się na historię?

— Ludzie zza Dniepru również proszą się?

— Tak, proszę pana.

— A jest że chociaż nadzieja, panie generale, że doczekamy się?

— Armia polska rośnie, krzepnie i wszędzie zwycięża — to jest właśnie prawdziwa nadzieja.

— Dobrze, jak pan generał tak mówi, to ja nie będę więcej turbował. Teraz chłopcy będą mówili o swojej sprawie. Jedno jeszcze tylko chciałbym poprosić. My niebawem wyślemy do Pana Naczelnika Polski podanie względem tego przyłączenia, więc prosiłbym pana generała, ażeby gdy zobaczy się z Naczelnikiem i będzie mowa o naszej sprawie, dorzucił za nas przychylnie słówko. Pańskie słowo dużo będzie warte.

— Dobrze.

Piotrowski cofnął się nieco w tył, a wystąpił Kościk.

— Panie generale — zaczął — my zamierzamy zorganizować tu w Bobrujsku zabereżyński oddział wojska i prosimy pokornie o zezwolenie i pomoc.

— Zabereżyński pułk ułanów, panie generale — dodał Stach.

— Szlachetna i piękna myśl... No dobrze, — a mają panowie ludzi, konie?

— Ja swego konia im na początek daję, panie generale — wtrącił Piotrowski.

— Wczoraj nas było przeszło 19 ludzi — mówił Kościk — i wszyscy tego pragną.

— A są wśród panów żołnierze fachowi, doświadczeni, jest jakiś oficer, który by tym organizowaniem się zajął?

— On, panie generale, dwa lata w ułanach pod Dowborem służył i już starszego ułana się dostukał — oznajmił Piotrowski.

— Więc panowie z 19 ludźmi, z jednym koniem i "frajterem" marzą o pułku ułanów?

Kościk poczerwieniał i zmieszał się, nie wiedząc co mówić. Pośpieszył mu z pomocą Stach.

— To nic panie generale, że on tylko frajter; — on swego czasu sto ludzi pod sobą miał zbrojnych i na sztuce wojennej zna się nie gorzej, niż oficer jaki. — I dawaj opowiadać o Sile, o zakonspirowanej przy niej partii wartowników, o założeniu w zeszłym roku zbrojnego w lesie obozu, o popularności Kościka, a potem o powadze projektu — o możliwościach łatwego zebrania dla pułku ludzi i koni.

— Ażeby tylko początek zrobić, panie generale — mówił — a potem wszystko samo pójdzie, jak po maśle. Niech tylko rozejdzie się wiado-

mość, o zawiązaniu się takiego pułku, to tu napłynie doń ludzi, że ani odbronić się będzie można. Nas tylko wczoraj samych głównych z partii się przebrało 19, ale w mieście już wiele naszych jest i wiele jeszcze do nas się przebierze. Wyszle się w nasze strony sprytniejszych chłopców i oni tam będą ludzi werbować i za rzekę tu przeprować. Dużo kto i konia ze sobą weźmie. A potem raz i drugi zrobi się skok na watachy bolszewickie i dużo też się zdobędzie.

— Jak na swój wiek, nieźle pan mówi. Ile pan liczy lat?

— Dziewiętnaście już można liczyć, panie generale.

— Hm, dziewiętnaście już... Dobrze, zobaczą — będę mówił o tej sprawie z moimi w sztabie pomocnikami. Może jeszcze znajdują się z tutejszych stron jacyś oficerowie, chętni wam do pomocy. Panowie będą się dowiadywali o tym w oficynie pana kapitana, który panów mi przedstawił.

— Dobrze by jednak było — dodał — ażeby już na sam początek było trochę więcej ludzi i koni.

Przeprosili, podziękowali, pokłonili się i wyszli.

W korytarzu spotkał ich ten sam dyżurny kapral i znowu zaprosił do kancelarii kapitana. Urzędujących przedtem dwóch podoficerów już tam nie było, natomiast ku swemu zdumieniu i niemałej radości, ujrzeli przy kapitanie znajomego im porucznika Kloca.

— Hola! Panie Wasilewski! Panie Bałaszewicz! Jak się miewacie?! — zawołał biorąc chłopców w objęcia.

— Dobrze, chwalić Boga. A jakże pana porucznika zdrowie? — pytali.

— Wyśmienicie. Myślałem, że już was nie ujrzę. Wiele już razy, ludzi przybywających zza rzeki, o was pytałem, ale wciąż mówili, że nic o was nie wiedzą. — No i cóż, byliście z wizytą u pana generała? Pewnie w tej sprawie organizowania własnego wojska?

— Tak, w tej sprawie — odrzekł Kościk.

— No i cóż? Co na to pan generał?

— Powiedział, że zobaczy, że będzie mówił w tej sprawie z pomocnikami ze sztabu. I jak panowie oficerowie uważają, można mieć nadzieję z takiej odpowiedzi?

— Jeżeli tak powiedział — odrzekł kapitan — to może co i będzie, tylko nie prędko. Upłynie kawałek czasu.

— Długo? Ile mniej więcej?

— Może miesiąc, może dwa, a może i więcej przejdzie.

— Aż tyle czekać?! — zaniepokoił się obaj. — A to czemuż tak?

— Wprzód będzie się odbywała narada, potem zatwierdzenie w Ministerium, a potem szukanie instruktorów, sprowadzanie koni, siodeł, ubrania itp. Gdyby to jeszcze piechota... ale pułk ułanów...

Kościk ze Stachem patrzyli na siebie przygnębieni i bezradni.

— Co będziemy robili przez ten czas, kolego? — pytał Kościk.

— Rozlezie się i to co mamy, bracie. I gdzie się podziejemy?

— Może pan porucznik nam cokolwiek doradzi, pomoże? Prosimy bardzo — zwrócili się doń.

— Ludzie panów mogą tymczasowo wstąpić do innych oddziałów, a panowie zostaną tu przy sztabie.

— Przy sztabie?! A cóżby my tu robili?  
— E, dla takich chłopaków zawsze się znajdzie godna robota.  
— Będziecie służyli w wywiadzie.  
— W wywiadzie? W jakim? Jaka to służba?  
— Będziecie chodzili za rzekę i dostarczali informacji o wrogu.  
— Szpiegować?!... Dziękuję serdecznie panu! Wolę umrzeć na polu, po rycersku, a nie na szubienicy — oburzył się Stach.  
— Rozumnemu, szczeremu patriocie nie zależy na sławie i pięknej śmierci, ale na zwycięstwie.  
— Będę walczył o zwycięstwo do ostatniego tchu, lecz jako żołnierz w bitwie otwartej, nie szpieg.

— Żołnierzem jest ułan idący do szarży i żołnierzem ułan z wywiadu. Wywiad, zaden dyshonor dla żołnierza, bo żadne w świecie wojsko bez niego się nie obywa, bo żadne natarcie, ani przemarsz bez niego się nie czyni. Cały system teraźniejszej wojny polega tylko na podpatrzeniu nieprzyjaciela, na pokrzyżowaniu mu planów, na okrażeniu go — na zadaniu mu ciosu ze strony niespodziewanej. Minęły już te czasy, kiedy wrogie sobie wojska zbierały się na jedno pole i jedną walną bitwą rozstrzygały wojnę. Albo pojedynkiem, jak biblijny Goliat z Dawidem.

Dziwię się bardzo, że musze to powtarzać panom, którzy służąc nam dwie doby za przewodników naocznie stwierdzili, co znaczy zajęcie nieprzyjacielowi na tyły i uderzenie go zniemacka, a co marsz na oślep. A może panowie po zorganizowaniu pułku myślą wyzwać bolszewików na pojedynek?

— Dla panów taka służba w wywiadzie nawet korzystna będzie: będziecie zawsze widzieli w sztabie bieg swojej sprawy o organizacji pułku i będziecie mieć kontakt z ziomkami za rzeką, werbując ich sobie na przyszłość — wmawiał kapitan. — Wiec zgoda? Przyjmujecie?

Kościk ze Stachem spoglądali na siebie pytająco z zakłopotaniem.

— Doskonale przeprowadzenie paru wywiadów, wykaże przed szeregami waszą istotną wartość — ciągnął kapitan — i sprawę waszą przyspieszy. Radzę panom służbę w wywiadzie przyjąć.

— Ja znając waszą wartość, nie tylko radzę, ale i proszę — nalegał porucznik.

— Może i przyjmemy; musimy jednak wprzód odbyć ze swymi ludźmi naradę — oświadczył Kościk.

— Dobrze, dobrze! — zawołali obaj — odbądźcie sobie naradę i potem dajcie nam znać.

Zamienili ze sobą adresy, pożegnali się i opuścili gmach.

— Ale to ci mądra głowa z tego generała! To ci rozumu ma! — zaczął Piotrowski, gdy już wyszli na ulicę.

— Zdaje mi się, że go widziałem pomiędzy starszymi oficerami dowórczyków — przypomniał sobie Kościk trąc czoło.

— Wiecie co chłopcy? — Jeżeli te dwa oficery wam nie pomogą, to zdaje mi się z waszej kawalerii nic nie będzie.

— Oni pomogą?! — zawołał Stach. — Oni umyślnie będą sprawę łączyć, abyśmy im w wywiadzie służyli.

— Człowiek — jak to mówią — cały wiek uczy się, a durniem umiera — mówił Kościk. — Nam, gdyśmy się dowiedzieli o marszu

polских wojsk, trzeba było nie lecieć we dwójkę na spotkanie, ale zbierać pośpiesznie swoją gromadę, uzbroić się, bić bolszewików na swoją rękę, zabierać sprzęt wojenny dla siebie. W tym popłochu bolszewików i zapale naszej młodzieży, mogliśmy urosnąć co najmniej do stu pięćdziesięciu ludzi, w gromadę, zaopatrzoną w konie i siodła. A jak którenby już wystąpił na własnej ziemi do otwartej walki z wrogiem, w domu by za nic nie ostał, a trzymałby się własnej kupy, jak kleszcz. Zameldowalibyśmy się jako szwadron, czy dyon z przeszłością bojową i nie trzeba byłoby czekać, ani tego zezwolenia, ani wydania kawałka starego siodła.

— A to święta prawda — przytwierdził Piotrowski. — Przysporzyliśmy im tyle koni, broni i różnego wojennego sprzętu, a teraz, gdy potrzebujemy sami, musimy błagać i na przyznanie czekać. Mnie, gdy generał zaczął się śmiać, że z jednym koniem chcemy pułk zakładać, o mało się nie wyrwało: Niechaj oddadzą te konie i siodła, co za Buszczami, przez moją głowę, bolszewikom zabrali, to na początek i starczy. Ale się powstrzymał, aby nie pomyślał sobie, że się chwale, albo o nagrodę upominam.

— I to żebyśmy nie mieli z czym zaczynać?! Tyle karabinów i naboju rdzewieje, tyle pleśnieje łachów!...

— Dużo tego macie?

— Mamy sporo.

— Mamy sporo. Ale ile? Czemu wy tak chłopcy ze mną: ja do was zawsze, jak do rodzonych dzieci z otwartym sercem — wy mnie macie wśród siebie za piątą psią nogę, za pastucha jakiegoś. Zdrajcaż ja jaki, albo donosiciel, albo może niesekretny?

— Będzie wszystkiego blisko sto karabinów.

— Wiecie co wam powiem? — rzekł Stach. — Ażeby to teraz jeszcze wrócić wszystkim do domu i w naszej puszczy organizowanie zacząć?

— Nikt do ciebie teraz nie pójdzie, nic ty teraz już nie zrobisz — odrzekł Kościak.

— Nie, Stach niegłupio powiedział — zaprzeczył Piotrowski. — Warto by nad tym dobrze się namyśleć.

— Będziemy myśleli nad tym kupą, gdy wrócimy. Chodźmy prędzej! — Przyspieszyli kroku.

O kwartał przed kwaterą spostrzegli idącego im na spotkanie Karapuzego.

— Nieboraki nie mogą się nas doczekać, myśląc, że my im pociechę niesiemy — zauważył Stach. — Gdy zbliżył się tak, że mógł dosłyszeć głos zaraz zawołał:

— Ty już pewnie myślisz, bracie, że my dla was i ostrogi zafasowali?!

— Jakbyście zafasowali, to nie byoby komu przywdziewać — odrzekł smętnie.

— Jak to nie było by komu przywdziewać?!

— Połowa chłopców odeszła.

— Jak to odeszła?! Dokąd?! Czemu?! — zawołali wszyscy trzej.

— Do policji. Zaraz jak wy tylko odeszli, zjawił się Józik, poszeptał coś z Norbem i Bolkiem, zabrał ich i gdzieś poszedł. O południu wrócili mówiąc, że już wszyscy trzej są policjantami i dawaj podburzać i namawiać do policji tą resztę. — Czy ty służysz — mówili — w wojsku, czy

w policji, jednakowoż się liczy, że dla Polski. A służba niejednaka: w wojsku musisz hurtem mieszkać, sypiać, słuchać pobudki, stać z menażką w kolejce po obiad, na każde oddalenie się prosić o pozwolenie, — a w policji — odbył swoje godziny i możesz robić i iść, gdzie ci tylko się podoba. Z policji i zwolnić się możesz, kiedy tylko chcesz, a z wojska już nie. Wy może myślicie, że gdy wstąpisz ochotnikiem, to i odejść możesz, kiedy wola? Nie — musisz służyć, aż skończy się wojna. Po co nam to własne wojsko, po co ten kłopot, po co narażanie rodziców na bolszewików zemstę, jeśli nie wiemy, co z naszą ziemią będzie? Czy zastanawiał się z was który, co naszych rodziców od bolszewików czeka, gdy się dowiedzą, że oddział zabereżyńców przeciwko nim wojuje?! Może tylko chcecie własnego pułku, aby Kościka w piórka oprawić, pasować go na pułkownika? . . . Jeśli tak, to nie warto choćby dlatego, że nas okłamywał, za głupich miał, tyle czasu, wedle swej dziewczki w lesie trzymał. Zabierajcie się ot i pójdziecie z nami do Komendy.

I jak zaczęli wmawiać, to zgodzili się i poszli: młodszy Kantyczka, Zygmuś, Florek Tryznów, dwóch Bocianków z Jam i Rumiany z Polanek.

Słuchajcie opowiadań Karapuzego, Piotrowski chrząkał i spluwał z całej siły na bruk. Stach kiwał głową i wzdycha, Kościk bladł i ponosiwał na przemian — kipiał gniewem i wstydem.

— Błagaliśmy ich, ażeby chociaż powstrzymali się, nim wy wrócićie, ostrzegaliśmy mówiąc, że Kościk takiej samowoli płazem nie puści, ale nic nie pomogło. Inni to chociaż z językiem powstrzymywali się, a Józik to nawet po matuszki na Kościka się wyrażał. — Niech tylko spróbuje, taką jego mać — mówił — do mnie się przydzierać, to ja jego do kryminału zapakuję! Ja — mówił — jestem władzą, ja za pan brat z rewirowym, ja mogę w każdej chwili nawet oficera aresztować! Co on nasz ojciec, czy naprawdę jakiś przełożony, że mamy jego rady i zezwolenia prosić? Niech on pilnuje swojej potaskuchy, która nie mogąc ugasić świerzbu w Smolarni, pobiegła aż do białynickich chłopców.

— Tak powiedział?! — ryknął Kościł. — Gdzie oni teraz?!

— Mówili, że pójda do Komendy, do tej pomarańczowej kamienicy i jak jeszcze nie wrócili, muszą tam być.

— Jaż mu szubrawcowi dam potaskuchę! — rzekł Kościk i z miejsca zawrócił w poprzek ulicy.

— Dokąd, Kościk?! Zaczekaj! — zawołał nań.

— Jaż ci dam potaskuchę!

— Ależ nie w urzędzie! — wołał Piotrowski. — Wróci, to i dasz mu sobie. Nigdzież on nie ucieknie! Wróć!

— Wróć Kościk! Opamiętaj się! Wróć — wzywali Stach z Karapuzym.

— Jak zacznie bójkę w urzędzie, to gotów głową nałożyć. Biegnijmy za nim działki — rzekł Piotrowski, widząc, że Kościk ani się ogląda na ich wezwanie.

— A on jak rozjuszy się, to choćby tam z harmaty strzelali, nie ustąpi. Biegnijmy dziadzio, bo zginie.

## ROZPRAWA

Ze szklanych, rogowych drzmi pięknej, piętrowej w śródmieściu kamienicy, mieszczącej w sobie Starostwo i Powiatową Komendę Policji, zaczęli wychodzić nowozasiężni smolarscy stróże bezpieczeństwa i ich protektorzy. Pierwszy wyszedł Józik w towarzystwie pięciu rekrutów, za nimi w parę minut Zygmunt, Norba, Bolek i dwóch policjantów zawończańskich, będących tam podobno w charakterze świadków, a na końcu pan rewirowy — człowiek już po czterdziestce, średniego wzrostu, tęgi, wąsal. Zaczyły jego stopień: złożony klin na ramieniu, łyżka na epoletach i złożony rzemyk na czapce. U boku wisiała stara ruska szabla.

Pierwsza grupa wyszła, zawróciła mozaikowym chodnikiem w lewą stronę i po kikunastu krokach, stanęła pod murem czekając na resztę.

— No i jak wam chłopcy się zdaje, mam ja wpływy, czy nie mam? — chełpił się Józik rekrutom, chcąc ich naciągnąć na napiwek. — Widzieliście jakem z panem komendantem Pirewiczem poufale rozmawiał?! —

— Któż ten będzie komendant Pirewicz? — pytał Rumiany. — Może ten z czarnieńkimi wąsikami, co ma trzy złożone gwiazdki?

— Ten właśnie. W randze kapitana on jest.

— Ot zgrabny oficer! Jak narysowany!

— Zgrabny on jest i druzaka też wielki. Pewnego razu pan rewirowy, Pirewicz, porucznik żandarmerii Sitek i ja zaszliśmy do restauracji Zarubowa na Murawiewskiej i jak zakierzyliśmy, to aż dym poszedł — łął.

— Za jednym stołem z komendantem Pirewiczem piłeś?

— A co wy sobie myślicie!

No, ale teraz chłopcy już i dla was rozpocznie się ludzkie życie. Teraz użyjecie... Uważajcie tylko, aby świńmi, nie ostali... Ja to dla siebie nie żądam nic — ja swój — ale nie zaprosić na podwieczorek pana rewirowego — będzie z naszej strony wyglądało nieładnie. Swoją drogą on też dużo pomógł.

— A trzeba, trzeba! Czemu nie! — wołali. — Tylko czy jest gdzieś taka knajpa, co przyjmują carskie papierki?

— I kierenki przyjmą, bylebyście tylko mieli.

— Wiecie co chłopcy, jednak my brzydko zrobiliśmy nie czekając na powrót Kościka — zauważył Kantyczka. — Nicze on złęgo nam nie uczynił.

— O, już boi się! Jakiz z ciebie policjant będzie?!

— Odeszliśmy nie powiedziawszy słowa i jeszcze napyskowali na niego, — doznał skruchy też i Florek. — Kościk nam płazem tego nie puści.

— Ot jeszcze i drugi się znalazł. — Niechaj tylko spróbuje z nami zadzierać, zobaczycie wtedy, co mu zrobię.

Nadszedł pan rewirowy i rozmowa się skończyła. Józik podszedł, by zaprosić w imieniu ziomek na wspólny podwieczorek.

Tymczasem po przeciwnej stronie ulicy ukazał się Kościk. Smalił prosto ku nim.

W gronie młodych stróżów bezpieczeństwa, powstały gorączkowe szept i krzątanie; każdy się wiercił w koło jak by chciał drugim się osłonić, gdzieś skryć. Józik zbladł i pochylił się do ucha rewirowego. Rewirowy wystąpił na jezdnię na spotkanie Kościkowi.

— Pan może do Komendy Policji?! — zagadnął surowo kładąc rękę na rękojeści szabli i srożąc minę.

— Nie, oto do tego szubrawca — odrzekł.

— Tylko bez żadnych tam szubrawców względem przedstawicieli władzy! — zakrzyczał zastępując drogę. — Co chcesz od niego, mów do mnie.

— Kościk ominął rewirowego, skoczył susem na chodnik i pochwycił Józika za pierś.

— Tyś łotrze moją Karuškę potaskuchą nazwał?! — zawołał.

— Co ty, Kościk! Bracie! Kto ci tak naszczekał?! — wyparł się.

Smolarzanie nie śmiać podnieść ręki na Kościka, a znowu jako policjanci, nie mogąc przyglądać się biernie bójce, rzucili się na obie strony w rozsypkę.

Rewirowy położył Kościkowi rękę na ramieniu i wymówił urzędową formułkę: — W imieniu prawa aresztuję pana.

Kościk targnął łokciem pana rewirowego w pierś i posadził go mocno na chodnik. Potem dawał prac Józika.

Dwaj zawończańscy policjanci rzucili się na Kościka: jeden zarzucił mu rękę pod brodę, chwycił za szyję i gniołąc gardło chylił w tył, drugi grzmocił pięścią po przedramieniu, chcąc uwolnić Józika. Ale nie mogli dać rady.

— Puszczajcie, chłopcy, ja z nim prędko się rozprawię! — zawołał rewirowy powstawszy z ziemi. Policjanci odstąpili, a rewirowy wtedy dobył szabli i wezwał Kościka: — Rozkazuję puszczać i wnieść ręce do góry!

Kościk w odpowiedzi ujął ofiarę mocniej i znowu dawał prac.

— Puszczaj i ręce do góry! — powtórzył. — Widząc, że wcale nie zważa na wezwanie, zatoczył szablą koło do ciosu.

W tej samej chwili długi oskołek deski zatoczył koło z tyłu pana rewirowego i zręcznym ciosem wybił mu z ręki szabłę i zadział go mocno w skroń.

— Oj! — krzyknął z bóleści, a zapewne też i z przerażenia, bo nie wiedział skąd i co się wzięło.

— Więc ty chcesz rąbać z tyłu bezbronnego brata sukinsyn!! — ryknął głos Piotrowskiego.

Rewirowy po sekundzie zachwiał się i osunął na ziemię.

— Raz kozłu śmierć. Wszystko jedno odpowiadać — powiedział sobie Piotrowski i dawał go oskołkiem dalej mieścić i przymawiać. A gdyśmy się bili z bolszewikami toś zapewne w konopiach siedział schowany. Takż z ciebie wojak?! Otżeż tobie za to, ot! Otżeż tobie! Znajże jak mieszać się do smolarzanów!

— Stach z Karapuzym, którzy razem z Piotrowskim dobiegli, wdzili się za piersi z zawończańskimi policjantami.

A Kościk prał Józika. Dłonią bił, aby nie ogłuszyć prędko i nasycić się zemstą. Prał i jak tamten przemawiał: — Za zniewagę Karuški mojej!

Za jej cześć! Za hołubkę moja! Za okłamanie mnie na Hańczynym weselu!  
Za ciągle jej dokuczanie! Oddam że ja ci teraz za wszystko! A łotr!  
A szubrawiec! A łgarz nieszczęsny! Opoju! . . .

Rozjuszył się i walił coraz zawzięciej, coraz mocniej. Krew tryskała z nosa, z uszu, czerwieniła twarz, odzież, rękę. Z początku błagał, bronił się rozpaczliwie, ale w końcu zamilkł i zwiądł.

— Dosyć już, skończę wreszcie z tobą — powiedział Kościk i powaliwszy ofiarę na ziemię, dawał go dusić za gardło.

I kto wie, może i szczerze to powiedział, może rozwścieczony i uduśiłby go, gdyby to nie działo się w śródmieściu, a jeszcze tym bardziej przed gmachem Komendy.

W minutę po wywiązaniu się bójkii, ozwały się po wszystkich końcach ulic wołania i gwizdy alarmowe. Zaraz zaczęli się zbiegać policjanci, wojskowi i urzędnicy ze Starostwa i Komendy.

Pierwsi policjanci, jacy dopadli, obezwładnili Stacha z Karapuzym. Następni usiłowali rozbroić Piotrowskiego.

— Rzucaj dziadu to polano! — wezwali.

— Za mało was jest i za mało wy jeszcze kaszy hreczanej jedli. bym tak łatwo wam się poddał — odrzekł. Cofnął się nieco do muru i dawał wywijać oskołkiem młyńca, broniąc dostępu do siebie i do Kościka.

— Trupem padnie każdy, kto się ośmieli zbliżyć!! — ostrzegał.

Liczba atakujących z każdą chwilą rosła, pierścień wkoło Piotrowskiego się zacieśniał.

— Rzucaj dziadu polano! Rzucaj bo zginiesz! Poddaj się! — wzywano.

— Byle komu się nie poddam! Z Mieczysławem Piotrowskim ze Smolarni macie sprawę. Jam za młodu sam jeden kiermasze całe rozpeźdał! W zaprzeszłą jesień bandy zbójcekie z moimi chłopakami uśmierzał! Ja w Studzionce sam jeden z gołą ręką pięciu bolszewików rozbroił i komisarza zastrzelił! Nie poddam się byle komu! — I wił rozjuszony oskołkiem, że tylko furczało.

— Poddaj się, dziadu, bo strzelam! — zawołał już podstarzały porucznik, występując naprzód i mierząc z rewolweru.

Piotrowski oskołek odrzucił i wznosił ręce. — Sam jeden z całą policją miasta i wojskiem, ze szczepką w rękę, nie będę się bił — powiedział.

— Chciałem tylko podrażnić się z wami.

Dziesiątki rąk uczepiło się Piotrowskiego i dziesiątki Kościka.

— A tylko nie bić broń Boże tego chłopca, uprzedzał — bo to będzie nasz zaberezyński pułkownik. Dopiero od pana generała wracamy.

W dziesięć minut potem, pana rewirowego i Józika zabrało pogotowie, a smolarska czwórka powędrowała do kryminału.

## W PIERWSZY WYWIAD

Całe pięć dni przesiedzieli w areszcie. Wszczęto za zniewagę władzy i ciężkie uszkodzenie ciała, sprawę karno-sądową, ale za pośrednictwem swych ziomków, skomunikowali się z porucznikiem Klocem i ten dowiedziawszy się, że jakkolwiek stan poturbowanych jest ciężki, jednak się wyliza, przedstawił w Komendzie zasługi winowajców, użył swych wpływów i potrafił postępowanie zawiesić.

Zaraz gdy wrócili z aresztu, odbyli w gronie wiernych Kościkowi chłopców naradę, wyprawili uczte i rozsypani się potem w różne strony: Piotrowski wrócił do swej sprawy z podaniami, Kantyczka z Walkiem złożyli prośbę i zostali przyjęci do policji, Karapuzy z Łapanosym, którym koniecznie chciało się ułanów, odjechali do Tatarskiej Jazdy, inni wstąpili na ochotnika do pułków stacjonowanych w Bobrujsku, a Kościk ze Stachem przyjęli służbę w wywiadzie.

Przyjęli służbę z kwaterą, od pana Chmary, przenieśli się w ustronne miejsce, na przedmieściu Berezyna.

Już na drugi dzień dostali robotę. Poważne i trudne, jak na początek, powierzono im zadanie. Szef wywiadu zamknął się z nimi sam na sam w swoim biurze i rzekł:

— Słuchajcie, chłopcy. Przez przygodnych uciekinierów z bolszewii, dowiedzieliśmy się, że w Żłobinie koncentrują się wielkie nieprzyjacielskie siły.

Nasze patrole lotnicze wysłane w tym kierunku wzmożony ruch wojska w Żłobinie potwierdziły. Potrzebujemy jednak ściślejszych informacji. Przed paru dniami wysłaliśmy umyślnych ludzi, lecz zostali w okolicach Krasnego Brzegu przez bolszewików ujęci. Więc pójdziecie wy.

Chodźcie tu i uważajcie — mówił wskazując na wiszącą mapę. — Rozumiecie się na planie? — To są szosy, to koleje, to rzeki, to drogi, to wsie. To jest pas międzyfrontowy, to oznacza nasze frontowe postęunki, a to w przybliżeniu bolszewickie. Żłobin leży, aż oto tu.

Patrzcie i sami obmyślajcie łatwiejszy sposób przedostania się tam: może w przebraniu drobnymi drogami poprzez małe wsie, może lasami, może kędyś okreśną drogą. Należy stwierdzić: jaka tam, w przybliżeniu chociaż, skoncentrowana jest siła, jak broni i w jakim celu. Uważajcie tylko chłopcy, postępujcie bardzo ostrożnie, gdyż bolszewicy otoczyli się gęstą siecią kontrwywiadu.

— Panie szefie, a nie wie pan, co bolszewicy zrobili z tymi, których koło Krasnego Brzegu ujęli? — wyrwało się Stachowi.

— Jeszcze nie wiem; pewnie rozstrzelali. Z jeńcami takich patroli nie patyczkują się długo. A co? was już tchórz oblata?

— Nie, ja tylko przez ciekawość — wycedził przez zaciśnięte zęby, które na myśl, że ich może to samo spotkać, zaczęły febrycznie szczekać.

— Dobrze, więc podołacie zadaniu? Podejmujecie się wywiadu?

— Tak, panie szefie — odrzekli z udanym spokojem.

Dostali krótką broń, przepustki, hasło, małą mapę, kilka dodatkowych instrukcji i wskazówek i odeszli.

— Lekkomysłnie my brachu, bez namysłu, zaciągnęliśmy się do tego wywiadu — zaczął Kościak na ulicy.

— No, i co teraz będzie?

— Co ma być, niech już będzie.

— Słuchaj, ty przecież mówiłeś, że za czasów swego ułaństwa pewien czas stałeś też i w Żłobinie; nie masz tam w pobliżu kogoś znajomego, gdzie byśmy mogli się oprzeć i za jego pomocą czegoś się dowiedzieć?

— Owszem, znam tam niedaleko pana Dryła, jednego chutorzanina, lecz niestety, na taką robotę on za nic w świecie się nie zgodzi, bo to człowiek strasznie bojaźliwy.

— Polak?

— Spytaj go o to, on odpowie ci: katolik.

— Wtedy musi być religijny?

— Nabożny, sam i cała rodzina.

— Nie ma innej rady, jak tylko trelować się do niego.

Wróciwszy na kwaterę, uradzili, że pójdą lasami, w swoim zwykłym ubraniu i bez żadnej broni, map i przepustek tak, ażeby w wypadku zatrzymania, nie mieć żadnych poszlak i dowodów.

Zaopatrzyli się w dwie pary łapci lipowych, spożyli podwieczorek i o zachodzie słońca przeszli most.

Nim ściemniło się, szli rohaczewską szosą, potem zatrzymali się przezuli w łapcie, buty związawszy wzięli na ramię i posmalili naprzelaj. Jak psy gończe spuszczone ze smyczy: poprzez pola, lasy, zagajniki, błota. Rzeczki przechodzili w bród. Kierunku trzymali się podług gwiazd. Nie czuli, ani strachu nocy, ani obawy przed zaczajonym gdzieś z brzegu lasu bolszewickim posterunkiem. Nie pierwszyna im były nocne wędrówki po lasach, przyzwyczajeni do nich ostatnimi czasy — czuli się bezpieczniej i śmieiej teraz, niż w dzień wśród ludzi. Wypoczęci przez tygodniowe siedzenie w mieście, a wzuci lekko w łapcie, gnali szybko, ziemi ledwo dotykając i cicho, bezszelestnie, — jak cienie. Nigdzie nie stawali. Przy nieoczekiwanym spotkaniu wsi, chutoru, lasu głuchego, przy dosłyszaniu w pobliżu głosów ludzkich, spoglądali na gwiazdy, na siebie, porozumiewali się gestem rąk, oczyma, zmieniali, względnie naprawiali kierunek i szli bez ustanku dalej. Kto by podpatrzył z boku przesuwające się w milczeniu te dwa cienie, rzekłby sobie, że złodzieje niebezpieczni idą, albo duchy upiorne i zęgnąłby się na odegnanie zła.

Mniej więcej o północy ujrzeli niedaleko przy sobie tor kolejowy. Spodziewali się o tej porze go spotkać, więc jakkolwiek nie poznali przy jakiej wiorście się znajdują, upewnili się, że idą dobrze. Cofnęli się o dobrą wiorstę w bok i potem znowu wzięli kierunek na wschód.

Po paru godzinach dalszej drogi, spotkali w lesie nocujących pastuchów koni. Obudzili ich, wypyтали z której wsi, jak daleko do toru kolejowego, jak do Żłobina, jakie są w pobliżu drogi i wsie i nakazawszy wyrostkom milczenie, poszli dalej.

O wczesnym świcie znaleźli się przy chutorze pana Dryła.

Była to w przybliżeniu 20 morgowa polana, otoczona z trzech stron mieszanym wysokopiennym lasem, z czwartej szeroką czyjąś łąką, w koło

ogrodzona żerdzianym płotem. Budynki stały w środku. Z niedużym sadem owocowym i czubem drzew ozdobnych. Pod lasem, od strony gdzie wyszli, leżało pole kartoflane do połowy już przekopane, obok szczeciwała się piękna żytńia ruń. Miły był chutor i gospodarny.

Poznawszy siedzibę Dryla, Kościk ze Stachem przezuli się w buty i legli na liściach przy płocie rozmyślając każdy sobie, jakimi by to słowami, jakim sposobem z gospodarzem zacząć, aby mu do serca trafić i pomoc na przedostanie się do Żłobina dostać.

Rozwidniało się już dobrze, gdy z zagrody wyjechał w ich stronę wóz z ogromniastym łubem na kartofle. Sam gospodarz jechał. Zatoczył koło na kartoflisku, odprzągł z gołobli, założył w pług i dawaj podorywać. Jakoż i niewiasty z koszami wyszły z zagrody.

Wstali i poszli zbliżającemu się oraczowi na spotkanie.

Ten dojrawszy ich, jał się niespokojnie na nich obzierać.

— Dopomóż Boże! — pozdrowili.

— Dziękuję — odrzekł człowiek podziobany przez ospe, zatrzymując się.

— Jakżeż zdrowieczko, panie Dryl? — wyciągnął Kościk dłoń. — To jest mój kolega Stanisław Bałaszewicz, — przedstawił. — Cóż to pan mię nie poznaje? — pytał, widząc, że Dryl go nie przestaje świdrować podejrzliwie oczyma.

— Pierwszy raz was widzę — odrzekł.

— I jeszcze co!... Nie przypomina pan sobie czterech ułanów, których pan pewnej niedzieli zeszłej wiosny gościł u siebie? Otóż jednym z nich jestem ja.

— Ja żadnych ułanów u siebie nie gościł; jestem bezpartyjny.

— Ależ gościł pan i musi dobrze pamiętać; trzech moich towarzyszków grało i tańczyło z pańskimi córkami w izbie, my zaś z panem siedzieli na ławce pod oknem i gwarzyliśmy o polityce.

— Ja nigdy w życiu z ułanem na jednej ławce nie siedział i z nikim o żadnej polityce nie mówił — wyparł się.

— Trudno. Wtedy może choć córki pańskie mnie poznają. — Panno Jadziu! panno Zuniu! — zwrócił się do zbliżających się Drylanek — czy też i panny mię nie poznają?!

— O!... Pan Wasilewski! Tato, a toż pan Wasilewski! To jest ułan, z tych co na Szośnik u nas bawili! — zawołały obie radośnie. Kosze rzuciły na ziemię i wyciągnęły ręczki czerwieniejąc się wstydliwie, niby dlatego, że w prostym roboczym ubraniu. Dryl rozpozgodził się.

— Mnie też od razu wydało się, że gdzieś pana pomiędzy dobrych ludzi widział — mówił — ale nie mogłem przypomnieć gdzie.

Przepraszam — w terażniejszych czasach trzeba być bardzo ostrożnym.

No, jak że panowie hodują się? I cóż to Bóg zagnał w nasze strony?

Stach obejrzał się wkoło, jakby chciał upewnić się, czy ktoś nie podsłuchuje i znizonym głosem rzekł:

— Nas dwu najlepszych ułanów z Bobrujska, pen generał na ratunek dziekanowi wysłał, proszę państwa.

— Dziekanowi? ... na ratunek! ... Jakiemu! ...

— Czernihowskiemu dziekanowi, którego bolszewicy więżą w Żłobinie i jutro mają na śmierć sądzić.

— Na śmierć sądzić?!... Boże litościwy!... A myż nic i nic nie wiedzieli o tym!

I za co to?!

— Za nic można powiedzieć. Wcale niewinnie. Żołnierza bolszewickiego wypowiedział, więc oskarżają, że namawiał go do zdrady.

— Za to?! Toż niewinny! Boże litościwy! Ot kaci! Ot czasy! —

— I żeby wiedzieli, państwo, jaki to jeszcze dziekan; — podsycił rozpacz i oburzenie Dryłów. — Siwieńki jak gołąb. Najdalej za rok ma biskupem zostać.

Dryłówny wybuchnęły płaczem, a Dryl jął boleśnie wzdychać i ku niebu spojierać.

— I jakż to, panowie, tak we dwójkę i bez niczego, ratunek mu dadzą? — zapytał.

— Nam tylko kazano odnaleźć, w którym budynku go trzymają, a na ratunek mu aeroplany przylecą. Stąd o kilkanaście wiorst, na jednej w lesie polanie, osiem aeroplanów naszych czeka — dodał pochylając się do ucha.

— A chyba tak. Dajżeż Boże wam uratować! Matko litościwa!...

My całą rodziną dzień i noc będziemy o to na klęczkach się modlili.

— No, samą modlitwą, to pan nam mało pomoże. Musi pan, jako prawy katolik, pomóc przedostać się do Żłobina.

— O to właśnie przyszliśmy pana prosić — dodał Kościk.

— Ja?!... Pomóc wam do Żłobina?!... Boże?!... Jakżeż?!... A i czemuż nie!... Życia swego nie żałuję za takiego księżulkę!... Poradźcież tylko jak? Możeby jak nocą?...

— Ani godziny nie można tracić! Musimy radzić teraz, już!...

— To nie stójmyż tu panowie, bo jeszcze kto podpatrzy. Chodźmy do domu. — Jadźka! Zuńka! Zakładajcie z powrotem do wozu i jedźcie do domu. Nie będziemy dziś kopali.

## XX

### NA ŚLISKĄ ŚCIEŻKĘ

W dwie godziny później wytoczyła się z zagrody Dryłów jednokonna kałamaszka. Z tyłu na umoszczonym wysoko i pokrytym kraciatym dywanem siedzeniu, siedział z jednej strony Kościk ubrany w siwą, długą, siermięgę i w czarną wynoszoną furazkę, a obok niego Stach w kobiecym przebraniu: w białej z haftowaniem w czerwono-zielone kwiaty bluzce, w płóciennej, rudawej, w kraty, fałdziastej spódnicy, w trzewikach z guzikami, w białym czepku i pomarańczowej w złote jabłka chustce na głowie i dużej, szarej chustce z frendzlami na ramionach. U ich nóg na sianie leżała kupa suszonych grzybów i kwiliło prosie. Niby na sprzedaż. Na samym przodzie siedział z podwiniętymi nogami 14-letni syn Dryłów i poganiał konia.

— Mówią ludzie — zaczął Kościk, — że kobiecy włos długi, a rozum krótki. Jednak nie zawsze. Tyle różnych kombinacji i sposobów przemy-

ślałem, a przebranie się na małżeństwo wcale mi i do głowy nie przyszło. Daj Boże zdrowie znacnym Drylankom, za ten pomysł. Tak zamaskowani, całe miasto będziemy mogli bezpiecznie zbadać; — ani rodzona mama nas nie pozna.

— Ty się cieszysz, a mnie wstyd pali, że — prosto pod wóz bym się schował — odparł Stach. — Cholera! jak to zdarza się: myślało się o ostrogach, a przyszło przywdziać spódnice. Pfu; — splunął.

— Czego ty? Nic ci przecież z przywdziania spódnicy nie odpadnie, ani też urośnie. Przyjdzie czas — przywdziejiesz i ostrogi.

Ale jakoś natchnął cię Bóg, wyjechać z tym dziekanem?! Gdyby nie to, stary za nic w świecie nie zgodziłby się na taką rzecz.

— Ani na kolanach nie uprosiłby go. — Widząc że chłopiec przysłuchuje się ich rozmowie dodał głośno: Biedny księżulek!...

— Słuchaj Polek! — zwrócił się Kościk do chłopca. — Znasz że ty drogę?

— Oczy mi szalem zawiązać, a trafię — odrzekł zuchowato.

— A nie mówił ci ojciec, gdzie na kwatere zajeżdżać?

— Mówił tam zajeżdżać, gdzie wy każecie.

— A do kogo zajeżdżacie, gdy bywacie w mieście?

— A, to jak w kiedy: raz do Chackiela przy rynku, drugi raz do Strażnika na Karpilówce.

— No, a gdzie po twojemu wygodniej?

— U Strażnika wygodniej, bo chociaż na miasto dalekowato, siano całe zawsze bywa; u Chackiela to nie tylko sam siano kradnie, ale jeszcze i kozy na wóz wlażą i wszystko przewosują.

— A familia Strażnika duża?

— Tylko on, ona i jedna córka krzywoszyja.

— Dobrze, więc zajedziesz do Strażnika.

Droga, jakkolwiek wąska i miejscami podesłana korzeniem, była sucha i bez wybojów, konik był tłusty i żwawy, kałamaszka miała chód żelazny, lekki, tedy toczyli się sporną rysią prawie bez przerwy. Wiorsty ze dwie jechali lasem, potem dłuższy czas polem, a potem znowu wjechali w las. W tym drugim lesie przejechali w poprzek tor kolejowy i niebawem ujrzeli Dniepr.

Toczył się wartko pod wysokim urwistym brzegiem i szumiął. Niewiele był szerszy od Berezyny w Bobrujsku, ale szedł bystrzej i taflę miał mętniejszą. Za nim rozpościerała się szeroka łąka. Sławna dniewrowa łąka swoistym gatunkiem smacznych traw i wielką bujnością na całą ziemię witebską, mohilewską i mińską. Wóz dniewrowego siana mogłeś sto wiorst po wyboistych drogach wieźć i nie roztracić — tak było długie i ze sobą splecione. Jadły je łapczywie krowy, konie i owce.

Droga, to zbliżała się, to oddalała od rzeki, a tymczasem z każdą chwilą łączyła z innymi, szerzała i przewijała ludźmi.

Gdy wjechali na pole, zamajaczyło się przed nimi miasto. Mimo, że byli dobrze zamaskowani, uczyli pewien lęk i obawę. A nuż wsypie się chłopiec. A nuż odkryją po rysach w Stachu mężczyznę. Poprawili się wyżej na siedzeniu i wyteżyli w dal wzrok, jak by chcąc przeniknąć ten gród leżący przy ważnych drogach wodnych i lądowych, rzekomo

przepełniony teraz wrażym wojskiem, jakby chcąc wyczuć zamiary tego wojska i swój wśród niego los.

Daleko, aż pod samym miastem powstał kłęb dymu, rósł szybko i toczył się gościńcem w ich stronę. Na ten dym patrzyli wszyscy troje. Z podmuchem wiatru zaczęli wyłaniać się z kurzawy kawalerzyści. Pięciu konnych bolszewików jechało.

— Kozaki! Kozaki jadą! — zawołał Polek.

— No i cóż z tego? Niech sobie jadą. Nie bój się chłopcze — uspakajał Kościk głosem zgaszonym, w którym można było wyczuć, że sam się boi. — Uważaj tylko chłopcze, gdyby ci przyszło z nami przy nich rozmawiać, mów po rusku i — jak cię już uczyłem — mnie nazywaj tatem, a jego mamą.

Stachowi też chciało się czegoś chłopca pouczyć, lecz język odmówił posłuszeństwa. Jął tedy odmawiać w myśli Antyfonę.

— Stój! — krzyknął czolowy jeździec, zrównawszy się z kałamaszką.

Polek zatrzymał się.

— Odkudawa choziain?

— Z Wirek — wykrztusił Kościk wiedząc, że taka wieś leży przy tym gościńcu, daleko, w stronie z której jechali.

— I kuda jediesz?

— Na bazar jedziemy; trzeba kupić mazi, zapalek i lemiesz do pług — odrzekł po rusku.

— Pojeżdżajcie! — Jeden z jeźdźców uśmiechnął się zalotnie do Stacha i odjechali.

— Chi-chi-chi, nie poznali. Ot gdzie durnie! — zaśmiał się Polek.

— Nie śmieć się zawczasu, bo jeszcze ściągniesz nieszczęście. Nim przeskoczysz, nie wolno mówić hop — poskromił go Stach.

Nikt już ich, aż do samego miasta nie zatrzymywał, ani o nic pytał.

Ruch na ulicach panował zwykły, a słaby w nim udział wojskowości nie świadczył o zgromadzeniu w tym mieście sił ofensywnych.

Ale gdy zajechali na Karpówkę, znaleźli bolszewików moc. Wystawały całe grupy pod domami i sznurowali gęsto po ulicy. Niektórzy zaglądali na wóz i pytali o towar, inni odzywali się żartobliwie do "choziajki". Zaczęli żałować, że zrazu nie pojechali do Chackiela, teraz nawracanie z ulicy, ni stąd, ni zowąd, nie wypadało i mogło wzbudzić podejrzenie. Jechali.

— Oto tu mieszka Strażnik — oznajmił Polek, zatrzymując się przed pięknymi wrotami z daszkiem, pomalowanymi na żółto.

— Dobrze — powiedział Kościk. — Daj mnie lejce, a ty skocz do chaty i zobacz: jeżeli kwaterują bolszewicy — poproś gospodarza o wiadro, aby napoić konia; — napoimy tedy przy studni i pojedziemy do Chackiela — a jeżeli bolszewików nie ma — proś o zajazd.

Polek zniknął w furtce i wróciwszy w parę minut, oznajmił, że bolszewicy w domu kwaterują, ale teraz nieobecni i że gospodarz prosił zajeżdzać. W tej samej chwili prawie rozwarły się wrota i ukazał się gospodarz — człowiek pod 60, z długą, rozczesaną po rusku na dwoje brodą, ubrany z mieszczkańską.

— Zajeżdżajcie, bratcy! Zajeżdżajcie! — zawołał przyjacielsko. — Powietka pusta. I w chacie też miejsca starczy. Kwateruje u mnie trzech

“jewrejów” w wojskowych łachach, ale oni prawie zawsze przybywają tylko na noc. Zajedzajcie! — Ujął konia za uzdeczkę, wprowadził, zamknął wrota, wskazał, pod znajdującą się w głębi długiego dziedzińca, “powietką”, miejsce i stał przy nich gwarząc bez ustanku, aż ci odłożyli, wtoczyli tyłem kałamaszkę i uporządkowali konia. Z przekonania był carystą i niezadowolone swe wobec bolszewików wyrażał śmiało i bez żadnych ogródek. — Eto wtaroje iho tatarskoje Boh na Rosiju za grechi pomieszczykow sosłał — mówił. — No swierchniem...

Zapytany jednak ogólnie o rzeczy związane z ich misją poinformował tylko, że o przygotowaniach do wielkiej ofensywy na polski front od nikogo nie słyszał i że kwaterujący na Karpiówce oddział uważa się za pułk.

Nie wystarczyło tego dla nich, tedy kazawszy chłopcu zostawać przy koniu, zabrali swój towar i poszli na miasto.

Do śródmieścia prosto poszli w nadziei, że spotkają tam elitę władz wojskowych i cywilnych, tudzież inteligentniejsze mieszczaństwo interesujące się polityką i włócząc się pomiędzy nimi, będą mogli coś podłuchać i wyciągnąć nic potrzebnych sobie informacji.

Tymczasem w centrum ruch ludności był słabszy i udział w nim wojskowości mniejszy, niż na skraju miasta. Blisko godziny po główniejszych ulicach przewłóczyli się bez żadnych korzyści.

Zaszli na rynek i tam dwóch urzędników, ubranych napoły po cywilnemu, przyczepiło się o prosię.

— Sprzedajesz choziań prosię? — spytali.

— Sprzedaję, towarzyszy komisary, sprzedaję! — odparł żywo Kościk ucieszony, iż przy targu zawiaże rozmowę, i coś od nich wyciągnie.

— Ile żądaś za takie maleństwo?

— Dla was towarzyszy obrońców naszej chłopskiej niedoli, sprzedam bardzo tanio. Nic nie żałuję dla naszych sowieckich żołnierzy! Ja bym zdaje się całą swoją gospodarkę oddał dla krasnoj armii, aby tylko prędzej zgnieść białe burżujskie wojsko. — No i jak wy towarzyszy myślicie, długo jeszcze Lachy przed naszymi wojskami mogą się trzymać?

— My, towarzyszy, nie przyszli do ciebie bałtać o polityce! — ofuknęli go.

— Dużo chcesz za prosiaka pytamy?!

— Jak od was — tylko jedną katarzynkę.

— Co?! Więc ty za sprzymierzeńca sowieckiej władzy się liczysz, a carskich pieniędzy żadaś?! — wykrzyknęli.

— Lemiesz do pluga muszę kupić, a za sowieckie go nie dostaniesz. Dajcie mi lemiesz — oddam wam prosię bez kopiejki.

Urzednicy spojrzeli po sobie porozumiewawczo, potem jeden z nich dostał sturublówkę carską i podał ją Kościkowi. Ten widząc, że mu wymyka się towar bezkorzystnie, nie spieszył się z przyjęciem pieniędzy i ją odradzał.

— Nie chcę, towarzyszy, byćcie na mnie potem narzekali; — to świnka — powiedział.

— Dla nas wszystko jedno: świnka czy kabańczyk.

— A wy towarzyszy na co kupujecie? — wmieszał się Stach. — Co wy z tym prosiakiem będziecie robili?

— Będziemy doili... Głupia, na co kupuje się prosię?!

— Bedziecie zabijać?!

— Nie, żywego zjemy.

— A, na zabój ja za nic w świecie nie sprzedam! — zawołał chwytając w swe ręce worek. — Jak nie znajdzie się człowiek, co by kupić na chów — powiozę do domu. — Hrysza! — zwrócił się do Kościka — bij mnie, zabij — nie oddam na zabój!

Urzednicy zakleli siarczystą matuszką, splunęli i odeszli.

Kościk ze Stachem z miejsca ruszyli na zachodnią część miasta. Na jednej z podmiejskich ulic, niedaleko stacji kolejowej, znaleźli drugie tyle wojska, co na Karpiłowce. — Piechota. Spotkawszy na rogu nieduży sklepik, Kościk wstąpił do niego i zaczął targować się o maź, Stach zaś w międzyczasie, poszedł powoli ulicą ku widniejącemu o kwartał jaki polu. Gdy wyszedł — dojrzał o półtora stajań dużo ustawionych rzędami dział, a przy nich kilka grup żołnierzy. Nie mogąc na taką odległość ich policzyć, ani stwierdzić ich typu, szedł dalej. Niepoznany dotąd nigdzie, utwierdził się w podobieństwie do kobiety i stawał się śmielszy z każdą chwilą i zuchwał.

Na zbliżającą się bojaźliwie ciekawą kobietę, dziesiątki żołdackich oczu się obróciło, świdrując ją od stóp do głowy.

Stach szedł coraz wolniej i bojaźliwiej, coraz pilniej wyteżał na armaty wzrok, a gdy już zbliżył się na kilkanaście zaledwie kroków, stanął i wybuchnął płaczem. Wnet go otoczono kołem.

— Czegoż, ty młodoczyka, rozplakała się? — pytali żołdaci czule.

— Wojna będzie!...

Żołdaci zagrzmili serdecznym śmiechem.

— Wot jaka dura! — wojna już piąty rok się toczy, a ona płacze myśląc, że dopiero będzie się zaczynała — mówili.

— Jakaż tam wojna, sokoliki, bez armat oto takich była! — mówili szlochając. — Toż kula z nich nie tylko człowieka można na miejscu zabić, ale kości mu przełamać!...

Bolszewicy znowu wybuchnęli gromkim śmiechem.

Stach powiódł w koło roztargnionym wzrokiem i rzekł:

— Czegoż śmiejecie się? Chyba myślę, taka sama i kula zapędzą się, jaki jest otwór w tej lufie?

— O, czasami jeszcze i większa.

— Tyś żonata? — zapytał jeden.

— O, chwalić Boga synek już lejce trzyma.

— Więc tyle czasu żonata i nie wiesz jeszcze, że zwykle kulę grubszą się zagania, niż wydaje otwór?!...

— Wam żarty na myśli, żołdacki, a mnie serce pęka z żalości, że to tyle narodu zginie i pokaleczy się! — I dawaj znowu płakać i lamentować. — Bożeczkaż nasz miłosierny! Praświataja Baharodzica! Caryca niebiesnaja! Do czegoż ty opuszczasz? Do czego nasz świat prowadzi?...

Niektórzy z bolszewików pocieszali "naiwną" kobietę, inni rozchodzili się z pobłażliwym uśmiechem. Dwóch jakichś stojących z tyłu Stacha wszczęło między sobą rozmowę:

— Głupia baba wyje na widok tych błahych trzechcalówek; — ale

co by ona czyniła, gdyby tak ujrzała ten leningradzki pułk artylerii ciężkiej, towarzyszczo!?

— Który leningradzki!?

— Ten co na dniach odjechał ze smoleńską brygadą piechoty, na front dienikinski, towarzyszczo. — Albo chociaż i te armaty na wokzale.

Wtem ozwało się wołanie Kościka:

— Stupaj siuda, ty wołocuha! Czego tam polazła, gdzie nie posyłają? Puha jej tam, towarzyszczo, dajcie! Puha po łydkach! Niechaj nie łązi, gdzie nie babskie dzieło!...

Stach wycofał się i pobiegł posłusznie na zew, chlipiąc i trąc oczy.

— Bлагier! — zaczął Kościk, gdy weszli w ulicę. — Wzdrygałeś się przyjmować w wywiadzie służbę, a widać, że szelmą jesteś nie mniejszym od jakiegoś czekisty. — Umiesz płakać na zawołanie.

— Byłbym dowiedział się dużo potrzebnych nam wiadomości, gdybyś mię zawczasu nie zawołał. Dałoż ci akurat? !... .

— Już zbytecznie... . Wiem wszystko. Możemy już wracać.

— Co? Może jakie plany bolszewickie znalazli?! — zawołał napały z ironią.

— Żyd mi wszystko powiedział. Było to tak. — Zapłaciłem za maż i mówie. — Ile po twojemu, gospodarzu, może być krasnego wojska w Żłobinie? — A po co ci znać — odpowiada, takie rzeczy. A ja mówię: — Założyłem się o to z jednym mieszczaninem: on mówi sto tysięcy, a ja obstaję, że nie ma więcej nad dwadzieścia tysięcy. — A na ile założyłeś się pyta. Na pięćset rubli odpowiadam. Dobrze, mówi, więc daj mi dwieście, a ja ci powiem. Syn mój, mówi, służy za pisarza u wojennego komisarza i ja wszystko wiem. Dałem mu zaraz, żądane dwieście rubli i on mi oznajmił gdzie i jaki pułk stoi i że wszystkiego bolszewickiego wojska w Żłobinie nie ma więcej, nad dwanaście tysięcy.

— Dureń skończony! — zawołał Stach. — Głowę daję odciąć, iż wszystkie, co ci Żyd udzielił wiadomości, są zmyśłone przez niego dla zdobycia dwustu rubli. Ale to jeszcze nic. Po tak głupim pytaniu twoim, mógł on łatwo poznać kim jesteś i jeśli rzeczywiście jego syn służy tam gdzie ci mówił, tedy nie życząc swemu dziecku zła, pójdzie i opowie mu wszystko. Doprawdy nie wiedziałem, żeś taki głupi.

— Mnie durnisz, a sam dużoś czego się dowiedział przez swoje haniebne mazgajstwo — przez placz przed kacapami?! — oburzył się Kościk.

— Dowiedziałem się, iż tam na placu stoi dwanaście trzech całówek, że...

— A onże żydowina mi powiedział, że tylko osiem! — przerwał.

— A widzisz? — już ci zełgał. Dowiedziałem się, że tyle dział stoi na placu, że na dniach odjechały ze Żłobina na denikinski front: pułk ciężkiej artylerii i brygada piechoty i że są działa też na stacji kolejowej. — Tu powtórzył przebieg rozmowy z bolszewikami i co podsłuchał.

— Sądzę tedy, iż pogłoski o wielkim tu gromadzeniu się bolszewików, powstały z przejazdu przez Żłobin tych pułków — zauważył Kościk.

— Nie inaczej. Warto jednak zajrzeć jeszcze na stację.

— Warto by było, ale nie mogę z dwóch powodów: raz, że z tym prosiakiem na stacji pokazywać się nie wypada, a po drugie — mam

tam kilku znajomych ruskich kolejarzy, którzy na nieszczęście, mogą mnie poznać.

— Tedy ja sam pójdę.

— Idź, ale uważaj, ostrożnie, abyś nie wyspał się.

Szli razem, aż ku samemu brzegowi pola torów stacyjnych, po czym Kościć zawrócił na Karpiłówkę, a Stach poszedł sam.

Wlazł przez otwór w drucianym płocie i rozejrzał się.

O kilkanaście kroków od niego zaczynały się dwa rzędy wagonów towarowych i ciągnęły się brzegiem daleko na zachód. Przed dworcem osobowym, znajdującym się po drugiej stronie pola torów, naprzeciwko — pustka, peronem przechadzało się kilku wojskowych i kolejarzy. O kilkadziesiąt sążni od dworca na zachód, sapał parowóz. Dalej, przy drugim stacyjnym budynku, stało cztery platformy, załadowane czymś, okryte białym, namiotowym płótnem. — Stach od razu pomyślał, że to muszą być owe wspomniane przez bolszewików armaty. Środkiem torów przewijało się paru zwrotniczych.

Rozejrzał się i poszedł pomiędzy wagony. Ciągnęły się w nieskończoność. Niektóre platformy były załadowane furazem, część wagonów krytych stało zapłombowane, ale najwięcej jednych i drugich świeciło próżnią.

W pewnym miejscu wylazł spod wagonu kołomaz.

— A ty czago tu się włóczysz?! — zakrzyczał.

— Grzybki, człowiecze, sprzedaję, grzybki! Ot, może kupisz parę wianków?

— A tobie tu bazar na grzyby?!

— I, może się znaleźć czynownik, jakiś sołdacik...

— A więc ty tu pod wagonami sołdacików sobie szukasz?! Więc taka z ciebie kobieta?! Ach, ty szlucha! Ach, ty rozpustnica! Won stąd, bo jak wezmę kija, to ja ci pokażę!

Udał zawstydzonego, odchodząc szybko bez oglądania się.

Kiedy wyszedł wreszcie z pomiędzy wagonów, dojrzał przed sobą daleko — aż hen, gdzie zwały się tory — pancernik. Nie miał odwagi doń zbliżyć się — zresztą nie mógłby nic ponadto, że jest pancernikiem, stwierdzić. Przeszedł wszystkie tory w poprzek na przeciwną stronę i zawrócił ku dworcowi. Mijając widziane przedtem platformy, stwierdził, iż rzeczywiście były załadowane armatami. Na rampie stało dwóch Chińczyków na warcie. Nie odezwali się doń, więc przeliczył spojrzeniem armaty i szedł dalej.

Z dworcem od strony Dniepru rozległ się gwizd parowozu i za chwilę ukazał się pociąg. Przechadzający się po peronie wojskowi, zeszli się do kupy i stanęli przy samym brzegu. Pięciu ich było.

Stach przyspieszył kroku.

Pociąg stanął i z wagonów (przeważnie towarowych) wysypało się mrowie żołdatów. Z mrowia tego wyłoniła się trójka przyzwyczajonych i szła prosto ku owej piątce. — Oficerowie — pomyślał — schodzą się; będą raporty, narady, zlecenia. Ot żeby tak podsłuchać!...

Wziął kierunek, aby przejść jak najbliżej. Zbliżywszy się o kilka kroków, zaczął przekładać z ręki do ręki wieszka grzybów — niby to licząc i ledwo się posuwając, wsłuchiwał się w rozmowę rzekomych oficerów,

która się zaczęła między nimi po wymianie pozdrowień. Jeden z nich spostrzegł Stacha i obróciwszy się ku niemu, rzekł:

— Co grzybki liczysz, młoda kobietko?

— Sprzedaję, sokole młody. Ot może kupisz?

— Grzyby?! Fe!... Gdybyś tak zechciała sprzedać coś innego, smaczniejszego niż te suche, pomarszczone, zrudziałe kozłaki...

— Nie, inższego nic przy sobie nie mam.

— I jeszcze by co. Taka młoda i piękna kobieta, a mówi, że nic inższego nie ma. Masz coś słodkiego, łakomego dla soldacika...

— Owszem, mam niedużą faszeczkę miodu na wozie — udał, iż nie domyśla się żartobliwego znaczenia słów.

— A! masz miodu?! — podchwycił.

Jeden z towarzyszków wezwał łakomca do gromady, a Stachowi kazał iść precz. Nie było innej rady; odszedł, nawet nie oglądając się.

Soldaci nie wyładowywali; — stali przy wagonach bez broni, torniśtrów, płaszczów, a niektórzy nawet i bez czapek, co oznaczało, iż niedługo odjadą tym samym pociągiem dalej. Stach szedł, liczył wagony, kalkulował ile w każdym tego tałałajstwa może być i wsłuchiwał się w rozmowy, chcąc się dowiedzieć gdzie odjadą. Ale z urywanych słów nie sposób było wymiarkować. Postanowił tedy przy ostatnim wagonie zapytać bez żadnych ogródek.

Już był przy ostatnim wagonie, już miał usta otworzyć, gdy z tyłu ozwało się gromkie wołanie: — Stój, młodaja zenszczyzna!

Drgnął, obrócił się — poznał łakomego na słodycz towarzysza.

— Ty naprawdę kobietko masz miód na sprzedaż, czy łiesz? — pytał.

Pocóż miałabym łąsać? — Mam — wyrwało mu się nie pomyślawszy, że tym biedę na siebie ściąga.

— Gdzież on? prowadź!

— O, daleko stąd, sokole, aż na Karpitówce — spostrzegł swój błąd i jął odradzać.

— Spojrzał na zegarek. — Mam czas, idziemy!

— Ale uważaj sokole, że my inaczej jak za carskie nie sprzedamy. A może Hrysza, mój mąż, już sprzedał.

— Jak zechcecie, zapłacę wam i carskimi — odrzekł z zagadkowym uśmiechem na ustach. — Idziemy, nie traćmy czasu!

Poszli. — A choleraż mi dała wyjechać z tym miodem — zaklął w duchu, Dobrze jeszcze gdy Kościk szybko się połapie i powie, iż ten miód, którego wcale nie było, już sprzedał, ale jeśli zacznie się płać — zginiemy. Poweźmie podejrzenie, zaprowadzi na komisariat i gdy zaczną sprawdzać tożsamość, po nitce dojdą do kłębka. — Aż włosy mu stawały dęba na taką możliwość.

— Przedzaj kobietko, nie ostawaj się, bo ja nie mam czasu! — poganiał.

A może też już wie jaka ze mnie kobieta? Może on tylko bawi się ze mną, jak kot z myszą? Przecież najgłupszego osła, takie samotne włóczenie się kobiety z grzybami po stacji, mogło zastanowić. Na co, kiedy ten ostatni kołomaz i ten się zdziwił. No, a cóż to, oni nie mogli mieć na stacji szpicłów?

Obejrzał się niespokojnie. — O parę dziesiąt kroków szło dwóch

bolszewików, którzy patrząc na nich z pode łba, coś, pochyleni do siebie głowami, szeptali. — Stachowi mrowie po skórze przeszło, na czoło pot zimny wystąpił.

— Ty mi coś, kobieta, wydajesz się bardzo podejrzana; wiercisz się w koło i mienisz w twarzy, jak złodziejka jaka — zauważył towarzysz. — Jak widać, przyjdzie mi się ciebie odstawić na komisariat dla sprawdzenia, coś za jedna.

Stachowi i dech na takie powiedzenie zatkało.

— To ja sokole obawiam się i oglądam, aby przypadkowo mój Hrysza nas nie podpatrzył — wycedził ledwo zapiąc. — On tak o mnie zazdrosny, że gdyby ujrzał tak blisko ciebie idącą — gotów obić.

— Jeżeli ci tylko o to idzie — nie bój się, wstawię się za tobą.

Szedł całą drogę, jak to się mówi: ni żywy, ni martwy.

Wchodząc na Korpilówkę, nie wytrzymał i znowu się obejrzał. — Widzianych przedtem szpicłów już nie było widać. Przed wrotami Strażnika stał Kościk i przyłożywszy rękę do daszka furazki, pilnie ich obserwował. Stach pociągnął zamasyżcie rękawem koło nosa, dając tym umówiony znak, iż niebezpieczeństwo grozi. Kościk zaraz uczynił to samo, odpowiadając, iż go zrozumiał. Ale z miejsca się nie ruszył.

— Oto tamten — Hrysza mój mąż — oznajmił.

— Nie bój się, nie będzie bił — pocieszył.

Kościk, gdy zbliżyli się do niego, rzeczywiście zakrzyczał na połowicę:

— A ty gdzie dotąd badziasz się, zabo kiżława!

— Nie szumieć! durak! ona bez dzieła nie taskałaś — ujął się towarzysz.

— Ja na stację z grzybkami zaszedłam i ot przypadkowo na miód kupca znalazłam — oznajmił pokornie. — A ty Hrysza, może już go i sprzedał? Pewnie że sprzedał? — pytał klepiąc okiem, aby ten potwierdził.

— Co, miód ? ! . . . Nie, nie sprzedałem.

— Szlag by cię trafił, osioł dardanelski! — zaklął w duchu, iż ten tak widocznego znaku nie rozumie. — Ja mówię Hryszka, że ty pewnie ten miód już sprzedał? — powtórzył, dając coraz wyraźniejsze znaki.

— Coś, ogłuchła do cholery, albo co?! Mówię ci, że nie sprzedałem jeszcze.

Idź mu pokaż, jak chce.

— A gdzież on jest?

— A gdzież ma być, jak nie w kałamaszce!

Jakkolwiek nie bardzo orientował się ku czemu Kościk zmierza, czynił jak mu kazał: — prowadził towarzysza pod "powietkę". Kościk szedł powoli, ociągając się, za nimi.

Znalazłszy się przy kałamaszce, Stach zdjął prosię, kazał Polkowi przyjąć konia i potem dawaj grzebać w sianie udając, że szuka miodu. Zaczynał rozumieć śmiały zamiar Kościka. Towarzysz widząc, że jakoś kobieta długo nie znajduje, zaszedł na drugą stronę kałamaszki i jął pracowicie pomagać.

— Hryszka! a idźże pokaż gdzie to jest, bo my jakoś nie możemy odnaleźć. —

— Ludzkie kobiety w lesie znajdują, a ty niedołęga na własnym

wozie nie potrafisz! — Podszedł ku kałamaszce od strony towarzysza, chwycił go błyskawicznie jedną ręką za spodnie z tyłu, drugą za kołnierz, uniósł do góry i wrzucił do środka wgniatając głową mocno w siano, by nie mógł krzyknąć. — Lejce dawać!! Wiązać! — zakomenderował.

Ucięli kawałek lejców, skrupowali ręce, nogi, podwiązali opaską brodę, by nie mógł ust otworzyć, zdjęli mu z pasa rewolwer, który Kościk wsunął sobie do kieszeni i ułożyli go wzdłuż kałamaszki twarzą w dół, przykrywając z wierzchu sianem. Ryczał i skomlał, jak opętaniec, jak zwierz dziki pojmany, wił się i trzepał, jak wiun, jak okoń.

— Siadaj mu Polek na krzyżach i gnieć prosię, by kwiczało, a ty Stachu z tyłu kałamaszki i okracz spódnicą miejsce nad jego głową! — komenderował, wprowadzając żywo konia do gołobli.

W parę minut założył i ruszyli. Przy domu spotkał gospodarza.

— A cóż to tak prędko i nie sprzedawszy towaru odjeżdżacie?! — pytał. A ty, chłopcze, po co gnieciesz to prosię?!

— Masz tobie człowieku za kwaterę — wręczył Kościk katarzynkę i nie pytaj nas o nic, ale otwieraj czym prędzej wrota.

Wyjechali na ulicę i pognali rysią. Kościk powoził. Siedzieli, jak na szpilkach, jak na gorącym żelazie; — na każdy wydobywający się spod spódnicy głośniejszy stęk, na każde dłuższe spojrzenie wojskowego przechodnia, dech wstrzymywali, zamierało serce i kłóło w pięty. W odstępach, gdy zmęczone prosię przestawało kwiczyć, przezorny Polek sam wrzeszczał, śpiewając skoczne drynduszki. Wybierali ulice boczne, aby przy słabym ruchu móc zawsze jechać rysią.

Kiedy wreszcie wyjechali za miasto w pole, odetchnęli wszyscy z ulgą, jakby im kamień dziesięciopudowy z piersi się zwałił, — jakby z duszącej nadmiarem pary łaźni na świeże powietrze wyskoczyli. — Chwała Ci Boże! — wołali. — Chwała Ci Przenajświętszy! . . .

Obejrawszy się, iż nikogo w pobliżu nie widać, puścili konia stępą i zajrzeli do więźnia, który już przestawał się odzywać. — Oczy miał nabrzmiałe krwią, nieprzytomne — i ledwie nieborak zipał. Ale wchłonawszy parę razy świeżego powietrza, zaraz okrzepł i jął ruszać ustami, dając znaki, iż chce mówić.

— Ja nie mam teraz czasu, towarzyszu, na politykę z tobą — powiedział Kościk. — Jak będziesz leżał cicho — darujemy ci życie. I tak już się nam nie wymkniesz.

Znowu zakopali go w siano, tym razem kładąc twarzą do góry i ledwie ją sianem przyprószając. Polek usiadł mu na kolanach, Stach okraczył go znowu spódnicą i dalej rysią pojechali.

— Jak ci do głowy strzelił tak śmiały, ale genialny pomysł — pytał Stach. —

— Genialny mówisz? . . . A tyś mię był odurnił za te dwieście rubli, com wbulił niepotrzebnie Żydowi! A widzisz, zem wart coś! . . .

Widać po odzieży, iż grubsza ryba. Gdzie on się do ciebie przykleił?

— Opowiedział mu szczegółowo, jak zaszedł na stację, co widział i jak ten przyczepił się o stłodycz.

— A jeżeli tak, powinien on wiedzieć dużo — powiedział Kościk. — A mnie, gdym was na ulicy dojrzał, jakby ktoś szepnął do ucha: zwabcie go pod powietkę i porwijcie. Ty wytarłeś rękawem nosa, — a ja wiedząc,

że na kwaterze bolszewików nie ma, a też i w pobliżu na ulicy ich nie widać pomyślałem sobie: niewielkie tu niebezpieczeństwo. Daj Boże go tylko na podwórko wciągnąć.

— A dziekana panowie nie odnaleźli? — zapytał Polek, dziwiąc się, iż jakoś wcale o nim nie wspominają.

— Dziekana?! — Znaleźli, czemuż nie, — na stacji, w pancerniku zamknięty siedzi.

— W pancerniku?! — Więc znaczy się, nocą przyjadą po niego aeroplany?

— Nie, teraz, gdy udało się nam dostać w swe ręce największego ze Żłobina komunistę, wymienią nam dziekana.

— A, to jest największy ze Żłobina komunista?! — Znaczy się tedy dziekana zamknęli za jego rozkazaniem?

— Ma się rozumieć iż za jego.

— Dawajcie panowie, zjedziem w bok, ściągniem mu portki i pokrzywą nasieczem.

— Nasieczemy go chłopcze pokrzywą, niech no tylko zaprowadzimy do Bobrujska.

Widząc iż ułani nie spieszą się z zemstą, wsunął rękę w siano, namacał miękkie miejsce więźnia i dawaj go szczypać.

Zbliżał się wieczór, a z nim razem zaczynała się psuć pogoda. Niebo zaciągnęło się szarą, jedną, nieskończoną, chmurą. Nie obejrzeni się, jak ściemniało.

Posypał drobny deszczyk.

Gdy wrócili na chutor, mogło już być po siódmej. Deszcz lał na dobre. Ciemność wisiała nieprzenikniona. W celu zabezpieczenia Dryłów, zatrzymali się i wysadzili więźnia w lesie, a Polkowi kazali jechać samemu i prosić starszych domowników, by przynieśli im ich odzież i trochę pożywienia. W międzyczasie Stach skoczył na drugą stronę polany i przyniósł ukryte rano łapcie, gdyż w nich było po lesie łatwiej chodzić.

Posilili się, przebrali, podziękowali Drylom i puścili się ciemną deszczową nocką z towarzyszem przez lasy.

Trudny mieli powrót. Więzień sądząc, iż znajduje się w rękach opryszków i że czeka go niechybna śmierć, błagał ustawicznie o życie, targował się, czasami chwiał rozmyślnie, upierał, więc musieli ujawszy go pod ramiona wlec gwałtem. Deszcz nie ustawał, ani na chwilę. Ciemność miejscami tak była gęsta, iż przychodziło szukać drogi omackiem. Przez ową ciemność błądzili i nakładali sobie drogi. Przemoknięci do nitki, wyczerpani na siłach długą podróżą, pod rano, ledwo już nogi przestawiali. Jednak wytrzymali i o ósmej rano dowlekli się do Krapiwni.

W południe stanęli ze swym więźniem przed szefem i zdali szczegółowy raport ze swej wyprawy. Szef słuchał, kiwał głową, młaskał językiem z podziwu, a gdy skończyli rzekł:

— Jak widać, nie zabrakło by wam odwagi i na Kreml się przedostać.

— Jeżeli trzeba, to możemy i jutro pójść — odrzekł Kościk.

— Choć byśmy nawet wiedzieli z góry, że za taką zuchwałość przyjdzie się głową nałożyć — dodał Stach.

## ZE WSZYSTKICH SIŁ

Przeszła jesień, nastąpiła zima, mijały święta, a granica Polski pozostawała na Berezynie. W okolicy Bobrujska posterunki wojskowe przekraczały rzekę do wsi Podrzecze, Domanowszczyzny, Jasnego Lasu i Zielonki, ale to tylko w celu osłonięcia przed ewentualną napaścią miasta; dalej zaś, w jedną i drugą stronę, Berezyna była tymczasową granicą państwową, dokąd dosięgał polski zarząd cywilny i zarazem linią wojennego frontu. Parokrotne próby bolszewików, wyparcia Polaków z tej linii, rozbiły się o dzielne wielkopolskie pułki, jak o płytę pancerną, oddając za każdym razem w ręce polskie moc czubów, sprzętu wojennego — i otwierając na oścież wrota do Dniepru. Ale nie szli tam — zawsze wycofywali się na Berezynę.

W międzyczasie nęcono wroga wojną podjazdową, którą prowadzono z wielkim powodzeniem. Ładowały się kompanie piechoty na zarekwirowane podwozy i wraz ze szwadronami kawalerii, przekradały się nocą daleko wrogowi na tyły, zagarniały mu całe pułki, nieraz bez żadnych w swoich szeregach strat. Ułatwiały takie podjazdy nieskończone zaberezyńskie lasy i dobrze zorganizowany, z ludzi duszą sprawie oddanych, wywiad. Wywiad ów nieraz tak dokładnych informacji dostarczał, iż wiadano nie tylko, jaka ilość i jakiej broni wroga w danej wsi czy miasteczku się znajduje i jak tam niepostrzeżenie się dostać, ale nawet, jak nazywają się dowódcy i w którym domu kwaterują. Zdarzało się, iż Poznańczycy budzili spod okien:

— Wstawaj rotnyj komandir, Lejba Sołowiejczyk! Wstawaj połkwoj, Andrej Zarubin! Wstawaj wracz Boruch Hercemberg! — Wstawaj bombardir nawodczyk! itd.

Taka podjazdowa wojna miała jednak i złą stronę — męczyła ludność. Życzliwi Polsce ludzie z każdego większego wypadu, cieszyli się i łudzili, iż zostaną już na zawsze i rozpoczną życie spokojne, lecz potem doznawali bolesnego rozczarowania. Po najdłuższej dwudniowej gościnie wojsk polskich, w daną miejscowość znowu wracali bolszewicy, zapełniali świeżymi pułkami w swoim froncie wyrwy, przeprowadzali śledztwo szukając wśród ludności polskiej i ruskich kułaków winnych doprowadzenia nieprzyjacielskich wojsk. Najwięcej Polaków się czepiali; w każdym prawie dopatrywali się szpiega i sprzymierzeńca białych; przeprowadzali rewizje, zabierali dobytek pod pretekstem, iż niby go kryją przed nieprzyjacielem, włóczyli po turmach, odbierali życie ludziom przeważnie Bogu ducha winnym. Nawet to, iż któryś podczas wypadu, nie mogąc pohamować swych uczuć, przemówił do polskiego żołnierza, dostatecznym było dowodem do oskarżenia o zdradę proletariatu.

— I po licha to tarmoszenie się w jedną i drugą stronę! — narzekano. — Już by niechaj zabierali pod swe władanie, albo siedzieli cicho za Berezyną. —

Zastraszeni barbarzyństwem rozjątrzonych czekistów, rozgoryczeni na wojsko polskie, chylili się ludzie na stronę bolszewików. Liczba polskich komunistów i sympatyków sowieckiego ustroju w zaściankach

rosła — patriotów ubywała. Po niektórych, ludzie nawet o pięknych rdzennie polskich nazwiskach, płaszczyli się i schlebiali starym komunistom, na których przed paru miesiącami patrzyli z pogardą, zaczęli plugawić publicznie to co do niedawna uważali za świętość, ku czemu wzdychali.

Ale czyniły to tylko jednostki słabsze, które jeszcze i przed wojną w jednym i tym samym dniu dwu bogom się kłaniały. Większość trzymała się twardo i godnie: represje i szykany znosili pokornie, ale pochodzenia swego nie wypierali się i plugawieniem Polski wobec Jej wrogów nie upodlali; czuli do wojsk polskich pewien żal — ale mieli też wyrozumienie i nie tracili nadziei, iż jednak w końcu ich wyzwolą. Liczyli na historyczną przynależność swego kraju, na pamięć i czułe serce Braci wyzwolonych i wreszcie na swych synów, którzy przeszli za Berezynę.

Spora już ich tam gromada przez blisko półroczne napłynęła. Synami zabereżyńców obsadzili prawie całą służbę bezpieczeństwa w Bobrujsku, ważne, nadgraniczne — w strefie operowania band dywersyjnych i szpiegów bolszewickich — posterunki prowincjonalne, setki zabereżyńskich synów służyło w pułkach polskich. Utrwalili oni Polskę na ziemiach wyzwolonych, bronili Jej zewnątrz i wewnątrz. A chociaż wszystkich razem złożywszy, nie dużo ich było w stosunku do liczby bojowników, jaką inne ziemie do walki o wolność Polski wysłały — za to służyli szczerze. Z całych sił, z całej duszy służyli. Służyli tak, bo tam za rzeką — hen za siniejącym lasem, czekali na wyzwolenie ich ojcowie i siostry. Bo przegrana walka Polski — byłaby przegraniem ich losu i życia. Bo musieli wówczas dać gardła — albo wyprzeć się rodziny, chaty, ziemi i swej “zuzuli”, jeżeli kto jaką pozostawił. Ziemi ojczystej wyrzec się — drogiej, miłej. Wyrzec się polanek chleborodnych, usadzonych drzewami podkurów pszczelnych, otoczonych w koło lasem. Niezwykłym lasem — ich zabereżyńskim — potężnym, niepokalanym, czarodziejskim. Służyli Jej szczerze dlatego.

— — — — —  
Kościk ze Stachem pełnili ciągle służbę w wywiadzie. Pułku zabereżyńskich ułanów zawiązać nie zdołali. Niekroć zabrali się do gromadzenia kandydatów, zawsze znajdowali się mściwi konkurenci o Karusię, albo zazdrośnicy o stopień dowódcy, którzy zaczęli przeciw Kościkowi buntować i unicestwiali wysiłki. Inny organizator, ani z ludu, ani z ziemian się nie znalazł. W sztabie zapatrywano się na ową sprawę niedbale, widocznie nie uznając potrzeby tworzenia takiej jednostki, lub też nie ufając w możliwość zgromadzenia dostatecznej ilości ochotników.

Rozgoryczeni niepowodzeniem, oddali się tedy służbie wywiadowczej z całą duszą i poświęceniem. — Nie ma naszego wojska — powiedzieli — z którym byśmy mogli odemścić się wrogowi za krzywdy naszych ludzi, tedy sami go będziemy gryźli ile sił i aż póki tchu!

No i gryźli — Osią byli całego wywiadu. Im powierzano najważniejsze sprawy, ich wywiadem poprzedzano największe wypady. Operowali po całym zarzeczcu: od Borysowa — głównego szlaku odwrotu Napoleona, aż po Rzeczycę, dostarczając informacji o wrogu nie tylko poznańskiej dywizji w Bobrujsku. W jednej miejscowości pojawiali się jako żebracy, w drugiej — jako cyganie, gdzieś indziej znowu jako

sprzedawcy rzeszot, bierdów i łyka, ale zawsze jako małżeństwo. Pasowali do siebie w przebraniu: Kościk starszy, z zarostem, pleczysty, Stach — niższy, szczupły, gołowąs, z delikatną kobiecą buzią. Kościk zapuścił długą brodę — Stach włosy na głowie. Przywykli na siebie po małżeńsku wołać, włożyli się do, odpowiednich swych rolom, ruchów i manier.

Najczęściej jednak się włóczyli w charakterze tobołkowych szmuglarzy soli. Najbezpieczniej było, gdyż głód na ten kruszec po stronie bolszewickiej trwał zastraszający i takim szmuglem wielu się trudniło. Bolszewicy w zasadzie wszelką spekulację karali surowo, ale na tobołkowe przenoszenie soli przez ubogich ruskich chłopów, których o szpiegostwo na rzecz burżujów nie posądzano, patrzyli przez palce i jeżeli kiedyś którego zatrzymali, wy pytali go tylko skąd idzie, co widział u Lachów, zabrali sól i po paru nahajach puszczali człowieka z Bogiem. Ale rzadko kogo przyłapali. Chłopi przez strefę frontową przekradali się przeważnie lasami, a na tyłach nie łatwo było takiego szmuglarza od zwykłych podróźnych chłopów, którzy z tobołkami nigdy się nie rozstawiali, rozpoznać.

Przebrawszy się tedy za szmuglarzy soli, Kościk ze Stachem przekradali się bolszewikom na tyły, zachodzili do zakwaterowanej przez ich wojska wsi, lub miasteczka, badali jego siłę, sposób ustawienia się bojowego, strażę, połączenia z innymi oddziałami, drogi i brody leśne i na drugi, lub trzeci dzień zjawiali się poznańscy. W młodziutkim ordynansie, jadącym zwykle przy boku dowódcy ułanów i w wachmistrzu z czarną brodą, nikt nie poznawał wędrownych handlarzy soli sprzed paru dni.

Nie tak łatwa i wygodna służba w owym wywiadzie była, jak ją sobie ktoś może w wyobraźni przedstawia. Trzeba było na to odwagi, wprawy i wytrwałości wielkiej. Jesienią, póki człowiek śladu swej ścieżki nie zostawiał, póki przemocować w lesie wygodniej mógł, — łatwiej jeszcze było — ale zimą — było źle. A zima w tamtym roku zaczęła się wcześniej i była sroga. Na Wszystkich Świętych upadł śnieg do kolan. W tydzień później drugi taki śnieg i zaraz mróz uderzył, że aż chaty i las zatrzeszczały. Pomimo, iż byli dobrze zakonspirowani, nie zawsze mogli utartymi ścieżkami chodzić i w ciepłych chatach nocować; — trafiało się po kilkadziesiąt wiorst w grząskim po pas śniegu miesić bez wytchnienia, zapadać w niezamarzłe bagna — i potem w mokrej odzieży, przy 25-stopniach mrozu nocować w lesie przy ogniu. Odzież na nich zamarażała na lód, zęby dzwoniły jak w febrze.

Nie chcieli wiedzieć co to znaczy trud, chłód, zmęczenie, niebezpieczeństwo. Szczęście im sprzyjało długo. Kilka razy już bolszewicy byli na ich tropie i zastawiali sidła, już byli więcej jak pewni, że ptaszków mają w swym ręku — lecz zawsze Opatrzność zsyłała kogoś, kto w samą porę uprzedzał o wiszącym nad nimi niebezpieczeństwie; zawsze trafiała się sposobność do ucieczki.

Wymykali się — a w jakiś tydzień znowu zjawiali — już w innej postaci, inne drogi i sposoby do podejścia wroga znajdowali, sami zawsze pozostając nieuchwytni.

## DO PORY DZBAN WODĘ NOSI

Było to w pasie naddnieprzańskim, we wsi Wiły gminy hreblańskiej. Po raz trzeci, w okresie swych wędrówek po tych stronach, zaszedli na nocleg do młodych, bezdzietnych, zamieszkałych w małej chatce na końcu wsi, bobylów. Chłop bezziemny, prawie najuboższy we wsi, ma się rozumieć — był gorącym zwolennikiem komunizmu — ale umyślnie go sobie obrali, aby nie ściągać podejrzania.

Przyjęto ich i tym razem bez słowa. Kobieta naobierała na wspólną "kaszę" większy niż zwykle garnek kartofli, a Stach posolił i dał kawałek słoniny na okrasę. Ugotowali, utarli, razem za jednym stołem spożyli, gwarząc przyjacielsko, potem Kościuk odmierzył, jak i innymi razy, gospodarzom za nocleg dwie szklanki z kapturami soli, a ci przystawivszy do ławy zydeł, posłali im miękką pościel.

Spali pod dzieruchą, kądzielą podszytą, jak konopie sprzedawczy.

Nocą ktoś do okna nad nimi zapukał. Stach, który spał od ściany obudził się pierwszy. Wysunął nosa spod dzieruchy i zawołał: — Gospodarzu! — ktoś do was puka. — Cisza. — Gospodarzu! o gospodarzu! mówię, iż ktoś puka do was — powtórzył. — Znowu absolutna cisza. Twarz chłód ostry owiewał. Podniósł głowę i wyrżał na izbę. — Przez rozwarte na oścież drzwi walił mróz kłębami. Do okna tymczasem znowu zapukano.

Odszuka w oknie rąbek niezamarzłej szyby i wyrżał na dziedziniec. Pełno chłopów uzbrojonych w koły i strzelby. Zrozumiał wszystko.

— Kościuk! Wstawaj! Słyszysz?! — szturchał go mocno w bok. — Kościuk! Słyszysz! Wstawaj prędzej! Już bracie po nas ! . . .

— Co ? ! . . . Jak po nas ? ! Co się stało ? ! . . .

— Gospodarzy nie ma, drzwi do sieni rozwarte, na dworze pełno uzbrojonego chłopstwa. Pukają do okna. Już kryszka nam bracie. Teraz już nam becza . . .

— Da, da! — Już wam bocza, polskie szpijony! — zagrzmiał głos w sieniach.

Zaczęły się sypać do izby ludzie cienie, obstępować w koło łoże, świecić latarniami i podsuwać rewolwery.

Oddawali się z rezygnacją przeznaczeniu; przy takich okolicznościach i myśleć nie było co o ucieczce, albo o stawianiu oporu; broni żadnej nie mieli. —

Chłopi skrępowali im ręce, zapalili światło i wzięli się do szczegółowej rewizji. Przebrali palcami sól w tobołkach, przetrzęśli, przemacali pościel, wierzchnią odzież, przemacali też na nich odzież spodnią — i nic oprócz pieniędzy nie znaleźli, nie poznali męskiej płci Stacha.

Stachowi wstąpiła okruszyna nadziei, więc z miejsca puścił język w robotę.

— Jakim prawem, wy, na czestnych spekulantów napadacie?! — zakrzyczał. — Jakim prawem chcecie zabierać nasz pieniądz mizerny, nasz trud krwawy?!

— Jakim prawem?! — zaryczał prezes wsi i herszt napadu. — Ty

jeszcze chcesz tuman puszczać, szpijonka?!... Dwa razy już doprowadziliście Lachów do Hrebli i jeszcze ośmielasz się pytać, jakim prawem was zabieram?!...

— Kto i jakich Lachów doprowadzał?! Pluńcie, wy ludcy, w oczy temu, kto wam o tym mówił. My nie znamy żadnych Lachów, ani szpijonów. Na kawałek chleba zarabiamy spekulacjami, bośmy beziemienni jako oto gospodarz tej chaty. Opamiętajcie się ludcy, nie odbierajcie naszym dzieciom chleba, które głodne na nas czekają. Nie ściągajcie przekleństw na siebie i swoje dzieci! Nie zabierajcie naszego trudu!

Dosyć! Choćby ty babko drobniej maku się rozsypała — szpijonka ty i basta. Spekulacja wasza — to tylko pozor. Wszędzie już wiedzą coście za jedni, gdzie byli i co nabroili. Już skończą z wami...

Uwolnili im ręce, aby się wzuli i odziali, potem znowu skrepowali i cała tak, ponad dwudziestu uzbrojonych ludzi, gromadą, odstawili do Hrebli do dyspozycji wojennego komisarza.

Nie pierwszy raz w tych stronach byli i o tym komisarzu słyszeli.

Był to syn hreblińskiego żebraka kaleki, któremu za młodu połamano w cudzym świrnie ręce. Miszka go nazywano. Bujną miał przeszłość. Od ośmiu lat na swój chleb poszedł. Pierwszych parę lat wodził ślepców. Potem pasł po chutorach i zaściankach kolejno: świnie, owce, konie, bydło. Dobry był pastuch — dbał o chudobę, ale odziedziczywszy po ojcu długie ręce, nigdzie nie mógł dobrać do końca; — zawsze pod jesień, jak nie zabierał go uradnik, to sam gospodarz przepedzał. W osiemnastym roku swego żywota awansował na gromadzkiego pastucha w Witach. Ale nie na długo. Gdy na Zielone Świątki wymordowano w Hrebli żydowską rodzinę, zaraz przyjechał uradnik i go zabrał. Po dwóch miesiącach śledczego aresztu uciekł. Odtąd zaczął żyć samą kradzieżą, rozbojem i mordem: okradał świrny, kradł na spółkę ze słobodzkimi starowiercami konie, grabił z dobraną bandą pod Bobrujskiem w rządowym lesie na szosie, wracając z targu furmanki, mordował Żydów i zasobnych w grosz chutorzanów. Znano Miskę od Berezyny do Dniepru.

Latem 1914 roku przepadł, jak w wodzie. Różnie ludzie w Hrebli o tym zatraceniu się Miszki mówili: że zastrzelono go w świrnie, że go zabili starowiercy, bo nie podzielili się z nimi zdobyczą za konie, że pod pseudo nazwiskiem wstąpił na ochotnika do wojska. Powoli zaczęli o nim zapominać.

W lecie roku 1917 naraz się zjawia, jako eks-plutonowy elegancko ubrany, ogładzony w mowie — i troszke "hramotny". Z miejsca do polityki się zabrał. Przyłączył się do paczki uboższych żołnierzy, zarzucających hreblińskiemu komitetowi zdradziecką działalność na rzecz caryzmu i po obaleniu go, sam doń wszedł. W grabieżach dzikich band udziału nie brał; rekwirował po dworach, folwarkach, w imieniu władzy. Jesienią, w okresie przedwyborczym do Konstytuanty, jeździł po wsiach i agitował na skrajnie lewicową partię, wyrabiając tym sobie markę "jarego komunisty". Uciekł przed dowborczykami za Dniepr i wrócił dopiero po ewakuacji Niemiec, od razu obejmując stanowisko wojennego komisarza.

Mieszkał i urzędował naprzeciwko urzędu gminnego w zwykłym gosudarskim domu — o dwu widnych izbach po końcach i sieni z komorą,

w jej głębi, w środku; jedna z izb służyła za pomieszczenie, druga za urząd, komora — za tymczasowy areszt. Miał do dyspozycji sekretarza i "armiejców". Przez protekcję jednej z większych ryb w powiecie, posiadał decydujący wpływ na hreblańską "Czeka" i na wszystkich innych dygnitarzy. Jednym słowem, był największą rybą w rejonie.

Polscy żołnierze, już dwa razy, będąc w Hrebli, szukali go, lecz ptaszka, od dzieciństwa zaprawionego do ucieczek, ująć było niełatwo.

Gdy Kościka ze Stachem przyeskortowano, dopiero zaczynało świtać i Miszka jeszcze spał. Dyżurny "armiejec", wypytawszy chłopów o sprawę, kazał im iść do poczekalni gminnej, aby swoim tupaniem i kaszlem w sieniach nie budzili komisarza przedwcześnie, a więźniów zamknął w areszcie.

Rzucili się na warstwę ugniecionej słomy w kącie i pograżyli w zadumie. Po kwadransie Kościk zaczął smętnie:

— Ot bracie, jak to człowiek nigdy nie może przewidzieć, gdzie się powali: z tyłu niebezpieczeństw wybrneli, tyłu mądrałów w butelkę nabili — a tu tymczasem taki niedołęga bobyl oszukał. I to zupełnie...

— Tak, już zapadła kłamka — potwierdził Stach. — Kto w ręce Miszki dostanie się — nie wymknie. Cholera!...

— Bardzo ciężko... Żeby chociaż jeszcze człowiek wiosny doczekał i Polski na naszej ziemi, albo chociaż Karuškę swą przed śmiercią ujrzał. Ile to, jakim ją widział ostatni raz? ... Miesiąc, dwa, trzy, cztery, pięć... Tyle czasu!... I skórki moje wszystkie się zmarnują... Tyle się nau-ganiałem. —

— Jakie skórki? Co ty pleciesz?

— Lisie i wilcze skóry. Czyż ja ci o nich nigdy jeszcze nie mówiłem? Na całe dubeltowe dla Karuški futro, lisiur zbierałem. Chciałem postawić się... A wilczych jeszcze więcej mam. Zmarnuje się wszystko...

— Nie zmarnuje się: ojciec spienięży, a nie — siostrom, gdy urosną futra posprawia i one cię za to dobrym słowem wspierać będą.

— Nie na to je zbierałem.

— A zostaw ze swoimi tam skórami — już one ci niepotrzebne. Lepiej oto módlmy się do Boga, aby nas pochowano na polskich mogiłkach.

— Czemuż nie mają pochować? Pochowają. Tutejsi hreblańscy Polacy zabrają nas i zawiozą do Mohilnieca. Dalekoż to...?

— A ty myślisz, że tu już zaraz nam dusze będą wydzierać? O, bracie, jeszcze nas naciągają i nasmałą boków!

— Jeżeli, jak mówią ci drabi, już wszystko o nas wiedzą — terroryzować nie będą.

— Mogą znać działalność naszą, ale cośmy za jedni — nie wiedzą. Będą starali się stwierdzić i tożsamość naszą.

— Jak sami nie dowiodą, nie przyznamy się.

— Choćby pasy z żywych mieli drzeć, nie przyznamy się. Pamiętaj! Znowu zapadło dłuższe milczenie, poczem Kościk westchnął ciężko i rzekł: — Ja i przeczynałem, że nie dla mnie ona... Taki anioł!... Słuchaj Stachu, ile ty razy byłeś w Bobrujsku na Białą Procesję?

— Ile razy? — Raz, dwa, trzy, cztery... Z tym ostatnim, co za Dowbora, pięć razy — odrzekł.

— Pięć razy? A dużo widziałeś dziewcząt o takiej jak Karusia ładności?

— Z twarzy tak — było jej podobnych, lecz zawsze je coś szpeciło: albo za gruba była, albo za cienka, albo piersi miała jak dynie, — albo jak deska, albo w biodrach podobna była na chłopca, albo znowu na tyle wystawała lulka, albo nogi, jak u słonia, albo, jak i słomki. A u twojej wszystko mierne i piękne, jak na obstalunek, — chwalił, chcąc uprzyjemnić mu wspomnienie.

— A widzisz, bracie! No, a teraz z dobroci. Powiedz komu, jakie ona zło uczyniła? Kto przez nią jakąś przykrość miał?

— Co do przykrości, bracie, to wielu ją przez Karusię miało: czyż raz przez nią sie pobili? Czyż jednemu ty sam mordę zbil? Czyż jednemu sprawiła boleść odkoszem?

— Ależ ona nie była temu winna.

— A winna nie była. Co prawda, to prawda.

— I nie było od niej czulszej na cudzą biedę, rozumniejszej, śmielszej i większej patriotki.

— Jednym słowem — doskonała dziewczyna.

— Nie tylko doskonała, ale można powiedzieć — święta! Anioł! Ech mój Boże! Gdyby ja tak ostał przy życiu i ją pojął — za królewnę by u mnie była. Ja bym ją odział w jedwab, lisie futro, ja bym za nią wszystką robotę robił, wszystkie jej zachcianki spełniał, ja bym ją na rękach po prostu nosił!...

— Jednym słowem, byłbyś, jak to mówią, pantoflarzem.

— Nigdy, bracie, jeszcze jej tak nie uwielbiał, jak teraz, nigdy tak do niej nie tęsknił i nigdy tak żyć nie pragnął!...

— Pluj na to wszystko! Dawaj oto lepiej pomówmy, jak zachowamy się wobec tego bandyty.

Wtem weszło dwóch "armijców" i kazano im wychodzić. Wstali i wyszli. Wprowadzono ich do kancelarii wojennego komisarza.

Dużo ludzi tam znaleźli. Przy progu stał prezes Wił, gospodarz chałupy, w której nocowali i jeszcze jeden proletariusz. Po izbie przechadzało się kilkunastu mężczyzn odzianych po wojskowemu; prawie każdy z nich miał przy pasie rewolwer, a niektórzy też i nahażki w rękę. Przy stole siedział Miszka — w nowej kozackiej bluzie, w wiejskim pasie z kutasami i w szynelu zarzuconym "na paszki". Wzrostu mógł być niżej średniego, drobny. Włosy miał ciemnawe, gęste, twarz krótką, nos kierpaty, chrapy szeroko rozdęte, oczy małe i przenikliwe. Siedział rozparty i huśtał się na tylnych nogach wiedeńskiego krzesła.

— Żenszczyzną różwieszat! — rozkazał, obrzuciwszy więźniów wzrokiem. W minutę wypełniono rozkaz.

— Chodźciez tu bliżej, Andrej Pawłowicz! — zwrócił się do prezesa Wił.

— A wy, sekretarzu — wskazał oczyma na stojącego przy stole wysokiego mężczyznę o wybitnie semickim nosie — siadajcie i piszcie.

— Przechadzający się po izbie mężczyźni, też zaczęli się zbliżać ku stołowi.

— Poznajecież wy ich, Andrej Pawłowicz? — zaczął Miszka badanie.

— Ci samiż to?

— Ci sami, żeby ja z tego miejsca nie wstał! — zaklął się.

Powtórzcie podrobnie wszystko.

Prezes ją opowiadać, jak przed świętami, na dwa dni przed ostatnim napadem na Hrebłę Polaków, przyszedł do niego obecny tu Kiryło proletariusz Wił i doniósł, iż nocujący u niego po raz drugi spekulanci przemówili parokrotnie do siebie po polsku, jak on prezes, domyślając się w nich szpiegów, poszedł za nimi ukradkiem, jak widział ich w Hrebli na rynku rozmawiających sekretnie z "kułakami", jak po tej rozmowie włożyli się po zaułku za szkołą i przyglądali sowieckim armatom i kulmiotom, jak mu uciekli, jak doniósł o tym tu w kancelarii, gdzie otrzymał rozkaz, w razie powtórnego pojawienia się, aresztowania ich i w końcu, jak zeszłej nocy Kiryło doniósł mu, iż znowu zaszli na nocleg i on zebrał ludzi i aresztował ich.

— Towaryszcz wojennyj komisar — kończył swe zeznanie. — Żeby oni tu pękli — szpijoncy są. Samo to, iż nie widząc nas, gdy rozbudzili się, mówili do siebie po polsku i że ona powiedziała: kryszka nam, bracie, już nam bracie beczka, — jest dostatecznym dowodem ich winy.

— Breszesz szelma! — zaprotestował Stach, który przekonawszy się z zeznania prezesa, oraz z zalotnych spojrzeń w jego kierunku Miszki i innych mężczyzn z jego świty, iż męskiej płci w nim nie podejrzewają, postanowił bronić się. — Żeby ja swych dzieci, gdy wrócę do domu zdrowych ujrzała, breszesz! Ja nie mówiłam: kryszka nam bracie, już nam bracie beczka. — Ja mówiłam: Hryszka, nikogo nie ma w chacie, wstań i zapal świeczkę. To ty szelma wszystko przeinaczył.

— Ach, ty suka! Ty będziesz jeszcze tuman puszczać!

— Jeżeli ja suka, to ty sobaka!

— Więc może jeszcze wyprzesz się, iż przed świętem, przed napaścią Polaków ciągałście się za szkołą w pobliżu sowieckiego wojska?!...

— My ciągali się?!... Ażebymy ciebie diabli na tamtym świecie za taką napaść bez ustanku ciągali! Żeby ciebie i twoich dzieci francy potoczyli! Żeby tobie paraliż ręce i nogi odjął i żeby ze dwadzieścia lat sobie pod bok robił! Soli tobie naszej i grosza ciężko czestnym spekulantwem zarcbionego zachciało się, więc i wymyślasz podłość.

Prezes spojrział błagalnie na komisarza, wzywając go na swoją obronę.

— Nie wymyślaj kobieto! Milcz! — ujął się komisarz. Prezes czestny człowiek.

— To i wy komisarzu na mnie?! — zawołał, wybuchając płaczem. — Ach, dolaż moja nieszczęśliwa! Za burzujów, uciemienienie i nędzę cierpieliśmy i swoi, proletariusze, na nas biednych napadają! I czemuż ty mię mama porodziła?!

— Dosyć! uspokój się kobieto. Ja za prawdę. Łajać się nie wolno!

Teraz powiedzcie mi, człowieku — zwrócił się do Kościka — jak wy się nazywacie?

— Hryszka Kiryk — pośpieszył odpowiedzieć Stach.

— Niechaj on sam odpowiada — zaprotestował Miszka.

— On póki się zbierze, komisarzu, to i wieczór nastanie. On workiem przybity — dodał ciszej, mrugnawszy okiem. — Pokarał mię Bóg...

Miszka patrzył na Stacha coraz łaskawiej.

— Nazywa się Hryszka Kiryk. Dobrze. No, a skąd, gdzie zamieszkuje?

— W Mohilewie mieszkamy — odpowiadał Stach w dalszym ciągu. W Mohilewie?! — zdziwił się, że ani z mowy, ani z ubrania nie wyglądają na mieszkańców wielkiego miasta. — A ulica, numer?

— Homelska 77. To jest na Pałubie za rzeką, w dzielnicy skórnych fabryk.

— A was jak nazywają?

— Szura Kiryk — po nim, a jak po matce, nie powiem, bo nazywam się brzydko.

— Nazwiska nie trzeba się wstydić. Mówcie!

— Szkura — bąknął i jął mrugać oczyma, jakby się zawstydził.

— Kilku z obecnych wybuchnęło serdecznym śmiechem, gdyż wyraz szkura w miejscowej gwarze oznaczał kobietę złego prowadzenia.

— Co za śmiech! — krzyknął Miszka. — Nazwisko człowieka nie szpeci. Który zaśmiał się, niech wyjdzie won!

Winni pokornie natychmiast wyszli, reszta przybrała poważne miny.

Po załatwieniu wszystkich formalności, Miszka zaczął badać co do sprawy.

— Więc nie przyznajecie się do szpiegostwa? Wypieracie się tego, co powiedział prezes?

— Niechaj mu oczy na łeb powypiera, za taką napaść na nas!

— Znaczy się, nie chodzili w pobliżu krasnych wojsk? Nie uciekaliście przed prezesem i nie gonił on was?

— Żeby od niego rodzone dzieci uciekały! Żeby go z krwią za swoją potrzebą ganiało! Ani my towarzyszu uciekali, ani on nas gonił. Żeby mu, dał Bóg, kiszki na zapusty pokręciło, jak on gad wszystko kręci!

— Dobrze, więc opowiedz tedy sama, jak to wszystko poprawdzie było...

— Było to, komisarzu, tak: Sprzedaliśmy na rynku starowiercom pięć funtów i wychodziliśmy z Hrebli. Mijając pocztę, jakoś obejrzałam się — i widzę ktoś skrada się za nami. Mówię tedy do niego: Hryszka, jakiś niedobry człowiek zapewno podpatrzył jakeśmy na rynku przewijali swój grosz i czyha na niego. Popatrz, ktoś skrada się za nami. On obejrzał się i jakkolwiek niedojda, od razu też poznał, iż człowiek niedobry. — Muszę przyznać się komisarzowi, iż wtedy przy nas grosz był spory. — Dawaj, mówię do Hryszki, ustąpimy temu drabu z drogi. Dawaj, mówi. Zakręciliśmy w pierwszy zaułek, przesadzili parkan w popowy sad, przykucnęli i patrzyli przez szparę, co on drań będzie czynił. Aż śmiech nas porywał, jak ten dureń, rozdziawiwszy gębę w jedną i drugą stronę chodził i nas wypatrywał. Ot i wszystko.

Ani my szpiegami, ani myśleli, ani widzieli kiedy tych Polaków. Po co nam? Nosimy na plecach sól, sprzedajemy i zarabiamy tym na chleb. A z czego byśmy żyli? Cztery gęby trzeba przekarmić. Niechaj oto Kieryło, u którego parę razy nocowaliśmy, powie, ile mój Hryszka niedojda zre.

— Jak to może być, że za frontem po stronie polskiej sól kupowali, a Polaków nie widzieli? Kto ci uwierzy?!

— My sól bierzemy w Jasnym Lesie, gdzie córka jego dwurodnej

ciotki wyszła zamąż. Oni przenoszą sól z za frontu, a jak, to my już tego nie wiemy.

— Andrej Pawłowicz — zwrócił się do prezesa — a przy rewizji nic więcej oprócz tego węzełka pieniędzy. co mi wręczyliście, nie znaleźli?

— Oprócz tych pieniędzy i soli nic więcej.

— A dobrze przeszukali?

— Dobrze. Nawet spodnią odzież. co była na nich przemacali.

— Dałby Bóg, ażeby pod starością, za to, ścieżkę po omacku sobie szukał — rzucił Stach.

— Wyprowadzić ich i zamknąć! — nagle padł surowy rozkaz.

— Zamknąć?!... Cóż my winni?!... Za cóż nas myślicie więzić?!... — zaczął blednąć jak płótno; łudził się był, iż naprawdę uwierzono ich niewinności i zaraz po wysłuchaniu wypuszczają.

Miszka obrócił się wraz z krzesłem w inną stronę i jął gwizdać. Trzech z jego świty ujęło więźniów pod ramiona; wyprowadzili i osadzili w celi.

Gdy znaleźli się sami, legli na starym legowisku, poczem Stach zaczął:

— Nie ma gorzej, jak gdy człowiek myśląc, iż już dopiął celu, naraz ujrzy fiasko swoich wysiłków. — Cholera! ja już łudziłem się, że nas puszcza.

Kościk uśmiechnął się boleśnie. — Oho! na wszystkie cztery są kuci, a tymbardziej Miszka. Nie da się łatwo oszukać.

— No, ale przynajmniej zemścił się nad tym prezesem. Toś go wyklął, wyłajał, że aż mie śmiech porywał. Widać bolało to go, bo wiercił się i mienił na twarzy, jak by go wrzątkiem oblewano.

Ale wiesz co Stachu? — dodał po pauzie — zdaje mi się, że się trochę upodłamy płaszczaniem przed tym złobem. Trzeba pamiętać o godności swojej i honorze. Ten płacz twój, to mi wcale się nie podoba.

— Tak sądzisz? — zamyślił się. — Nie. Gdy przyjdzie umrzeć — umrzemy z godnością i to zrehabilituje.

— Jak myślisz, co oni z nami będą czynili? Przecież jak widać, oni przeciwko nam nie mają innych, oprócz świadectwa prezesa, dowodów.

— Kto tam może wiedzieć, co oni mają. Jeżeli naprawdę nie mają, będą nas eskortowali do podanego przeze mnie miejsca zamieszkania.

— Więc może po drodze damy wiatru.

— Będziemy o to się starali, aż póki nie postawią pod ścianę.

Biegli myślami znaną drogą do Mohilewa i układali różne sposoby ucieczki.

Koło południa wszedł do celi Miszka i przyniósł im duży kozuch.

— Masz Szurka — mówił łagodnie — i otulcie się, by nie przeziębiła.

— Dziękuję bardzo, za troskę o moje zdrowie — rzekł Stach przyjmując kozuch. Lepiej by jednak komisarzu było, gdyby tak mogliśmy sobie pójść. Wiecie, tam w domu dzieci nas czekają... I po co wy nas trzymacie? Przecież już wiecie, żeśmy w niczym nie winni.

— Nie bójcie się, nic wam nie będzie. Jutro odeślę was do Mohilewa i tam po sprawdzeniu puszcza.

— Po jakiego licha wam ten kłopot? My sami stawimy się w Mohilewie, gdzie należy.

— Bez strazy, to na was gotowi napaść niedobrzy ludzie i obrabować — powiedział tonem ironii. I odszedł.

— Coś on bardzo łaskaw na ciebie — zauważył Kościk. — Żeby nie połakomił się chociaż o twe wdzięki.

— Niech Bóg zachowa! Wtedy już nie będzie żadnego ratunku.

Za pół godziny wrócił Miszka w towarzystwie starszej kobiety, która wniosła barszcz, sitny chleb i hreczaną, dobrze okraszoną, kaszę.

— Podjedźcie sobie — mówił. — Spodziewam się, że jeszcze naczczo dziś jesteście. Jedz Szurka, aby potem nie narzekała, że u mnie w Hrebli było ci źle.

— Czy też i ja mam komisarzu jeść? — pierwszy raz doń ozwał się Kościk.

— Ależ, oczywiście! Chybaż starczy wam tego?

— Wiec może nogami? ...

— Ach, prawda! Tyś skrępowany! — zawołał.

Miszka podszedł i rozwiązał Kościka, poczem stały cały czas przy nich, wypytując troskliwie, czy im smakuje, czy nie zimno w tej komorze i czy nie twardo na słomie. Odchodząc popatrzył Szurce w oczy znacząco i rzekł: — Jeżeli ci tu napzykrzy, albo będziesz czego potrzebowała, pukaj w drzwi.

— Miłości ze mną zapragnał, to już i dureń pozna. Dlatego nas i pozostawia na noc. Zdaje się bracie, iż prędzej przeniesiemy się do Abrahama, niż spodziewali. Tej nocy się rozstrzygnie... I to można powiedziedzieć, że przez swoją własną winę. Gdybym nie nazywał ciebie przed nim glina, i nie patrzył nań łaskawie, byłby może nie wazył się.

— Przecież od pierwszego poznania się z kobietą, nie powinien domagać się łoża — pocieszał Kościk. — Może przestanie na buziaku? Jak by nie było dygnitarz — powinien poczuwać się do godności.

— Jakiej godności od zbója można oczekiwać.

— Wtedy wiesz co? — wymyślisz coś takiego, co by go zniechęciło do miłostek...

— Czemu nie — ale jak nie uwierzy na słowo?

— To stukniesz mu czymś i kwita; jeżeli ku miłostkom zdąży — będziecie sam na sam.

— Czym, palcem stuknę?

— Tym, co będziesz miał pod ręką. Musisz pamiętać, że to już ostatnia będzie deska ratunku. Jeżeli nie wykorzystasz — zginiesz.

Okryli się kożuchem i próbowali zasnąć, ale niepokój wewnętrzny i przedostający się z urzędowej izby hałas, nie pozwalały. Czas dłużył się w wieczność. O zmierzchu wyprowadzono ich, z zachowaniem wszelkiej ostrożności, na podwórze i osadzono w celi znowu. Hałas w domu stopniowo się uciszał. Nie obejrżeli się — zasnęli. Obudził ich głos Miszki. Stał we drzwiach z latarką i wołał: — Spicie?! Hej! Spicie?!

Skoczyli na nogi i stanęli przy nim.

— Szura, chodź!

— Ja sama bez niego?!

— Sama — rzekł.

— Ja nie pozwolę, byś mi babę tam ciągał gdzieś samą! Ja też idę razem — zaprotestował zastępując drogę.

— Chcesz widzę parzyć ziemię, albo żeby kazał cię rozdziać i zerznąć pletniami?! — zagroził i wskazał na lufę rewolweru.

Byliby mogli we dwóch go rozbroić, ale nie wiedząc, co się dzieje w domu, na taki krok nie odważyli się. Pożegnali się spojrzeniem i rozeszli.

Sień, przy wątlym, ledwo zipiącym światełku maleńkiej lampki, uwieszanej na odrzwiach do urzędu, tonęła w mroku.

— Patrzajcie go! Niedojda, a zazdrosny o swą babę — zauważył Miszka.

— Durnie więcej zazdrośni od mądrych.

Wprowadził go do prywatnego pomieszczenia.

Była to widna izba o zwykłym gospodarskim urządzeniu. Na lewo ode drzwi wejściowych, w kącie stał wielki piec. Za piecem wzdłuż lewej ściany, stało łóżko. Dalej wkoło izby przy ścianach biegły ławy. Stół wielki, gładki, okryty ceratą, stał w zwykłym poczesnym kącie, ale miejsce świętych obrazów zajęły portrety komunistycznych wodzów. Na jednej ze ścian, na czteroramiennych widłach, imitujących łosiowe rogi wisiały: karabin, pas z ładownicą i szabla; na drugiej, na takich samych widłach, nowe połyskujące buty i baszłyk. Miejsce przy drzwiach naprzeciwko pieca, służące za kuchnię, oddzielone było od reszty izby płóciennym parawanem.

— Podłóż bym wielką uczynił, gdybym tak piękną i młodą kobietę zmusił do nocowania w celi — mówił, zamykając drzwi na klucz. — Przenocujesz Szurka tu u mnie w izbie.

Stacha wobec zbliżającej się rozgrywki o życie, ogarnęły drzenie i niemoc tak wielka, że aż przysiadł na stojącym przy drzwiach taborecie.

— Szura! Co ci się stało?! — zawołał, zauważywszy jej osowiały wygląd. Skoczył ku wiadru, zaczerpał naczynie wody i podał mu. — Szura, co ci się stało?! Czego ty drzysz?! — dopytywał się podtrzymując za plecy.

Pociągnął parę łyków i zaraz okrzepł. — Nic, już przechodzi — wymówił.

— Co, boisz się mnie?

— A czegoż bym miała się bać? Nic, to mi co wieczór się zdarza od ostatnich rodów, które miałam niedawno.

Twarz Miszki się wydłużyła niemile, jak rybakowi, który mniemając, że wzięła mu się na haczyk porządna ryba, ujrzy żabę.

— Miałś rody ... niedawno?!...!

— Tak, niedługo przed świętem.

— Przed świętem?! No, a dziecko?

— Nieżywe było. Poroniłam. Poszkodziło mi przerażenie wtedy i przesadzanie parkanu w popowy sad. Żeby tak na mściwą trafił, zaskarżyłaby tego prezesa szelmę do sądu. Za taką rzecz — kryminał grozi.

— Jednak to już spory kawał czasu upłynął... Po buzi twjej — wcale nie widać, żeś schorowana. Przejdzie wszystko.

— I ja też myślę, że przejdzie.

— Wstawaj, chodźmy, napijemy się czaju i potem wyśpisz w miękkim łóżku.

— Czaju to i owszem, nie odmawiam, ale na łóżko ci nie pójdę,

bo bym zanieczyściła robactwem pościel. Sam wiesz: — ciągle w drodze, ciepła odzież. Nieraz to, aż na powierzchnię wyłażą i wstyd muszę cierpieć. A, żeby ją cholera! Ot zdaje mi się teraz — sięgnął ręką za kołnierz sobie i po chwili grzebania, cofnął ją z dwoma palcami złożonymi w szczyptę, podszedł ku ławie i przycisnął paznokciem.

— I co zabiłaś? — pytał pochylając się i przypatrując miejscu, gdzie przycisnęła paznokciem.

— Nie, zdaje mi się, iż stoczyła się na ziemię.

— Czort ją bierz, ona już na podłodze zdechnie.

— Wstyd, że choć pod ławę się chowaj!... Gotowyś pomyśleć, zem niechlują jaka.

— Pluj na to Szura! E, u mnie to często się zdarza. Zostaw, chodźmy!

Chcąc ją ośmielić, ściągnął jej z głowy chustkę. Ujrawszy stosunkowo krótkie włosy, zawołał: — A co ci z warkoczem?

— Kołtun zdjęłam — odrzekł bez namysłu.

— Kotun?! I wychodziłaś się? A wiesz, rosną pięknie. Jaka ty krasawica!

— To już łiesz. Skąd mogę być krasawica, gdym trzy dni nie myła się?

— Złoto i w błocie widać. — No, rozdziawajcież i chodź, będziemy pili czaj. Widzę, iż chcesz bym cię dużo prosił — dodał tonem pogróżki.

— Ależ idę, czemu nie. Którabyż śmiała takiemu chłopakowi odmówić towarzystwa? Pozwól jednak sokole, bym trochę się umyła. W czym by tu?...

Wskazał mu miednicę, mydło, ręcznik, przyniósł grzebień i lusterko.

— Która godzina, nie wiesz?

— Kwadrans po dziewiątej — powiedział zajrzawszy do kieszeni.

— Toż wcześniej jeszcze! Weź sokole, i pozawieszaj jakimiś płachtami okna, gdyż gotów ktoś nas podpatrywać. Proszę cię!

Zdjął zakiet, umył się uczesał, obciągnął spódnice, bluzę, wydobył na powierzchnię sznury koralu i wyszedł za parawan. Miska w międzyczasie załatwił z osłonięciem okien, wydobył z pieca i ustawił na stole wielki czajnik zagotowanej cykorii, ustawił filiżanki, cukier, talerz pszczelnego miodu i nakroił chleba.

— Teraz nastojaszczą perełka! — zawołał ujrawszy ją w koralach.

— Zawsze z samego początku schlebiacie — potem nosy odwracacie.

— Nie, jej Bohu Szura, krasawica z ciebie niebylejaka!

Usiedli naprzeciwko siebie: on od ściany. Stach od izby.

— Tyś może już żonaty? — zapytał słodząc.

— Póki co, chłopiec jeszcze — odrzekł.

— Więc pewnie trzymasz dla siebie młodą kucharkę?

— Widziałaś ją przecie, — ta, która przynosiła do celi obiad.

— Fe! stara, zmurszała...

— Do gotowania i sprzątanja dobra.

— To już uszczęśliwisz, z jaką się ożenisz w przyszłości. Takiego ładnego chłopaczka i takiego naczelnika dostać, oho! Tyś starszy nad cały tutejszy okręg?

— W swoim zakresie, tak. Chociaż mogę pochwalić się, iż wszyscy

mnie słuchają. Nawet czekał z prezesem swoim. Widziałś w kancelarii? ...

— A, to czekał? Uważaj Misza, aby nas nie podsłuchiowano, byś nie miał potem przykrości ...

Wszyscy w służbie: w kancelarii pozostaje tylko dwóch armijców.

— Umyślnie, przezorny łobuzie, powysyłałś, aby nam ostać samym! — zaśmiał się, szczerze ucieszony taką wiadomością. — Żeby tylko coś odpowiedniego upatrzeć — pomyślał — już ja ciebie ułożę! — Powiódł oczyma w koło po izbie, niby badając urządzenie — ale nic oprócz wiszącego na ścianie karabinu i szabli nie widział.

— No, cóż tak rozglądasz się? Dziwisz się zapewne, że zwykła mużycka chata? — Ja przecież nie burżujski naczelnik.

— Szura, a czemu ty postny chleb gryziesz? Czemu nie nakładasz miodu?

— Pszczelnego miodu nigdy nie jadam. Pszczółki lubię — miód nie.

— Więc może masło wolisz? Wiesz co? — Przed tobą tam szuflada w stole, więc chcesz, pociągnij ją i znajdziesz w niej masło.

Stach uczynił jak mu radził — i obok spodka z masłem ujrzał długi kowalski ze śpiczastym końcem nóż. Aż zatrząśł się z zadowolenia. Wyjął spodek, a szufladę szybko zasunął.

— Tak, tak — którąś uszcześliwisz — wracał do gloryfikowania Miszki, wpatrując się weń uporczywie. — Wiesz, jesteś jak kropla wody podobny do mojego Pietki: taki sam rost, czupryna, oczki, chrapka kierpata i taki gierojski.

— Twój Pietka?! A co się z nim stało?

— Oszukał mnie młodą i uciekł gdzieś.

— I ty wyszłaś za tego niedołęgę?

— A cóż miałam robić? A któżby mnie inny zniesławioną i z bachorem wziął?

— Niewielka to niesława. Czyż mało takich zdarzeń na świecie. Sowieckie prawo traktuje zakonnych i bachorów.

— Tak, lecz wtedy sowieckiego prawa jeszcze wcale nie było. Po drugie plama bachorstwa ciąży na naszej rodzinie jeszcze od carycy Katarzyny. Ty uwierzysz? — Ojciec mój też gdzieś siano psom kosi, a mama mi opowiada, że też i ojciec jej niezakonnie na świat przyszedł i za to podobno, gdy nadawano prostym ludziom nazwiska, prababkę moją zapisano Szkurą.

— Prawda, iż szczególne jakieś plemię!

Poswatał się do mnie Hryszka, więc poszłam. Myślałam, że chociaż człowiek niemiły, ale życie będę miała dostatnie, wygodne. Mieszkaliśmy tedy na wsi w Wirkach, skąd oboje rodem pochodzimy. Miał on tam własną chatę, trzecią dolę gruntu i kopiejkę miał, bo to akurat w pobliżu założyła się smolarnia, a on do karczowania bardzo zdatny. Tymczasem gdy się ożenił, rozpił, rozhulał i roztrwonil wszystko, że tylko chata goła pozostała. Myślisz, żem co widziała za nim? Myślisz, że mi kiedy chustkę kupił, na kaftan nabrał, trzewiki sprawił, albo rzemionki, albo chociaż wiązówki na czterdzieści uchwów kiedyś wyplół, jak inni biedniejsi mężowie swym żonom? Od czasu, jakeśmy

tylko pożenili, to same proste lipce i lipce nosiłam, ażeby dał Bóg, jak najprędzej jemu oczy na wieczność się zlipli!

— Teraz jednak masz na sobie trzewiczki porządne.

— Bom je sama sobie sprawiła. — Z nastaniem wojny jego zabrali, a ja przeniosłam się do Mohilewa i wzięłam się za spekulantstwo. Po dziś dzień żyjemy moją głową i chwalić Boga, starczy chleba.

— A o swoim Pietiu nic nie słyszałaś?

— Bał się, bym go nie zaskarżyła do sądu i uciek w świat. Jak we wodę się zapadł. Ani ja, ani nawet jego rodzice po dziś dzień nic o nim nie słyszeli.

— No, a cobyś czyniła, gdybyś go tak naraz spotkała?

— Oczy by mu wydarła, wrzątkiem oblała gada.

— No, a gdyby cię pięknie przeprosił, zgodził się przyjąć za żonę, a był to jakiś ważny dygnitarz, któryby ci mógł dać życie dostatnie i honor?

— Gdyby tak, to co innego. E, co o tym mówić i łudzić się na próżno.

— Wiesz co ci powiem? — Ja jestem twój Pietia — oświadczył przybierając poważną minę.

— Tyś mój Pietia?! — wykrzyknął. — Nie, to już breszesz. Myślisz, zem taka naiwna? Ty przecież Miszką się nazywasz.

— Noszę ja dużo różnych imion, ale prawdziwe, które mi nadano przy chrzcie — Piotr. Powtarzam ci: jam tej twój Pietia z Wirek, który cię uwiódł i zostawiwszy z bachorem na poniewierkę w świat uciekł. Odrazem poznał, gdy cię tylko wprowadzono do kancelarii, alem chciał wprzód dokładnie wy badać. Wybacz mi Szura!

— I tyś moim Pietką naprawdę?!... Tyś... tamten?! — wołał powstając i pilnie weń wpatrując się. — Tak... to tyś... Poznaję... Okrutnik! — zaczął zdławionym głosem i osunął się znowu na zydel. Odepchnął filizankę wsparł się okciami o stół i ukrywszy głowę między ramiona, załkał.

Miszka przesiadł się na zydel ku lewemu bokowi "Szurki" i jął przed nią się korzyć i pocieszać ją, uśmiechając się przy tym szelmosko:

— Tak Szura: jam ci krzywdę wielką uczynił. Przyznaję się do tego z wyrzutem sumienia. Jam podlec ostatni i szubrawiec. Wybacz mi!

— A tyż zaklinał się, przysięgał, że nie porzucisz, — że ożenisz! Tyś ręce na krzyż przede mną składał! Tyś bożył się, krzywoprzysiężco! — zawodził Stach pochylony nad stołem, a w międzyczasie prawą rękę, wsunął pod zwisający brzeg ceraty, uchylił lekko szufladę, zanurzył dłoń i namacał trzon noża. — Wbijaj bez zwłoki zbójowi w brzuch, póki nad tobą pochylony, bo lepszej sposobności nie znajdziesz, bo jeśli tego nie uczynisz, za kwadrans, a najdalej dwa — on cię uśmierci — poganiał go głos logiki.

— Zacisnął palce w koło trzona i chciał już wydobywać rękę — ale mu zadrzała i jakaś siła trzymała ją na miejscu.

— Tak — przysięgałem się — mówił Miszka — ale musisz to wyrozumieć, zem był wówczas młody, swawolny i głupi. Żałuję tego. Teraz bym tego nie uczynił. Wybacz mi!

— A ze mnie ludzie naśmiewali się, wytykali palcem! Jam oczy

swoje wyglądając za tobą wypatrzyła! Jam łyż dzień i noc roniąc wzdychając po tobie, wyschła była na szczerpkę! Jam poniewierała się!

— Bij go prędzej, bo za chwilę już może być za późno! — naglił go ten sam głos. Znowu ujął za trzon — znowu mu zadrżała ręka itrzymało ją coś. — Nie, w ten sposób nie zabiję go — przekonał się wyjmując rękę z szuflady niepostrzeżenie bez noża.

— Daruj mi Szurka! — Postaram się wynagrodzić twe krzywdy! Już więcej nie będziesz się włóczyła ze sobą. Za żonę cię wezmę. Sprawię ci nowe trzewiki, dużo sukien jedwabnych, sprawię ci futro sobole, będziesz miała służankę — będziesz wielką damą. Przestań, nie płacz!

— I ty to prawdę mówisz?! — zawołał podnosząc głowę i obracając się ku niemu.

— Czestnoje słowo!

No, a co z Hryszą, z dziećmi zrobimy?

Weźniesz z nim sowieckim prawem rozwód, a dzieci w przytułek oddamy. —

— Jak to dobrze! Aż mi wierzyć w takie szczęście nie chce się!

Wiesz co? Dawaj pójdziemy do celi i oświadczymy mu o tym zaraz — wpadł na pomysł zwabienia Miszki do celi, by tam go we dwóch udusić. — To wytrzeszczy wół oczy na taką nowość! Niechaj wie, że mnie nie godzien. Ach, Pietia! Żebyś ty wiedział, ile ja od niego i od jego rodziny wycierpiałam?! Ile oni mnie to bachorstwo nawytykali!

— Nie, Szurka, na dziś dosyć już masz tych wstrząsów i wzruszeń. Jutro mu rano o tym powiemy. Już późno.

— Dziś chodźmy Pietka, dziś! — ciągnął go za rękaw. — Dam mu w mordę przy tobie, ot obaczysz! Chodźmy zaraz.

— Nie, dziś za późno na skandal — odmówił stanowczo. — Czas na spoczynek.

Nie było rady. Szukał rozpaczliwie innego sposobu. Pamiętał, że jeżeli w przeciągu kwadransu nie zdobędzie się na jakiś fortel, na śmiały krok — obu ich z Kościkiem czeka śmierć. Ale ta świadomość niebezpieczeństwa i konieczność natychmiastowego działania nie pozwalały skupić umysłu, udaremniając wysiłek. Biegły myśli jedna za drugą i w pośpiechu zawadzały się wzajemnie, mieszały się, czyniły zamęt. A w uszach tymczasem wciąż brzmiało: Śpiesz się Stachu, śpiesz, bo zginiecie! Aż czaszka zdawało się trzeszczała od nawału różnych projektów i kombinacji.

Ale w końcu jakoś wyłonił się z chaosu myśli jeden sposób i ukształtował.

— Uspokój się Szura! Jesteś przemęczona. Idź już spać! — zaproponował. —

— Już spać?! A gdzie? dokąd?

— Tam, na moje łóżko.

— No a ty gdzie będziesz?

— Ja? Na ławie się pościelę, — powiedział, wcale nie ukrywając uśmiechu.

— Dobrze pójdę. Trzeba jednak wprzódę ze stołu przybrać.

— Zostaw! Jutro kucharka sprzątnie. Idź już spać! Idź Szurka złota! Naglił go i zachęcał słowami, oczyma, gestem rąk, tupaniem nóg.

— Idę, idę, jeżeli tak gonisz. Pamiętaj jednak, byś spał, jak zapowiedział, osobno na ławie, bo dostaniesz sódackiego koca!

Podszedł do łóżka, odrzucił kołdrę na poręcz, podbił jak dobra gospodyni siennik, poduszkę, następnie przystawił taboret, złożył na nim grzebienie z głowy, korale z szyi, zdjął trzewiki, wierzchnią kraciastą spódnicę, skoczył susem na pościel i owinał się kołdrą szczelnie wkoło.

Miszka pałał żądzą: lica paliły się rumieńcem, chrapy szerokie rozděły się jeszcze szerzej, oczy zaszyły łzami; śledził niecierpliwie każdy Stacha ruch, przestępował z nogi na nogę i tupał jak koń stajenny.

Gdy Stach znalazł się na łóżku przyległ zaraz z kraju przy nim i zarzucił lewą rękę do objęcia.

— A tyż mówiłeś, że będziesz na ławie spał?! — zawołał, odrzucając rękę.

— A ty i naprawdę chciałabyś mię osobno mrozić na ławie?! Troskliwa żona z ciebie będzie, od razu widać.

— Więc po co tedy łzesz?! Złez, ściągnij buty sobie i pogaś światło, bo inaczej nie pozwolę się przytulić.

Złazł i wykonał posłusznie zlecenie. — Ciemność zrobiła się w izbie piekielna.

Stach powstał na nogi, rozpostarł przed sobą kołdrę i przywarł się ku samej ścianie.

— Szurka, lubka moja! — ozwał się głos Miszki na skraju łóżka.

— Szurka, gdzie ty?! — powtórzył się po sekundzie ten sam głos już na środku łóżka.

Stach skoczył z kołdrą na miejsce z którego powstał ostatni głos i znalazł się u Miszki konno na piersiach, przygniatając mu prawą rękę.

— Ach ty bałownica? chcesz mi jednak koca dać?! — wydobył się głos spod kołdry u wezłowia. Nie domyślał się rzeczywistych zamiarów swej "kochanki" i nie próbował, ani spychać ją, ani wydobywać przygnięcionej ręki.

Stach łapczywie wykorzystał tę chwilę jego bierności i natychmiast poprawił go dobrze na łopatki, oraz namacał i podgarnął sobie pod kołdrę i drugą jego rękę.

— No i gierojskajaz z ciebie kobieta, Szura! — chwalił, nie domyślając się jeszcze złego. — Tylkoż nie gnieć tak mocno, bo udusisz i nie będzie ci komu sobolego futra sprawić — dodał.

Stach podwijał mu pod boki kołdrę i oszczepiał kolanami wciąż mocniej i wygodniej.

— Nie gnieć tak mocno, mówię, bo udusisz! — powtórzył już napoty z gniewem. I zaraz strzepnął się z całych sił, chcąc wyswobodzić się — lecz pozostał na miejscu.

— Złaz, blacha ty nieszczęsna, bo mordę zbiję!! — ryknął dziko. — Złaz, bydle wraże!!! — Dalsze już oburzenie na kochankę wyrażał chrapaniem. —

Stach chwycił go oburącz za nagą szyję i zdusił gardło z całej mocy.

Rozpoczęła się rozpaczliwa walka o życie: jeden zaciskał kurczowo dłonie wkoło szyi przeciwnika, dusił, trzymał go z całych sił i mocy, jak pijawka, jak kleszcz, wiedząc, że gdy nie podoła — czeka go samego

niechybna śmierć; — drugi prężył się konwulsywnie, wił, rzucał — też z całych sił i mocy, broniąc się przed śmiercią.

Byli mniej więcej jednakowej mocy, lecz, że nie w jednakich warunkach rozpoczęli walkę — Stach szybko pokonał. Po paru minutach zmagania się, ruchy Miszki zaczęły słabnąć, chrapanie milknąć. Bał się podstępnie i trzymał dalej. Za chwilę zupełnie zamilkł, znieruchomiał.

Jeszcze mu niedowierzał i obróciwszy się nożycami, usiadł frontem w stronę jego nóg, zakasał koidrę, zdjął mu pasek z kutasami i skrepował ręce.

Spieszył się. Przemacał mu wszystkie kieszenie, znalazł w jednej i wyjął klucze, namacał na taborecie i zabrał żarówkę, pudełko zapalek i brauning, które słyszał był, jak Miszka po zagaszeniu światła tam złożył, potem podbiegł ku drzwiom i wyteżył słuch. — Cisza trwała grobowa.

Odemknął, wyszedł, przebiegł na palcach róg sieni i otworzył drzwi do celi. — Wychodź brachu! — zawołał cicho.

Kościk wyskoczył ruchem dziesięcioletniego chłopca. Nie pytał o nic.

Po wesołym głosie i nieobecności straży wiedział — że wychodzi, aby nie wracać już.

Stach zamknął celę, wprowadził Kościka do Miszki pomieszczenia i te drugie drzwi również za sobą zamknął.

— Wiesz, udusiłem go na łóżku — oznajmił. — Możemy uciekać.

— Więc czegoż stoimy?! Uciekajmy!!

— Może da się odchuchać? ... Zaczynam gryźć się, iż w tak ohydny sposób go zamordowałem.

— Chyba żartujesz?! Nie jednego on w ohydniejszy jeszcze sposób zamordował.

— Możemy spróbować ratunku. Nie ma obawy: drzwi zamknięte, okna zawieszono płachtami, a w kancelarii znajduje się tylko dwóch dyżurnych armijców, którzy spodziewam się iż śpią, a chociażby i nie spali, to też nie ośmiela się bez zawołania tu przychodzić.

Zapalili lampę i zajrzeli do łóżka. — Miszki już nie było.

— Ani go w tylne ucho nie będziesz mógł pochuchać — syknął Kościk zjadliwie.

— A gdzież go cholera podziąła?! — zawołał Stach. — Nie mógł przecież przez tak krótki czas rozwiązać się i uciec. Musi gdzieś w izbie być. Patrzaj: okna wszystkie całe i broń nietknięta. Szukajmy!

Zaczęli przyświecając żarówką szukać, — i znaleźli go pod łóżkiem. Gryzł zawzięcie więzy na rękach.

— A czegoż ty Pietia tam zalał? — pytał Stach, świecąc żarówką.

— Panowie! nie zabijajcie mnie! — zajęczał po polsku.

— A tyś miał nad ludźmi litość?!

— Nie czas na komplementy! — zakrzyczał Kościk. — Dawaj mi żarówkę, ja go będę sam porządkował, a ty zbieraj się żywo! Ubieraj się w jego buty i płaszcz, a te babskie swe łachy rzucaj do diabła, bo jak chcesz swego kochanka zostawić żywego, one już na nic. I karabin z ładownicą zdejmij; gdyby tak broń Boże czego — będziemy się bronili do ostatniej kuli, do ostatniego tchu!

Najdłużej w dziesięć minut Miszka związany, jak nie może być

lepiej, zakneblowany leżał na podłodze cicho i nieruchomo, a Kościk ze Stachem zgasiwszy lampę odmykali okno do ogrodu.

Wtem ktoś zapukał mocno do drzwi.

— Ot tobie i masz! — jęknął Stach boleśnie. — Któżby to tam, żeby go nagła krew zalała?!

— Niebezpiecznie wyłączyć — zauważył Kościk — może cały dom osaczony?

— Widać, nie sądzono nam wynieść stąd życie, bracie.

Pukanie do drzwi wzmagalo się i za chwilę zamieniło się w gwałtowne dobijanie się pięściami. Zbliżyli się tam obaj.

— Towaryszcz wojennyj komisar! Towaryszcz wojennyj komisar! — dochodził głos z sieni. — Pilne telegramy przyszły!

— Jakie telegramy? — zapytał Stach, upodabniając głos do głosu Miszki.

— Dwie pilne telegramy: jedna ze sztabu dywizji, druga z hubczeka.

Odpowiadają nam, iż zatrzymani przez nas spekulanci obaj mają być mężczyźni i że są poszukiwani przez cały odcinek zachodniego frontu, jako niebezpieczni polscy szpiedzy. Matwiej pobiegł na miasteczko za prezesem czeki, a ja tu do was towarzyszcz wojennyj komisar! Izwinitie!

Trzeba go tu zwabić i obłóżyć — szepnął Kościk. — Idź ty Stachu tam za parawan i gdy posłyszysz, że ja otworzę drzwi, zawołasz stamtąd, by szedł ku tobie.

Gdy Stach odszedł, Kościk odemknął drzwi i przykucnął z boku.

— Chodzi towarzyszcz siuda, — ozwał się głos przy parawanie ludzaco podobny do głosu Miszki.

Armijec przestąpił próg i od uderzenia żelazną pięścią Kościka zarył nosem w posadzkę. Kościk, dla wszelkiej pewności, uniósł ofiarę wysoko w górę i grzmotnął nią, jak kłosem o ziemię.

Zamknęli drzwi, aby opóźnić pościg, wyskoczyli przez okno i pomknęli. Wypadło przeciąć szereg zagród, więc musieli przesadzać parkany, ostrokoły, przebiegać ludziom podwórka. Psy podjęły wrzask piekielny. W jednej zagrodzie obudzony tym wrzaskiem troskliwy gospodarz, wyszedł na podwórko i jął krzyczeć.

— Aha tuj! Aha tuj! Łapajcie ich!

— Ażeby w ostatnie lata twego żywota, na ciebie dzieci własne tak tukali zaklął Stach w duchu. — Snu na ciebie nie ma, dziadu sakramencki!

Biegli przesadzali wszelkie przeszkody z taką zwinnością, jakby zamiast ludzkich kości, mieli w sobie stalowe sprężyny.

Wydstawszy się na zagumienny zaułek ku polu, zatrzymali się sami nie wiedząc co czynić: biec w pole, czy zakopać się komu w stodole w słomę na dobę jakąś. Noc była pogodna przejrzysta, więc gdyby wcześniej rozpoczęli pościg, mogli ich w polu łatwo dojrzeć i w grzaskim śniegu na koniach dognać; ale pozostawanie w Hrebli, jeszcze więcej było niebezpieczne.

Stali bezradnie. Psy pobudziły się na całym miasteczku i darły, jak na nieszczęście.

— Wiesz, w tamtej stronie jakby sanie skrzypią — rzekł Kościk wsłuchawszy się na moment w psi hałas.

— Tak, skrzypią, — potwierdził Stach, pochylając we wskazaną stronę ucho.

Wyteżyli obaj wzrok — wzdłuż rzędu wystających z płotu kołów migiała się "ducha".

— Ktoś jedzie! Dalibóg, zaułkiem ku nam ktoś jedzie! — zawołali radośnie.

Obrócili się i poszli utartą jezdnią. Stach niesiony karabin ukrył pod płaszcz. —

— Hej, tam rebiata! Na bok! — zagrzmiało męsko ze sań.

Rozstąpili się na obie strony jezdni, a gdy sanie znalazły się przy nich, wskoczyli w nie. — Podwieź nas dziadźko! — powiedzieli jednym głosem do brodatego chłopca, jedyne w saniach pasażera.

— Wprzód siadacie, a potem pozwolenia prosicie! — zaprotestował chłopiec nie bacząc, iż jeden z natretów był w wojskowej odzieży.

— Któż was tak wyuczył?! Nie mogę podwieźć, złażcie! Nie widzicie, że aż moja koniaka przystaje? — dodał chytrze manewrując lejcami. Ujrawszy jednak, iż Stach wydobywa z płaszcza karabin i zaczyna sprawdzać jego zawartość — oniemiał.

— Koniaka twoja przystaje, bo nie umiesz powozić! — zakrzyczał Kościk. Ujął w swe ręce lejce i puchę targnął, pociągnął pod brzuch i ruszyli, że aż zakurzyło się za nimi.

— — — — —  
Za pół godziny byli na brzegu sosnowego lasu. Kościk zatrzymał spienionego konia, oddał lejce gospodarzowi i położywszy mu dłoń na ramieniu rzekł: — Wracaj człowiecze do Hrebli i...

— I nikomu nic nie mówić? — przerwał chłopiec, rad, że go żywego puszczają.

— Właśnie, że mówić. Dla twojego własnego dobra. Wracaj do Hrebli, zachodź do gminy, albo do urzędu wojennego komisarza i opowiedz wszystko sam jak było: że myśmy ciebie w zaułku zatrzymali, sterroryzowali i twoimi saniami przyjechali, aż tu do lasu. Nas ścigają sowieckie władze, więc gdy dowiodą śledztwem tego, żeś nas tu przywiózł, oskarżą cię o współdziałanie z nami. Rozumiesz?!

— Rozumiem! — odrzekł nawracając konia.

Kościk ze Stachem rzucili się sobie w objęcia z radosnym wołaniem:

— Żyjemy brachu!! — Żyjemy druhu serdecznie! — Doczekamy wiosny!

— Doczekamy, druhu, i ujrzą jeszcze swoją Bylinkę!...

## XXIII

### W SWOJE STRONY

Po Trzech Królach, w parę dni po perypetiach naszych wywiadów w Hrebli, rozpoczęła się niepogoda i trwała więcej jak tydzień. Od śnieżycy się zaczęło, która buszowała bez mała dwa dni i dwie noce. Po brzegach lasów, w zagajnikach, dolinach, i przy opłotkach, nawaliło śniegu, aż po serce rosnącym ludziom. Po wsiach pozasłaniało babylom

w ich małych chatkach ckną. Po śnieżycy uderzyła gwałtowna odwilż. Wiały ciepłe południowo-zachodnie wiatry, płynęły ciemne deszczowe chmury, siekł drobny deszcz. Śnieg topniał, zsuwał się z drzew, zląził ze strzech, osiadał po polu i lasach. Doliny i rzeki posiniały wodą. Uczyniło się bezdroże — ani rusz z chaty. Najstarsze po drogach jezdnie przewalały się pod kopytem do dna. Przewalały się też niektóre brody. Obawiano się, iż puszczą rzeki.

Ale nie puściły — zmieniło się, chwalić Boga, jeszcze wczas.

Szóstego dnia zawróciły suche i zimne wiatry z północy, rozegnały chmury — i taki, jak po śnieżycy odwilż — po niej mróz gwałtownie silny ścisnął. Wody i mokre, rozwodzone śniegi steżały, zamarzyły — pokryły świat mocnym granitowym mostem. Mogłeś iść i jechać lekkim koniem, gdzie ci tylko się podobało, — gdzie oczy patrzyły, nie patrząc wcale na drogę.

Kościk i Stach czas niepogody spędzili na swej kwaterze, spijając po dwanaście godzin na dobę wylegując się w pościeli, aż do bólu boków, przypominając sobie i gwarząc o ważniejszych wydarzeniach ze swych podróży wywiadowczych oraz omawiali wyprawę do Smolarni, dokąd mieli wyruszyć zaraz po ustatkowaniu się drogi. Kościk tak się przejął myślą rychłego ujrzenia swych stron, a przede wszystkim swej hołubki, że już w ostatniej dobie słoty, nie mógł ani jeść, ani spać, ani miejsca sobie znaleźć; wychodził co kwadrans na dwór, wypatrywał na niebo, kłął, pomstował.

Kiedy wreszcie rozpogodziło się, rozpruli swój siennik, wydobyli stamtąd monety srebrne i papierki carskie — sam “knak” — uciutane ze spekulacji soli i poszli na miasto czynić zakupy. Kościk kupił dla Karusi chromowe zagotówki na trzewiki, cztery arszyny granatowego sukna na spódnicę, trzy arszyny białego jedwabiu na bluzkę, dwie piękne chustki w tureckie kwiaty na głowę, jedną dużą, sukienną chustkę z frędzlami, pięć sznurów ślicznych koralów, tuzin grzebieni ozdobnych i kilka kawałków pachnącego mydła, oraz szereg drobiazgów dla własnej rodziny. Stach również dla swej rodziny moc podarunków zakupił. Oprócz tego, do podziału między krewnych i przyjaznych im smolarskich gospodarzy oraz ich dzieci włącznie z Wasilewskimi, zakupili wspólnie: dwa pudy miątkiej soli, głowę cukru, dwa funty mocnego delikatnego tytoniu, tuzin fajek, sto bloczków bibulki, sto orzełków blaszanych i sto pocztówek z podobizną Naczelnika Państwa, królów polskich, wodzów i historycznych budynków. Towary wybierali wyłącznie krajowe i pierwszej jakości by przedstawić swym krewnym i ziomkom Polskę w jak najlepszym świetle, wzbudzić ku Niej większy respekt, spotęgować wiarę w Nią i połączyć chociaż przez używanie i oglądanie polskich rzeczy.

Następnego dnia wyszli za miasto i stwierdziwszy doskonałość drogi, udali się do swego szefa, wzięli pięciodniowy urlop, wstąpili do fryzjerni, postrzygli się po ludzku, a Kościk zdjął też sobie i brodę, potem zaszli do miejskiej łaźni, wzięli kąpiel i wieczorem spakowali się. Do spoczynku legli wcześniej niż zwykle, z zamiarem wyruszenia doświtkiem. Budzik nastawili na 2 po północy.

Wstali punktualnie, włożyli niedzielne ubranie, wzięli się w buty,

wdzieli krótkie kozuszki, nowe, czarne, barankowe czapki, za pas wzięli kopatki, zarzucili ładunki na plecy i wyszli.

Na dziedzińcu spotkał ich posłaniec.

— Alem złapał! — zawołał radośnie. — Szef woła. W służbę macie iść.

— Jak to w służbę?! zdziwili się. — Przecież mamy urlop.

— Nic. Pilna sprawa. Rozkaz stawić się i kwita.

— Zaklęli w duchu, ale wrócili do mieszkania, zdjęli ładunki i poszli.

Szef aż się zastanowił nad ich zupełnie odmiennym wyglądem, a zwłaszcza Kościka, którego bez zarostu, ani poznać było.

— Gdybym was spotkał na ulicy wśród ludzi, dalibóg bym nie poznał — zawołał po zameldowaniu się chłopców. — Zupełnie inny wygląd.

Słuchajcie chłopaki! — Wstrzymuję wam urlop na dwa dni. Telefonują z Kisielewicz z eskadry lotniczej, iż do Kuncewicz płynie ze wschodu nieskończenie długi obóz z wojskiem. Skoczcie i dowiedźcie się, co tam faktycznie jest. Potem pójdziecie sobie gdzie chcieliście.

— Rozkaz, panie szefie! — Odmeldowali się i odeszli.

Nie mogli pogodzić się z odroczeniem przygotowanej wyprawy do Smolarni; wrócili tedy na kwatere i nie przedziewając się wcale, zabrali swe ładunki i poszli tak, jak zebrali się byli, z tą myślą — że jeśli załatwią szybko z wywiadem, a nie będzie to nic poważnego, wtedy prosto z Kuncewicz pójdą w swe strony, bowiem to prawie po drodze im było. Droga była doskonała, więc o ósmej rano znaleźli się już w znajomym chutorze Prynta, oddalonym od Kuncewicz tylko o trzy krótkie wiorsty, właściciel którego, lubo rodowity Litwin, polskiej sprawie sprzyjał i niejedną już im przysługę wyświadczył.

O rzekomym przybyciu do Kuncewicz nocą olbrzymiego obozu z wojskiem, w Prynta nikt nie słyszał. Na prośbę o radę i pomoc w przedostaniu się tam chociaż przynajmniej jednemu z nich, Litwin pamiętając, że Stachowi dobrze uchodzi w niewieściej odzieży, ubrał go w nią znowu, ułożył na dobrze upakowane grochowinami rozwały, owinał szczelnie kołdrami, założył konia i niby to swą żonę chorą na zaraźliwy tyfus, powiózł do Kuncewicz do spokrewnionego z nim prywatnego felczera. Kościk z ładunkiem pozostał w Prynta.

O południu wrócili stwierdziwszy, iż nocą rzeczywiście przybył duży sanny obóz, przywoząc dużo pieszych bolszewików, jednak musiała to być jakaś zwykła frontowa zmiana, jakaś mało znacząca przeformacja, gdyż tym samym obozem wracającym rano na wschód, dużo czubów też odjechało, a w Kuncewiczach powiększenia się liczebności bolszewików, ani nowej jakiejś broni nie dawało się zauważyć.

Ani się spodziewali nawet tak szybko i łatwo wywiad przeprowadzić.

Odeszli natychmiast w kierunku Smolarni, nie zatrzymując się nawet na przygotowane przez gościnną Litwinę kołduny.

Pogoda z rana pochmurna i mglista, po południu rozjaśniała się i w bladym kole na niebie ukazało się słońko. Mróz też złagodniał.

Minęli pole Prynty, potem długi wygon, należący do sąsiedniej wsi i weszli w zakuncewickie lasy, które przez szeroką, kilkunastowiorstową połąć lasu rządowego, łączyły się ze smolarską puszczą.

Przecudnie bór wyglądał owego popołudnia — jak królestwo nie-

bieskie. Drzewa pokrywała obfita okiść. Każda gałązka, każdy wystający ze śniegu badylek, każdy patyczek — owinięte były w biały puszek i koroneczki, zatrzymywały na sobie wzrok człowieka i głaskały go swym pięknem po sercu. Drzewa stare, krzywe, garbate, kaleki ułomne, kiedy indziej brzydkie — teraz miały swoiste piękno i zachwycały. Młode odosobnione jodły, kudłate brzozy, lipy, kepy olchowych pędów przy pniach, wyglądały, jakby te młode panny na ślubnym kobiercu z rozpuszczonym welonem. Gdzie tylko spojrzysz — biel, kryształ, ozdoba — piękno w coraz to innym obrazie, figurze, w innym kroju. Wprost wierzyć się nie chciało, iż w pospolitym ich prostym nadberezynskim kraju, Bóg ukazuje na jawie tak cudne widoki, jakie tylko w baśni i we śnie istnieją.

Cisza — ogromna. Wiatru, ani na zamięcenie dymu. A nigdzie echa siekiery, ani żadnego odgłosu ludzkiej w lesie roboty. Tylko wronie krakanie gdzieś z daleka z drogi dochodziło i kucie dziecięcia oraz przeciągłe kwilenie zółny.

Napotkawszy miejsce, gdzie jesienią przebierając się pierwszy raz hurtem do Bobrujska nocowali byli, zatrzymali się na popas. Rozpalili ogień, nabrali w płynącym w pobliżu ruczaju wody, zagotowali herbaty i zapijając nią sitny chleb ze szmalcem, krzepili się, odpoczywali i grzali.

— Mój Boże! — mówił Stach. — Niecałe pół roku jeszcze jakżeśmy z domu, a zdaje się, że przeszło dwa lata.

— Ja byłem nieobecny i dwa lata — odrzekł Kościk.

— Ja też w zaprzeszłej zimie dłużej niż teraz swego domu byłem nie widział, jednak wtedy, anim tak stęsknił, ani tyle przygód co teraz zażył. Tyle nowości teraz się uzbierało, że na cały dzień opowiadania starczy.

— Oprócz wydarzeń z naszej służby, o których przechwalać się jeszcze nie wypada, żadnych nowości do opowiadania nie będziemy mieli. To, że tam Józik w mordę dostał, że żyje ze Zošką na krede, że Norba z Polką wzięli ślub, że trzech naszych zginęło i że Piotrowski jeździł do Warszawy, wiedzą w Smolarni już; jedno oznajmił Norba, drugie Walka. A więcej, co za nowości masz?

— I to prawda. Ale dziwo, czemu on tak długo nie wraca?

— Kto, Walka?

— Tak. Toż zdaje się niebawem już dwa tygodnie będzie jak poszedł. A już coś około tego.

— Może ojcowie nie chcą puścić z nim swej Kaśki w taki sposób?

— Czemuż by nie chcieli. Zawsze i wszyscy mu byli radzi. Póki zbiorą się... A co tak bardzo mają śpieszyć się? ... My też parę dni pobawimy.

— Nie, brachu, jutro wcześniej czy później, trzeba wrócić i zawiadomić szefa o tym, po co nas wysłał. Potem wrócimy i spokojnie sobie będziemy urlopować. A cóż to nam długo, albo ciężko po takim moście przelecieć w jedną i drugą stronę?

— Po tym moście to nie będziesz brachu długo chodził — rzekł rozglądając się po niebie. — Wróży na śnieżyce.

— Po tej obręczy na słońcu poznajesz?

— Po obręczy, po pisku zółny i po wszystkim... Dopijamy i chodźmy. —

— Wcześniej jeszcze, zdążymy. Odpocznijmy, kawał.

Jednak nie bawili długo: dopili herbatę, przepasali się, spakowali i poszli.

W pół godziny niebo zaczęło zaciągać się szarą chmurą i jął podmuchiwać z północy wiatr. Drzewa zaszumiwały, zapyliły śnieżną kurzawą. Lecz niebawem i z nieba poczęło przysycać śniegiem.

— A nie mówiłem ci, że będzie śnieg! — rzekł Kościk tonem przechwałki.

— Tak, znachor z ciebie prawdziwy — pochwalili.

Biegli coraz szybszym truchtem, gnani pragnieniem jak najrychlejszego ujrzania swych krewnych. Duszą już byli przy nich: witali się, opowiadali, słuchali, cieszyli.

O zmierzchu weszli w smolarską puszcę. Na widok znajomych drzew, trel, pagórków, dolin, łągów, serca chłopcom zaczęły bić radosnym przyspieszonym tempem, w oczach lzy stanęły, w piersiach tchu brakło. Wszystko zdało się uśmiechać do nich radośnie i witać mile. Drzewa jakby mówiły swym szumem do nich: — Gdzieście byli chłopcy przez te półrocze? U nas tyle ranków przeminęło pięknych, tyle dni słotnych, tyle deszczów, burz, śnieżyć! Moc wieści i niespodzianek miłych dla was chowamy! . . .

Śnieżycą już rozhułała się na dobre. Wiatr porywał z północy coraz ostrzejszy, targał drzewami, huczał. W polu musiało być bardzo zimno, jednak chłopcom w zaciszu leśnym i w pośpiesznym biegu, aż pot kroplisty na czoło występował.

O siódmej minut piętnaście, stanęli w leśniczówce. Byliby o pół godziny wcześniej przyszli, ale Stach nowym butem odcisnął sobie mocno piętę, kulał i pod koniec za Kościkiem nie nadązał.

Psy poznawszy Kościka, przywitały ich bez hałasu, więc zjawili się w izbie wcale niespodziewanie. Matka siedziała na stołku w kamyszniku i obserwując wrzące przed płomieniem w piecu garnki, tarła w donicy mak, starszy z pozostałych w domu braci, na drewnianej kłodce przed kominkiem rąbał smol, starsza siostra po drugiej stronie kominka na zydłu przędła, drugi brat siedział przy siostrze i pilnując ognia, czytał elementarz, mniejsze rodzeństwo harcowało na pryczy i odzywało się na piecu, a stary Wasilewski, z dala od światła na ławie koło stołu, szlifował odłamkiem szkła nową drewnianą łyżkę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — pozdrowili przestąpiwszy próg, jak stary Wasilewski od swych dzieci żądał.

— Na wieki wiek . . . — posypała się ze wszystkich stron odpowiedź i wszystkim w połowie się urwała. — Ach! Kościk! . . . Kościk przyszedł! Synku! . . . Bracie! — wołano zrywając się z miejsc.

Pierwsza matka pochwyciła Kościka w ramiona, jako że była w kamyszniku najbliżej progu.

— Kościu! Syneczku drogi! . . . I żyjesz ty jeszcze?! Dziecko moje! — zawodziła stara, całując go po twarzy i płacząc z radości. — Udały ty mój synku, ale i nieszczęśliwy! — My oto w domu zawsze, w chacie ciepłej spokojnie siedzimy, a tobie przychodzi włóczyć się po świecie i skradać przed ludźmi, jak haresztantu, albo koniokrada jakiemu! . . .

Siostry i liczni bracia co do jednego również rzucali swe zajęcia i biegli co tchu przywitać i uściskać.

— Kościk, białka nas lodny! Gdzie ty był, że ciebie tak długo nie bilo?! Bolszewików bil? ... Białko nas! Osilek ulański! — szczebiotało maleństwo, czepiając się Kościka spodni i butów.

— Cicho, żaby z takimi słowami! Na piec! — skarcił ojciec. — Mieczyk! — zwrócił się do starszego chłopca. — Obacz czy psy na dworze!

— No jakżeż, ty chłopcze, jeszcze cało się trzymasz? — pytał całując Kościka w ciemność, gdy ten pochylił się do jego dłoni. — Jakże hodujesz się? — Na twarzy toś gładki! No, nie stój, zdemujże to co masz na plecach! Ty Stachu też. Zdejmijcie, rozdziewajcie się i siadajcie spokojnie. Przenocujecie spokojnie w chacie. Taką zawieją mało strachu. Zresztą popilnuje się z psami.

— Ja to nocowałem u was nie będę — odmówił Stach. — Pójdę do swoich.

— Gdzie, do Smolarni? — Już ci nie do Uberezia.

— A cóż to życie w takim młodym wieku sprzykrzyło? Bolszewicy u was. —

— Bolszewicy znowu w Smolarni?! — wykrzyknęli obaj.

— Zapchany, nabity nimi cały zaścianek.

Na twarz Kościka wystąpił cień bolesnego rozczarowania. Westchnął ciężko i kiwając wkoło do obecnych głową, jął żalić się i pomstować: — Ot tobie i masz! ... Ot jak! Ot szczęście moje! ...

— Żeby ich dał Bóg picrun wybił! ... Żeby ich cholera wydusiła z całym plemieniem! Żeby ich nagła krew pozalewała! ... Już więcej jak tydzień stoją. Coś na drugi dzień po Walkowym nieszczęściu, jak zajechali, tak i stoją po dziś — mówił Wasilewski.

— Po jakim nieszczęściu?! — podchwycili. — A co się z nim stało?!

— Jak to nie wiecie? Czyż to jeszcze nie przedostało się do Bobrujska? Patrzajcie ... Zginałżeż nieborak. Zamordowali łotry.

Chłopcom ręce i nogi powiędły.

— Zamordowali?! I prawda?! — jęknęli. — Boże! Walka! ... Bratku! ... Jakżeż mu dało wpaść? Mówcież tatko? Mówcie dziadzio!

— Zamęczyli biednego. Opowiem później, teraz klękajcie i pomódlcie się za jego duszę.

Kościk ze Stachem zdjęli żywo swe ładunki, położyli na ławce, poklękali przed obrazami i poczęli odmawiać Anioł Pański. Wasilewski rzucał rodzinie ostro rozkazy:

— Mieczyk! Przybieraj mi tą smol! Wy baby, żywo brać się do patelni! A wy żaby — zwrócił się do maleństwa — na piec!

Wyszedł na podwórko, poszczuł psami w las, poprzewracał ich budy, by nie kryły się przed śnieżycą, potem wlaź na strych i dostał gospodyniom wieprzowiny. Kościk i Stach wciąż klęczeli, ukrywając twarze w dłoniach. Wasilewski zapalił wiszącą nad stołem przy nich lampę, przeszedł się parę razy po izbie, a widząc, że oni trwają na miejscu, rzekł:

— Dosyć, wstawajcie już, chłopcy! Nie podejmiecież go. Daj mu Boże wieczny pokój i Niebo, ale nam, jak to mówi się, żyć trzeba.

Usadowił chłopców za stołem na ławie, sam usiadł na drugiej ławie, zapalił fajkę i podając mosznę z tytoniem synowi, zaczął:

— Przez Jasia łotra parszywego zginał nieborak, wieczny mu pokój.

— Przez Jasia?! Więc to jego nawrócenie to fałsz? ...

— Tak. Fałsz Judaszowy, szatański. Sam sobie, wyrodek parszywy, kozielcami plecy rozgnoił, by ludziom oczy zamydlić i was co do jednego wyniszczyć. Poznał, że obławami nie dadzą rady, tedy na chytrą się wziął. Było by to samo spotkało i Norbe, gdy po swoją dziewczkę przychodził, lecz Bóg go jakoś ostrożnością natchnął. Ten puścił pogłoskę, że będzie bawił tydzień cały, zaraz na drugą noc umknął nieoczekiwanie z Polką. A Walka nieborak wpadł. Trzy gościł sobie w Smolarni spokojnie, rozmawiał ze wszystkimi otwarcie, opowiadał jak tam i co za rzeką. Ja sam z nim nawet, tak oto, jak z wami za stołem siedząc, gawędziłem może godzinę całą. Czwartego dnia zebrał się z powrotem do Bobrujska, zabierając ze sobą Kaśkę i jejnego brata starszego, ale zaczęła się zawieja. Ta ostatnia wielka, co to była przed odwilżą. Więc zatzymali się. Nocą, w samą zamieć, w same bezhołowie — kiedy psy nawet pozasztywawszy się w budynkach spały — podeszła zza gumien banda ludzi 25 i nakryła go.

Tu przerwał i zwrócił się do przysłuchującego się rozmowie chłopca:

— Mieczyk, wyjdź poszczuj psami w las i posłuchaj!

— Zameczyli, zakatowali nieborakę — ciągnął opowiadanie. — Wzięli w Smolarni osiem podwód, sami posiadali na sanie, a Walkę przywiązali do gołobli, jak nie przymierzając konia na orczyk i smagając pułą pognali biegiem.

— Barbarzyńcy!! — Potwory!! — ryknęli zrywając się z ławy.

— Większą połowę drogi do Wończy, tak przy gołobli, rysią razem z koniem gnali, wreszcie począł się bezwładnie wlec, więc go wtedy wzięli na sanie, gdzie niebawem umarł. — Niewiadomo, czy on z pęknięcia serca skonał, czy z przemęczenia — dość jednak tego, że już ze sań żywy nie wstał.

— Káci! . . . Barbarzyńcy! Azjaci! Tatarzy dzicy! Bandyci — Krwio-pijcy! . . . — kłął Stach i bił pięścią w stół.

Kościk wyszedł zza stołu i maszerując w poprzek izby miotał groźby:

— To nie będzie darowane! Pomszczę! Pomścimy takie barbarzyństwo!

— Dobrze dziadzio, skąd wiadomo, że to Jaś sprowadził? — pytał Stach.

— Wiadomo już. — Zaraz po Wszystkich Świętych można było poznać, że w Smolarni jest swój zdrajca donosiciel; zaczęto zabierać rodziców, włóczyć ich po haresztach i straszyć, że jeżeli ich synowie zza Berezyny do Nowego Roku nie wrócą i do bolszewickiego wojska nie wstąpią, tedy całe mienie skonfiskują i za Dniepr z rodziną przepędzą. Brali byli do haresztu Marcina, brali Ambrożego, brali Ściepurę, brali kolejno wszystkich, których dzieci za rzekę przeszły. — Podejrzewano wciąż Bronika Huszcę i Pokłackiego, gdyż oni coraz głośniejsze bolszewickie programki chwalili. Jaś już był wyzdrowiawszy i do Wończy od czasu do czasu biegał; ale z tymi chewry nie trzymał i na bolszewików pozornie pomstował.

— Więc mówże, dziadzio, prędzej, jak mu winę dowiedli! — niecierpliwił się. —

— Dowiedli. Baba dowiodła. Wykryła Hańka.

— Jaka Hańka?!

— Hańka Piotrowskich co wyszedłszy za Wędlińskiego, a która od święta bawi u sióstr w Smolarni. — Dwóch z bandy, co zabierało Walkę, miało na sobie maski, więc ona jakos się podkradła i jednemu z nich zerwała. — Kto tylko wtedy przy tym był — poznał Jasia. Ot jaki łotr szelma!

— Ależ to odwagi trzeba było! — dziwił się Stach. — Patrzajcie wy jej!... Ot tobie i baba! Ot tobie i Hańka!... No i cóż jej za to?

— Wtedy wkleili trzy, cztery apleuchy i nic. Nazajutrz jednak przyjechali i zabrali ją. Wczoraj dopiero wróciła. Opowiadała, iż ciągaliby od jednego koniokrada do drugiego, badali, i bili też, ale chwalić Boga puścili żywą.

— A z Jasiem co się stało, uciekł?

— Jeszcze by uciekał. Sprowadził z gminnego komitetu prezesa i milicjantów, zabrał rodzicom połowę majątku i przeniósł się do Bronika. Teraz czyni wszelakie szelmostwa jawnie i urąga. Ma całą swoją paczkę.

— Po takich zbrodniach śmie w Smolarni mieszkać?!

— A kto mu co robi? — Ważniejszych chłopców nie ma. Piotrowskiego nie ma, a z tego co w domu pozostało, to albo za smarkate, albo za stare, albo ciąglą mitręgą zastraszone, albo wreszcie niedołęzne i raczej schlebia Jasiowi, niż go ma napastować.

— Jeszcze się znajdują tacy, co zdrajcę ukarzą i wykurzą jego całą jaczejkę ze Smolarni! — rzekł Kościk, który słuchając opowiadania ojca, wciąż maszerował w poprzek izby. — Znajdą się tacy co pomszczą!... Nie będzie potwór długo się cieszył!...

— Wasilewski mrugnął na syna, dając znak, by się wstrzymał ze słowami ze względu na obecność dzieci.

— A oddaliż pogrzebać chociaż? Po ludzku pochowano Walkę?

— Oddali. Zawończańscy ludzie wyprosilili i pogrzebali.

— A więc nie u nas! Może nawet nie na polskich?

— Na polskich — w Michaliskach. Do Smolarni nie pozwolono wieść. Nic, dobrze, pięknie pochowano: ludzi było dużo, śpiewali, płakali i dół poświęcili. Kilku też i ze Smolarni zdążyło tam dojść.

Niebawem zabrali się do wieczerzy. Zasłano pięknie stół i ustawiono misy kielbas, skwarek, kiszonej kapusty, ogórków i kartoflanej kaszy zaprawionej makiem. Stary wydostał skądś na rozgrzanie smutku po kieliszku mętnej samogonki. Goście, rodzice i starsze dzieci usiedli za stołem, mniejszym, smarkatym podano osobno na pryczy.

— Może na mnie, chłopcze, będziesz się gniewał — mówił Wasilewski przepiwszy do syna — ale przyznam ci się, zem jedną twoją lisiurę sprzedał Żydowi.

— Diabli ich tam ze skórami! — machnął Kościk ręką. — Po pauzie jednak zapytał: — A reszta cała?

— Cała, czemuż nie ma być cała. Przesuszona, przysypana tabaką i ukryta tam samo gdzieś pozostawił. Gonta też w porządku.

— Dziękuję tatu bardzo. Może przyda się: — A gdyby tak się coś ze mną stało, gdyby nie przyszło wrócić — wtedy uszyjecie lisią szubkę Jadźce, a resztę sprzedajcie, albo użyjecie na co wam się podoba.

Matka poczęła chlipać.

— Kościk! A ja ot, dał bolszewiku, tak dał! — zawołał ni stąd ni zowąd najmłodszy z dopuszczonych do stołu braci.

Prawie wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Co, co mówisz, brachu! Bolszewiku dałeś? — pytał Kościk ucieszony.

— Bałwana w odwilż ze śniegu zaba ulepił, mianował go bolszewikiem i grzmocił od rana do wieczora śnieżkami — objaśniał ojciec. — Pierwsze spodnie jeszcze smarkacz na sobie ma, a już we wojaka się bawi! — Uważaj, zaba — zwrócił się do malca — jak ty mi kiedyś przy cudzych ludziach wspomnisz o tym — rzemienia dam! Do turmy możesz zaprowadzić mnie i siebie.

Jadźka pochyliła się Kościkowi do ucha i szeptnęła:

— Wiesz? — we Święto Karusia do nas przychodziła.

— Tak?! I co mówiła?! — zapytał żywo również szeptem.

— Wypytywała o ciebie i prosiła, gdyby kiedyś przyszedł, ażeby dali jej znać.

Zapragnął czegoś więcej o niej się dowiedzieć, ale wielu zaczęło się w ich stronę gapić, więc pozostawił na potem.

Stach jadł zamyślony, prawie wcale nie biorąc udziału w rozmowie. W połowie wieczery rzekł powstając:

— Tak mi tęskno po Smolarni, że usiedzieć nie mogę. Pójdę i choć z daleka, choć z lasu na budynki popatrzę.

— Teraz... , nocą... , zawieja?! — zdziwił się gospodarz. — Lepiejże w dzień podejdziesz i popatrzysz — odradzał. — Jak zechcesz, to ci jutro nawet ojca twego tu sprowadzę, a nie — matkę.

— Dziś pójdę. — Przeprosił, podziękował, wyszedł zza stołu i jął się wdziwiać.

— Ochotaż ci chłopcze taką zawieją?... — Czyż ty się nie zmęczył takim kawałkiem przebytej drogi?! — odradzał Wasilewski.

— Żadnego zmęczenia nie odczuwam. Żle tylko trochę, żem piętę namozolił. Gdyby tak dziadzio miał i zechciał mi pożyczyć łapcie, bardzo bym mu był wdzięczny.

— Czego dobrego, a łapcie to się znajdują. Tylko nie radziłbym ci.

Przezuł się w łapcie i sukienne duże onuce, wziął swoją siekierkę za pas i wyszedł. Kościk odprowadził go na podwórze.

— Gdzie idziesz, Stachu?

— Pójdę spojrzeć na zaścianek, jak powiedziałem. A przytem obaczę — może się da popatrzeć bolszewickie straże.

— Więc zaczekaj, obaj pójdziemy.

— Nie, ty na razie ostan. Tak ci wszyscy radzi!... Nie odbieraj im tej radości. Pokaż im w międzyczasie, cośmy przynieśli i objaśnij wszystko i dla kogo przeznaczono. Wrócę rychło.

— Dobrze, lecz uważaj byś ostrożnie. Weź też strzelbę.

— Dawaj.

Kawał lasu od Potoki do smolarskiej ziemi znał dobrze, poszedł tedy naprzelaj, trzymając kierunek, aby wyjść prosto za cmentarną zmianę pola w chojnik. Trafił jak zamierzał. Okrążył chojnikiem pole, przeciął drogę, doszedł do pasma zaganiku, czyli wygonu przecinającego na połowę drugą zmianę pola i zawrócił nim w stronę gumien.

W polu zamieć buszowała prawdziwa. Po twardej skorupie starego śniegu płynęły fale kurzawy, zrywały się wiry. Zmiało świeży śnieg z pola na czysto ku drodze, ku płotowi, gromadząc tam hurbę. Na wygonie przy maluczkich drzewkach, przy pniach, przy krzaczkach łoża i bohunu tworzyły się małe hurby o kształcie języków ludzkich i żądał zmił. Wiatr targał gwałtowny i przenikliwy. Zapylało oczy.

Na widok majaczących się w dali budynków, uczuł radość i niepokój zarazem. W miarę zbliżania się ku nim, szedł coraz ostrożniej; — przystawał, wpatrywał się, w otwartych miejscach pochylał. Kiedy było stajanie przed własną stodołą, strzelbę ukrył w krzaku i jął posuwać się na brzuchu. Przy rogu płotu, odgradzającego siedzibę od pola i wygonu, zatrzymał się i długo wpatrywał pod strzechę stodoły. Sądził, iż przy niej jako najdalej wysuniętym budynku, trzymają bolszewicy posterunek. — Ale nic podejrzanego nie zauważył. Przepelz obok płotu w prostym jak wygon kierunku całą siedzibę w poprzek, aż ku między stryja i obejrzał poddasze stodoły z drugiej strony. — Też nic nie zauważył. — Cofnął się tedy na poprzednie miejsce, na róg i zawrócił z biegiem płotu podłużnego w kierunku adryni i reszty budynków. Ułożył sobie w drodze, iż przekradnie się do adryni, która stała o trzy kroki od tego płotu, a była dalszym ciągiem chlewu i stajni i będzie w niej czekał, aż przyjdzie ojciec, albo któryś z braci zarzucać nocną dawkę siana, co zwykle czyniono przed udawaniem się na spoczynek. W wypadku zaś, gdyby przyszedł za późno, już po zarzuceniu koniom owej dawki, wtedy wypuścił z chlewu owce i będzie czekał, aż ktoś z rodziny obudzi się ich beczaniem i bieganiem po dziedzińcu i przyjdzie zaganiać.

Wnet dojrzał w dali naprzeciwko domu mignięcie światełka i ucieszył się, że zdążył jeszcze na czas.

Dopełzszy do węgła adryni, popatrzył uważnie pod jej strzechę, posłuchał, potem wyłamał u spodu koniec spróchniałej żerdzi, czyniąc w płocie otwór, przesunął się przezeń na drugą stronę i po kupie słomy leżącej przy końcowej ścianie i przez otwór w poddaszu wlaź do środka.

Był u mety. Pełzał na czworakach po stercie siana, badał omakiem i węchem, które jest osetne dla krów, a które mroźne dla koni. Zatrzymał się na mroźnym. Zarzucało się je koniom wprost ze sterty przez wierzch ściany, za którą była stajnia, otwór prowadzący za końską drabinę.

Tylko się otrząsał ze śniegu, przepasał, — gdy zaskrzypiały wrota do chlewu i po chwili odezwało się wołanie na konia. Poznał Felka. Po minucie znowu skrzypnęły wrota w chlewie i zatętniały kroki ku adryni. Uchyliły się wierzaje, wsunął cień ludzki i zaraz zaszeleściło wspinanie się po drabinie na stertę.

— Nie przerażaj się! To ja, Stach, brat twój — ozwał się półgłosem, gdy ten już był na stercie, chwytając go za rękę, by z przerażenia nie rzucił się do ucieczki.

Felek stęknął krótko, jak drwał po uderzeniu siekierą.

— Nie bój się, to ja, Stach, — powtórzył. — Idź przymknij wrota, chcę z tobą pomówić.

Felek zsunął się szybko w milczeniu, przymknął wierzaje i wrócił.

— Boże!... Czego ty przyszedł?! U nas pełno bolszewików! — szeptał przeraźliwie.

— Dlatego nie szedłem do chaty, a czekałem na ciebie tutaj.

— Jak ty tu przekradłeś się?! Boże! toż gdyby ciebie ujęli, pasy by z żywego darli! Walkę ujęli i zamordowali. Wiesz? Jaś...

— Nie powtarzaj. Wiem już o wszystkim. Mów krótko o co cię będę pytał. — Zdrowicie wszyscy? Jak tatusiowa noga?

— Jak przedtem: trochę lepiej, trochę gorzej.

— A mama, Antek, Wikcia?

— Wszyscy zdrowi. Wikcia stale dopytuje się o ciebie.

— U Wasilewskich na leśniczówce jest dla was sól i parę drobiazgów. Ale póki u was bolszewicy, nic oprócz soli nie bierzcie do domu. I nie mów też nikomu w rodzinie, iż mnie tu widziałeś. A teraz powiedz mi. — Dużo tego łajdactwa w Smolarni?

— Może sto, może i dwieście będzie. To jest szpital polowy i magazyny.

— Aha! Dobrze. A może wiesz gdzie oni wartę trzymają?

— Wiem. Jeden stoi za świrnem stryja, drugi za chlewem Ściepury, dwa po trzech ludzi przy kołowrocie, i dwa po tamtej stronie w sadach. Wartownia u Oleńskich, kancelaria u Huszców. Po co ci?

— Bardzo dobrze. A Jaś w domu? Może wiesz gdzie on sypia?

— Po co on ci potrzebny? Może coś... Nie ruszajcie wy tej cholery, bo sami zginiecie i nas zgubicie.

— Tak ot sobie, chcę wiedzieć, więc pytam.

— Ja o nim nic nie wiem. Do jego jacejki nie należę i wcale tam nie chodzę.

— Jak nie wiesz, więc trudno. Teraz jeszcze poproszę o jedną rzecz i to bardzo sekretną. — Pójdź do Sokołowskich i pozdrów Karusię cichaczem ode mnie i od Kościka i powiedz jej: żeśmy tej nocy przyszli na leśniczówkę i zaraz odchodzimy, ale za trzy dni znowu wracamy w nasze strony na dłużej. Kościk więc prosi ją, by wyznaczyła miejsce, gdzie by mogli się widzieć ze sobą. — Może u jego stryja na chutorze, może u jej ciotki, a może tak gdzieś.

— Dobrze, jutro jej to powiem.

— Teraz chce mieć odpowiedź.

— Późno już — mogą spać. A budzić jak?... U nich przecież też pełna chata bolszewików. Co będę mówił?

— Wymyśl jakiś pozór. Powiesz na przykład, że brzuch naszemu koniowi schwycił i że przyszedłeś pożyczyć buraczanego kwasu, którego u siebie akurat nie macie. Weź butelkę ze sobą. Ja tu będę czekał.

— Dobrze, schodzę. — Ruszył ku drabinie, potem znowu cofnął się.

— Wiesz, że ją przed miesiącem bolszewiki spisali? — zapytał.

— Spisali?! Obili? Nie, tego nie wiem. A za cóż?

— Za brodem drut telefoniczny bolszewicki pocięła i wydano.

— Pocięła telefon?! Ot jak... Biedna! Mocno?

— Czy mocno nie wiem, gdyż mi swej skóry nie pokazywała. Wiem, że ciągali po haresztach i gdy wróciła, żaliła się u Zdanowiczowej, że bili.

Felek odszedł, a Stach pozostawszy na sterście analizował wiadomość o Karusi.

— Obili, powiada. Hm... a czemuż to Wasilewski nam o tym nie wspominał? Czyżby nie wiedział? I... oczywista — chciała zaoszczędzić synowi boleści. Oszaleje gdy się dowie! Jeżeli stary, nim ja wrócę, jemu jeszcze nie wyjawi tego — ja też do czasu zamilczę.

Telefony bolszewickie pocięła... Czy działała z kimś w porozumieniu? Czy była z tego jaka korzyść?... Ot wzięły się baby! — Patrzajcie — jej też zechciało się czymś przysłużyć... Zuch dziewczyna! Swoją drogą Kościk szczęśliwy, że taki aniołek, taka orliczka go miłuje. Czy znajdzie w swym życiu taką?... Ją! przebierać myślą wszystkie znane mu dziewczęta dorosłe i podlotki — lecz w żadnej ani połowy tych zalet, które zdołał Karusię nie znajdował. Wydawała mu się teraz szczytem doskonałości niewieściej — niezrównaną, niedościgłą. Przypomnił sobie mimowoli namiętne zwierzenia Kościka miłosne i uznał je za rzeczowe, naturalne. Zawsze uśmiechał się sceptycznie na jego gotowość służenia jej niewolniczo całe życie, na gotowość do wszelkich za nią ofiar — teraz sam czuł się zdolnym do rzucenia się na jej rozkaz w płomień, do przyjęcia za nią krwawego biczowania, mąk wszelakich.

— Gdyby tak Kościkowi coś się przydarzyło — wtedy bym ja o nią się starał. — Pomyślał tak i zawstydził się nieżyczliwości owej. — Takiz ze mnie przyjaciel. Nie, niech żyją. Niech żyją szczęśliwie.

Ze stajni dochodziło zawzięte końskie chrapanie. Burza na dworze się wściekała. Wicher za węglami kwilił jak ogier, wył jak wiedźma, skomlał jak szczeniak, burczał jak pies nad kością, szurgał po goncie, stukał po ścianie — straszył. Przez otwór w poddaszu, którym wszedł, dymiło jednym tchem, jak z miecha kowalskiego. Spod ściany z pomiędzy krokwi również wyrwały się ostre, śnieżne strugi i sięgały mu aż na twarz.

Felek wrócił i oznajmił, że Karusia mówiła, aby się natychmiast z jak największą ostrożnością wycofał na wygon, gdzie ona przyjdzie do niego sama.

— Ona sama do mnie na wygon?! — zdziwił się i uradował ogromnie.

— Tak, powiedziała, w tą gęstszą kepe chojniku, co po tamtej stronie wygonu, naprzeciwko naszej siedzibnej miedzy.

Dał pośpiesznie bratu pare zleceń, uściskał go i wycofał się tą samą drogą ostrożnie z adryni. Pełził jak przedtem na brzuchu, pamiętając, iż jeden posterunek stał za świrnem stryja, drugi przy kołowrocie, które mimo nocy i burzy mogły by go, gdyby powstał, zauważyć.

Gdy przedostał się we wskazane przez Karusię miejsce, już ją tam znalazł. Była w dużych, męskich butach, w długim żółtym kożuchu i szarej wiązanej chustce na głowie.

— A widzisz, jam zwawsza od ciebie — powiedziała — jam pierwsza przyszła. Jak się miewasz, Staszku? — wyciągnęła doń rękę.

Ujął ją skwapliwie i pochyliwszy, wpił się ustami w dłoń długo i żarliwie.

Z razu nie broniła, lecz gdy trzymał pozaobyczajowo, wyrwała odruchowo i rzekła łagodnie:

— Całujesz, jakbym ci była ciotką krewną.

— Po Kościku mam prawo za krewnego się liczyć; — bliższy on mnie od brata rodzonego.

— A gdzie on teraz jest?

— W Potoce, u rodziców. — Ech! gdyby on wiedział, że panią tu będzie mógł spotkać!... łańcuchami by go nikt w leśniczówce nie zatrzymał! Wyszedłem popatrzeć się tylko na budynki z daleka. Wcale nie myślałem nawet, iż potrafię przekraść się w adrynię i widzieć z bratem.

— Chodźmy tam do niego.

— Do niego?!... Teraz?!... Ze mną?!...

— I cóż w tym dziwnego, że z tobą... Sam powiedziałeś, żeś mi krewnym.

— Nie oto... Żeby pani przykrości tym sobie nie narobiła. W domu zaniepokoją się długą nieobecnością pani i rozpoczną poszukiwać.

— Pomyślałam o tym. Powiedziałam rodzicom, że wychodzę do Zdanowiczowej, by pójść z nią przejrzeć sidła wiunie, które zastawiamy z ich Henkiem na wspólną w Szerokim łągu. Wzięłam i torbę. — Nie bój się — pomyślałam o tym. Chodźmy!

— Mądrze pani postąpiła. — Dobrze, niechaj pani idzie powoli wygonem tak prosto, a ja zejdę trochę w bok i wezmę ukrytą tam strzelbę.

W parę minut szli już razem obok siebie. Burza wrzała coraz gwałtowniejsza. Wiry śnieżne i fale płynęły już jednym niekończącym się korowodem. Czasami toczyły się całe ściany, całe chmury i kurzawą burzliwą świat zaćmiewały. Wicher gwizdał po wygonie prętami chróstu, gonił po polu, wył, wściekał się. Las za łąką huczał tysiącem dzikich, strachliwych głosów. Zdało się nadchodzi stamtąd jakaś horda tatarska, jakaś siła potworna i niesie światu zagładę. W otwartych, niezalesionych przesmykach wygonu, zasypywało na gładko oczy, hamowało oddech, zwałowało z nóg.

— Ciężko pani w długim kożuchu; proszę mię pod ramię wziąć — zaproponował pochyliwszy się do jej ucha, gdyż na krok nie słyhać było głosu.

— I owszem, — zawsze meskie ramię — odrzekła ujmując go. — Czemu ty mię tytułujesz panią? Czemu nie nazywasz po imieniu, jak przedtem?

— Czemu? — Bo przedtem była pani tylko śliczną dziewczyną, łąkomą na umizgi chłopców — teraz patriotką, bohaterką, której należy się szacunek i cześć większą. — Słyszałem, że pocięła pani wrogowi druty.

— Tak pocięłam — odrzekła z dumą w głosie. — Było to przed Świętem jeszcze gdy nasze polskie wojska wypadem we Wończy były. Postyszeliśmy turkot kulomiotów, więc ja domyślając się rzeczy, zebrałam podszywańców i mówię: Idźcie za bród na krzyżowe drogi i potnijcie bolszewikom telefony. Bali się żaby. Poszłam tedy sama i pocięłam.

— I przyszło pani za to boleśnie odpokutować?

— Któż to ci opowiedział, Felek?

— Tak. Azjaci!... Śmieli rękę na niewiastę podnosić! Mocno panią obili?

— Co o tym wspominać. Przeszło już, zagoiło się.

— Zapewne Jaś zmija donioś!

— Nie inaczej. Myślałam, że wojska polskie przychodzą już na

zawsze, po drugie nie spodziewano się, iż mamy wśród siebie tak podstępny zdracę, więc przed wielu pochwaliłam się tym. Szatańska chytryść.

— Lucypera przeszedł. Boję się, by on teraz panią, gdy wychodziła nie podpatrzył i potem nie przyczepił się i nie ukąsił. Nie zauważyła pani, świeciło się jeszcze u nich światło?

— Śmiały bądź, wiem, że jeszcze nie wrócił z Wończy z młyna.

— Z młyna?! Wyjechał do młyna?! — wykrzyknął. — Sam?

— Nie, z Bronikiem Huszczą. Nigdy z nim prawie się nie rozłącza. Odkąd go zdemaskowano, taką chęwą z nim trzyma, że jak to mówią: woda nie rozmyje i świnia nie rozryje. — A o zamordowaniu Walki już wiecie? — spytała.

— Wiemy. Męczennik z Żywotów Wszystkich Świętych.

— To prawda. Wiesz, że patrzeć nie można było na jego boleść i na rozpacz jego krewnych. Matka z Kaśką mdlały. Ilekroć przypomnę ową scenę, łzy same z oczu płyną — powiedziała szlochając.

Stach uwolnił swe ramię z jej ręki, ujął za plecy i pochyliwszy się czule ku twarzy, jął ją pocieszać.

— I po co to? Po co ten płacz! Niech pani nie płacze na wietrze, bo to bardzo zdrowiu szkodzi. Proszę panią nie płakać. Ja wiem, że szkoda. Ja sam go jak rodzzonego brata żałuję, ależ cóż zrobić. Trzeba też pamiętać, że nie pierwszy on taką śmiercią zginął i zapewne nie ostatni. Nas z Kościkiem łatwo to samo spotkać może.

— Boże! Gdyby tak coś Kościkowi, ja bym nie wytrzymała.

— A jednak wszystko może się zdarzyć. Pani wie, że służymy w wywiadzie?

— Tak. Opowiadał Norba, gdy zabierał Polke i Walka śp. też.

— Nie zamierzam panią straszyć, ale ścieżka, po której chodzimy jest bardzo śliska. Niedawno pośliznęliśmy się bardzo mocno i śmierć nad naszymi głowami wisiała była na włosku. — Napadła nas w Wiłach nocą podczas snu, gromada uzbrojonych chłopów, związała i odstawiła do dyspozycji okrutnego komisarza w Hreblu.

— Boże! Już byliście w bolszewickich rękach?!

— Nie było żadnej nadziei na łaskę, ani na ucieczkę, więc gotowaliśmy się już na śmierć: czyniliśmy rachunek sumienia, zegnaliśmy się myślą z najdroższymi osobami, ze światem.

— Ach!... Dreszcz mię całą przejmuje.

Weszli w chojnik i uczuli się w jego gestwinie, jak w budynku: wiatr huczał, tarmosił wściekle wierzchami młodych drzew, ale wewnątrz przebił się słabo, chodu nie hamował i mogli słyszeć swe głosy idąc z osobna. Stach jednak trzymał wciąż Karusię za plecy i mówił czule pochylony do jej twarzy. Karusia pochłonięta widocznie jego opowiadaniem temu się nie broniła.

— Może Kościuk wspominał był o mnie? — spytała po pauzie.

— Tylko panią na ustach miał.

— Tak?!... Nie nazywają mnie panią! — A nie odzywał się o mnie źle? Może czuł jakąś urazę?

— Jeszcze by tam... Chwalił cię i wysławiał tylko. Mówił, że pani piękniejsza od wszystkich dziewcząt, jakie widział w życiu, że cnotliwa

jak sam anioł, że rozumna, dobrodziejka, bohaterska i miłsza mu nad cały świat! — powtarzał słowa Kościka, a tymczasem tulił ją coraz mocniej ku sobie i pochylał się bliżej jej twarzy, jakby chciał też powtórzyć i uczucie jego, jakie żywił.

— A idźże!... Wymyślasz...

— Dalibóg prawda! Prosił Boga, ażeby pozwolił choć raz jeszcze w życiu panią ujrzeć. Mówił, ażeby tak jakimś cudem ocalał i panią pojął — zbudowałyby jej domek książęcy, odział ją w jedwab, drogie futra, służył do śmierci i na rękach nosił...

Przy ostatnich słowach przywarł się twarzą do jej lica. Karusia zręcznym obrotem uwolniła się z jego objęcia i rzekła surowo:

— Idź osobno! Zanadto się tulisz!

Splonął wstydem, jakby go spoliczkowała. Szedł przodem na przyzwoity dystans w milczeniu, aż minęli chojnik. W puszczy zrównał się i idąc obok, jął opowiadać o opałach w Hrebli i ucieczce z rąk Miszki.

Gdy zaświeciła się przed nimi Potoka, Karusia zatrzymała się, prosząc Stacha by wwołał z leśniczówki Kościka do niej w las.

— A to czemu? Wstydzi się pani jego rodziny? — pytał Stach.

— Nie oto, że wstydzę się... Tak sobie... Nie wypada...

— Rozumiem... Dzieci... A las osłoni i nie powtórzy... Ma pani rację. Dobrze, wywołam jak chce, ale chodźmy bliżej pola, bo tu sama będzie się pani bała.

— Nie będę się bała, daj mi tylko siekiere. Tam przy polu mogą mnie zauważyć!

— To weź pani lepiej strzelbę.

— Nie umiem przecież strzelać. Dawaj siekiere.

— Tylko nie mów im o mnie! — rzuciła za nim.

Wyszedł ku samemu polu i gwiznął w złożenie obydwóch pięści czterokrotnie, w umówiony sposób. — Psy natychmiast wszczęły alarm. Po chwili powtórzył się taki sam sygnał i zaraz ujrzał Kościka.

— Co się stało? — pytał zbliżywszy się.

— Szcześnie okolica!... Jaś w młynie się znajduje.

— W młynie?! A to skąd dowiedziałeś się?

— Przebrałem się w adrynię i rozmawiałem z Felkiem.

— Przebrałeś się w adrynię?... Cholera!... Jaka szkoda, zem nie poszedł z tobą! Toż byłbym mógł widzieć się z Karusią.

— Wprzód sprawa publiczna, a potem dopiero miłostki. Idź zbieraj się!

— No to chodźże razem do chaty! Co będziesz tu stał?

— Ze mną zamarudzisz. Idź sam. Powiedz im — by cię nie mitrężyli, że idziemy gdzieś na chutor i nad ranem wrócimy, ale zbierz się tak, byś jeżeli wypadnie, mógł iść prosto do Bobrujska. Siekiere swą też weź. I rychło, bo każda chwila droga!

Kościk odszedł na leśniczówkę, a Stach wrócił w głąb do Karusi. Tupała nóżkami w miejscu zawzięcie z zimna, czy niecierpliwości.

— A co, przyjdzie? — dopytywała się.

— Jeszcze by nie miał przyjść. Pobiegł ubierać się.

W dziesięć minut rozległy się przy polu sygnał. Stach mu odpowiedział.

— Ty stój na drożynie — powiedziała Karusia — a ja schowam się. Stanęła za pień potężnej osiny i przywarła się doń.

— Ależ ty zbierasz się, to jak popowy parobek! — zawołał Stach tonem wymówki, gdy Kościk się przybliżył na odległość głosu. — Która godzina?

— Wcześniej jeszcze: dwadzieścia pięć po jedenastej. Dziwię się jak ty przez ten czas mogłeś się zwinąć. Wiesz — nie mogę przeżalować, zem nie poszedł był z tobą. Jak Boga Kocham byłbym z Karusią się widział.

— Tak, a potem bolszewików saniami woził — zawołała wyskakując zza pnia. — Lepiej, że ja sama do ciebie przyszedłam.

— Kościk osłupiał, oniemiał; nie wierzył uszom i oczom swoim.

— I cóżes, ty krzyw na mnie, zem do ciebie sama przysła? — powiedziała, widząc, iż się nie odzywa.

Pochwycił ją oburącz i przytulił mocno do piersi swej.

— Karusienka!... Dusza moja!... Aniołku serdeczny mój! — przymawiał.

— Ażeby was obojgu... ażeby... nie wiem co!... Na kawał mię wzięliście. Ach! jakim rad!... No i jakżeż ty, hołubka miła!... Chodźmyż do chaty. Nie stójmy, bo zimno.

— Nie, sokole, do chaty nie pójde.

— Nie pójdziesz?! I czemu? Wstydzisz się? Nie bój się — moi wszyscy radzi.

— Jaką tam miłość wśród tylu dusz będziecie mogli poprowadzić — wmieszał się Stach. — I siostry i bracia i każdy gałopepiec bez spodni, będzie wytrzeszczał gały i nadstawiał ucha. Nie będziecie mogli, ani porozmawiać szczerze, ani pocałować po ludzku. Do lasu chodźmy i rozpalimy ogień. Chodźmy pod Chalimonową jodłę z podkurem. Ja idę naprzód i rozpalę wam ogień.

Wcale nie czekając na ich zgodę, wziął swoją siekierę i zawrócił z drogi w stronę wspomnianego drzewa w głąb puszczy.

Kościk z Karusią ruszyli powoli za nim.

Tyle zwierzeń i skarg na usta ubojgu się cisnęło, że nie wiedzieli od czego zacząć. Blisko pół stajania szli w milczeniu, aż Karusia jakoś o wystający ze śniegu sek się potknęła. O mało nie upadła. Kościk przytrzymał ją, potem pochylił się, ujął ją powyżej kolan i unióś na ręce, jak by pięcioletnie dziecko.

— Kościk!... Co czynisz?! Zostaw! Nie cuduj się! — broniła się.

— Ciężko ci w tym kozuchu; — zaniose na rękach.

— A cóżem ja dziecko, byś mnie na rękach nosił? Puszczaj!

— Nie dziecko, ale w mych rękach nie więcej od niego ważysz.

— Ależ do czego to wygląda?! Puszczaj! Puszczaj, bo mi but zleciał!

— But?!... Toś wzuta na boso? — Prawda zleciał — rzekł ujrzawszy nagą stopę. — Ujął za nią dłońią — zimna była. — Boże miłosierny! — zawołał — toż zimne jak lód!

Rozpiął na piersiach kozuszek, zerwał drugi but i wsunął obie nogi sobie za pazuchę. Następnie przykłął, zabrał buty, przycisnął je lewym łokciem za cholewy do boku i poszedł dalej.

— Nogi pomarzęły i nic nie mówi! — Toż przeziębici się mozesz! — swarzył, owijając szczerlnie kozuchami łydki.

— No i jakże ci — grzeją się teraz trochę?  
— Grzeją. — Objęła rękami za szyję i złożyła gorący pocałunek.  
— Ach, Kościku! Jakem ja po tobie stęskniła! Wypowiedzieć nie mogę!...

— Nie mniej i ja po tobie stęsknił, hołubka moja! Ech, stęsknił, stęsknił! Jednak mam cię wreszcie przy sobie. Trzymam skarb swój przy piersiach. A myślałem, że już cię nie obacze więcej. Może ci Staszek już opowiadał, żeśmy niedawno w Hrebli pod kluczem u bolszewików byli?

— Opowiadał z wiekszego. Boże mój! Jak ta wasza służba jest niebezpieczna! Czyżbyś ty nie mógł, jak przedtem, służyć w ułanach?

— Nie mógł. Czemuż bym nie mógł, ale chcemy służyć tak, ażeby jak największą korzyść Polsce przynieść. Większą pomoc armia polska ma z naszego wywiadu, niżby miała z naszych dwóch szabel.

Mielibyśmy swój zabereżyński hufiec ułanów — zaczął po pauzie — gdyby choć połowa tych ludzi ze Siły, co zebrała się była zeszłej zimy na Parnie, trzymała z nami. Ale nie chcieli, mówiąc, że gdy pojawi się zabereżyński oddział, bolszewicy wścieklej będą się mścić na naszych rodzicach. Jako by dotąd bolszewicy nie wiedzą tego, kto służy w ich wojsku, kto w lesie się ukrywa, a kto za rzekę przeszedł. — Wszystko wiedzą.

— Czemuż by nie wiedzieli. Coraz więcej w zaściankach zdrajców, donosicieli.

— A kilku — i to z pomniejszych chłopców — nawet złośliwie przeciwdziało nam w organizowaniu swego oddziału: krążyli wkoło naszych starań, uprzedzali przeciwko nam ludzi, buntowali — jakoby my swemu krajowi zło zamierzali czynić. Zasłепieńcy.

— A nie wiesz czemu? — Przez zawiść, abyś się nie wstawił i nie wybił ponad nich, właścicieli folwarków. Nic, i tak żaden nie dostawi się do ciebie, nie prześcignie. Nie ma w naszej stronie, co by więcej od ciebie Polsce wysłużył. Prawda?

— Nie będę sam siebie chwalił, ani wyliczał ilem służył i com działał, ale służyłem szczerze.

— Wiesz Kościku, ja też przed świętami troszkę polskiemu wojsku pomogłam — pochwaliła się.

— Pomogłaś polskiemu wojsku? A czym że, hołubka?

— Gdy zabierali Wończe, pocięłam za brodem bolszewikom druty.

— Pocięła druty?!... Nikt chociaż tego nie widział?

— Widzieć gdy cięłam, to nie widział nikt, ale samam głupia nie trzymała tego w sekrecie, więc rozeszło się to po zaścianku i doniosło bolszewikom.

Kościka wzięło na zimne poty.

— Doniosło bolszewikom?! I może czepili się?

— Tak, aresztowali i więzili cztery dni.

— Boże! Wiezili!... Może znęcali się, bili? Mów prawdę!

— Nie, bić nie bili — wyparła się bez zajknięcia.

— Więc może w inny sposób się znęcali? Może nastawiali na cnotę?

— zapytał i zatrzymał się, dech zataił, czekając odpowiedzi.

— Jeden złób próbował był umizgać się, ale z miejsca ode mnie w mordę dostał. Niedługo potem jakiś ważniejszy wojskowy bolszewik

wezwał mię do kancelarii na przesłuchanie, więc mu na wstępie powiedziałam: możecie robić ze mną co sie wam podoba: możecie bić, katować, więzić — ale jeżeli któryś waży się do gwałtu — to go pogryzę, czy mu wydrę — żywą się nie dam.

— A on co na to?

— Powiedział: palcem cie nikt nie ruszy, włos ci z głowy nie spadnie, godziny cię więzić nie bedziem, tylko powiedz, pocięła nam druty?

— Nie przyznałaś się?

— Nie, nie przyznałam sie. Powiedziałam, że to moi konkurenci, z zemsty, że im dałam kosza, taką podłość na mnie po zaścianku puścili. Jakże ja dziewczyna. mówiłam, na taki słup mogłam wleźć?

Wiem, że brzydko czyniłam — łągałam — ale pomyślałam sobie: — Jeśli jeszcze jeden tym antychrystem uszczerbek, a wojsku polskiemu przysłuże uczynie, wtedy zarówno Pan Jezus, jak i Matka Boska, która królową Polski jest, ten niewielki grzech mi odpuszczą.

— A odpuszczają, odpuszczają, hołubka moja! — przytwierdził z taką w głosie pewnością, jakby go do tego sam Pan Jezus upoważnił.

— Wiec potrzymani mię jeszcze dwa dni w areszcie i puścili.

— Chwałaż Bogu, że ciebie chociaż nie bili, nie znęcali się! — odetchnął z ulgą ruszając dalej.

— Pamiętaj tylko, moja orliczko, ażebyś chociaż więcej już takich rzeczy nie ruszała.

— Co! wiec źle uczyniłam?! — zawołała głosem zawiedzionym.

— Któż ci mówi, że źle — połapał sie. — Dobrze. Pomogłaś naszym. Ja ci chcę tylko powiedzieć, ażebyś w przyszłości była ostrożniejsza. — No i jakżeż, już twoje łapki nagrzały się?

— Już nagrzały się. Puszczaj, wzuje buty i pójdę sama. Dosyć już!

— Poniose, aż na miejsce. Mów co więcej tu u was słychać? — zagadywał prędej, ażeby mu sie nie wyrwała.

— O, dużo jest czego opowiadać. drogi mój! Tego... o Walku wiesz?

— Tak, opowiadał ojciec. Jasiowi za taką rzecz skórę tylko by żywemu zdjąć. Łotr!... Żmija! Potwór nikczemny!...

— Łotr, łotr spod ciemniej gwiazdy i też niewdzięcznik wielki! Popatrz: wtedy gdy on Łazarzem nedznym, obszarpany, pokaleczony, bolejący był wrócił i z zaścianku go wygnano — chociaż to udawanie było — jam pierwsza za nim sie ujęła, pierwsza nad nim użaliła; poszłam nocą z kobietami jemu, do błota gdzie leżał, na ratunek, biegałam potem za lekiem, leczyłam, pielęgnowałam — a on mi się odwdzięczył w tak podły sposób. — On na mnie doniósł, nikt inny.

— Staszek mi mówił, że on jako by do młyna wyjechał, prawda jest?

— Tak, wczoraj z Bronikiem pojechali i jeszcze nie wrócili.

— Nie będzie on, gad, więcej... — wymknęło się i przygryzł usta.

— Co, luby, nie będzie więcej?

— Chciałem powiedzieć — cofał się — że... już więcej nikogo nie będzie mógł oszukać bo... zdemaskowany. Zuch baba z tej Hańki!

— Mój to był projekt, ja zamierzałam zrywać, lecz ona mi nie pozwoliła, mówiąc, że ona ode mnie silniejsza.

— Ona by maskę z głową razem potrafiła zerwać. Silna baba, jak chłop.

— Silna, odważna i zająca kobieta, ale też i nieszczęśliwa. Od Świąt, odkąd w Smolarni z dziećmi się znajduje, koleguje ze mną serdecznie i zwierzyła mi się z wszystkich sekretów swej duszy, z całej doli swej. Opowiedziała o swym małżeństwie, z którego nierada, o tamtejszych polskich ludziach, o niewygasłej miłości i tęsknocie do ciebie...

— At... co takie rzeczy wspominać... Tego... co ja chciałem mówić?... Stary Zdanowicz jednak nie doczekał Polski, jak pragnął — umarł — usiłował zmienić temat.

— Umarł — odparła krótko i znowu wróciła do zwierzeń Hańki.

— Opowiadała Hańka też o całym przebiegu swego wesela, o propozycji zrobionej tobie, którą odrzuciłeś.

— Jakiej propozycji? — udał nieświadomego.

— Chcesz bym ci powtórzyła co do słowa? Wiesz przecież. — Prosiła byś poszedł z nią do łaźni — dodała ciszej.

— Tak?! — Szczerze ci zwierzyła się. Sądzę, że przy wszystkich tych swych żalach, wciąż namawiała cie byś wyszła za Blinkiewicza.

— Przeciwnie: — odradzała. Mówiła, że w całej ich okolicy nie ma chłopaka, którego smolarzanka mogła by pokochać, ani nawet też z nim się żyć. Mówiła, że zamożni, ale wszystko sami glinogryzy, plewojady, dusigrosze, brzydkomowy, rusochwały, moskwolizy i niedowiarki. Z całej okolicy, choćby jeden chłopak na polską stronę przebrał się; wszystko siedzi po domach, albo ukrywa się po lasach z wiarą, że wiosną rządy cara Mokałaja wróca. Przez to, sama Hańka mocno z mężem się posprzeczała i siedzi dotąd w Smolarni. Powiedziała mu, że jeśli on, albo chociaż brat jego za rzekę nie przejdzie i do polskiej służby nie wstąpi — nie wróci ze Smolarni do nich wcale.

— Taka ona teraz! Wprzód, to wiem, że ci Blinkiewicza swatała.

— A jesienią, kiedy to byłaś w ich stronach po leki dla Jasia, nie zachodziłaś do Hańki?

— Nie. A tyś zapewne myślał, że zachodziłam, by ujrzeć się z Blinkiewiczem?

— Tak ludzie gadali. Ażebyś ty moja droga wiedziała, jak ja wtedy przed odejściem z domu chciałem z tobą się widzieć! Ilem się nagryzi! Ile przykrości od towarzyszków miałem.

— Cóżem ja winna była? Cóż ja mogłam wiedzieć? — Gdy wychodziłyśmy z domu, wy wszyscy w lesie siedzieli, a o legionach słuchu nie było.

— Jednak Blinkiewicz, jak słyszałem, nadziei nie traci; wierzy, iż prędzej czy później cię pojmie. Mówią, że czeka, aż mnie bolszewicy powieszą.

— A niech by on tam nawet i złote góry miał — nie chciałabym go. No, ale dokąd ty mię będziesz niósł? Dostyc już! Zmęczyłeś się.

— Ja tobą zmęczyłem się?! Jazbym ciebie, moja ty hołubka, do samego Bobrujska mógł na rękę donieść. Nawet i poniosę tam. Słyszysz? — Poniosę cię do Bobrujska.

— Nie pleć czego nie należy!

Stanęli przed ciemną ścianą młodej zwartej jedliny.

— Ostoń sobie, aniołku — powiedział — kołnierzem kozucha twarz, bo możesz ukłóć oczko. Musimy przedrzeć się przez tą gęstwina.

Po kilkudziesięciu krokach, gąszcz jedłana, jak utnij, urwała się. Znaleźli się na małej, nie większej jak szerokość dwóch chat polaneczce. W pośrodku pałało wesoło ognisko. Przed nim, o jakich pięć arszynów, przy pniu ogromniastej jodły z podkurem, stał już szałasek, sklecony z drążków i jedlanych gałązek. Formą swą przypominał budę dorożkarską, lecz był obszerniejszy. Otworem stał ku ogniewi. Stach, zanurzony weń do połowy przodem, wyścielał jeszcze jedlanymi łapkami spód. Dosłyszawszy szmer przybyłych, wyrzał i widząc Karusie na rękach u Kościka zawołał:

— Hola!! Pani już na nim jedzie! Tak, tak, od samego początku — od narzeczeństwa trzeba przyzwyczajając chłopca do jarzma, do wożenia siebie na swym karku! Będzie woził; silny jak wół.

Karusia mocno zawstydziła się tej uwagi i spłoneęła rumieńcem, ale Kościk, który znał Stacha na wylot, uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— A ty już i ogień porządny rozniecił i chatkę nam sklecił! Ot przyjaciel! Ucałować tylko takiego druha!

— Wprzódki nalizcie się dowolnie ze sobą! — odburknął.

— A ty wiesz? — Onaż miała buty na boso. Już jak lód były!

— Prawdę mówisz?! — spowaźniał naraz. — A toż pani mogła sobie nogi podmrażać, albo choroby się nabawić! Nie wiedziałem tego; — byłbym oddał na onuce swój szal.

— Właśnie, że ja to samo myśle uczynić — powiedział Kościk sadowiąc Karusie pieczołowicie na posłaniu gałązek u wnijścia do szałasu. Zdjął ze szyi wełniany szal, rozłupił go na dwoje i kazał jej owijać nim stopy i wzuwać buty.

Stach dorzucił jeszcze gałązek na wierzch szałasu, następnie przyniósł parę kawałków suchego drzewa na późniejsze podkładanie ognia i potem ażeby nie krępować ich swą obecnością, wziął od Karusi torbę i udał się na Szeroki Łęg, odległy stamtąd o wiorstę z hakiem, w celu przejrzenia za nią sideł wiunich.

Kościk z Karusią zostali sami. Usiedli na jedlanym posłaniu pod dachem szałasu obok siebie zwróceniu ku ogniewi.

— Czemużeś mię przed jedliną nie puścił samą! — odezwała się, gdy tylko Stach się oddalił. — Teraz będzie zawsze wyśmiewał i urągał mi, żem kazała się nieść.

— On cię będzie wyśmiewał? — To go nie znasz jeszcze. Przyjaciel to mój serdeczny i chłop morus. Nie życzy on nam zła i nie uczyni ci najmniejszej przykrości. Patrzaj: poszedł naprzód, ogień nam rozpałił, chatkę taką, by śnieg na nas nie sypał, zmajstrował.

— Jaka tu piękna i zaciszna polaneczka! — powiedziała rozglądając się. Jak pomiędzy parkami się znajdujemy. To jest Chalimonowa jodła?

— Tak, Chalimonowa — odrzekł. — Pomyślał chwilę i zaczął nieśmiało:

— Wiesz co ci powiem hołubka? — Ja cię naprawdę zamierzam porwać stąd i zanieść do Bobrujska.

— Naprawdę chcesz mię porwać? Naprawdę ci odpowiem: nie chcę.

— Więc nie miłujesz mnie.

— Jeżeli drugi raz, sama do ciebie w las przychodzę, jak w to możesz wątpić!

— Więc czemu nie chcesz? Widzisz: Zośka do Józika przeszła i z nim tam żyje przyspiewując, Polkę Norba zabrał i ożenił się tam z nią i gdyby nie nieszczęście, to samo by uczynili i Walka ze swą Kaśką.

— Właśnie, że źle uczynili. Potepiam ich postepek. Ja nie pójdę za nic w świecie. Jakże-to?! — Tylu u nas teraz ludzi w żałobie, tyle smutku, tyle roboczych rąk brakuje, tylu nieszczęśliwych potrzebuje pomocy i pociechy, a ja mam ich opuszczać w takiej chwili i uciekać w świat, tylko dla godów małżeńskich, jakby suka jaka? — Nigdy! Choćby nawet cała młodzież tam przeszła — ja, póki choć jedna wierząca w Boga dusza w Smołarni będzie ostawała, — z nią ostane.

— Takaś twarda niewiasta?

— Choćby nawet wojska polskie nie miały tu przyjść wcale! — dodała.

— Kto ci powiedział, że nie mogą do nas wojska polskie przychodzić? Przyjdą.

— Wiem że przyjdą, ja tylko tak powiedziałam dla przykładu. Wiosną, gdy tylko drogi podeschną — pójdą ku Dnieprowi. Słuch u nas o tym chodzi od Wszystkich Świętych.

Zapatrzyła się w ogień, westchnęła głęboko i mówiła znowu.

— Ach! Żebyś wiedział, z jaką niecierpliwością my tu w domu przyjścia wojsk polskich czekamy, jak za owym czasem tęsknimy!... O tym myślimy kładąc się i wstając, o tym tylko prawie, gdy zejdziemy się kupą, mówimy. Najwięcej to serca nasze kołaczą, gdy usłyszymy grzmoty armatnie na zachodzie. Może to i grzech cieszyć się takim grzmo-tem — każdy przecież huk niesie śmierć — jednak odbija się w naszym sercu miłym nadziei echem. Ludzi to nas, że już wreszcie się rozpoczyna upragniony ku Dnieprowi marsz. Nawet słuchając, wydaje się nam, że poznajemy, który strzał polski, który bolszewicki.

Gdy przychodzili do Wończy — ludzie z radości o mało, że ze skóry nie powyłazili. Śmieli się i plakali. Myśleli, że już przychodzą na zawsze. Tu jeszcze nie wycofali się z dróg bolszewicy — a już grupy niecierpliwych wymykały się przez lasy do Wończy, już gospodarze zaczęli radzić nad wysłaniem delegacji powitalnej. Lecz niestety — jak rano bardzo się cieszyli, wieczorem dowiedziawszy się, iż legionści zostają czasowo — się zasmucili. Nie ma gorzej, jak takie rozczarowanie. — Westchnęła tęsknie.

— Wiesz Kościku, jeszcze żadnego razu nie widziała terazniejszych polskich żołnierzy.

— Jeszcze wcale nie widziałaś?

— Nie. Wtedy, gdy przychodzili pierwszy raz, jak sam wiesz, nie byłam w domu, zaś teraz co byli drugi raz we Wończy — to nim wróciłam przeciąwszy bolszewikom telefony z lasu, już zaczęły zbierać się do Wończy mama z Janią, a tata mię z nimi nie puścił, mówiąc, że gdy one wrócą, my z nim założymy konia i pojedziemy. Tak i nie przyszło.

Powiedz, mój drogi, jacy oni?! Jak wygląda terazniejsze polskie wojsko?! Jak teraz Bobrujsk, jak ta Polska wygląda?! Czy tak, jak przedstawiam sobie w myśli? Opowiedz mi drogi!

— Wspaniale!... Pysnie! — Pułki poznańskie, co w Bobrujsku, w odzieży szarej, przypominającej niemiecką i w rogatywkach; warszaw-

skie zaś, co na północy pod Borysów — w zielonej, ochronnej, a na głowie mają takie składające się magiereczki. Chłopaki nieco drobniejsze od naszych, jednak dziarskie, wymusztrowane, odziane pięknie — dzielne do boju, ładne do parady.

Miasto wygląda prawie, że tak samo jak za Dowbora: schludnie, zamożnie, wesoło i polsko. — Widzi się często wojskowe parady, słyszy orkiestry i pieśni polskie. Z mowy polskiej nikt się nie wysmiewa, nikt jej nie urąga; słyszy się ją na każdym miejscu i widzi na piśmie. Kościół w niedziele i święta przepelniony wiernym ludem, jak za dawnych czasów. Zawsze pełno ludzi na rynku i na targowych ulicach. Towaru wszelakiego polskiego zawrócenie w sklepach. Przynieśliśmy dużo czego na leśniczówkę, wam na pokaz. — Tu wymieniał jakie rzeczy przynieśli i które są przeznaczone dla niej.

— Aż tyleś mi nakupił?! — zawołała ucieszona. — Jutro polecę tam do was wszystko to obaczyć.

Obaczyć możesz, ale nim bolszewicy w Smolarni, do domu nic nie zabieraj, bo możesz ściągnąć dla siebie nowe nieszczęście. Broń Boże!

— To już ludzie po tamtej stronie muszą być szczęśliwi! To cieszą się z Polski!...

— Polscy tak, cieszą się bardzo.

— A ruscy nie?!

— Nie wszyscy. W niektórych wsiach wielu chłopów na Polskę patrzy krzywo, a nawet są tacy, co i do bolszewików wzdychają.

— Są co i do bolszewików wzdychają?! — wykrzyknęła. — I... nic dziwnego... naszpilkowani — nawróciła zaraz tonem wyrozumienia. — Alboż po wsiach mało takich Jasiów, co ludzi tumanią i okłamują? O, czekaj, niechaj pożyją, niechaj dostaną ziemi, wtedy obaczysz, Boga za Polskę wszyscy będą chwalić. Jeszcze ziemi nie dają?

— Teraz we wojnę?!... Tu przy froncie!...

Ognisko gasło. Wstali, poprawili dogorywające głownie, podłożyli świeżych kawałków drzewa, poczekali, aż rozgrzeją, pogrzelili się i potem znowu wrócili do szałasów, siadając na poprzednim miejscu.

— Wiesz, sokole, mama ci już nie przeciwi — oznajmiła.

— Oho! A cóż to jej tak klimat nawrócił?

— Widocznie Hańka na nią wpłynęła, bo odkąd w Smolarni przebywa i do nas uczęszcza, coraz łagodniej o tobie poczyniała się odzywać. A oto przed kilku dniami powiedziała mi: — Gdy na świecie się uspokoi, a zechcesz iść za swego leśniczonka, pozwolę ci. Powiedziała też, że opisze na nas połowę ziemi.

— Nie chcę jej ziemi! Za to, że na mnie odpuściła się, że nie będzie mnie bronila do swej chaty, a ciebie też nie będzie gryzła — dziękuję jej, ale ziemi nie chcę. Jeśli da Bóg, Polska z wojny wyjdzie zwycięsko — swoją będę miał. Spodziewam się, że mi ją dadzą.

— A komuż by wprzód mieli dać, jeżeli nie tobie?!

— Dużo nie chcę, niechaj mi dadzą osiem dziesięcin — wystarczy.

— Prawda, tyle, ile bez służebników będziemy mogli wyrobić.

— Będę tylko żądał, by mi dali gdzieś w pobliżu. — Podjął jej kołnierzyk z tyłu, objął za plecy, przytulił do siebie i zaczął się

zwierzać ze swych planów i marzeń, które dotychczas trzymał w tajemnicy.

— Nie od dziś, hołubka moja, ja już myślę o własnej zagrodzie, o naszej przyszłej siedzibie. Mam już upatrzone miejsce, mam upatrzonych i nawet przygotowanych dużo już do tego rzeczy.

Poproszę, by mi dali owa starzynną wyżynkę, co za chojnikiem przy smolarskiej granicy. Wiesz którą?

— Aha!... Wiem. Ot żeby dali!... Jak poprosisz — dadzą. Czemuż by ci nie dali.

— Spodziewam się. Z owej starzynki akurat będzie tyle co nam potrzeba spadzistego i żyznego pola, a z olszyny co przy boku, doskonałej łąki. I dobrze, że blisko; stamtąd widać nawet dachy w Smolarni.

Opowiedział jej, jak podzieli na zmiany pole, w którym miejscu i jak się pobuduje, gdzie zasadzi sad.

— Mam już na oku — smągłe dęby na podwaliny pod dom, mam już upatrzone piękne widły sosnowe na sochę pod zóraw do studni, mam stos naciosanych krokwi i łąt, mam gonty, której starczy mi na cały dom i mam już zaszczepionych w lesie kilkanaście jabłonek do naszego sadu. Dom postawię tą formą, jak u Piotrowskiego, jeno daszek nad gankiem oblamuję, inszą, pięknieszszą wycinanką. Świetliczke ci wewnątrz wytynkuje gładką, wykleję kwiecistym kartonem, a posadzkę całą wyściele futrem wilczury. Nie myśl, że tego nie potrafię uczynić. — Mam już szesnaście wilczych skór.

— Masz już szesnaście skór wilczych?!

— Szesnaście wilczych, a też lisich mam tyle, że ci wystarczy na dubeltowe futro. Postanowiłem sprawić ci takie.

Jeżeli wojna, da Bóg, ukończy się zaraz wiosną, tedy do śniegu wykarczuję dziesięcine, wykopię studnię i postawię dom. W adwencie urządze świetlicę i tak, po Świętach, będziemy mogli się już pożenić. Ślub pojedziemy brać w którąś uroczystszą niedzielę do Bobrujska, abyś miała przed kim pokazać się w lisim futrze.

Słuchała go z zapartym oddechem i w końcu rozplakała się rozczulona.

— Chciałem cię ucieszyć, a ty płaczesz...

— Z radości... Ze szczęścia przysłego — odrzekła szlochając. — Aż wierzyć się temu nie chce... Jednak, drogi, nie chciałabym byś z taką gwałtownością robił, zdrowie swoje szarpał i nadwyreżał. Silnys, ale nie żelazo, nie maszyna żadna. Po co miałbyś tak spieszyć?

Nic nas już z tobą nie rozbije, nie rozłączy. Nie zdążymy na karnawał, tedy na wiosnę, na lato drugie.

— Tak... ale nie będziesz mogła wdziać lisiego futra... — zauważył niekontent, skrobiąc potylicę.

— Futra nie wdzieję, ale latem ludzi do kościoła więcej się zbiera i zielen kwiecie jest. W cudne kwiatuszki puszcy naszej i ogródków przystroimy się sami i orszak cały przystroimy, że dziwić się tylko będą. Wiesz, drogi co? — W dzień Białej Procesji ślub będziemy brali, gdy z całego kraju lud do Bobrujska zjeżdża. Przypniesz do piersi swe odznaki: tą co masz od Dowbora, za ułaństwo i tą co dostaniesz od Konarzew-

skiego za terazniejszą służbę. Wiem, że ci dadzą. W drużbę też dobierzesz chłopców samych wysłużonych.

— Są w dywizji oficerowie, którzy nie odmówią mi druźbowania — wtrącił. —

— Oficerowie ? ! . . . Toś taki tam ważny ? ! . . . Poprosisz ich sobie.

Ot zadziwimy ludzi! Weźniesz dwóch najlepszych swych przyjaciół smolarskich i dwóch oficerów. Zasługą twoją i zasłużoną drużbą więcej jak wszystkim zadziwimy.

— Tak, drogi, tak, na drugie lato w dzień Białej Procesji ślub będziemy brali! — powiedziała zarzuciwszy mu na szyję ramiona i patrzyła nań prosząco i tkliwie.

— Uczynimy, hołubka droga, jak tylko ty zechcesz ! . . . Uszczęśliwie cię serce moje ! . . .

Odwalił ją w tył sobie na łokieć i wpił się zapamiętale ustami, przywarł piersią . . . Zakochani jedno w drugim na umór, stęsknieni długa rozłąką, samiusieńcy w sercu puszczy — oddali się rozkoszom miłości, aż do utraty przytomności . . .

Odzywali się do siebie namiętnym stłumionym szeptem . . .

A Chalimonowa jodła swym szumem śpiewała im pieśni. Potężnym szumem młyńskiego spustu śpiewała, hukiem wzmagającego się huraganu, albo zawrotnego pedu konnicy, to znowu cichym, monotonnym dudnieniem żarnów, słabym, ciężkim, stękliwym opowiadaniem starca i łagodnym szmerem szybującego stada ptaków . . .

## XXIV

### “PRO BONO PUBLICO”

W huk wzburzonej puszczy wmieszało się hukanie sowy. Poznali i zerwali się spłoszeni; on wyszedł z szałas i jał poprawiać ogień, ona poprawiała gorączkowo włosy, chustkę i kozuch. Za minutę wynurzył się z gestwiny Stach. W rękę, w zmarzłej na łub torbie, niósł ze dwa garnce wiunów. Zbliżywszy się do ognia, cisnął torbę w śnieg, przykucnął i jał rozgrzewać skwapliwie ręce.

— Śniegiem brachu rozcieraj, bo ci zajdą się — ozwał się jakoś nieśmiało Kościk, który poprawiwszy ogień, znowu przysiadł obok Karusi w szałacie w takiej pozycji, jak ich Stach zostawił.

Prześliznął się po nich ukradkiem oczyma i zauważywszy ich spłoszone miny, utkwiał wzrok w płomieniu i począł opowiadać o łowie.

— Dobrze dwa garnce będzie. I to prawie, że w jednym sidle. W tej większej, odosobnionej wyzarze, co z tego rogu. W innych same pijawki i żuzle. — Dobrze trafiliście, dobrze. Tylko już, proszę pani, otwór zanadto wylizany. Koniecznie musicie przeciąć drugi, a ten zamrozić, bo już więcej nie pójdą.

Rozgrzawszy ręce, odszedł za jodłę, przepasał, i dawaj gonić do odejścia.

— No, dosyć już, szanowne państwo, tego siedzenia! Wstawać! Czas nam w drogę . . .

— Jeszcze wcześniej, pobawmy trochę, — namawiał Kościak. — Pośpiechu nie mamy.

— Nie zapominaj, iż południem musimy stanąć w Bobrujsku, a już będzie dalej, jak druga po północy.

— Nie będzie jeszcze tyle, posiedźmy.

Widząc, że nie zwracają na jego słowa uwagi, rozrzucił ogień i ująwszy ręką szalasa, zagroził, że go na nich zburzy.

Poszli w kierunku smolarskich ogrodów; Stach ze strzelbą i wiunami na przedzie, Kościak z Karusią o kilkanaście kroków z tyłu.

— Prawda, że południem musicie być w Bobrujsku? — spytała, gdy wydobyli się z gęstwiny.

— Tak, musimy koniecznie.

— Biedni!... Bez snu, bez odpoczynku, znowu taką drogę odbyć.

Nic, miewaliśmy cięższe marsze. Pewnego razu, sto osiemdziesiąt wiorst przebyliśmy bez snu i dłuższego odpoczynku.

— Staszek nieborak, to przez całą noc, ani posiedział nawet spokojnie.

Co, po trzech dniach znowu w naszych stronach będziecie?

— Tak. Dostaniemy kilkudniowy urlop. Oto powiedz, gdzie będziemy mogli się zobaczyć. Może do nas przyjdiesz?

— Nie. Lepiej będzie u mej ciotki na chutorze — odrzekła po dłuższym namyśle. Ale przed wejściem uważaj na znak: jeżeli na dachu łaźni będą wystawione wici — jestem i czekam; jeżeli zaś wici nie będzie — oznacza, że albo mnie w chutorze nie ma, albo jest ktoś obcy, kto nie powinien ciebie widzieć. Do Smolarni, to choćby już nie było w niej bolszewików, nie zachodź. Dużo już szelmów mamy; nie ukryjesz się przed wszystkimi.

Stach spostrzegłszy, iż dystans między nim a Kościakiem i Karusią z każdą chwilą się wydłuża, zawołał z oburzeniem:

— Wleczenie się państwo, jakoby na pańszczyznę! Czyż za tyle czasu jeszcze się nie nagadali?! Tak idąc — do świtu nie wyjdziemy.

Począł, aż zbliżyli się i poszedł odtąd tuż przy nich nie pozwalając na prowadzenie czulej rozmowy i marudztwo.

Stanęli przy ogrodach. Ukryli się przed wiatrem za olbrzymią jodłową wywroć, tuż o kilka kroków od Sokołowskich płotu i zaczęli się żegnać. Kościak z Karusią rzucili się sobie w splot kurczowego uścisku, aż do bólu i zawzięte, długie bez końca zwarcie ust.

— Ot uduszą się jeszcze i pozagryzają! — syknął Stach ironicznie.

Gdy wreszcie się rozpletli i Karusia wyciągnęła doń rękę, podał swoją niedbale i starał się nie patrzeć jej w oczy.

— Widzę, iż gniewasz się na mnie, Staszku? — odezwała się doń słodko. Nim zdążył jej odpowiedzieć, pochwyciła go ręką za szyję, przychyliła do siebie i cmoknęła w czoło.

Fala błęgiego uczucia zalała mu serce. Aż tchu zabrakło. Gdyby to uczyniła z nim sam na sam — padłby przed nią i ucałował z wdzięczności buć, ale że był obecny Kościak, udał obojętność.

Poprosiła obu, pokłonić się od niej znajomym w Bobrujsku, potem wzięła z rąk Stacha torbę z wiunami, pobiegła; przesadziła ze zwinnością wyrostka płot i poszła.

Burza szalała potworniejsza, niż przedtem. Wiatr dał jednym nawałniczym tchem. Świsty, wycia, ryki, zlewały się w jedną przeraźliwą wrzawę. W polu przeciwko wiatru, ani spojrzeć, ani ust utworzyć. Młode, wiotkie, rozsadzone z rzadka po wąskiej łączce drzewka między płotem, a ogrodem warzywnym, chyliły się przed gwałtownym wiatrem, aż ku ziemi. Pył śnieżny wdzierał się natarczywie za kołnierz, w rękawy i za pazuchę. Chłód przejmował lodowaty — choć ty pod ziemię się schowaj.

Oparli się łokciami o płot i patrzyli, jak nieboraczka borykała się z wiatrem. Postępowała nisko pochyłona przeciwko wiatrowi. bokiem, trzymając ręką na twarzy kołnierz kozucha. Co kilkanaście kroków obracała się z wiatrem ku lasowi i przystawała, aby nabrać tchu. Dobrawszy się do jedlanego żywopłotu, dzielącego sad Sokołowskich od sadu Huszczów, poszła żywiej i zaraz znikła im sprzed oczu.

— Może cię ukłóło, że i mnie raz liźnęła po łbie? — odezwał się Stach.

— Mnie za to ukłóło?! — Wartyś, by cię pięć razy w usta pocałowała.

— No, to dobrze. — A teraz śpieszmy się. Jeszcze z młyna nie wrócili?

— Myślisz, że tyle czasu na wyzarach siedział? Byłem na drodze za brodem i przyświeciwszy w zacisznym miejscu żarówką, stwierdziłem, że jeszcze po świeżym śniegu nie przeszły żadne sanie.

— To nic, że wtedy jeszcze nie były przeszły. — Dotąd mogli nie tylko wrócić, ale nawet już na piecu chrapać i o rajku bolszewickim śnić. No, a co masz na myśli z nimi czynić?

Stach dotknął palcem czola.

— Gdybyśmy mogli żywcem wiać i przed sąd polowy stawić — lepiej.

— Dwóch razem żywych nie weźmiemy. A rozdzielić jak?

— Huszczy nie powinniśmy ruszać wcale; orator z niego niewielki, więc otoczeniu dużo nie szkodzi, — to raz, a po drugie, dzieci dużo drobnych ma, których nam sierocić nie wolno.

— Będziemy myśleć nad tym i radzić w drodze. Chodźmy!

— A do Kazika nie wstąpimy? Po tak długiej nieobecności w domu i przed taką ważną sprawą nie odwiedzić go, nie wypada.

— Ażeby nie spóźnilimy się przez to?

— A chodźby tak i psóźnili się, to co? — Zbieramy się wówczas grupą w pięciu, w sześciu i zabierzemy go z chaty jak panicza. Na co zasużył — nie minie go.

— No to chodźmy sobie do Kazika.

Przebiegli linią graniczną aż naprzeciwko cmentarza i zawrócili ku niemu. Szli nie bez lęku. Gęste ostrokoły wystawione na działanie ze wszech stron wichrów, wyły najstraszliwszymi głosami. Fartuszki na krzyżach łopotały zawzięcie, jakby koguty skrzydłami przy pianiu. Powróż od dzwonu huśtał się szeroko, targał za serce i podzwaniał od czasu do czasu. Rzekłbyś, oto nieboszczyki powstawały i wyprawiają swawolne harce, pewni, że o takiej porze żywy człowiek nie przyjdzie ich płoszyć. Chłopcy nie wierzyli w to, jednak gdyby nie spoczywały na cmentarzu dusze im przyjazne, bliskie, kto wie, czy by odważyli się wejść.

Wyrwali ostrokół i weszli do środka. Wśród rzędów krzyży starych,

bieliło się dużo nowych, im jeszcze nieznanymi. Obok mogiły Kazika, stał duży biały krzyż dziadka jego Karola, świeżo pogrzebanego. Uklękli przed nim i zmówili jeden Pacierz, potem przeszli przed mogiłę wnuka i zmówili drugi. Ukończywszy, Kościak wierząc, iż dusza Kazika przy mogile swych prochów go słyszy, począł na głos skargę:

— Bracie Kaziku! Nie potrafiłem zgromadzić chłopców ze Siły i założyć przy armii polskiej oddział pod imieniem naszej ziemi, aby nim — jak mówiłeś za życia z nami — pobudzić cały lud tutejszego kraju do walnego udziału w walce z wrogiem Polski. Część wartowników, zatrzymanie się frontu na Berezynie wzięła, jako wyrzeczenie się naszego zarzeczka i straciła dawniejszy zapal, a wielu krnąbrnych, zaślepionych, zamocznego pochodzenia szlachetków, wyszydziło mię i wcale nie chciało słuchać. Powiedzieli, iż syn bezziemnego, pańskiego sługi wyhodowany w lesie, ich, rzekomo świątłych folwarczników, ani rozumu uczyć, ani im przywozić nie może. Mówiłem: to wy zbierajcie ludzi i komandujcie, a my wam pomożemy. — Nie chcieli. A Józik nasz, dalej Kartawy z Jam, Smarhaczewski zza Wończy i Winczuk Kraśny ze Sakatuszek, mając ze mną porachunki osobiste, nawet innych przeciwko sprawie publicznej, którą starałem się przeprowadzić, złośliwie buntowali.

Ale do bolszewików to żaden wartownik nie przystąpił; prawie wszyscy poprzehodzili stopniowo za rzekę i albo w pułkach wojskowych są, albo w szeregach służby wewnętrznego bezpieczeństwa, Polsce przykładnie służą. Czterech już poległo śmiercią bohaterską. Piotruś Winiarskich padł przy przeprawie frontu, Jasia Kantyczkę młodszego zakatrupiła partyzantka bolszewicka, Wicik Anichowski z Polanek legł pod Borysowem w boju otwartym, a oto niedawno i Walka Tryzno, gdy przyszedł do Smolarni odwiedzić rodziców, wpadł w ręce bolszewików i został zamordowany ciężko. Przez Jasia, szelmę, psa wściekłego, Walka druh nasz stary, tak, jak i ty zginął. Dowiedziono już mu zbrodnie, że lepiej być nie może. Nie krępuje się wcale tego i nie wstydzi; mieszka u Bronika Huszczy kamrata swego, urąga wszystkim i buntuje ludzi, namawia na komunę. Postanowiliśmy ze Staszkiem zabrać łotra i stawić przed sąd polowy polski w Bobrujsku. A jeżeli się nie uda nam żywcem go wiaść, wtedy sami na miejscu śmiercią ukarzymy, a dusza pójdzie na sąd do Pana Jezusa. Wy tam wszyscy, ilu was na tamtym świecie z naszych okolic jest, przyswiadczcie u Niego dobrze, aby karę za swe czyny otrzymał należną. Grzesznik on jakich może na świecie więcej nie ma. Oprócz zdrajstwa i świadomego działania na szkodę Polski, oprócz was dwóch zabójstwa, on też liłości dla niewiast, szacunku dla starców, dla rodziców własnych nie miał oraz samego Boga słowem i czynem znieważył. Przez niego Karuskę moją, za kawałek pociętego nikczemnego telefonu, którym, spodziewam się, korzyści naszym, ani uszczerbku bolszewikom nie uczyniła, cztery dni nieboraczkę w areszcie trzymali i różnie straszili; Hańkę Piotrowskich wychłotali, przez niego włóczyli po turmach Ambrożego Kantyczkę, Stasia Sciepurę, Marcina Bałaszewicza i innych starych szanowanych w Smolarni ludzi. Onże przeciwko Bogu na każdym kroku bluźnił, obraży święte w chacie brzydkimi rysunkami poszpecił, onże na dniach, gdy po zdemaskowaniu go, rodzice zaczęli jako wyrodka parszywego z chaty wyganiać, bolszewików na nich

sprowadził, poprosił, by im sprawili chłostę i majątku gwałtem większą połowę od nich zabrał. Taki z niego grzesznik!

Powstali i odeszli. Poszli tą samą linią graniczną obok puszczy. Mineli ogrody, gdzie rozstali się byli z Karusią, następnie zachodnią zmianę pola zwaną Klinem, potem zawrócili w prawo na ukos i przeciąwszy półtorstowy szmat lasu, znaleźli się na drodze do Wończy. Przyświecili w zaciszu na jezdnię — nie było jeszcze żadnych śladów. Ucieszyli się i bez straty czasu ruszyli w stronę Wończy, radząc nad sposobem rozłączenia Jasia z Huszczą, wypatrując dogodnego na czaty miejsca. Przypatrywali się uważnie przed siebie, oglądali w tył, przy spostrzeganiu podejrzanego cienia, lub głosu doniesionego wiatrem, przystawali wyteżali wzrok i słuch i szli dalej nikogo nie spotykając.

Zatrzymali się dopiero, aż w połowie drogi do Wończy, przed trzecim z rzędu brodem, w młodym sosnowo-jodłowym, mrocznym lesie. Droga tam węższa niż gdzieindziej, zaginała się krętym łukiem, a jezdnia głębokim w terenie wyżłobieniem staczała się pochyło w bród. Bród przecinający olszynę w poprzek i droga za nim na przestrzeni blisko stajania, biegly linią prostą.

Stach zaczął się w cieniu jedliny nad jezdnią, na przedzie — odkąd zaczynał się widok na bród, Kościk zaś — na odległość mniej więcej, trzech chat w tyle. Ostaniał ich czub mrocznego lasu, na którym opierał się łuk drogi, ale byli tak blisko siebie, że mogli wzajemnie się słyszeć. Uradzili po drodze tak: iż gdy Bronik będzie jechał na przedzie, Stach go poznawszy, oznajmi o tym Kościka dwukrotnym kaszaniem, i pójdzie powoli im na spotkanie tak, aby spotkać się w wąwozie; pierwsze sanie minie, a drugie, poprawianiem na jezdni sznurów od łapci zatrzyma, aż tamte oddalą się za zakręt a Kościk nadbiegnie mu z pomocą; zaś gdyby Jaś jechał na przedzie, wtedy poda sygnał gwizdem i tym samym sposobem zatrzyma Bronika tyle, aby Kościk zdążył Jasia za zakrętem ogłuszyć i zjechać z nim w bok. Strzelbę wziął Kościk sobie na plecy.

Powtórzyli sobie, jak mają postępować, rozstawili się i czatowali z nadzieją w powodzenie zamiaru.

Zamieć uspokajała się wyraźnie. Wiatr poczynał dąć równo, łagodnie. Las szumiał sennie, rozmarzająco — jak pieśń matczyzna nad kołyską. Śnieg z drobnej sypkiej kurzawy, zamieniał się w foremne, lepkie, płatki.

Powietrze znacznie ściepłało, jednak znużonych długą podróżą chłopów, ział przenikał na wylot. Więcej Stachowi dokuczał, który zgrzany całonocnym bieganiem, miał wilgotną bieliznę. Aż zębami dzwonił. Próbował grzać się tupaniem — ale lenistwo niemożne czuł, po krótkim staniu, w nogach. Przepasał się, owijając kozuszką, jak najszczelniej i przytulił bokiem do jodły o dwa trzy kroki od brzegu. Rozgrzał się, jednak senność go wtedy poczęła ogarniać. Opierał się jej z całych sił, pamiętając, iż nawet parominutowa nieuwaga może zniweczyć cały plan, całą okazję. Przytulił się do pnia jodły na jedno pośpieszne Zdrowaś, potem wychodził na brzeg i wpatrywał się za bród.

Czas płynął, a Jasia z Huszcza jak nie było, tam nie ma. Stach poczynął tracić nadzieję i zatrzymywać się przy jodle coraz dłużej. I w końcu jakoś zupełnie zapomniał...

Zapadał mrok przedświt. Zamiar możliwy do wykonania tylko nocą, niweczył się. Kościk spostrzegł to i zawołał do Stacha:

— Widać, brachu, iż z naszego mądrowania nic nie będzie! Świta już! Stach nie odpowiedział mu.

— Spi nieborak — pomyślał — Podeszedł i znalazł go przy jodle kiwającego głową, jak Żyd na modłach. Spał stojąc, aż dymiło.

— Cóż, ty brachu, deski już piłujesz?! — zadrwił.

— Ha!... Co?! Kto?!... Gdzie? — zerwał się przerażony.

— Mówie, że oni przejechali, a ty śpisz. Takżeś stróżował?!

— Przejechali?! Co ty mówisz?! To nie może być! — nie wierzył — Postąpił rychło ku drodze, spojrzął na równie drogi i zawołał stłumionym radosnym głosem: — Łziesz!... Nie przejechali jeszcze!... Teraz właśnie jada! Jada!... Leć!...

Przywidziało się coś przerażonemu ze snu — przemknęło Kościkowi przez myśl. Lecz wyjrzał i spostrzegł, iż rzeczywiście w dali za brodem coś ciemnego podobnego do podwoły rusza się.

— A i prawda, ktoś jedzie! — zawołał również uradowany, ruszając co sił na swój posterunek.

Stach przymrużył oczy i wyteżył wzrok. — Dwie duby rysią jedna za drugą skakały, więc musieli być oni. Coraz bliżej — coraz wyraźniej widział. U przedniego konia jakby na łbie łysina. Czyż Łyska?... Może się wydaje?... Przetarł oczy i z większą uwagą przyjrzał się. — Tak Łyska. Znaczy się Bronik na przedzie. — Zakaszał w stronę Kościka, jak się umówili, nastawił kołnierz osłaniając nim twarz, nasunął na czoło czapkę, przeczekał jeszcze chwile, aby nie spotkać się za daleko, zstąpił na jezdnię i ruszył powoli.

Wjeżdżając z brodu w wawóz, gdzie droga poczyniała powoli się podnosić, konie zwolniły w stepa. Huszcza leżał na rozwałach głową wsparty na łokcie, okryty po pas huńką i nucił ruskiego "Czumaka". Spostrzegłszy przechodnia, urwał, podniósł się, odsunął znad oczu baranicę i utkwiał weń wzrok. Przeprowadził oczyma aż go minął, lecz nie odezwał się, co dowodziło, iż nie poznał.

Drugie sanie szły o kilkanaście kroków z tyłu. Stach minawszy Huszcze, postąpił na środek jezdni, pochylił się i jał manipulować koło sznurów od łapci. Bułanka Jasiowa, stanąwszy przy nim, zatrzymała się.

— Hej! a co tam stajesz rakiem na drodze?! Na bok! — zakrzyczał Jaś po rusku.

— Obora mi od łapcia rozmotła się. Minutkę dziadźko — odrzekł zmienionym głosem, również po rusku.

Przednie sanie kryły się w załomie i Bułanka, zawsze pilnująca wozu, poczyniała gorączkować się, usiłując przeszkodę ominąć. Jaś jednak trzymał ją, gdyż o stromą ścianę głębokiego w tym miejscu koryta jezdni, łatwo było wywrócić się, albo co gorsze — złamać gołobłę.

— Drogę mi dawać, bo przejadę, kto tam jest, po twoich łapciach i zebrach razem — wezwał powtórnie.

— Minutkę dziadźko! Jedną minutkę — błagał Stach pokornie, nie przestając manipulować koło łapci, a z pomiędzy nóg rzucał spojrzenie na sanie.

Widać tknęło go niedobre przeczucie, bo oto ujął lejce w jedną rękę, a drugą począł w sianie czegoś szukać.

W tej samej chwili, wyrwał się z jedliny, jak z procy Kościk, skoczył susem na sanie, pochwycił Jasia za kołnierz i przycisnął go twarzą mocno w siano. Zdążył tylko hipnąć krótko.

Stach żywo odsadził Bułankę na równiejsze miejsce, zawrócił, wskoczył na sanie i pognali co mocy.

Byli już panami zamachu. Ofiara wiała się, przeżyła rozpaczliwie, usiłując wydobyć się z rąk napastnika, albo chociaż krzyknąć, wezwać towarzysza na ratunek, ale ulegała ogromnej przewadze siły. Kościk trzymał go i kierował nim bez większego wysiłku, jak tylko potrzebował i chciał: gdy słyszał, iż zachłystuje się, chrapie niebezpiecznie — unosił niewiele za kołnierz, pozwalał zaczerpnąć powietrza i potem znowu mu wbijał głowę w siano.

Zawracając z równej drogi w krzywiznę, obejrzeni się obaj. — Huszczy nie było widać. Mknęli dalej. Po kilku stajeniach zaczął się bór sosnowy, przejrzysty. Zawrócili tedy z drogi w bok w lewo i pojechali lasem na przelaj. —

— Na, weź owiń mu głowę i puść jadaczkę wolno, bo możesz swymi nidźwiedzimi łapami udusić ptaszka — podał Stach Kościkowi huńkę, wyciągnąwszy ją Jasiowi spod kolan.

Kościk przycisnął Jasia udem w krzyżach, owinał mu głowę, jak tamten radził huńką i trzymał go odtąd za ramiona.

Stosunkowo niegruba jeszcze warstwa świeżego śniegu, równo w lesie rozestana, pozwalała na jazdę rysią w dalszym ciągu.

Po dwóch wiorstach z hakiem, wjechali w osinnik, podsadzony z rzadka mizerną jedliną. Upatrzyli osłonięte kilku wykrocami miejsce, zajechali tam i stanęli. Obrócili ptaszka twarzą do góry i odślonili ją. — Miała wyraz przerażenia i rozpacz. Biegał oczyma z jednego na drugiego i przerażenie jego rosło. Świadczyło to, iż dopiero się dowiadywał w czym ręką jest. Ale przemógł się i odezwał hardo i z groźbą:

— A, toś ty Kościk ? ! . . . Toś ty Stach ? ! To wy burżujskie szpiegi ? !

— Teraz dopiero poznajesz ? ! Jakżesz się miewasz ptaszku ? — pytali.

— Cóż to, wam Smolarni już nie szkoda, że ośmielacie się na taki krok ?

— Dla jej dobra właśnie postanowiliśmy cię z niej wysiedlić — odrzekł Kościk.

— Jeżeli mi co złego uczynicie, ze Smolarni zgłiszczą tylko pozostaną.

— Nikt się nie dowie co ci uczynimy, ani gdzie się podziejesz.

— Przeliczyłeś się, człowieku. Przewidywałem taki przez was napad i swego czasu złożyłem przed prezesem wończańskich czekistów zeznanie: że gdybym został skrycie zamordowany, albo zaginął bez wieści, wtedy sprawcami tego będą: Stanisław Bałaszewicz i Konstanty Wasilewski. Możecie być, chłopcy, pewni, iż jeśli ja nie wyjdę z waszych rąk cało, tedy nie wyjdzie też cało z rąk czekistów, żadna z waszych rodzin dusza, a z zagród waszych i zerdka jedna nie ostanie.

— A toś wyśpiewał się! — podchwycił Stach. — A toś wbulił durniu! Teraz napisz nam do owego prezesa własnoręcznie list, iż przekonawszy się o obłudzie komuny, wyrzekasz się jej na zawsze, przechodzisz na stronę Polski i będziesz odtąd walczył do ostatniej kropli krwi w Jej obronie, aby zrehabilitować się tym za wszystkie swe dotychczasowe zbrodnie. Uwierzą temu, jak amen w pacierzu, bo im osobiście nie zaprzeczysz tego, a my na krzyżu jednej ze świeżych polskich wojskowych mogił — przypuścmy tych, co legną w jutrzejszej naszej ofensywie — wywiesimy tablice z twoim nazwiskiem. Nie bój się, łotrze — my już zabezpieczymy i Smolarnię i swe rodziny!

Twarz Jasia, która poczyniała już być zuchwałą, znowu przybrała wyraz bezgranicznej rozpaczki.

— Co myślicie ze mną czynić, chłopcy? — zapytał głosem złamanym.

— Oko, za oko, ząb za ząb — odrzekł Kościk. — Większej ci krzywdy nad te, które uczyniłeś Kazikowi i Walce nie uczynimy. Możesz domyślać się, co cię czeka; przywiążemy, jak ty Walkę do gołobli i będziemy gnali, aż nie wyzioniesz swego grzesznego ducha. —

Uwierzył. Westchnął boleśnie, zamknął powieki i zamyślił się.

Nie przerywali mu; z góry wiedzieli, iż szuka motywów swej niewinności — kłamstwa jakiegoś, — szuka dla siebie ratunku.

Po paru minutach wybuchnął płaczem:

— Kościku!... Staszku!... Bracia!... Darujcie mi! Zlitujcie się nade mną! Darujcie mi życie! Jam nie winien temu co spotkało ich!

— Ach, ty łotrze, beczelny! — zakrzyczeli oburzeni. — Więc ty śmiesz się jeszcze wypierać! To ty myślisz, że my nic nie wiemy jeszcze?! Tyś doniósł na nich i sprowadzał zbirów, współdziałał z nimi!

— Tak, jam doniósł i pomagał w ich ujeciu, jak mi kazali, ale nie myślałem, że z nimi tak okrutnie postąpią. Wcale nie myślałem, że ich pozbawią życia. Przede mną mówiono, że ich wysiedlą tylko, aby nie buntowali, na rzecz burżujów, ludzi.

— Gdyby to prawda była, jako mówisz — powiedział Stach — wtedybyś pokajał i poprzestał na pierwszej zbrodni, ale nie popełniał ich całej serii i to coraz potworniejszych.

— Wasza partia rozlewa również często krew niewinną, nad którą ubolewa, jednak chcąc wywalczyć swój ideał, nie baczy na to, trwa, rozlewa ją w dalszym ciągu.

— Więc i ty chcesz wytrwać? Znaczy się tedy, że ubolewasz nad losem Kazika i Walki, ale dotąd po jednym będziesz gubił naszych chłopców, aż zmusisz smolarzanów do hołdowania Leninowi?! Więc dla tego, łotrze, błagasz o darowanie ci życia?!... —

— Włos z głowy nikomu już w Smolarni z mojej winy nie spadnie. Nawet mię nikt nie ujrzy więcej.

— Nikt cię więcej nie ujrzy? — Spodziewam się, iż do klasztoru się zamkniesz i resztę swego żywota na modlitwie i pokucie spędzisz?

— Do klasztoru nie pójde i w Boga nie wierzę.

— Więc pewnie na ochotnika do wojska polskiego wstąpisz, jak to łągałeś ludziom beczelnie przez tyle czasu?

— Nie. Jam innego przekonania — zaprzeczył wiedząc, że mu nie uwierzą. Wstąpię do krasnej armii jako żołnierz mundurowy i pójde

walczyć, przeciwko carskiego Wrangla. Ja to od razu chciałem uczynić, jakeście mię na ulicy w niedzielę latem obili, ale zwierzchnicy moi partyjni z Wończy, kazali ostać i śledzić kontrrewolucyjne gniazdo. O tym, że zakładaliście w lesie zbrojny obóz i chcieli byli zagarnąć po Niemcach władze, jeszcze w połowie tej samej zimy wiedziała Hubczeka i wszyscy komisarze z naszego okręgu. Więc ostałem i czyniłem wszystko, co mi kazano, chociaż cała ta robota, jak ścierwa zgniła w ustach, jak ość w gardle mi stała. Com uczynił komu w Smołarni złego, to nie z własnej woli. Jam nie kat, nie tyran, nie zwyrodnialec, nie żaden potwór, jak mnie nazywacie. Jam człowiek taki sam, jak i wy i brat wasz, tylko, że innego przekonania, do innej partii należę.

Kościku! Staszku! Bracia drodzy, błagam was: darujcie mi życie! Traktujcie mnie nie jako zbrodniarza, ale jako żołnierza przeciwnego obozu! Klnę się, przysięgam!...

— Dosyć blagowania! — przerwał Kościk. — Wynika iżes wcale niewinny baranek. Wszystko ci kazali czynić zwierzchnicy. Chciałbym wiedzieć, czy też zwierzchnicy kazali ci i za ten kawałek telefonu pociętego na Karuskę moją donosić?

— Każdy, aż do pięcioletniego bękarta bębnił na całe gardło w Smołarni o tym telefonie, więc musiałem zawiadomić. Przedstawiłem jednak tę sprawę w sposób tak niewinny, iż nie myślałem, że ją nawet po przesłuchaniu osadzą w areszcie.

Ach! Jasnym żelazem krzywda jej mię piecze! Ja już nie raz mówiłem: jeżeli są aniołowie — ona nim pierwsza — począł słać Karusie, myśląc, iż tym najprędzej ujmie Kościka. — Ona piękna, jak latko! Ona słońce! Ona miłosierdzie! Onaż dziecka małego, kota nawet za swe życie nie skrzywdziła! Onaż pierwsza za mną była się ujęła, pierwsza zlitowała, gdy wszyscy ode mnie odwrócili się i jak psa wściekłego z zaścianka wygnali. Gdybym wiedział, że z nią tak okrutnie postąpią, byłbym na siebie jej winę przyjął. Jam powiesić się chciał, gdy się dowiedział, że ją obili.

— Ją bili??! — ryknął dziko Kościk, zaciskając pięści, podnosząc się — gotując jak tygrys do skoku.

— A toś nie wiedział? — Tak, bili. Dała była w morde Łazarzowi czekać za to, że zaczął się do niej umizgiwać, więc ją wtedy zsiekł nahajem. Wiesz? Ja tego czekistę za takie barbarzyństwo gorzej nienawidzę niż samego Wrangla, niż...

— Więc ją bili!! — znowu zaryczał przeraźliwie i schwyił oburącz Jasia za gardło. — Karuskę moją bili!... Aniołka mego niewinnego! Bili ją!... — powtarzał zaciskając wkoło szyi palce kurczowo.

— Ależ nie on — bronił Stach. — Po co go dusisz?! Puszczaj! Puszczaj, bo udusisz go na śmierć!

— Zsiekł powiada nahajem... Boże litościwy!... Pomszczę! Śmierć!... Śmierć katom! — ryczał i dusił z coraz większą furją.

— Pomścisz na tym, kto zawinił. Ale po co dusisz tego?! On w tym nie winien. Felek mi mówił i Karusia też, że on nie winien. Puszczaj mówię!

Widząc, iż nie zwraca na jego wezwanie najmniejszej uwagi, zaczął go grzmocić pięścią w przedramię. — Puszczaj, szaleńcze! Opamiętaj się!

Przecież go mamy żywego przed sąd stawić. Puszczaj, bo go udusisz! Nie widzisz, że już mu gały na łeb wylażą?!

Wreszcie puścił.

Jasiowi krew chlupnęła przez nos i usta. Oczy pozostały otwarte wybałuszone.

— A nie mówiłem ci?! — zawołał Stach. — A widzisz?! A widzisz teraz! Już kipnął. Pocałujże go teraz, gdzie mu słońce nie świeci!

Kościk stał na klęczkach pochylony nad swą ofiarą, jak nie przymierzając, zwierz wściekły, jak opetaniec niepamiętny: — drżał, sapał ciężko, przewracał dziko, nabrzmiętymi krwią białkami, zaciskał pięści. Lecz zaraz przyszedł do siebie. Twarz jego przedtem gniewna i dzika przybrała wyraz boleści i rozpacz. Osunął się w tył siadając na własnych piętach i zajączał.

— A i prawda, nie żyje! I prawda, udusiłem go. Cóżem uczynił! Boże!... Jam dusiciel... Ach!...

A bo kiedyż żal mie wielki za nią ogarnął — przerzucił się w płacz. — Za co oni mego aniołka niewinnego obili? Jaką ona krzywdę i komu uczyniła, ha? Czemuż oni ją?...

— A może on jeszcze zupełnie nie skonał?... Może się da odratować? Staszku? — utkwil weń wzrok błagalny, pragnąc ujrzeć potwierdzenie swych nadziei.

— A ma się rozumieć, że jeszcze nie skonał zupełnie — pocieszał go. Petlica mu tylko cd krwi w gardle i nosie pękła, ale ostatniej pary jeszcze wypuścić nie zdążył. Da się odratować. Nie gadajmy, a bierzmy się. Kościk poweselał.

Rozpięli mu na piersiach odzież i zastosowali sztuczny oddech. — Krew ustała, ale oddychać nie chciał i oczy zostawały otwarte, nieruchome. — Ujęli go za plecy i podnieśli do pozycji siedzącej — bezwładny był. Głowa przerzucała się na strony, jak zabitej kaczki. — Nacierali mu śniegiem pierś, skronie, twarz, tarmosili go, wołali nań — nic, — najmniejszego znaku życia. Kościk rozpaczał:

— Ot tobie masz! Dałoz mi!... Zasłępiło mię... Tak go zgrabnie żywego wzięli — i masz tobie. Choć ty sam siebie ugryź, choć ty sam sobie...

— Nie, on jeszcze zupełnie nie kipnął — mówił Stach. — Ja nie wierzę. On przyczął się. Ot zobaczysz, że on będzie jeszcze próbował nas oszukać. Dawaj, zrewidujemy wszystko.

Przeszukaj mu odzież, sanie — i pod spodem na deskach znaleźli krótki załadowany pięcioma nabojami karabin. Stach triumfował.

— A nie mówiłem ci, że on szelmostwo knuje?! Skruczę i niewiniątko przed nami strugał, a o trzymanym na saniach karabinie zataił. Głowę daję odciąć, że udaje martwego, aby czujność naszą uspić i potem wydobyć karabin i nas powystrzelać.

Nie oszukasz nas więcej! Nie umkniesz z naszych rąk, ptaszku! — zakrzyczał mu do ucha. —

Jedźmy. On w drodze nam odżyje. Tak, jak Miszka odżyje.

Zwalili worki z mąką pod wykroć, wątpliwego nieboszczyka ułożyli po jednej stronie na saniach, przykrywając go huńką, sami usiedli po drugiej. Wycofali się z osinniku i pojechali dalej borem, trzymając

kierunek w stronę rządowego lasu, gdzie mieli spotkać znaną im wąską trel, którą przy ówczesnym zamrażnięciu łągów i rzeczułek, oraz twardej skorupie spodniego śniegu, mogli przedostać się saniami lasem, aż pod sam Bobrujsk.

Widno już było. Wiatr ucichł zupełnie. Śnieg walił równo lepki, bujny, sporny i szemrał cichym modlitewnym szeptem. Żołny odzywały się po wszystkich stronach, przepowiadając niepogodę w dalszym ciągu. Z tyłu, o parę wiorst, jęczał pies gończy, goniąc po świeżym śniegu zdobycz. Od strony Bobrujska dochodziło warczenie aeroplanu.

— Nie wierzy się mi brachu, że on odżyje — rzekł Kościk. — Z niego już trup.

— Jak nie odżyje, no to diabeł z nim. Tak, czy owak, śmierci by już nie minął. Chyba zasłużył na to?

— Tak, ale ciągle będzie mię dręczyło, zem go udusił.

— Za takiego zbrodniarza i będzie cię dręczyło? Pluj! Zreszta, uczyniłeś to przecież nie chcąc.

Po paru wiorstach zatrzymali się i zajrzeli pod huńkę. — Zimny był i sztywny.

— Patrzajcie, naprawdę kipnął — zdziwił się Stach.

— Ot jak odżył! — westchnął Kościk, rozkładając desperacko ręce. No i co będziemy robili teraz?

— A cóż z trupem chcesz zrobić? — Trzeba go pogrzebać. Weźmy go na Łapieki i w Sopkę pod lód.

Zawrócili nieco w lewo i po niespełna godzinie jazdy, znaleźli się przy Łapiekach. Była to samotna w lesie łąka, z kilku pszczelnymi drzewami, z przepływającą po jednej stronie, znaczną w wielu miejscach, głęboką rzeczką. Za spokojnych czasów ucierano przez Łapieki zimową drogę do miasta.

Ustawili się na lodzie rzeczki u samego jej wylotu na łąkę, za olchowym krzewem. Stach zabrał się do wycinania otworu w lodzie, a Kościk wyszedł na łąkę, wlaź na jedno z pszczelnych drzew i strącił dwa duże kamienie. Jeden kamień przyłożyli do piersi trupa, drugi do brzucha, owinęli go huńką, jak dziecko pieluchą, omotali lejcami i opuścili w przerębę. Po pół minuty ukazał się męt, oznajmiając, iż zdrajca legł na dnie.

— Troche po bandycku — zauważył Kościk smętnie.

— "Pro bono publico". Tu mu miejsce — odrzekł Stach.

Siano i słomę ze sań spalili na miejscu do żdźbła. Bułankę doprowadzili lasem do miejsca, kędy przechodził zimnik. Poznała mimo, iż nie było żadnego śladu, żadnej z tej zimy jezdni i sama, zawróciwszy w stronę Smolarni, pobiegła truchtem.

— Widzisz ty ją, jaka pamiętliwa! — zauważył Stach. — Jak wilki nie przejmą — śmiało trafi do domu.

— Chciałoby się widzieć, jakie wrażenie wywrze w Smolarni pojawienie się jej z nagimi saniami. To ci wydłuży się mina Bronika i wszystkich Jasiowych towarzyszy! To pójda im ciarki po skórze!

— Dobrze sprzątnęliśmy, nie ma co.

Ruszyli pośpiesznie na Bobrujsk.

Był to jeden z najcięższych etapów drogi, jakie mieli podczas

ciągłych wędrówek w służbie wywiadowczej za Berezynę. Śnieg walił ochłapami cały dzień i świeża warstwa, pod wieczór, sięgała prawie do kolan. Znużeni długim marszem, bezsennością, przeżyciem wielu bolesnych wrażeń, ledwo nogi wlekli. Posilić się nie mieli czym, gdyż z leśniczówki wyszli bez tobołków, tak, jak stali. Stach słabszy, chwiał się na nogach i często wspierał się o mocniejszego towarzysza.

Ale wytrwali. O zmroku zamajaczyły się w dali we mgle padającego śniegu, bobrujskie potężne stacje radiowe.

**KONIEC**